

Robert Ludlum

Strażnicy Apokalipsy

Tom I

**przełożyli: SŁAWOMIR KĘDZIERSKI, ANDRZEJ LESZCZYŃSKI, ARKADIUSZ
NAKONIECZNIK**

Tytuł oryginału: "THE APOCALYPSE WATCH"

Warszawa 1995. Wydanie I

*** * ***

**Dla każdej zdrowej psychicznie osoby zawsze było
niezglębioną tajemnicą systematyczne zło tworzone
przez reżym nazistowski - jak moralna czarna
dziura wydaje się rzucać wyzwanie prawom natury,
będąc jednocześnie tej natury częścią.**

DAYID ANSEN

"Newsweek", 20 grudnia 1993

*** * ***

PROLOG

Górska przełęcz, wysoko w austriackich Alpach Hausruck, była jeszcze zasypana zimowym śniegiem i smagana zimnym, północnym wiatrem, gdy tymczasem niżej, w dolinie, kwitły wczesnowiosenne krokusy i żonkile. Przełęcz ta nie była ani punktem granicznym, ani przejściem z jednej części górskiego grzbietu do drugiej. Prawdę mówiąc, nie znajdowała się na żadnej ogólnodostępnej mapie. Mocny, solidny most - z ledwością zmieściłby się na nim jeden pojazd - spinał dwudziestometrowy wąwóz, na którego dnie, kilkaset metrów niżej, pędził po kamieniach dopływ rzeki Salzach. Po przebyciu mostu i labiryntu oznakowanych karbami drzew wychodziło się na ukryty szlak wyrąbany w górskim lesie - stromą i krętą drogę, która prowadziła jakieś dwa tysiące metrów w dół, do odciętej od świata doliny pełnej krokusów i żonkili. Tutaj, na bardziej równinnych i o wiele cieplejszych terenach, znajdowały się zielone pola i jeszcze zieleńsze drzewa... oraz zespoły niewielkich budynków o dachach zamaskowanych ukośnymi, załamującymi się nierówno pasami w kolorach ziemi. Dzięki temu domy wtapiały się jakby w górzysty krajobraz i były niewidoczne z powietrza. Znajdowała się tu kwatera główna Die Bruderschaft der Wacht, Bractwo Straży, twórców Czwartej Rzeszy. Dwie postacie na moście ubrane były w ciepłe parki, futrzane kaptury i grube wysokogórskie buty. Szły, chowając twarze przed podmuchami wiatru niosącego śnieżny pył. Nierównym krokiem dotarły do końca mostu i człowiek idący z przodu odezwał się: - Nie jest to most, który miałbym ochotę zbyt często przekraczać. - Amerykanin otrzepał śnieg z ubrania, zdjął rękawice i zaczął rozcierać twarz.

- Ale będzie pan musiał przejść przez niego wracając, Herr Lassiter - zareplikował Niemiec w średnim wieku i uśmiechnął się szeroko. Stał pod osłoną gałęzi i również otrzepywał śnieg. - Niech się pan nie przejmuję, mein Herr. Zanim się pan obejrzy, będzie pan tam, gdzie powietrze jest ciepłe i już kwitną kwiaty. Na tej wysokości ciągle jest zima, a na dole mamy wiosnę... Chodźmy, czekają już na nas. Proszę za mną! Z oddali dobiegł odgłos przegazowanego silnika. Obaj mężczyźni - Lassiter z tyłu - szybkim krokiem przeszli wśród drzew na małą polankę, gdzie stał pojazd przypominający dżipa, ale o wiele większy i cięższy, wyposażonych w głębokie protektory balonowych opon z bardzo grubej gumy.

- Niezły wóz - rzucił Amerykanin.

- Powinien pan być dumny, jest amerikanisch! Zrobiony na nasze zamówienie w waszym stanie Michigan.

- Co się stało z mercedesem?

- Zbyt blisko, zbyt niebezpiecznie - odparł Niemiec. - Jeżeli ma się zamiar wybudować fortecę wśród swoich ziomeków, nie należy angażować do tego własnych firm. To, co pan wkrótce zobaczy, jest wynikiem wspólnego wysiłku wielu krajów... ich co bardziej chciwych biznesmenów, handlowców, którzy, zapewniam pana, będą ukrywali swoich klientów i dostawy, aby uzyskać wielkie dochody. Oczywiście, kiedy zrealizuje się dostawy, zyski staną się obosieczną bronią. Dostawy muszą być kontynuowane i może znajdzie się w nich wymyślny towar. Tak toczy się ten świat. - Liczę na to - rzekł Lassiter z uśmiechem, odrzucając do tyłu kaptur, aby otrzeć pot zbierający się na linii włosów. Miał nieco poniżej stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i wąską twarz o ostrych rysach. Był w średnim wieku - na skroniach widniały już pasemka siwizny, a w kącikach osadzonych głęboko oczu kurze łapki. Ruszył w stronę pojazdu, trzymając się kilka metrów za swoim towarzyszem. Jednak ani przewodnik, ani kierowca nie widzieli, że trzyma rękę w kieszeni i co chwila wysuwa niepostrzeżenie dłoń, upuszczając w pokrytą śniegiem trawę metalową kapsułkę. Robił to przez ostatnią godzinę, od chwili gdy wysiedli z półciężarówka na alpejskiej drodze pomiędzy dwoma górskimi wioskami. Każda kapsułka wysyłała promieniowanie, które bez trudu wykrywał ręczny skaner. W miejscu, gdzie półciężarówka się zatrzymała, wyjął zza paska elektroniczny transponder i pozorując upadek, wsunął go między dwa kamienie. Od tej pory ślad był wyraźny. W tym miejscu w aparaturze naprowadzającej tych, którzy mieli za nim podążać, skończy się skala i rozlegną się ostre, przenikliwe sygnały. Człowiek zwany

Lassiterem był reprezentantem zawodu wysokiego ryzyka - głęboko zakonspirowanym, władającym wieloma językami agentem amerykańskiego wywiadu o prawdziwym nazwisku Harry Latham. W sanktuariach Agencji znano go pod pseudonimem Sting. Podróż w dół, do doliny, oszłomiła Stinga. Wspiął się już razem z ojcem i młodszym bratem, ale były to niewielkie, łatwe szczyty w Nowej Anglii. Tutaj w miarę stromego zjazdu następowała zmiana, wyraźna zmiana - inne kolory, inne zapachy, cieplejsze powiewy wiatru. Siedząc samotnie na tylnym siedzeniu dużego odkrytego samochodu opróżnił kieszenie z każdej trefnej kapsułki, przygotowując się do spodziewanej dokładnej rewizji - był czysty. Czuł również ogromną radość. Wieloletnie doświadczenie pozwalało mu panować nad podnieceniem, ale jego myśli ogarniał płomień. Dotarł tu! Odnalazł to miejsce! A mimo to, gdy wjechali już na płaski teren, nawet Harry Latham był zaskoczony tym, co zobaczył. Mniej więcej osiem kilometrów kwadratowych dna doliny było w istocie doskonale zamaskowaną bazą wojskową. Dachy parterowych budynków pomalowano tak, że zlewały się z otoczeniem, całe połączenie pól kryły się pod umieszczoną na wysokości pięciu metrów linową siatką, a otwarte przestrzenie między palami i linami przesłonięte były naciągniętymi, półprzezroczystymi zielonymi ekranami, tworzącymi korytarze prowadzące z jednego rejonu do drugiego. Szare motocykle z przyczepami pędziły przez te ukryte "uliczki", wioząc umundurowanych kierowców i pasażerów. Widać było również grupy mężczyzn i kobiet zajętych szkoleniem, zarówno praktycznym jak i teoretycznym - wykładowcy stali obok tablic przed zwartymi szeregami podopiecznych. Zajmujący się walką wręcz byli skąpo odziani - w spodenki, kobiety w spodenki i staniki, natomiast słuchający wykładów mieli na sobie ciemnozielone mundury polowe. Szczególne wrażenie wywarł na Harrym Lathamie ciągły ruch. W całej dolinie panował jakiś przerażający, pełen determinacji nastrój, takie jednak było właśnie Bractwo, a tu wszak właśnie powstało.

- Effektowne, nicht war, Herr Lassiter? - zawołał siedzący koło kierowcy Niemiec w średnim wieku, gdy dotarli do biegnącej dnem doliny drogi i znaleźli się w korytarzu z siatek i zielonych ekranów.

- Unglaublich - przytaknął Amerykanin. - Phantastisch!

- Zapomniałem, że pan płynnie posługuje się naszym językiem. - Moje serce znajduje się tutaj. Zawsze tu było.

- Natürlich, denn wir sind im Recht.

- Mehr als das, wir sind die Wahrheit. Hitler powiedział najświętszą prawdę.

- Tak, tak, oczywiście - przytaknął Niemiec, uśmiechając się i jednocześnie spoglądając obojętnie na Alexandra Lassitera, czyli Harry'ego Lathama ze Stockbridge w stanie Massachusetts. - Pojedziemy prosto do Oberbefehlshaber. Komendant ogromnie chce się z panem zobaczyć. Trzydzieści dwa miesiące wyczerpującej, konspiracyjnej pracy mają właśnie wydać owoce, pomyślał Latham. Niemal trzy lata tworzenia legendy, przeżywania nie swojej biografii, dobiegają właśnie końca. Nieprzerwane, doprowadzające do szalu, wyczerpujące podróże po całej Europie i Bliskim Wschodzie, zsynchronizowane co do godziny, nawet minuty, aby znaleźć się w konkretnym miejscu o określonym czasie, by inni mogli przysiąc na wszystkie świętości, że tam właśnie go widzieli. I szumowiny z całego świata, z którymi musiał mieć do czynienia - pozbawieni sumień handlarze bronią, nadzwyczajne zyski opłacane były morzem krwi, narkotykowi baronowie mordujący i okaleczający ludzi w różnym wieku, skorumpowani politycy, nawet mężowie stanu, co naginali i łamali prawo na korzyść manipulatorów - wszystko to się skończyło. Nie będzie już gorączkowego przekazywania gigantycznych sum przez szwajcarskie konta służące do prania brudnych pieniędzy, tajnych numerów kont i spektrograficznych podpisów, wszystkiego, co stanowi część śmiercionośnych rozgrywek międzynarodowego terroryzmu. Osobisty koszmar Harry'ego Lathama dobiegał końca.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił niemiecki towarzysz Lathama, gdy górski pojazd zatrzymał się przy drzwiach baraku osłoniętego zawieszoną nad nim zieloną siatką maskującą. - Tu jest o wiele cieplej i przyjemniej nicht wahr!

- Rzeczywiście - odparł Lassiter, podnosząc się z tylnego siedzenia. - Już się pocę pod tym ubraniem.
- Zdejmujemy wierzchnie okrycia, gdy będziemy już w środku, i wysuszymy pańską odzież zanim ruszymy w drogę powrotną. - Będę bardzo wdzięczny. Muszę na noc wrócić do Monachium.
- Tak, rozumiemy doskonale. Chodźmy do komendanta. Gdy dwaj mężczyźni podeszli do ciężkich drzwi z czarnego drewna ozdobionych umieszczoną na środku szkarłatną swastyką, nad ich głowami rozległ się gwałtowny szum. W górze, przez na w pół przezroczysty zielony ekran widać było długie białe skrzydła szybowca schodzącego spiralą w głąb doliny. - Kolejny cud, Herr Lassiter? Został odczepiony od samolotu holującego na wysokości mniej więcej czterech tysięcy metrów. Naturalnie pilot musi być wyjątkowo dobrze wyszkolony, bo wiatry tu są bardzo niebezpieczne i zupełnie nieprzewidywalne. Korzystamy z szybowca jedynie w niezwykle pilnych przypadkach.
- Widzę, w jaki sposób ląduje. A jak wystartuje?
- Ten sam wiatr, mein Herr., i odrzucane rakiety startowe. W latach trzydziestych, my, Niemcy, konstruowaliśmy najlepsze szybowce.
- Dlaczego nie korzystacie ze zwykłego małego samolotu?
- Bardzo łatwo można śledzić jego lot. Szybowiec może wystartować z pola czy łąki, natomiast samolot musi być zaopatrywany w paliwo, obsługiwany, przechodzić przeglądy, a często nawet posiadać plan lotu.
- Phantastisch - powtórzył Amerykanin. - I, oczywiście, szybowiec ma bardzo mało lub nie ma wcale części metalowych. Plastik i materiał pokrycia trudno wykryć radarem.
- Właśnie - przytaknął neonazista. - Nie jest to zupełnie niemożliwe, ale wyjątkowo trudne.
- Zadziwiające - mruknął Lassiter, gdy jego towarzysz otworzył drzwi prowadzące do kwatery głównej. - Wszystkim wam należy pogratulować. Wasze odizolowanie od świata dorównuje systemowi bezpieczeństwa, którym dysponujecie. Genialne! Udając obojętność, której wcale nie czuł, Latham rozejrzał się po wielkim pomieszczeniu. Znajdowało się w nim mnóstwo supernowoczesnego skomputeryzowanego sprzętu. Pod każdą ścianą stały konsole obsługiwane przez siedzących przed nimi operatorów w wykrochmalonych mundurach. Proporcjonalnie tyle samo mężczyzn co kobiet... Mężczyzn i kobiet... Było w tym jednak coś dziwnego, a przynajmniej zwracającego uwagę. Co takiego? I nagle zorientował się. Wszyscy co do jednego operatorzy byli młodzi, najczęściej po dwudziestce, przeważnie blondyni lub jasnowłosi, o jasnej, opalanej skórze. Tworzyli grupę o niezwykle atrakcyjnym wyglądzie, niczym modele i modelki zgromadzeni przez agencję reklamową po to, aby siedzieli przed wyprodukowanymi przez jej klienta komputerami, stwarzając wrażenie, że potencjalni nabywcy również będą tak się prezentowali, jeżeli kupią demonstrowany towar.
- Każde z nich jest ekspertem, panie Lassiter - za plecami Lathama odezwał się nieznajomy, monotony głos. Amerykanin odwrócił się gwałtownie. Przybysz, który bezgłośnie wyszedł z otwartych drzwi po lewej stronie, był mężczyzną mniej więcej w jego wieku; ubrany w maskujący mundur polowy, na głowie miał czapkę oficera Wehrmachtu. - General Ulrich von Schnabe, pański oddany gospodarz, mein Herr - dodał, wyciągając rękę. - Spotykamy legendę naszych czasów. Cóż za zaszczyt!
- Zbyt pan łaskawy, generale. Jestem tylko człowiekiem międzynarodowych interesów, ale o określonych ideologicznych zapatrywaniach, jeżeli pan woli.
- Niewątpliwie ukształtowanych na podstawie wieloletnich obserwacji?
- Niewątpliwie można tak to określić. Niektórzy twierdzą, że Afryka powstała jako pierwszy kontynent, a mimo to gdy pozostałe rozwinęły się w ciągu kilku tysięcy lat pozostała Czarnym Kontynentem. Jej północne wybrzeża są obecnie przystanią dla niższych ras.
- Dobrze powiedziane, panie Lassiter. A jednak zarobił pan miliony, niektórzy twierdzą nawet, że miliardy, obsługując ludzi o ciemnej i czarnej skórze.
- A dlaczego nie? Czyż człowiek taki jak ja może czerpać z czegoś większą satysfakcję niż z faktu, że pomaga im mordować się nawzajem?

- Wunderbar! Pięknie i głęboko powiedziane... Przyglądał się pan tej grupie, obserwowałem pana. Widzi pan na własne oczy, że wszyscy oni, co do jednego, są aryjskiej krwi. Czystej, aryjskiej krwi. Podobnie jak wszyscy w całej dolinie. Zostali bardzo starannie wybrani. Ich pochodzenie jest nienagane, a poświęcenie całkowite. - Sen o "Lebensborn" - rzekł Amerykanin cicho, z głęboką czcią. - Hodowlane fermy, a właściwie majątki, jeśli się nie myłę, gdzie najlepsi oficerowie SS zapładniali silne teutońskie kobiety... - Prowadzone pod kierunkiem Eichmanna badania wykazały, że kobiety z północnych Niemiec odznaczają się nie tylko najdoskonalszą strukturą kostną w całej Europie i wyjątkową siłą, ale również posłuszeństwem wobec mężczyzn - przerwał mu generał.

- Prawdziwie wyższa rasa - stwierdził z podziwem Lassiter. Oby ten sen się ziścił.

- W dużym stopniu to już nastąpiło - rzekł cicho von Schnabe. - Jesteśmy przekonani, że bardzo wielu, jeżeli nie większość mieszkańców doliny to dzieci narodzone z tych związków. Wykradliśmy listy z Czerwonego Krzyża w Genewie i całe lata poświęciliśmy na odnalezienie rodzin, do których wysłano dzieci z "Lebensborn". One, i inne, które zwerbujemy w całej Europie, są Sonnenkinder, Dziećmi Słońca. Spadkobiercami Reichu!

- Niewiarygodne.

- Dotarliśmy wszędzie, i tam, gdzie się zwróciliśmy, wybrani przyłączali się do nas, ponieważ okoliczności pozostają te same. Analogicznie jak w latach dwudziestych, gdy pęta traktatów wersalskiego i lokarneńskiego doprowadziły do upadku Republiki Weimarskiej i napływu do całych Niemiec niepożądanych elementów, podobnie i teraz obalenie Muru Berlińskiego doprowadziło do chaosu. Jesteśmy narodem objętym płomieniem, nasze granice przekraczają hordy skundlonych podludzi, zabierających nam pracę, zatruwających naszą moralność, czyniących kurwami nasze kobiety, ponieważ tam skąd przychodzą, jest to normalne. Ale uważam ten stan rzeczy za całkowicie nie do przyjęcia i musimy go przerwać! Oczywiście zgadza się pan ze mną?

- A co innego by mnie tu sprowadzało, panie generale? Przez banki w Algierze przekazałem z Marsylii na wasze potrzeby miliony. Moim pseudonimem był FrereBrüider. Mam nadzieję, że zna go pan.

- I dlatego przyjmuję pana z otwartymi ramionami, podobnie jak całe Bruderschaft.

- Doprowadźmy więc do końca sprawę mojego ostatniego podarunku, ponieważ nie będzie mnie pan już więcej potrzebował... Czterdzieści sześć pocisków manewrujących uzyskanych z arsenału Saddama Husajna, ukrytych przez jego korpus oficerski, wątpiący, czy wodzowi uda się przetrwać. Ich głowice bojowe zdolne są do przeniesienia potężnych ładunków wybuchowych oraz środków chemicznych: gazów bojowych, które są w stanie wyludnić całe dzielnice miast. Oczywiście, głowice i wyrzutnie również będą dostarczone. Zapłaciłem za nie dwadzieścia pięć milionów dolarów amerykańskich. Niech mi pan zapłaci tyle, ile może, i jeśli będzie to mniej, przyjmę moją stratę z dumą.

- Rzeczywiście jest pan człowiekiem wielkiego honoru, mein Herr. Nagle drzwi frontowe otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w idealnie białym kombinezonie. Rozejrzał się wokół, zobaczył von Schnabego, podszedł do niego i wręczył generałowi zapieczętowaną brązową kopertę.

- Jest - oznajmił.

- Danke - rzekł von Schnabe, otworzył kopertę i wyjął z niej małą plastikową torebkę. - Jest pan doskonałym Schauspieler, dobrym aktorem, Herr Lassiter, ale mam wrażenie, że coś pan zgubił. Nasz pilot właśnie mi to przyniósł. Generał wytrząsnął na dłoń zawartość torebki. Był to transponder, który Harry Latham wsunął między kamienie przy górskiej drodze, parę tysięcy metrów wyżej. Polowanie dobiegło końca. Amerykanin szybko podniósł dłoń do prawego ucha.

- Powstrzymaj go! - wrzasnął von Schnabe. Pilot schwycił Lathama za rękę i wykręcił mu ją do tyłu. - Nie będzie dla ciebie cyjanku, Harry Lathamie ze Stockbridge w stanie Massachusetts. Mamy wobec pana pewne plany. Cudowne plany.

* * *

ROZDZIAŁ 1

Słońce wczesnego poranka oślepiało, zmuszając starego człowieka czolgającego się przez splecione zarośla do częstego mrugania, gdy wycierał oczy grzbietem drżącej dłoni. Dotarł do skraju małego cypla na szczycie wzgórza, "wyniosłości", jak je nazywali wiele lat temu - lata te już wypaliły się w jego pamięci. Trawiasty szczyt dominował nad elegancką posiadłością w dolinie Loary. Pokryty kamiennymi płytami taras i prowadząca do niego wśród kwiatów ścieżka z tłuczonej cegły znajdowały się niecałe trzysta metrów niżej. W lewej ręce stary człowiek zaciskał zawieszony na napiętym pasie karabin o dokładnie ustawionym celowniku. Broń była gotowa do strzału. Wkrótce jego cel - mężczyzna starszy od niego pojawi się w przecięciu linii. Potwór ubrany w obszerny szlafrok będzie odbywał poranną przechadzkę na taras, gdzie czeka na niego kawa zaprawiona najlepszą brandy. Ale dzisiaj jej nie wypije. Umrze, padając wśród kwiatów, i będzie to ironia losu - śmierć wcielonego zła wśród panującego wokół piękna. Siedemdziesięcioośmioletni Jean Pierre Jodelle, niegdyś dynamiczny regionalny przywódca Resistance, czekał pięćdziesiąt lat, aby spełnić obietnicę, przysięgę, którą złożył wobec samego siebie i wobec Boga. Nie udało mu się z prawnikami i na salach sądowych, więcej, został tam obrażony, wyszydzony przez wszystkich, usłyszał, że powinien opowiadać swoje idiotyczne bajki w domu wariatów, gdzie jest jego miejsce! Wielki generał Monluc był wszak prawdziwym bohaterem Francji, bliskim współpracownikiem wielkiego Charlesa Andre de Gaulle'a, najwybitniejszego ze wszystkich żołnierzy-mężów stanu. Przywódca Wolnej Francji przez całą wojnę utrzymywał stałą konspiracyjną łączność radiową z Monlukiem, którego w razie zdekonspirowania czekały tortury i pluton egzekucyjny. Wszystko to merde Monluc był sprzedawczykiem, tchórzem i zdrajcą! Karmił aroganckiego de Gaulle'a czczymi pochlebstwami, dostarczał mu nic nie znaczące dane wywiadowcze i bogacił się dzięki hitlerowskiemu złotu i dziełom sztuki wartym miliony. A potem le grand Charles w euforycznej mowie pochwalnej ogłosił Monluca un bel ami de guerre, człowiekiem, któremu należy oddawać cześć. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, tylko władzę nad całą Francją. Merde! Jak ten de Gaulle w niczym się nie orientował! Monluc kazał zgładzić żonę Jodelle'a i jego pierworodnego syna, pięcioletnie dziecko. Drugi syn, sześciomiesięczne niemowlę, został oszczędzony, być może dzięki przewrotnemu rozumowaniu niemieckiego oficera, który powiedział: "Nie jest Żydem, może ktoś go znajdzie". I ktoś rzeczywiście go znalazł, towarzysz z Ruchu Oporu, aktor Comedie Francaise. Natknął się na wrzeszczące niemowlę wśród ruin zniszczonego domu na przedmieściach Barbizon, gdzie przybył na tajne spotkanie następnego ranka. Zaniósł dziecko swojej żonie, słynnej aktorce uwielbianej przez Niemców - lecz bez wzajemności z jej strony, ponieważ jej występy odbywały się pod przymusem, nie zaś dobrowolnie. A gdy wojna się skończyła, Jodelle był szkieletem, widmem, człowiekiem nieodwracalnie zmienionym fizycznie i umysłowo. Wiedział o tym dobrze. Trzy lata w obozie koncentracyjnym, gdzie układał w stosy ciała zagazowanych Żydów, Cyganów i innych "niepożądanych elementów", doprowadziły go niemal do obłędu, a nerwowe tiki, ciągle mruganie oczyma, ataki spazmatycznych, gardłowych krzyków świadczyły o głębokim urazie psychicznym. Nigdy nie wyjawiał swojej tożsamości przed synem ani wychowującymi go "rodzicami". Błądząc jednak po paryskich zaułkach i często zmieniając nazwisko, Jodelle obserwował z oddali dziecko, które osiągnęło wiek dojrzały i stało się jednym z najpopularniejszych francuskich aktorów. To rozłączenie, ten ból nie do zniesienia spowodował Monluc, potwór, który teraz pojawił się w kręgu teleskopowego celownika Jodelle'a. Jeszcze kilka sekund i Jean Pierre spełni złożoną Bogu przysięgę. Nagle w powietrzu rozległ się głośny trzask i plecy Jodelle'a przeszył tak straszliwy ból, że musiał wypuścić broń. Odwrócił się gwałtownie i oszołomiony spojrzał na stojących za nim dwóch mężczyzn w koszulach z krótkimi rękawami. Jeden z nich trzymał w ręku bicz.

- Z przyjemnością bym cię zabił, stary idioto, ale twoje zniknięcie spowodowałoby tylko komplikacje - oznajmił ten z biczem. - Nigdy nie przestajesz kłapać swoją zachlaną gębą.

Lepiej wracaj do Paryża, do swojej bandy pijanych włóczęgów. Wynoś się stąd, bo rozwalimy ci łeb!

- Jak?... Skąd wiecie?...

- Jesteś przypadkiem psychiatrycznym, Jodelle, czy jak się tam w tym miesiącu nazywaś - powiedział drugi strażnik. Sądzisz, że nie obserwowaliśmy cię przez ostatnie dwa dni, nie spostrzegliśmy gałęzi, które połamałeś przychodząc tu z karabinem? Słyszałem, że dawniej byłeś o wiele lepszy.

- W takim razie zabijcie mnie, skurwysyny! Wolę raczej umrzeć właśnie tutaj, wiedząc, że byłem tak blisko, niż żyć dalej! - Och nie, generał by nas nie pochwalił - dodał strażnik z biczem. - Mogłeś powiedzieć innym, co zamierzasz, a nie chcemy, żeby ludzie zaczęli szukać ciebie albo twojego ciała na terenie tej posiadłości. Jesteś wariatem, Jodelle, wszyscy o tym wiedzą. Sąd orzekł to wyraźnie.

- Są skorumpowani!

- A ty jesteś paranoikiem!

- Ale swoje wiem!

- Jesteś również pijaczkiem, dobrze znanym w knajpach na rive gauche, z których cię wyrzucano. Zapij się i niech cię diabli wezmą, Jodelle, ale wynoś się stąd, zanim sam cię do nich wyślę. Wstawaj! I zwiewaj tak szybko, jak cię te twoje patyki poniosą!

Kurtyna opadła po ostatniej scenie sztuki, francuskiego przekładu Koriolana Szekspira, znów granej przez Jean Pierre'a Villiera, pięćdziesięcioletniego aktora, króla scen paryskich i francuskiego ekranu, a także nominowanego do Nagrody Akademii Amerykańskiej za swój pierwszy film w Stanach Zjednoczonych. Kurtyna podniosła się i opadła, a potem podniosła znowu, gdy potężny, barczysty Villier dziękował publiczności uśmiechając się i bijąc jej brawo. I właśnie w tej chwili wybuchło szaleństwo. Z tyłu widowni na środkowe przejście pomiędzy fotelami niepewnym krokiem wyszedł stary człowiek w obdartym, nędznym ubraniu, krzycząc ze wszystkich sił ochryplym głosem. Nagle wyciągnął karabin z trzymających się na szelkach luźnych spodni. Widzowie, którzy dostrzegli broń, wpadli w panikę, która ogarniała kolejne rzędy foteli; mężczyźni odsuwali kobiety z linii ognia, a przerażone głosy odbijały się echem o ściany widowni. Villier ruszył szybko do przodu, odsuwając aktorów i pracowników technicznych wychodzących na scenę.

- Rozgniewanego krytyka mogę zrozumieć, monsieur! - ryknął do zbliżającego się ku scenie starca głosem, którym mógł zapanować nad każdym tłumem. - Ale to jest szaleństwo! Niech pan odłoży broń i porozmawiajmy!

- Nie mamy już o czym mówić, mój synu! Mój jedyny synu! Zawiodłem ciebie i twoją matkę. Jestem do niczego, jestem ni czym! Chcę jedynie, żebyś wiedział, że próbowałem... Kocham cię, mój jedyny synu, próbowałem... ale zawiodłem! Mówiąc te słowa, starzec odwrócił karabin i włożył lufę do ust, prawą ręką szukając spustu. Przycisnął go i wtedy tył jego głowy eksplodował, rozbryzgując krew i okruchy kości na wszystkich, którzy stali w pobliżu.

- Kim u diabła był ten człowiek? - zawołał wstrząśnięty Jean Pierre Villier siedząc razem z rodzicami przy stoliku w garderobie. - Najpierw mówił zupełnie wariactwa, a potem się zabił. Dlaczego? Państwo Villier, oboje zbliżający się do osiemdziesiątki, popatrzyli na siebie i skinęli głowami.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła Catherine Villier, masując napięty kark mężczyzny, którego wychowywała jak własnego syna. - Być może w obecności twojej żony.

- To nie jest konieczne - przerwał ojciec. - Może załatwić tę sprawę tak, jak będzie uważał za słuszne.

- Masz rację. Decyzja należy do niego.

- O czym wy właściwie mówicie?

- Utrzymywaliśmy wiele rzeczy przed tobą w tajemnicy, synu, takich, które dawniej mogły sprowadzić na ciebie nieszczęście...

- Nieszczęście?

- Nie było w tym żadnej twojej winy, Jean Pierre. Żyliśmy w okupowanym kraju, wśród nas byli wrogowie... bez przerwy tropili ludzi, którzy w tajemnicy, zbrojnie stawiali opór zwycięzcom, w wielu wypadkach torturowali i więzili całe rodziny podejrzewane o działalność konspiracyjną.
- Mówisz oczywiście o Resistance - przerwał Villier.
- Oczywiście - przytaknął ojciec.
- Powiedziałeś mi, że oboje należeliście do Ruchu Oporu, chociaż nigdy nie wdawałeś się w szczegóły waszego udziału.
- Woleliśmy o wszystkim zapomnieć - stwierdziła matka. - To były koszmarne czasy - tak wiele osób, które były bite, napiętnowane jako kolaboracjoniści, chroniło swoich najbliższych, zwłaszcza dzieci.
- Ale ten mężczyzna, dziś wieczorem, ten zwariowany włóczęga! Przecież wyraźnie nazwał mnie swoim synem! Rozumiem, że uwielbienie może przybierać przesadne formy, coś takiego wiąże się z moim zawodem, choć może to głupota... ale żeby zabijać się na moich oczach? Szaleństwo!
- On rzeczywiście był szalony, ale spowodowały to jego przeżycia - oznajmiła Catherine.
- Znalście go?
- Bardzo dobrze - odparł stary aktor, Julian Villier. - Nazywał się Jean Pierre Jodelle i kiedyś był obiecującym młodym barytonem operowym. Po wojnie oboje, twoja matka i ja, rozpaczliwie staraliśmy się go odnaleźć. Nie natrafiiliśmy na żaden ślad. Ponieważ wiedzieliśmy, że został złapany przez Niemców i zesłany do obozu koncentracyjnego, doszliśmy do wniosku, że nie żyje, a jego śmierci, tak jak tysięcy innych, w ogóle nie zarejestrowano.
- Dlaczego staraliście się go odnaleźć? Kim był dla was?
- Kobieta, którą JeanPierre znalazł jako swoją matkę, uklękła przy jego fotelu. Jej twarz zachowała subtelne rysy, a błękitnozielone oczy spoglądały uparcie spod grzywy bujnych, miękkich siwych włosów.
- Nie tylko dla nas - powiedziała cicho. - Również dla ciebie. Był twoim prawdziwym ojcem.
- O mój Boże!... W takim razie wy...
- Twoją prawdziwą matką - przerwał mu spokojnie stary Villier - była aktorka z Comedie...
- Cudowny talent - wtrąciła Catherine. - W tych trudnych latach przestawała być naiwnym dziewczęciem i przekształcała się w kobietę, a okupacja zamieniła ten proces w prawdziwy koszmar. Była kochaną dziewczyną, uważałam ją za młodszą siostrę.
- Proszę! - zawołał JeanPierre i zerwał się z fotela, gdy kobieta, którą zawsze uważał za swoją matkę podniosła się i stanęła obok męża. - Wszystko dzieje się tak szybko, jestem kompletnie oszołomiony... nie mogę myśleć!
- Czasami lepiej jest przez jakiś czas nie myśleć, mój synu powiedział Julian Villier. - Poczekać, aż umysł skłonny będzie do akceptacji tego, co usłyszał.
- Wiele lat temu powtarzałeś mi pewne zdanie - JeanPierre, uśmiechając się ciepło, lecz ze smutkiem, zwrócił się do Juliana kiedy miałem kłopoty z jakąś sceną czy monologiem, kiedy nie trafiało do mnie ich znaczenie. Mówiłeś wtedy: "Po prostu czytaj te słowa raz za razem, nie wysilając się aż tak bardzo. Interpretacja przyjdzie sama."
- To była dobra rada - stwierdziła Catherine.
- Zawsze byłem lepszym nauczycielem niż aktorem.
- Zgadzam się - przytaknął cicho JeanPierre.
- Słucham? Przyznajesz mi rację?
- Chciałem tylko powiedzieć, ojczu, że kiedy byłeś na scenie...
- Jakaś część twojej uwagi była zwrócona na innych - wtrąciła się Catherine, spoglądając porozumiewawczo na syna... który nie był jej synem.
- Ach, znowu spiskujecie, jak przez te wszystkie lata! Dwie wielkie gwiazdy starają się być wyrozumiałe dla mniej utalentowanego kolegi... Dobrze! To już przeszłość... Przez kilka chwil

przestaliśmy wszyscy myśleć o dzisiejszym wieczorze, więc może teraz będziemy w stanie porozmawiać. Zapadła cisza.

- Na litość boską, powiedzcie mi, co się stało! - wybuchnął JeanPierre.

Gdy zadawał to pytanie, rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi garderoby i po chwili pojawił się w nich nocny portier.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale pomyślałem, że powinniście państwo wiedzieć. Przy tylnych drzwiach ciągle stoją dziennikarze. Nie chcą uwierzyć ani policji, ani mnie. Powiedzieliśmy, że wysłicie państwo wcześniej frontowymi drzwiami, ale nie udało się nam ich przekonać. Przecież nie wpuścimy ich do środka.

- Zostaniemy tu jeszcze, a jeżeli trzeba będzie, nawet całą noc... przynajmniej ja. W garderobie obok jest leżanka i zdążyłem już zadzwonić do mojej żony. Słyszała o wszystkim w dzienniku.

- Doskonale, proszę pana... Pani Villier, panie Villier... Chociaż zdarzył się ten straszliwy wypadek, ogromnie się cieszę, że znowu państwa widzę. Zawsze wspominamy państwa z ogromnym przywiązaniem.

- Dziękuję, Charlesie - powiedziała Catherine. - Dobrze wyglądasz, przyjacielu.

- Wyglądałbym jeszcze lepiej, gdyby wróciła pani na scenę.

Portier uklonił się i zamknął drzwi.

- Opowiedz mi, ojcze, całą historię.

- Wszyscy należeliśmy do Ruchu Oporu - zaczął Julian Villier, siadając w niewielkim podwójnym foteliku z drugiej strony pokoju. - Wszyscy artyści wystąpili przeciwko wrogowi, który mógł zniszczyć sztukę. Dysponowaliśmy pewnymi możliwościami, aby służyć naszej sprawie. Muzycy przekazywali zakodowane informacje wprowadzając frazy, których nie było w oryginalnych nutach, graficy wykonywali wymagane przez Niemców afisze, umiejętnie wprowadzając kolory i znaki, które przekazywały określone wiadomości, A my, w teatrze, bez przerwy zmienialiśmy teksty, zwłaszcza w powtórkach i dobrze znanych sztukach, w ten sposób bezpośrednio przekazując instrukcje sabotażystom...

- Niekiedy było to nawet zabawne - przerwała Catherine, siadając przy mężu i ujmując go za rękę. - Powiedzmy, że była kwestia: "Spotkam się z nią na stacji metra na Montparnasse". Zmienialiśmy ją na: "Spotkam się z nią na Dworcu Wschodnim... powinna przyjść o jedenastej". Sztuka dobiegała końca, kurtyna opadała i wszyscy Niemcy w swoich wspaniałych mundurach bili brawo. A tymczasem grupa Ruchu Oporu szybko opuszczała teatr, żeby znaleźć się na Gare de l'Est na godzinę przed północą i dokonać tam sabotażu.

- Tak, tak - przerwał ze zniecierpliwieniem JeanPierre. Słyszałem już te historie, ale nie o nie teraz pytam. Zdaję sobie sprawę, że jest to dla was równie trudne jak dla mnie, ale proszę, powiedzcie mi o wszystkim, o czym powinienem wiedzieć.

Siwowłosa para popatrzyła na siebie z napięciem. Catherine skinęła wolno głową i wzięli się za ręce tak mocno, że aż na grzbietach dłoni wystąpiły żyły. Julian odezwał się:

- Jodelle'a zdemaskowano. Wydał go młody łącznik, który nie wytrzymał tortur. Pewnej nocy gestapo okrążyło jego dom i czekało na jego powrót, ale nie mógł się pojawić, bo był wówczas w Hawrze, nawiązywał kontakt z brytyjskimi i amerykańskimi agentami zajmującymi się planowaniem wczesnych etapów inwazji. O świcie dowódca oddziału gestapo podobno wpadł we wściekłość. Wdarł się ze swoimi ludźmi do domu i zabił twoją matkę i starszego brata, który miał pięć lat. Jodelle'a aresztowali kilka godzin później, a nam udało się go poinformować, że przeżyłeś.

- O mój Boże! - Słynny aktor pobladł i z zamkniętymi oczyma opadł na fotel. - Potwory! Ale poczekaj! Co powiedziałeś? Dowódca oddziału gestapo podobno... P o d o b n o? To nie jest pewne?! - Masz dobry refleks, JeanPierre - zauważyła Catherine. Uważnie słuchasz i dlatego jesteś wielkim aktorem.

- Do diabła z tym, mammo! Co to ma znaczyć, ojcze?

- Niemcy nie mieli zwyczaju zabijać rodzin ludzi, których uważali za członków Ruchu Oporu. Mieli bardziej praktyczne podejście: wydobyć z nich torturami informacje albo wykorzystać

je jako przynętę. Poza tym zawsze były roboty przymusowe, oficerskie burdele dla kobiet, dokąd z całą pewnością wysłaliby twoją prawdziwą matkę.

- W takim razie dlaczego ich zabito? Nie, najpierw moja historia. Dlaczego przeżyłem?

- Pojechałem na spotkanie, które miało odbyć się o świcie w lasach Barbizon. Mijałem wasz dom, zobaczyłem powybijane szyby, wylamane drzwi i usłyszałem płacz niemowlaka. Twój płacz. Wszystko było jasne, również to, że nie będzie żadnego spotkania. Zawiozłem cię do domu, przemykając się bocznymi drogami do Paryża.

- Chyba trochę za późno, żeby ci dziękować. Może wróćmy do poprzedniej sprawy... Dlaczego zastrzelono moją matkę i brata?

- A teraz pomyliłeś słowo, synu - rzekł Villier.

- Co?

- Byłeś tak wstrząśnięty, że nie słuchałeś równie uważnie, jak przed chwilą, kiedy opisywałem wydarzenia tamtej nocy.

- Przestań, tato! Powiedz, o co ci chodzi?

- Ja powiedziałem, że zostali zabici, ty, że zastrzeleni.

- Nie rozumiem...

- Zanim Jodelle został schwytyany przez Niemców, jednym z jego zapewniających legalne dokumenty zajęć była praca posłańca w Ministerstwie Informacji. Hitlerowcy nigdy nie mogli polapać się w naszych arrondissements, a jeszcze mniej w naszych krótkich, krętych uliczkach. Nigdy nie dowiedzieliśmy się szczegółów, bo chociaż Jodelle miał imponujący głos, zupełnie nie chciał "śpiewać". Innymi słowy, nie powtarzał plotek, które przy najmniejszej okazji zaczynały szerzyć się po Paryżu jak pożar lasu - zmyślenia, półprawdy i prawdy. Żyliśmy w mieście, którym owdładnęły strach i podejrzania...

- Rozumiem, ojcze... - przerwał mu coraz bardziej poirytowany JeanPierre. - Proszę, żebyś mi jednak wyjaśnił to, czego nie rozumiem. Dlaczego te szczegóły, których nigdy się nie dowiedziałeś, były takie ważne i w jaki sposób doprowadziły do zabicia mojej rodziny?

- Jodelle przekazał kilku z nas ciekawe informacje na temat człowieka, który stanowił legendę Resistance, a jego tożsamość była najpilniej strzeżoną tajemnicą naszego podziemia. Otóż Jodelle twierdził, że dowiedział się, kim w rzeczywistości jest ten człowiek. A jeżeli jego wiadomości były prawdziwe, tenże człowiek, ta "legenda", wcale nie był wielkim bohaterem, ale zdrajcą.

- Kto to taki? - naciskał JeanPierre.

- Nigdy nam nie wyjawiał tej tajemnicy. Powiedział tylko, że ten człowiek był generałem w naszej armii, a takich mieliśmy na kopy. Uważał, że jeżeli ma rację i któryś z nas zdradziłby to nazwisko, Niemcy zastrzeliliby nas wszystkich. Natomiast gdyby się pomylił i ktoś wyraziłby się o tym człowieku w zniesławiający sposób, nasze skrzydło zostałoby uznane za niepewne i stracilibyśmy zaufanie.

- Co więc miał zamiar z tym zrobić?

- Chciał zdobyć niepodważalne dowody i zlikwidować tego człowieka osobiście. Przysięgał, że ma taką możliwość. Zakładamy, i do dziś dnia sądzimy, że słusznie, iż kimkolwiek był ten zdrajca, w jakiś sposób dowiedział się o podejrzaniach Jodelle'a i wydał rozkaz zabicia jego razem z całą rodziną.

- Tylko tyle? Nic więcej?

- Spróbuj wyobrazić sobie tamte czasy, synu - odezwała się Catherine Villier. - Nieodpowiednie słowo, nawet wrogie spojrzenie czy gest mogły doprowadzić do natychmiastowego aresztowania, uwięzienia, a nawet do deportacji. Okupanci, a zwłaszcza ambitni młodszy oficerowie, fanatycznie podejrzewali wszystkich, we wszystkim coś wietrzyli. Każdy czyn Resistance podsyczał ich nienawiść. Po prostu nikt nie był bezpieczny. Nawet Kafka nie wymyśliłby takiego piekła.

- I nigdy go już nie zobaczyliście, aż do dzisiejszego wieczoru?

- Nawet gdybyśmy go widzieli, nie poznalibyśmy go - odpowiedział Julian Villier. Miałem trudności z identyfikacją ciała. Po tych wszystkich latach stał się, jak określają Anglicy

"strachem na wróble". Skurczył się, ważył o połowę mniej niż poprzednio, a jego twarz przypominała jakąś zmumifikowaną wersję zapamiętanych przeze mnie rysów. Pomarszczona skóra naciągnięta na kościach.

- Być może to jednak nie był on, ojczu?

- Nie, na pewno był to Jodelle. Oczy miał szeroko otwarte po śmierci i wciąż były takie niebieskie, tak niezwykle niebieskie, jak bezchmurne niebo nad Morzem Śródziemnym... Jak twoje, JeanPierre.

- JeanPierre? - powiedział cicho aktor, - Nadałeś mi jego imię?

- Prawdę mówiąc, również i twojego brata - oznajmiła łagodnie Catherine. - Tamtemu biednemu dziecku było już na nic, a my uważaliśmy, że powinienes je nosić ze względu na Jodelle'a...

- Ta wasza troska...

- Wiedzieliśmy, że nigdy nie będziemy mogli zastąpić ci twoich prawdziwych rodziców - mówiła dalej szybko, na wpół błagalnym tonem. - Ale staraliśmy się najlepiej jak mogliśmy, kochanie. W naszych testamentach wyjaśniliśmy wszystko, co się stało, ale do dzisiejszego wieczoru nie mogliśmy zdobyć się na odwagę, aby ci powiedzieć prawdę. Tak bardzo cię kochamy.

- Na litość boską, mamu, przestań albo się rozplaczę. Któż na tym świecie mógłby pragnąć lepszych rodziców od was? Nigdy nie będę wiedział, co zostało mi odebrane, ale na zawsze to właśnie wy pozostaniecie moimi rodzicami i dobrze o tym wiecie.

Dzwonek telefonu sprawił, że wszyscy drgnęli.

- Prasa nie ma tego numeru, prawda? - zapytał Julian.

- O ile wiem, nie - odparł JeanPierre, odwracając się do telefonu stojącego na toalecie. - Tylko wy, Giselle i mój agent znają ten telefon. Nie podałem go nawet mojemu adwokatowi ani, Boże uchovej, właścicielom teatru... Tak? - burknął gardłowym głosem do słuchawki.

- JeanPierre? - usłyszał głos swojej żony Giselle.

- Oczywiście, kochanie.

- Nie byłam pewna...

- Ja też, i dlatego zmieniłem głos. Matka i ojciec są tutaj... wrócę do domu, gdy tylko ci z prasy sobie pójdą.

- Sądzę, że powinienes znaleźć sposób, aby wrócić zaraz.

- Co?

- Przyszedł pewien człowiek, żeby się z tobą zobaczyć...

- O tej porze? Kto taki?

- To Amerykanin i mówi, że musi z tobą porozmawiać na temat dzisiejszego wieczoru.

- Dzisiejszego wieczoru? Tego, co się stało w teatrze?

- Tak, kochanie.

- Może nie powinnaś go była wpuszczać, Giselle.

- Chyba nie miałam wyboru. Jest z nim Henri Bressard.

- Henri? Dlaczego ta sprawa zainteresowała Quai d'Orsay?

- Nasz przyjaciel Henri uśmiecha się, roztacza swój dyplomatyczny czar i nie powie mi nic, dopóki nie przyjdiesz... Mam rację, Henri?

- Niestety tak, najdroższa Giselle - Villier usłyszał cichy głos Bressarda. - Sam wiem niewiele albo nawet nic.

- Czy go słyszałeś, kochanie?

- Dosyć wyraźnie. A co z Amerykaninem? Czy to jakiś nudziarz? Odpowiedz tylko tak lub nie.

- Wręcz przeciwnie. Chociaż jak określilibyście to wy, aktorzy, w jego oczach goreje płomień.

- A co z matką i ojcem? Czy mają ze mną przyjechać? Giselle Villier powtórzyła pytanie mężczyznom, którzy znajdowali się z nią w pokoju.

- Później - odpowiedział człowiek z Quai d'Orsay wystarczająco głośno, aby można go było usłyszeć przez telefon. - Porozmawiamy z nimi później, JeanPierre - powtórzył jeszcze donośniej. - Nie dzisiejszej nocy.

Aktor i jego rodzice wyszli z teatru frontowymi drzwiami, gdy nocny portier poinformował przedstawicieli prasy, że Villier wkrótce pojawi się w drzwiach dla personelu.

- Poinformuj nas, o co chodziło - poprosił Julian, gdy oboje pożegnali się już z synem i podeszli do pierwszej z dwóch taksówek wezwanych telefonicznie z garderoby. JeanPierre wsiadł do drugiej i podał kierowcy swój adres przy Parc Monceau. Prezentacje były krótkie, ale i niepokojące. Pierwszy sekretarz Ministerstwa Spraw Zagranicznych Republiki Francuskiej i od ponad dziesięciu lat bliski przyjaciel Villiera młodszego, spokojnie przedstawił swojego amerykańskiego towarzysza, wysokiego mężczyznę w wieku około trzydziestu pięciu lat, o ciemnobrązowych włosach i ostrych rysach twarzy. Oczy nieznanemu pełne były napięcia, kontrastującego z łagodnym uśmiechem.

- JeanPierre, poznaj Drew Lathama. Jest specjalnym funkcjonariuszem komórki wywiadu Stanów Zjednoczonych znanej jedynie pod nazwą Wydziału Operacji Konsularnych. Według naszych danych, znajduje się ona pod połączonym zarządem Departamentu Stanu i Central Intelligence Agency... Mój Boże, jakim cudem te instytucje mogą znaleźć wspólny język? To przekracza moje pojęcie!

- Czasami rzeczywiście nie jest łatwo, panie sekretarzu - stwierdził uprzejmie Latham. Mówił po francusku niepewnie, wahając się przy niektórych słowach. - Ale jakoś dajemy sobie radę. - Może mówmy raczej po angielsku - zaproponowała Giselle Villier. Wszyscy władamy nim biegle.

- Bardzo dziękuję - odparł Amerykanin już po angielsku. Nie chciałbym, aby zaistniały jakieś językowe nieporozumienia.

- Nie zaistnieją - rzekł Villier - ale proszę wziąć pod uwagę, że my... że ja... muszę zrozumieć, dlaczego przybył pan tu dziś w nocy, tej strasznej nocy. Tego wieczora dowiedziałem się o sprawach, których dotąd nie znałem... czy chce pan coś uzupełnić, monsieur?

- JeanPierre - wtrąciła się Giselle.

- O czym ty mówisz?

- Proszę mi odpowiedzieć - rzekł Villier wbijając wzrok w Amerykanina,

- Może tak, może nie - odparł oficer wywiadu. - Wiem, że rozmawiał pan z rodzicami, ale nie wiem o czym.

- Oczywiście. Ale może byłby pan w stanie wysunąć jakieś przypuszczenia co do tematów, które poruszaliśmy?

- Mówiąc szczerze, tak, chociaż nie bardzo się orientuję, co panu powiedziano już wcześniej. Wydarzenia dzisiejszego wieczoru wydają się świadczyć, że nic pan nie wiedział o JeanPierre Jodelle'u.

- To prawda - przytaknął aktor.

- Surete, która również o niczym nie wie, przesłuchiwała pana dokładnie i jest przekonana, że mówi pan prawdę.

- A dlaczego miałoby być inaczej, monsieur Latham? Mówiłem prawdę.

- A czy teraz jest jeszcze jakaś inna prawda, panie Villier?

- Owszem.

- Czy możecie obaj przestać mówić zagadkami? - zawołała żona aktora. - Co to za prawda?

- Uspokój się, Giselle. Nadajemy na tej samej długości fali, jak mówią Amerykanie.

- Czy powinniśmy przerwać w tym miejscu? - zapytał funkcjonariusz Wydziału Operacji Konsularnych. - Może wolalby pan rozmawiać na osobności?

- Nie, oczywiście że nie. Moja żona ma prawo być poinformowana o wszystkim, a Henri jest nie tylko jednym z naszych najbliższych przyjaciół, ale również człowiekiem, który został przeszkolony, jak trzymać język za zębami.

- Może usiądźmy - zaproponowała Giselle stanowczym tonem. - Wszystko jest zbyt skomplikowane, by wysłuchiwać tego na stojąco. - Gdy zajęli miejsca i usiadła przy mężu, dodała. Proszę kontynuować, monsieur Latham, i błagam pana, żeby wyrażał się pan jaśniej.
- Bardzo chciałbym wiedzieć - wtrącił się Bressard, urzędnik państwowy w każdym calu - kim był ów Jodelle i dlaczego JeanPierre powinien coś o nim wiedzieć?
- Wybacz mi, Henri - przerwał mu aktor. - Nie chcę twierdzić, że mi to w czymś przeszkadza, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego monsieur Latham uznał za stosowne dotrzeć do mnie za twoim pośrednictwem.
- Wiedziałem, że jesteście przyjaciółmi - Amerykanin odpowiedział zamiast Bressarda. - Prawdę mówiąc, kilka tygodni temu, gdy wspomniałem Henri'emu, że nie mogę dostać się na pańską sztukę, był pan tak uprzejmy, że zostawił dla mnie dwa bilety w kasie.
- Ach tak, przypominam sobie... Pańskie nazwisko wydało mi się znajome, ale po tym wszystkim nie skojarzyłem sobie. "Dwa na nazwisko Latham..." Teraz sobie przypominam.
- Był pan wspańiały, panie Villier.
- Bardzo pan uprzejmy - przerwał JeanPierre, nie zwracając uwagi na komplementy. Przypatrzył się oficerowi wywiadu, a potem przeniósł wzrok na Bressarda. - A więc mogę uznać, że pan i Henri znacie się.
- Bardziej oficjalnie niż towarzysko - odparł Bressard. Mam wrażenie, że raz jedliśmy wspólnie obiad. Prawdę mówiąc, był to dalszy ciąg konferencji, która w gruncie rzeczy nie doprowadziła do żadnych rozstrzygnięć.
- Między naszymi rządami - zauważyła na głos Giselle.
- Tak - przyznał Bressard.
- I o czym naradzałeś się z monsieur Lathamem, Henri? naciskała Giselle. - Jeżeli mogę zapytać.
- Ależ oczywiście, moja droga - odparł Bressard. - Ogólnie rzecz biorąc, o delikatnych sytuacjach i wydarzeniach, które rozgrywają się teraz albo też zaistniały w przeszłości, a które mogą zaszkodzić naszym rządom lub spowodować kłopoty.
- Czy wydarzenia dzisiejszego wieczoru mogą do czegoś takiego doprowadzić?
- To Drew musi odpowiedzieć na twoje pytanie, Giselle. Ja nie jestem w stanie i dowiem się równie chętnie jak ty. Wyciągnął mnie z łóżka przed godziną, żądając, bym dla dobra nas obu zawiózł go natychmiast do ciebie. Gdy zapytałem go dlaczego, stwierdził wyraźnie, że tylko JeanPierre może wyrazić zgodę na udzielenie mi tej informacji, informacji związanej z wydarzeniami dzisiejszego wieczoru.
- I dlatego zaproponował pan, żebyśmy porozmawiali prywatnie, prawda, monsieur Latham? zapytał Villier.
- Tak jest, proszę pana.
- W takim razie pańskie przybycie tu dzisiaj, w tę koszmarną noc, można uznać za urzędową sprawę, n'estce pas.
- Obawiam się, że tak - oznajmił Amerykanin.
- Mimo tak późnej pory i tragedii, którą przeżyliśmy?
- Tak - powtórzył Latham. - Każda godzina ma dla nas ogromne znaczenie. Szczególnie dla mnie, jeżeli mam mówić konkretnie.
- Bardzo bym tego pragnął, monsieur.
- A więc dobrze, będę mówił wprost. Mój brat jest oficerem operacyjnym Central Intelligence Agency. Zaopatrzony w fałszywą tożsamość, został wysłany w góry Hausruck w Austrii, aby przeprowadzić operację wywiadowczą związaną z rozwijającą coraz szerszą działalność organizacją neonazistowską. Od sześciu tygodni nie mamy od niego wiadomości.
- Mogę zrozumieć twój niepokój, Drew - przerwał mu Henn Bressard. - Ale jaki ma to związek z dzisiejszym wieczorem, z tą koszmarną nocą, jak nazwał ją JeanPierre? Amerykanin bez słowa popatrzył na Villiera i aktor odezwał się cichym głosem:

- Ten psychicznie chory stary człowiek, który popełnił w teatrze samobójstwo, był moim ojcem. Moim prawdziwym ojcem. Wiele lat temu, w czasie wojny, walczył w Ruchu Oporu. Hitlerowcy złapali go i złamali psychicznie, doprowadzając do szaleństwa.

Giselle jęknęła cicho i chwyciła męża za ramię.

- Ruch nazistowski się odradza - rzekł Latham. - Oni stają się coraz liczniejsi i wpływowi, wbrew temu, w co wszyscy chcą wierzyć i o czym chcą rozmawiać.

- Powiedzmy, że w tym, co powiedziałeś, jest jakieś źdźbło prawdy - naciskał Bressard. - Ale jaki ma to związek z Quai d'Orsay? Powiedziałeś "dla dobra nas obu". Dlaczego, przyjacielu?

- Jutro otrzymasz pełną informację w naszej ambasadzie. Wymusiłem to dwie godziny temu i Waszyngton wyraził zgodę. Na razie mogę ci przekazać tylko tyle, i tylko to wiem na pewno, że pieniądze, które płyną przez Szwajcarię dla rozwijającego się w Austrii ruchu faszystowskiego są w tajemnicy przekazywane przez ludzi tutaj, we Francji. Nie wiemy konkretnie przez kogo, ale sumy są ogromne, wiele milionów dolarów. Dla fanatyków, którzy rekonstruują partię, partię hitlerowską na uchodźstwie, ale wciąż ukrywają się w Niemczech.

- Jeżeli masz rację, oznacza to, że tutaj działa jakaś organizacja? - zapytał Bressard.

- Zdrajca Jodelle'a - szepnął zaskoczony JeanPierre Villier. - Francuski generał!

- Albo siatka, którą stworzył - rzekł Latham.

- Na litość boską, o czym wy mówicie? - zawołała Giselle. Odnaleziony ojciec, Resistance, naziści, miliony dolarów dla fanatyków w górach! Przecież to brednie...

- Może zacząłby pan od samego początku, monsieur - zaproponował cicho aktor. - Być może będę mógł uzupełnić pańską informację szczegółami, o których jeszcze rano nie miałem pojęcia.

* * *

ROZDZIAŁ 2

Zgodnie z posiadanymi przez nas danymi - zaczął Latham w czerwcu 1946 roku repatriowany członek francuskiego Ruchu Oporu, posługujący się wymiennie nazwiskami Jean Froisant i Pierre Jodelle, regularnie pojawiał się w naszej ambasadzie zawsze w jakimś przebraniu i zawsze w nocy. Twierdził, że sądy paryskie odrzuciły jego informacje dotyczące zdrady jednego z przywódców Resistance. Zdrajca był rzekomo francuskim generałem, przebywającym w honorowym areszcie domowym przyznanym przez niemieckie najwyższe dowództwo tym waszym generałom, którzy pozostali we Francji. Ocena pracowników OSI była negatywna. Uznali oni, że Froisant/Jodelle jest osobnikiem niezrównoważonym umysłowo, jak setki, jeżeli nie tysiące ludzi, którzy zostali psychicznie okaleczeni w obozach koncentracyjnych.

- Skrót OSI oznacza Office of Special Investigations * - wyjaśnił Bressard, widząc oszłomienie malujące się na twarzach Villierów. - Była to amerykańska instytucja powołana do ścigania przestępców wojennych.

- Przepraszam, sądziłem, że państwo wiecie - rzekł Latham. - Bardzo aktywnie działało tutaj, we Francji, wspólnie z waszymi władzami.

- Oczywiście - potwierdziła Giselle. - Ale to była oficjalna nazwa. Słyszałam, że mieli również inne. Łowcy kolaborantów, poszukiwacze świń i różne takie.

- Niech pan mówi dalej - poprosił wyraźnie poruszony JeanPierre marszcząc brwi. - Jodelle został tak po prostu uznany za wariata?

- Nie było to tak nieuzasadnione, jak pan sądzi. Przesłuchiwano go bardzo dokładnie. Składał zeznania trzykrotnie przed niezależnymi zespołami. Taka jest standardowa procedura mająca na celu wykrycie nieścisłości...

- A więc mieliście informację - przerwał mu aktor. - Kim był ten generał?

- Nie wiemy...

- Nie wiecie? - zawołał Bressard. - Mon Dieu, chyba nie zgubiliście tych materiałów?

- Nie, nie zgubiliśmy ich, Henri. Zostały wykradzione.

- Ale powiedział pan "zgodnie z naszymi danymi"! - wtrąciła się Giselle.
- Powiedziałem "zgodnie z posiadanymi przez nas danymi" poprawił ją Latham. - Można umieścić nazwisko w określonych ramach czasowych i system indeksowy poda, jakie wszczęto postępowanie oraz ostateczne wnioski, bez odwoływania się do materiału dowodowego. Materiały takie jak protokoły przesłuchań i zeznania znajdują się w oddzielnych, utajnionych aktach. Taka procedura ma chronić poszczególne osoby przed zainteresowaniem kogoś niepowołanego, może nawet wrogo usposobionego... I właśnie te akta zostały usunięte. Nie wiemy dlaczego... chociaż może teraz już wiemy.
- I wiedział pan o mnie - przerwał mu JeanPierre. - Skąd?
- Gdy wpływa nowa informacja, indeks zostaje uzupełniony przez OSI. Mniej więcej trzy lata temu pijany Jodelle zaczął ambasadora Stanów Zjednoczonych przed teatrem "Lyceum", gdzie występował pan w sztuce...
- Je m'appelle Aquilon! - wtrącił z zapalem Bressard. - Byleś magnifique
- Och, siedź cicho, Henri... Proszę dalej, panie Latham.
- Jodelle wykrzykiwał, jakim jest pan wielkim aktorem i że jest pan jego synem i dlatego Amerykanie nie chcieli go słuchać. Oczywiście, pracownicy teatru odciągnęli go na bok, a portier teatralny odprowadził ambasadora do limuzyny. Wyjaśnił, że stary włóczęga jest niespełna rozumu, że to maniackalny wielbiciel pańskiego talentu, że kręci się wokół teatrów, w których pan występuje.
- Nigdy go nie widziałem. Dlaczego?
- Portier wyjaśnił również i ten fakt. Za każdym razem, gdy pan pojawiał się w drzwiach dla aktorów, ten człowiek uciekał.
- Przecież to nie ma sensu! - oświadczyła Giselle.
- Obawiam się, że ma, moja droga. - JeanPierre spojrział ze smutkiem na żonę. - A przynajmniej potwierdza wszystko, czego dowiedziałem się dziś wieczorem.... A więc, monsieur - zwrócił się do Lathama - z powodu tego dziwnego wydarzenia, moje nazwisko zostało umieszczone w... jak pan to nazwał... waszych nie utajnionych danych wywiadowczych?
- Tylko jako pewien interesujący element, którego jednak nie należy traktować poważnie.
- Ale pan potraktował go poważnie, n'estce pas...
- Niech mnie pan zrozumie - rzekł Latham pochylając się. - Pięć tygodni i cztery dni temu mój brat miał nawiązać kontakt ze swoim łącznikiem w Monachium. Było to bardzo konkretne ustalenie, bez żadnych wariantów zapasowych, i wszystkie posunięcia zamykały się w ramach dwunastu godzin. Trwająca trzy lata, niezwykle niebezpieczna, prowadzona w głębokiej konspiracji operacja dobiegła końca i zbliżał się jej finał. Zapewniono mu również bezpieczną podróż do Stanów. Kiedy minął tydzień i wciąż nie było od niego żadnych wiadomości, poleciałem do Waszyngtonu i dokładnie przejrzałem wszystko, czym dysponowaliśmy na temat operacji Harry'ego... Mój brat ma na imię Harry. Z jakiegoś powodu, być może ponieważ była to stosunkowo dawna informacja, zwróciłem uwagę na incydent przy teatrze "Lyceum" i ta sprawa utkwiała mi w pamięci. Jak sam pan zauważył, po co ją w ogóle tam umieszczono? Słynni aktorzy i aktorki często są nękani przez obsesyjnie uwielbiających ich miłośników. Ciągłe się o tym czyta.
- No cóż - przerwał mu Villier. - To ryzyko związane z moim zawodem i najczęściej zupełnie nieszkodliwe.
- Tak też pomyślałem, proszę pana. Dlaczego więc umieszczono tam tę informację?
- Czy znalazł pan odpowiedź?
- Niezupełnie, ale to, co odkryłem wystarczyło, abym postanowił odnaleźć Jodelle'a. Od mojego powrotu do Paryża dwa tygodnie temu szukałem go wszędzie, we wszystkich zaułkach Montparnasse'u, we wszystkich miejscach, gdzie bywa biedota.
- Dlaczego? - zapytała Giselle. - Jaką odpowiedź pan znalazł? Dlaczego w ogóle nazwisko mojego męża zostało przekazane do Waszyngtonu?

- Zadawałem sobie te same pytania, pani Villier. Kiedy więc znalazłem się w Waszyngtonie, odszukałem poprzedniego ambasadora, z ostatniej administracji, i zapytałem go o tę sprawę. Rozumiecie państwo, taka informacja mogła zostać przekazana do organów wywiadowczych tylko w przypadku, jeżeli sam ambasador wyraził na to zgodę.

- I co mój stary przyjaciel, pan ambasador, powiedział? wtrącił się Bressard wyraźnie ironicznym tonem.

- Raczej jego żona....

- Ach - przedstawiciel Quai d'Orsay skłonił głowę. - W takim razie powinniśmy słuchać uważnie. To ona powinna być ambasadorem. Jest inteligentną i bardziej zorientowaną we wszystkim osobą niż jej mąż. Ponadto jest lekarzem.

- Tak, rozmawiałem z nią. Jest także zapaloną teatromanką. Zawsze siada w którymś z pierwszych trzech rzędów.

- Wcale nie najlepsze miejsca - mruknął aktor. - Przede wszystkim traci się perspektywę. Ale proszę mi wybaczyć, niech pan kontynuuje. I co powiedziała?

- Mówiła o pańskich oczach, panie Villier, i o oczach Jodelle'a, który zatrzymał ich na chodniku i zaczął krzyczeć histerycznie. "Jego oczy były tak intensywnie niebieskie - powiedziała - a zarazem odcień tej barwy był zupełnie niezwykły dla niebieskookich ludzi." Pomyślała więc, że bez względu na to, co ten człowiek mówi, być może w jego bełkocie kryje się jakaś prawda, ponieważ tak niezwykle podobieństwo waszych oczu może być jedynie uwarunkowane genetycznie. Przyznała, że było to tylko przypuszczenie, ale nie mogła przejść nad nim do porządku dziennego. W końcu, jak Henri wspomniał przed chwilą, ambasadorowa jest lekarką.

- A więc pańskie podejrzenia okazały się słuszne - rzekł JeanPierre, kiwając z namysłem głową.

- Gdy telewizja przekazała wiadomość, że nie zidentyfikowany stary człowiek zastrzelił się w teatrze, krzyknąwszy uprzednio, że jest pan jego synem... No cóż, wiedziałem, że odnalazłem Jodelle'a.

- Ale pan się pomylił, panie Latham. Znalazł pan syna, a nie ojca, którego ów syn w ogóle nie znał. I co pan uzyskał? Niewiele mogę dodać do tego, co już pan wie, a i ja dowiedziałem się wszystkiego dopiero dziś wieczorem od ludzi, których zawsze uważałem za swoich rodziców. Dowiedziałem się, że Jodelle był bojownikiem Ruchu Oporu, że śpiewał partie barytonowe w Operze Paryskiej. Niemcy go zdekonspirowali i wysłali do obozu koncentracyjnego, z którego jakoby nie powrócił. Nie było to prawdą, a biedak najwyraźniej zdawał sobie sprawę ze swych zaburzeń psychicznych, i nigdy się nie ujawnił. - Aktor umilkł na chwilę, a potem dodał ze smutnym namysłem: - Dał mi szansę spędzenia życia w dobrobycie, a sam zrezygnował z dającej choć trochę godności egzystencji.

- Musiał cię bardzo kochać, najdroższy - powiedziała Giselle. - Ale w jakim smutku, w jakich męczarniach musiał żyć.

- Przyjaciele szukali go. Bardzo starali się go odnaleźć. Przecież można go było leczyć. Boże, cóż za tragiczne koleje losu. - JeanPierre spojrział na Amerykanina. - I, monsieur, cóż mogę więcej powiedzieć? Nie mogę panu pomóc, tak samo jak nie mogę pomóc samemu sobie.

- Niech mi pan dokładnie powie, co się stało. W teatrze dowiedziałem się bardzo niewiele. Policji nie było w chwili incydentu, a świadkowie, którzy pozostali na miejscu, przede wszystkim bileterzy - niewiele mogli mi wyjaśnić. Większość twierdziła, że kiedy usłyszeli krzyki, uznali je za część owacji, a potem ujrzeli starego, niechlujnie ubranego człowieka biegnącego środkowym przejściem z karabinem w rękę i krzyczącego, że jest pan jego synem. Potem ten starzec się zastrzelił. To było mniej więcej wszystko.

- Nie - odparł Villier kręcąc głową. - Było coś więcej. Na widowni przez moment panowała cisza wywołana zaskoczeniem, gwar wybuchnął później. Wtedy właśnie udało mi się usłyszeć kilka jego zdań. "Zawiodłem cię i twoją matkę... Jestem do niczego, jestem niczym. Próbowałem... Próbowałem, ale zawiodłem." Tyle sobie przypominam, potem zapanował chaos. Nie mam pojęcia, o co mu chodziło.

- To musiało dotyczyć jakiegoś wydarzenia - stwierdził z naciskiem Latham. - Bardzo dla niego ważnego, jakiejś katastrofy życiowej. Postanowił więc przerwać milczenie i porozumieć się z panem. Ostatni gest przed samobójstwem. Coś musiało doprowadzić go do tego stanu.
- Może zachwiana równowaga psychiczna - zasugerowała żona aktora.
- Nie przypuszczam - zaprotestował uprzejmie Amerykanin. - Był zbyt zorganizowany. Dokładnie wiedział, co robi... i co ma zamiar zrobić. Jakimś sposobem udało mu się przedostać do teatru z ukrytą bronią, co na pewno nie było łatwe, a potem doczekał do końca przedstawienia, do momentu gdy pani mąż przyjmował owację widzów. Nie miał zamiaru go tego pozbawić. Człowiek ogarnięty obsesją dokonania szaleńczego czynu nie przejmowałby się tym, że przerywa sztukę, ponieważ chciałby zwrócić całą uwagę na siebie. Jodelle jednak tego nie zrobił. Część jego umysłu wciąż funkcjonowała bardzo racjonalnie, a poza tym zbyt pana kochał, aby zerwać przedstawienie.
- Jesteś również psychologiem? - zapytał Bressard.
- W nie większym stopniu niż ty, Henri. Do naszych umiejętności zawodowych należy badanie zachowań i przewidywanie ich w jakimś stopniu, czyż nie tak?
- A więc uważa pan - przerwał mu Villier - że mój ojciec, ten prawdziwy, którego nie znałem, świadomie obmyślił wszystko, co wiązało się z jego śmiercią, i że motywy jego działania wiązały się z jakimś zdarzeniem. - Aktor odchylił się w fotelu i zmarszczył brwi. - W takim razie musimy dowiedzieć się, co to było, prawda? - Nie wiem w jaki sposób, proszę pana. On nie żyje.
- Jeżeli aktor analizuje postać, w którą ma się wcielić na scenie lub w kinie, ale postać ta nie pasuje do wzorów w jego wyobraźni, musi przyjrzeć się jej w naturalnych warunkach i nadać indywidualne, wynikające z roli cechy, nieprawdaż?
- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem.
- Wiele lat temu zaproponowano mi rolę szajcha beduinów, bardzo niesympatycznego człowieka, który bezlitośnie morduje swoich wrogów, ponieważ wierzy, że są oni wrogami Allaha. Taka postać aż prosi się o schematy, których wszyscy się spodziewają krzaczaste, zrośnięte brwi, spiczasta broda, cienkie, zaciśnięte w złym grymasie usta, oczy fanatyka. Doszedłem do wniosku, że wszystko to jest takie banalne. Poleciałem więc do Dżiddy, pojechałem na pustynię - zapewniam pana, że w luksusowych warunkach - i spotkałem się z paroma beduińskimi wodzami. W niczym nie przypominali utartego obrazu. Rzeczywiście, byli religijnymi fanatykami, ale jednocześnie bardzo spokojnymi, uprzejmymi ludźmi szczerze wierzyli, iż to, co Zachód nazywa grzechami ich przodków, to całkowicie usprawiedliwione czyny, albowiem tamci dawni wrogowie byli wrogami ich Boga. Tłumaczyli nawet, że po zabiciu swoich wrogów ich przodkowie modlili się do Allaha za swoich nieprzyjaciół. Rzeź, którą uważali za konieczność, napawała ich prawdziwym smutkiem. Czy rozumie pan, o czym mówię?
- To było Le Carnage du Voile - wpadł mu w słowo przedstawiciel Quai d'Orsay. - Byłeś doskonały i ukradłeś ten film jego dwu gwiazdom. Czołowy paryski krytyk napisał, że twoje zło było tak czyste, ponieważ odziałeś je w szaty spokojnej życzliwości...
- Henri, proszę. Wystarczy.
- Wciąż nie wiem, do czego pan zmierza, panie Villier.
- Jeżeli wierzy pan Jodelle'owi... jeżeli uważa pan, że to prawda, w takim razie był on mniej szalony, niż wskazywałyby jego poczynania. Czy nie o to w gruncie rzeczy panu chodziło?
- Owszem. Tak właśnie uważam. I dlatego próbowałem go odnaleźć.
- Taki człowiek pomimo swoich dolegliwości jest w stanie porozumiewać się z innymi, równie nieszczęśliwymi osobnikami, nieprawdaż?
- Być może. A raczej z całą pewnością.
- W takim razie musimy przeniknąć do jego naturalnych warunków, do środowiska, w którym żył. Zrobimy tak, a właściwie ja zrobię.
- JeanPierre! - zawołała Giselle. - O czym ty mówisz?

- Sztuka, którą wystawiamy nigdy nie jest grana przed południem. Tylko idiota grałby Koriolana osiem razy w tygodniu. Mam wolne dni.
- I co z tego? - spytał zaniepokojony Bressard unosząc brwi.
- Jak byłeś uprzejmy stwierdzić, Henri, jestem stosunkowo niezłym aktorem i mam dostęp do wszystkich magazynów kostiumów w Paryżu. Ubiór nie będzie więc problemem, a naturalistyczna charakteryzacja zawsze była moją silną stroną. Przed śmiercią monsieur Oliviera doszliśmy wspólnie do przekonania, że stanowi ona nieuczciwy zabieg - nazywał to zabawą w kameleona - ale mimo wszystko może zapewnić połowę zwycięstwa. Przeniknę do świata, w którym żył Jodelle, i być może mi się poszczęści. Jestem przekonany, że musiał z kimś rozmawiać na ten temat.
- Środowisko - rzekł Latham - ten jego "świat" jest dosyć ponury i może być niebezpieczny, panie Villier. Jeżeli któryś z tych ludzi uzna, że ma pan przy sobie dwadzieścia franków, aby je zdobyć, połamie panu nogi.
- Noszę przy sobie broń i proszę mi wierzyć, że w ciągu kilku ostatnich tygodni musiałem pięciokrotnie ją wyciągać. Poza tym w większości ci ludzie są bardzo małowolni i nie lubią obcych, którzy zadają pytania. I to nawet bardzo nie lubią. Nie udało mi się niczego osiągnąć.
- Ach, ale przecież nie jest pan aktorem, monsieur, i jeżeli mam być całkiem szczerzy, pański francuski pozostawia wiele do życzenia. Bez wątpienia zapuszczał się pan w różne zakamarki w normalnym ubraniu, niewiele różniącym się od tego, które ma pan obecnie na sobie, n'estce pas..
- No cóż... Tak.
- Proszę mi znowu wybaczyć, ale starannie ogolony mężczyzna w dość przyzwoitej odzieży, w dodatku zadający pytania niezbyt płynną francuszczyzną, raczej nie mógł wzbudzać zaufania wśród przyjaciół Jodelle'a.
- JeanPierre, natychmiast przestań! - zawołała Giselle. Twoja propozycja jest nie do przyjęcia! Jeżeli nawet pominiemy sprawę moich uczuć i twojego bezpieczeństwa, twój kontrakt zabrania ci podejmowania ryzyka. Mój Boże, nie wolno ci jeździć na nartach, grać w polo, czy nawet pilotować swój samolot!
- Ale nie będę jeździł na nartach czy też konno, nie będę też latał samolotem. Zamierzam tylko pospacerować po różnych dzielnicach miasta, aby poznać ich atmosferę. To przecież o wiele mniej niż podróż do Arabii Saudyjskiej w celu przygotowania się do drugoplanowej roli.
- Merde! - zawołał Bressard. - To wykluczone!
- Nie przyszedłem tu, aby prosić pana o taką przysługę, panie Villier - powiedział Latham. - Przyszedłem tu, w nadziei że może wie pan coś, co mogłoby mi pomóc. Skoro nie, muszę się z tym pogodzić. Mój rząd jest w stanie wynająć ludzi, którzy zrealizują pański pomysł.
- W takim razie bez fałszywej skromności mogę stwierdzić, że nie może pan liczyć na szczególne sukcesy. A chce pan osiągnąć jak najlepsze rezultaty, nieprawdaż, panie Latham? Czy też może tak szybko zapomniał pan o swoim bracie? Pański niepokój sugeruje, że raczej nie. Musi być świetnym facetem, wspaniałym starszym bratem, który niewątpliwie pomagał panu, być może kierował pańskimi krokami. W związku z tym uważam, że musi pan dla niego zrobić wszystko, co w pańskiej mocy.
- Owszem, czuję niepokój, ale to sprawa osobista - przerwał mu ostro Amerykanin. - Jestem zawodowcem.
- Ja też, monsieur. I jestem winien człowiekowi, którego nazywamy Jodelle, przynajmniej tyle samo, co pan swojemu bratu. A być może więcej. Utracił żonę i swoje pierwsze dziecko walcząc za nas wszystkich, a potem dobrowolnie skazał się na piekło, którego nawet nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, po to, abym ja mógł żyć spokojnie. O tak, mam wobec niego dług wdzięczności: zawodowy i osobisty. Podobnie jak wobec kobiety, młodej aktorki, która była matką - moją i dziecka, którego imię noszę, też starszego brata, który mógłby pomagać mi w życiu. Mój dług jest ogromny, panie Latham, i nic nie powstrzyma mnie przed jego spłaceniem. Nikt z was nie zdoła tego zrobić... Proszę łaskawie przyjść tu jutro w południe. Będę przygotowany - i ja, i wszystko co niezbędne.

Latham i Henri Bressard opuścili okazały dom Villiera przy Parc Monceau i poszli w stronę samochodu pracownika MSZ.

- Chyba nie muszę mówić, że wcale mi się nie podoba ten pomysł - oznajmił Francuz.
- Mnie też - przyznał Drew. - Wprawdzie jest wspaniałym aktorem, ale to, co zamierza, nie wchodzi w zakres jego specjalności.
- Specjalności? Mnie po prostu nie podoba się jego zamiar urządzenia sobie wyprawy po rynsztokach Paryża, gdzie jeżeli go rozpoznają, może zostać ograbiony albo nawet porwany dla okupu. Ty chyba miałeś jednak co innego na myśli. Co takiego?
- Nie jestem pewien, możesz to nazwać przecuciem. Prawdopodobnie coś jednak przytrafiło się Jodelle'owi i chodzi tu o jakąś o wiele poważniejszą sprawę niż tylko samobójstwo popełnione przez starego, psychicznie chorego człowieka w obecności nigdy nie poznanego bezpośrednio syna. Sam czyn był gestem skrajnej rozpacz. Jodelle zdał sobie chyba sprawę, że został pokonany, ostatecznie zwyciężony.
- Tak, słyszałem, co mówił JeanPierre - przytaknął Bressard, obchodząc samochód i kierując się w stronę miejsca kierowcy, gdy tymczasem Latham otwierał drzwi od strony chodnika. - Stary krzyczał, że zawiódł. Próbował, ale zawiódł.
- Ale c o takiego próbował? W c z y m zawiódł? O c o chodziło?
- Być może stracił już nadzieję - odparł Henri, zapuszczając silnik. Ruszyli.
- Uświadomił sobie, że wróg jest poza jego zasięgiem.
- By rzeczywiście się o tym przekonać, musiał najpierw odnaleźć owego wroga, a potem zrozumieć, że jest bezsilny. Wiedział, że uchodzi za szaleńca. Ani w Paryżu, ani w Waszyngtonie nie był uważany za wiarygodnego, został odtracony, do diabła, wyrzucony, zlekceważony przez sądy. A więc sam zaczął szukać swojego wroga i kiedy wreszcie znalazł go... może ich, coś się stało. Odebrali mu możliwość działania.
- Skoro tak, to dlaczego tylko go powstrzymali, a nie zabili? - Bo nie mogli. Gdyby go zlikwidowali, ta śmierć wywołałaby zbyt wiele pytań. Niech sobie żyje, aż do końca, który w jego wieku i sytuacji nie mógł być zbyt odległy. Niech sobie chodzi po świecie jeszcze jeden pijacek dręczony manią prześladowczą. Gdyby jednak został zamordowany, jego szalone oskarżenia mogłyby nabrać innego wydźwięku. Niewykluczone, że ludzie tacy jak ja zaczęliby węszyć, a do tego przeciwnik nie mógł dopuścić. Żyjąc, był nikim, ale gdyby został zabity, mógł stać się kimś.
- Wciąż nie mogę dostrzec, przyjacielu, w jaki sposób wiąże się to z JeanPierre'em.
- Wrogowie Jodelle'a, a więc grupa istniejąca tu we Francji, moim zdaniem powiązana z nazistowskim ruchem w Niemczech, jest głęboko zakonspirowana, ale ma swoje aktywnie działające oczy i uszy. Jeżeli stary nawiązał z kimś kontakt, przynajmniej śledzili go do chwili samobójstwa. Będą uważnie obserwować, czy ktoś zacznie się nim interesować. Jeżeli w słowach Jodelle'a kryła się jakaś prawda, nie mogą sobie pozwolić, by tego nie zrobić... A to znowu prowadzi do akt OSI, które zaginęły w Waszyngtonie. Zostały celowo skradzione.
- Rozumiem, o co ci chodzi - rzekł Bressard - i teraz jestem zdecydowanie przeciwny mieszaniu w tę sprawę Villiera. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby go powstrzymać. Giselle mi pomoże. Jest równie uparta jak on, a JeanPierre ją uwielbia.
- Może nie słuchałeś go wystarczająco uważnie. Powiedział, że nikt z nas go nie powstrzyma. I wcale nie grał jakiejś roli, Henri, mówił to zupełnie serio.
- Zgadza się, ale właśnie wprowadziłeś do sprawy nowy element. Prześpijmy się z tym problemem, jeżeli któryś z nas będzie w stanie zasnąć... Czy w dalszym ciągu mieszkasz na Rue du Bac?
- Tak, ale chciałbym najpierw zajrzeć do ambasady. W Waszyngtonie jest ktoś, z kim muszę porozmawiać za pośrednictwem bezpiecznej linii. Odwiozł mnie do domu naszym samochodem.
- Jak sobie życzysz.

Latham zjechał windą do podziemnego kompleksu ambasady i poszedł białym, oświetlonym neonowymi lampami korytarzem do Centrum Łączności. Wsunął plastikową kartę klucz do

szczeliny czytnika. Rozległ się krótki, ostry brzęczyk, ciężkie drzwi otworzyły się i Drew wszedł do środka. Wielkie, klimatyzowane i zabezpieczone przed kurzem pomieszczenie było dziewiczo białe, podobnie jak korytarz, pod trzema ścianami ustawiono mnóstwo sprzętu elektronicznego, co dwa metry przed każdą konsolą stał obrotowy fotel. Jednak w związku z późną porą tylko jeden był zajęty. Między drugą a szóstą rano czasu paryskiego praca w tym dziale była najmniej intensywna.

- Widzę, że dostałeś psią wachtę, Bobby - odezwał się Drew do samotnego dyżurnego siedzącego z drugiej strony pokoju. Trzymasz się?

- Prawdę mówiąc, lubię to - odparł Robert Durbane, pięćdziesięcioletni łącznościowiec i dowódca Centrum Łączności. Moi ludzie myślą, że jestem dobrym facetem, kiedy biorę tę wachtę. Mylą się, ale nie mów im tego. Widzisz czym się zajmuję? Durbane podniósł londyńskiego "Timesa" złożonego na stronie z zabójczym akrostychem i krzyżówką, z której słychać było to pismo.

- Uważam, że do swoich obowiązków dodajesz jeszcze masochizm - oznajmił Latham, podchodząc do fotela z prawej strony operatora. - Nie jestem w stanie rozwiązać ani jednej. Nawet nie próbuję.

- Ani ty, ani żaden z tych młodzików. Bez komentarzy, panie szpiegu.

- Mam wrażenie, że w tej uwadze tkwi drobne żądło.

- Daj się wypchać... Co mogę dla ciebie zrobić?

- Chcę porozmawiać przez telefon szyfrujący z Sorensonem.

- Nie złapał cię godzinę temu?

- Nie było mnie w domu.

- Znajdziesz wiadomość od niego... Ale to ciekawe, mówił tak, jakbyście obaj już rozmawiali.

- Owszem, ale to było trzy godziny temu.

- Skorzystaj z czerwonego telefonu w klatce. - Durbane odwrócił się i wskazał sięgającą do sufitu szklaną kabinę przed czwartą ścianą. Kabinka, popularnie nazywana klatką, była dźwiękoszczelnym, zabezpieczonym miejscem, w którym można było prowadzić poufne rozmowy bez obawy podsłuchu. - Będziesz wiedział, kiedy szyfrator się włączy.

- Mam nadzieję - odparł Drew, robiąc aluzję do kakofonii pisków poprzedzających intensywny szum w słuchawce informujący, że urządzenie kodujące działa. Wstał z fotela, zbliżył się do grubych, szklanych drzwi klatki i wszedł do środka.

W pomieszczeniu stał duży stół z plastikowym blatem, na którego środku znajdował się czerwony telefon, notesy i ołówki oraz popielniczka. W kącie tej swego rodzaju "celi" stało urządzenie do niszczenia papieru, której zawartość palono co osiem godzin albo nawet częściej w razie potrzeby. Latham usiadł na fotelu ustawionym tak, że skierowany był plecami w stronę personelu pracującego w Centrum Łączności. Był to sposób maksymalnego zabezpieczenia stosowany w obawie przed możliwością czytania z warg. Śmiano się z tego do chwili, gdy w najbardziej gorącym okresie zimnej wojny wykryto sowiecką wtyczkę w Centrum Łączności ambasady. Drew podniósł słuchawkę i czekał. Osiemdziesiąt dwie sekundy później po tradycyjnej symfonii pisków i szumów, rozległ się głos Wesleya T. Sorensona, dyrektora Wydziału Operacji Konsularnych.

- Gdzie u diabła się podziewałeś? - zapytał Sorenson.

- Po tym jak wyraziłeś zgodę, bym kontaktował się z Henrim Bressardem i obiecał, że udzieli mi wyjaśnień, poszedłem do teatru, a potem zadzwoniłem do niego. Zawiózł mnie do domu Villiera przy Parc Monceau. Właśnie stamtąd wracam.

- A więc twoje przypuszczenia były słuszne?

- Jak proste równanie matematyczne.

- Dobry Boże! Ten stary rzeczywiście był ojcem Villiera?

- Potwierdził to sam Villier, który dowiedział się o wszystkim od, jak to określił, jedynych rodziców, jakich znał.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, szok musiał być straszny.

- O tym właśnie musimy porozmawiać, Wes. Ten wstrząs wywołał u naszego słynnego aktora cholerne poczucie winy. Jest zdecydowany wykorzystać swoje umiejętności, żeby przemknąć do środowiska Jodelle'a i zorientować się czy zdoła nawiązać kontakt z jego przyjaciółmi oraz dowiedzieć się, czy stary powiedział komuś, gdzie był w ciągu kilku ostatnich dni, kogo chciał odnaleźć i co miał zamiar zrobić.
- To twój scenariusz - przerwał mu Sorenson. - Scenariusz na wypadek gdyby założenia okazały się słuszne.
- Musiały okazać się słuszne, jeżeli prawidłowo rozumowałem. Ale tamten scenariusz zakładał wykorzystanie naszych własnych środków, a nie samego Villiera.
- Miałaś rację. Gratuluje.
- Udzielono mi pomocy, Wes. Mam na myśli żonę poprzedniego ambasadora.
- Ale to ty ją odnalazłeś. Nikt inny nie wpadł na ten pomysł.
- Nie przypuszczam, aby ktoś inny miał brata w tak trudnej sytuacji.
- Rozumiem. Z czym więc masz problem?
- Z determinacją Villiera. Próbowałem mu wyperswadować jego pomysł, ale nie udało mi się. I chyba nikomu się nie uda.
- A po co go od tego odwodzić? Może zdoła się czegoś dowiedzieć. Dlaczego miałbyś mu przeszkadzać?
- Ponieważ ten, kto doprowadził Jodelle'a do samobójstwa, musiał z nim rozmawiać. W jakiś sposób przekonał go, że przegrał wszystko z kretelem, że jest skończony. Że nic mu już nie pozostało.
- Z psychologicznego punktu widzenia bardzo logiczne. Jego obsesja nie miała ujścia i musiała go zniszczyć. A więc?
- Kimkolwiek są, niewątpliwie będą bacznie zwracać uwagę na konsekwencje tego samobójstwa. Jak już powiedziałem Bressardowi, nie mogą tego nie zrobić. Jeżeli ktokolwiek pojawi się teraz i zacznie zadawać pytania na temat Jodelle'a... No cóż, taki człowiek nie będzie miał szczególnych szans, jeżeli jego nieprzyjaciele to ludzie, o których myślę.
- Wyjaśniłeś to Villierowi?
- Może nie tak dokładnie, ale chyba wystarczająco wyraźnie dałem mu do zrozumienia, jak niebezpieczne są jego plany. A on właściwie odesłał mnie do diabła. Oznajmił, że ma wobec Jodelle'a taki sam, jeżeli nie większy dług wdzięczności, jak ja wobec Harry'ego. Mam jutro w południe przyjść do niego. Zapewnił, że będzie przygotowany.
- Wytłumacz mu więc wszystko jeszcze raz - polecił Sorenson. - Jeżeli będzie dalej nalegał, pozwól mu działać.
- Czy chcemy mieć na sumieniu skrócenie jego kariery?
- Trudne decyzje nazywa się trudnymi, dlatego że nie są łatwe. Chcesz znaleźć Harry'ego, a ja chcę odnaleźć raka, który rozrasta się w Niemczech.
- A ja chciałbym, by w obu przypadkach nam się powiodło odparł Latham.
- Oczywiście, ja też. A więc jeżeli twój aktor ma ochotę wystąpić, nie powstrzymuj go.
- Chcę dać mu osłonę.
- Powinieneś. Martwy aktor nie będzie mógł nam powiedzieć, czego się dowiedział. Dogadaj się z Deuxieme, są w tym dobrzy. Za mniej więcej godzinę zadzwonię do Claude'a Moreau. Jest dyrektorem Biura i będzie wówczas w swoim gabinecie. Pracowaliśmy razem w Istambule. Był najlepszym operacyjnym agentem, jakim kiedykolwiek dysponował francuski wywiad. Mówiąc dokładnie, to światowa klasa. Da ci wszystko, czego potrzebujesz.
- Czy powinienem powiedzieć Villierowi?
- Jestem jednym ze starych chłopców, Latham. Może to dobre, a może złe, ale sądzę, że jeśli masz zamiar zorganizować operację, powinieneś pójść na całość. Villier powinien również mieć przy sobie pluskwę, oczywiście to zwiększa ryzyko, i powinieneś mu dokładnie wszystko uświadomić. Niech podejmie całkowicie świadomą decyzję.
- Cieszę się, że się rozumiemy. Dziękuję ci.

- Może wyciągnięto mnie z lamusa, Drew, ale kiedyś znajdowałem się w twojej sytuacji. Cholernie wredna rozgrywka szachowa, zwłaszcza jeżeli giną pionki. Szczególnie mocno się o nich pamięta, uwierz mi na słowo. Stanowią pożywkę dla nocnych koszmarów.

- Wszystko, co o tobie mówią, jest prawdą, hę? Nie wyłączając twojej skłonności do wymagania od pracowników operacyjnych, żeby mówili ci po imieniu.

- Dużo w tym wszystkim przesady - odparł dyrektor wydziału. - Ale kiedy zajmowałem się tym co ty, gdybym mógł wtedy zwracać się do mojego szefa Bili, George, Stanford, albo choćby Casey, wydaje mi się, że mógłbym być wobec nich o wiele bardziej szczerzy. I tego właśnie od was chcę. "Panie dyrektorze" cholernie w tym przeszkadza.

- Masz zupełną rację.

- Wiem. A więc rób, co masz zrobić.

Latham wyszedł z ambasady na avenue Gabriel i podszedł do opancerzonego samochodu z dyplomatyczną rejestracją, który miał go zawieźć do mieszkania na rue du Bac. Citroen, był z tyłu zbyt ciasny i dlatego usiadł z przodu, obok kierowcy z korpusu piechoty morskiej.

- Znacie adres? - zapytał.

- O tak, znam z całą pewnością, proszę pana, oczywiście.

Zmęczony Drew zerknął na kierowcę. Jego akcent był niewątpliwie amerykański, ale szyk zdania dość dziwny. A może po prostu zmęczenie spowodowało, że się przesłyszał. Zamknął oczy tracąc poczucie czasu, wdzięczny za nicosć, za czarną pustkę wypełniającą jego umysł. Przynajmniej na kilka minut jego niepokój ustąpił. Potrzebował tej chwili wytchnienia, cieszył się nią. Aż nagle uświadomił sobie, że jadą tak szybko, aż rzuca nim na siedzeniu. Otworzył oczy. Samochód pędził przez most, jakby kierowca brał udział w wyścigu w Le Mans.

- Hej, stary - odezwał się Latham. - Wcale nie jestem spóźniony na randkę. Zdejmij trochę nogę z gazu, kolego.

- Tut mir... Przepraszam, proszę pana.

- Co? - Z pełną prędkością zjechali z mostu i kierowca skręcił w ciemną, nieznaną ulicę. I nagle Drew zorientował się: nie byli wcale w okolicy rue du Bac. - Co u diabła wyprawiasz? wrzasnął.

- To droga na skróty, proszę pana.

- Pieprzysz! Zatrzymaj ten cholerny samochód!

- Nein! - Wrzasnął mężczyzna w mundurze żołnierza piechoty morskiej. - Jedziesz tam, gdzie cię zawiozę, koleś! - Kierowca wyszarpnął pistolet zza bluzy i wycelował w głowę Lathama. - Nie rozkazuj mi. To ja będę ci rozkazywał!

- Chryste, jesteś jednym z nich. Ty skurwysynu, jesteś jednym z nich!

- Spotkasz innych, a potem znikniesz!

- A więc to prawda? Jesteście w całym Paryżu...

- Und England, und die Vereinigten Staaten, und Europa!... SiegHeil!

- Sieg ci w dupę - burknął cicho Drew, napinając w cieniu lewą dłoń i jednocześnie przesunął lewą stopę po podłodze citroena.

- Co powiesz na drobny "blitzkrieg - Mówiąc to Latham z całej siły kopnął prawą nogę kierowcy i na oślep wcisnął pedał hamulca. W tej samej chwili podbił również łokieć prawej ręki porywacza. Broń wyleciała z garści neonazisty. Drew schwycił ją w locie i wystrzelił w prawe kolano kierowcy, w chwili gdy uderzyli w róg budynku.

- Przegrałeś! - wysapał Latham, otwierając drzwi i chwytając mężczyznę za bluzę. Wskoczył z samochodu, gwałtownym ruchem wyciągnął kierowcę na swoją stronę i cisnął go na chodnik. Znajdowali się w jednej z przemysłowych dzielnic Paryża, wśród pustych w nocy dwu i trzypiętrowych budynków fabrycznych. Poza słabymi latarniami ulicznymi jedynym źródłem światła były reflektory uszkodzonego citroena. Ale to wystarczało.

- A teraz porozmawiasz sobie ze mną, koleś! - warknął do skulonego na trotuarze "marine", który jęczał, ściskając przestrzeloną nogę. - Chyba że wolisz, bym następną kulę wpakował ci

- w ręce, którymi ściskasz kolano. Potrzaskanych dłoni nigdy nie da się całkowicie poskładać. Przykra perspektywa na resztę życia! - Nein! Nein! Nie strzelaj!
- A czemu nie? Sam mi powiedziałeś, że mnie zabijecie. Dokładnie pamiętam twoje słowa: "A potem znikniesz". Jestem bardziej litościwy i nie zabiję cię. Po prostu zamienię ci resztę życia w piekło. Najpierw będę strzelał w dłonie, potem w stopy... Kim jesteś, skąd masz ten mundur i ten samochód? Gadaj!
 - Mamy mundury... amerikanische.franzosische, englische.
 - A samochód, samochód ambasady. Gdzie jest człowiek, którego miejsce zająłeś?
 - Powiedziano mu, żeby nie przychodził...
 - Kto?
 - Nie wiem! Samochód podstawiono przed budynek. Schlüssel... to znaczy klucz... był w stacyjce. Miałem rozkaz cię przywieźć.
 - Kto ci rozkazał?
 - Moi przełożeni.
 - Ludzie, do których mnie wiozłeś?
 - Ja.
 - Kim oni są? Podaj jakieś nazwiska. Już!
 - Nie znam żadnych nazwisk! Porozumiewają się z nami za pomocą szyfru, cyfr i liter.
 - Jak się nazywasz? - Drew kucnął przy kierowcy, wciskając luźną lufę pistoletu w dłoń zaciśniętą na krwawiącym kolanie.
 - Erich Hauer, przysięgam!
 - Twój kod, Erichu. Albo zapomnij o swoich rękach i stopach. - CZwölf... dwanaście.
 - O wiele lepiej mówisz po angielsku, kiedy nie masz pełnych gaci, drogi Erichu... Dokąd mnie wiozłeś?
 - Pięć, czy sześć przecznic stąd. Miałem poznać właściwą ulicę dzięki Scheinwerfer...
 - Co to takiego?
 - Reflektory. Z wąskiej uliczki z lewej strony.
 - Nie ruszaj się, adolfku - mruknął Latham. Podniósł się i wciąż trzymając broń skierowaną w stronę Niemca, podszedł do drzwi samochodu. Niezgrabnie usiadł tyłem na fotelu pasażera i macał lewą dłonią pod tablicą przyrządów, aż odnalazł telefon zapewniający bezpośrednie połączenie z ambasadą. Aparatura znajdowała się w bagażniku, istniały więc spore szanse, że będzie działać. Działała. Zerkając kątem oka Drew raz za razem nacisnął czterokrotnie guzik z cyferką zero. Sygnał alarmowy.
 - Ambasada amerykańska - rozległ się w głośniku głos Durbane'a. - Potwierdzam Zero Cztery. Taśma włączona, mów!
 - Bobby, tu Latham...
 - Wiem. Mam cię na siatce współrzędnych. Dlaczego zgłaszasz Cztery Zero?
 - Zostałem porwany i dzięki uprzejmości naszej nazistowskiej zmory wieziono mnie na szybką egzekucję. Kierowca z piechoty morskiej był lipny. Ktoś w bazie transportowej wystawił mnie. Sprawdź natychmiast cały zespół!
 - Chryste, jesteś w porządku?
 - Tylko trochę poobijany. Mieliliśmy wypadek i skinhead nie czuje się teraz najlepiej.
 - Dobra, mam twoje współrzędne. Wysyłam patrol...
 - Wiesz dokładnie, gdzie jesteśmy?
 - Oczywiście.
 - Wyślij dwa patrole, Bobby. Jeden uzbrojony w broń szturmową.
 - Zwariowałeś? To Paryż, Francuzi!
 - Francuzi będą nas kryć. Potraktuj to jako rozkaz z Operacji Konsularnych... Pięć czy sześć przecznic dalej w ulicy z lewej strony stoi samochód z włączonymi reflektorami. Musimy zgarnąć ten samochód i ludzi, którzy w nim siedzą!
 - Kto to taki?
 - Między innymi moi kaci. Nie ma czasu, Bobby! Działaj!

Latham cisnął słuchawkę na uchwyt i chwiejąc się podszedł do Ericha Hauera, który mógł doprowadzić go do setek swoich kumpi w Paryżu i poza miastem - obojętne świadomie czy nie. Środki chemiczne mu w tym pomogą, nie było innego wyjścia. Drew schwycił Hauera za nogi; mężczyzna wrzasnął z bólu.

- Proszę!

- Zamknij się, świński ryju. Jesteś mój, rozumiesz? Jeżeli zaczniesz gadać, to później dobrze na tym wyjdiesz.

- Nic nie wiem. Jestem tylko CZwolf, nic więcej nie wiem.

- Za mało! Mam brata, który was tropił, skurwysyny. Powiedział mi, że jest już na ostatnim etapie tej pieprzonej misji, i wierzę, że mi nie skłamał. A więc powiesz mi więcej, o wiele więcej, zanim z tobą skończę. Uwierz mi na słowo, drogi Erichu, będziesz żałował, że mnie poznałeś.

Nagle za zakrętu pustej, ciemnej ulicy wyjechał z piskiem opon czarny samochód. Zwolnił gwałtownie i w tej samej chwili rozległa się gwałtowna kanonada, śmiertelny ogień z broni maszynowej, zmiatający wszystko na drodze. Latham próbował wciągnąć Niemca za pancerną osłonę Citroena, ale nie był w stanie ratować jednocześnie i jego, i siebie. Gdy samochód, z którego strzelano, pomknął dalej, Drew spojrzął na swojego jeńca. Podziurawiony jak sito, zakrwawiony Erich Hauer był martwy. Jedyne człowiek, który mógł odpowiedzieć przynajmniej na kilka pytań, już nie żył. Gdzie szukać następnego i jak długo to potrwa?

* * *

ROZDZIAŁ 3

Noc dobiegała już końca i na wschodnim horyzoncie pojawiał się wczesny brzask, gdy wyczerpany Latham wszedł do małej windy przypominającej klatkę z ozdobnych prętów z brązu, która miała zawieźć go do mieszkania na piątym piętrze przy rue du Bac. W normalnych okolicznościach poszedłby po schodach, wychodząc z założenia, że będzie miało to dobry wpływ na to czy owo, ale nie teraz - powieki niemal same mu się zamykały. Godziny od drugiej do piątej trzydzieści wypełnione były dyplomatycznymi czynnościami, ale dzięki temu Drew zyskał możliwość spotkania z Claude'em Moreau, szefem potężnego i tajemniczego Deuxieme Bureau. Zadzwoił ponownie do Waszyngtonu do Sorensona, prosząc go, aby mimo późnej pory porozumiał się z francuskim oficerem wywiadu, i przekonał go, aby natychmiast pojechał do ambasady amerykańskiej. Moreau był łysiejącym mężczyzną w średnim wieku i średniej budowy ciała. Garnitur leżał na nim tak, jakby jego właściciel przez większą część dnia zajmował się podnoszeniem ciężarów. Demonstrował pełne bez troski galijskie poczucie humoru, dzięki któremu potrafił spoglądać na sprawy z właściwej perspektywy, kiedy sytuacja groziła wymknięciem się spod kontroli, a tak mogło się stać, gdy w ambasadzie nieoczekiwanie pojawił się wściekły i przerażony Henri Bressard, pierwszy sekretarz w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Republiki Francuskiej.

- Co się u diabła dzieje? - zapytał Bressard wkraczając do gabinetu ambasadora. Obecność Moreau wyraźnie go zaskoczyła, ale natychmiast przeszedł nad nią do porządku. - Alló, Claude odezwał się po francusku - nie jestem szczególnie zdziwiony, widząc cię tutaj.

- En anglais, Henri... Pan Latham rozumie nas, ale pan ambasador w dalszym ciągu posługuje się rozmówkami.

- Ach ten amerykański takt dyplomatyczny!

- Zrozumiałem, Bressard - rzekł z naciskiem ambasador Daniel Courtland siedzący w szlafroku i nocnych pantoflach za biurkiem - i chcę powiedzieć, że już się uczę waszego języka. Szczerze mówiąc, chciałem objąć placówkę w Szwecji, po szwedzku mówię płynnie, ale inni zdecydowali inaczej. Jesteście więc skazani na mnie, tak jak ja na was.

- Przepraszam, panie ambasadorze. Miałem trudną noc... Próbowałem się do ciebie dodzwonić, Drew, ale kiedy odzywała się tylko twoja automatyczna sekretarka, doszedłem do wniosku, że wciąż jesteś tutaj.
- Powinienem wrócić do domu godzinę temu. A dlaczego ty tu jesteś? Dlaczego chciałeś się ze mną zobaczyć?
- Wszystko jest w raporcie Surete. Nalegałem, aby policja do nich zadzwoniła...
- Co się stało? - przerwał mu Moreau, unosząc brew. Chyba nie zaatakowała cię twoja była żona. Wasz rozwód przebiegł w wyjątkowo przyjaznej atmosferze.
- Nie jestem pewien, czy wołałbym, aby to była ona. Lucille może być podstępna dziwka, ale na pewno nie jest głupia. A ci ludzie byli.
- Jacy ludzie?
- Kiedy podrzuciłem tu Drew, pojechałem do mojego mieszkania na Montaigne. Jak się orientujesz, jednym z przywilejów związanych z moim stanowiskiem jest przydzielone miejsce do parkowania przed domem. Ze zdumieniem stwierdziłem, że jest zajęte, a dodatkowo zirytował mnie fakt, że na wszystkich innych w sąsiedztwie również stoją samochody. I nagle zauważyłem, że z przodu siedzi dwóch mężczyzn, a kierowca rozmawia przez telefon komórkowy. O drugiej rano nie jest to normalny widok, zwłaszcza jeżeli kierowcy grozi pięćset franków grzywny za parkowanie w tym miejscu bez dyplomatycznych tablic rejestracyjnych albo plakietki Quai d'Orsay na przedniej szybie.
- Jak zawsze - rzekł Moreau - nasz dyplomata ma skłonność do przedstawiania wydarzeń stopniując napięcie, by stworzyć właściwą atmosferę, ale proszę, Henri, poza osobistą obrazą jaka cię spotkała, co takiego się stało?
- Te sukinsyny zaczęły do mnie strzelać!
- Co?! - Latham zerwał się z fotela.
- Słyszałeś! Mój samochód oczywiście jest zabezpieczony przed takimi atakami, cofnąłem się więc szybko, a potem ich staranowałem, przyciskając ich wóz do muru.
- A co dalej? - zawołał ambasador Courtland zrywając się na równe nogi.
- Dwaj mężczyźni wyskoczyli z drugiej strony i uciekli. Serce łomotało mi jak szalone. Zadzwoiłem z samochodowego telefonu na policję i zażądałem, żeby zaalarmowali Surete.
- Nie spodziewałbym się tego po tobie - rzekł cicho zaskoczony Drew. - Staranowałeś ich, kiedy do ciebie strzelali? - Ich pociski nie byłyby w stanie przebić nawet szyb.
- Niektóre mogłyby, możesz mi wierzyć. Na przykład w pełnym płaszczu metalowym.
- Naprawdę? - Bressard zbladł gwałtownie.
- Masz zupełną rację, Henri - oznajmił Moreau, ponownie kiwając głową. - Twoja eks żona na pewno byłaby bardziej skuteczna. A teraz może byśmy się trochę uspokoili i zastanowili, cóż nasz dzielny przyjaciel osiągnął? Mamy samochód, tablice rejestracyjne i bez wątpienia mnóstwo odcisków palców, które natychmiast przekazemy do Interpolu. Moje uznanie, Henri Bressard.
- Czy rzeczywiście są pociski, które mogą przebić kuloodporną karoserię? Związek tego wydarzenia z samobójstwem Jodelle'a i spotkaniem w domu Villiera był aż nazbyt oczywisty. Wziąwszy również pod uwagę atak na Lathama, stawało się jasne, że sytuacja wymaga podjęcia konkretnych decyzji. Bressard i Drew mieli być przez dwadzieścia cztery godziny na dobę chronieni przez ludzi z Deuxieme - Francuz w wyraźny sposób, Latham na własne życzenie, nie tak jawnie. Dlatego nie oznakowany samochód Deuxieme pozostanie naprzeciwko domu Drew, do momentu kiedy przyjedzie zmiana albo Amerykanin wyjdzie rano z mieszkania. Wreszcie, JeanPierre Villier, który również miał być strzeżony, pod żadnym pozorem nie ma prawa prowadzić swoich poszukiwań w podejrzanych dzielnicach Paryża.
- Powiem mu to osobiście i bez ogródek - oznajmił Claude Moreau, szef Deuxieme Bureau. r Villier jest skarbem Francji! Poza tym moją żoną zabije mnie albo w naszym małżeńskim łóżu, zacznie przyjmować kochanka za kochankiem, jeśli dopuszczę, żeby coś mu się stało. Niepokojące wątpliwości na temat bazy transportowej ambasady zostały szybko wyjaśnione.

Dyspozytor był nie znanym nikomu człowiekiem, ale pozwolono mu objąć nocną zmianę, ponieważ wszystkie dokumenty miał w porządku. Zniknął kilka minut po tym, gdy samochód z Lathamem odjechał z avenue Gabriel. Był to Amerykanin mówiący po francusku zamieszkały w Paryżu i zwerbowany przez ruch nazistowski. Godziny przed świtem zajęły nie kończące się analizy sytuacji podobnie jak długie rozmowy zakodowaną linią między Moreau a Wesleyem Sorensonem w Waszyngtonie. Dwaj specjaliści od głęboko zakodowanych operacji wywiadowczych przygotowując scenariusz działań pościgowych przypominali tajemniczych magów, ale Drew bez zastrzeżeń przyjmował wszystko, co mówili. Wiedział, że jest dobry - może nie tak dobry w chłodnych, intelektualnych działaniach, jak jego brat Harry, ale z całą pewnością lepszy, gdy sytuacja wymagała szybkich decyzji i siły fizycznej. Moreau i Sorenson byli z kolei mistrzami podstępu i infiltracji, którym udało się przeżyć utrzymywaną dotąd w tajemnicy rzeź szpiegów, do której doszło w czasie najbardziej krwawych lat zimnej wojny. Od takich ludzi mógł się wiele nauczyć, nawet wtedy gdy wyznaczali mu zadania. Latham wyszedł z windy jak lunatyk i ruszył korytarzem w kierunku swojego mieszkania. Gdy automatycznie spróbował włożyć klucz do zamka, nagle zorientował się, że zamka nie ma! Zamiast niego widniał pusty otwór - cały zamek został wycięty, albo laserem, albo miniaturową ręczną piłą. Dotknął drzwi. Otworzyły się wolno, odsłaniając panujący wewnątrz bałagan. Drew wyciągnął pistolet z kabury pod pachą i ostrożnie wsunął się do środka. Mieszkanie zostało kompletnie zdewastowane - tapicerka popruta nożami, poduszki porozrywane i wypatroszone, szuflady wyciągnięte, a ich zawartość wyrzucona na podłogę. To samo w dwóch sypialniach, garderobie, kuchni i łazienkach, a szczególnie w gabinecie, w którym pocięto nawet dywany. Jego wielkie biurko dosłownie porąbano na kawałki, najwyraźniej w poszukiwaniu skrytek, w których mogły być ukryte tajne dokumenty. Zakres zniszczeń był oszalamiający, niczego nie oszczędzono. Ale Latham był tak wyczerpany, że po prostu nie chciał o tym myśleć. Potrzebował wypoczynku, potrzebował snu. Przez chwilę tylko zastanawiał się nad całkowitym brakiem logiki w przeprowadzaniu tej akcji. Wszystkie poufne materiały znajdowały się w biurowym sejfie na drugim piętrze ambasady. Wrogowie starego Jodelle'a - obecnie jego wrogowie - powinni byli to przewidzieć. Przeszukał jedną z szaf i znalazł przedmiot, który intruzi na pewno zabraliby ze sobą lub zniszczyli, gdyby go rozpoznali. Uśmiechnął się zadowolony. Stalowa sztaba długości pół metra zaopatrzona była na każdym końcu w duże gumowe poduszki, w których znajdowały się mechanizmy alarmowe. W czasie podróży, gdy zatrzymywał się w pokojach hotelowych, niezmiennie podpierał nią drzwi i uruchamiał alarmy przekręcając gumowe poduszki. Gdyby ktoś usiłował otworzyć od zewnątrz tak zabezpieczone drzwi, serie przenikliwych gwizdów z całą pewnością zmusiłyby intruza do ucieczki. Drew zaniósł przyrząd do pozbawionego zamka wejścia, uruchomił system alarmowy i podparł sztabą dolną płytę. Potem przeszedł do swojej zdewastowanej sypialni, zarzucił prześcieradło na rozpruty materac, zdjął buty i położył się. Po kilku minutach już spał, nie minęło jednak wiele czasu, gdy zadzwonił telefon. Latham nieprzytomnie zerwał się ze skotłowanego łóżka i chwycił słuchawkę stojącego na nocnym stoliku telefonu. - Tak? Słucham?

- Drew, tu Courtland. Przepraszam, że dzwonię o tej porze, ale to konieczne.

- Co się stało?

- Ambasador Niemiec...

- Czy wie o dzisiejszej nocy?

- Nie. Sorenson zadzwonił do niego z Waszyngtonu i najwidoczniej zrobił piekło. Wkrótce potem Claude Moreau zrobił to samo. - Zawodowcy. I co się dzieje?

- Ambasador Heinrich Kreitz będzie u nas w ambasadzie o dziewiątej rano. Sorenson i Moreau chcą, żebyś również przyszedł. Nie tylko aby potwierdzić raporty, ale musisz również zdecydowanie zaprotestować z powodu ataku na ciebie.

- Ci dwaj emerytowani szpiegowie organizują natarcie z oskrzydleniem, prawda?

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

- W czasie drugiej wojny to był klucz do niemieckiej strategii. Uderzyć na skrzydła, nacisnąć nieprzyjaciela, aby zaczął uciekać w obojętnie którą stronę. Zły wybór oznacza klęskę, a nie mogą wybrać dobrze, ponieważ wszystkie kierunki są zablokowane.

- Nie jestem wojskowym, Drew, a poza tym nie uważam Kreitza za wroga.

- Nie, nie jest nim. Prawdę mówiąc, to człowiek obciążony poczuciem historycznej odpowiedzialności. Ale nawet on nie wie, kogo ma wśród swojego personelu tutaj, w Paryżu. Niewątpliwie zacznie robić u siebie raban i tego właśnie oczekują po nim Sorenson i Moreau.

- Niekiedy myślę, że ludzie z pańskiej profesji mówią zupełnie innym językiem.

- Och, oczywiście, panie ambasadorze. Fachowo określa się to zaciemnianiem w celu umożliwienia zdementowania. Można powiedzieć, że to nasz język zawodowy.

- Belkoczesz.

- Jestem śmiertelnie zmęczony.

- Ile czasu zajmie ci przejazd do ambasady?

- Najpierw muszę pójść do garażu po samochód...

- Teraz wozi cię Deuxieme - przerwał mu Courtland.

- Przepraszam, zapomniałem... W zależności od nasilenia ruchu około piętnastu minut.

- Jest dziesięć po szóstej. Każę sekretarce, żeby cię obudziła o ósmej trzydzieści i zobaczymy się o dziewiątej. Odpocznij trochę.

- Może powinienem poinformować, co się stało...

- Za późno, ambasador odłożył słuchawkę.

Może to i lepiej, pomyślał Latham. Courtland chciałby poznać szczegóły, co przedłużyłoby rozmowę. Gdy Drew wreszcie odłożył słuchawkę, wczuł się z powrotem na łóżko. Przyjemność sprawiała mu tylko myśl, że tydzień, a może dłużej - tyle ile zajmie doprowadzanie mieszkania do porządku - spędzi w najlepszym hotelu, a Waszyngton zapłaci rachunek.

Biały szybowiec unoszony wieczornymi prądami powietrza spłynął w dolinę i natychmiast po wylądowaniu został wciągnięty pod osłonę zielonych ekranów. Pleksiglasowe pokrywy kabin otworzyły się i z przedniej wysiadł pilot w białym kombinezonie, z tylnej zaś niemłody już pasażer.

- Komm - powiedział pilot, wskazując gestem głowy motocykl z przyczepą. - Zum Krankenhaus.

- Tak, oczywiście - odparł cywil po niemiecku. Odwrócił się i wyjął z kabiny szybowca torbę medyczną z czarnej skóry. - Przypuszczam, że doktor Kroeger jest tutaj - dodał wchodząc do przyczepy, gdy pilot zajmował miejsce na siodełku i zapuszczał silnik.

- Nie wiem, proszę pana. Mam jedynie zawieźć pana do kliniki. Nie znam żadnych nazwisk.

- W takim razie zapomnij to, które wymienilem.

- Nic nie słyszałem, proszę pana.

Motocykl ruszył osłoniętym korytarzem i pokonawszy kilka zakrętów pomknął wzdłuż doliny w stronę jej północnego krańca. Stał tam jednopiętrowy dom osłonięty także siatkami maskującymi, różnił się jednak od pozostałych budynków zasadniczo zbudowanych z drewna, podczas gdy on był cięższy, bardziej solidny - z żużlobetonowych bloków połączonych zaprawą cementową; z jego południowej strony znajdowała się potężna elektrownia, dobiegał stamtąd ciągły, niski pomruk generatorów.

- Nie mam prawa wchodzić do środka, doktorze - oznajmił pilot, zatrzymując motocykl przed szarymi stalowymi drzwiami.

- Zdaję sobie z tego sprawę, młody człowieku, i wiem jak mam iść dalej. A przy okazji, muszę odlecieć rano o pierwszym brzasku. Sądzę, że poinformowano pana o tym.

- Tak, oczywiście, proszę pana. Wiatr jest wówczas najlepszy.

- Dla mnie niczym nie różni się od najgorszego.

Doktor wysiadł z przyczepy. Pilot odjechał, a jego pasażer podszedł do drzwi, spojrzal w obiektyw umieszczonej nad nimi kamery i przycisnął okrągły czarny guzik z prawej strony framugi.

- Doktor Hans Traupman na rozkaz generała von Schnabe.

Kilkadziesiąt sekund później drzwi otworzył mężczyzna po czterdziestce ubrany w białe fartuch szpitalny.

- Herr Doktor Traupman, jakże się cieszę, że pana widzę zawołał z entuzjazmem. - Nie spotykaliśmy się przez kilka lat, od czasu wykładów w Norymberdze. Witam pana!

- Danke, ale wolałbym mniej kłopotliwy sposób docierania tutaj.

- Zapewniam, że jeszcze bardziej nie spodobałby się panu przemarsz przez góry. Idzie się kilometrami i śnieg staje się głębszy z każdą setką metrów. Zachowanie tajemnicy ma swoją cenę... Proszę wejść, wypić kieliszek sznapsa i rozluźnić się w czasie pogawędki. A potem zapozna się pan z naszymi postęпами. Mówię panu, są wspaniałe!

- Napijemy się później, a porozmawiamy w czasie obserwacji - zaproponował konsultujący lekarz. - Mam przed sobą długie spotkanie z von Schnabem, niezbyt miła perspektywa, i chcę dowiedzieć się jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Będzie mnie prosił o opinie i ewentualnie obarczy odpowiedzialnością.

- Dlaczego nie biorę udziału w tym zebraniu? - zapytał z urazą młodszy lekarz, gdy usiedli w poczekalni kliniki.

- Schnabe uważa, że jesteś zbyt wielkim entuzjastą, Gerhardzie. Podziwia twój zapał, ale jest ostrożny.

- Mój Boże, kto więcej wie o tym procesie niż ja? W końcu to ja go opracowałem! Z całym szacunkiem, Traupman, ale to moja specjalność, a nie twoja.

- Obaj o tym wiemy, ale nasz generał, który nie zna się na medycynie, nie jest w stanie tego zrozumieć. Jestem neurochirurgiem i zdobyłem pewną reputację dzięki operacjom mózgu, w związku z czym odwołuje się właśnie do reputacji, a nie prawdziwej wiedzy. A więc przekonaj mnie... O ile się orientuję, istnieje twoim zdaniem teoretyczna możliwość zmiany procesu myślowego bez uciekania się do narkotyków czy hipnozy... Teoria ta zakręca w jakimś stopniu na fantastykę naukową, ale nie tak wiele lat temu to samo mówiono o transplantacji serca czy wątroby. W jaki sposób przebiega ten proces?

- Właściwie sam odpowiedziałeś na swoje pytanie. - Gerhardt Kroeger roześmiał się. Oczy mu błyszczały. - Odejmij "trans" z transplantacji, ale dodaj "im".

- Implantacja?

- Implantujesz stalowe płytki, prawda?

- Oczywiście. W celu ochrony.

- Ja również... Wykonywałeś lobotomie, czy nie?

- Oczywiście. Aby zmniejszyć napięcia elektryczne.

- Właśnie użyłeś drugiego magicznego słowa, Hans. "Elektryczne" jak w elektrycznych impulsach, elektryczne impulsy mózgu. Po prostu dokonuję mikrokalibracji i podłączam do mózgu obiekt tak mały w porównaniu z płytką, że w czasie prześwietlenia stanowi jedynie ciemną plamkę.

- Co to takiego, u diabła?

- Komputerowy czip całkowicie kompatybilny z elektrycznymi impulsami mózgu osobnika.

- I co?...

- Za kilka lat indoktrynacja psychologiczna będzie należała do przeszłości. Pranie mózgu przejdzie do historii!

- Doprawdy?

- W ciągu minionych dwudziestu dziewięciu miesięcy przeprowadziłem eksperymenty... operowałem... trzydziestu dwóch pacjentów, często jednocześnie stosując pięć lub więcej wariantów... .

- Tak mnie poinformowano - przerwał mu Traupman. Pacjenci dostarczani z więzień i innych źródeł.

- Dobrani, Hans. Sami mężczyźni i wszyscy posiadający inteligencję i wykształcenie powyżej średniej. Ci, którzy pochodzili z więzień, mieli wyroki za takie przestępstwa jak defraudacje, sprzedaż tajemnic firmy, fałszowanie oficjalnych dokumentów państwowych w celu uzyskania korzyści osobistych. Przestępstwa wymagające pewnego doświadczenia i wyrafinowania, nie zaś brutalnej siły. Ludzie o skłonnościach do przemocy, podobnie jak osobnicy mniej inteligentni są bardzo łatwi do zaprogramowania. Muszę udowodnić, że mój proces może odnosić sukcesy na wyższym poziomie inteligencji.

- I udowodnisz to?

- "Dni ich są policzone", jak mówi Biblia.

- Skąd ta pesymistyczna nuta, Gerhardzie?

- Ponieważ jest jeden negatywny element. Konkretnie mówiąc, implant funkcjonuje najmniej dziewięć a najwyżej dwanaście dni.

- A co potem?

- Mózg go odrzuca. Pacjent dostaje nagle wylewu krwi do mózgu i umiera.

- Mózg mu eksploduje.

- Tak. Dwudziestu sześciu moich pacjentów zmarło w taki właśnie sposób. Ale ostatnich siedmiu zdołało przetrwać już od dziewięciu do dwunastu dni. Jestem przekonany, że dzięki rozwojowi technik mikrochirurgicznych będę w stanie przewyciężyć czynnik czasu. Ostatecznie, ale może to nastąpić po latach, pacjenci z implantem będą normalnie żyli. Politycy, generałowie i mężowie stanu na całym świecie będą znikali na kilka dni, a potem zostawali naszymi stronnikami.

- Ale obecnie, jeśli się nie mylę, jesteś przekonany, że Latham, ten amerykański agent, jest gotowy do wyekspediowania.

- Z całą pewnością. Sam zobaczysz. Jest czwarty dzień po implantacji, co oznacza, że pozostało minimum pięć, a maksimum osiem. Nasz personel w Paryżu, Londynie i Waszyngtonie informuje, że będzie potrzebny najwyżej czterdzieści do siedemdziesięciu dwóch godzin, ryzyko jest więc minimalne. W konsekwencji będziemy mogli zorientować się, co nasi wrogowie wiedzą o Bractwie, a dodatkową korzyścią będzie fakt, że Latham skieruje ich na niewłaściwy trop?

- Wróćmy do tematu, dobrze? - zaproponował Traupman wierząc się w białym plastikowym krześle. - Zanim przejdziemy do samych procedur, może wyjaśnisz, co konkretnie robi twój implant?

- Czy znasz się na komputerowych czipach, Hans?

- Minimalnie, tyle ile muszę. Zostawiam te sprawy moim technikom, podobnie jak anestezjologom poddawanie pacjenta narkozie. Mam co innego na głowie. Ale jestem pewien, że wyjaśnisz mi wszystko, czego nie wiem.

- Najnowsze mikroczipy mają zaledwie trzy centymetry długości i niecałe dziesięć milimetrów szerokości, a ich pojemność wynosi sześć megabajtów. Wystarczy, żeby pomieścić Goethego, Kanta i Schopenhauera. Po użyciu programatora EPROMu w celu wprowadzenia informacji do czipu, zaktywizowana zostaje pamięć stała i reaguje na przekazywane instrukcje głosowe w taki sam sposób, jak komputer na kody wprowadzone do programu przez operatora. Oczywiście, w mózgu następuje pewne opóźnienie. Proces myślowy dostosowuje się do warunków, do pracy na innej długości fali, ale też takie zjawisko może przekonać przesłuchującego, że jego rozmówca rzeczywiście myśli, przygotowując prawdziwą odpowiedź.

- Możesz to udowodnić?

- Chodź, pokażę ci. - Obydwaj mężczyźni wstali i Kroeger nacisnął czerwony guzik umieszczony z prawej strony ciężkich stalowych drzwi. Po kilku sekundach pojawiła się pielęgniarka z maską chirurgiczną w rękę. - Greto, to słynny doktor Hans Traupman.

- Tak, wiem - powiedziała siostra. - Czuję się zaszczycona widząc pana znowu, doktorze. Proszę, oto pańska maska.

- Tak, oczywiście poznaję panią! - zawołał radośnie Traupman. - Greta Frisch, jedna z najlepszych sióstr instrumentariuszek z jakimi kiedykolwiek pracowałem na sali operacyjnej. Moja droga, powiedziano mi, że pani odeszła z pracy, co w tak młodym wieku było nie tylko godne pożałowania, ale również dość niewiarygodne.
- Odeszłam, ale żeby wyjść za mąż, Herr Doktor. Za tego oto pana. - Greta skinęła głową w stronę uśmiechającego się szeroko Kroegera.
- Nie byłem pewien, czy ją jeszcze pamiętasz, Hans.
- Czy pamiętam? Nie zapomina się siostry Frisch, która odgaduje każdą twoją prośbę. Prawdę mówiąc, Gerhardzie, tylko zwiększyłeś swoją wiarygodność... Ale po co ta maska, Greto? Nie będziemy operowali.
- Mój mąż panu wyjaśni, doktorze. Ja nie bardzo orientuję się w tych sprawach, chociaż próbował mi wszystko wytłumaczyć.
- Chodzi o ROM, Hans, o pamięć stałą. W przypadku tego pacjenta nie chcemy dostarczać mu zbyt wielu obrazów dających się zidentyfikować, a twoja twarz mogłaby być zaliczona do tej właśnie kategorii.
- Ja również nic z tego nie pojmuję, siostrzo Frisch. No cóż, zabierajmy się do roboty. - Cała trójka przeszła przez drzwi do długiego, szerokiego korytarza, w którego bladezielonych ścianach widniały po obu stronach duże kwadratowe okna. Za nimi można było dostrzec przyjemnie urządzone pokoje, wyposażone w łóżko, biurko, leżankę, telewizor i radio. Z każdego pokoju prowadziły drzwi do łazienki z prysznicem, okna w zewnętrznych ścianach wychodziły na łąki porośnięte kołyszącymi się, wysokimi trawami i wiosennymi kwiatami. - Jeżeli są to pokoje pacjentów szpitala stwierdził Traupman - muszę je uznać za najprzyjemniejsze, jakie kiedykolwiek widziałem.
- Radia i telewizory są oczywiście odpowiednio zaprogramowane - rzekł Gerhardt. - Nadajemy nieszkodliwe audycje z jedynym wyjątkiem: w nocy przekazujemy odpowiednio spreparowane informacje dla poszczególnych pacjentów.
- Powiedz mi, czego mam się spodziewać - zapytał neurochirurg z Norymbergi.
- Zobacysz pozornie zupełnie nie zmienionego Harry'ego Lathama, który wciąż jest przekonany, że nas wywiódł w pole. W dalszym ciągu posługuje się swoim fałszywym nazwiskiem Alexander Lassiter i jest nam wyjątkowo wdzięczny.
- Dlaczego? - przerwał mu Traupman. - Dlaczego jest wdzięczny?
- Ponieważ wierzy, że miał wypadek, z którego ledwo uszedł z życiem. Wykorzystaliśmy jeden z naszych wielkich pojazdów górskich i zaaranżowaliśmy wszystko w bardzo przekonujący sposób. Przewróciliśmy samochód, "przygniatając" go i pozorując pożar... Tutaj pozwoliłem na użycie narkotyków i hipnozy... Natychmiast, żeby usunąć wspomnienia jego pierwszych chwil w dolinie.
- Jesteś pewien, że zostały usunięte? - Zatrzymali się w korytarzu i przybysz z Norymbergi popatrzył uważnie na Kroegera.
- Całkowicie. Szok "powypadkowy" połączony z dramatycznymi obrazami i wywołanym przez nas bólem stłumiły wszystkie wspomnienia związane z jego przybyciem. Zostały zablokowane. Pamięta jedynie krzyki, straszliwy ból i płomień, z którego ratownicy go wyciągali.
- Bódcze są psychologicznie spójne - zauważył neurochirurg kiwając głową. - A co z czynnikiem czasu? Jeżeli zdaje sobie z niego sprawę, jak mu wyjaśniłeś upływ czasu?
- To najmniejszy kłopot. Gdy się obudził, górną część czaszki miał grubo obandażowaną. Podawano mu łagodne środki uspokajające i powtarzano bez przerwy, że był poważnie ranny i przeszedł trzy kolejne operacje, znajdując się w długotrwałym stanie śpiączki, podczas której nie powiedział ani jednego słowa. Wytłumaczono mu, że gdyby oznaki życia nie były u niego tak wyraźne, poddałbym się i zrezygnował z dalszych prób ratowania go.
- Bardzo dobre sformułowanie. Jestem pewien, że czuje do ciebie wdzięczność... Czy wie, gdzie przebywa?
- O tak, niczego przed nim nie ukrywaliśmy.

- W takim razie, jak będziecie mogli go stąd wypuścić? Mój Boże, przecież zdradzi lokalizację doliny! Wyślą samoloty i zbombardują was, nie zostanie kamień na kamieniu!
 - To bez znaczenia, ponieważ jak von Schnabe niewątpliwie ci wyjaśni, my po prostu nie istniejemy.
 - Gerhardzie, proszę, wszystko po kolei. Nie zrobię nic dopóki mi tego nie wytłumaczysz.
 - Potem, Hans. Najpierw przywitaj się z naszym pacjentem, a wtedy wszystko zrozumiesz.
 - Droga Greto - Traupman odezwał się do żony kolegi. Czy twój małżonek w dalszym ciągu jest tą samą kierującą się logiką istotą ludzką, którą znałem do tej pory?
 - Tak, doktorze. Tę część, którą panu wyjaśni, dobrze rozumiem. Przekona się pan, że jest wyjątkowo błyskotliwa.
 - Ale najpierw zobacz naszego pacjenta. To następny pokój z prawej strony. Ale pamiętaj, nazywa się Lassiter, a nie Latham.
 - Co powinienem mu powiedzieć?
 - Cokolwiek zechcesz. Proponuję, żebyś pogratulował mu wyzdrowienia. No chodź.
 - Poczekam w dyżurce - oznajmiła Greta Frisch Kroeger.
- Dwaj lekarze weszli do pokoju, w którym Harry Latham, ubrany w szare flanelowe spodnie i koszulę z krótkimi rękawami, stał przy dużym oknie wychodzącym na górską łąkę. Górną część głowy miał obandażowaną. Słyszac odgłos otwieranych drzwi, odwrócił się i uśmiechnął.
- Cześć, Gerhardzie. Cudowny dzień, prawda?
 - Wychodziłeś na spacer, Alex?
 - Jeszcze nie. Możesz unieruchomić biznesmena, ale nie możesz człowiekowi zabronić myślenia o biznesie. Bawilem się cyframi. W Chinach czekają na przedsiębiorczych ludzi wielkie fortuny. Nie mogę się doczekać, żeby tam polecieć.
 - Czy mogę ci przedstawić doktora... Schmidta z Berlina?
 - Cieszę się, że pana widzę, doktorze. - Latham podszedł do niego wyciągając rękę. - Jestem również szczęśliwy, że w tym wspaniałym szpitalu znalazł się jeszcze jeden lekarz, na wypadek gdyby Gerhardt coś schrzanił.
 - Jak widzę, dotąd dobrze sobie radził - odparł Traupman, ściskając mu dłoń. - Ale słyszałem również, że był pan wyjątkowo zdyscyplinowanym pacjentem.
 - Chyba nie miałem wyboru.
 - Proszę mi wybaczyć tę maskę, Herr... Lassiter. Mam lekką gripę, a ordynator jest strasznym pedantem, jak powiadacie wy, Amerykanie.
 - Mogę powtórzyć to po niemiecku, jeżeli pan sobie życzy.
 - Prawdę mówiąc, wolałbym szlifować swój angielski. Gratuluje wyzdrowienia.
 - No cóż, doktor Kroeger miał w tym pewną zasługę.
 - Wie pan, pański przypadek zainteresował mnie z medycznego punktu widzenia. Jeżeli nie sprawi panu trudności, czy mógłby pan sobie przypomnieć, co się zdarzyło, gdy dotarł pan do naszej doliny?
 - Och. - Latham/Lassiter zamilkł na chwilę. Jego oczy nagle przestały widzieć Schmidta, zapatrzyły się gdzieś w przestrzeń. Chodzi panu o wypadek... Chryste, to było straszne. Wiele wydarzeń pamiętam niewyraźnie, są jakby rozmyte, ale pierwsza rzecz, którą sobie przypominam, to histeryczne krzyki. I wtedy uświadomiłem sobie, że tkwię przygnieciony burtą ciężarówki, a ciężki kawał metalu przyciska mi głowę. Nigdy jeszcze nie czułem takiego bólu. Wszędzie naokoło byli ludzie, próbowali podnieść ze mnie ten ciężar. Wreszcie uwolnili mnie i pociągnęli po trawie. Zacząłem krzyczeć, bo zobaczyłem ogień, poczułem żar i pomyślałem, że zaraz będę miał spaloną całą twarz. I wtedy zemdląłem - na cholernie długo, jak się okazało.
 - Koszmarne przeżycie. Ale jest pan na najlepszej drodze do całkowitego odzyskania zdrowia, panie Lassiter, i tylko to się liczy.
 - Jeżeli w Nowych Niemczech znajdzie pan jakiś sposób, żeby załatwić Gerhardtowi pałacyk nad Dunajem, zapłacę za niego.
- Oczy Lathama patrzyły już spokojnie, całkowicie skupione i uważne.

- Zrobileś dla nas wystarczająco dużo, Alex - odparł Kroeger i skinął głową w stronę Traupmana. - Doktor Schmidt chciał jedynie przywitać się z naszym hojnym dobroczyńcą, i upewnić się, że wykonałem wszystko tak, jak mnie uczył... Możesz iść na spacer, gdy tylko będziesz miał ochotę... po tym kiedy skończysz obmyślać, jak wyciągnąć z Azji nowe miliony.

- Nietrudne zadanie, proszę mi wierzyć. Daleki Wschód nie kocha pieniędzy, on je ubóstwia. Gdy uznasz, że jestem gotów do wyjazdu, Gerhardzie, Bractwo stanie się dzięki temu jeszcze bogatsze.

- Zawsze będziemy się za pana modlili, Alex.

- Dajcie sobie spokój z modlitwami, wystarczy, jeżeli stworzycie Czwartą Rzeszę.

- Zrobimy to.

- Do widzenia, panie Lassiter.

Traupman i Kroeger wyszli z pokoju i przeszli korytarzem do poczekalni.

- Miałeś rację - oznajmił neurochirurg z Norymbergi, siadając. - To rzeczywiście jest niezwykle!

- A więc aprobujesz to, co robię?

- Czyż mogłoby być inaczej? Każdy szczegół jest idealny. Nawet te jego niewidzące spojrzenie, chwile milczenia. Idealne. Dokonałeś cudu!

- Pamiętaj, Hans, że jednak istnieją pewne mankamenty. Przedstawiłem je uczciwie. Jestem w stanie gwarantować, że stabilnie będzie funkcjonował w ten sposób jedynie jeszcze przez pięć do ośmiu dni, nie więcej.

- Ale powiedziałaś, że Londyn, Paryż i Waszyngton twierdzą, iż ten okres wystarczy, prawda?

- Tak.

- A teraz wyjaśnij mi sprawę rzekomego nieistnienia tej doliny. To dla mnie wstrząs. Dlaczego?

- Nie jesteśmy już potrzebni. Ewakuujemy się i rozpraszamy. Przez minione lata indoktrynowaliśmy... wyszkoliliśmy... ponad dwadzieścia tysięcy uczniów...

- Podoba ci się słowo "indoktrynowaliśmy", prawda? - wtrącił Traupman.

- Dobrze oddaje istotę rzeczy. Nie tylko prawdziwie i głęboko wierzą w nasze ideały, ale również są przywódcami, zarówno niższego, jak i potencjalnie wysokiego szczebla... Są rozmieszczani wszędzie, przede wszystkim na terenie Niemiec, ale ci, którzy przejawiają zdolności językowe i dysponują odpowiednimi umiejętnościami, są wysyłani do innych krajów i odpowiednio finansowani. Tam pozostają w gotowości do zajęcia swoich miejsc w starannie dobranych zawodach.

- Osiągnęliśmy aż tak wiele? Nie miałem pojęcia.

- Najwyraźniej spieszyłeś się tak bardzo, że nie zauważyłeś, iż przebywa tu o wiele mniej osób. Ewakuacja zaczęła się już przed wieloma tygodniami i nasze dwa górskie pojazdy pracują dzień i noc wywożąc personel oraz wyposażenie. Zupełnie jakby mrówki opuszczały jedno mrowisko i przenosiły do drugiego. Naszym celem i przeznaczeniem są Nowe Niemcy.

- A co z tym Amerykaninem, Harrym Lathamem? Czy ma wyznaczoną jakąś inną rolę, czy chodzi tylko o wydobywanie z niego informacji, co zapewne można by osiągnąć za pośrednictwem płatnych informatorów? A może posłużył do udowodnienia, że twoja teoria może być wykorzystana w przyszłości?

- To, czego się od niego dowiemy, będzie oczywiście miało swoją wartość i wiąże się z koniecznością zastosowania z bliskiej odległości zminiaturyzowanego komputera. Da się go łatwo ukryć w jakimś niewielkim przedmiocie. Ale Harry Latham ma o wiele ważniejsze zadanie do spełnienia. Jeżeli sobie przypominasz, mówiłem już, że dzięki niemu nasi wrogowie zostaną wpuszczeni w maliny. Ale to, co dotychczas ujawniłem, jest tylko prześlizgnięciem się po temacie.

- Mów, Gerhardzie. Przecież niemal przebierasz nogami z podniecenia.

- Latham przyznał, że pracuje nad obliczeniami związanymi z jego planami zarobienia milionów na ekonomicznej ekspansji Chin, prawda?

- Przypuszczam, że ma rację.

- Nie, Hans, te liczby nie mają nic wspólnego z finansami. Są kodami, które opracował, żeby niczego nie zapomnieć, kiedy uda mu się ucieczka.
- Ucieczka?
- Oczywiście, ma swoje zadanie do wykonania i jest zawodowcem. Naturalnie pozwolimy mu na to.
- Na litość boską, wyrażaj się jaśniej!
- Podczas spędzonych tu tygodni, w trakcie naszych zebrań, lunchów i obiadów dostarczyliśmy mu setek nazwisk, Francuzów, Niemców, Anglików i Amerykanów.
- Jakich nazwisk? - przerwał ze zniecierpliwieniem Traupman.
- Tych mężczyzn i kobiet w Niemczech i za granicą, którzy potajemnie nas wspierają, wnoszą poważny wkład finansowy w naszą sprawę, krótko mówiąc ludzi wpływowych, dysponujących władzą, a działających na rzecz Bractwa.
- Zwariowałeś?
- Wśród tej zakonspirowanej elity - ciągnął dalej Kroeger, nie dając dojść do głosu Traupmanowi, który gwałtownie usiłował mu przerwać - znajdują się amerykańscy kongresmani i senatorzy, osoby na kierowniczych stanowiskach w przemyśle i środkach masowego przekazu. A także członkowie brytyjskiego establishmentu, bardzo przypominający grupę Cliveden, dzięki której Hitler miał swoich popleczników w Wielkiej Brytanii, oraz ludzie mający wpływ na działalność wywiadu brytyjskiego...
- Chyba zwariowałeś...
- Proszę, Hans, daj mi skończyć... W Paryżu mamy wpływowych sympatyków na Quai d'Orsay, w Izbie Deputowanych, nawet w Deuxieme Bureau. I wreszcie w samych Niemczech zjedналиśmy sobie wielu przedstawicieli władz w Bonn. Tęsknią za dawnymi czasami, zanim faterland został skażony wrzeszczącymi słabeuszami, którzy chcą wszystkiego, nie dając nic w zamian, podlejszymi rasami, które niszczą nasz naród. Latham dysponuje wszystkimi informacjami, wszystkimi nazwiskami. Jako doskonale wyszkolony oficer wywiadu, zapamięta i przekaże ogromną większość tych nazwisk.
- Jesteś obłąkany, Kroeger! Nie dopuszczę do tego!
- Och, musisz dopuścić, doktorze Traupman. Rozumiesz, poza niewielką ilością naszych autentycznych zwolenników, których poświęcimy w celu uwiarygodnienia jego informacji, wszystko, co Harry Latham ukrywa w swojej pamięci, jest dezinformacją. Nazwiska, które ma w głowie i szyfruje swoim kodem, rzeczywiście mają dla nas kluczowe znaczenie, ale tylko dlatego że chcemy doprowadzić do zdyskredytowania, a nawet całkowitego zniszczenia tych ludzi. Ponieważ tak naprawdę są naszymi zdecydowanymi i to niekiedy bardzo głośno to manifestującymi przeciwnikami. Gdy tylko ich nazwiska zostaną w tajemnicy rozpowszechnione przez światową sieć wywiadów, zacznie się polowanie na czarownice. A gdy najbardziej wpływowi upadną, dzięki oficjalnym podejrzeniom i rozpowszechnianym insynuacjom, powstałe puste miejsca zostaną zajęte przez naszych ludzi... tak, naszych uczniów, Hans. Zwłaszcza w Ameryce, u naszego najpotężniejszego wroga, ponieważ jest on również szczególnie wyczulony na sprawę działalności spiskowej. Wystarczy przypomnieć sobie działalność czerwonych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Cały naród został sparaliżowany strachem, dziesiątki tysięcy ludzi zostało uznanych za skażonych prosowieckimi sympatiami, całe gałęzie przemysłu poddały się paranoi, kraj został osłabiony od wewnątrz. Komuniści wiedzieli, jak to robić. Moskwa, jak się dowiedzieliśmy, przekazywała w tajemnicy swoim poplecznikom zarówno pieniądze, jak i fałszywe informacje... A teraz podobną akcję może rozpocząć dla nas jeden człowiek. Harry Latham, pseudonim Sting.
- Mój Boże! - wyszeptał Traupman opadając na fotel. - Po prostu genialne. Ponieważ jest on jedynym, który zdołał przeniknąć do samego sedna, odnalazł dolinę. Będą musieli mu uwierzyć... Wszędzie. - Ucieknij dzisiaj w nocy.

ROZDZIAŁ 4

Heinrich Kreitz, niemiecki ambasador w Republice Francuskiej, był niskim, szczupłym mężczyzną w wieku siedemdziesięciu lat, o chudej twarzy, jedwabistych siwych włosach i wiecznie przymrużonych, smutnych orzechowych oczach. Ten wieloletni profesor Uniwersytetu w Wiedniu, wybitny specjalista zajmujący się sprawami polityki europejskiej, został wyrwany z zacisza swojego gabinetu i uczyniony członkiem korpusu dyplomatycznego przede wszystkim dzięki licznym pracom analizującym historię stosunków międzynarodowych w dziewiętnastym i dwudziestym wieku. Te obszernie artykuły zostały zebrane w dziele zatytułowanym Dialog między narodami, które stało się podstawą działania dyplomatów prawie wszystkich krajów, jak również podręcznikiem dla studentów zajmujących się sprawami międzynarodowymi na wszystkich uniwersytetach całego cywilizowanego świata. Była 9.25 rano i Kreitz siedzący przed biurkiem ambasadora Stanów Zjednoczonych patrzył w milczeniu na Drew Lathama, stojącego z lewej strony Courtlanda. Moreau, z Deuxieme zajął miejsce na kanapie pod ścianą.

- Wina mojego kraju jest moją hańbą - oznajmił wreszcie Kreitz. Głos ambasadora pełen był smutku, podobnie jak jego oczy. - Wina polegająca na tym, że pozwoliliśmy, aby takie potwory, tacy zbrodniarze, mogli rządzić naszym narodem. Uczynimy wszystko co w ludzkiej mocy, aby wyplenić ich i zniszczyć do końca. Pragnę, aby panowie zrozumieli, że mój rząd jest zdecydowany ich zdemaskować i zamknąć za kratkami, choćby nawet oznaczało to konieczność wybudowania dla nich tysiąca nowych więzień. Doskonale zdajecie sobie sprawę, panowie, że zwłaszcza my, Niemcy, nie możemy dopuścić do ich dalszego istnienia.

- Wiemy o tym, Monsieur l'Ambassadeur - odezwał się Claude Moreau. - Ale wydaje się, że postępujecie dość dziwnie. Wasza Polizei zna przywódców tych fanatyków przynajmniej w kilkunastu miastach. Dlaczego nie są aresztowani?

- Tam, gdzie można im udowodnić stosowanie przemocy, są aresztowani. W naszych sądach wokandy pełne są takich spraw. Ale tam, gdzie mamy do czynienia jedynie z różnicą poglądów, musimy przestrzegać zasad demokracji. Posiadamy takie same wolności obywatelskie, które pozwalają we Francji na prowadzenie pokojowych strajków, a w Stanach Zjednoczonych zapewniają prawo do zgromadzeń. Prawo, którego rezultatem są marsze na Waszyngton, kiedy to mężczyźni i kobiety wygłaszają z trybun i - jak się to mówi? ach tak! - ze skrzynek po mydle płomienne przemowy adresowane do ich zwolenników. Wiele z praw obu waszych krajów, panowie, dopuszcza tego rodzaju przejawy niezadowolenia z rządu. Czy mamy więc uciszyć wszystkich, którzy nie zgadzają się z Bonn, nie wyłączając tych, co zapelniają place i ulice, demonstrując przeciwko neonazistom?

- Nie, do diabła! - zawołał Latham. - Ale musicie coś zrobić, żeby neonazistów uciszyć! To nie my wybudowaliśmy obozy koncentracyjne, komory gazowe i nie my dokonywaliśmy eksterminacji całego narodu! To wasze dzieło, do cholery!

- Powtarzam, że naszą hańbą jest fakt, że dopuściliśmy do tego... Tak samo jak wy, Amerykanie, dopuściliście do trzymania w niewoli całego narodu i odwracaliście głowy, gdy linczowano czarnych w waszych południowych stanach. A poczynania Francuzów w Afryce Równikowej i koloniach na Dalekim Wschodzie? My wszyscy mamy w historii naszych narodów mroczne karty, ale jednocześnie poczuwamy się za nie do odpowiedzialności.

- Heinrichu, to, co mówisz nie tylko nie ma sensu, ale również jest nie na temat. Sam wiesz o tym doskonale - z zaskakującą stanowczością oświadczył ambasador Courtland. - Wiem o tym, ponieważ czytałem twoją książkę. Nazywasz to "perspektywą realiów historycznych". Uwzględnianiem prawdy historycznej. Nie możesz jednak w tych kategoriach usprawiedliwiać Trzeciej Rzeszy.

- Nigdy tego nie robiłem, Danielu - odparował Kreitz. Zdecydowanie potępiałem Rzeszę za tworzenie fałszywych prawd, aż zbyt chętnie przyjmowanych przez gnębiony kryzysem naród. Teutońska mitologia stała się narkotykiem, który zaraził słabych, rozczarowanych, głodnych ludzi nieracjonalnym myśleniem. Czy nie pisałem o tym jasno?

- Owszem, pisałeś - przytaknął amerykański ambasador, kiwając głową. - Powiedzmy, że chciałem ci o tym przypomnieć. - Przyjmuję do wiadomości. Jednak podobnie jak ty chronisz interesy Waszyngtonu, ja mam swoje zobowiązania wobec Bonn... A więc, co postanawiamy? Chcemy przecież tego samego.
- Proponuję Monsieur l'Ambassadeur - rzekł Moreau wstając z kanapy - żeby udzielił mi pan pozwolenia na poddanie obserwacji pewnej liczby osób z personelu wyższego szczebla ambasady.
- Czemu to może służyć poza naruszeniem immunitetu dyplomatycznego zaprzyjaźnionego państwa? Znam ich wszystkich. Są przyzwoitymi, ciężko pracującymi ludźmi, dobrze wyszkolonymi i godnymi zaufania.
- Nie może pan tego wiedzieć z całą pewnością, monsieur. Fakty są bezdyskusyjne: w Paryżu istnieje organizacja związana z nowym ruchem nazistowskim. Wszystko zdaje się świadczyć, że może to być centralna organizacja poza granicami Niemiec, równie ważna jak w waszym kraju, ponieważ może funkcjonować poza kontrolą niemieckiego prawa. Poza tym, choć nie znamy szczegółów transferów, z potwierdzonych źródeł wiadomo, że wielkie sumy przekazywane są z Francji dla ruchu neonazistowskiego. Niewątpliwie dzieje się tak za pośrednictwem organizacji, której korzenie mogą sięgać pięćdziesiąt lat wstecz. A więc widzi pan, Monsieur l'Ambassadeur, że mamy do czynienia z sytuacją, która wykracza poza schematy obyczajów dyplomatycznych.
- Oczywiście musicie na to uzyskać zgodę mojego rządu.
- Oczywiście - przytaknął Moreau.
- Informacje natury finansowej mogą być zakonspirowanymi kanałami przekazywane przez kogoś z personelu ludziom, którzy współpracują z tymi psychopatami - rzekł z namysłem Kreitz. Rozumiem, co miał pan na myśli, i jest to rzeczywiście niepokojące... A więc dobrze, udzielę panu odpowiedzi jeszcze dzisiaj. - Heinrich Kreitz odwrócił się w stronę Drew Lathama. - Mój rząd, oczywiście, pokryje wszystkie koszty poniesionych przez pana strat, Herr Latham.
- Niech pan doprowadzi do takiej współpracy, jaka jest nam potrzebna, albo pański rząd będzie odpowiedzialny za takie straty, jakich nigdy nie będziecie w stanie pokryć - odparł Drew. Historia może się powtórzyć.
- Nie ma go tu! - zawołała przez telefon Giselle Villier. Monsieur Moreau z Deuxieme Bureau był tu cztery godziny temu i opowiedział o tych strasznych rzeczach, które zdarzyły się ubiegłej nocy panu i Henri Bressardowi. Mój mąż robił wrażenie, że przyjmuje do wiadomości polecenie, aby się nie wtrącać w tę sprawę. Mais, mon Dieu. Zna pan aktorów! Mogą przekonująco powiedzieć panu wszystko prosto w oczy, myśląc jednocześnie coś zupełnie innego.
- Czy wie pani, gdzie on jest? - spytał Drew.
- Wiem, gdzie go nie ma, monsieur! Po wyjściu Moreau mój mąż sprawiał wrażenie, że zrezygnował ze swojego pomysłu i powiedział mi, że pójdzie do teatru na próbę czytaną. Wyjaśnił, tak jak zresztą robił to już wielokrotnie, że jego obecność na takich próbach pomaga innym aktorom. Nie przyszło mi do głowy, żeby wątpić w jego słowa. Ale potem Henri zadzwonił z Quai d'Orsay i chciał koniecznie rozmawiać z JeanPierrem. Powiedziałam mu, żeby zatelefonował do teatru...
- Ale pani męża tam nie było - przerwał jej Latham.
- Nie tylko go tam nie było, ale próba czytana miała odbyć się jutro, a nie dzisiaj!
- Myśli pani, że zaczął realizować swój plan, ten, który opisał nam ubiegłej nocy?
- Jestem tego pewna i boję się śmiertelnie.
- Proszę się uspokoić. Deuxieme ma go pod swoją ochroną. Będą wszędzie za nim chodzić.
- Nasz nowy przyjacielu, Drew Lathamie, a mam nadzieję, że jest pan naszym przyjacielem...
- Z pewnością. Proszę mi wierzyć.
- Doprawdy nie zna pan możliwości utalentowanych aktorów. Mogą wejść do jakiegoś domu, wyglądając zupełnie zwyczajnie, jak co dzień, a wyjdą z niego jako ktoś zupełnie inny.

Wypchana koszula pod marynarką, workowate spodnie, inny chód, i niech Bóg ma nas w opiece, jeżeli w tym domu był sklep z odzieżą.

- Przypuszcza pani, że mógł zrobić coś takiego?

- Dlatego właśnie tak się boję. Gdy rozmawialiśmy ubiegłej nocy, był naprawdę zdeterminowany, a JeanPierre jest niezwykle stanowczym człowiekiem

- O tym właśnie mówiłem Bressardowi, gdy wiozł mnie do ambasady.

- Wiem. Dlatego Henri tak bardzo chciał z nim porozmawiać. Chciał jeszcze raz wyperswadować mu mieszanie się w tę sprawę.

- Sprawdzę u Moreau.

- Dziękuję, zadzwoni pan potem do mnie?

- Oczywiście. - Drew odłożył słuchawkę, odszukał w spisie numer Deuxieme Bureau i poprosił o połączenie z jego szefem. Tu Latham - przedstawił się.

- Spodziewałem się pańskiego telefonu, monsieur. Cóż mogę powiedzieć? Acteur wyprowadził nas w pole, jest zbyt sprytny. Poszedł do Hal, które same w sobie są cyrkiem na kółkach. Te wszystkie stoiska: mięso, kwiaty, kurczaki, legumes - zupełny chaos. Przeszedł przez część, gdzie handlują rzeźnicy, i ani jeden z moich ludzi nie widział, żeby wyszedł z drugiej strony! - Szukali kogoś, kim już nie był. Co ma pan zamiar teraz zrobić?

- Moje grupy przeszukują wszystkie ulice nie ciesząc się dobrą opinią. Musimy go odnaleźć.

- Nie uda się wam.

- Dlaczego?

- Bo to najlepszy francuski aktor. Ale dziś wieczorem musi pojawić się w teatrze. Na litość boską, niech pan tam będzie i jeżeli będzie pan musiał, niech mu pan nakaże areszt domowy... Jeżeli Villier jeszcze żyje.

- Proszę, niech pan nie sugeruje...

- Ja chodziłem po tych ulicach, Moreau, a pan chyba nie. Jest pan na to zbyt wybredny. Pańskie wyrafinowane operacje nie mają nic wspólnego z paryskimi kanałami, w których najprawdopodobniej Villier teraz przebywa.

- Pański zarzut jest zupełnie bezpodstawny. Wiemy o tym mieście więcej niż ktokolwiek na świecie.

- Doskonale. W takim razie szukajcie go.

Drew odłożył słuchawkę, zastanawiając się, do kogo jeszcze mógłby zadzwonić, co mógłby zrobić. Jego rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi.

- Wejść - zawołał ze zniecierpliwieniem. Do pokoju weszła atrakcyjnie wyglądająca, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta o ciemnych włosach i w dużych okularach w rogowej oprawce. W ręku trzymała grubą teczkę z aktami.

- Sądzę, że znaleźliśmy materiały, o które pan prosił, monsieur.

- Przepraszam, ale kim pani jest?

- Nazywam się Karin de Vries, proszę pana. Pracuję w dziale Dokumentacji i Analiz.

- Eufemistyczne określenie wszystkich materiałów: od "delikatnych" do "o najwyższym stopniu tajności".

- Nie tylko, monsieur Latham. Dysponujemy również mapami drogowymi, a także rozkładami komunikacji lotniczej i kolejowej.

- Jest pani Francuzką.

- Właściwie Flamandką - poprawiła. Mówiła cicho, ale jej wymowa była wyraźna. - Spędziłam jednak wiele lat w Paryżu, między innymi studiując na Sorbonie.

- Mówi pani doskonale po angielsku.

- A także po francusku, niderlandzku, w tym oczywiście również dialektem flamandzkim i walońskim, oraz po niemiecku przerwała mu spokojnie de Vries.

- Prawdziwy talent.

- Nic nadzwyczajnego, może poza umiejętnością szybkiego czytania, znajomością pojęć abstrakcyjnych i idiomów.

- Dlatego jest pani w D. i A.

- Takie były wymagania.
 - Oczywiście... Co pani dla mnie znalazła?
 - Prosił nas pan, żeby zbadać przepisy Ministerstwa Finansów i zorientować się, czy istnieją jakieś luki w prawodawstwie dotyczącym inwestycji zagranicznych.
 - Zobaczymy.
- Kobieta obeszła biurko, położyła teczkę przed Drew i otworzyła wyjmując ze środka plik wydruków komputerowych.
- Mnóstwo danych, panno de Vries - mruknął Latham. Zapoznanie się z nimi zajmie mi tydzień, którego nie mam. Świat finansów nie jest moją najsilniejszą stroną.
 - Och, nie, monsieur, większość tych materiałów zawiera wyciągi z przepisów potwierdzających nasze wnioski i precedensy związane z ludźmi, których złapano na ich naruszaniu. Nazwiska i krótkie omówienia dokonywanych przez nich manipulacji zajmują jedynie sześć stron.
 - Dobry Boże, to o wiele więcej niż prosiłem. I udało się pani dokonać tego w ciągu pięciu godzin?
 - Mamy wspaniały sprzęt, a ministerstwo było wyjątkowo chętne do współpracy. Nawet zgodziło się na udostępnienie kodów dostępu dla naszych modemów.
 - Nie protestowali przeciwko naszemu wściubianiu nosa?
 - Wiem, z kim się kontaktować. Ta osoba doskonale rozumie, czego pan szuka i dlaczego.
 - A pani?
 - Nie jestem ślepa ani głucha, monsieur. Przez Szwajcarię przesyłane są ogromne fundusze do Niemiec, przeznaczone dla rozmaitych, zakonspirowanych osób lub na konta. Wykorzystuje się przy przekazywaniu szwajcarską procedurę poddawania analizie spektrograficznej napisanych ręcznie numerów.
 - A po ich zidentyfikowaniu?
 - Natychmiast przekazuje się z powrotem do Zurichu, Berna czy Genewy, gdzie objęte są pełną tajemnicą. Nie można ich ani potwierdzić, ani zaprzeczyć.
 - Dużo pani wie o tych procedurach, nieprawdaż?
 - Pozwoli pan, że coś wyjaśnię, monsieur Latham. Pracowałam dla Amerykanów w NATO. Zostałam dopuszczona przez władze amerykańskie do materiałów o najwyższej klauzuli tajności, ponieważ często dostrzegałam i słyszałam rzeczy, które umykały uwadze Amerykanów. Dlaczego pan pyta? Ma pan wątpliwości?
 - Nie wiem. Może jestem zaszokowany pani wydajnością... To pani opracowała materiały w tej teczce, prawda? Samodzielnie, mam rację? Mogę dowiedzieć się w D. i A.
 - Tak - oznajmiła Karin de Vries stając przed Lathamem. Zobaczyłam pańskie zlecenie z czerwonym oznakowaniem w dokumentacji naszego kierownika wydziału. Otworzyłam je i przeczytałam. Wiedziałam, że dysponuję odpowiednimi kwalifikacjami, żeby się nim zająć, i zabrałam je.
 - Czy poinformowała pani przełożonego?
 - Nie. - Umilkła na chwilę, a potem dodała cicho. - Natychmiast się zorientowałam, że zdołam przeanalizować i opracować informacje szybciej, niż ktokolwiek w naszej sekcji. I przynoszę panu wyniki... po zaledwie pięciu godzinach.
 - Chce pani powiedzieć, że nikt inny w D. i A., nie wyłączając szefa pani sekcji, nie wie, że pracuje pani nad tą sprawą?
 - Szef wyjechał na cały dzień do Calais i nie widziałam powodu, żeby iść z tym do jego zastępcy.
 - Dlaczego? Nie potrzebowała pani zezwolenia? Ta sprawa wymagała specjalnego przydziału. Świadczył o tym czerwony znak.
 - Wyjaśniłam już panu, że zostałam prześwietlona i dopuszczona do pracy przez amerykańskie władze w NATO i przez waszych pracowników wywiadu tu, w Paryżu. Przyniosłam panu to, czego pan potrzebował, a moje osobiste motywy nie mają w tym przypadku żadnego znaczenia.

- Przypuszczam, że jednak mają. Ja również kieruję się paroma własnymi motywami, a to oznacza, że mam zamiar sprawdzić wszystko szczegółowo.
- Przekona się pan, że dane są dokładne i potwierdzone.
- Mam nadzieję. Dziękuję, panno de Vries, to wszystko.
- Jeżeli mogę pana poprawić, pani, nie panno de Vries. Jestem wdową. Mój mąż został zabity w Berlinie Wschodnim przez Stasi na tydzień przed obaleniem Muru... przez Stasi, monsieur. Nazwa się zmieniła, ale byli równie brutalni jak najgorsze jednostki gestapo i Waffen SS. Mój mąż, Frederik de Vries, pracował dla Amerykanów. Może pan sprawdzić dokładnie również i to. - Kobieta odwróciła się i wyszła z pokoju.
- Oszolomiony Latham patrzył, jak drzwi zamykają się tak gwałtownie, że niemal można było powiedzieć, iż zostały zatrzaśnięte. Podniósł słuchawkę i wybrał numer szefa ochrony ambasady. Gdy tylko przebrnął przez rozmowę z sekretarką, która ćwiczyła się w swojej szkolnej francuszczyźnie, według Drew gorszej od jego własnej, w słuchawce rozległ się głos kierownika służby bezpieczeństwa.
- Co się dzieje, Operacje Konsularne?
- Stanley, kim u diabła jest Karin de Vries?
- Błogosławieństwo zesłane nam przez facetów z NATO odparł Stanley Witkowski, trzydziestoparoletni weteran wywiadu wojskowego, pułkownik przeniesiony do Departamentu Stanu dzięki niezwykłym sukcesom odniesionym w G-2. - Jest szybka, błyskotliwa, obdarzona wyobraźnią, doskonale włada pięcioma językami. Dar niebios, przyjacielu.
- To właśnie chciałem wiedzieć. Kto ją przysłał?
- O co ci chodzi?
- Jej styl pracy jest trochę dziwny. Wysłałem do Analiz zapieczętowane zlecenie z czerwonym oznakowaniem; bez zezwolenia czy zlecenia wyjęła je z akt i opracowała samodzielnie.
- Czerwone oznakowanie? Istotnie dziwne, przecież wie, co to znaczy. Zlecenie ze znacznikiem musi być podpisane przez szefa sekcji i jego zastępcę, a wyznaczona osoba zaakceptowana i wpisana do rejestru.
- O tym właśnie myślałem. W przypadku tej operacji jestem szczególnie wrażliwy na punkcie przecieków i fałszywych informacji. Kto ją tu przysłał?
- Daj sobie spokój. Poprosiła o przeniesienie do Paryża i od głównodowodzącego w dół wszyscy uważają ją za szczerę złotą.
- Jest złota i tombak, Stan. Wtrąciła się w sprawy, które przekraczają jej klauzulę dostępu, i chce wiedzieć dlaczego. - Możesz mi podrzucić jakiś pomysł?
- Owszem. Dotyczy nowych złych facetów, którzy zaczynają znowu maszerować po Niemczech.
- Niezbyt mi to pomaga.
- Powiedziała, że jej mąż został zabity w Berlinie Wschodnim przez Stasi. Możesz to potwierdzić?
- Do diabła, nawet osobiście. Stacjonowałem po naszej stronie Muru, wylaząc ze skóry przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, aby nawiązać kontakt z naszymi ludźmi po tamtej stronie. Freddie de Vries był młodym, ostrym jak brzytwa agentem. Złapali biednego sukinsyna, a kilka dni później Stasi przeszła do historii.
- A więc może mieć uzasadnione podstawy do poważnego, nawet obsesyjnego interesowania się wydarzeniami w Niemczech.
- Jasne, że tak. Wiesz, gdzie skierowała się większa część funkcjonariuszy Stasi, po tym jak Mur się rozsypał?
- Gdzie?.
- Prosto w szeroko otwarte ramiona skinheadów, tych przeklętych nazistów... A skoro mówimy już o Freddim de V., pracował z twoim bratem Harrym. Wiem o tym, ponieważ moje G-2 ich skontaktowało. Kiedy Harry dowiedział się o Freddim, był nie tylko

zmartwiony, ale wściekły jak wszyscy diabli. Zupełnie jakby był jego młodszym bratem, może takim jak ty.

- Dziękuję, Stanley. Mam wrażenie, że właśnie popełniłem błąd i obraziłem ją. Ale mimo wszystko istnieje parę luk, które trzeba będzie wypełnić.

- O co ci chodzi?

- W jaki sposób pani de Vries dowiedziała się o mnie?

JeanPierre Villier, zmieniony nie do poznania, z nosem dwa razy większym niż normalnie, opuchniętymi powiekami i w ubraniu składającym się ze szmat i łachmanów, kuśtykał po zaciętych zaułkach Montparnasse'u. Na bruku siedzieli pijacy oparci o mury, przygarbieni albo zwinięci w kłębek. Aktor bełkotał, podśpiewując pijacko.

- Ecoutez, écoutez gardezvous, mes amis! Miałem wiadomość od naszego drogiego kumpla Jodelle'a... Czy kogoś to interesuje, czy tylko marnuję mój cenny czas?

- Jodelle, to wariat! - rozległ się głos z lewej.

- Wplątuje nas w kłopoty! - zawołał ktoś z prawej. - Powiedz mu, niech idzie do diabła.

- Muszę odnaleźć jego przyjaciół, mówił mi, że to ważne!

- Idź do północnych doków nad Sekwaną, tam lepiej mu się śpi i kradnie. JeanPierre ruszył w stronę Quai des Tuileries, zatrzymując się przy każdej mrocznej uliczce oraz zaułku i zaglądając tam z mniej więcej tymi samymi rezultatami.

- Stary Jodelle to świnią. Nie częstuje swoim winem.

- Mówi, że ma przyjaciół na wysokich stanowiskach... i gdzie oni są?

- I ten wielki aktor, o którym mówi, że jest jego synem... co za pierdoly!

- Pijus ze mnie i nic mnie już nie obchodzi, ale nie będę gadał o moich przyjaciółkach. I wreszcie gdy Villier dotarł do nabrzeży powyżej Pont de Falma, usłyszał pierwszą informację od wynędzniałej starej kobiety. - Jodelle jest wariat, jasna sprawa, ale zawsze jest dla mnie miły. Przynosi mi kwiaty, oczywiście kradzione, nazywa wielką aktorką. Możesz w to uwierzyć?

- Tak, proszę pani, wierzę, że tak uważa.

- W takim razie jesteś taki sam wariat jak on.

- Być może, ale uważam, że jest pani uroczą kobietą.

- Ojciec! Twoje oczy! Są jak błękitne chmury na niebie. Jesteś jego duchem?

- On nie żyje?

- Kto wie? Kim jesteś?

I wreszcie wiele godzin później, gdy słońce zniknęło za wysokimi budynkami Trocadero, usłyszał inne słowa, które dobiegły go z uliczki o wiele ciemniejszej od poprzednich.

- Kto pyta o mojego przyjaciela Jodelle'a?

- Ja - odrzyknął Villier, zagłębiając się w mrok zaułku. Ty jesteś jego przyjacielem? - zapytał, klękając przy leżącym obdartym żebraku. - Muszę znaleźć Jodelle'a, mam pieniądze dla każdego, kto mi pomoże! O, zobacz! Pięćdziesiąt franków.

- Dawno już nie widziałem pięćdziesięciu franków.

- Więc je sobie obejrzyj. Gdzie jest Jodelle, dokąd poszedł? Och, powiedział, że to tajemnica...

- Ale tobie ją zdradził.

- Tak, byliśmy jak bracia...

- A ja jestem jego synem. Powiedz mi.

- Dolina Loary, straszny człowiek w dolinie Loary, wiem tylko tyle - wyszeptał nędzarz. - Nikt nie wie, kim jest. W jaskrawym prostokacie wlotu uliczki, pojawiła się nagle czarna, sylwetka - mężczyzna, który byłby równy wzrostem JeanPierre'owi, gdyby aktor nie garbił się teraz i nie pochylał. - Czemu pytasz o starego Jodelle'a? - zainteresował się.

- Muszę go odnaleźć, proszę pana - odparł Villier dygocącym, jęczącym głosem. - Wie pan, on jest mi winien pieniądze i szukam go od trzech dni.

- Obawiam się, że nie odbierzesz swojego długu. Nie czytasz gazet?

- Po co mam wydawać pieniądze, żeby czytać o czymś, co mnie nie dotyczy? Mogę się śmiać z komiksów w jakiejś wyrzuconej wczorajszej gazecie, czy nawet z ubiegłego tygodnia.
- Stary włóczęga, zidentyfikowany jako Jodelle, zabił się wczoraj wieczór w teatrze.
- O sukinsyn! Był mi winien siedem franków.
- Coś ty za jeden, stary? - zapytał przybysz podchodząc do JeanPierre'a i przyglądając mu się w półmroku.
- Jestem Auguste Renoir i maluję obrazy. Czasem jestem monsieur Monetem, a często tym Holendrem Rembrandtem. Na wiosnę lubię być Georges'em Seurat, a w zimie kulawym ToulouseLautrekiem, ze względu na te ciepłe burdele. Muzea są cudownymi miejscami, gdy pada i jest zimno.
- Stary wariat! - Mężczyzna odwrócił się i ruszył w stronę ulicy, ale Villier pokuśtykał za nim szybko.
- Monsieur! - zawołał.
- Co jest? - Mężczyzna zatrzymał się.
- Ponieważ przyniósł mi pan tę złą wiadomość, to chyba powinien mi pan zapłacić te siedem franków.
- Dlaczego? Z jakiej niby racji?
- Ukradł mi pan nadzieję.
- Co ci ukradłem?
- Nadzieję, oczekiwanie. Nie pytałem pana o Jodelle'a, sam mnie pan zaczepił. Skąd pan wiedział, że pytałem o niego? - Wywrzaskiwałeś jego nazwisko kilka minut temu.
- I taka błahostka sprawiła, że włązi pan do mego życia i niszczy moje marzenia? Być może powinienem zapytać, kim pan jest, monsieur. Jest pan zbyt dobrze ubrany, aby być znajomym mego przyjaciela Jodelle'a, tego sukinsyna! Kim Jodelle jest dla pana? Dlaczego pan tu przyszedł?
- Jesteś świr - rzekł mężczyzna i sięgnął do kieszeni. - Masz tu dwadzieścia franków. Weź je razem z przeprosinami za to, że wtargnąłem w twoje życie.
- Och, dziękuję panu, dziękuję! - JeanPierre odczekał, aż zagadkowy nieznajomy wyjdzie na oświetlony słońcem trotuar, a potem dobiegł do wyjścia z uliczki i kiedy zerknął za róg, zobaczył, jak mężczyzna podchodzi do zaparkowanego dwadzieścia metrów dalej samochodu. Ponownie udając na wpół szalonego paryskiego kloszarda, Villier wyszedł na ulicę, podskakując jak błazen i wykrzykując w stronę swojego dobrodzieja. - Niech ci błogosławi Bóg i Najświętsza Panienska, monsieur! Niech aniołowie z raję...
- Odwal się ode mnie, pijany durniu! Och, nie ma wątpliwości, pomyślał JeanPierre spoglądając na tablice rejestracyjne odjeżdżającego peugeot. Było już późne popołudnie, gdy Latham po raz drugi w ciągu osiemnastu godzin zjechał windą do podziemi ambasady. Tym razem skierował się jednak nie do Centrum Łączności, ale do działu Dokumentacji i Analiz. Wartownik z piechoty morskiej siedział przy biurku z prawej strony stalowych drzwi i przywitał Drew z uśmiechem.
- Jaka jest na górze pogoda, panie Latham?
- Nie tak chłodna i przyjemna jak tu u was, sierżancie. Ale w końcu macie tutaj najbardziej kosztowną klimatyzację.
- Jesteśmy bardzo delikatnego zdrowia. Chce pan wejść do naszej jaskini tajemnic i hard porno?
- Wyświetlają świńskie filmy?
- Sto franków za miejsce, ale wpuszczę pana za friko.
- Wiedziałem, że zawsze można liczyć na marines.
- A skoro już o tym mowa, chłopaki z drużyny chcą panu podziękować za darmość, którą nam pan zafundował w tej kawiarni w Grenelle.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie miał ochotę obejrzeć świński film... Prawdę mówiąc, właściciele tego lokalu są moimi starymi przyjaciółmi, a wasza obecność ma zbawienny wpływ na niektórych niepożądanych gości. -

Tak, powiedział nam o tym. Ubraliśmy się jak z igielki, zupełnie jakbyśmy wybierali się do operetki, albo coś w tym rodzaju. - Sierżancie - przerwał mu Drew i popatrzył uważnie na wartownika. - Znać Karin de Vries z D. i A.?

- Wymieniamy tylko "dzień dobry, dobry wieczór" i na tym koniec. Jest rzeczywiście atrakcyjną dziewczyną, ale wydaje mi się, że próbuje to ukryć. Na przykład pod tymi okularami, które muszą ważyć ze dwa kilogramy, i ciemnymi ubraniami, co zupełnie nie pasują do Paryża.

- Czy jest tu nowa?

- Chyba od jakichś czterech miesięcy. Przeniesienie z NATO. Mówią, że jest spokojna i trzyma się na uboczu, rozumie pan, o co mi chodzi?

- Chyba tak... No dobra, strażniku magicznych kluczy, załatw mi miejsce w pierwszym rzędzie.

- Przypadkowo jej gabinet jest właśnie w pierwszym rzędzie, trzeci pokój z prawej. Na drzwiach jest jej nazwisko.

- Podglądaliście?

- No jasne. Kiedy drzwi są zamknięte, patrolujemy cały ten rejon z bronią w rękę, na wypadek gdyby pojawili się nieproszeni goście.

- Ach tak, zamaskowani faceci. Powinni pokazywać was w filmach, oczywiście tych przyzwoitszych.

- Niech pan kogoś przekona. Obiad z przystawkami i deserem i tyle wina, ile zdołamy wypić, a wszystko za trzynaście dolców. I nerwowy właściciel biegający naokoło, opowiadający wszem i wobec, że jesteśmy jego najlepszymi przyjaciółmi i pewnie jego amerykańskimi krewnymi, którzy zjawią się w lokalu z bazookami, gdy tylko do nas zadzwoni w razie jakichś kłopotów? Co to miało być, scenariusz do Twardych chłopaków!

- Niewinne zaproszenie wystosowane przez szczerego wielbiciela Korpusu Piechoty Morskiej.

- Pański nos robi się coraz dłuższy, panie Pinokio.

- Skasowałeś mój bilet, pozwól mi więc przejść. Sierżant przycisnął guzik na biurku i od strony stalowych drzwi dobiegł ostry szczeł.

- Zapraszam do Pałacu Czarnoksiężnika. Latham wszedł do środka, w nieustający szum pracujących komputerów. Dział Dokumentacji i Analiz miał gabinety usytuowane po obu stronach centralnego korytarza. Podobnie jak w Centrum Łączności wszystko tu było białe, antyseptyczne i oświetlone neonowymi lampami przecinającymi niski sufit, jak dwa, jaskrawo świecące okrągłe pędy. Skierował się w prawo i podszedł do trzecich drzwi, na których znajdował się czarny plastikowy pasek z białymi literami MADAME DE VRIES. Nie Mademoiselle, ale Madame. No cóż, wdowa de Vries będzie musiała odpowiedzieć na parę pytań dotyczących Harry'ego Lathama i jego brata Drew. Zastukał.

- Proszę wejść - usłyszał. Otworzył drzwi i zobaczył zdziwioną twarz Karin de Vries siedzącej przy biurku pod lewą ścianą. Monsieur, zupełnie się pana nie spodziewałam - odezwała się i w jej głosie zabrzmiała nutka lęku. - Przepraszam za moje zachowanie. Nie powinnam była wychodzić w taki sposób.

- Ależ zupełnie się pani myli. To ja powinienem przeprosić. Rozmawiałem z Witkowskim...

- Ach tak, z pułkownikiem...

- I o tym właśnie musimy pomówić.

- Powinnam się domyślić - przerwała analityczka. - Tak, porozmawiamy, monsieur Latham, ale nie tutaj. Gdzie indziej. - Dlaczego? Zapoznałem się z wszystkim, co od pani dostałem, i nie mogę powiedzieć, że materiał jest dobry. Jest wyjątkowy. Niezbyt rozróżniam debet od aktywów, ale wszystko stało się dla mnie bardziej zrozumiałe.

- Dziękuję. Ale przyszedł pan do mnie z innego powodu, prawda?

- O czym pani mówi?

- Sześć przecznic dalej niedaleko Gabriel jest kawiarnia "Le Sabre d'Orleans". Mała i niezbyt uczęszczana. Niech pan przyjdzie tam za czterdzieści pięć minut. Będę w tylnym boksie.

- Nie rozumiem...

- Zrozumie pan. Dokładnie czterdzieści siedem minut później Drew wszedł do malej, zapuszczonej kafejki niedaleko avenue Gabriel. Zamrugnął znalazłszy się w ciemnym wnętrzu. Zaskoczył go tak nędzny wygląd lokalu w jednej z najdroższych dzielnic miasta. Znalazł Karin de Vries tam, gdzie zapowiedziała, że będzie, w boksie na końcu sali. - Przecież to jakaś spelunka - szepnął, siadając naprzeciwko.

- L'obstination du Franqais - wyjaśniła de Vries. - I nie ma potrzeby mówić tak cicho. Nikt nas nie usłyszy.

- Kto jest uparty?

- Właściciel. Proponowano mu mnóstwo pieniędzy za ten kawałek ziemi, ale odmawia sprzedaży. Jest bogaty, a kawiarnia należała do jego rodziny od wielu lat, na długo przedtem nim stał się bogaty. W dalszym ciągu zatrudnia wyłącznie krewnych. O, właśnie jeden z nich nadchodzi, niech się pan nie zdziwi. Wyraźnie pijany, leciwy kelner podszedł niepewnym krokiem do stolika.

- Co państwo zamówicie, nie mamy nic do jedzenia? - powiedział jednym tchem.

- Proszę szkocką whisky - odparł Latham po francusku.

- Nie mamy dziś szkockiej - wyjaśnił kelner i odbiło mu się. - Mamy wspaniałą wybór win i jakieś japońskie siki, które oni nazywają whisky.

- W takim razie białe wino. Chablis, jeżeli macie.

- Będzie białe.

- Dla mnie to samo - dodała Karin de Vries. Kelner zataczając się odszedł od stolika, a kobieta mówiła dalej: - Teraz pan rozumie, dlaczego lokal nie jest zbyt popularny. - Nie powinien w ogóle istnieć... Porozmawiajmy. Pani mąż pracował z moim bratem w Berlinie Wschodnim.

- Tak.

- I to wszystko, co może mi pani powiedzieć? Tylko "tak"? - Pułkownik już pewnie panu powiedział. Kiedy prosiłam o przeniesienie, nie wiedziałam, że jest pan w Paryżu. Gdy się zorientowałam, byłam zaskoczona i zdawałam sobie sprawę, że musi dojść do naszego spotkania.

- Dlaczego chciała pani tego przeniesienia?

- Ponieważ jest pan bratem Harry'ego Lathama, człowieka, którego Frederik i ja uważaliśmy za naszego drogiego przyjaciela.

- Znała pani Harry'ego aż tak dobrze?

- Freddie pracował razem z nim, chociaż te układy były poza protokołem.

- W tej dziedzinie nie ma protokołów.

- Co oznacza, że nie tylko ludzie Harry'ego, ani tym bardziej pułkownik Witkowski i jego wojskowy G-2, nie wiedzieli, że Harry był kontrolerem mojego męża. Nie mogło być najmniejszej informacji o ich związku w tej "dziedzinie", nawet cienia aluzji.

- Ale Witkowski powiedział mi, że pracowali razem.

- Po tej samej stronie, owszem, ale nie jako kontroler i łącznik. Nie przypuszczam, aby ktokolwiek nawet coś takiego podejrzewał.

- Czy zachowywanie takiej tajemnicy było konieczne, nawet wobec naszego kierownictwa?

- Tak.

- Dlaczego?

- Ze względu na rodzaj zadań jakie Frederik wykonywał dla Harry'ego, z własnej woli, entuzjastycznie. Gdyby pewne incydenty dały się powiązać z Amerykanami, konsekwencje byłyby straszliwe.

- Żadna ze stron nie miała zbyt czystych rąk, a niekiedy obydwie były upaprane po uszy. O co więc chodziło?

- Mam wrażenie, że o zabójstwa, tak przynajmniej mi sugerowano.

- Obie strony zabijały...

- Być może problem wiązał się z wysokimi stanowiskami wielu ofiar - przerwała mu Karin de Vries, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma, niemal błagalnie. - O ile dobrze zrozumiałam, wielu zajmowało takie wysokie pozycje - Niemcy hołubieni przez Moskwę,

przywódcy odpowiedzialni jedynie przed Kreml. Niech pan sobie wyobrazi, że burmistrzów waszych wielkich miast albo gubernatorów stanu Nowy Jork czy Kalifornii zabili sowieccy agenci. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- Coś takiego nie mogło się w ogóle zdarzyć. Byłoby całkowicie bez sensu. Moskwa nigdy nie wydałaby na to zgody.

- Zdarzało się i tutaj, a Moskwa tuszowała całą sprawę. Muszę stwierdzić, że bardzo sprytnie.

- Chce pani powiedzieć, że mój brat, kontroler pani męża, wydał rozkaz zabicia tych ludzi w Niemczech? To bzdura! Podobne pociągnięcie miałyby takie skutki, że w porównaniu z nim fiasko lotu U-2 wydałoby się nic nie znaczącym incydentem. Nie wierzę, droga pani. Harry jest zbyt sprytny, zbyt dobrze zorientowany, aby wydać podobne rozkazy. Nastąpiłyby masowe akty odwetu w Stanach, a każdy stanowiłby następny krok zbliżający świat do wojny nuklearnej. Czego nikt przecież nie chciał.

- Nie powiedziałam, że pana brat zlecał mojemu mężowi przeprowadzanie tych zamachów.

- W takim razie, o co pani chodzi?

- Że zostały wykonane, a Harry był kontrolerem Frederika.

- Twierdzi więc pani, że mąż...

- Tak - przerwała mu cicho Karin de Vries. - Freddie dobrze służył pańskiemu bratu, przenikając do Stasi. Udało mu się to tak dobrze, że urządzali przyjęcia na jego cześć, ceniąc go jako handlarza diamentami z Amsterdamu, pomagającego wzbogacać się ich aparatczykom. A potem zaczął się kształtować pewien schemat: wyjazdy Frederika zgadzały się czasem i miejscem z zabójstwami wpływowych energowców związanych z Kreml. Harry i ja, osobno i razem, wypytywaliśmy Frederika. Oczywiście zaprzeczał wszystkiemu i dzięki swojemu urokowi osobistemu oraz zdolnościom przekonywania - tym właśnie cechom, dzięki którym stał się tak doskonałym agentem - wmówił nam, że wszystko jest tylko zbiegiem okoliczności.

- W tych sprawach nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności.

- Dowiedzieliśmy się o tym, gdy Frederik został schwytany na tydzień przed obaleniem Muru Berlińskiego. Pod wpływem tortur połączonych ze stosowaniem narkotyków mój mąż przyznał się do zabójstw. Harry był wśród pierwszych pracowników wywiadu, którzy dotarli do centrali Stasi i dokładnie ją zbadali. Był wściekły z powodu śmierci Freddiego i dokładnie wiedział, czego szukać, kiedy to się stało. Znalazł kopię protokołu przesłuchania, zatrzymał ją i przyniósł mi później.

- W takim razie pani mąż był wolnym strzelcem i ani pani, ani mój brat nie zdołaliście go przejrzeć?

- Nie znał pan Freddiego. Miał swoje powody. Nienawidził wojowniczych Niemców, choć to uczucie nie obejmowało spokojnych, tolerancyjnych i często obarczonych poczuciem winy obywateli Zachodnich Niemiec. Rozumie pan, jego dziadkowie zostali rozstrzelani na miejskim placu przez pluton egzekucyjny Waffen SS w obecności wszystkich mieszkańców. Jaką popełnili zbrodnię? Przynosili żywność głodującym Żydom, których trzymano na ogrodzonym drutem kolczastym polu niedaleko kolejowej stacji przetokowej. Ale - co jest najbardziej bolesne - razem z jego dziadkami rozstrzelano siedmiu niewinnych mężczyzn, ojców rodzin, żeby dać przykład nieposłusznym obywatelom. Wywołana lękiem hipokryzja sprawiła, że cała rodzina de Vriesów została napiętnowana. Frederick został wychowany przez krewnych z Brukseli i bardzo rzadko mógł widywać swoich rodziców, którzy w końcu popełnili razem samobójstwo. Jestem przekonana, że straszliwe wspomnienia tych lat pozostały w pamięci Freddiego do chwili jego śmierci.

Zapadła cisza. I właśnie w tej chwili pijany kelner przyniósł im wino, rozlewając przy okazji połowę kieliszka na spódnie Drew. Kiedy odszedł, Latham zaproponował:

- Chodźmy stąd. Za rogiem jest przyzwoita restauracja.

- Również ją znam, ale wolałabym zakończyć naszą rozmowę tutaj.

- Dlaczego? Ten lokal jest koszmarny.

- Nie byłoby dobrze, gdyby widziano nas razem.

- Na litość boską, przecież pracujemy w jednej firmie. A przy okazji, dlaczego nie widziałem pani na naszych imprezach w ambasadzie? Jestem pewien, że zapamiętałbym panią.
 - Te przyjęcia niezbyt mnie interesują!, monsieur Latham. Prowadzę bardzo samotne i zupełnie szczęśliwe życie.
 - Sama?
 - Tak wybrałam.
- Drew wzruszył ramionami.
- W porządku. A więc zobaczyła pani moje nazwisko w spisach wysłanych do Hagi i ponieważ jestem bratem Harry'ego, poprosiła pani o przeniesienie. Dlaczego?
 - Powiedziałam już panu, że miałam klauzulę dopuszczającą do natowskich materiałów o najwyższym stopniu tajności. Sześć miesięcy temu odebrałam przekazane zabezpieczonym kanałem radiowym memorandum adresowane do głównodowodzącego i ponieważ jestem ciekawska, czemu dałam wyraz dzisiaj, przeczytałam je. Informowano w nim, że niejaki Drew Latham zostaje przeniesiony do Paryża z listami uwierzytelniającymi dla Quai d'Orsay, aby zbadać "niemiecki problem". Nie potrzeba było szczególnej wyobraźni, aby domyślić się, o co chodzi. Ten właśnie "niemiecki problem" zabił mojego męża. Pamiętałam również bardzo wyraźnie, że brat mówił o panu z wielkim przywiązaniem. Żałował, że poszedł pan jego śladami, ponieważ jest pan zbyt impulsywny i nie ma zdolności językowych.
 - Harry jest zazdrosny, bo mamusia zawsze bardziej mnie lubiła.
 - Żartuje pan.
 - Oczywiście. Prawdę mówiąc, sędzę, że myślała, wciąż myśli, że obaj jesteście trochę dziwni.
 - Ze względu na wasz zawód?
 - O nie, nie wie, czym się zajmujemy, a ojciec ma dość rozsądku, aby jej nie wtajemniczać. Jest przekonana, że pełnimy jakieś funkcje w Departamencie Stanu i całymi miesiącami podróżujemy gdzieś po świecie. Dlatego nie zdołaliśmy się ożenić, przez co ona nie może rozpuszczać swoich wnuków.
 - Moim zdaniem jej troska jest zupełnie uzasadniona.
 - Nie w przypadku synów zajmujących się tak specyficznym zawodem.
 - Harry przyznał jednak, że jest pan bardzo silny i dość inteligentny.
 - Dość inteligentny? Znowu przemawiała przez niego zazdrość. Zdobyłem w college'u dodatkowe stypendium dzięki moim występom w drużynie hokejowej w podstawówce. A on, kiedy tylko włożył łyżwy, natychmiast lądował na tyłku.
 - Znowu pan żartuje.
 - Nie, ani trochę. To święta prawda.
 - Miał pan stypendium?
 - Obaj mieliśmy. Nasz ojciec był doktorem archeologii i prowadził wykopaliska od Arizony po stary Irak. National Geographic Society i Explorer Club opłacały podróże ale tylko jego, bez żony i dzieci. Gdy na ekrany weszły te filmy, Harry i ja często się śmieliśmy i powtarzaliśmy: "Do diabła z "Zaginioną Arką", gdzie są dzieciaki Indiany Jonesa?"
 - Te aluzje są dla mnie niezbyt czytelne, chociaż jestem w stanie zrozumieć aspekt naukowy.
 - Nasz ojciec miał swoją pensję, więc nie żyło się nam najgorzej, ale na pewno nie byliśmy bogaci. Z ledwością można by nas zaliczyć do zamożnej klasy średniej. Musieliśmy mieć stypendia... A teraz, kiedy wysłuchała już pani historię mojego życia, a ja dowiedziałem się o pani mężu więcej, niż miałbym ochotę... co mi pani powie o sobie? Skąd się pani wzięła, pani de Vries?
 - Nieistotne...
 - Tak, już to pani mówiła, ale tego nie kupuję. Zanim pani awansuje w ambasadzie, szczególnie w D. i A., lepiej będzie, jeżeli pani wyjaśni mi tę sprawę.
 - Nie wierzy pan w ani jedno moje słowo...
 - Wierzę w to, co mi potwierdził Witkowski, ale w pozostałych kwestiach nie mam tej pewności.

- W takim razie, niech pan idzie do diabła, monsieur! - Karin de Vries podniosła się od stolika, gdy ponownie zjawił się pijany kelner. - Czy jest tu ktoś, kto się nazywa Lafam? - zapytał.
- Latham?
- Tak, to ja.
- Jest do pana telefon. Będę musiał dodać trzydzieści franków do pańskiego rachunku. - I poczłapał dalej.
- Niech pani poczeka ~ powiedział Drew. - Uprzedziłem Łączność, gdzie będę.
- A dlaczego miałabym czekać?
- Ponieważ panią proszę. Naprawdę proszę. - Latham wstał i szybkim krokiem podszedł do telefonu stojącego na końcu brudnego baru. Podniósł słuchawkę leżącą w kałuży zwiędzłego wina i odezwał się. - Tu Latham.
- Mówi Durbane - odezwał się głos. - Łączę cię przez szyfrator z dyrektorem Sorensonem w Waszyngtonie. Jesteś czysty po obu stronach. Możesz mówić.
- Drew?
- Tak jest...
- Stało się! Właśnie dostaliśmy wiadomość od Harry'ego! On żyje!
- Gdzie jest?
- Według naszych danych, gdzieś w Alpach Hausruck. Otrzymaliśmy telefon od antyfaszystów w Obernbergu z informacją, że zorganizowali mu ucieczkę, i z prośbą, abyśmy otworzyli nasze zabezpieczone kanały przerzutowe od Passau do Burghausen. Nie chcieli ujawnić tożsamości, ale muszą być autentyczni.
- Dzięki Bogu! - zawołał z ulgą Latham.
- Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei. Powiedzieli, że będzie musiał pokonać prawie trzydzieści kilometrów po zaśnieżonych górach, zanim zdołają dotrzeć do niego.
- Nie znasz Harry'ego. Przedostanie się. Może jestem mocniejszy, ale on był zawsze bardziej twardy.
- O czym ty mówisz?
- Mniejsza o to. Wracam do ambasady i będę czekał. - Latham odłożył słuchawkę i skierował się do stolika. Karin de Vries już tam nie było.

* * *

ROZDZIAŁ 5

Kolumna postaci brnęła przez śnieg wśród długich wieczornych cieni pokrywających zbocza górskiego grzbietu. Oświetlenie zapewniały jedynie reflektory dwóch wielkich pojazdów i latarki strażników. Harry Latham zeskoczył z ciężarówki; czuł, że w miarę jak zbliża się do mostu nad dopływem rzeki Salzbach, ból głowy mu ustępuje. Może tego dokonać! Gdy tylko przejdzie przez wąski most, odnajdzie drogę. Zapamiętał szlak i zrobione znaki, tysiące razy przypominał je sobie w czasie tak zwanej rekonwalescencji, którą równie dobrze można by nazwać przetrzymywaniem go w charakterze zakładnika. Nie mógł jednak dłużej ukrywać się w tym wysokogórskim pojeździe, ponieważ pojazdy były przeszukiwane i każdy element wyposażenia sprawdzany ze spisem. Musiał dołączyć do kolumny Sonnenkinder wyruszających na spotkanie swojej niepewnej przyszłości w Niemczech i całej Europie, maszerujących przy akompaniamencie pieśni o czystości rasy, słuszności aryjskiej sprawy i zagładzie niższych ras. Gdy przechodzili przez most, Harry śpiewał najgłośniej ze wszystkich i jego zapal nagrażany był uśmiechami i pełnymi aprobaty spojrzeciami. Jeszcze chwila! Już! Kolumna skręciła na prawo zagłębiając się w smaganą śniegiem noc, a Harry, korzystając z krótkiej, lecz gwałtownej zadymki, pochylił się i zgięty wpół skoczył w lewo. Czujny strażnik dostrzegł go i wycelował z pistoletu.

- Nein! - powiedział dowódca oddziału, chwytając żołnierza za rękę. - Verboten. Ist schon gut! Człowiek znany pod pseudonimem Sting brnął przez sięgający do kolan, nie ubity śnieg,

w nadziei że zobaczy pierwsze znaki, które wykonał przed wieloma tygodniami - teraz sprawiającymi wrażenie lat - kiedy prowadzono go do ukrytej doliny. Wreszcie je dojrzał! Dwie złamane gałązki młodego drzewka, które nie zazielenia się na wiosnę. Małe drzewko było po lewej stronie, następny znak po prawej. Potem w dół i na ukos w prawo... Trzysta metrów dalej zaczerwieniony i zgrzany, ze skostniałymi nogami, zobaczył złamaną przez siebie gałązkę alpejskiego świerku wyschniętą, pozbawioną żywicy. Górską drogą między dwoma wioskami znajdowała się w dole w odległości niecałych ośmiu kilometrów. Uda mu się. Musi się udać! Wreszcie, ze zmarzniętymi na kość stopami, zgięty wpół z bólu, dotarł do celu. Usiadł i zaczął masować nogi, ocierając dłonie o zamrożone na blachę spodnie, gdy z lewej strony nadjechała ciężarówka. Harry wstał z wysiłkiem, chwiejnym krokiem wyszedł na drogę i stojąc w promieniach reflektorów zaczął gwałtownie machać rękami. Samochód stanął.

- Hilfe! - krzyknął. - Mój samochód wyleciał z szosy!

- Nie trzeba niczego tłumaczyć - oznajmił brodaty mężczyzna, odzywając się po angielsku z wyraźnym niemieckim akcentem. Czekalem na pana. Od trzech dni jeżdżę tą drogą, godzina po godzinie.

- Kim pan jest? - spytał Harry opadając na fotel.

- Pańskim zbawieniem, jak mówią Anglicy - odparł kierowca, chichocząc pod nosem.

- Wiedział pan, że będę tędy szedł?

- Nie wiemy wprawdzie, gdzie znajduje się ukryta dolina, ale mamy tam swojego szpiega. Kobietę. Podobnie jak wszystkich innych dostarczono ją na miejsce z zasłoniętymi oczyma. - Jest pielęgniarką w szpitalu w dolinie i pełni te obowiązki, jeżeli akurat nie musi spać z którymś z jej aryjskich "braci", aby wyprodukować następne Dziecko Słońca. Obserwowała pana i zobaczyła, jak składa pan kawałek papieru i zaszywa w swoim ubraniu..

- W jaki sposób? - przerwał mu Latham/Lassiter.

- W pańskim pokoju były ukryte kamery.

- Jak przekazała wam wiadomość?

- Wszystkie Sonnenkinder mają zezwolenie, a właściwie rozkaz porozumiewać się z rodzicami lub krewnymi, żeby za pomocą jakichś sympatycznych bajeczek wyjaśniać swoją nieobecność. Oberfuhrer obawia się, że bez tego może dojść do dekonspiracji, podobnie jak w przypadku waszych amerykańskich wyznawców kultów, którzy barykadowali się w dolinach albo na szczytach gór. Zadzwoniła do swoich "rodziców" i za pośrednictwem kodu przekazała nam wiadomość, że Amerykanin ucieknie. Nie знаła dokładnego dnia ani godziny, ale była przekonana, że pan spróbuje.

- Uważałem, że taką możliwość da mi ewakuacja. I nie myliłem się.

- W każdym razie jest już pan tutaj i zaraz przetrzucimy pana do Burghausen. A z naszej skromnej kwatery głównej będzie mógł się pan porozumieć z każdym, z kim tylko pan zechce. Wie pan, jesteśmy organizacją "Antyninus".

- Kim?

- Przeciwnictwem tego, który według historyka Diona Kasjusza, pod przydomkiem Karakalli wyróżnił dwadzieścia tysięcy Rzymian, sprzeciwiających się jego depotyzmowi.

- Słyszałem o Karakalli, a także Dionie Kasjuszu, ale obawiam się, że pana nie rozumiem.

- W takim razie nie zajmował się pan na serio historią Rzymu.

- Istotnie.

- A więc uaktualnimy to w innej sytuacji, w innych warunkach, ja!

- Jak pan sobie życzy.

- W zanglicyzowanej wersji nazywamy się Antyninus, ja?

- Niech będzie.

- Niech pan zamieni "nius" na "neo", okay?

- Dobra.

- No i co pan ma? Antyneo, nicht wahr! Antyneonaziści. Oto kim jesteśmy!

- Dlaczego ukrywacie się pod taką tajemniczą nazwą?

- A dlaczego oni ukrywają się pod nazwą Bruderschaft?
- Co ma wspólnego jedno z drugim?
- Tajemnica musi stawić czoło tajemnicy!
- Dlaczego? Działacie legalnie.
- Walczymy z naszymi wrogami zarówno w otwarty sposób, jak i w podziemiu.
- Byłem tam - odparł Harry Latham, rozsiadając się w fotelu pasażera. - A mimo wszystko nie rozumiem pana.

- Dlaczego pani wyszła? - zapytał Drew, uzyskawszy od ochrony numer domowego telefonu Karin de Vries.

- Nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia - odparła analityczka z D. i A.
- Jest jeszcze cholernie dużo do powiedzenia, i pani dobrze o tym wie.
- Proszę sprawdzić moje akta w służbie ochrony ambasady i jeżeli coś pana zaniepokoi, niech pan złoży meldunek.
- Niech pani nie opowiada głupot! Harry żyje! Po trzech latach w konspiracji uciekł i jest już w drodze powrotnej!
- Mon Dieu! Nie jestem w stanie wyrazić, jaka jestem szczęśliwa! Co za ulga!
- Wiedziała pani dokładnie, co robi mój brat, prawda?
- Nie przez telefon, panie Latham. Proszę przyjść do mnie do domu. Rue Madeleine dwadzieścia sześć, mieszkania pięć.

Drew przekazał adres Durbane'owi w Centrum Łączności, chwycił marynarkę i wybiegł do oddanego mu do dyspozycji samochodu z Deuxieme.

- Rue Madeleine - powiedział. - Numer dwadzieścia sześć.
- Miła dzielnica - odparł kierowca, zapuszczając silnik nie oznakowanego auta. Mieszkanie przy rue Madeleine uzupełniło zagadkę, jaką była Karin de Vries o nowe elementy. Apartament był nie tylko duży, ale również elegancko, z dużym nakładem kosztów urządzonej. Wartość mebli, zasłon i obrazów zdecydowanie przekraczała możliwości finansowe pracownika ambasady.

- Mój mąż nie był biednym człowiekiem - wyjaśniła Karin, widząc reakcję Drew. - Nie tylko odgrywał rolę handlarza diamentami, ale również działał w tej branży, i jak zawsze z typowym dla siebie zapalem.

- Musiał być dość niezwykłym człowiekiem
- Nie tylko - dodała beznamiętnie de Vries. - Proszę, niech pan siada, monsieur Latham. Czy mogę zaproponować panu coś do picia?
- Z przyjemnością skorzystam, choćby dlatego by zapomnieć skwaśniałe wino w wybranej przez panią kawiarni.
- Mam szkocką whisky.

- A więc nie tylko się zgadzam, ale wręcz upominam.

- Nie musi pan - odparła de Vries, śmiejąc się cicho i podeszła do barku z lustrem. - Freddie nauczył mnie, żeby zawsze były cztery trunki pod ręką - mówiła dalej, Wyjmując lód, otwierając butelkę i nalewając whisky. - Czerwone wino o temperaturze pokojowej, schłodzone białe wino wysokiej jakości, jedno o pełnym bukacie i drugie wytrawne, a także szkocka dla Anglików i burbon dla Amerykanów.

- A co z Niemcami?

- Piwo, mniejsza o to jakiej jakości, ponieważ mój mąż uważał, że oni piją wszystko. Ale jak już panu powiedziałam, był wyjątkowo do nich uprzedzony.

- Musiał przecież znać również innych Niemców.

- Natürlich. Twierdził, że do przesady naśladowają Anglików. Whisky musi być koniecznie szkocka, bez lodu, i chociaż wolą pić ją z lodem, zaprzeczają temu. - Podala Drewowi szklaneczkę i wskazując dłonią fotel, powiedziała: - Proszę usiąść, monsieur Latham. Mamy kilka problemów do omówienia.

- Właściwie to ja chciałem poruszyć parę spraw - rzekł Drew, siadając w miękkim, klubowym fotelu naprzeciwko Karin de Vries, która wybrała bładozieloną kanapę. • Nie przyłączy się pani do mnie? - zapytał unosząc lekko szklankę.
- Być może potem... Jeżeli będzie jakieś potem.
- Jest pani jedną wielką zagadką.
- Może z pańskiego punktu widzenia. Jednak w porównaniu z panem jestem zupełnie nieskomplikowana. Raczej to pan jest zagadką. Pan i całe amerykańskie środowisko związane z wywiadem.
- Mam wrażenie, że ta uwaga wymaga wyjaśnień, pani de Vries.
- Oczywiście i zaraz ich panu udzielę. Wysyłacie zakonspirowanego agenta, wyjątkowo utalentowanego człowieka, płynnie władającego sześcioma czy siedmioma językami, i utrzymujecie jego istnienie tu, w Europie, w takiej tajemnicy, że nie ma żadnej ochrony, nikt nie utrzymuje z nim kontaktu, ponieważ nikt nie dysponuje kompetencjami, żeby udzielać mu rad, a tym bardziej ponosić za nie odpowiedzialność.
- Harry zawsze miał szansę się wycofać - zaprotestował Latham. - Podróżował po całej Europie i Bliskim Wschodzie. Mógł się zatrzymać w dowolnym miejscu, podnieść słuchawkę telefonu, zadzwonić do Waszyngtonu i powiedzieć: "Dosyć, skończyłem". Nie byłby pierwszym tajnym agentem, który by tak zrobił.
- W takim razie nie zna pan swojego brata.
- Co chce pani przez to powiedzieć? Na litość boską, przecież się z nim wychowywałem.
- Nie zna go pan pod względem zawodowym.
- No nie. Byliśmy w innych branżach.
- W takim razie zupełnie nie ma pan pojęcia, jakim jest ogarem.
- Ogarem?...
- Równie fanatycznie traktującym pościg, jak ci fanatycy, których tropi.
- Nie lubi faszystów. Zresztą, kto ich lubi?
- Nie o to mi chodzi, monsieur. Gdy Harry był kontrolerem, miał swoich ludzi w Niemczech Wschodnich, opłacanych przez Amerykanów, którzy również dostarczali mu informacji. Na ich podstawie wydawał rozkazy swoim łącznikom, takim jak mój mąż. Teraz pana brat nie miał takich możliwości. Był zupełnie sam.
- Musiał być. Na tym polegała istota całej operacji, na całkowitym odizolowaniu. Nie mogło być najmniejszego śladu. Nawet ja nie znałem jego pseudonimu. Czy brała to pani pod uwagę? - Harry nie miał tam ludzi, ale nieprzyjaciel miał swoich w Waszyngtonie.
- Co też pani u diabła sugeruje?
- Słusznie pan przypuszcza, że wiedziałam o zadaniu pańskiego brata. A przy okazji, jego pseudonim brzmiał Lassiter, Alexander Lassiter.
- Co?! - Zaskoczony Latham pochylił się do przodu. - Skąd pani ma te informacje?
- Skoro nawet pan nie zna nazwiska, którego Harry używał, to jak pan przypuszcza? Oczywiście od wroga, członka Bractwa, taką nazwą się posługują.
- Cała ta historia zaczyna wyglądać cholernie podejrzanie, laskawa pani. Proszę o kolejne wyjaśnienia.
- Tylko częściowe. Niektóre rzeczy musi pan przyjąć na wiarę. Dla mojego własnego bezpieczeństwa.
- Nie pozostało mi zbyt wiele wiary, zwłaszcza obecnie, niech więc pani zaczyna od tych częściowych wyjaśnień. A wtedy dopowiem, czy ma pani jeszcze pracę, czy już nie.
- Biorąc pod uwagę mój wkład, to niezbyt sprawiedliwe...
- Niech pani zaczyna - przerwał jej ostro Drew.
- Mieliśmy z Freddiem mieszkanie w Amsterdamie, oczywiście na jego nazwisko, apartament odpowiadający stanowi majątkowemu młodego, zdolnego handlarza diamentami. Gdy tylko nasze zajęcia pozwalały, przebywaliśmy tam razem, ale byłam wtedy, trzeba chyba dodać, zupełnie inną kobietą od tej, którą widziano w NATO... i od tej, którą widuje pan w

ambasadzie. Ubierałam się modnie, nawet ekstrawagancko, nosiłam blond peruki i mnóstwo biżuterii...

- Prowadziła pani podwójne życie - znowu przerwał jej zniecierpliwiony Latham, kiwając głową.

- Przecież taka była konieczność.

- Zgadza się. I co?

- Przyjmowaliśmy gości, niezbyt często i tylko najważniejsze kontakty Freddiego, ale zawsze byłam obecna pełniąc honory domu... Teraz muszę przerwać ten wątek i coś panu wyjaśnić, mimo że z całą pewnością wie pan o tym. Gdy potężne instytucje rządowe zostają zinfiltrowane przez obcych, oczywiście pozbywają się intruzów albo likwidując ich same, albo podsuwając kompromitujące materiały, które powodują, że ludzie ci są likwidowani przez swoich, jako podwójni agenci. Zgadza się pan?

- Słyszałem o tym.

- Ale jednej rzeczy te instytucje rzeczywiście nie ścierpią: wstydu, przyznania się, że istotnie zostały zinfiltrowane. Takie przypadki trzymane są w tajemnicy, nawet w ramach własnej organizacji.

- O tym również słyszałem.

- Coś podobnego zdarzyło się w przypadku Stasi. Po tym jak Frederik zginął, a Mur przestał istnieć, wiele ważnych wschodniemieckich kontaktów bez przerwy pozostawiało wiadomości w naszej automatycznej sekretarce, błagając Freddiego o spotkanie. Przyjęłam kilku takich ludzi. Dwaj mężczyźni, jeden czwarty w hierarchii służbowej oficer Stasi, a drugi kryptograf skazany za gwałty i wyciągnięty z więzienia przez swoich przełożonych, zostali zwerbowani przez Bractwo. Przyszli do Frederika, żeby zamienić diamenty na walutę. Podobnie jak w innych przypadkach poczęstowałam ich obiadem i napiłam alkoholem... zaprawionym specyfikiem, który na wyraźną prośbę Freddiego zawsze trzymałam w cukiernicy. Obydwaj próbowali namówić mnie, abym się z nimi kochała. Każdy opowiadał mi, jak bardzo jest ważny, i z pijacką szczerością wyjaśniali, dlaczego są tacy ważni.

- Mój brat Harry - monotonnym głosem przypomniał Drew.

- Tak. Kiedy ich dyskretnie wypytywałam, każdy mówił mi o amerykańskim agencie o nazwisku Lassiter, o którym Bractwo dobrze wie i jest przygotowane na spotkanie z nim.

- Skąd pani wie, że mówili o Harrym?

- Bardzo proste. Moje pierwsze pytania były niewinne, ale stopniowo przechodziłam do bardziej szczegółowych. Freddie zawsze twierdził, że to najlepsza metoda, szczególnie przy zastosowaniu alkoholu i specyfiku. W końcu, każdy z tych ludzi powiedział mniej więcej to samo: "Jego prawdziwe nazwisko brzmi Harry Latham, jest z CIA, Tajne Operacje, Projekt Time - czas trwania dwa lata plus, pseudonim Sting, wszystkie informacje zastrzeżone dla komputerów powyżej poziomu AAZero."

- Jezu! Ta informacja musiała pochodzić z góry, z samej góry! AAZero oznacza przecież niemal gabinet dyrektora... Koszmar, pani de Vries.

- Ponieważ nie miałam i nie mam pojęcia, co znaczy AAZero, przyjmuję, że to prawda. Właśnie z powodu tego, co dowiedziałam, poprosiłam o przeniesienie do Paryża... Czy w dalszym ciągu mam swoją pracę, monsieur?

- Jak w banku. Jest tylko nowy haczyk.

- Haczyk? Rozumiem samo słowo, ale w jakim "sensie go pan używa?

- Pozostanie pani w D. i A., ale obecnie należy pani do personelu Wydziału Operacji Konsularnych.

- Dlaczego?

- Między innymi będzie musiała pani podpisać oświadczenie stwierdzające, że nie będzie pani dalej rozpowszechniać informacji, które właśnie mi pani przekazała, a także że spędzi pani trzydzieści lat w amerykańskim więzieniu, jeżeli pani cokolwiek powie.

- A gdybym odmówiła podpisania tego dokumentu?

- W takim razie jest pani wrogiem.

- Dobrze. To mi się podoba. Jednoznaczne postawienie sprawy.
 - Powiedzmy sobie coś jeszcze wyraźniej - rzekł Latham patrząc prosto w oczy Karin de Vries. - Jeżeli pani przejdzie na drugą stronę, albo już pani przeszła, nie będzie żadnej laski. Rozumie pani?
 - Umysłem i sercem, monsieur.
 - A teraz kolej na moje pytanie. Dlaczego?
 - To właściwie bardzo proste. Przez kilka lat moje małżeństwo było darem niebios. Człowiek, którego uwielbiałam, kochał mnie tak samo jak ja jego. A później ujrzałam go okaleczonego przez nienawiść, ale nie ślepą nienawiść, ale wyraźnie i precyzyjnie skierowaną przeciwko odradzającemu się wrogowi, który zniszczył jego rodzinę - rodziców i dziadków. Ten cudowny, błyskotliwy człowiek, którego poślubiłam, zasługiwał na o wiele lepszy los, niż ten który był mu przeznaczony. Teraz przyszła moja kolej, by walczyć z wrogiem, wrogiem nas wszystkich.
 - To mi wystarcza, pani de Vries. Witamy w naszych szeregach.
 - W takim razie wypiję z panem, monsieur. Nastąpiło w końcu owo "potem".
Amerykański myśliwiec F-16 wylądował na lotnisku w Altheim. Pilot, sprawdzony przez CIA pułkownik lotnictwa, zażądał natychmiastowego zezwolenia na start, gdy tylko jego "przesyłka" znajdzie się w samolocie. Harry Latham został przewieziony przez pole startowe, wsiadł do drugiej kabiny, owiewka zamknęła się i po kilku minutach maszyna wystartowała w drogę powrotną do Anglii. Trzy godziny po przybyciu do Wielkiej Brytanii wyczerpanego tajnego agenta przewieziono pod eskortą do mieszczącej się na Grosvenor ambasady Stanów Zjednoczonych, gdzie czekał na niego komitet powitalny składający się z wysokiego szczebla przedstawicieli trzech wywiadów - Centralnej Agencji Wywiadowczej, brytyjskiego MI6 i francuskiego Service d'Etranger.
 - Hej, dobrze, że znowu jesteś z nami, Harry! - powiedział Amerykanin.
 - Cholernie dobra robota - stwierdził Anglik.
 - Magnifique! - dodał Francuz.
 - Dziękuję, panowie, ale czy nie moglibyśmy odłożyć sprawozdań, do chwili gdy trochę się prześpię?
 - Dolina, gdzie u diabła jest ta dolina? - zapytał Amerykanin. - Nie można z tym czekać, Harry.
 - Dolina nie ma już żadnego znaczenia. Wszystko zostało zniszczone, pożary zaczęły się dwa dni temu. Nikogo już tam nie ma.
 - O czym do cholery mówisz? - nie ustępował człowiek z CIA. - To przecież klucz do całej sprawy.
 - Mój amerykański kolega ma całkowitą rację, stary - nalegał funkcjonariusz MI6.
 - Absolutnie - oznajmił człowiek z Deuxieme. - Musimy zniszczyć to miejsce.
 - Spokojnie, tylko spokojnie! - zawołał Harry, spoglądając znużonym wzrokiem na wywiadowcze gremium. - Może dolina jest kluczem, ale zamka już tam nie ma. Jest bez znaczenia.
- Latham, obserwowany ze zdziwieniem przez siedzących przy stole ludzi, zaczął rozrywać podszewkę marynarki, po czym wstał, zdjął spodnie, przewrócił ją na drugą stronę i porozpruwał wewnętrzną podszewkę kieszeni. Stojąc w marynarce i slipkach, powoli, ostrożnie wyjął dziesiątki zapisanych ręcznie skrawków papieru i poukładał je na stole konferencyjnym.
- Mam tu wszystko, czego potrzebujemy. Nazwiska, stanowiska, instytucje i ministerstwa, cały pasztet, jak określiliby to mój brat. A przy okazji, byłbym wdzięczny...
 - Zrobione - przerwał mu kierownik placówki CIA, przewidując jego prośbę. - Sorenson z Operacji Konsularnych powiedział mu, że się wydostałeś. Drew jest w Paryżu.
 - Dziękuję... Jeżeli dysponujecie absolutnie sprawdzonym zespołem sekretarek, każcie im przepisać te wszystkie materiały, przekazując je im wrywkowo, ani jedna osoba nie może wiedzieć, co robi druga. Jeżeli chodzi o zakodowane fragmenty, opracuję je później.

- Co to takiego? - zapytał Anglik, spoglądając na porzrzucone, często podarte kawałki papieru.

- Potężna armia wspierająca Bractwo, wpływowi mężczyźni i kobiety z naszych krajów, którzy z chciwości lub z racji swych poglądów pomagają neonazistom... Ostrzegam, że czeka was wiele niespodzianek, zarówno w naszych rządach, jak i w sektorze prywatnym... A teraz, gdyby ktoś mógł mi znaleźć przyzwoity hotel i kupić trochę ubrań, chciałbym przespać dzionek lub dwa.

- Harry, zanim stąd wyjdiesz, może włoż najpierw spodnie zwrócił mu uwagę człowiek z CIA.

- Racja, Jack. Zawsze byłeś spostrzegawczy.

Harry Latham leżał w łóżku, skończywszy pozornie obraźliwą, ale przez to świadcząca o braterskiej trosce rozmowę z Drew. Umówili się na spotkanie w Paryżu, albo pod koniec tygodnia, albo gdy tylko Harry zakończy swoje sprawozdanie, w tym również rozszyfrowywanie przywiezionej z Niemiec informacji. Starszy brat nie przedstawiał swojego rozkładu zajęć na najbliższe dni i nie musiał tego robić, ponieważ Drew rozumiał go bez słów. Młodszy Latham powiedział tylko:

- Kiedy już wrócisz cały i zdrowy, będziemy mogli wreszcie zabrać się do roboty na wysokich obrotach. Zidentyfikowaliśmy samochód, którym jechało kilku skurwysynów... A przy okazji, jeżeli będziesz chciał, możesz mnie łapać albo w biurze, albo w hotelu "Meurice" na rue de Rivoli.

- Co się stało z twoim mieszkaniem? Administracja wywalila cię za niewłaściwe zachowanie?

- Nie, ale nieprzyzwoite zachowanie kogoś innego sprawiło, że mieszkanie obecnie nie nadaje się do użytku.

- Doprawdy? "Meurice" jest dość kosztownym miejscem zamieszkania, braciszku.

- Płaci Bonn.

- Rany boskie, z niecierpliwością będę czekał na szczegóły. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę leciał do Paryża. A przy okazji, mieszkam w "Gloucester" pod nazwiskiem Moss, Wendell Moss.

- Bardzo eleganckie... Cieszę się, że wrócisz, braciszku.

- Ja też.

Harry zamknął oczy i powoli zaczął zapadać w sen, gdy rozległo się ciche, miarowe pukanie do drzwi. Kręcąc z irytacją głową, odrzucił koldrę, oszołomiony wstał z łóżka i sięgnął po hotelowy szlafrok przerzucony przez oparcie krzesła. Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi.

- Kto tam? - zapytał.

- Catbird z Langley - padła cicha odpowiedź. - Muszę z tobą porozmawiać, Sting.

- Ooo? - Zaskoczony, ale jednocześnie zdając sobie sprawę z wysokiej kategorii utajnienia jego pseudonimu, Harry otworzył drzwi. W korytarzu stał raczej niski mężczyzna w okularach, o sympatycznej, dość bladej i trudnej do zapamiętania twarzy, ubrany w ciemny urzędowy garnitur.

- Co za Catbird? - zapytał Latham, zapraszając gestem emisariusza z CIA do środka.

- Nasze nazwy kodowe ulegały zmianie, a twoje nigdy - odparł nieznajomy, wchodząc do pokoju i wyciągając rękę na powitanie. Zdezorientowany Harry uściskał mu dłoń. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się cieszymy, że udało ci się powrócić z tego bardzo zimnego miejsca.

- Co to ma być, powtórka z Johna le Carre? Jeżeli tak, miał zdecydowanie lepsze rezultaty. Stinga mogę zrozumieć, ale Catbird jest nieco banalny, nie uważasz? I dlaczego nie było cię w ambasadzie? Jestem zmęczony jak jasna cholera, panie Catbird. Naprawdę muszę się wyspać.

- Tak, wiem i najmocniej przepraszam. Jednak jest wyższy stopień hierarchii niż ambasada. Jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Jasne. Dyrektor Agencji, sekretarz stanu, i prezydent. A więc, powtarzam, o co chodzi z tym Catbirdem?

- Zajmę ci tylko kilka minut - odparł sympatyczny mężczyzna, ignorując pytanie Harry'ego i wyjął z kieszeni kamizelki zegarek. - Rodzinny spadek, a przy tym ma duże cyfry, które łatwiej mi zobaczyć. Dwie minuty, Latham, i już mnie nie ma. - Ale zanim zaczniemy w ogóle o cokolwiek mówić, lepiej by było, żebyś mi pokazał jakieś cholernie dobre upoważnienie.
 - Oczywiście. - Przybysz podniósł zegarek do twarzy Harry'ego i przycisnąwszy główkę pokrętkła, odezwał się wyraźnym, zdecydowanym głosem. - Witam, Alexandrze Lassiter. Tu pański przyjaciel doktor Gerhardt Kroeger. Musimy porozmawiać. Czy Harry'ego nagle stały się niewidzące, źrenice rozszerzyły się. Po chwili patrzył gdzieś w przestrzeń.
 - Cześć, Gerhardzie - powiedział. - Jak się miewa mój ulubiony rzeźnik?
 - Doskonale, Alex. Jak się masz i czy pospacerowałeś już dzisiaj po łące?
 - Hej, daj spokój, doktorku, przecież mamy noc. Chcesz, żebym wszedł w środek stada dobermanów? Co ci odbiło?
 - Przepraszam, Alexandrze. Operowałem przez prawie cały dzień i masz rację, jestem zmęczony prawie tak samo jak ty... Ale powiedz mi, Alex, kiedy w wyobraźni spotkałeś się z tymi ludźmi w ambasadzie, co się stało?
 - Właściwie nic. Dałem im wszystko, co zebrałem, i przez następne kilka dni będziemy się zajmowali tym materiałem.
 - Bardzo dobrze. Czy jeszcze coś?
 - Mój brat zadzwonił z Paryża. Tropią podejrzanego samochód. Mój młodszy brat jest bardzo miłym chłopakiem, polubisz go, Gerhardzie.
 - Z całą pewnością. Mówisz o tym, który pracuje dla Operacji Konsularnych, prawda?
 - Oczywiście... Dlaczego zadajesz mi te pytania?
- Błady nieznajomy natychmiast znowu podniósł zegarek, przycisnął dwukrotnie pokrętkło i oczy Harry'ego Lathama ponownie stały się rozumne, a spojrzenie skupione.
- Naprawdę potrzebujesz snu, Harry - oznajmił mężczyzna przedstawiający się jako Catbird.
 - Nie mogę się z tobą dogadać. Wiesz co, spróbuję jeszcze raz jutro, dobrze?
 - Co?...
 - Skontaktuję się z tobą jutro.
 - Dlaczego?
 - Nie pamiętasz? Dobry Boże, ależ ty jesteś wykończony. Dyrektor CIA, sekretarz stanu, prezydent... Oni mnie upoważnili, przecież o to ci chodziło, Harry prawda?
 - Tak... w porządku. O to mi chodziło.
 - Prześpij się trochę, Sting. Zasłużyłeś sobie na chwilę odpoczynku. - Catbird wyszedł szybko i zamknął za sobą drzwi, a Harry Latham niczym robot wrócił do łóżka i upadł na nie jak długi.
 - Kim jest Catbird... Drozd? - zapytał
- Harry. Był ranek i trzech pozostali oficerowie wywiadu siedzieli wokół stołu konferencyjnego dokładnie tak samo jak poprzedniego dnia.
- Dostałem twoją wiadomość dwie godziny temu - oznajmił szef delegatury CIA. - Obudziłem samego dyrektora i dowiedziałem się, że nigdy nie słyszał o żadnym Catbird. Podobnie jak ty, Latham, uważa, że to dość głupie pseudo...
 - Ale przecież był tam! Widziałem go, rozmawiałem z nim. Był tam!
 - O czym rozmawialiście, monsieur? - zapytał przedstawiciel francuskiego wywiadu.
 - Nie jestem pewien... Na dobrą sprawę nie wiem. Był taki nie rzucający się w oczy, zadał mi kilka niewinnych pytań, a potem... po prostu niczego nie pamiętam.
 - Czy mogę wysunąć pewne przypuszczenie, agencie operacyjny Latham? - wtrącił się brygadier z MI6. - Ma pan za sobą wyjątkowo pełne napięcia, och, niech to diabli, piekielne trzy lata. Czy nie dopuszcza pan - i mówię to z całym szacunkiem dla pańskiego niezwykłego intelektu, że mógł pan paść ofiarą halucynacji? Dobry Boże, człowieku, miałem do czynienia z agentami, którzy posługiwali się podwójną tożsamością. Zaczynało im się mącić w głowie i załamywali się, mimo że przeżyli zaledwie połowę tego co pan.
 - Nie załamałem się, panie brygadierze. Nie załamałem się i nie miałem halucynacji.

- Zaczniemy od początku, monsieur Latham. Co się stało, gdy przybył pan do doliny Bruderschaft?
- Och. - Harry spojrzął pod nogi. Przez chwilę czuł zawrót głowy, ale zaraz wszystko wróciło do normy. - Chodzi panu o wypadek. Chryste, to było straszne. Wiele wydarzeń pamiętam - niewyraźnie, są jakby rozmyte, ale pierwsza rzecz, którą sobie przypominam, to histeryczne krzyki. I wtedy uświadomiłem sobie, że tkwię przygnieciony burtą ciężarówki, a ciężki kawał metalu przyciska mi głowę. Nigdy jeszcze nie czułem takiego bólu... Latham wyrecytował litanię zaprogramowaną przez doktora Gerhardta Kroegera, a gdy zakończył i podniósł głowę, oczy miał zupełnie spokojne. - Całą resztę już znacie, panowie. Przedstawiciele służb wywiadowczych popatrzyli po sobie i każdy, wyraźnie zdezorientowany, pokręcił głową. Wreszcie odezwał się Amerykanin.
- Posłuchaj, Harry - powiedział krótko - przez następnych kilka dni będziemy walczyć wszystkie dostarczone przez ciebie materiały, dobra? A potem pójdziesz na długi, zasłużony wypoczynek, jasne?
- Chciałbym polecieć do Paryża i zobaczyć się z bratem...
- Jasne, nie ma sprawy, mimo że jest w Wydziale Operacji Konsularnych, który nie jest moją ukochaną firmą.
- O ile wiem, jest dość dobry w tym co robi.
- Jak cholera - przytaknął szef delegatury - tak dobry jak wtedy, kiedy grał w hokeja dla drużyny Islandersów w Manitobie. Stacjonowałem wtedy w Kanadzie i mówię ci, kiedy grał ciałem, częściej niż inni zawodnicy ciskał o bandę większymi od siebie. Mógłby zrobić karierę w Nowym Jorku.
- Na szczęście - rzekł Harry Latham - odradziłem mu tak niebezpieczne zajęcie.

Drew Latham obudził się w aż nazbyt wygodnym łóżku w swoim apartamencie w hotelu "Meurice" na rue de Rivoli. Mrugając oczyma spojrzął na telefon na nocnym stoliku i przycisnął guziki wezwania obsługi pokojowej. Skoro i tak płaciły za to Niemcy, postanowił zamówić sobie schabowy z dwoma jajkami sadzonymi i owsiankę ze śmietanką. Poinformowano go, że zamówienie zostanie zrealizowane za pół godziny. Wyciągnął się wygodnie, podkładając ręce pod głowę. W lewą dłoń uwierał go pistolet schowany pod poduszką. Zamknął oczy, żeby jeszcze choć kilka minut wypocząć. Zgrzyt, metaliczny brzęk przy drzwiach. Obcy dźwięk, zupełnie obcy dźwięk! Nagle na ulicy, sześć pięter niżej, rozległy się krótkie warknięcia młota pneumatycznego. Grupa remontowa zaczęła dziś niezwykle wcześnie. Niezwykle, całkowicie nietypowe! Przecież dopiero świtało. Drew schwycił broń, zsunął się z łóżka na lewą stronę i przetoczył w bok, pod ścianę. Drzwi otworzyły się i serie pocisków przecięły łóżko, dziurawiąc materace i poduszki, ale huk wystrzałów zagłuszył jednoczesny jazgot młota pneumatycznego z okien. Latham podniósł pistolet i wystrzelił pięciokrotnie w czarną sylwetkę w drzwiach. Mężczyzna upadł na twarz. Drew podniósł się i podbiegł do niedoszłego zabójcy, słysząc, że warkot na ulicy umilkł. Zamachowiec nie żył, ale w chwili śmierci chwycił się za pierś i rozerwał obcisły czarny sweter: na torsie widniały wytatuowane trzy małe błyskawice. Blitzes. Bruderschaft.

* * *

ROZDZIAŁ 6

JeanPierre Villier ze stoicyzmem przyjął awanturę, jaką urządził mu szef Deuxieme Bureau Claude Moreau.

- Był to rzeczywiście niezwykle odważny gest z pana strony, monsieur i może pan być pewien, że śledzimy ten samochód. Proszę jednak zrozumieć, że gdyby coś się panu stało, cała Francja pewnie by nas zlinczowała.
- Chyba pan przesadza - odparł aktor. - Jednak cieszę się, że choć w niewielkim stopniu mogłem się przydać.

- W bardzo poważnym stopniu, ale zrozumieliśmy się prawda? Nie będzie już żadnych pomysłów, dobrze?
- Jak pan sobie życzy, chociaż rólka była prościutka, a może udałoby mi się wydobyć jakieś dalsze informacje...
- JeanPierre! - zawołała Giselle Villier. - Nie zrobisz tego. Kategorycznie zabraniam!
- Deuxieme Bureau nie dopuści do tego, madame - przerwał jej Moreau. - Niewątpliwie dowiedziałby się pan o tym później, a więc równie dobrze mogę panu powiedzieć już teraz. Trzy godziny temu dokonano drugiego zamachu na Amerykanina Drew Lathama.
- Mój Boże!...
- Czy nic mu się nie stało? - zapytał Villier, pochylając się do przodu.
- Miał szczęście. Trzeba Stwierdzić, że jest bardzo spostrzegawczy. Poznał przy okazji także kilka niezbyt reklamowanych praw Paryża.
- Słucham?
- Chodzi mi o wyjątkowo głośny hałas powodowany przez ekipę naprawiającą jezdnię. Zaczęła pracować o godzinie, kiedy większość gości dopiero co położyła się do łóżek po zakosztowaniu rozkoszy naszego miasta, zwłaszcza tych, które można znaleźć w co droższych hotelach.
- Przecież to lato - oznajmiła Giselle kręcąc głową. - Mamy dosyć kłopotów z powodu naszego stosunku do przyjezdnych. Ministerstwo Turystyki dostanie furii.
- Nasz przyjaciel Latham instynktownie zorientował się, że coś tu nie gra. Nie było zresztą żadnej ekipy, tylko jeden człowiek z młotem pneumatycznym pod oknami. Sytuacja troszkę jakby z jednego z pańskich filmów, monsieur Villier, Preludium fatalnego pocałunku, jeżeli się nie mylę.
- Jeden z ulubionych filmów mojej żony. - Powinno się zabronić wyświetlania go w telewizji - skonstatował aktor. - Całowała strasznie tępa aktorka, która bardziej interesowała się, pod jakim kątem bierze ją kamera, niż tekstem, który rzadko kiedy udało się jej zapamiętać.
- Dlatego była taka doskonała - wpadła mu w słowo żona. - Jej nieszczerłość była. tak oczywista, że dzięki temu twoja obsesja stawała się niezwykle wiarygodna... oszołomiony mężczyzna doprowadzany do szaleństwa, ponieważ nie może przeniknąć tajemnicy kobiety, którą jak sądzi, kocha. Byłeś naprawdę doskonały, kochanie.
- Jeżeli byłem choć znośny, to tylko dlatego że próbowałem zmusić tę idiotkę do grania.
- Nie przypuszczam, aby monsieur Moreau przybył tu, aby słuchać aktorskich narzekania, kochanie.
- Nie narzekam. Mówię tylko prawdę. Ani wynurzeń o aktorskim ego...
- Och, jestem tym zafascynowany, madame. Moja żona będzie chłonęła każde słowo.
- Czy przesłuchania policyjne nie są tajne? - zapytała Giselle.
- Oczywiście, przejęczyłem się.
- Och, nic strasznego, niech pan opowiada - uśmiechnął się JeanPierre. - Przynajmniej swojej żonie. Jak pan zapewne się domyślił, moja żona jest emerytowanym adwokatem, a wspomniana aktorka już dawno temu porzuciła zawód i wyszła za mąż za potentata naftowego z Teksasu czy Oklahomy, zapomniałem skąd konkretnie.
- Czy moglibyśmy powrócić do poprzedniej kwestii?
- Oczywiście, madame.
- Skoro Drew Latham uniknął śmierci, czy macie jakieś informacje o zamachowcu?
- Oczywiście. Nie żyje. Został zastrzelony przez pana Lathama. - Zidentyfikowany?
- Nie. Ma jedynie bardzo mały tatuaż na prawej piersi. Błyskawice, symbol Bractwa. Latham słusznie się tego domyślił, ale nie wie, z czym są związane. Ale my wiemy... Te tatuaże są znakiem świetnie wyszkolonej, elitarnej kadry w ramach większej neohitlerowskiej organizacji. Według naszej oceny w Europie, Ameryce Południowej i Stanach Zjednoczonych członków Bractwa noszących takie tatuaże jest nie więcej niż dwustu. Nazywają ich blitztragerami - są zabójcami, wyszkolonymi mordercami, których nauczono rozmaitych

sposobów zadawania śmierci. Wybrano ich z racji ich fanatyzmu, sprawności fizycznej, a przede wszystkim z powodu chęci. a nawet żądzy - zabijania.

- Psychopaci - oznajmiła była adwokat. - Psychopaci werbowani przez psychopatów.
- Dokładnie.
- Którzy mogli zostać zwerbowani przez wiele organizacji zrzeszających fanatyków, albo przez sekty, ponieważ takie grupy pozwalają im na realizowanie ich naturalnych skłonności do przemocy. - Muszę się z panią zgodzić, madame.
- I nie powiadomiliście Amerykanów, Brytyjczyków, czy Bóg raczy wiedzieć kogo o tym... jak można by to określić? O tym batalionie śmierci?
- Oczywiście, najwyższe czynniki zostały poinformowane. Nikt inny.
- Dlaczego? Dlaczego nie poinformowano Drew Lathama?
- Mieliśmy swoje powody. Są przecieki na niższych szczeblach. - Dlaczego więc mówi pan nam?
- Jesteście państwo Francuzami i jesteście słynni. Sława ma swoją słabą stronę. Gdyby coś z naszej rozmowy przedostało się na zewnątrz, no cóż, wiedzielibyśmy...
- I?
- Odwołujemy się do patriotyzmu państwa.
- To głupie, chyba że w ten sposób chcecie zniszczyć mojego męża!
- Chwileczkę, Giselle...
- Bądź cicho, JeanPierre, ten człowiek z Deuxieme przyszedł tu z innego powodu.
- Co?
- Musiała być pani niezwykle adwokatem, madame Villier.
- Pańska metoda bezpośredniego przesłuchania, połączonego z zamaskowanym pośrednim jest również wyjątkowo oczywista, monsieur. Żąda pan, aby mój mąż nie mógł robić tego, co przy jego talencie nawet według mnie nie zagraża życiu - a jednocześnie w następnym zdaniu zdradza pan poufną... wyjątkowo poufną informację, która, gdyby ją zdradził, mogłaby go kosztować karierę i życie.
- Jak już powiedziałem - oznajmił Moreau - wspaniały adwokat.
- Nie rozumiem ani słowa z tego co oboje mówicie! - wtrącił się aktor.
- I nie musisz, kochanie, zostaw to mnie. - Giselle spojrzała ostro na Moreau. - Prowadzi nas pan krok po kroku, prawda?
- Nie mogę zaprzeczyć.
- A teraz, gdy już przekazał pan te informacje, co pan chce, żebyśmy zrobili? Czy nie jest to podstawowe pytanie?
- Przypuszczam, że tak,
- W takim razie, co pan proponuje?
- Zdjąć sztukę, zdjąć Koriolana, i wyjawić część prawdy. Pani mąż dowiedział się już tyle o Jodelle'u, że nie może grać dalej. Jest ogarnięty bólem i nienawiścią do ludzi, którzy zdręczyli tego starca. Będziecie chronieni przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.
- A co z moimi rodzicami? - zawołał Villier. - Jak mógłbym im coś takiego zrobić?
- Rozmawiałem z nimi przed godziną, monsieur Villier. Powiedziałem im tyle, ile mogłem, w tym również o aktywizacji ruchu neonazistowskiego w Niemczech. Powiedzieli, że decyzja zależy od pana, ale jednocześnie wyrazili nadzieję, że uszanuje pan pamięć swoich prawdziwych rodziców. Cóż więcej mogę powiedzieć?
- A więc zdejmę sztukę z afisza i z powodu tego, czego n i e powiedziałem publicznie, ja i moja żona znajdziemy się na ich celowniku? Czy o to pan prosi?
- Powtarzam, nigdy, ale to nigdy nie będzie pan pozbawiony naszej ochrony. Ulice, dachy, opancerzone samochody, agenci w restauracjach, policja w miejscach wypoczynku, wszystko czego pan zażąda dla swojego bezpieczeństwa. Potrzebujemy jedynie żywego blitztragera, abyśmy mogli się dowiedzieć, skąd otrzymują rozkazy. Dysponujemy narkotykami i innymi metodami, które skłonią zabójcę do mówienia.
- Nigdy nie udało się wam żadnego złapać? - spytała Giselle.

- O tak. Kilka miesięcy temu schwytaliśmy dwóch, ale powiesili się w celach, zanim zaaplikowaliśmy im chemikalia. Tak wielka jest determinacja tych fanatyków psychopatów. Śmierć jest ich rzemiosłem, nawet własna.

W Waszyngtonie Wesley Sorenson, dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych czytał kopie przesłane z Londynu zabezpieczoną linią. - Nie mogę w to uwierzyć - zawołał. - Wszystko jest zupełnie nieprawdopodobne!

- Również tak pomyślałem - przytaknął jego młody szef personelu, stojący z lewej strony biurka. - Ale nie możemy tego zlekceważyć. W końcu te nazwiska przekazał nam Sting, nasz jedyny tajny agent, któremu udało się przeniknąć do Bractwa. Po to go tam wysłaliśmy.

- Ale dobry Boże, człowieku, tak wielu z tych ludzi jest poza wszelkimi podejrzeniami, a przecież nie mamy nawet kompletnej listy... pewne nazwiska zostały z niej selektywnie wycofane! Dwóch senatorów, sześciu kongresmanów, prezesa czterech wielkich korporacji, a także pół tuzina innych wpływowych osobistości ze środków przekazu, twarze i głosy, które codziennie widzimy i słyszymy w telewizji i radio, ludzie których teksty czytamy w prasie... Sam popatrz, dwaj prezenterzy i współprowadząca program i trzech ludzie z własnymi talkshow...

- Według mnie gruby tu pasuje - przerwał mu podwładny. Atakuje wszystko, co jego zdaniem jest na lewo od Attyli.

- Wcale nie, to przecież oczywiste. Trzeciorzędny umysł, o prawie żadnym wykształceniu, pelen nienawiści, owszem, ale trudno go uznać za zdeklarowanego nazistę. Po prostu demagogiczny bufon.

- Te nazwiska pochodzą z doliny Bractwa, proszę pana. Właśnie stamtąd.

- Jezu, tutaj jest członek gabinetu prezydenta!

- To nazwisko również mnie zaskoczyło, słowo daję - przyznał szef personelu. - Facet jest jak z wazeliny, zupełnie bez żadnego politycznego kręgosłupa... Ale z drugiej strony ci ludzie są mistrzami kamuflażu. W latach trzydziestych w Kongresie również byli naziści, a w pięćdziesiątych aż roilo się tam od komunistów, jeżeli wierzyć dochodzeniom w sprawie lojalności.

- Ogromna większość oskarżeń była czystą lipą, młody człowieku - oznajmił stanowczo Sorenson.

- Zdaję sobie z tego sprawę, proszę pana, ale przecież niektóre procesy zakończyły się wyrokami.

- Ile? Jeśli dobrze przypominam sobie statystykę, a przypominam ją sobie, ten skurwysyn Hoover i czubek McCarthy oskarżyli konkretnie dziewiętnaście tysięcy siedemset osób. A kiedy sprawdzanie dobiegło końca, wyroków skazujących było równo cztery! Co daje zero, przecinek zero zero zero dwa z haczykiem oskarżeń trafionych, mnóstwo bicia piany w Kongresie i mnóstwo zmarnowanych pieniędzy podatników. Proszę, nie przypominaj mi tych starych, dobrych czasów. Byłem wówczas mniej więcej w twoim wieku - może nie taki bystry, Bóg mi świadkiem - ale straciłem w tym domu wariatów mnóstwo przyjaciół.

- Przepraszam, panie Sorenson, nie miałem zamiaru...

- Wiem, wiem - uciął dyrektor - nie możesz zrozumieć, ile cierpień spowodowały te czasy. I to właśnie mnie martwi.

- O co chodzi, proszę pana?

- Czy powinniśmy zacząć nasze własne, robione na łapucapu śledztwa? Harry Latham jest zapewne jedynym prawdziwym geniuszem, jakiego CIA ma w działaniach operacyjnych, supermózgiem, którego nie sposób oszukać, ale ten paszтет jest z innej planety... A może? Chryste, to przecież wariactwo!

- O co chodzi, panie Sorenson?

- Wiek tych wszystkich ludzi jest właściwie taki sam... około pięćdziesiątki, kilkoro sześćdziesięciolatek.

- I co z tego wynika?

- Wiele lat temu, kiedy wstąpiłem do Agencji, z Bremerhaven, a właściwie ze starej bazy okrętów podwodnych w Zatoce Helgolandzkiej, wyszły pewne plotki. Dotyczyły strategicznego planu obmyślonego przez fanatyków z Trzeciej Rzeszy, kiedy już zrozumieli, że przegrali wojnę. Rzekomo nazywał się operacja Sonnenkinder i dotyczył wybranych dzieci rozesłanych w tajemnicy po całej Europie i Ameryce do odpowiednich rodzin, które mogły zapewnić im bogactwo i wpływy polityczne. Celem zaś ostatecznym miało być stworzenie warunków, które doprowadziłyby do powstania... Czwartej Rzeszy.

- Niewiarygodne, proszę pana!

- I zostało całkowicie zdezakwuwane. Mieliśmy kilkuset agentów, a także funkcjonariuszy wywiadu wojskowego i brytyjskiego MI6, którzy w ciągu dwóch lat zbadali każdy trop. Nie znaleźli niczego. Jeżeli kiedykolwiek przygotowywano taką operację, została ona przerwana na samym początku. Nie istniał nawet cień dowodu, że plan został wprowadzony w życie.

- Ale teraz zaczyna pan mieć pewne wątpliwości, panie Sorenson, prawda?

- Z oporami, Paul. Robię co w mojej mocy, aby opanować wyobraźnię, która kiedyś pomogła mi przeżyć w terenie. Ale nie jestem, już w terenie, nie znajduję się w sytuacji, w której muszę przewidywać działania kogoś, kto znajduje się w sąsiedniej ciemnej uliczce albo w środku nocy z drugiej strony wzgórza. Muszę widzieć cały krajobraz w pełnym świetle i w żaden sposób nie jestem w stanie przyjąć do wiadomości istnienia operacji Sonnenkinder.

- Dlaczego więc nie odrzuci pan tego materiału i nie odłoży listy na tylną półkę w archiwum?

- Ponieważ nie mogę. Ponieważ przedstawił ją Harry Latham... Zorganizuj na jutro spotkanie z sekretarzem stanu i dyrektorem CIA, albo w Departamencie, albo w Langley. Ponieważ jestem Kopcuszkim, spotkam się z nimi, gdzie tylko zechcą.

Drew Latham siedział przy biurku na drugim piętrze ambasady amerykańskiej i przelykał ostatnie krople trzeciej filiżanki kawy. Rozległo się pojedyncze stuknięcie, drzwi otworzyły się i do gabinetu weszła zaniepokojona Karin de Vries.

- Usłyszałam, co się stało! - zawołała. - To na pewno o panu!

- Dzień dobry - powiedział Drew a może już jest południe? Jeżeli przyniosła pani swoją szkocką, moja wdzięczność nie ma granic.

- Jest o tym we wszystkich gazetach - zawołała analityczka z D. i A., podchodząc do biurka i rzucając na blat południowe wydanie "L'Express". - Włamywacz usiłował obrabować gościa w hotelu "Meurice", ostrzelał pokój i został zastrzelony przez agenta ochrony!

- O rany, ależ ci ludzie z biura prasowego szybko działają, co? To jest prawdziwa ochrona, nie można sobie życzyć lepszej.

- Przestań, Drew! Przecież mieszkasz w "Meurice", sam mi o tym mówiłeś. A kiedy zadzwoniłam na posterunek policji, powiedzieli mi, w bardzo nieporadny sposób, że żadne informacje nie są dostępne.

- Hej, wszyscy w Paryżu dbają o wpływy z turystyki. Zresztą, dobrze robią. Takie rzeczy nie zdarzają się nikomu poza takimi osobnikami jak ja.

- A więc rzeczywiście chodzi o ciebie.

- Owszem, o mnie.

- Dobrze się czujesz?

- Chyba mnie już o to pytano, ale tak, dobrze. W dalszym ciągu jestem śmiertelnie przerażony... wykreśl przedostatnie słowo, ale jestem tu, ciepły, żywy i zdolny do pracy. Czy chcesz iść na lunch, gdziekolwiek, byle nie do tej knajpy, w której byliśmy ostatnim razem?

- Mam jeszcze robotę na przynajmniej czterdzieści pięć minut.

- Tyle mogę poczekać. Właśnie skończyłem nasiadówkę z ambasadorem Courtlandem i jego kolegą po fachu Kreitzem z Niemiec. Pewnie wciąż jeszcze gadają, ale mój żołądek zaczął się buntować na ich wzajemne rozgrzeszające pieprzenie w bambus.

- Pod pewnymi względami rzeczywiście przypominasz swojego brata. Też nie lubi przełożonych.

- Małeńka poprawka - stwierdził Latham. - Oboje nie lubimy przelożonych, którzy nie wiedzą, o czym mówią, ot co. A skoro już o nim mowa, przyleci tu z Londynu jutro lub pojutrze. Będiesz chciała się z nim zobaczyć?
- Jasne! Uwielbiam Harry'ego!
- Minus dla mojego braciszka.
- Słucham?
- To jajogłowy.
- Nie rozumiem.
- Jest takim intelektualistą, unosi się na takich wyżynach, że nie sposób się z nim porozumieć, pogadać.
- O tak, dobrze sobie przypominam. Tak cudownie się nam rozmawiało o eksplozjach religijności w starożytnym Egipcie, Atenach i Rzymie, aż po średniowiecze.
- Kolejny minus dla Harry'ego. Gdzie idziemy na lunch?
- Tam gdzie proponowałeś wczoraj. Restauracja naprzeciwko kawiarni, w której byliśmy.
- Mogą nas razem zobaczyć.
- Teraz to już nie ma znaczenia. Rozmawiałam z pułkownikiem. Rozumie wszystko. Stwierdził: "Nie ma sprawy".
- Co jeszcze Witkowski powiedział?
- No cóż... - de Vries spuściła głowę i dodała cicho - że nie jesteś taki jak twój brat.
- Pod jakim względem?
- To nieważne, Drew.
- Może jednak. Pod jakim względem?
- Powiedzmy, że nie jesteś takim intelektualistą jak on... - Harry właśnie dostał czerwoną kartkę... Lunch za godzinę, dobrze?
- Zarezerwuję miejsca, znajdą mnie tam. - Karin de Vries wyszła z gabinetu zamykając za sobą drzwi o wiele ciszej niż poprzednio. Telefon na biurku Lathama zabrzączał. Dzwonił ambasador Courtland.
- Tak, panie ambasadorze, słucham?
- Kreitz właśnie wyszedł, Drew, i bardzo żałuję, że nie posłuchałeś tego, co miał jeszcze do powiedzenia. Twój brat nie tylko poruszył gniazdo szerszeni, ale rozerwał je na strzępy.
- O czym pan mówi?
- Kreitz i tak nie mógłby powiedzieć tego przy tobie ze względów bezpieczeństwa. Informacja jest ściśle tajna i nawet ja musiałem uzyskać zezwolenie, żeby ją potwierdzić.
- Pan?
- Fakt, że Heinrich wbrew zakazowi Bonn ujawnił tajne informacje, a także to iż Harry jest twoim bratem i przylatuje tu jutro, chyba skłonił szychy z wywiadu do uznania, że nie ma sensu trzymać mnie poza kręgiem wtajemniczonych.
- Co takiego Harry zrobił? Znalazł Hitlera i Martina Bormanna w południowoamerykańskim barze dla pedałów?
- Chciałbym, żeby to było aż tak niewinne. Twój brat przywiózł ze swojej operacji w Niemczech listę popleczników neonazistów, którzy znajdują się w rządzie w Bonn, w niemieckim przemyśle, a także w Stanach, Francji i Anglii.
- Dobry stary Harry! - zawołał Latham. - Nic nie robi na pół gwizdka, prawda? Cholera, jestem dumny ze starszego pana!
- Nie rozumiesz, Drew. Niektóre, nie, wiele z tych nazwisk należy do najbardziej wpływowych ludzi w naszych krajach: mężczyźni i kobiety na wysokich stanowiskach i o idealnej reputacji. To wszystko jest nieprawdopodobne.
- Jeżeli Harry je przywiózł, w takim razie są całkowicie autentyczne. Nikt na świecie nie byłby w stanie przekabacić mojego brata.
- Tak mnie poinformowano.

- A więc w czym problem? Zabierzcie się za tych skurwysynów! Zamrożenie agenta to nie jest po prostu sprawa tygodni, miesięcy czy nawet lat. Równie dobrze mogą to być dziesięciolecia, marzenie strategów we wszystkich wywiadowczych centrach planowania.
- Tak trudno we wszystkim się zorientować.
- Niech pan się nie orientuje, ale weźmie do roboty!
- Heinrich Kreitz całkowicie odrzuca czterech ludzi z bońskiej listy: trzech mężczyzn i kobietę.
- Skąd się zrobił takim wszytkowiedzącym Bogiem?
- Są Żydami. Utracili krewnych w obozach koncentracyjnych, konkretnie w Auschwitz i BergenBelsen.
- Skąd o tym wie?
- Teraz mają już po sześćdziesiątce, ale każde z nich było jego uczniem, kiedy po raz pierwszy uczył w podstawówce, i każde z nich chronił przed Ministerstwem Czystości Aryjskiej.
- Możliwe, że mu ich podsunięto. Na tych naszych dwóch spotkaniach odniosłem wrażenie, że bardzo łatwo go podpuścić.
- To przez ten jego akademicki wygląd. I jak wielu innych jest też pełen wahań i gadatliwy, ale żadna z tych słabości nie kłóci się z jego błyskotliwością. Jest bardzo spostrzegawczym człowiekiem o niezwykłym doświadczeniu.
- Ostatnie określenie może się odnosić również do Harry'ego. Nie ma szans, aby dostarczył fałszywą informację.
- Dowiedziałem się, że na waszyngtońskiej liście jest kilka niezwykłych nazwisk. Nieprawdopodobnych, jak określił je Sorenson.
- Podobnie było z Charliem Lindberghiem. Bohater "Spirit of St. Louis" był wielbicielem Góringa, dopóki nie zorientował się, że ma do czynienia ze złymi ludźmi, i wtedy walczył po naszej stronie jak wszyscy diabli.
- Nie sądzę, aby można było zrobić takie porównanie.
- Być może. Staram się jedynie zilustrować, o co mi chodzi.
- Załóżmy, że pański brat ma rację? Nawet tylko w połowie, ćwiartce, jednej ósmej, czy nawet jeszcze mniej?
- Dostarczył nazwiska, panie ambasadorze. Nikt inny nie zdołał tego dokonać, proponuję jednak, żeby postępować tak jakby były wiarygodne, dopóki nie zostanie udowodnione, że jest inaczej.
- Jeżeli dobrze pana rozumiem, chce pan powiedzieć, że wszyscy są winni, dopóki nie zostanie udowodnione, że jest inaczej.
- Nie mówimy o prawie, ale o odrodzeniu się najgorszej plagi, jaka spotkała ten świat, gorszej nawet od dżumy! Nie ma czasu na prawnicze niuanse. Musimy ich powstrzymać.
- Kiedyś mówiliśmy tak o komunistach i rzekomych komunistach, i większość posądzanych o to ludzi nawet w naszym własnym kraju okazała się całkowicie niewinna.
- Teraz jest inaczej! Ci neonaziści nie działają tak samo jak faszyci w latach trzydziestych. Mieli władzę i pamiętają, w jaki sposób ją zdobyli. Wykorzystując strach. Uzbrojone bandy na ulicach, ubrane w dżinsy, o pomalowanych twarzach, krótko ostrzyżonych włosach. Potem przyjdą mundury, choćby koalicyjki i buty Schutzstaffeln - pierwszych bandziorów Hitlera - i wszystko eksploduje szaleństwem! Musimy ich powstrzymać!
- Dysponując jedynie nazwiskami ludzi, którzy cieszą się takim szacunkiem, że nikt by nawet nie podejrzewał, że są w najmniejszym stopniu związani z tym szaleństwem? - zapytał cicho Courtland. - W jaki sposób mamy zrealizować ten plan? I kto go ma realizować?>
- Tacy ludzie jak ja, panie ambasadorze. Przeszkoleni, aby docierać do prawdy.
- Pańskie słowa, Latham, mają wyraźnie niesympatyczny posmak. Czyjej prawdy?
- Po prostu prawdy, Courtland!
- Słucham?

- Przepraszam... Panie Courtland, albo panie ambasadorze. Pora na dyplomatyczne... czy nawet etyczne... niuanse się skończyła! Mógłbym być już podziurawionym trupem leżącym na łóżku w hotelu. Te skurwiele idą na całego i trzeba zastosować wobec nich te same reguły.
- Chyba rozumiem, do czego pan zmierza.
- Niech pan postara się sobie to wyobrazić. Zobaczyc, jak pańskie ambasadorskie łóże rozlatuje się w strzępy, podczas gdy pan siedzi skulony pod ścianą, zastanawiając się, czy jedna z tych serii trafi pana w gardło, twarz czy w pierś. To jest wojna... Prowadzona w tajemnicy, zapewniam pana, ale mimo wszystko wojna.
- Od czego by pan zaczął?
- Mam punkt zaczepienia, ale chciałbym, żeby dostarczona przez Harry'ego lista nazwisk znalazła się tu we Francji, w czasie gdy Moreau i ja zajmujemy się tym tropem, którym już dysponujemy. - Deuxieme nie zostało jeszcze sprawdzone pod kątem ewentualnych francuskich kolaborantów.
- Co?
- Słyszał pan, co powiedziałem. A więc, od czego by pan zaczął?
- Od nazwiska człowieka, który wynajął samochód zidentyfikowany na północ od Pont Neuf przez naszego słynnego, choć zwariowanego aktora.
- Podał je panu Moreau?
- Oczywiście. Samochód, który Bressard staranował na Montaigne, był tropem prowadzącym donikąd. Wóz pochodził z Marsylii, ale jego wynajem był tak pokręcony, że wyjaśnienie tej sprawy zajęłoby wiele tygodni. A tego człowieka dopadniemy, gdy usiądzie przy swoim biurku o czwartej po południu. Złamiemy go, choćbyśmy mu mieli włożyć jaja w imadło.
- Nie może pan pracować z Moreau.
- Dlaczego nie? O co chodzi?
- Jest na liście Harry'ego.

* * *

ROZDZIAŁ 7

Oszołomiony Drew opuścił swój gabinet, szedł spiralnymi schodami do holu ambasady i wyszedł na avenue Gabriel. Skręcił w prawo i skierował do restauracji, w której umówił się z Karin de Vries na lunch. Był nie tylko oszołomiony, ale i wściekły! Courtland odmówił nawet przedyskutowania zaskakującej rewelacji, że Claude Moreau, szef Deuxieme Bureau, znalazł się na liście Harry'ego. Zostawił całą sprawę w zawieszeniu, zbywając protesty Lathama stwierdzeniem: "Nie mam nic więcej do powiedzenia. Niech pan pracuje z Moreau, ale nic mu nie mówi. Proszę zadzwonić do mnie jutro i powiedziec mi, co się działo." Po udzieleniu tych precyzyjnych instrukcji ambasador odłożył słuchawkę. Moreau neonazistą? Miało to taki sam sens, jak stwierdzenie, że de Gaulle był w czasie drugiej wojny światowej sympatykiem Niemiec! Drew nie był głupcem, doskonale zdawał sobie sprawę z istnienia "kretów" i podwójnych agentów, ale zaliczenie kogoś o przeszłości Moreau do którejś z tych kategorii było czystą spekulacją. Jeżeli oficer operacyjny awansował na stanowisko szefa tak wyspecjalizowanej firmy jaką było Deuxieme, ponieważ wiele lat spędził na prowadzeniu tajnych operacji, musiał poddać się kontroli tysiąca par oczu. Obserwowali go zarówno ci, którzy go podziwiali, jak i ci, którzy mu zazdrościli - należący do tej drugiej kategorii robili więc wszystko, aby zniszczyć go za pomocą wszelkich dostępnych im danych. Ale Moreau przetrwał tę drogę przez mękę. Nie tylko zresztą przetrwał, ale wyszedł z tej próby z etykietką specjalisty "światowej klasy". Tego określenia drugi praktyk światowej klasy, jakim był Wesley Sorenson, nie użyłby jako zdawkowego komplementu.

- Monsieur! - dobiegł go głos z samochodu jadącego ulicą. Pojazd Deuxieme najwyraźniej dotrzymywał mu towarzystwa. Entrez, s'il vous plait!
- To tylko kilka kroków - zawołał Drew przepychając się między przechodniami w stronę krawężnika. - Jak wczoraj, pamięta pan? - dodał w swojej szkolnej francuszczyźnie.

- Nie podobało mi się wczoraj i nie podoba dzisiaj. Proszę wejść do środka! Samochód zatrzymał się, Latham niechętnie otworzył drzwi i wślizgnął się na przednie siedzenie.
- Przesadzasz, René... a może Marc? Ciągłe was myślę.
- Jestem François, proszę pana, i wcale mi to nie przeszkadza. Mam swoje rozkazy. Nagle rozległ się ogłuszający huk. O grube pancerne szkło szyb - najpierw bocznej, potem przedniej - zabębniły pociski wystrzelone z czarnego auta, które przemknęło obok i zniknęło w gęstym ruchu ulicznym.
- Chryste! - ryknął Drew nurkując pod tablicę przyrządów. - Widziałeś, jak nadjeżdża, prawda?
- Tylko go podejrzewałem, monsieur - odparł kierowca. Dyszał ciężko, odchylony na oparcie fotela. Zatrzymał samochód, którego przednia pancerna szyba była zupełnie matowa od uderzeń pocisków. - Odjechał od krawężnika, gdy wyszedł pan z ambasady. Nie zwalnia się dobrego miejsca na Gabriel bez poważnego powodu, a ludzie w tym wozie byli wściekli, gdy go zablokowałem i zawołałem pana.
- Jestem twoim dłużnikiem, François - powiedział Latham gwałtownie, prostując się i odwracając, gdy przechodnie zaczęli ostrożnie podchodzić do maszyny Deuxieme. - I co teraz?
- Lada chwila zjawi się policja, ktoś pewnie po nich zadzwonił...
- Nie mogę rozmawiać z policją.
- Rozumiem. Dokąd pan się wybiera?
- Do restauracji po drugiej stronie ulicy, za następną przecnicą.
- Znam ją. Niech więc pan tam idzie. Kiedy wysiądzie pan z samochodu, niech pan robi wrażenie podnieconego jak wszyscy. Proszę wmieszać się w tłum i pozostawać w nim. A potem niech pan dyskretnie wejdzie do restauracji. Niech pan pozostanie w środku, dopóki po pana nie przyjdziemy albo nie porozumiemy się z panem telefonicznie.
- Jakiego nazwiska użyjecie?
- Jest pan Amerykaninem... Jones będzie w sam raz. Niech pan uprzedzi kierownika sali, że spodziewa się pan telefonu. Ma pan broń?
- Oczywiście.
- Proszę uważać. Mało prawdopodobne, aby coś się jeszcze zdarzyło, ale niech pan będzie przygotowany na nieprawdopodobne. - Nie musi mi pan powtarzać. A co z panem?
- Wiemy, co mamy robić. Szybko! Drew otworzył drzwi, pochylił się i wysiadł, zatraskując je za sobą. Przeszedł w bok i wyprostował się, naśladowując reakcje otaczających go osób. Po chwili rzeczywiście wtopił się w tłum. Schylając się często i prostując przeszedł szybko na drugą stronę avenue Gabriel i rozglądając się uważnie wokół, ponownie skierował się w stronę restauracji. Przybył o wiele za wcześniej. Uświadomił sobie ten fakt, widząc na wpół pustą salę, ale nie mógł wrócić do gabinetu, do ambasady. Nagle oba te miejsca zaczęły mu się kojarzyć z obrazami, o których nie miał ochoty myśleć, zwłaszcza teraz, po tym, co stało się niewiele ponad sto metrów dalej, na ulicy. A jednak musiał o nich pomyśleć - dokładnie i uważnie.
- Rezerwacja na nazwisko de Vries - powiedział po angielsku do stojącego za kontuarem mężczyzny w smokingu.
- Tak, oczywiście, proszę pana... Jest pan nieco wcześniej, monsieur.
- Czy sprawiam jakiś kłopot?
- Ależ skąd. Proszę za mną, zaprowadzę pana do stolika. Madame woli miejsce w głębi sali.
- Nazywam się Jones. Może być do mnie telefon.
- Przyniosę go do stolika...
- Do stolika?
- W dzisiejszych czasach wszyscy mają telefony, prawda? Wciąż nie mogę wyjść z podziwu, jakim cudem ludzie mogą prowadzić samochód albo iść po zatłoczonej ulicy i jednocześnie rozmawiać przez telefon. Mon Dieu, nic dziwnego, że mamy tyle wypadków!
- Niech mi pan powie - zapytał po krótkim namyśle Latham siadając przy stoliku - czy mógłby mi pan przynieść telefon już teraz?

- **Certainement. Rozmowa miejscowa, czy gdzieś dalej, monsieur?**
- **Dalej - odparł Drew, marszcząc w zamyśleniu czoło.**
- **Telefon ma swój numer i opłata zostanie doliczona do rachunku.**
- **To musi być dla was cholernie uciążliwe - stwierdził Latham. - Mogłoby być, ale nie informujemy o tej możliwości każdego, ani też nie reklamujemy się specjalnie. Tyle osób nosi własne telefony...**
- **Ale mnie pan powiedział? - zauważył Drew, spoglądając na niego.**
- **No cóż. Pracuje pan w ambassade americaine, n'estce past Już pan do nas przychodził kilka razy, panie Jones.**
- **Owszem - przytaknął Latham, podając kierownikowi sali kartę kredytową. - Po prostu nie robiłem nigdy rezerwacji. - Merci. Czy przynieść panu drinka albo butelkę wina?**
- **Whisky. Szkocką, jeżeli mogę prosić, Maitre d'hotel odszedł, podano whisky i Drew usadowił się wygodnie w boksie, czując jak zaczynają mu drżeć ręce. Mój Boże, przecież zabiliby go na Gabriel, gdyby nie ten doświadczony, bystry kierowca! W ciągu półtorej doby dokonano aż trzech zamachów na jego życie. Pierwszy poprzedniej nocy, drugi dziś o świcie i teraz, zaledwie przed kilkoma minutami! Był na celowniku, a pośmiertne zaszczyty dla poległego na posterunku wcale go nie kusily. Nie było żadnej wątpliwości, że nazistowski rak ogarnął Niemcy i przeniknął poza ich granice. Kto jeszcze, kto wiedział? Kto mógłby ocenić ich skuteczność? Lista Harry'ego zdawała się zapowiadać krajom NATO najgorszy z możliwych scenariuszy, a rewelacje Karin de Vries, że Bractwo uzyskało ściśle tajne dane komputerowe Agencji na temat operacji Sting, potwierdzał fakt zinfiltrowania Waszyngtonu. Chryste, powiedział Villierowi, że odrodzeni faszyści przenikają wszędzie, ale to miała być przenośnia, raczej próba zainteresowania aktora. Posłużył się nią, ponieważ przypuszczał, że istnieje jakiś motyw łączący biografię Villiera z Jodelle'em i pozostałymi, wiążącymi się z nim sprawami na przykład zaginionymi protokołami przesłuchań. Kiedy Villier potwierdził jego podejrzenia, czuł się zarazem uszczęśliwiony i przerażony. Uszczęśliwiony, ponieważ odgadł prawdę, przerażony - ponieważ to b y ł a prawda. A teraz, ponieważ ją odkrył, stał się głównym celem. Realizując swoją teorię, że martwi oficerowie wywiadu są bezużyteczni, machnie ręką na otrzymane instrukcje i poszuka maksymalnej ochrony, jaką może mu zapewnić Deuxieme. Deuxieme... Moreau? Czy to możliwe? Czy prosząc Moreau o dodatkową ochronę podpisuje własny wyrok śmierci? Czyżby wbrew swojej intuicji, wbrew zaufaniu, jakie czuł do tego człowieka, lista Harry'ego była aż do tego stopnia prawdziwa? Nie mógł uwierzyć - samo przypuszczenie było szaleństwem! A może jednak? Kierownik sali podszedł do stolika z przenośnym telefonem w ręku. W Waszyngtonie była zaledwie siódma rano i zanim dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych rozpocznie swoją pracę, Drew Latham musi uzyskać pewne wskazówki.**
- **Niech pan naciśnie guzik z napisem Parlez i wybierze potrzebny numer, monsieur - pouczył maitre d'hotel, - Jeżeli będzie pan chciał dzwonić kilka razy, proszę przycisnąć Fini, potem znowu Parlez i wybrać nowy numer. Podał Drew aparat i odszedł. Latham wcisnął odpowiedni guzik Parlez, wystukał cyfry i chwilę później w słuchawce rozległ się energiczny głos.**
- **Tak?**
- **Tu Paryż...**
- **Przypuszczałem, że to ty - przerwał mu Sorenson. - Czy Harry przyjechał? Możesz mówić, jesteśmy na szyfratorze.**
- **Jest spodziewany najwcześniej jutro.**
- **Cholera!**
- **A więc pan wie? Mam na myśli informacje, które przywiózł. - Owszem, ale jestem zaskoczony, że t y wiesz. Brat czy nie, Harry nie należy do ludzi, którzy rozpowiadają na lewo i prawo poufne informacje, a ja zleciłem utajnić je w maksymalnym stopniu. - Harry niczego mi nie powiedział. Przekazał je Courtland. - Ambasador? Nie do wiary. Jest porządnym człowiekiem, ale nie należy do kręgu wtajemniczonych.**

- Musiał zostać włączony. Ambasador z Bonn puścił farbę, o ile wiem, niezbyt z tego zadowolony, na temat czterech możliwości w ich własnym rządzie.
- Co się do diabła dzieje? - ryknął Sorenson. - Przecież wszystko miało być trzymane w najgłębszej tajemnicy do momentu podjęcia decyzji!
- Ktoś popełnił falstart - odparł Drew. Sprinterzy zaczęli biec, zanim sędzia wystrzelił.
- Czy w ogóle masz pojęcie, o czym mówisz?
- O tak, z całą pewnością.
- No to może mi powiesz, do cholery! Mam o dziesiątej spotkanie z sekretarzem stanu i dyrektorem CIA...
- Niech pan rozmawia z nimi ostrożnie - przerwał mu gwałtownie Latham.
- O co ci, na litość boską chodzi?
- Komputery AAZero Agencji zostały zinfiltrowane. Bruderschaft, tak nazywają się neonaziści, wiedzieli wszystko o operacji Harry'ego. Nazwę kodową Sting, zadania, nawet przypuszczalny czas trwania misji: dwa lata plus. Wszystko zostało wyszabrowane z Langley.
- Przecież to jakieś pieprzone kretyństwo! - wrzasnął dyrektor. - Skąd się dowiedziałeś?
- Od kobiety, która nazywa się de Vries. Jej mąż był łącznikiem Harry'ego w dawnym Berlinie Wschodnim. Został zabity przez Stasi, a ona jest po naszej stronie. Pracuje obecnie w ambasadzie i twierdzi, że ma do wyrównania własne rachunki. Wierzę jej.
- Możesz mieć pewność?
- Nic konkretnego, ale sądzę, że tak.
- Co sądzi o tym Moreau?
- Moreau?
- Tak, oczywiście. Claude Moreau z Deuxieme.
- Myślałem, że ma pan listę Harry'ego.
- I co z tego?
- Jest na niej. Dostałem polecenie nie informowania go o niczym. W słuchawce rozległo się gwałtowne westchnienie. Cisza, która zapadła w Waszyngtonie, była pełna napięcia. Wreszcie Sorenson odezwał się złowieszczo cichym głosem:
- Kto wydał ci to polecenie? Courtland?
- Zapewne otrzymał je z góry... Chwileczkę. Przecież pan ma listę Harry'ego...
- Mam listę, którą mi przysłano.
- W takim razie jest na niej nazwisko Moreau. Nie zauważył go pan?
- Nie, ponieważ go na niej nie ma.
- Co?...
- Ze względów bezpieczeństwa niektóre nazwiska zostały "selektywnie usunięte".
- Zatajono je przed panem?
- Tak brzmiało sformułowanie.
- Przecież to bzdura!
- Owszem, wiem.
- Czy przychodzi panu do głowy jakiś powód? Jakikolwiek?
- Możesz mi wierzyć, bardzo staram się coś wymyślić... Na wyższych szczeblach dobrze wiedzą, że Moreau i ja blisko współpracowaliśmy ze sobą...
- Tak, wspominał pan Istambuł...
- Tam była nasza ostatnia placówka, ale współpracowaliśmy również przy innych okazjach. Tworzyliśmy dobry zespół i kiedy tylko istniała taka szansa, spece w Waszyngtonie i Paryżu starali się, żebyśmy pracowali razem.
- Czy ten fakt mógł być przyczyną usunięcia jego nazwiska z pańskiej listy?
- Prawdopodobnie - odparł dyrektor ledwo słyszalnym głosem. Mógłbym protestować, ale nie wypadłoby to zbyt przekonująco. Widzisz, uratował mi życie w Istambule.
- Wszyscy tak postępujemy, zakładając zazwyczaj, że taka przysługa może zostać kiedyś odwzajemniona.

- Dlaczego właśnie moje protesty nie były zbyt przekonujące? Jakaś więź jednak między nami powinna pozostać?
- W pewnych granicach i w zależności od okoliczności.
- Dobrze powiedziane.
- Przecież to oczywiste... Mam porozumieć się z Moreau po południu. Mamy trop związany z wynajętym samochodem, który znalazł nasz aktor bawiący się w tajnego agenta. Jak powinienem się zachować?
- Normalnie - stwierdził Sorenson. - Zupełnie normalnie. Uważam, że nazwisko Claude'a na tej liście jest jakimś kompletnym absurdem.
- Zgadza się - wtrącił Latham..
- Ale dostarczył ją Harry. Fakt, że jest twoim bratem, mimo wszystko...
- To również jest oczywiste - przerwał mu Drew.
- Niezwykle trudno mi uwierzyć, że Harry mógł dać się oszukać, a możliwość przejścia na drugą stronę absolutnie wykluczam. - Jeszcze raz... zgoda - mruknął Latham.
- A więc gdzie u diabła się znajdujemy? Jeżeli twoja przyjaciółka mówi prawdę, Agencja została zinfiltrowana, a najwidoczniej we francuskim wywiadzie albo naszym jest ktoś, kto zauważył nazwisko Moreau i na wszelki wypadek postanowił mi nie ufać.
- Absurd! - powiedział Drew podnosząc mimowolnie głos i natychmiast przycichł, widząc odwracające się w jego stronę głowy przy stolikach.
- Przyznaję, że rzeczywiście szok jest cholernie duży.
- Mam zamiar zadzwonić do Harry'ego do Londynu. Przekazać mu nasze opinie.
- Jest zablokowany.
- Nie dla mnie. Gdy miał czternaście lat, a ja osiem, uciekł przede mną, żeby czytać jedną z tych swoich cholernych książek. Wszedł na drzewo i utkwił tam. Powiedziałem, że pomogę mu zejść, jeżeli obieca, że nigdy nie będzie znowu przede mną się chował... Był trochę fujarą, jeżeli trzeba było skądś zejść.
- Przy takich przysięgach wszelkie tajemnice świata nie mają znaczenia. Jeżeli się do niego dodzwonisz, na litość boską, daj mi znać. Jeżeli ci się nie uda... Te słowa nie przechodzą mi przez gardło, ale postępuj według poleceń ambasadora. Współpracuj z Claude'em, ale bądź cicho. Drew przycisnął guzik Fini, następnie Parlez i wybrał kolejny numer. Telefonistka w hotelu "Gloucester" w Londynie po kilku sygnałach stwierdziła, że pana Wendella Mossa nie ma w pokoju. Latham pozostawił krótką wiadomość. "Zatelefonuj do Paryża. Dzwon do skutku." W tej samej chwili pojawiła się Karin de Vries, właściwie biegnąc między stolikami.
- Dzięki Bogu, jesteś tu! - powiedziała, siadając szybko. Mówiła pełnym napięcia szeptem. - W całej ambasadzie i na ulicy aż się kotłuje. Rządowy samochód został zaatakowany przez terrorystów niedaleko nas na Gabriel! - Karin przerwała gwałtownie, dostrzegając beznamienne spojrzenie Drew. Zmarszczyła brwi i jej usta poruszyły się bezgłośnie: - Ty! - Skinął głową i Karin mówiła dalej: - Musisz zniknąć z Paryża, z Francji! Wracaj do Waszyngtonu.
- Uwierz mi na słowo... Byłbym tam celem w takim samym stopniu, jak tu. Może nawet łatwiejszym.
- Ale trzy razy próbowali cię zabić w ciągu dwóch dni!
- Właściwie w ciągu dwudziestu trzech godzin. Liczyłem dokładnie.
- Nie możesz tu zostać, wiesz o tym.
- W Waszyngtonie znają mnie lepiej. Mógłby nawet czekać na mnie komitet powitalny, z którym wolalbym się nie spotkać. Poza tym Harry ma do mnie zadzwonić i chciałbym się z nim zobaczyć, porozmawiać. Muszę.
- Z jego powodu masz tu telefon?
- Jego i jeszcze kogoś. Ktoś w D.C., komu ufam, muszę ufać. Prawdę mówiąc, to mój szef. Podszedł kelner i de Vries zamówiła Chardonnay. Mężczyzna w fartuchu skinął głową i miał już odejść, gdy Latham podał mu aparat telefoniczny.

- Jeszcze nie - powstrzymała go Karin, wyciągając rękę i dotykając ramienia Drew. Kelner wzruszył ramionami i odszedł. Wybacz, ale chyba przeoczyłeś kilka spraw.
 - Całkiem możliwe. Jak zauważyłaś, strzelano do mnie trzykrotnie w ciągu dwudziestu trzech godzin. Nie licząc ćwiczeń polowych, w czasie których używali pocisków z farby, to jest mniej więcej połowa sytuacji, kiedy do mnie strzelano. O czym zapomniałem? W dalszym ciągu pamiętam moje imię. Ralph, prawda?
 - Nie próbuj być dowcipny.
 - A co mi do cholery zostało? Jeżeli chcesz wiedzieć, trzymam pistolet na kolanach i rozglądam się uważnie. Jestem gotów nawet go użyć.
 - Na całej Gabriel jest pełno policji. Żaden terrorysta nie spróbuje likwidacji w takich okolicznościach.
 - Masz dobrze opanowany ten język.
 - Byłam żoną mężczyzny, do którego strzelano i który strzelał częściej, niż byłabym w stanie zapamiętać.
 - Zapomniałem. Stasi. Przepraszam. O co ci chodziło?
 - Dokąd Harry ma zadzwonić?
 - Do mojego biura albo do "Meurice".
 - Sądzę, że postąpiłbyś głupio, wracając do któregoś z nich.
 - Może masz trochę racji.
 - Może przyznasz mi całą.
 - Mam słuszość i dobrze o tym wiesz.
 - Zgoda - odparł niechętnie Latham. - Na ulicy są tłumy. Wylot lufy może znajdować się kilka centymetrów ode mnie i nie będę miał o tym pojęcia. A skoro przeniknęto do CIA, ambasada jest dziecinną zabawką. A więc?
 - Jak twój przełożony w Waszyngtonie zinterpretował ten ostatni incydent na Gabriel? Jakie zaleca środki ochrony?
 - Niczego nie zaleca, ponieważ o niczym mu nie powiedziałem. To jedna z tych spraw, o której porozmawiamy później... Ma teraz większy kłopot, o wiele większy niż jakikolwiek zamach na mnie.
 - Naprawdę jest pan do tego stopnia wspaniałomyślny, monsieur Latham? - spytała Karin.
 - Wcale nie jestem, madame de Vries. Wszystko dzieje się tak szybko, a problemy, z którymi oboje mamy do czynienia, są tak wielkie, że nie chcę mu zawracać głowy.
 - Możesz mi coś powiedzieć na ten temat?
 - Obawiam się, że nie.
 - Dlaczego?
 - Bo zapytałaś.
- Karin de Vries odchyliła się do tyłu i podniosła kieliszek do ust.
- W dalszym ciągu mi nie dowierzasz? - szepnęła.
 - Rozmawiamy o moim życiu, łaskawa pani, i śmiertelnie raku, który przeraża mnie jak wszyscy diabli. Zresztą powinien się go bać cały cywilizowany świat.
 - Znasz go jedynie z odległości, Drew. A ja z bezpośredniego kontaktu, jak powiadacie wy, Amerykanie.
 - To wojna! - szepnął gardłowo Latham. Oczy mu płonęły. Nie wciskaj mi abstrakcyjnych głupot.
 - Straciłam męża na tej wojnie! - odparła Karin, pochylając się gwałtownie do przodu. - Czego jeszcze chcesz ode mnie? Co mam zrobić, żebyś mi zaufał?
 - Dlaczego tak bardzo tego chcesz?
 - Z bardzo prostego powodu. Zresztą, ubiegłej nocy udzieliłam ci pewnych wyjaśnień. Obserwowałam, jak wspaniałego człowieka niszczy nienawiść, której nie był w stanie opanować. Pożerała go miesiącami, nawet latami. Nie mogłam tego pojąć, aż wreszcie zrozumiałam. Miał rację! Chmura koszmaru wznosiła się nad Niemcami, na wschodzie nawet bardziej niż na zachodzie. "Jeden monolit zła zastąpił drugi. Ich marzenie o wrzeszczącym

wodzu nigdy się nie zmieni", powtarzał Freddie. I miał rację! - Wyczerpana emocjonalnie, ze łzami spływającymi spod zaciśniętych powiek, de Vries mówiła niemal niesłyszalnym szeptem.

- Był torturowany i zabity, ponieważ odkrył prawdę - zakończyła monotonnym głosem.

- Odkrył prawdę.

Drew przyglądał się uważnie kobiecie siedzącej naprzeciwko niego, pamiętając euforię, która ogarnęła go, gdy poznał prawdę o starym Jodelle'u, ojcu Villiera. A także przerażenie, które go później ogarnęło. Podobieństwo reakcji jego i Karin na poznane fakty było oczywiste. Tego nie sposób było udawać. Już nie mogli kłamać ani nie ukrywali gniewu, te uczucia były zbyt autentyczne.

- Dobrze, już dobrze - powiedział Latham, przykrywając lewą dłonią jej zaciśnięte pięści. - Zdradzę ci, tyle ile mogę, bez wymieniania nazwisk. Może podam ci je później... zależnie od okoliczności.

- Zgoda. To fragment regulaminu, prawda? Uwaga na chemikalia?

- Tak. - Oczy Drew błędziły po całej sali, spoglądały w stronę wejścia, przesuwaly się po stolikach. Prawa ręka bez przerwy kryła się pod blatem stołu. - Kluczem jest ojciec Villiera, jego prawdziwy ojciec...

- Villiera? Tego aktora? Te notatki w gazetach... o starcu, który popełnił samobójstwo w teatrze?

- Wyjaśnię ci wszystko dokładnie później, ale teraz przyjmij najgorsze. Starzec był ojcem Villiera, bojownikiem Ruchu Oporu, którego Niemcy schwytali i doprowadzili do szaleństwa w obozie koncentracyjnym.

- Była o tym wiadomość w popołudniówkach! - powiedziała de Vries, chwytając go za dłoń. - Villier zdejmuje z afisza wznowienie Koriolana.

- Przecież to głupota! - warknął Latham. - Czy wyjaśnili dlaczego?

- Coś o tym starcu i jak wstrząsnęło to Villierem...

- Gorzej niż głupie - przerwał jej Latham. - Groteskowe! Jest teraz takim samym celem, jak ja!

- Nie rozumiem.

- Bo nie możesz. Wszystko ma jednak pewien związek z moim bratem.

- Harrym?

- Protokoły wywiadowcze dotyczące Jodelle'a, ojca Villiera, zostały usunięte z archiwów Agencji...

- Tak jak w przypadku danych z komputerów AAZero? wtrąciła się Karin.

- Były dokładnie tak samo zabezpieczone, możesz mi wierzyć. W tych materiałach było nazwisko francuskiego generała, który nie tylko został zwerbowany przez nazistów, ale stał się jednym z nich, fanatycznym neofitą.

- Jakie ma to w tej chwili znaczenie? Generał sprzed tak wielu lat... na pewno już nie żyje,

- Może tak, a może nie, nieważne. Chodzi o sprawy, które rozkręcił, i aktualne konsekwencje... organizacja we Francji, która ściąga z całego świata pieniądze dla neofaszystów w Niemczech. Przecież z tego powodu przyjechałaś do Paryża.

Karin. De Vries odsunęła się lekko, puszczając jego dłoń i spojrzała na niego ze zdumieniem, szeroko otwierając oczy.

- Ale jaki ma to związek z Harrym? - zapytała.

- Mój brat przywiózł listę nazwisk, nie wiem ilu, sympatyków neofaszystów we Francji, Wielkiej Brytanii i w moim kraju. Przypuszczam, że jest to bomba... nazwiska wpływowych osobistości niekiedy dysponujących nawet wielką polityczną władzą, których nikt nigdy nie podejrzewałby o takie skłonności.

- Skąd Harry wydobyl te nazwiska?

- Nie mam pojęcia i dlatego chcę się z nim zobaczyć!

- Dlaczego? Sprawiasz wrażenie tak poruszonego.

- Ponieważ jedno z nazwisk należy do człowieka, z którym współpracuję i któremu bez namysłu powierzyłbym swoje życie. Jak ci się podobają te jabłuszka?

- Nie rozumiem.
- Proste. Chodzi mi o stary trik stosowany przez sadowników. Na wierzchu beczki umieszczają najładniejsze okazy owoców, pod którymi znajdują się zepsute.
- W dalszym ciągu nic nie pojmuję.
- Dlaczego nie?
- Mówisz jak twój brat, ale bez jego klarowności.
- Właśnie od niego chciałbym uzyskać klarowne wyjaśnienia.
- Oczywiście, biorąc pod uwagę człowieka, z którym pracujesz.
- Tak. Nie mogę w to uwierzyć, ale jeżeli Harry ma rację i spotkam się z tym facetem dziś po południu, a taki mam zamiar, będzie to najbardziej kretyńska decyzja, jaką mógłbym podjąć. Cholernie kretyńska.
- Przelóż ją na później. Powiedz, że masz coś bardzo ważnego do załatwienia.
- Zapyta, o co chodzi. W obecnej sytuacji ma do tego pełne prawo. Właśnie jego bystry pracownik niecałe pół godziny temu uratował mi życie na Gabriel.
- Być może chciał, aby wyglądało to inaczej.
- Tak, to możliwe wyjaśnienie. Widzę, że z niejednego pieca chleb jadaś, moja pani.
- Owszem - przyznała Karin de Vries. - Chodzi ci o Moreau, o Claude'a Moreau z Deuxieme Bureau, prawda?
- Dlaczego tak uważasz?
- D. i A. całodobowo rejestruje wejścia i wyjścia. Nazwisko Moreau pojawiło się dwukrotnie, przedostatniej nocy, kiedy zaatakowano cię po raz pierwszy, a potem następnego ranka, kiedy przyszedł ambasador Niemiec. Schemat jest oczywisty. Kilku kolegów stwierdziło, że nie przypominają sobie, aby jakkolwiek funkcjonariusz, a co dopiero szef Deuxieme kiedykolwiek zjawił się w ambasadzie.
- Oczywiście nie mogę potwierdzić twoich przypuszczeń,
- Nie musisz tego robić. Z drugiej strony jakkolwiek związek Moreau z neonazistami wydaje mi się absurdalny.
- Dokładnie to samo usłyszałem z Waszyngtonu niecałe dziesięć minut temu. Ale jednak Harry dostarczył tę listę. Znasz mojego brata. Czy byli w stanie go oszukać?
- Znowu przychodzi mi na myśl słowo absurd.
- Przeszedł na ich stronę?
- Nigdy!
- A więc, jak powiedział mój wyjątkowo doświadczony szef, który pracował z Moreau w bardzo paskudnych czasach i który również zgadza się z nami: "Gdzie u diabła się znaleźliśmy?" - Musi być jakieś wytłumaczenie.
- Dlatego właśnie muszę porozmawiać z Harrym... Hej, poczekaj chwilę. Masz wyraźnie wyrobioną opinię o Moreau. Znasz go?
- Wiem, że ernerdowski wywiad, a później neonaziści śmiertelnie się go obawiali, ponieważ on pierwszy, jednocześnie z twoim bratem, dostrzegł powiązania między Stasi i faszystami. Freddie raz się z nim spotkał w czasie pooperacyjnej odprawy w Monachium i wrócił pełen entuzjizmu, twierdząc, że Moreau to geniusz.
- A więc podsumowując, gdzie się właściwie znajdujemy?
- Zgodnie ze znanym powiedzonkiem - odparła Karin - między młotem a kowadłem. Chyba dobrze pasuje do sytuacji, przynajmniej do momentu twojej rozmowy z Harrym, której dla własnego bezpieczeństwa nie możesz przeprowadzić ani w "Meurice", ani w ambasadzie.
- To jedyne numery telefonów, jakie zna - zaprotestował Drew.
- Chciałabym cię prosić, abyś zaufał mi jeszcze raz. Z okresu pracy w Amsterdamie mam w Paryżu przyjaciół, takich, którym można zaufać. Jeżeli zechcesz, mogę nawet podać ich nazwiska pułkownikowi.
- Po co? Dlaczego?

- Mogą cię ukryć, ale mimo to będziesz w stanie działać na terenie Paryża, ponieważ mieszkają w odległości niecałych czterdziestu pięciu minut jazdy z miasta. A ja będę mogła porozumieć się z Moreau po prostu mówiąc mu prawdę, Drew.
- A więc znasz Moreau.
- Nie osobiście, ale dwaj funkcjonariusze Deuxieme przesłuchali mnie, zanim zaczęłam pracować w ambasadzie. Wierz mi, nazwisko de Vries umożliwi mi przeprowadzenie rozmowy w cztery oczy.
- Wierzę. Ale co mu przekażesz? Informację, że sam jest podejrzany?
- Następną prawdę. Dokonano trzech zamachów na twoje życie, ale nie zważając na zrozumiałe zaniepokojenie...
- Używaj właściwego określenia - wtrącił Latham. - Brzmi ono: strach. Za każdym razem groziła mi śmierć i moje nerwy są w tej chwili w kiepskim stanie.
- Doskonale, to bardzo uczciwe postawienie sprawy, zrozumie cię... A więc nie zważając na strach o własne życie, musisz spotkać się ze swoim bratem, który przylatuje tu z Londynu, nie wiadomo którego dnia i o której godzinie, i nie możesz narażać również jego życia. Masz zamiar ukryć się na kilka dni i porozumiesz się później, gdy opuścisz bezpieczne miejsce. Oczywiście, nie mam pojęcia, gdzie się znajdujesz;
- Jest w tej historii jedna wielka dziura. Konkretnie, dlaczego ty jesteś moim łącznikiem?
- Istnieje wytłumaczenie, które zamaskuje kłamstwo i zostanie potwierdzone przez pułkownika Witkowskiego, wywiadowczą opokę, szanowaną przez wszystkich. Witkowski potwierdzi, że mój mąż pracował z twoim bratem. Moreau będzie przypuszczał, że wiedziałeś o tym, i zrozumie, dlaczego zwróciłeś się do mnie z prośbą o pośrednictwo.
- Dwie następne dziury - Drew naciskał spokojnie, ponownie rozglądając się po zatłoczonej restauracji. - Po pierwsze, nie wiedziałem... Witkowski musiał mi to wyjaśnić. A po drugie, dlaczego nie poprosiłem jego?
- Tacy jak Stanley Witkowski, bystrzy, nawet błyskotliwi weterani "złych czasów", jak je nazwałeś, znają regułę dziobania lepiej niż każde z nas. Aby doprowadzić do załatwienia spraw, musi działać w swojej "niszy ekologicznej". Ma on obecnie możliwość potwierdzać dane, ale nie wolno mu inicjować spraw. Możesz to zrozumieć?
- Zawsze przeciwko temu protestowałam, ale owszem, mogę. Przenosimy naszych najlepszych ludzi na synekury, bo albo zbliża się pora ich emerytury, albo nie zdołali wyrobić sobie nazwiska pozwalającego im wskoczyć na następny szczebelek emerytury. Cholerna głupota, zwłaszcza w naszej branży, ponieważ właśnie ci niewidoczni i cisi umożliwiają "gwiazdom" ich sukcesy. Ile legendarnych postaci wywiadu stało się legendarnymi dlatego, że kierowali nimi ci niewidoczni... Przepraszam, że znowu gędzę, ale dzięki temu unikam myślenia o tym, że również w tej paryskiej restauracji ktoś może do mnie strzelić.
- Mało prawdopodobne - odparła de Vries. - Jesteśmy blisko ambasady. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo Francuzi są przeczuleni z powodu bezradności wobec terrorystów.
- Podobnie Brytyjczycy, ale ludzie ginęli i przed "Harrodsem". - Ale niezbyt często. Anglikom udało się wyizolować swojego głównego wroga, IRA, niech ją szlag trafi. Natomiast Francuzi są celem bardzo wielu wrogów. Całe dzielnice zamieszkane są przez zwalczające się ugrupowania z zagranicy. Również w krajach skandynawskich konflikty stają się coraz bardziej gwałtowne, nie mówiąc już o Holandii... Najbardziej pokojowo usposobione są te narody, gdzie prawica i lewica ścierają się bez przerwy.
- Dodaj Włochy, rozdzierającą kraj mafię, ludzi bijących się w Parlamencie, eksplodujące bomby. I Hiszpanię, w której Katalończycy i Baskowie nie tylko mają broń, ale również od pokoleń obarczeni są najrozmaitszymi urazami. A także Bliski Wschód, gdzie Palestyńczycy zabijają Żydów, a Żydzi Palestyńczyków, i obie strony oskarżają się nawzajem o to samo. Również Bośnię i Hercegowinę, gdzie przy całkowitej obojętności świata masakrują się ludzie, którzy kiedyś żyli wspólnie. Wszędzie to samo. Niezadowolenie, podejrzenia, oskarżenia... przemoc. Zupełnie jakby realizowano jakiś ogromny, straszliwy plan.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała de Vries, spoglądając na niego uważnie.

- Wszyscy są surowcem dla nowych nazistowskich maszynek do mięsa, nie widzisz tego?
- Nie rozważałam tych wydarzeń w takiej perspektywie. Chyba trochę melodramatyczne wnioski, nie uważasz?
- Pomyśl o tym. Jeżeli lista Harry'ego jest prawdziwa, choćby tylko w połowie, w takim razie od jak dawna różne sfrustrowane grupy były informowane, kto i co jest przyczyną ich krzywd? A także, że wszyscy ich wrogowie zostaną zmiażdżeni natychmiast, gdy zapanuje nowy ład?
- Amerykański nowy ład miał zupełnie inne znaczenie. Był o wiele bardziej dobroczynny.
- Zrobimy jeszcze jedno założenie. Na przykład, że wszystko jest kamuflażem czegoś innego, tego "nowego ładu", który wymyślono pięćdziesiąt lat temu. Nowego Ładu Rzeszy, która miała trwać tysiąc lat.
- Nonsens!
- Owszem - przytaknął Latham, odchylając się do tyłu. Doprowadziłem wszystko do absurdu, ponieważ masz rację, to nie mogłoby się zdarzyć. Ale pewna część tego założenia jest prawdą - tu, w zachodniej Europie, na Bałkanach, na Bliskim Wschodzie. A jaki może być następny krok? Po wielu konfliktach ludzi z ludźmi, religii z religiami, przy separatyzmach narodowych? - Próbuję cię zrozumieć, a przecież nie jestem głupia. Jak powiedziałby Harry, gdzie tu wyjaśnienie?
- Broń nuklearna! Kupowana i sprzedawana na międzynarodowych rynkach. Być może, przy milionach, jakimi dysponuje Bractwo, zbyt wiele jej egzemplarzy znajduje się w jego rękach. Bractwo - nowa religia, lek, a być może ucieczka dla wszystkich niezadowolonych na całym świecie przyciąganych wiarą w jego niezwykłość. Coś takiego zdarzyło się w latach trzydziestych i jeżeli chodzi o realia, niewiele zmieniło się od tego czasu. - To przekracza moje zdolności pojmowania - powiedziała Karin, pijąc wino. - Walczę z rozszerzającym się rakiem, który zabił Freddiego. Ty natomiast widzisz nadciągającą apokalipsę, w którą nie mogę uwierzyć. Już minęliśmy ten etap rozwoju cywilizacyjnego. - Mam nadzieję, że tak, że się mylę, i bardzo bym pragnął móc przestać o tym myśleć.
- Masz niezwykłą wyobraźnię, podobnie jak Harry, poza tym że jego cechowała... cechuje... song froid. Nie przyjmuje niczego, dopóki nie przeanalizuje wszystkiego bez emocji.
- Zabawne, że tak mówisz. Tym właśnie się różnimy. Uważałem, że mój brat jest zawsze zimny, pozbawiony uczuć, do momentu, kiedy nasza kuzynka, szesnastoletnia dziewczyna, umarła na raka. Byliśmy dziećmi i znalazłem go płaczącego za garażem. Gdy próbowałem mu pomóc, wrzasnął na mnie: "Nie mów nikomu, że płakałem, albo rzucę na ciebie podwójny zły urok!" Dziecinada, oczywiście.
- Powiedziałeś?
- Jasne że nie, jest moim bratem.
- Nie o wszystkim mi powiedziałeś, prawda?
- Dobry Boże, czy jestem na spowiedzi?
- Ależ skąd. Po prostu chcę cię lepiej poznać. To żadna zbrodnia.
- Dobra. Uwielbiałem go. Był taki mądry, taki dobry dla mnie, pomagał mi przy pytaniach egzaminacyjnych i referatach semestralnych. Potem w college'u nawet pomagał mi wybrać wykłady i zawsze powtarzał, że byłbym lepszy, niż sądzę, gdybym tylko się skoncentrował. Nasz ojciec zawsze był na wykopaliskach, kto więc odwiedzał mnie w college'u, kto najgłośniej krzyczał na meczach hokejowych? Właśnie Harry.
- Kochasz go, prawda?
- Bez niego byłbym niczym. Dlatego prawie zagroziłem, że złamię mu rękę, jeżeli nie wciągnie mnie do tej roboty. Pomyśl wcale mu się nie podobał, ale właśnie organizowano Operacje Konsularne najwyraźniej potrzebujące wówczas twardych chłopaków, którzy również potrafili trochę myśleć. Spełniałem ich wymagania i udało się.
- Pułkownik powiedział, że byłeś świetnym hokeistą w Kanadzie i powinieneś przejść do nowojorskiej drużyny.

- To był taki przerywnik, prowincjonalna drużyna, w której dobrze mi płacili, ale Harry przyleciał do Manitoby i stwierdził, że powinienem wydorosnąć. Co też uczyniłem, a resztę już znasz. Czy koniec pytań?
- Dlaczego jesteś tak wrogo nastawiony?
- Ależ skąd. Jestem dobry, w tym co robię, moja pani, ale jak już do znudzenia mi powtarzałaś, nie jestem Harrym.
- Posiadasz swoje własne zalety.
- O tak, do diabła. Podstawy w sztukach walki, ale nie jestem ekspertem, możesz mi wierzyć. Kursy w zakresie przesłuchiwanie przeciwnika, manipulacji, psychologii i zastosowania środków chemicznych, w zakresie technik przeżycia i określania stopnia przydatności do spożycia miejscowej flory i fauny. Wszystko sobie przyswoiłem.
- W takim razie co cię tak niepokoi?
- Chciałbym ci wyjaśnić, ale nawet sam tego nie wiem. Sądzę, że to polega na braku autorytetu. Istnieje ściśle określony łańcuch dowodzenia i nie mogę go pominąć... nawet nie jestem pewien, że tego chcę. Właśnie o tym wspominałem, o niewidocznych, którzy wiedzą więcej ode mnie... i teraz nie mogę ufać nawet im. - Proszę, podaj mi telefon.
- Jest zaprogramowany na międzynarodową.
- Naciskając F zero jeden osiem, możesz przejść na Paryż i okolice. De Vries wybrała cyfry, które znała na pamięć, poczekała przez chwilę i powiedziała. - Jestem w szóstej dzielnicy, proszę sprawdzić. - Przykryła dłonią mikrofon i popatrzyła na Drewa. - Prosta operacja, nic nadzwyczajnego. Nagle spojrziała na podłogę i zbladła. Zerwała się z miejsca i krzyknęła.
- Wychodzić! Wszyscy wychodzić! - Schwyciła Lathama za ramię i razem z nim wyskoczyła z boksu, krzycząc bez przerwy: Wszyscy uciekać! Wychodzić na ulicę! Les terroristes! Zapanował straszliwy chaos. Kilka okien zostało rozbitych przez uciekających gości, zderzających się z kelnerami i pikolakami nadbiegającymi, aby sprawdzić co się stało. Tymczasem ich oszołomieni i wściekli przełożeni usiłowali powstrzymać masową ucieczkę, by w końcu niechętnie podążyć za wszystkimi. Na avenue Gabriel wszyscy patrzyli z przerażeniem, jak zaplecze restauracji rozlatuje się w kawałki, a podmuch eksplozji rozbija pozostałe fragmenty okien. Odlamki szkła wyleciały na ulicę, kalecząc twarze, wbijając się przez ubranie w ręce, piersi i nogi. W powstałym nagle zamieszaniu Latham upadł na Karin de Vries.
- Jak się zorientowałaś? - krzyknął, wsuwając pistolet za pasek. - Skąd wiedziałaś?
- Nie ma czasu! Wstawaj i biegnij za mną!

* * *

ROZDZIAŁ 8

Biegli w dół avenue Gabriel, dopóki nie dotarli do ocienionej, głębokiej witryny jubilera, gdzie drogocenne kamienie błyszczą jaskrawo w półmroku. Karin wciągnęła Drew w cień. Przez chwilę stali, dysząc ciężko, aż wreszcie Latham odezwał się:

- Do diabła, co się stało? Powiedziałaś, że ten, do kogo dzwonisz, przeprowadzi prostą operację, i nagle rozpętało się piekło! Czekam na wyjaśnienie.
- Nie zdążyli sprawdzić - odparła de Vries, wciąż łapiąc powietrze. - Ktoś inny podszedł do telefonu i powiedział: "Trzej mężczyźni w ciemnych ubraniach biegają po ulicy od jednego lokalu do drugiego. Chcą, żeby twój przyjaciel wyszedł!" Zanim zdążyłam zadać jakieś pytanie, zobaczyłam? dwie bulki toczące się po podłodze przed naszym boksem.
- Bulki? Pieczywo?
- Małe, lśniące bułeczki, Drew. Sztuczne. Plastik dziesięciokrotnie potężniejszy niż granaty.
- O mój Boże...
- Za rogiem jest postój taksówek. Szybko! - Ciężko dysząc wskoczyli na tylne siedzenie taksówki i Karin podała kierowcy adres w dzielnicy Marais. - Za godzinę wrócę do

- ambasady... - Zwariowałaś? - przerwał Latham, obracając się gwałtownie w jej stronę. - Sama powiedziałaś, że widziano cię ze mną. Zabiją cię!
- Nie, jeżeli wrócę w rozsądnych granicach czasowych... i będę się zachowywała, jakbym przeżyła straszliwy wstrząs... trochę histerycznie, ale bez przesady.
- To tylko słowa - odparł ostro Drew.
- Nie. Zdrowy rozsądek, który sugeruje, że w tej napiętej sytuacji należy zachować pozory normalnego życia.
- Naprawdę oszalałaś! Przecież nie tylko byłaś razem ze mną, ale również ostrzegłaś wszystkich! Wszczęłaś panikę.
- Podobnie zareagowałby każdy, kto przyszedłby z ulicy, na której widział policjantów oraz wozy patrolowe i usłyszał, że terroryści ostrzelali samochód. Dobry Boże, Drew, dwie bulki - nawet gdyby były prawdziwe - toczą się koło stolika, a jednocześnie mężczyzna w czarnym swetrze i czarnej czapce z daszkiem wybiega z restauracji, zderzając się z kelnerem!
- Nie powiedziałaś mi o żadnym mężczyźnie...
- W grubym swetrze, mimo że mamy ciepły wiosenny dzień. Miał zasłoniętą twarz i niemal przewrócił kelnera z tacą! - Ani o żadnym kelnerze.
- A skoro już o tym mowa, żaden kelner w Paryżu nie weźmie bułek za piłki?
- Dobrze, już dobrze, możesz wyjaśnić tę sprawę, ale nie fakt, że byłaś w moim towarzystwie.
- Załatwię to w sposób, jaki zrozumie każdy Francuz, bez względu na to, czy jest terrorystą, czy też nie. Wykonam po prostu kilka telefonów.
- Jakich telefonów? W jakiej sprawie i do kogo?
- Do ludzi z ambasady. Najpierw oczywiście do D. i A., potem na portiernię i jeszcze do paru innych znanych plotkarzy, między innymi do głównej asystentki Courtlanda i sekretarki pierwszego attache. Opowiem im, że byłam z tobą w restauracji, w której podłożono bombę. Wydostaliśmy się stamtąd, ale ty zniknęłaś i bardzo się niepokoję.
- Przecież właśnie zwrócisz uwagę na fakt, że byliśmy razem! - Z całkiem innego powodu, który nie ma żadnego związku z twoją pracą. Zresztą nie mogę o niej nic wiedzieć, ponieważ nie pracuję wystarczająco długo.
- Z jakiego więc powodu?
- Spotkaliśmy się któregoś dnia, zainteresowaliśmy sobą i najwyraźniej wszystko zaczęło zmierzać w stronę romansu. - To najmiłsza rzecz, jaką mi mogłaś powiedzieć.
- Nie traktuj tego dosłownie, monsieur Latham. Jest to wyłącznie kamuflaż. Rzecz w tym, że skoro zakładamy, iż w ambasadzie są przecieki, wiadomość rozejdzie się szybko.
- Czy sądzisz, że paryska komórka neofaszystów kupi tę historijkę?
- Nie mają wyboru. Zresztą, wszystko jedno, którą wersję przyjmą. Jeżeli uznają, że kłamię, będą mnie obserwowali, zakładając, że zechcesz się ze mną porozumieć i że naprowadzę ich na twój ślad. Jeżeli zaś uwierzą, nie warto tracić na mnie czasu. W każdym razie mam możliwość udzielenia ci pomocy.
- Rozumiem. Ze względu na pamięć Freddiego - rzekł Drew, uśmiechając się łagodnie, gdy taksówka wjechała do Marais. Wciąż jednak uważam, że cholernie ryzykujesz, moja pani.
- Czy mogę powiedzieć coś w związku z twoim sposobem wyrażania się?
- Uprzejmie proszę.
- Twoje okazjonalne, ale systematyczne użycie zwrotu "moja pani" posiada wyraźnie protekcjonalny charakter.
- Zupełnie niezamierzony.
- Być może. Ale nawet w tym przypadku stanowi podświadomą, kulturową sprzeczność.
- Słucham?
- Używając zwrotu "moja pani", używasz go właściwie w pejoratywnym sensie, takim jak "dziewczyzna" czy, co gorsza, "laska". - Przepraszam - Latham ponownie uśmiechnął się łagodnie. - Używałem tego zwrotu częściej, niż jestem w stanie sobie przypomnieć, w stosunku do mojej matki i zapewniam cię, że nigdy nie, jak to określiłaś? w pejoratywnym sensie.
- Matka może go potraktować jako czuły zwrot. Ale ja nie jestem twoją matką.

- Do licha, nie. Jest o wiele ładniejsza i nie czepia się tak bardzo jak ty.
- Czepia się?... - De Vries spojrzała Amerykaninowi w oczy, dostrzegając w nich błyski rozbawienia. - Miałaś rację, mówiąc mi przy stoliku w restauracji, że czasami traktuję wszystko zbyt poważnie. Nie ma sprawy. Teraz widzę, dlaczego tak dobrze rozumiałaś się z Harrym. Analizujesz, dokonujesz oceny i analizujesz znowu. Wciąż zataczasz kręgi, prawda?
- Nie, nieprawda, ponieważ wśród tych kręgów powstają punkty styczne, dzięki którym pojawia się coś nowego. Docieram do prawdy.
- Czy sądzisz, że coś z tego rozumiem?
- Oczywiście. Twój brat miał rację, mówiąc mi kiedyś, że jesteś lepszy niż sam o sobie sądzisz... Ale i tak nie muszę ci o tym mówić.
- Nie musisz. Teraz jednak chciałbym się dowiedzieć, dokąd jedziemy, dokąd ja jadę.
- Do miejsca, które nazywacie "bezpiecznym domem", punktu przejściowego, gdzie sprawdza się wiarygodność przed wysłaniem do kryjówek.
- Jedziemy do ludzi, do których dzwoniłaś z restauracji?
- Tak, ale ty zostaniesz wysłany natychmiast. Ja będę twoimi listami uwierzytelniającymi.
- Kim są ci ludzie?
- Wystarczy powiedzieć, że są po tej samej stronie co my. - Dla mnie nie wystarczy, moja pani, przepraszam, pani de Vries.
- W takim razie możesz zatrzymać taksówkę, wysiąść, działać na własną rękę i dać na siebie polować, aż wreszcie wezmą cię na muszkę.
- Niekoniecznie. Może nie jestem Harrym, ale posiadam pewne umiejętności, które pomogły mi w paru awanturach. Czy mam kazać kierowcy, żeby podjechał do krawężnika, czy powiesz mi dokładnie, gdzie jedziemy i z kim mamy się spotkać?
- Potrzebujesz ochrony i sam przyznałeś, że nie wiesz, komu możesz zaufać...
- I chcesz mi powiedzieć, że powinienem zaufać ludziom, których nie znam? - przerwał jej Latham. - Chyba jesteś chora. Pochylił się do przodu i odezwał do kierowcy: - Monsieur, s'il vous plait, arrêtez le taxi...
- Non! - zawołała zdecydowanym tonem Karin. - Nie trzeba - dodała po francusku do kierowcy, który wzruszył ramionami i zdjął stopę z pedału hamulca. - No dobrze - zwróciła się do Drewa. - Co chcesz zrobić, dokąd iść? A może wolisz, żebym to ja wysiadła, - zanim się zorientuję, dokąd się wybierasz? Zawsze możesz zadzwonić do mnie do ambasady... proponowałabym z automatu, ale chyba nie muszę ci tego mówić. Sądzę, że nie masz przy sobie zbyt dużo pieniędzy, a przecież nie możesz iść do banku, biura lub mieszkania, czy do "Meurice"; wszystkie te punkty będą na pewno pod obserwacją. Dam ci wszystko, co mam przy sobie, i możemy umówić się na później... Na litość boską, podejmij decyzję. Wkrótce będę musiała zacząć moją własną rozgrywkę... Za kilka minut, jeżeli mam być wiarygodna!
- Rzeczywiście tak myślisz, prawda? Dasz mi pieniądze, wysiądziesz i pozwolisz mi zniknąć, nie wiedząc, dokąd się udam.
- Oczywiście. To nie jest dobre rozwiązanie i uważam, że jesteś cholernym głupcem, ale skoro jesteś tak uparty, nie mogę zrobić nic innego. Najważniejsze, abyś pozostał przy życiu, zobaczył się z Harrym i zajął się tą sprawą. Każdy dzień działalności przywódców neonazistów umacnia ich potęgę.
- A więc nie nalegasz, żeby mnie zabrać do swoich starych przyjaciół z Amsterdamu. - Latham nie powiedział tego jakby zadawał pytanie.
- Nie nalegam. Nie chcesz mnie słuchać, nie będę więc do niczego cię zmuszała.
- Dobrze. Zawieź mnie do nich. Masz rację, rzeczywiście nie wiem komu ufać.
- Jesteś niemożliwy. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.
- Nie, nie jestem niemożliwy, a po prostu ostrożny. W końcu w czasie niecałych dwudziestu trzech godzin trzykrotnie strzelano do mnie, a trzy minuty temu ktoś przy pomocy bomby usiłował wyekspediować mnie na księżyc. O tak, moja pani, jestem bardzo ostrożny.
- Podjąłeś właściwą decyzję, możesz mi wierzyć.
- Muszę. A więc, kim są ci ludzie?

- To przede wszystkim Niemcy. Ale nienawidzą neonazistów bardziej niż ktokolwiek z nas... bo widzą, jak ich ojczyzna jest kompromitowana przez tak zwanych spadkobierców Trzeciej Rzeszy.
- Są też w Paryżu?...
- I w Wielkiej Brytanii, i w Holandii, Skandynawii, na Bałkanach... tam, gdzie ich zdaniem działa Bruderschaft. Każda komórka jest niewielka liczebnie, od piętnastu do dwudziestu ludzi, ale działają ze słynną niemiecką skutecznością. Są finansowani w tajemnicy przez grupę niemieckich przemysłowców i finansistów, którzy nie tylko pogardzają neonazistami, ale również obawiają się ich wpływu na opinię o narodzie, a tym samym na jego gospodarkę. - Czyli jak Bractwo, ale z odmiennym znakiem.
- Jak uważasz, co rozdziera kraj? Bonn kieruje się zmysłem politycznym, biznes jest praktyczny. Rząd musi zabiegać o głosy zróżnicowanego elektoratu. Natomiast instytucje finansowe muszą przede wszystkim bronić się przed izolacją na międzynarodowych rynkach, do czego może właśnie doprowadzić widmo odrodzenia się nazizmu.
- Ci ludzie, twoi przyjaciele... te "komórki"... czy mają jakąś nazwę, symbol, coś w tym rodzaju?
- Tak. Organizacja "Antyninus".
- Cóż to za nazwa? Właściwie nie wiem, ale twój brat śmiał się, gdy Freddie mu o tym powiedział. Wyjaśnił, że nazwa ma jakiś związek ze starożytnym Rzymem i chyba historykiem Dionem Kasjuszem. Harry stwierdził, że nazwa pasuje do okoliczności.
- Harry jest dobry w te klocki - mruknął Drew. - Przypomnij mi, żebym postawił na dawnym miejscu encyklopedię. Dobra, spotkajmy się z twoimi przyjaciółmi.
- To już tylko dwie ulice dalej.

Wesley Sorenson podjął decyzję. Nie po to całe dorosłe życie poświęcił służbie krajowi, aby teraz pozwolić na odcięcie go od istotnej informacji przez jakiegoś biurokratę z wywiadu, wyciągającego błędne, obraźliwe wnioski. Krótko mówiąc, Wes Sorenson był wściekły i nie widział powodu, aby ukrywać swój nastrój. Nie zabiegał o stanowisko dyrektora Wydziału Operacji Konsularnych, został powołany na nie przez rozsądnego prezydenta dostrzegającego konieczność skoordynowania pracy służb wywiadowczych, aby żadna firma nie utrudniała realizacji celów Departamentu Stanu, w okresie jaki nastąpił po zakończeniu zimnej wojny. Wrócił do służby z przyjemnego nieróbstwa, które zawdzięczał dużym zasobom rodzinnym. Nie brał nawet emerytury, choć zasłużył na nią po wielokroć, podobnie jak na szacunek i zaufanie wszystkich kręgów wywiadowczych. Postanowił, że zademonstruje swoje niezadowolenie w czasie najbliższej konferencji. Wprowadzono go do ogromnego gabinetu, w którym za swoim biurkiem zasiadał sekretarz stanu, Adam Bollinger. Z drugiej strony, w jednym z dwóch głębokich foteli widać było odwróconego w powitalnym geście wysokiego, postawnego czarnoskórego mężczyznę. Miał nieco ponad sześćdziesiąt lat. Nazywał się Knox Talbot i był dyrektorem CIA, wyższym oficerem wywiadu w czasie wojny w Wietnamie, a potem świetnym biznesmenem, który zrobił ogromny majątek. Sorenson lubił Talbota i niezmiennie oszałamiał go sposób, w jaki dyrektor CIA maskował swój błyskotliwy intelekt kpinkami pod własnym adresem i miną wiecznie zdziwionej niewinności. Z kolei Bollinger stanowił dla niego pewien problem. Sorenson zdawał sobie sprawę z politycznej wiedzy sekretarza stanu, z jego międzynarodowej pozycji, jednak w tym człowieku kryło się coś niepokojąco fałszywego. Odnosił wrażenie, że wszystko, co robi i mówi, jest wynikiem raczej wyrachowania niż głębokiego zaangażowania. Zimny osobnik o promiennym uśmiechu, pozornie czarujący, ale pozbawiony ciepła.

- Dzień dobry, Wes - powitał go Bollinger z wymuszonym uśmiechem. W końcu było to bardzo poważne spotkanie, kiedy to nie ma czasu na zbędne grzeczności, i chciał, żeby podwładni zdali sobie z tego sprawę.
- Witaj szpiegu nad szpiegami - dodał rozpromieniony Knox Talbot. - Wygląda na to, że my, neofici, potrzebujemy twoich świątłych informacji.

- Nic co mamy w planie dnia nie jest ani trochę zabawne, Knox - upomniał go sekretarz. Jego obojętne spojrzenie oderwało się od papierów na biurku i skierowało na Talbota.
- Ale pompatyczne zachowanie również w niczym nam nie pomoże - odciął się dyrektor Central Intelligence Agency. - Nasze problemy może są ogromne, ale wiele z nich można uznać za śmiechu warte.
- Twoje stwierdzenie uważam za mało odpowiedzialne.
- Uważaj sobie, co chcesz, ale stwierdzam, że dane, które otrzymujemy z operacji Sting, są, mówiąc brutalnie, w jeszcze większym stopniu niewiarygodne.
- Włącz się, Wesley - rzekł Bollinger, gdy Sorenson podszedł do fotela z prawej strony Talbota i usiadł. - Nie zaprzeczę mówił dalej - że lista przedstawiona przez agenta operacyjnego Lathama jest wstrząsająca, ale musimy brać pod uwagę jej źródło. Powiedz mi, Knox, czy w CIA jest bardziej doświadczony tajny agent od Harry'ego Lathama?
- O ile wiem, nie - odparł dyrektor CIA - ale nie wykluczam możliwości, że podsunięto mu dezinformację.
- Co by oznaczało, że jego legenda została rozszyfrowana przez kierownictwo neonazistów.
- Nic mi o tym nie wiadomo - stwierdził Talbot.
- Została - oznajmił sucho Sorenson.
- Co?
- Co?
- Rozmawiałem z bratem Harry'ego - wyjaśnił Sorenson. Jest jednym z moich ludzi i dowiedział się o tym od pewnej kobiety w Paryżu, wdowy po łączniku Lathama z Berlina Wschodniego. Neonaziści wiedzieli wszystko o Stingu. Nazwisko, cel, a nawet przewidywany czas operacji.
- Niemożliwe! - zawołał Knox Talbot, pochylając gwałtownie swą potężną postać i obracając głowę w stronę Sorensona. Jego oczy płonęły wściekłością. - Informacja jest tak utajniona, że nikt nie mógł do niej dotrzeć.
- Spróbuj poszukać jej w swoich komputerach AAZero.
- Niedostępne!
- Chyba nie, Knox. Masz w swoim kurniku jakiegoś lisa.
- Nie wierzę ci.
- Czego jeszcze potrzebujesz? Podalem ci konkrety.
- Kto to u diabła może być?
- Ilu ludzi pracuje na AAZero?
- Pięciu z trzema zmiennikami, każdy sprawdzony od dnia urodzenia. Nieskalani jak śnieg, co do czego, nie mam żadnych wątpliwości. Na rany Chrystusa, przecież wszyscy oni należą do naszej absolutnej czołówki w dziedzinie najnowocześniejszej techniki! - Jeden się pokalał, Knox. Prześlizgnął się przez twoje sieci. - Zarządę pełną obserwację.
- Zrobi pan coś więcej, panie dyrektorze - oznajmił Adam Bollinger. - Zorganizuje pan obserwację każdego, kto znajduje się na liście Harry'ego Lathama. Dobry Boże, przecież mamy do czynienia z ogólnoświatowym spiskiem!
- Przepraszam, panie sekretarzu, ale nie mogę się z tym zgodzić. Jeszcze nie. Ale muszę cię zapytać, Knox, kto usunął nazwisko Claude'a Moreau z listy, którą mi przysłano? Wyraźnie zaskoczony Talbot skrzywił się, ale szybko opanował. - Przepraszam Wes - powiedział cicho. - Zaproponował to godny zaufania pracownik, starszy oficer operacyjny, który pracował razem z wami w Istambule. Powiedział, że byliście bardzo blisko ze sobą i że Moreau ocalił ci życie w Dardanelach, w czasie operacji na morzu Marmara. Nasz człowiek nie był pewien, czy zdołasz zachować obiektywizm, to proste. Skąd się dowiedziałeś?
- Ktoś przekazał listę ambasadorowi Courtlandowi...
- Taka była konieczność - przerwał mu Talbot. - Niemcy zrobili przeciek i Courtland znalazł się na dyplomatycznym rożnie... Było na niej nazwisko Moreau.
- Tyle jeżeli chodzi o przeoczenie Agencji.

- Błąd, ludzki błąd, cóż więcej mogę powiedzieć? Mam zbyt wiele maszyn, które wypluwają dane zbyt szybko i nie ma czasu ich dobrze przemyśleć... Jednak w tym przypadku istnieje pewne uzasadnienie. Ten człowiek uratował ci życie i sam widzisz, jak szybko zacząłeś go bronić. Może niechcący, po prostu ze współczucia, mógłbyś nawet dać mu znać, że znalazł się pod lupą. - To niemożliwe, jeżeli jest się zawodowcem, Knox - zaprotestował ostro dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych. A jak sądzę, uzyskałem już ten status.
- Chryste, oczywiście, że tak - przyznał Talbot, kiwając głową. - Siedziałbyś w moim fotelu, gdybyś chciał przyjąć to stanowisko.
- Nigdy go nie chciałem.
- Jeszcze raz przepraszam. Ale skoro rozmawiamy na ten temat, powiedz, co myślisz o umieszczeniu nazwiska Moreau na liście? - Uważam, że to wariactwo.
- Podobnie w przypadku dwudziestu czy dwudziestu pięciu innych tylko w tym kraju, a kiedy weźmiesz pod uwagę ich personel i powiązanych z nimi ludzi, doliczymy się paru setek na wysokich stanowiskach. Następnym siedemdziesięciu albo coś koło tego jest w Wielkiej Brytanii i Francji i ich także można by przemnożyć przez dziesięć. Wśród nich znajdują się ludzie, których uważamy za szczerych patriotów i których szanujemy, chociaż nie zawsze mogą się nam podobać ich sympatie polityczne. Czy Harry Latham, jeden z najlepszych i najbardziej błyskotliwych naszych ludzi, mógł stać się czubkiem, głęboko zakonspirowanym agentem, któremu pomieszały się klepki?
- Trudno sobie wyobrazić...
- I dlatego każdy mężczyzna i kobieta z tej listy muszą zostać prześwietleni od chwili urodzin - oświadczył z naciskiem sekretarz stanu i zacisnął mocno wąskie wargi. - Sprawdźcie wszystko, przeprowadźcie dochodzenia, przy których śledztwo FBI będzie wyglądało jak poszukiwanie kredytu przez wygłodniałego komiwojażera.
- Adamie - zaprotestował Knox Talbot. - To jurysdykcja Biura, nie nasza. Jest to wyraźnie stwierdzone w ustawie z czterdziestego siódmego.
- Do diabła z ustawą. Jeżeli naziści pętają się po ośrodkach władzy, przenikają do gospodarki i kultury, musimy ich odnaleźć i zdemaskować!
- Na podstawie jakich pełnomocnictw? - zapytał Sorenson, wpatrując się w twarz sekretarza stanu.
- Moich, jeżeli sobie życzysz. Przejmuję pełną odpowiedzialność. - Kongres może się sprzeciwić - upierał się dyrektor wydziału. - Pieprzę Kongres, po prostu róbcie wszystko po cichu. Dobry Boże, chyba możesz zrobić chociaż tyle, prawda? Jesteście obaj członkami administracji, czyli aparatu władzy wykonawczej, panowie. Jeżeli więc ta władza, ta prezydentura zdoła wyeliminować nazistowskie wpływy w tym kraju, naród będzie jej wdzięczny po wszystkie czasy. A teraz bierzcie się do roboty, skoordynujcie działania i przedstawcie jak najszybciej efekty. Konferencja jest skończona. Mam umówione spotkanie z producentem jednego z niedzielnych porannych talkshow. Przedstawię nową politykę prezydenta w stosunku do Karaibów. Na korytarzu Knox Talbot odwrócił się do Wesleya Sorensona. - Interesuje mnie tylko ten, kto włamał się nam do komputerów AAZero. Poza tym wcale nie mam ochoty na ten pasztet. - Wolę raczej zrezygnować - stwierdził Sorenson.
- To nic nie da, Wes - sprzeciwił się dyrektor CIA. - Jeżeli ty i ja odejdziemy, znajdzie na nasze miejsce paru innych, których naprawdę będzie mógł kontrolować. Uważam, że powinniśmy pozostać i spokojnie współpracować z Biurem.
- Bollinger wyraźnie wykluczył taką ewentualność.
- Nie. Uchylił tylko ustawę z czterdziestego siódmego, która zabrania tobie i mnie działać na terenie kraju. Przeanalizowaliśmy jego słowa i doszliśmy do wniosku, że w gruncie rzeczy nie chce, abyśmy działali w niekonstytucyjny sposób. Zapewne później nam podziękuje. Do diabła, otoczenie Reagana robiło tak bez przerwy. - Czy Bollinger jest tego wart, Knox?
- On nie, ale nasze firmy są warte. Pracowałem z szefem Biura. Nie ma obsesji na punkcie swojej działalności, w niczym nie przypomina Hoovera. Jest przyzwoitym facetem, byłym sędzią, który cieszył się opinią sprawiedliwego, i ma cholernie dużo życiowego rozsądku.

Przekonam go, żeby wszystkie działania prowadzone były po cichu, ale zdecydowanie i energicznie. I spójrzmy prawdzie w oczy, nie można machnąć ręką na Harry'ego Lathama.

- Wciąż uważam, że sprawa Moreau jest jakimś straszliwym nieporozumieniem.

- Możliwym także w przypadku innych, ale nie należy również wykluczyć, że są tacy, co do których nie popełniono błędu. Z przykrością stwierdzam, że Bollinger może mieć w tej kwestii rację. Nawiążę kontakt z Biurem, a ty zachowaj Harry'ego Lathama przy życiu. - Dostrzegam jeszcze jeden problem, Knox - rzekł Sorenson, marszcząc brwi. - Pamiętasz to bagno lat pięćdziesiątych, głupoty McCarthy'ego?

- Daj spokój - odparł czarny dyrektor CIA. - Byłem wtedy na pierwszym roku college'u, a ojciec jako prawnik zajmował się prawami człowieka. Nazwali go komunistą i musieliśmy się przenieść z Wilmington do Chicago, żebyśmy ja i moje dwie siostry mogli chodzić do szkoły. Do diabła, jeszcze jak pamiętam.

- Upewnij się, że FBI zwróci uwagę na podobieństwo sytuacji. Nie chcemy, aby opinie ludzi, ich kariery uległy zniszczeniu przez nieodpowiedzialne oskarżenia... albo co gorsza, plotki, które nie umierają. Nie chcemy, żeby włączyli się w sprawę federalni rewolwerowcy. Musimy mieć do czynienia z dyskretnymi zawodowcami. - Miałem do czynienia z rewolwerowcami, Wes. Najważniejsze, aby ich odsunąć na samym początku. Nasza zasada musi brzmieć: całkowicie profesjonalnie i absolutnie po cichu.

- Życzę nam obu powodzenia - odparł Sorenson. - Ale połowa mojego mózgu, jeżeli w ogóle go mam, podpowiada mi, że jesteśmy na niebezpiecznych wodach. "Bezpieczny dom" organizacji "Antyninus" w paryskiej dzielnicy Marais był obsługiwany przez dwie kobiety i mężczyznę, zajmujących wygodne mieszkanie nad eleganckim sklepem z konfekcją na rue Delacort. Prezentacje były krótkie. Mówiła przede wszystkim Karin de Vries, przedstawiając sprawę Drew Lathama jako nie tylko niezwykle pilną, ale również bardzo ważną. Kierująca placówką siwowłosa kobieta naradziła się szybko z kolegami.

- Wyślemy go do Maison Rouge w Carrefour. Będzie pan tam miał wszystko, co potrzeba, monsieur. Karin i jej nieżyjący mąż byli zawsze z nami. Powodzenia, panie Latham. Bruderschaft musi zostać zniszczone. Stary kamienny budynek nazywany Maison Rouge był kiedyś niewielkim turystycznym hotelem, przekształconym w mały, tani budynek biurowy. Według obskurnego spisu lokatorów, znajdowały się w nim takie przedsiębiorstwa jak biuro pośrednictwa zatrudnienia pracowników fizycznych, firma hydrauliczna, drukarnia, prywatna agencja detektywistyczna specjalizująca się w "postępowaniach rozwodowych", jak również cała kolekcja biur księgowych, wynajmu maszynistek, sprzętaczek i wolnych lokali biurowych. W rzeczywistości jedynie pośrednictwo zatrudnienia i drukarnia działały w sposób oficjalny. Cała reszta nie była wymieniana w paryskiej książce telefonicznej, ponieważ rzekomo znajdowała się w stanie likwidacji lub zawiesiła swoją działalność do określonej daty - zmienianej sukcesywnie na wywieszce na drzwiach. Zamiast nich znajdowały się jedno i dwuosobowe pokoje i szereg miniapartamentów wyposażonych w telefony o zastrzeżonych numerach, faksy, maszyny do pisania, telewizory i komputery. Budynek był wolno stojący; dwie wąskie uliczki prowadziły na jego tyły, gdzie znajdowały się przesuwane drzwi zamaskowane, jako wysoka prostokątna płaszczyzna okien suteryny. Z tego wejścia za dnia nigdy nie korzystano. Każdy gość organizacji przechodził krótką odprawę, w czasie której był informowany, czego spodziewają się po nim gospodarze. Jak ma się ubierać - w razie potrzeby dostarczano garderobę - jak zachowywać, żadnego haut Parisien, jak wygląda sprawa porozumiewania się między lokatorami - całkowicie verboten, jeśli "kierownictwo" nie udzieliło pozwolenia - a także przedstawiano mu dokładny harmonogram wejść i wyjść, również zatwierdzany przez "kierownictwo". Złamanie któregoś z powyższych przepisów powodowało natychmiastową i bezapelacyjną eksmisję. Zasady były surowe, ale miały na celu dobro wszystkich mieszkańców. Lathamowi przydzielono miniapartament na trzecim piętrze. Ogromne wrażenie wywarło na nim zarówno techniczne wyposażenie, jak również to, co Karin określiła mianem "niemieckiej skuteczności". Jeden z członków zarządu dokładnie przeszkolił go w obsłudze urządzeń, po czym Drew przeszedł do sypialni i położył się na łóżku.

Spojrząwszy na zegarek, uznał, że będzie mógł zadzwonić do ambasady i porozmawiać z Karin de Vries mniej więcej za godzinę. Żałował, że nie może zrobić tego wcześniej. Oczekiwanie na wiadomość, czy jej strategia okazała się słuszna, szarpało mu nerwy. Wymyślone przez nią kłamstwo było dość dziwaczne, a nawet zabawne: spotkała się z nim w restauracji, na którą przeprowadzono zamach bombowy, potem Drew zniknął, a teraz ona szaleje z niepokoju. Dlaczego? Ponieważ uważa go za czarującego i "wszystko mierza w stronę romansu". Perspektywa była sympatyczna, choć jednocześnie, jego zdaniem zupełnie niemożliwa do zrealizowania. I na dobrą sprawę, może wcale nie taka sympatyczna, pomyślał Drew. Karin de Vries była dziwną kobietą, ze zrozumiałych względów przepelniona gniewem oraz bolesnymi wspomnieniami. Oba te czynniki sprawiały, że nie była aż tak atrakcyjna, jak mogłoby się wydawać. Jej osobowość kształtowała europejska rzeczywistość, na którą składały się narodowe i rasowe konflikty, zatruwające cały kontynent. Latham nie miał ochoty przyłączać się do tego towarzystwa. Czuł się niezręcznie obserwując, jak w chwili gdy ogarniały ją wspomnienia, jej rysy zastygały, jakby skute lodem, a szeroko otwarte, cudowne oczy zmieniały w bryłki lodu. Nie. Ma dosyć własnych problemów. W takim razie, dlaczego znowu o niej myśli? Oczywiście, ocaliła mu życie... ale w końcu ratowała również swoje. Jego życie... czy takiego zwrotu użyła? "Być może miał inne zamiary." Nie! Dosyć już tych zagadek w zagadkach, kółek w kólkach, z których żadne nie układały się w logiczną całość, tworzyły jakieś punkty styeczne i przybliżały go do prawdy. Gdzie kryła się ta prawda? W liście Harry'ego? W trosce Karin? U Moreau? Sorensona?.. Cztery razy otarł się o śmierć i miał już tego dosyć! Musiał odpocząć, a potem pomyśleć, ale przede wszystkim odpocząć. Stary trener powiedział mu kiedyś, że odpoczynek jest bronią niekiedy potężniejszą niż broń strzelecka. Wyczerpany strachem i niepokojem Drew zamknął oczy. Sen, choć niespokojny, przyszedł szybko. Obudził go ostry dzwonek telefonu. Usiadł gwałtownie na łóżku i chwycił słuchawkę.

- Tak?

- To ja - usłyszał głos Karin de Vries. - Rozmawiam z telefonu pułkownika.

- Jest czysty - przerwał jej Latham, przecierając oczy lewą ręką. - Czy Witkowski jest gdzieś w pobliżu?

- Domyśliłam się, że o niego zapytasz. Owszem.

- Cześć, Drew.

- Zamachy na moje życie się mnożą, Stosh.

- Na to wygląda - przyznał weteran z G-2. - Nie wychylaj nosa, dopóki sytuacja nie wyklaruje się chociaż trochę.

- Jak bardziej ma się jeszcze wyklarować? Chcą mnie wykurzyć, Stanley!

- W takim razie musimy ich przekonać, że chwilowo nie przyniosłoby to im korzyści. Musisz zyskać na czasie.

- Jak u diabła mamy to zrobić?

- Żeby udzielić ci odpowiedzi, muszę wiedzieć więcej niż obecnie. Na razie powinniśmy ich przekonać, że jesteś więcej wart żywy niż umarły.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Sorenson jest twoim szefem, najwyższym kontrolerem. Znam Wesleya niezbyt dobrze, ale znam, a więc porozum się z nim, uzyskaj upoważnienie i poinformuj mnie o tym jak najszybciej.

- Nie muszę tego robić. To moje życie i sam podejmuję decyzję. Sporządź notatki, a potem je spal, pułkowniku. Latham zaczął od samego początku, od zniknięcia Harry'ego w Alpach Hausruck, jego schwytania i ucieczki od Bractwa, a następnie opowiedział o zaginionych aktach w Waszyngtonie, dotyczących nieznanego francuskiego generała, a także związanej z nim obsesji Jodelle'a, samobójstwie starca w teatrze i o jego synu, JeanPierre Villierze. W tym momencie Stanley Witkowski przerwał ostro.

- Ten aktor?

- Właśnie ten. Był na tyle zuchwały, że wyruszył do miasta odgrywając rolę włóczęgi i wrócił z informacją, która może okazać się cenna.

- A więc ten stary rzeczywiście był jego ojcem?
- Potwierdzone. Jodelle był członkiem Ruchu Oporu. Schwytali go Niemcy i wysłali do obozu, gdzie został doprowadzony do szaleństwa, niemal całkowitego.
- Niemal całkowitego? Co to ma znaczyć? Albo jest się wariatem, albo nie.
- Małeńka część jego umysłu pozostała zdrowa. Wiedział, kim jest... kim był... i przez prawie pięćdziesiąt lat nigdy nie próbował skontaktować się z synem.
- Czy nikt nie próbował skontaktować się z nim?
- Uznano go za martwego, analogicznie jak wiele tysięcy innych, którzy nie powrócili.
- Ale nie zginął - rzekł z namysłem Witkowski. - Został okaleczony psychicznie i zmienił się w ruinę fizyczną.
- Powiedziano mi, że ledwo można go było poznać. Obsesyjnie tropił jednak generałzdrajcę odpowiedzialnego za śmierć całej jego rodziny. Nazwisko tego człowieka zniknęło z akt. Villier to potwierdził. Dowiedział się, że to ktoś z doliny Loary, a przecież w tej okolicy mieszka czterdziestu czy pięćdziesięciu emerytowanych generałów. Zazwyczaj żyją w skromnych domach albo większych rezydencjach, które są własnością innych. Aktor przyniósł zarówno tę wiadomość, jak również numer rejestracyjny samochodu oprycha, który zainteresował się, dlaczego szuka Jodelle'a.
- A co z generałem?
- Mieszka ich tam kilkudziesięciu. Ktoś, kto pięćdziesiąt lat temu był już generałem, w tej chwili liczy sobie przynajmniej dziewięćdziesiąt pięć lat, jeżeli w ogóle jeszcze żyje.
- Prawdę mówiąc, mało prawdopodobne - przyznał pułkownik. - Starzy żołnierze, szczególnie ci, którzy brali udział w walce, rzadko dożywają więcej niż osiemdziesięciu lat... Ma to jakiś związek z przeżyтыми urazami. Przed kilkoma laty Pentagon przeprowadził takie badania w związku z opracowaniem zasad bezpieczeństwa.
- Trochę hienowatą.
- Ale niezbędne, w przypadku gdy ma się do czynienia z poufnymi informacjami, a władze umysłowe pogarszają się w miarę jak człowiek podupada na zdrowiu. Ci starszycy zazwyczaj pozostają w samotności i gasną powoli, jak określił to Wielki Mac. Jeżeli sami nie chcą, żeby ich odnaleźć, nie znajdziesz ich.
- Teraz przesadzasz, Stosh.
- Myślę na głos, do cholery... Jodelle na coś się natknął, a potem zabił się na oczach syna, którego nigdy nie poznał osobiście. Dlaczego?
- Przypuszczam, że dlatego, iż zorientował się, że przeciwnik jest zbyt silny, aby z nim walczyć. Zanim wetknął sobie lufę do ust i wystrzelił, wrzasnął również, że zawiódł, zarówno syna, jak i swoją żonę. Poniósł jakąś totalną klęskę.
- Przeczytałem w gazetach, że Villier zdjął Koriolona z afisza uzasadniając to wstrząsem, jaki przeżył w związku z samobójstwem tego starca. Nie podał innych konkretnych powodów. Oczywiście, wszyscy zastanawiają się, czy Jodelle mówił prawdę. Nikt nie chce w to wierzyć, ponieważ matka Villiera jest wielką gwiazdą, a ojciec jednym z najbardziej szanowanych członków Comedie Francaise, i oboje przecież żyją. Prasa naturalnie nie ma do nich dostępu, rzekomo przebywają na prywatnej wyspie na Morzu Śródziemnym. Kolumny z plotkami zajmują się raczej Superpucharem w Paryżu.
- Tak więc Villier jest takim samym celem jak ja. Przedstawiłem to jasno naszej pracownicy, pani de Vries.
- Przecież to szaleństwo, Villiera powinno się kontrolować, powstrzymać.
- Myślałem o tym, Stanley. Villier zachował się jak bałwan, ale nie jest głupcem. Nie wątpię, że ryzykował własne życie, wierząc w swoje przebranie i aktorski talent. Jednak nie uwierzę nawet przez minutę, że zaryzykowałby życie żony albo rodziców.
- Uważasz, że wszystko zostało ukartowane?
- Nie chcę nawet o tym myśleć, ponieważ Moreau z Deuxieme był ostatnim znanym mi urzędnikiem, który spotkał się z Villierem, zanim zakomunikowano o zdjęciu sztuki.

- Nie rozumiem - rzekł z wahaniem Witkowski. - Claude Moreau jest tu najlepszy. Słowo daję, że cię nie rozumiem, Drew. - Zapnij pasy, pułkowniku. Harry powrócił z listą nazwisk. Latham opowiedział o bardzo niepokojących informacjach, które jego brat uzyskał przebywając wśród neonazistów. Wynikało z nich, że wiele wpływowych osobistości nie tylko sympatyzowało z ich ideami, ale również aktywnie popierało ten ruch.
- Byłby to nie pierwszy raz od czasów faraonów, że narody zostają opanowane przez plagę robactwa pieniączą się w najwyższych kręgach - przerwał mu Witkowski. - Jeżeli tę wiadomość przyniósł Harry, jest pewna jak w banku. Jest przecież człowiekiem tej klasy co Claude Moreau - inteligencja, instynkt, talent i upór razem wzięte. Nie ma w tym interesie nikogo lepszego od nich dwóch.
- Moreau jest na liście Harry'ego - oznajmił cicho Drew. Cisza jaka zapadła w słuchawce telefonicznej, była równie pełna napięcia, jak wtedy gdy Latham przekazywał tę samą informację Sorensonowi. - Mam nadzieję, że wciąż tam jesteś, pułkowniku. - Wolalbym nie być - wymamrotał Witkowski. - Nie wiem, co powiedzieć.
- A może "pieprzenie w bambus"?
- Taka była moja pierwsza myśl, ale potem o kimś sobie przypomniałem. O Harrym Lathamie.
- Wiem o tym... a także o paru, kilkudziesięciu powodach, o których nie wspomniałeś. Przecież nawet mój brat może popełnić błąd albo uwierzyć w dezinformację, dopóki jej nie przeanalizuje. Dlatego właśnie muszę z nim koniecznie porozmawiać.
- Pani de Vries wyjaśniła, że ma się zjawić w Paryżu za dzień - lub dwa. Podobno prosiłeś, aby dzwonił do ciebie bez przerwy, czego z oczywistych względów nie może teraz zrobić.
- Nie jestem w stanie nawet podać mu numeru telefonu, bo go nie ma na aparacie. Ale ty go znasz.
- Połączenie jest przeprowadzane zakonspirowanymi liniami telefonicznymi i zarówno numer, jak i adres na pewno są fałszywe.
- Co więc zrobimy?
- Jest to wprawdzie łapanie się słomki i ani Sorenson, ani ja w normalnych okolicznościach byśmy tego nie zaaprobowali, ale powiedz pani de Vries, gdzie Harry przebywa w Londynie. Porozumiemy się z nim i załatwimy wam połączenie. Oddaję ci ją. - Drew? - odezwała się Karin. - Czy w Maison Rouge wszystko w porządku?
- Jak najlepszym, moja pani... Przepraszam, a co u mojej "łaskawej przyjaciółki"?
- Przestań się wyglupiać, to ci w niczym nie pomoże. Organizacja "Antyninus" potrafi odnosić się dość wrogo nawet do sprawdzonych sojuszników.
- Och, są zupełnie w porządku, tylko kończą każde zdanie wykrzyknikiem.
- To tylko taki styl, nie zwracaj na niego uwagi. Słyszałeś, co powiedział pułkownik. W jaki sposób mogę porozumieć się z Harrym?
- Jest w hotelu "Gloucester", pod nazwiskiem Wendella Mossa.
- Załatwię wszystko. Zostań tam, gdzie jesteś, i staraj się zachować spokój.
- Trudno mi to przychodzi. Tkwię w tym pasztecie po uszy, a jednocześnie jestem wyłączony z gry. Nie mogę dyktować jej warunków i martwi mnie to.
- Nie jesteś w sytuacji, aby móc "dyktować warunki gry", mój drogi. Natomiast pułkownik i ja dysponujemy takimi możliwościami i będziemy działali w twoim interesie, bo pokrywa się on z naszymi interesami. Możesz mi wierzyć.
- Muszę i dziękuję za "mój drogi". W moich warunkach odrobina ciepła jest mile widziana. Tu jest zimno.
- Proszę cię uprzejmie. Jest w nim tyle ciepła ile w zwrocie "moja pani" używanym w stosunku do matki, która jest ładniejsza i mniej czepialska ode mnie. Jesteśmy teraz jak w rodzinie, a niewiele rodzin łączy tak bliskie więzi jak nas, bez względu na to, czy ten fakt się nam podoba, czy nie.
- Wiesz co, trochę żałuję, że cię tu nie ma.

- Nie powinienes. Bardzo byś się rozczarował, agencie Latham. O wiele niżej, w dziewiczo białych podziemiach ambasady, ubrany w biały fartuch członek popołudniowej zmiany zespołu C przerzucił przełącznik, dzięki któremu nagrywał wszystkie rozmowy przeprowadzone z dowolnego telefonu ambasady. Tu rozmowy jeszcze nie były kodowane, szyfratory włączały się dopiero w centrali i z tego faktu nie zdawał sobie sprawy nawet ambasador - takie były rozkazy z Waszyngtonu. Prowadzący podsłuch spojrzął na wiszący zegar. Było za siedem czwarta, siedem minut do końca jego zmiany. Siedem minut na dyskretne wyjęcie nagranej taśmy i zastąpienie jej czystą. Musi to zrobić. Sieg Heil!

* * *

ROZDZIAŁ 9

PACJENT NR 28 HARRY J. LATHAM. AMERYKANIN. OFICER OPERACYJNY CIA ZAKONSPIROWANY PSEUDONIM: STING OPERACJA ZAKOŃCZONA: 14 MAJA 17.30. "UCIECZKA" AKTUALNY STATUS: 6 DZIEŃ PO ZABIEGU Przewidywany pozostały czas trwania eksperymentu: 3 dni minimum 6 dni maksimum. Doktor Gerhardt Kroeger w swoim nowym gabinecie na przedmieściach Mettmach wpatrywał się w ekran komputera. Głęboko w lasach Vaclabruck budowano wyposażoną kompletnie klinikę, ale dopóki nie zostanie ukończona, mógł wprawdzie kontynuować swoje badania, ale niestety, bez eksperymentów na ludziach. Miał wprawdzie dosyć zajęć związanych z zastosowaniem najnowszej techniki w mikrochirurgii, ale teraz najważniejszą sprawą był stan Pacjenta Nr 28, niejakiego Harry'ego Lathama. Pierwszy raport z Londynu był wspaniały. Pod wpływem opracowanego komputerowo sygnału elektronicznego pacjent poddał się przesłuchaniu. Doskonale! W swoim pokoju w londyńskim hotelu "Gloucester" Harry odłożył słuchawkę. Poczul, jak ogarniają go ciepłe, słodkie wspomnienia minionych spraw, chwil spokoju i radości w oszalałym świecie. Był zaprzysięgłym kawalerem, który zdawał sobie sprawę, że jest już zbyt późno, aby narzucać swoje upodobania i niechęci innej osobie. Ale jeżeli istniała kiedykolwiek kobieta, która mogłaby wpłynąć na zmianę tej decyzji, była nią żona Frederika de Vries, Karin. Freddie de V. był najlepszym łącznikiem, jaki działał pod jego kontrolą w latach zimnej wojny. Miał jednak pewien słaby punkt, który wyróżniał go wśród innych. Była to nienawiść - niepowstrzymana, zagorzała nienawiść. Latham bez przerwy starał się okiełznać emocje de Vriesa ostrzegając go, że któregoś dnia skrywane uczucia wybuchną i zdradzą go. Ale prośby były daremne - Freddie, romantyk w każdym calu, pędził na spienionej grzywie fali, nie zdając sobie sprawy z kryjącej się pod nią potęgi. Jego żona Karin rozumiała to doskonale. Jakże często ona i Harry dyskutowali o tym w Amsterdamie, a tymczasem Freddie grał swoją rolę handlarza diamentami, zwodząc zajmujących się mroczną sztuką szpiegostwa wrogów, do chwili kiedy otwierali się przed nim. Ale do czasu. Kierujące jego działaniami uczucie ostatecznie go zniszczyło, ponieważ nienawiść doprowadziła do tego, że Freddie dokonał jednego zabójstwa za dużo. Był to koniec małej legendy, jaką stał się Freddie de V. Harry próbował pocieszać Karin, ale bezskutecznie. Zbyt dobrze orientowała się, jaka była przyczyna śmierci męża i przysięgła sobie, że będzie działała inaczej. "Ani się waż! - wrzasnął wówczas Harry. Czy nie możesz zrozumieć, że to nic nie zmieni? - Nie mogę odparła. - Gdybym niczego nie robiła, przyznałabym, że Freddie nic nie znaczył. Czy tego nie rozumiesz, drogi Harry?" Nie potrafił znaleźć właściwej odpowiedzi. Pragnął tylko objąć tę kobietę, swoją intelektualną partnerkę, do której żywił tak głębokie uczucia, i kochać ją. Ale nie była to odpowiednia chwila i zdawał sobie sprawę, że być może moment taki nigdy nie nastąpi. Żyła pamięcią o swoim zabitym mężu, kochała Freddiego. Harry Latham mógł być przełożonym jej męża, ale nie był w stanie się z nim równać. A teraz, niemal pięć lat później, znowu pojawiła się w jego życiu, telefonując z Paryża. I co jeszcze bardziej niezwykle - jako opiekunka jego brata Drew, któremu groziła śmierć! Jezu Chryste... nie, musi narzucić sobie tę samokontrolę, z której był tak dobrze znany. Może nasilający się ból głowy spowodował, że mimo wszystko dał wyraz swojemu zdenerwowaniu. W każdym razie jutro rano poleci do

Paryża dyplomatycznym odrzutowcem i na prywatnym stanowisku postojowym w porcie lotniczym imienia de Gaulle'a spotka się z Karin de Vries w nie oznakowanym samochodzie z ambasady. Zastanawiał się, co powinien jej powiedzieć. Czy na jej widok zachowa się do tego stopnia głupio, że wymknie mu się coś czego będzie żałował? Nie miało to większego znaczenia... Czuł pulsujący ból w głowie. Poszedł do łazienki, odkręcił kran i wziął dwie następne aspiryny. Spojrzał w lustro i przyjrzał się sobie uważnie. Nad skronią pojawiła się, częściowo przysłonięta włosami, blada wysypka. Prawdopodobnie reakcja systemu nerwowego. Przypuszczał, że zniknie po zastosowaniu jakiegoś łagodnego antybiotyku albo po kilku dniach zmniejszonego napięcia. Być może sam widok Karin de Vries spowoduje poprawę. Rozległo się stukanie do drzwi apartamentu. Pewnie pokojówka lub ktoś z obsługi z pytaniem, czy czegoś nie potrzebuje. Było wczesne popołudnie i w lepszych londyńskich hotelach świadczone takie uprzejmości. Wczesne popołudnie, pomyślał przechodząc do saloniku. Kiedy ten czas minął? Minął? Określenie "został zmarnowany" lepiej odpowiadało sytuacji. Przez dziesięć godzin przesłuchiwała go komisja, która do obrzydzenia wypytywała, go o informacje dostarczone przez niego z doliny zamiast przyjąć je i uruchomić całą maszynię. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że trzyosobowe grono zostało zastąpione przez kilku starszych oficerów wywiadu z Wielkiej Brytanii, Stanów i Francji - aroganckich, nieufnych i dociekliwych. Czy to możliwe, aby został nafaszerowany dezinformacją, fałszywymi danymi, które mogły zostać bez trudu podsunięte w przypadku uznania Alexandra Lassitera za podwójnego agenta? Oczywiście, że możliwe! - odparł. Dezinformacja, mylna informacja, błąd ludzki lub komputerowy, pobożne życzenie, fantazje - wszystko jest możliwe! Potwierdzenie lub odrzucenie danych należy jednak do nich, a nie do niego. Misja dobiegła końca. Dostarczył materiał, a ich obowiązkiem było dokonanie oceny. Harry doszedł do drzwi i zapytał.

- Kto tam?

- Nowy stary przyjaciel, Sting - padła odpowiedź z korytarza. Catbird! - pomyślał Latham, natychmiast się opanowując. Catbird, o którym nie słyszał nikt w Agencji. Harry znalazł już tego dziwnego intruza. Ubiegłej nocy, kiedy podszywający się pod funkcjonariusza CIA Catbird, złożył mu wizytę, Harry był zbyt zmęczony, aby trzeźwo myśleć.

- Chwileczkę - powiedział. - Właśnie wyszedłem spod prysznic, włożę tylko szlafrok. Pobiegł do łazienki, zmoczył twarz i włosy, a potem przemknął do sypialni, zrzucił spodnie, buty, skarpetki oraz koszulę i wyciągnął z szafy hotelowy szlafrok. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nocny stolik. Wysunął górną szufladę, wyciągnął z niej niewielki pistolet dostarczony przez ambasadę, i włożył go do kieszeni. Wrócił do drzwi i otworzył je. Catbird, jeżeli dobrze sobie przypominam - powiedział, wpuszczając bladego mężczyznę w okularach w stalowej oprawce.

- Ach - stwierdził gość, uśmiechając się miło. - To był taki niewinny podstęp.

- Podstęp? Co to znaczy? Po co?

- Waszyngton uprzedził mnie, że zapewne jesteś wyczerpany, zdezorientowany, a więc postanowiłem wymyślić sobie pseudo, na wypadek gdybyś okazał się zbyt podniecony i poczuł potrzebę zadzwonienia do kogoś. D.C. nie chce, aby na obecnym etapie wiedziano o moim udziale. Później, oczywiście, ale nie teraz. - A więc nie jesteś Catbirdem...

- Wiedziałem, że jeśli zwrócę się do ciebie, posługując się pseudonimem Sting, wpuścisz mnie > przerwał mężczyzna. Mogę usiąść? Zajmę ci tylko kilka minut.

- Proszę bardzo - odparł oszołomiony Harry wskazując niezdecydowanie w stronę leżanki i kilku krzeseł. Gość wybrał leżankę, a Latham usiadł naprzeciwko w fotelu za stolikiem. Dlaczego Waszyngton nie chce, aby wiedziano o twojej obecności w Londynie i twoim udziale?

- Jesteś bardziej czujny niż wczoraj wieczorem - oznajmił przybysz przyjaznym tonem. - Na pewno nie byłeś wtedy sobą. - Czułem się bardzo zmęczony...

- Zmęczony? - powiedział przybysz unosząc brwi. - Drogi kolego, na dobrą sprawę zemdlełeś w czasie naszej rozmowy. W pewnym momencie musiałem złapać cię za ramię, żebyś nie upadł. Nie pamiętasz? Powiedziałem, że wrócę, kiedy odpoczniesz.
- Tak, coś sobie niewyraźnie przypominam, proszę jednak odpowiedzieć na moje pytanie, a także okazać jakieś pełnomocnictwa. Dlaczego Waszyngton chce, abyś występował w roli ducha? Mam wrażenie, że powinno być raczej na odwrót.
- Wyjaśnienie jest proste. Dlatego że nie wiemy, kto jest naprawdę czysty, a kto nie. - Mężczyzna wyjął najpierw zegarek, a potem legitymację w twardej oprawce. Nie otwierając, podał ją Lathamowi, kładąc zegarek na stoliku. - Zwracam uwagę na czas, żeby cię nie zamęczyć. Takie mam rozkazy. Harry trzymał w palcach niewielką legitymację i miał kłopoty z jej otwarciem.
- Gdzie jest klamerka? - zapytał i w tej samej chwili przybysz podniósł zegarek i przycisnął pokrętkę. Nie mogąc znaleźć...Latham przerwał nagle. Jego oczy znieruchomiały, źrenice rozszerzyły się, zamrugał gwałtownie, a potem jego twarz zwiotczała, napięte mięśnie rozluźniły się.
- Witaj, Alex - powiedział ostro gość. - Tu twój stary rzeźnik, Gerhardt. Jak się masz, przyjacielu?
- Doskonale, doktorze, miło mi cię słyszeć.
- Dzisiaj wieczorem mamy lepsze połączenie telefoniczne, prawda?
- Telefoniczne? Chyba tak.
- Czy dzisiaj w ambasadzie wszystko się dobrze ułożyło?
- Nie, do cholery! Ci idioci wciąż zadają pytania, na które oni sami powinni znaleźć odpowiedzi, nie ja.
- Tak, rozumiem. Ludzie związani z tą drugą formą twojej działalności, tą, o której nigdy nie wspominaliśmy, chronią własną skórę za wszelką cenę, prawda?
- Każdym zadawanym pytaniem, każdym słowem. Szczerze mówiąc, uważam to za godne ubolewania.
- Jestem tego pewien. Jakie więc masz plany, co ta banda idiotów pozwoliła ci zrobić?
- Rano lecę do Paryża. Zobaczę się z moim bratem, a także z kimś, kto jest mi bardzo bliski, Gerhardzie... To wdowa po człowieku, z którym pracowałem w Berlinie Wschodnim. Ogromnie cieszę się, że znowu ją zobaczę. Będzie na mnie czekała w części dyplomatycznej lotniska, w samochodzie z ambasady.
- A dlaczego nie będzie tam czekał twój brat, Alex?
- Nie... Poczekaj! Brat Alexa?
- Mniejsza o to - przerwał mu gość. - Gdzie jest ten brat, o którym mówileś?
- To poufna informacja. Próbowali go zabić.
- Kto?
- Wiesz. Oni... my.
- Jutro rano, część dyplomatyczna lotniska. W porcie lotniczym imienia de Gaulle'a?
- Tak. Przewidywany czas przylotu dziesiąta rano.
- Doskonale, Alex. Życzę ci wspaniałego spotkania z bratem i kobietą, którą uważasz za tak interesującą.
- Och, chodzi o coś więcej niż tylko wygląd, Gerhardzie. Ona jest wyjątkowo inteligentna.
- Nie wątpię, ponieważ mój przyjaciel Lassiter sam jest niezwykle inteligentnym człowiekiem o wielu obliczach. Wkrótce porozmawiamy znowu, Alex.
- Dokąd idziesz?
- Wzywają mnie na salę. Muszę operować.
- No tak, oczywiście. Zadzwoń znowu?
- Naturalnie. - Gość w okularach w stalowej oprawce pochylił się nad krawędzią stolika i mówił dalej cichym, stanowczym tonem, wpatrując się w niewidzące oczy Lathama. - Pamiętaj, przyjacielu, stosuj się do życzeń naszego gościa z Waszyngtonu. Ma swoje rozkazy.

Zapomnij nazwisko, które przed chwilą przeczytałeś w jego legitymacji. Jest prawdziwe i tylko to cię obchodzi.

- Oczywiście. Rozkaz to rozkaz, nawet jeżeli jest głupi. Unosząc się lekko "gość" wyciągnął rękę i wyjął legitymację ze zwiotczonych palców Lathama. Otworzył ją, oparł się wygodnie i podniósł zegarek z blatu stolika. Przycisnął pokrętko i przytrzymał do chwili, gdy zobaczył, że oczy Lathama patrzą już przytomnie, rejestrując, co się dzieje, a mięśnie jego twarzy znowu są napięte. - W porządku - oznajmił przybysz głośno, zatrzasnąwszy legitymację. - A więc teraz znasz już moje pełnomocnictwa, widziałeś moją fotografię i tak dalej. Możesz mi mówić po prostu Peter.

- Tak... wszystko jest autentyczne, ale wciąż niczego nie rozumiem... Peterze. Wszystko w porządku, jesteś duchem, ale dlaczego? Kto w komisji jest niepewny?

- Nie do mnie należy zastanawianie się kto albo dlaczego. Jestem jedynie przemawiającą do ciebie niewidzialną osobą... - W jaki sposób lojalność kogoś z ich może być podana w wątpliwość?

- Może główna trójka jest lojalna, ale przecież do sprawy włączono również innych?

- Owszem, pojawiła się cała banda błaznów. Nie mają ochoty badać dostarczonego przeze mnie materiału. Chcą jedynie oczyścić jak najwięcej wymienionych na liście osób, zanim mikroskopy pójdą w ruch... Mniej roboty i mniejsza szansa, że nadepnie się komuś na odcisk.

- Co sądzisz o tych nazwiskach?

- Nie ma to żadnego znaczenia, Peter. Oczywiście, obecność niektórych nazwisk na tej liście wydaje mi się absurdem, ale w końcu otrzymałem te dane bezpośrednio ze źródła. Dopóki nie uciekłem, uważano mnie tam za swojego człowieka. Dlaczego więc mieliby mi podsuwać fałszywki?

- Krążą pogłoski, że naziści, a właściwie neonaziści mogli od samego początku wiedzieć, kim jesteś naprawdę.

- To nie "pogłoska", ale forma samoobrony Bractwa. Przypomnijcie sobie, co u diabła mogliśmy zrobić i co często robiliśmy, kiedy dowiadaliśmy się, że jakaś wtyczka czy zdrajca uciekł do Matki Rosji, ograbiwszy nas uprzednio? Oczywiście oświadczaliśmy, że byliśmy bardzo sprytni, niezwykle skuteczni i że informacje, które nam skradziono, były całkowicie bezużyteczne... Co rzecz jasna nie było prawdą.

- Intrygująca sprawa, nieprawdaż?

- A co nie jest intrygujące w tym zawodzie? Teraz, abym mógł zachować zdrowe zmysły, zgodnie z twoim zaleceniem muszę usunąć z mojej psychiki Alexandra Lassitera. Powinienem znowu zostać Harrym Lathamem. Wykonałem zadanie, a resztą niech się teraz zajmą inni.

- Zgadza się z tobą, Harry. Mój czas również się już kończy. Proszę, pamiętaj, jakie mam rozkazy. Nie spotkaliśmy się dzisiaj wieczorem... Nie miej pretensji do mnie, ale do Waszyngtonu. Mężczyzna w okularach przeszedł korytarzem do wind. Wsiadł do pierwszej wolnej, zjechał piętro niżej i udał się do własnego pokoju usytuowanego dokładnie pod apartamentem Lathama. W środku na biurku stała cała kolekcja elektronicznego sprzętu. Podszedł do niego, przycisnął kilka klawiszy przewijając taśmę i potwierdził jakość nagrania. Podniósł słuchawkę i wybrał numer w Mettmach w Niemczech.

- Wilcze Gniazdo - odezwał się cichy głos w słuchawce.

- Tu Catbird.

- Proszę wprowadzić zakłócenia.

- Wykonuję. - Mężczyzna, który przedstawiał się jako Peter, delikatnie wyjął ze swojego wyposażenia cienki drut z umieszczonym na końcu ostrym jak brzytwa krokodylowym zaciskiem i obracał nim wokół przewodu telefonicznego, dopóki w słuchawce nie rozległ się krótki trzask zakłóceń. Metrometr wskazuje potwierdzenie, jak u was?

- Potwierdzone. Przekazuj. "Catbird, jeżeli dobrze sobie przypominam - zaczęło się nagranie. Lokator apartamentu odtworzył je do końca. - Zgadza się z tobą, Harry... Nie miej pretensji do mnie, ale do Waszyngtonu." - Jaka jest twoja ocena? - zapytał Peter.

- Jest niebezpieczny - odparł Gerhardt Kroeger w Niemczech. - Podobnie jak większość głęboko zakonspirowanych agentów, podświadomie przechodzi z jednej tożsamości do drugiej. Jak sam to określił: "Muszę usunąć Alexandra Lassitera z mojej psychiki". Zbyt długo był Lassiterem i walczy o powrót do samego siebie. Dość częsty przypadek, że podwójna tożsamość przekształca się w podwójną osobowość.
- Osiągnął to, czego chciałeś, w ciągu dwóch dni. Sama lista wystarczyła, aby wstrząsnąć naszymi wrogami. Nie chcą wierzyć jego informacjom, bardzo dużo o tym mówią, ale obawiają się również je odrzucić. Mogę załatwić go w korytarzu jednym strzałem. Czy mam tak zrobić?
- Śmierć Lathama uwiarygodniłaby listę, ale nie, jeszcze nie teraz. Jego brat dotarł za daleko tropem tego starego włóczęgi Jodelle'a i jego działania mogą nam grozić katastrofą. Choć bardzo ubolewam, że nie będę mógł obserwować mojego pacjenta, nasza sprawa jest ważniejsza i muszę ponieść taką ofiarę. Alexander Lassiter doprowadzi nas do drugiego kłopotliwego Lathama. Zabijcie ich obu.
- Bez problemu. Znamy plany podróży Lassitera.
- Śledźcie go, śledźcie ich i pozostawcie za sobą tylko zwłoki. Zmartwychwstały syn Jodelle'a, ten aktor, będzie następny, a wówczas wszystkie ślady prowadzące do doliny Loary ulegną zniszczeniu, podobnie jak stało się w Hausruck. Harry Latham i Karin de Vries tulili się do siebie jak rodzeństwo, które nie widziało się od bardzo dawna. Ich rozmowa najpierw przebiegała bezładnie, gdy każde z nich, z podnieceniem mówiło, jak bardzo się cieszy, że znowu są razem. Potem Karin schwyciła Harry'ego pod ramię i ruszyli w stronę przejścia dla dyplomatów, gdzie szybko przeszedł odprawę. Następnie udali się na wydzielony parking pełen umundurowanych strażników - niektórzy trzymali na smyczach psy wyszkolone do poszukiwania narkotyków i ładunków wybuchowych. Czekał na nich nie rzucający się w oczy czarny renault, taki sam jak parę tysięcy innych krążących po ulicach Paryża. De Vries usiadła za kierownicą, a Harry zajął miejsce obok niej.
- Uznano, że kierowca nam nie przysługuje? - zapytał.
- Powiedzmy, że nie wolno nam było z niego skorzystać odparła Karin. - Twój brat znajduje się pod ochroną organizacji "Antyninus", pamiętasz ją?
- Oczywiście... Mówiąc dokładniej, jej ludzie czekali na mnie niedawno, pewnej nocy. Udałem, że nie rozumiem tego, co powiedział mi człowiek w ciężarówce, który się ze mną skontaktował, ponieważ musiałbym udzielić mu wyjaśnień, a te mogłyby doprowadzić do Freddiego, a w konsekwencji również do ciebie. - Mogłeś się nie obawiać. Współpracuję z nimi od czasów mojego pobytu w Hadze.
- Cudownie, że mogę cię widzieć i słyszeć - rzekł ze wzruszeniem Harry.
- Czuję to samo, przyjacielu. Od czasu gdy dowiedziałam się, że Bruderschaft wie o tobie, tak bardzo się martwiłam...
- Wiedzieli o mnie? - przerwał jej ostro Latham, spoglądając na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma. - Nie mówisz chyba poważnie!
- Nikt ci o tym nie powiedział?
- Jakim cudem? Przecież to nieprawda.
- Prawda, Harry. Wyjaśniłam już Drew, w jaki sposób się o tym dowiedziałam.
- Ty?
- Przypuszczałam, że brat przekazał ci tę informację.
- Chryste, nie mogę zebrać myśli! - Latham obydwoma rękami chwycił się za skronie. W kącikach zaciśniętych mocno oczu pojawiła się wyraźna siatka zmarszczek.
- Co się stało, Harry?
- Nie wiem. Okropnie mnie boli...
- Zbyt długo byłeś w straszliwym stresie. Zaprowadzimy cię do lekarza.
- Nie. Jestem Alexandrem Lassiterem... Byłem Alexandrem Lassiterem. Byłem dla nich tylko nim.

- Obawiam się, że nie, mój drogi. - Karin spojrzała na przyjaciela z nagłym niepokojem. Na jego lewej skroni widniała ciemnoczerwona okrągła plama, która zdawała się pulsować. Wzięłam twoją ulubioną brandy, Harry, żebyśmy mogli uczcić nasze spotkanie. Jest w schowku na rękawiczki. Otwórz i wypij trochę. Pomoże ci się uspokoić.
- Nie mogli wiedzieć - wykrztusił Latham, otwierając drżącymi palcami schowek i wyciągając półlitrową butelkę. - Nie wiesz, o czym mówisz.
- Może się mylę - powiedziała wyraźnie już zaniepokojona Karin. - Napij się i spróbuj rozluźnić. Zobaczymy się z Drew w starej wiejskiej gospodzie na przedmieściach Villejuif. Organizacja nie pozwoliłaby nam się spotkać w kryjówe. Uspokój się, Harry. - Tak, tak, oczywiście, uspokoję się, moja droga... moja najdroższa Karin... ponieważ na pewno się mylisz. Powie ci to mój brat i Gerhardt Kroeger. Jestem Alexem Lassiterem, byłem Alexem Lassiterem!
- Gerhardt Kroeger? - spytała zaskoczona de Vries. - Kim jest Gerhardt Kroeger?
- Cholernym nazistą... a także doskonałym lekarzem.
- Za piętnaście albo dwadzieścia minut będziemy w gospodzie, w której czeka na nas twój brat... Porozmawiajmy lepiej o dawnych czasach w Amsterdamie, przyjacielu. Czy pamiętasz ten wieczór, kiedy Freddie wrócił do domu na wpół zalany i uparł się, żebyśmy zagrali w monopol?
- Dobry Boże, oczywiście. Wysypał garść brylantów i powiedział, że powinniśmy ich używać zamiast tych papierowych banknotów. - A wtedy gdy piliśmy wino, zasluchani w Mozarta niemal do świtu?
- Czy pamiętam? - zawołał Latham, pijąc brandy i śmiejąc się. Jego oczy jednak nie iskrzyły się rozbawieniem, ale spoglądały ponuro. - Freddie wyszedł z twojej sypialni i oświadczył, że woli Elvisa Presleya. Zbombardowaliśmy go poduszkami.
- A ten ranoek w kawiarni na Herengracht, kiedy tłumaczyliśmy Freddiemu, że nie powinien skakać do kanału, aby udowodnić swoje poglądy na temat zatrucia środowiska?
- Miał zamiar to zrobić, moja droga, moja najdroższa Karin. Przysięgam. Ta beztroška paplanina trwała przez pozostałą drogę, do chwili gdy de Vries skręciła wreszcie na wyspany żwirem parking koło zapuszczonej wiejskiej gospody - położonej tuż za miastem, wśród zarośniętych pól, z dala od innych budynków - która nie sprawiała zbyt gościnnego wrażenia. Spotkanie braci było równie serdeczne jak powitalne uściski Harry'ego i Karin, choć osobą żywiej okazującą uczucia był młodszy Latham. To Harry zachowywał się inaczej - pod zewnętrzną radością krył się lodowaty chłód. Było w tym coś zaskakującego i nienaturalnego.
- Hej, Duży, jakżeś tego dokonał? - zawołał Drew, gdy cała trójka usiadła w boksie. Karin zajęła miejsce przy Harrym. Mam brata, który stał się żywą legendą!
- Ponieważ Alexander Lassiter był prawdziwą osobowością. Był to jedyny sposób, aby tego dokonać.
- No cóż, rzeczywiście ci się udało. Przynajmniej do pewnego punktu. Umożliwiło ci to przeniknięcie do doliny.
- Myślisz o tym, o czym mówiła ci Karin?
- Właśnie...
- To nieprawda. Kompletna bzdura!
- Harry, powiedziałam, że mogę się mylić.
- I się mylisz.
- Dobra, Harry, dobra. - Drew podniósł obie dłonie do góry. - A więc się pomyliła, ale to właśnie usłyszała.
- Falszywe źródła, niepewne, bez potwierdzenia.
- Jesteśmy po twojej stronie, braciszku, wiesz o tym. Młodszy Latham spojrział na de Vries. Jego wzrok wyrażał pytanie i niepokój.
- Alexander Lassiter był prawdziwy - oznajmił z naciskiem Harry. Skrzywił się i podniósł lewą dłoń do skroni i zaczął ją masować kolistymi ruchami. - Zapytaj Gerhardta Kroegera, on ci powie.

- Kim jest...
- Mniejsza o to - przerwała mu Karin, kręcąc głową. - Jest doskonałym doktorem, twój brat mi to wyjaśnił.
- A może i mnie, braciszku, poinformowałbyś, kim jest ten Kroeger?
- Naprawdę chciałbyś wiedzieć, prawda?
- Czy to tajemnica, Harry?
- Lassiter mógłby ci powiedzieć, ale ja chyba nie mogę.
- Rany boskie, o czym do cholery mówisz? Ty jesteś Lassiterem, Harry Latham jest Lassiterem. Przestań pieprzyć głupoty, Harry.
- Boli mnie, o Boże, jak mnie boli. Coś jest ze mną nie w porządku.
- Co się stało, drogi Harry?
- Drogi Harry? Czy wiesz, co to dla mnie znaczy? Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię kocham, jak uwielbiam, Karin? - Ja również cię uwielbiam, Harry - powiedziała de Vries, gdy starszy Latham z płaczem przytulił się do jej piersi. - Wiesz o tym.
- Tak bardzo cię kocham, tak bardzo! - belkotał histerycznie Harry, a Karin obejmowała go ramionami. - Ale tak bardzo mnie boli...
- O mój Boże! - powiedział cicho Drew, obserwując tę niesamowitą scenę.
- Musimy go zawieźć do lekarza - szepnęła de Vries. Zaczął się tak zachowywać już w samochodzie.
- Masz rację - zgodził się Drew. - Do psychiatry. Za długo był w konspiracji. Jezu!
- Zadzwoń do ambasady i wezwij ambulans. Ja z nim zostanę. Młodszy Latham wyszedł z boksu i w tej samej chwili do gospody wpadło dwóch uzbrojonych mężczyzn w maskach z pończoch. Ich zamiary i cel ataku były oczywiste.
- Padnij! - wrzasnął Drew, wyciągając pistolet i otwierając ogień, zanim zabójcy zdolali cokolwiek dojrzeć w półmroku. Trafił pierwszego i rzucił się za bar, gdy tymczasem drugi zamachowiec nadbiegł strzelając bez przerwy. Drew zerwał się i naciskając raz za razem spust opróżnił cały magazynek. Napastnik padł martwy, a kilkoro przerażonych gości wybiegło przez drzwi frontowe. Latham wyskoczył zza swej iluzorycznej osłony. Karin de Vries leżała na podłodze, lewą dłonią wciąż trzymając za ramię Harry'ego i próbując przyciągnąć go bliżej. Żyła. Wprawdzie z prawej ręki płynęła jej krew, ale żyła. Natomiast Harry Latham zginął na miejscu. Jego roztrzaskana kulami głowa tworzyła koszmarną masę krwawych szczątków i białych fragmentów rozbryźniętej tkanki mózgowej. Drew z ustami wykrzywionymi w grymasie przerażenia zamknął na chwilę oczy, zmusił się jednak, aby je otworzyć, i wsunął rękę do kieszeni nieżyjącego brata. Wyciągnął portfel i inne papiery, które mogłyby dopomóc w ustaleniu jego tożsamości. Dlaczego to zrobił? Nie był pewien, po prostu działał pod wpływem impulsu. Po czym podniósł łkającą Karin i owinąwszy jej dłoń w serwetkę, odciągnął od tej strasznej sceny. Poleciał kierownikowi sali, który uciekł do kuchni, żeby wezwał policję. Czas na zastanowienie się i analizę sytuacji przyjdzie później, teraz nie było go ani na żalobę po bracie ani nawet na pożegnalne spojrzenie. Przede wszystkim musi dostarczyć Karin de Vries do lekarza, a potem zabrać się do roboty. Musi zniszczyć Bractwo, choćby miało mu to zająć resztę życia albo doprowadzić do zguby. Złożył tę przysięgę wszystkim bogom, jacy tylko istnieją.
- Nie możesz iść do swojego biura, czy tego nie rozumiesz? zawołała Karin, siadając na noszach w salce, gdzie operował lekarz który znajdował się na liście osób sprawdzonych przez służbę ochrony ambasady. - Wszyscy się o tym dowiedzą i będziesz trupem!
- W takim razie należy przenieść moje biuro do miejsca, w którym się znajduję - odparł Drew cichym, zdecydowanym tonem. - Potrzebuję wszystkich środków, jakimi dysponujemy, i nie zgodzę się na żadne ograniczenia. Kluczem jest człowiek o nazwisku Kroeger, Gerhardt Kroeger, i znajdę tego sukinsyna. Muszę go znaleźć! Kim on jest? I gdzie przebywa?
- Wiemy, że jest lekarzem i najprawdopodobniej Niemcem. Karin wpatrywała się w młodszego Lathama, jednocześnie, zgodnie z instrukcjami lekarza, podnosząc i opuszczając obandażowaną rękę. - Na litość boską, Drew, spójrz prawdzie w oczy.

- Co? - zapytał ostro Latham, odrywając spojrzenie od jej zranionej ręki.
- Chcesz sobie wmówić, że nic się nie stało, a to przecież nie ma sensu. Podobnie jak ja bolejesz nad stratą Harry'ego, ale dusisz wszystko w sobie i to cię niszczy. Przestań udawać, że jesteś zimny i niewzruszony. Taki był Harry, nie ty.
- Kiedy zobaczyłem, co mu zrobili, postanowiłem, że czas na żalobę będzie później. Została zawieszona i tak pozostanie. - Rozumiem.
- Doprawdy?
- Chyba tak. Nie możesz opanować wściekłości. Pragniesz zemsty i ona jest dla ciebie najważniejsza.
- Użyłaś wcześniej pewnego sformułowania, by określić stosunek Harry'ego do sytuacji kryzysowych i innych problemów. Nazwałaś to zimną krwią, czyli spokojnym, beznamiętnym działaniem.
- Tak.
- Moja znajomość francuskiego jest niedoskonała, właściwie pozostawia wiele do życzenia, ale istnieje pewna odmiana tego zwrotu.
- Owszem... Z zimną krwią - powiedziała Karin patrząc mu prosto w oczy.
- Dokładnie. Tak rzeczywiście działał mój brat. Do wszystkiego w życiu podchodził nie tylko spokojnie czy z opanowaniem, ale na zimno... Lodowato. Ja byłem jedynym wyjątkiem. Gdy spoglądał na mnie, w jego wzroku czuło się ciepło... Nie, może nie jedynym, mieliśmy kuzynkę, o której ci już wspominałem, tę, która umarła na raka. Ona również była dla niego kimś szczególnym, bardzo szczególnym. Mówiąc w innym sensie, była jego "Rosebud", dopóki ty się nie pojawiłaś.
- Oczywiście masz na myśli Obywatela Kane Wellesa?
- Oczywiście, teraz to już część naszego słownika. Symbol z przeszłości, który ma większe znaczenie dla terażniejszości, niż sobie człowiek uświadamia.
- Nie miałam pojęcia, że żywi do mnie takie uczucia.
- Podobnie jak Kane. W wyobraźni właśnie widział ginącego w ogniu kogoś, kogo kochał od bardzo dawna, i nigdy nie spotkał kogoś, kto mógłby zająć miejsce tej osoby. Pozostały mu tylko jego sukcesy zawodowe.
- Harry był właśnie taki?
- Dziecko, młodzieniec, dorosły człowiek. Wzorowy student z IQ, który przekraczał wszystkie wskaźniki. Licencjat, magister i doktor, zanim skończył dwadzieścia trzy lata. Zawsze dążył, aby być najlepszy w tym, co robił i przy okazji nauczył się płynnie posługiwać pięcioma czy sześcioma językami. Jak już wspominałem, był swego rodzaju geniuszem.
- - Cóż za nadzwyczajne życie.
- Cholera, przypuszczam, że freudyści powiedzieliby, że była to reakcja utalentowanego dzieciaka na wiecznie nieobecnego ojca, odległego zarówno fizycznie jak i psychicznie - i na uroczą, obdarzoną wrodzoną bystrością, ale nie będącą intelektualistką matkę. Nie pasowała do tego ich związku i uznała, że jej rola w małżeństwie polega na atrakcyjnym wyglądzie, miłości i sympatycznym sposobie bycia, po cóż więc wdawać się w dyskusje, których nie jest w stanie wygrać?
- A ty?
- Sądzę, że odziedziczyłem nieco więcej genów mojej matki niż Harry. Beth jest postawną kobietą i w młodości była świetną lekkoatletką. W college'u była kapitanem drużyny sprinterek i gdyby nie spotkała mojego ojca, mogłaby startować na olimpiadzie. - Masz bardzo ciekawą rodzinę - Karin znowu spojrzała Drew prosto w oczy - ale opowiadasz mi o tym nie tylko dlatego, aby zaspokoić moją ciekawość, prawda?
- Jesteś bystra, moja pani... przepraszam, postaram się przestać tak mówić.
- Nie musisz, zaczynam uważać ten zwrot za zupełnie sympatyczny... A więc z jakiego powodu?
- Chcę, żebyś mnie poznała, wiedziała, kim jestem, skąd się wziąłem. To powinno zaspokoić twoją ciekawość przynajmniej częściowo

- Trochę dziwne stwierdzenie, biorąc pod uwagę twoją skłonność do powściągliwości.
- Zdaję sobie z tego sprawę. Po prostu staram się wszystko uporządkować... Gdy strzelanina w gospodzie ustąpiła i było już po wszystkim, poczułem, że ogarnia mnie panika. Wywracałem kieszenie Harry'ego, byłem w odległości zaledwie centymetrów od tego, co zostało z jego czaszki, zmasakrowanej twarzy, i z każdą sekundą coraz bardziej nienawidziłem samego siebie, zupełnie jakbym popełniał jakiś godny pogardy czyn. Najdziwniejsze, że nie rozumiałem dlaczego, ale musiałem to robić. Zupełnie jakbym otrzymał jakiś rozkaz i koniecznie musiał go wykonać, mimo przeświadczenia, że to nic nie zmieni, nie przywróci mojego brata do życia. - Chroniłeś go po śmierci, tak samo jak robiłbyś to za jego życia - stwierdziła de Vries. - Nie ma w tym nic niezwykłego. Broniłeś jego dobrego imienia...
- Chyba istotnie tak myślałem - przerwał jej Latham. - Ale to się nie trzyma kupy. Przy dzisiejszych metodach medycyny sądowej jego tożsamość zostanie ustalona w ciągu kilku godzin... Chyba że jego ciało zostanie ukryte. Po tym jak dostałeś z ambasady nazwisko doktora...
- Mówiąc ściślej, od pułkownika zauważył Drew.
- Zadzwoń tam jeszcze raz, z prywatnego telefonu doktora. Rozmawiałeś dość długo.
- Znowu z Witkowskim. Wie, do kogo dotrzeć i jak wszystko załatwić.
- Co?
- Na przykład usunięcie i ukrycie ciała.
- Harry'ego?
- Tak. Po naszym wyjściu nikt w gospodzie nie mógł się dowiedzieć kim jest. Przemyslałem wszystko między naszym wydostaniem się stamtąd a moim drugim telefonem do pułkownika. To Harry wydawał mi te rozkazy, mówił mi, co mam robić.
- Mów trochę jaśniej, proszę.
- Stanę się nim, zajmę jego miejsce. Od tej chwili jestem Harrym Lathamem.

* * *

ROZDZIAŁ 10

Pułkownik Stanley Witkowski działał szybko, powołując się na długie, które zaciągnięto u niego w czasach zimnej wojny. Dotarł do zastępcy dyrektora paryskiej Surete, byłego oficera wywiadu, pracującego we francuskim garnizonie w Berlinie, z którym zawiedziony Witkowski, wówczas major w amerykańskim G-2, uznał za stosowne nawiązać kontakt i wymieniać informacje wbrew istniejącym przepisom. ("Myślałem, że jesteśmy po tej samej stronie!") W rezultacie pułkownik otrzymał do swojej wyłącznej dyspozycji nie tylko ciało zamordowanego Harry'ego Lathama, ale również zwłoki dwóch zabójców. Wszyscy zostali umieszczeni pod fikcyjnymi nazwiskami w kostnicy na rue Fontenay. Oprócz tego, co chętnie zaakceptował zastępca szefa Surete w interesie obu krajów, i aby ułatwić zdobycie dalszych informacji, na wiadomość o zamachu terrorystycznym nałożono pełną blokadę - ponieważ Witkowski doskonale wiedział coś, co Drew Latham jedynie częściowo sobie uświadamiał. Usunięcie ciała Harry'ego mogłoby wywołać nieco zamieszania, ale dopiero w połączeniu z blokadą i zniknięciem obu zabójców powstawał całkowity galimatias. W pokoju hotelowym na Orly mężczyzna w okularach w stalowej oprawce spacerował nerwowo przed oknem, czekając na lot o 15.30 do Monachium. Co chwilę jego uwagę rozpraszały startujące i lądujące samoloty. Przytłumiony grzmot odrzutowych silników jedynie wzmagał jego niepokój. Bez przerwy spoglądał na telefon, wściekły, że nadal nie dzwoni i nie przekazuje mu informacji o zakończeniu jego misji, co tłumaczyłoby powrót do Niemiec. Ewentualność, że zadanie nie zostało wykonane, była nie do pomyślenia. Porozumiał się z paryskim oddziałem blitztragerów, elity zabójców Bruderschaftu. Ci najbardziej utalentowani, świetnie wyszkoleni i najdoskonalsi w sztuce zadawania śmierci, tworzyli grupę niespełna dwustu dyspozycyjnych "drapieżników" działających w Europie, Ameryce Południowej i Stanach Zjednoczonych. Catbirda oficjalnie poinformowano, że w ciągu czterech lat, które upłynęły

od chwili, gdy rozesłano ich na posterunki, ujęto tylko trzech - dwóch z nich wybrało śmierć nad przesłuchanie, a jeden został zabity w Paryżu w czasie wykonywania zadania. Żadne szczegóły nie wyszły na światło dzienne, tak więc tajemnica została całkowicie zachowana. Nawet Catbird musiał odwoływać się do drugiego w hierarchii przywódcy Bractwa, cholerycznego generała von Schnabe, aby pozwolono mu zatrudnić tę elitę zabójców. Dlaczego więc telefon nie dzwoni? Skąd to opóźnienie? Obserwację prowadzono od 10.28, kiedy to Harry Latham przybył do portu lotniczego imienia de Gaulle'a i pół godziny później odjechał stamtąd samochodem. A teraz była już 1.30 po południu! Catbird nie mógł wytrzymać tego braku łączności, podszedł do telefonu na nocnym stoliku i wybrał numer blitztragerów.

- Magazyny Ayignon - odezwał się po francusku kobiecy głos. - Z kim mam połączyć?
- Proszę z działem mrożonek, z monsieur Giroux.
- Obawiam się, że numer jest zajęty.
- Poczekam dokładnie trzydzieści sekund i jeżeli nie będzie wolny, wycofam swoje zamówienie.
- Rozumiem... Ale to nie będzie konieczne, proszę pana. Już łączę.
- Catbird? - spytał męski głos.
- Wreszcie użyłem właściwych słów. Co się u diabła dzieje? Dlaczego pan nie zadzwonił?
- Bo nie mam nic do zameldowania.
- Przecież to śmieszne. Minęły ponad trzy godziny!
- Jesteśmy równie zaniepokojeni jak pan, a więc niech pan nie podnosi na mnie głosu, nasz ostatni kontakt miał miejsce godzinę i dwadzieścia minut temu i wszystko przebiegało zgodnie z planem. Nasi dwaj ludzie śledzili Lathama jadącego samochodem renault prowadzonym przez kobietę. Ich ostatnie słowa brzmiały: "Kontrolujemy sytuację, wkrótce przeprowadzimy akcję."
- I to wszystko? Godzinę temu?
- Tak jest.
- Nic więcej?
- Nic. To był ich ostatni meldunek.
- No dobrze, gdzie oni są?,
- Sami chcielibyśmy wiedzieć.
- Dokąd się skierowali?
- Na północ od Paryża, nie podali konkretnego miejsca.
- Dlaczego?
- Przy tłoku na tej częstotliwości byłoby to głupie. Poza tym ci dwaj są doskonałym zespołem, nigdy dotąd nie zawiedli. - Czy możliwe, by zawiedli dzisiaj?
- Prawie zupełnie nieprawdopodobne.
- "Prawie zupełnie" trudno uznać za jednoznaczną odpowiedź. Czy zdajecie sobie sprawę z wagi tego zadania?
- Wszystkie nasze zadania mają pierwszorzędne znaczenie, inaczej nie skierowano by pana do nas. Chciałbym przypomnieć, że po nas sięga się tylko w ostatecznych okolicznościach.
- Co mam powiedzieć von Schnabemu?
- Catbird, niech pan da spokój, co w tej sytuacji możemy mu powiedzieć? - odparł dowódca paryskiego oddziału blitztragerów i odwiesił słuchawkę. Minęło następnych trzydzieści minut i mężczyzna zwany Catbirdem nie mógł się już dłużej powstrzymać. Wybrał numer telefonu znajdującego się głęboko w lasach Vaclabruck w Niemczech. - Nie chcę tego słuchać - oznajmił generał Ulrich von Schnabe. Słowa wydobywały się z jego ust w kłębach zmrożonej pary. - Cele miały być wyeliminowane przy pierwszej sposobności. Zatwierdziłem rozkazy doktora Kroegera ze względu na wasze sugestie, że nie przewidujecie żadnych kłopotów, ponieważ macie ich rozkład dnia. Tylko, na tej podstawie pozwoliłem wam skontaktować się z blitztragerami.
- Cóż mogę powiedzieć, Herr Generall Po prostu nie mamy od nich żadnej wiadomości. Nic.
- Sprawdźcie u naszego człowieka w ambasadzie amerykańskiej. Może coś usłyszał.

- Zrobiłem tak, panie generale, oczywiście z automatu. Jego ostatni podsłuch potwierdzał jedynie, że brat Lathama jest pod ochroną organizacji "Antyninus".
- U tych kochających czarnuchów i Żydów lajdaków! Oczywiście, bez konkretnej lokalizacji.
- Oczywiście.
- Zostańcie w Paryżu. Utrzymujcie kontakt z naszą grupą likwidacyjną i informujcie o dalszym rozwoju wypadków.
- Teraz ty zwariowałeś! - zawołała Karin de Vries. - Przecież cię widzieli, znają cię. Nie możesz uchodzić za Harry'ego. - Oczywiście, że mogę, jeżeli nie zobaczą mnie ponownie, a nie mam zamiaru do tego dopuścić - wyjaśnił Drew. - Będę działał z ukrycia, zmieniając nieustannie miejsca i utrzymując kontakt z tobą i pułkownikiem, ponieważ nie mogę pokazywać się w ambasadzie. Prawdę mówiąc, skoro wiemy, że ambasada została zinfiltrowana... do diabła, wiemy o tym, od chwili gdy pewnej nocy pojawił się adolfik, żeby wystąpić w roli mojego kierowcy, może uda się nam ustalić, kim jest ta wtyczka albo wtyczki.
- W jaki sposób?
- Pułapka kolejowa.
- Co takiego?
- Coś w rodzaju składu pociągu, w którym obok wagonów z pasażerami jest jeden z dzikimi psami.
- Proszę...
- Zadzwoń do ciebie trzy lub cztery razy jako Harry, prosząc o dostarczenie mi przez jednego, wyraźnie wymienionego z nazwiska kuriera Witkowskiego, dokumentów z akt mojego zabitego brata Drew. Podam dokładny czas i lokalizację: zawsze tam, gdzie będzie tłok. Przekażesz moją prośbę, a ja pójdę na spotkanie, ale będę czekał w takim miejscu, gdzie nikt mnie nie zauważy. Jeżeli pojawi się prawdziwy kurier - znam ich wszystkich - i nie będzie miał ogona, doskonale. Zniszczę to, co mi przyślesz. Potem zadzwonię znowu, z kolejną prośbą i podkreślę, że sprawa jest pilna, bo trafiłem na pewien trop. To będzie sygnał, że masz odłożyć słuchawkę i nic nie mówić, niczego nie przekazywać.
- I jeżeli pojawi się ktoś inny, będziesz wiedział, że to neonazista, a mój telefon jest podsłuchiwany przez kogoś z ambasady - przerwała mu Karen.
- Dokładnie. Jeżeli okoliczności okażą się sprzyjające, może będę w stanie schwytać go i przekazać naszym chemikom.
- A gdyby było ich więcej?
- Powiedziałem jeżeli. Nie mam zamiaru rzucać się na cały tłum.
- Muszę stwierdzić, używając twojego własnego słownictwa, że widzę w tym planie wielką "dziurę". Dlaczego Harry Latham miałby pozostać w Paryżu?
- Ponieważ jest Harrym Lathamem. Upartym do przesady, nieubłaganym w dążeniu do celu, a poza tym wszystkim z bardzo prywatnych przyczyn: jego młodszy brat został zamordowany tu, w Paryżu.
- Istotnie, motyw jest przekonujący - przyznała de Vries. W gruncie rzeczy....Ale w jaki sposób wydostaniesz informacje? Czy nie stwarza to problemu?
- Sytuacja rzeczywiście jest delikatna - stwierdził Drew, kiwając głową i marszcząc brwi. - Przede wszystkim dlatego, że Agencja zacznie machać rękami i krzyczeć "faul". Jednak będzie już za późno, jeżeli będziemy w grze, i mam nadzieję, że pułkownik coś wykombinuje. Spotkam się z nim dzisiaj w kawiarni na Montmartrze. - T y się spotkasz? A co ze mną? Mam wrażenie, że jestem dość istotnym elementem tej strategii.
- Jesteś ranna, moja pani. Nie mogę cię prosić...
- I nie pros, monsieur - przerwała mu Karin. - Coś ci powiem. Idę z tobą. Żona Frederika de Vries idzie z tobą. Zabito ci brata w najstraszliwszy sposób, Drew, a ja straciłam męża... również w najstraszliwszy sposób. Nie możesz mnie wykluczyć. Drzwi ambulatorium otworzyły się i wszedł lekarz.
- Mam dla pani względnie dobre wieści, madame - oznajmił, uśmiechając się niepewnie. - Zapoznałem się z pooperacyjnymi zdjęciami rentgenowskimi i przy zastosowanej kuracji

powinna pani odzyskać przynajmniej osiemdziesiąt procent władzy w prawej ręce. Jednak utraciła pani całkowicie czubek środkowego palca. Oczywiście można będzie zastosować stałą protezę.

- Dziękuję, doktorze, to niezbyt wygórowana cena i jestem panu wdzięczna. Zgodnie z pańskim zaleceniem, przyjdę na kontrolę za pięć dni.

- Pardon, monsieur, czy nazywa się pan Latham?

- Mniej więcej tak to wymawiacie. Tak.

- Ma pan w dogodnej chwili zadzwonić do monsieur S w Waszyngtonie. Może pan skorzystać z mojego telefonu. Oczywiście, wszystkie wydatki są włączone do rachunku.

- Dziękuję, ale ta chwila nie jest dla mnie dogodna. Jeżeli zadzwoni znowu, proszę mu powiedzieć, że wyszedłem, zanim przekazał mi pan tę wiadomość.

- Czy to właściwe, monsieur?

- Podziękuj panu, że nie stwarza mu pan dodatkowych kłopotów, i osobiście zatwierdzi pańskie rachunki.

- Rozumiem - odparł doktor z uśmiechem.

- A ja nie - oznajmiła Karin. Były to jej pierwsze słowa, gdy wyszli z kliniki i betonowym chodnikiem skierowali się w stronę parkingu.

- Co "nie"?

- Nie rozumiem. Dlaczego nie chciałeś rozmawiać z Sorensonem? Raczej przypuszczałabym, że chcesz zasięgnąć jego rady. Powiedziałeś, że mu ufasz.

- Owszem. Ale wiem także, że on z kolei bardzo wierzy systemowi. Działa w nim od dziesięcioleci.

- A więc?

- A więc będzie miał kłopot z tym, co mam zamiar zrobić. Powie, że to działka Agencji i że to ona, a nie ja, powinna podejmować decyzje, co ma się dzieć dalej. Oczywiście, będzie miał rację.

- Skoro tak, dlaczego to robisz? Przepraszam, możesz nie odpowiadać, zadałam głupie pytanie.

- Dziękuję. - Latham spojrział na zegarek. - Już prawie szósta. Jak twoja ręka?

- Nie mogę powiedzieć, że to bardzo przyjemne uczucie. Znieczulenie miejscowe mija i dzięki Bogu nie mogę zobaczyć swojej ręki pod tym małym namiotem z bandaża.

- Dwie godziny pod nożem oznacza mnóstwo krojenia. Jesteś pewna, że chcesz iść ze mną na spotkanie z Witkowskim?

- Gdyby nawet odpadła mi ręka, nie zdołałbyś mnie powstrzymać.

- Ale po co? Jesteś wykończona i ranna. Przecież niczego bym przed tobą nie ukrywał, powinnaś już o tym wiedzieć.

- Wiem. - Zatrzymali się przy samochodzie i gdy Drew otworzył przed nią drzwi, ich spojrzenia się spotkały. - Wiem, że niczego byś przede mną nie ukrywał i doceniam ten fakt. Ale być może kiedy zrozumie, co naprawdę próbujesz zrobić, będę mogła w czymś ci pomóc. Dlaczego mi wszystkiego nie wyjaśnisz?

- Dobrze, spróbuję. - Latham zatrzasnął drzwi, obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Zapukał do silnika, wyjechał z parkingu i mówił dalej, świadomy, że Karin na niego patrzy. - Kim jest Gerhardt Kroeger i jaką miał władzę nad Harrym?

- Władzę? Jaką władzę? Był nazistowskim lekarzem, najwyraźniej utalentowanym, którego twój brat poznał w Hausruck. Najprawdopodobniej leczył Harry'ego po jakimś ciężkim urazie. Można czuć wdzięczność nawet do nieprzyjaciela, jeżeli ci pomaga, zwłaszcza jeżeli jest to pomoc medyczna.

- Ale jego stosunek do Kroegera przekraczał granice zwykłej wdzięczności oznajmił Drew wypatrując drogowskazu na paryski Montmartre. - Gdy zapytałem Harry'ego, kim jest Kroeger, odpowiedział mi takimi słowami, cytuję dokładnie i nie przypuszczam, abym kiedykolwiek je zapomniał: "Może ci powiedzieć Lassiter. Ja chyba nie powinienem." To przerażające, moja pani. - Tak, to jest przerażające... było. Ale również miało związek z jego

zachowaniem. Nagle okazanie emocji, płacz, wołanie o pomoc. To nie był Harry, którego oboje znaleźliśmy i opisywaliśmy sobie nawzajem, ten chłodny i beznamiętny analityk, o którym rozmawialiśmy.

- Nie zgadzam się - zaprotestował spokojnie Latham. Przypomnij sobie jego słowa, powtórz je wyobrażając sobie, że mówi je Harry którego znaleźliśmy, zastanawiający się nad ewentualnościami, nie podejmujący decyzji, zanim dokładnie jej nie przemyśli. "Może ci powiedzieć Lassiter. Ja chyba nie powinienem." - Drew zadrżał wjeżdżając na główną drogę szybkiego ruchu w stronę centrum Paryża. - Gerhardt Kroeger jest kimś więcej niż tylko lekarzem, którego Harry spotkał w dolinie. Nazwałem go niedawno sukinsynem, ale może się myliłem. Może to on pomógł mojemu bratu w ucieczce. Kimkolwiek jest, może nam wyjaśnić, co stało się z Harrym, w czasie gdy przebywał w dolinie, i w jaki sposób w jego ręce wpadła ta lista.

- Chcesz powiedzieć, że Kroeger może być sojusznikiem, a nie neonazistą i że Harry w stanie psychicznej dezorientacji próbował go chronić?

- Po prostu nie wiem, ale jestem przekonany, że jest kimś więcej niż tylko lekarzem, który opiekował się nim w czasie ciężkiej grypy albo ataku artretyzmu, na który Harry zaczynał się uskarżać. Gerhardt Kroeger był kimś bardzo ważnym dla mojego brata, czuję to. Dlatego właśnie jest kluczem do zagadki i dlatego właśnie musimy go odnaleźć.

- Ale jak?

- Niestety nie wiem. Może Witkowski będzie miał jakieś pomysły? A może zdołamy zaangażować do sprawy organizację "Antyninus"? Mogliby rozpuścić słuchy, że Harry wciąż żyje. Po prostu nie wiem. Poruszam się na ślepo, ale nasze anteny będą odbierały sygnały... Przepraszam, pani językoznawczyno, powinienem powiedzieć będą "odbierały".

- Owszem. Intryguje mnie również twoja skłonność do ciągłego przeproszania za to, co mówisz i myślisz, wycofywanie się i tak dalej. Zupełnie jakbym była twoim nauczycielem.

- Chyba dlatego że w tych sprawach byłaś równie dobra jak Harry. Bez przerwy mnie poprawiał, zazwyczaj w sympatyczny sposób, ale nigdy nie przestawał tego robić.

- Kochał cię...

- Tak - Drew przerwał jej zmęczony. - Może zmienimy temat, co?

- Dobrze. Jak sądzisz, co pułkownik wykombinuje?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Ale jeżeli w aktach Witkowskiego jest choć trochę prawdy, będzie to dosyć precyzyjne. "THE INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE" Wydanie paryskie Atak terrorystyczny na personel ambasady Stanów Zjednoczonych Ambasada Stanów Zjednoczonych poinformowała, że w dniu wczorajszym zamaskowani terroryści zaatakowali restaurację w rejonie Villejuif, w której dwaj Amerykanie jedli lunch. Zginął Drew Latham, attache ambasady amerykańskiej, a jego brat, Harry Latham, oficer łącznikowy ambasady, ocalał i w chwili obecnej ukrywa się na polecenie władz. Napastnicy zbiegli i do chwili obecnej nie ustalono ani ich tożsamości, ani motywów ataku. Według zeznań świadków byli to dwaj mężczyźni średniego wzrostu, ubrani w ciemne garnitury. Harry Latham stwierdził, że dzięki czujności jego brata obaj terroryści zostali poważnie ranni. Drew Latham był bowiem uzbrojony i prowadził ogień, do chwili gdy otrzymał śmiertelny postrzał. Na żądanie ambasady Stanów Zjednoczonych władze francuskie prowadzą bardzo intensywne śledztwo. Podejrzenia kierowane są zarówno pod adresem Iraku, jak i Syrii...

- Na rany Chrystusa, co się tam u was dzieje? - wrzasnął sekretarz stanu Adam Bollinger, rozmawiający właśnie przez telefon z amerykańskim ambasadorem we Francji, Danielem Courtlandem.

- Gdybym wiedział, powiedziałbym ci. Chcesz mnie wymienić? Jeżeli tak, bardzo cię proszę, Adamie. Wystawiliście mnie, sukinsyny, jak na strzelnicy, a ja nawet nie znam na tyle francuskiego, żeby zawołać o pomoc. Jestem zawodowym urzędnikiem państwowym, a nie żadnym z twoich pieprzonych mianowańców... a kiedy o tym pomyślę, dochodzę do wniosku,

że żaden z twoich klientów i tak nie mówi w tym języku i właściwie ledwo posługuje się angielskim. - Nie pora na złośliwości, Danielu.

- Nadeszła pora, aby ustalić łańcuch dowodzenia, Bollinger! Drew Latham jeden z niewielu tajniaków z głową na karku, został zabity po czterech poprzednich zamachach na jego życie, a mnie nikt niczego nie wyjaśnia!

- Jego brat żyje - stwierdził niezgrabnie sekretarz stanu. - Po prostu wspaniale! A gdzie u diabła się podziewa?

- Mam otwarte kanały informacyjne z Agencją. Gdy tylko się czegoś dowiem, zaraz dam ci znać.

- Coś podobnego - sapnął pogardliwie Courtland. - Naprawdę przypuszczasz, że personel Agencji zajmujący się ludźmi działającymi w konspiracji cokolwiek ci powie? Siedzisz sobie za biurkiem, a oni narażają życie. Do cholery, dowiedziałem się o tym, gdy byłem na placówce w Finlandii i miałem KGB tuż za progiem. W takich sytuacjach jesteśmy zerami Adamie. Mówią nam tylko tyle, ile chcą. - Zupełnie niewłaściwe podejście. W końcu my dysponujemy ostateczną władzą, czyli stoimy na szczycie twojego łańcucha dowodzenia, jeżeli wolisz.

- Powiedz to Drew Lathamowi, którego rozwalono, bo nie byliśmy w stanie go wesprzeć. Nawet nasza własna ambasada jest spenetrowana.

- Po prostu nie jestem w stanie was zrozumieć.

- Lepiej więc zacznij, panie sekretarzu. Naziści wrócili. Dyrektor Wesley Sorenson siedział przy biurku, opierając pochyloną głowę na splecionych palcach. Czuł tak silny ból, że w kącikach oczu zaczęły mu się kręcić łzy. Strata była tak tragiczna, tak niepotrzebna, że zaczął zastanawiać się nad sensem własnego życia. Drew Latham zginął - podobnie jak tyle razy mogło się to stać z nim samym - i po co? Co zmieni śmierć pojedynczego oficera wywiadu, gdy tymczasem tuż międzynarodowych negocjacji spotykają się w eleganckich hotelach, na bankietach, udekorowanych flagami salach kongresowych, dając świadectwo jedynie ceremonialnej hipokryzji.. Sorenson miał uczucie, jakby zbliżał się już jego koniec - nie ma nic więcej do ofiarowania, a zbyt często widział śmiertelne zagrożenia kryjące się w cieniu takich konferencji. Jeżeli istniał jakiś promyk światła, to głęboko ukryty za chmurami. I nagle, stało się!

- Wes, mam nadzieję, że jesteśmy na szyfratorze - odezwał się w słuchawce znajomy głos.

- Drew? Mój Boże, to ty?! - Sorenson pochylił się do przodu, czując, jak krew odpływa mu z twarzy. - Żyjesz?

- Mam również nadzieję, że jesteś sam. Pytałem twoją sekretarkę i potwierdziła.

- Tak, oczywiście... Daj mi złapać oddech. Niewiarygodne... Nie wiem, co powiedzieć, co myśleć. To ty?

- Kiedy ostatni raz sprawdzałem swój puls, tak. Milczenie. Cisza przed burzą.

- W takim razie przypuszczam, że masz jakieś poważne wytłumaczenie, młody człowieku! Do cholery, przecież napisałem do twoich rodziców list z kondolencjami.

- Matka jest twardą kobietą i wytrzyma, a ojciec, jeżeli w ogóle kręci się gdzieś w pobliżu, prawdopodobnie stara się zorientować, który z nas zarobił kulę.

- Jesteś obrzydliwym...

- Lepiej takim niż nieżywym, panie dyrektorze - przerwał mu Latham. - Nie mamy teraz czasu na umieranie.

- Będzie lepsza pora na wyjaśnienia. W takim razie to on został zabity?

- Tak. Zajmuję jego miejsce.

- Co takiego?

- Właśnie panu powiedziałem.

- Na rany boskie, dlaczego? Nigdy nie wydałem takiego zezwolenia i nigdy bym nie wydał!

- Wiem o tym. Dlatego pominąłem pana i sam je sobie wydałem. Jeżeli poczynię jakieś postępy, może pan przypisać sobie zasługę. Jeżeli nie, no cóż, wtedy już nie będzie miało to znaczenia, prawda?

- Do diabła z zasługami. Chcę wiedzieć, co do cholery robisz! To niewybaczalne złamanie przepisów operacyjnych i doskonale o tym wiesz!
- Niezupełnie, proszę pana. Wszyscy mamy udzielone przez pana prawo do podejmowania decyzji na miejscu akcji.
- Tylko w przypadku, jeżeli w czasie kryzysu nie sposób dotrzeć do osób z odpowiednimi pełnomocnictwami. Ja natomiast jestem na miejscu i możesz porozumieć się ze mną bez względu na to, czy jestem w biurze, domu, na polu golfowym czy w pieprzonym burdelu, jeżeli miałbym tam co robić! Dlaczego nie zwróciłeś się do mnie?
- Właśnie pana informuję. Zakazałby mi pan i popełniłby pan błąd, ponieważ nie ma pana tutaj na miejscu. Ja natomiast nie mam szansy wyjaśnienia panu sytuacji, ponieważ sam nie do końca wszystko rozumiem. Ale jestem przekonany, że mam rację. I jeżeli mogę coś dodać, to znając historię pańskiej służby, przypuszczam, że w przeszłości podejmował pan takie jednostronne decyzje. - Przestań pieprzyć, Latham - odparł zmęczony, zdenerwowany Sorenson. - Co znalazłeś i do czego zmierzasz? Dlaczego grasz rolę Harry'ego? Z bólem, niechętnie, Drew opisał ostatnie chwile życia brata, nietypowy wybuch emocji, łzy, widoczne trudności, jakie Harry miał z oddzieleniem swojej przybranej tożsamości od prawdziwej, i wreszcie odmowę udzielenia bliższych wyjaśnień na temat lekarza, którego nazwisko kilkakrotnie wspominał w czasie rozmowy z nim i z Karin de Vries.
- Mówił o nim - wyjaśnił Latham - jakby ten człowiek był jakąś tajemniczą postacią, którą należy zdemaskować lub chronić. - Grzesznik lub święty? - spytał Sorenson.
- Tak, przypuszczam, że tak można to określić.
- Sztokholmski syndrom, Drew. Więzień identyfikuje się ze strażnikiem. Jego uczucia są dziwną mieszaniną niechęci, a jednak wciąż zabiega o jego względy, aż wreszcie zaczyna sobie wyobrażać, że to on jest obdarzony władzą. Po prostu Harry wypalił się, zbyt długo żył na krawędzi.
- Wszystko rozumiem, Wes, nie wyłączając aż nazbyt dobrze znanej teorii syndromu sztokholmskiego, za której pomocą moim zdaniem niewiele da się wyjaśnić, przynajmniej w odniesieniu do Harry'ego. Dobrze znałeś jego zimny racjonalizm. Ten doktor Gerhardt Kroeger, tak się bowiem nazywa, był w jakiś sposób ważny dla mojego brata, bez względu na to, czy był grzesznikiem, czy świętym. Wie, co się stało z Harrym, może nawet w jakiś sposób zdobył tę listę nazwisk. Może nawet ten Kroeger jest po naszej stronie i sam mu ją przekazał.
- Przypuszczam, że wszystko jest możliwe i w chwili obecnej nazwiska te wiszą w powietrzu, co grozi narodową katastrofą. Biuro organizuje mnóstwo tajnych operacji, żeby przeświecić wszystkich, którzy znajdują się na liście.
- Sprawy zaszły aż tak daleko?
- Według słów naszego wszędobylskiego sekretarza stanu, który niepodzielnie włada uwagą prezydenta, jeżeli ta administracja "zdola wykorzenić nazistowskie wpływy w tym kraju, naród będzie jej wdzięczny na wieki". Po prostu "do diabła z torpedami, całą parą naprzód".
- Mój Boże, przerażające.
- Zgadza się, ale również rozumiem, dlaczego tak się dzieje. Harry Latham był uważany za najlepszego, najbardziej doświadczonego tajnego agenta w CIA. Nielatwo jest zlekceważyć jego ustalenia.
- Nie "był" - poprawił Drew. - Jest, Wes. Harry żyje, musi pozostać przy życiu, dopóki nie namierzę tego Gerhardta Kroegera.
- Jeżeli żyje, powinien porozumieć się z Agencją, cholerny durniu.
- Nie może, ponieważ jak ci już powiedziałem, wie, że Langley zostało zinfiltrowane aż do poziomu komputerów AAZero, a już bardziej nie można się zbliżyć do dyrektora Talbota.
- Przekazałem tę informację Knoxowi. Nie może w nią uwierzyć.
- Lepiej niech wierzy, wiadomość jest sprawdzona.
- Pracuję nad tym, aby go przekonać - oznajmił Sorenson. - Ale twój samotny lot nie ma szans, młody człowieku. Jeżeli go zrealizujesz, staniesz się trefnym agentem, któremu nikt nie będzie ufał.

- Mój samotny lot ma ograniczony zasięg, ponieważ muszę mieć dojscie do Langley.
- Nie przeze mnie. Nie będę narażał Operacji Konsularnych, próbując obejść Agencję. W tym mieście jest już aż nadto takiego piractwa, a poza tym podziwiam i szanuję Knoxa Talbota. Nie będę brał w tym udziału.
- Wiedziałem, że tak pan powie, a więc znalazłem kogoś innego. Pamięta pan Witkowskiego, pułkownika Stanleya Witkowskiego?
- Oczywiście, G-2, Berlin. Spotkałem go parę razy. Bystry człowiek... rzeczywiście, został oddelegowany do ambasady. - Szef ochrony ambasady. Posiada wszystkie pełnomocnictwa, które powinny zadowolić dyrektora CIA. Harry pracował z Witkowskim w Berlinie i pułkownik jest naturalnym pośrednikiem, ponieważ mój brat mu ufał... do diabła, musiał ufać, informacje z G-2, które otrzymywał od pułkownika pozwoliły mu utrzymać placówkę i być może zachować życie. Stanley wymyślił sposób dotarcia do Talbota jakimś poufnym kanałem i poprosił go, aby zebrał pełną informację o tym Kroegerze.
- To ma sens, Witkowski również. Co chcesz, żebym zrobił? - Dokładnie nic. Nie możemy ryzykować żadnych krzyżowych poszukiwań, które mogłyby zostać odkryte przez wtyczki neonazistów. Jednak byłbym wdzięczny, gdyby był pan w pogotowiu, na wypadek gdybym potrzebował jakiejś rady.
- Nie jestem pewien, czy będę mógł coś pomóc. To było dawno. - Przyjmę jak ewangelię nawet to, co ledwo pan sobie przypomina, panie dyrektorze... A więc zaczynamy. Harry Latham żyje, czuje się dobrze i wyrusza na poszukiwanie doktora - świętego, grzesznika albo jednego i drugiego. Będziemy w kontakcie. Głos w słuchawce ucichł, ale oszołomiony Wesley Sorenson trzymał ją ciągle w ręku. Zdawał sobie sprawę, że działania młodszego Lathama stanowią groźne naruszenie regulaminu i powinien zdecydowanie ich zabronić. Wiedział, że powinien zadzwonić do Knoxa Talbota i wyjaśnić całą sprawę, robiąc jednocześnie wszystko co możliwe, aby wytłumaczyć działania swojego człowieka i próbować go ochronić. Nie był jednak w stanie zmusić się do tego. Drew miał rację. Oficer operacyjny Sorenson nie raz przekraczał swoje pełnomocnictwa, mając świadomość, że jego decyzje zostałyby zablokowane, chociaż podjęte przez niego kroki były jedynymi możliwymi. Nie tylko wiedział o tym, ale wierzył w to z całej duszy. Słuchając Drew Lathama, miał wrażenie, że słyszy samego siebie sprzed lat. Wolno odłożył słuchawkę i jego usta poruszyły się w bezgłośnej modlitwie. JeanPierre i Giselle Villier wyszli z limuzyny przed hotelem "L'Hermitage" w Monte Carlo, dokąd przylecieli prywatnym odrzutowcem. Znakomity aktor podjął tę podróż, aby jak stwierdziła prasa, odpocząć nieco po sześciu pracowitych miesiącach występów w Koriolanie, zakończonych tak tragicznym wydarzeniem. Była to jedyna informacja, jaką otrzymały media z podkreśleniem, że nie mogą liczyć na dalsze oświadczenia ani tym bardziej na wywiady. Wiadomo było jedynie, że po kilku dniach przyjemnych rozrywek w Casino de Paris, Villierowie odlecą na którąś z wysp na Morzu Śródziemnym, być może, aby spotkać się tam z rodzicami JeanPierre'a. Prasa nie wiedziała jednak, że prywatny samolot przez całą drogę z Paryża eskortowały dwa myśliwce odrzutowe Mirage. Poza tym jeden z dwóch portierów, zastępca kierownika recepcji, a także wiele innych osób z obsługi hotelu, byli pracownikami Deuxieme zatwierdzonymi przez Bain de Merę, instytucję stanowiącą dyplomatyczną misję łącznikową z władzami Monako. Za każdym razem gdy państwo Villier opuszczali hotel, aby przejechać do położonego trzy przecznice dalej kasyna, przez cały czas ich luksusowy opancerzony pojazd otaczali uzbrojeni mężczyźni w dobrze skrojonych, kosztownych garniturach. Tam ich obowiązki przejmowali zmiennicy. Po przyjeździe Villierów wizytę w ich apartamencie złożył dyrektor Deuxieme Bureau, Claude Moreau.
- Jak więc widzicie, przyjaciele, wszystko jest zabezpieczone, łącznie z dachami, na których mamy naszych snajperów, a poniżej, z samochodów, prowadzona jest obserwacja wszystkich okien. Nie macie się czego obawiać.
- Nie jesteśmy pańskimi "przyjaciółmi", monsieur - oznajmiła chłodno Giselle Villier. - A jeżeli chodzi o te środki ostrożności, to jeden strzał zniszczy ten kamuflaż.
- Pod warunkiem, że strzał padnie, madame, a nie dopuścimy do tego.

- A co z samym kasynem? W jaki sposób jest pan w stanie kontrolować ludzi, którzy w nim będą? Przecież mogą mnie rozpoznać? - spytał aktor.

- W gruncie rzeczy, goście kasyna są pewnym, choć marginalnym elementem osłony. Wiemy, w co lubi pan grać, i przy każdym ze stołów rozmieścimy ludzi, mężczyzn i kobiety, którzy będą za państwem podążali, otaczali was i osłaniali własnymi ciałami. Żaden zabójca, a zwłaszcza Blitztrager, nie zdecyduje się na otwarcie ognia, dopóki nie zapewni sobie czystego pola ostrzału. Tacy zabójcy nie mogą sobie pozwolić na błąd.

- A założmy, że zamachowcem jest ktoś przy stole? - przerwała mu Giselle. - W jaki sposób ochroni pan mojego męża? - Następne celne pytanie, którego oczekiwałem od pani - odparł Moreau. - I ufam, że moja odpowiedź zadowoli panią. Przy każdym stole zauważą państwo mężczyznę i kobietę spacerujących naokoło i zatrzymujących się przy każdym z graczy, ciekawscy gapie, którzy nie mogą się zdecydować, czy zacząć grać. W rzeczywistości jednak będą mieli w dłoniach wykrywacze metalu, które zasygnalizują obecność broni najmniejszego nawet kalibru. - Jesteście dokładni - przyznała Giselle.

- Owszem, obiecałem to państwu - przytaknął Moreau. Proszę pamiętać, że wystarczy mi tylko jeden Blitztrager. Muszę wziąć go żywcem. Jeżeli po nagłośnieniu całej tej sprawy nic się nie zdarzy tutaj, w Monako, będziecie państwo mogli polecieć do rodziców pana Villiera.

- Na tę mityczną wyspę?

- Ależ nie, jest całkowicie realna. Mają cudowne wakacje w majątku na Korsyce.

- W takim razie, zbierajmy się - oznajmił JeanPierre. Mam nadzieję, że wszystko odbędzie się tutaj. Nigdy dotąd nie doceniałem rozkoszy bycia wolnym. Zdarzyło się, ale nie w taki sposób, jak przewidywał Claude Moreau.

* * *

ROZDZIAŁ 11

Muzyka dobiegająca z salonu brzmiała coraz ciszej, w miarę jak oddalano się od marmurowego wejścia do kasyna. Nietrudno było sobie wyobrazić cudowne lata początku wieku, kiedy pod lśniące schody zajeżdżały wspaniałe powozy, a później ogromne samochody, i wychodzili z nich wspaniałe ubrani przedstawiciele rodzin królewskich i największych fortun Europy. Czasy się zmieniły, klientela z całą pewnością nie była już tak wyrafinowana jak wówczas, ale blichtr minionych lat nadal przyciągał współczesnych bogaczy. JeanPierre i Giselle szli wśród licznych stołów w stronę ekskluzywnej Sali Bakarata - by do niej wejść, trzeba było zapłacić pięćdziesiąt tysięcy franków, W przypadku znakomitego aktora i jego żony odstępiono od wpisowego. W miarę jak posuwali się coraz dalej, głowy zaczęły się odwracać w ich stronę, a ponad panujący w sali szum głosów coraz częściej wybijały się okrzyki: C'est lui! i coraz więcej gości zaczynało rozpoznawać Villiera. Aktor uśmiechał się i dziękował skinieniem głowy, ale w jego gestach widoczna była skromność, świadcząca o potrzebie zachowania prywatności. JeanPierre'a i jego żonę bez przerwy otaczały dobrze ubrane pary, tworząc barierę, zza której jedynie od czasu do czasu można było zobaczyć któreś z nich. Teoria Moreau, że żaden zabójca w takiej sytuacji nie będzie strzelał, na razie się sprawdzała. Gdy tylko Villierowie znaleźli się w wielkiej, zamkniętej sali zastawionej srebrnymi słupkami połączonymi grubymi aksamitnymi sznurami wokół stołów, zamówili szampana i zasiedli do gry. Umieszczono przed nimi dwa duże stosy najdroższych żetonów, a controlle podsunął aktorowi rewers do podpisu. W grze szczęście znacznie bardziej sprzyjało Giselle niż JeanPierre'owi, który przy każdym rozdaniu komicznie udawał, że przeżywa tragedię. Towarzyszący im "przyjaciele" powoli, dyskretnie i w milczeniu poruszali - się wokół stołów. Jedna dłoń każdego z nich zawsze była niewidoczna, schowana. Metoda Moreau. Ręczne wykrywacze metalu wyszukiwały ukrytą broń. Najwidoczniej nie było żadnej i gra trwała dalej, do chwili gdy aktor zawołał, rozbawiony:

- C'estfini pour moi! Une autre table, s'ii vous plait! Podeszli do następnego stolika. Wokół rozbrzmiewał perlisty śmiech. Napelniono wszystkie kieliszki szampanem, w tym również

kieliszki graczy przy stoliku, od którego właśnie odszedł Villier, wszystko na rachunek aktora. Rozpoczęli nową kolejkę rozdań i szczęście zaczęło uśmiechać się tym razem do JeanPierre'a. Kiedy wszyscy bawili się doskonale, na co niebagatelny wpływ miał zmrożony Cristal Brut, kilku członków eskorty usiadło na miejscach rezygnujących graczy. Aktor wyciągnął double neuf i dając upust swej emocjonalnej naturze, krzyknął z zadowoleniem. Nagle przy stole, który opuścili, rozległ się długi histeryczny krzyk bólu. Wszystkie głowy odwróciły się w tę stronę. W sali powstało zamieszanie, a siedzący przy stoliku JeanPierre'a podnieśli się, spoglądając na mężczyznę, który runął z krzesła na podłogę, zrywając aksamitny sznur. A potem rozległ się następny, jeszcze głośniejszy wrzask. Był to ostrzegawczy krzyk elegancko ubranej damy, rzucającej się przez stół na inną kobietę siedzącą tuż przy aktorze - morderczynię ze szpikulcem do lodu, który zamierzała właśnie wbić w znajdującą się w odległości kilku centymetrów, osłoniętą przed wzrokiem innych klatkę piersiową JeanPierre'a, po stronie serca. Czubek szpikulca tylko skaleczył Villiera, ale pełne pchnięcie na pewno przeszłoby mu serce. Agentka Moreau schwyciła morderczynię za przegub, wykręciła go z całej siły i drugą ręką chwyciwszy ją za gardło, przewróciła na podłogę.

- Nic się panu nie stało, monsieur? - zawołała agentka Deuxieme, spoglądając na aktora znad unieruchomionej napastniczki.

- Niewielkie skaleczenie, mademoiselle... Jak mam pani dziękować?

- JeanPierre...

- Spokojnie, najdroższa, wszystko w porządku - odparł aktor, trzymając się za lewy bok. - Ta odważna kobieta uratowała mi życie! - Czy nie jest pani ranna, młoda damo? - zawołała Giselle, przechylając się nad nogami męża i chwytając agentkę Moreau za ramię.

- Czuję się doskonale, madame Villier. O wiele lepiej od chwili, gdy nazwała mnie pani "młodą damą". Zamierzchłe czasy. Uśmiechnęła się.

- Och, czyż to nie dotyczy nas wszystkich, moja droga?... Muszę zaprowadzić męża do lekarza.

- Moi koledzy zatroszczą się o to, madame, proszę mi wierzyć. Nagle w Sali Bakarata pojawił się Claude Moreau. Na jego twarzy malował się jednocześnie niepokój i tryumf.

- Dokonałiśmy tego, proszę państwa... A właściwie wy tego dokonaliście! Mamy naszego blitztragera.

- Mój mąż został ranny, idioto! - krzyknęła Giselle Villier. - Bardzo mi przykro z tego powodu, madame, ale rana nie jest poważna, a pani mąż oddał nam ogromną przysługę.

- Obiecał mu pan bezpieczeństwo!

- W mojej branży nie zawsze można udzielić pełnych gwarancji. Ale jeżeli mogę wyrazić swoje zdanie, w poważnym stopniu dopełnił misji swojego prawdziwego ojca i dokonał czynu, za który Republika Francuska będzie mu wdzięczna na wieki.

- Slogany!

- Ależ skąd, madame. Bez względu na to, czy pani się z tym zgadza czy nie, naziści wylaniają się z błota, z brudu własnego stworzenia. Każdy odwrócony kamień przybliży nas do chwili, kiedy będziemy mogli rozdeptać kryjące się pod nim żmije. Ale wasza rola dobiegła końca. Bawcie się dobrze na Korsyce. Po wizycie u lekarza udacie się w Nicei do czekającego na was samolotu. Wszystko zostało już opłacone przez Quai d'Orsay. - Dam sobie radę bez waszych pieniędzy, monsieur - oznajmił JeanPierre. - Ale chciałbym wznowić Koriolana.

- Dobry Boże, dlaczego? Odnosił pan już tryumf. Na pewno nie potrzebuje pan tej pracy, więc po co wracać do tak męczących zajęć?

- Ponieważ podobnie jak pan, Moreau, jestem dobry w tym, co robię.

- Powiedzmy sobie szczerze, monsieur: sukces odniesiony jednej nocy nie oznacza, że bitwa dobiegła końca.

Siwowłosy sześćdziesięcioletni senator Lawrence Roote z Kolorado odłożył słuchawkę w swoim waszyngtońskim gabinecie. Był zaniepokojony. Zaniepokojony, oszołomiony i zły. Dlaczego stał się obiektem śledztwa FBI, o którym nic nie wiedział? Z czym się ono wiąże i kto

je zarządził? I znowu dlaczego? Jego zasoby, istotnie poważne, zostały na jego własne polecenie umieszczone na zablokowanym rachunku powierniczym, aby uniknąć choćby cienia podejrzeń ze strony wyborców. Drugie małżeństwo, po tym jak pierwsza żona zginęła tragicznie w katastrofie samolotowej, było bardzo udane i trwałe. Jego dwaj synowie, jeden bankier, drugi dziekan uniwersytetu, byli szanowanymi obywatelami, mimo że sam Roote chwilami uważał ich za nieznośnych. Sam senator służył w Korei z takim oddaniem, że otrzymał Srebrną Gwiazdę, a jego picie sprowadzało się do dwóch czy trzech martini przed obiadem. Co tu było do badania? Konserwatywne poglądy senatora były dobrze znane i często stanowiły obiekt ataków liberalnej prasy, która z uporem wyrwała słowa z kontekstu, starając się zrobić z niego wściekłego proroka skrajnej prawicy. Natomiast koledzy z obu stron izby dobrze znali istotę przekonań senatora i słuchali jego sprzeciwów bez urazy. Po prostu szczerze wierzył, że kiedy rząd robi zbyt wiele dla ludzi, oni sami robią dla siebie za mało. Poza tym, swojego bogactwa nie otrzymał w spadku - pochodził z biednej rodziny. Roote mozolnie wspinał się po śliskiej drabinie do sukcesu, często osuwając się z jej szczebli, pracując na trzech posadach w czasie nauki w nieznanym, prowincjonalnym college'u i Wharton School of Finances, gdzie kilku członków wydziału rekomendowało go "łowcom pracowników" z różnych przedsiębiorstw. Wybrał młodą, przynoszącą zyski firmę, gdzie miał czas i szansę uzyskania kierowniczego stanowiska. Mała firma została przejęta przez większą korporację, którą z kolei wchłonęło konsorcjum, a tam rada dyrektorów szybko poznała się na talentach i odwadze Roote'a. Gdy miał trzydzieści pięć lat, na tabliczce umieszczonej na drzwiach do jego biura znajdował się napis "Dyrektor naczelny", a pięć lat później "Prezes i dyrektor naczelny". Nie skończył jeszcze pięćdziesiątki, a dzięki fuzjom, zakupom, inwestycjom giełdowym stał się multimilionerem. I w tym właśnie momencie, zmęczony pościgiem za wciąż zwiększającymi się zyskami i zaniepokojony tym, ku czemu zmierza kraj, zajął się polityką. Siedząc przy biurku i analizując swoją przeszłość, starał się spokojnie ustalić strefy, w których jego działania mogłyby wywołać wątpliwości etyczne lub moralne. We wczesnych latach kariery, przepracowany i na swój sposób bezbronny, miał kilka romansów. Były jednak dyskretne i wyłącznie z kobietami, którym w równym stopniu zależało na zachowaniu wszystkiego w tajemnicy. Twardy w czasie prowadzenia pertraktacji w interesach, zawsze wykorzystywał, a nawet tworzył sytuacje, które mogły dać mu przewagę, ale nigdy nie podawano w wątpliwość jego uczciwości... Co u diabła wyprawia to FBI? Wszystko zaczęło się zaledwie kilka minut temu, gdy połączyła się z nim sekretarka.

- Słucham?

- Dzwoni pan Roger Brooks z Telluride w stanie Kolorado powiedziała.

- Kto?

- Pan Brooks. Mówi, że chodziliście panowie razem do liceum w Cedaredge.

- Dobry Boże, Brooksie! Nie myślałem o nim od lat. Słyszałem, że ma gdzieś ośrodek narciarski.

- W Telluride jeżdżą na nartach, senatorze.

- Oczywiście. Dziękuję, wszechwiedząca.

- Czy mam go połączyć?

- Jasne... Cześć, Roger, jak się masz?

- Doskonale, Larry. Dawno się nie widzieliśmy.

- Przynajmniej trzydzieści lat...

- No cóż, niezupełnie - poprawił go łagodnie Brooks. Osiem lat temu kierowałem u nas twoją kampanią wyborczą. Chociaż na dobrą sprawę wcale jej nie potrzebowałeś.

- Chryste, przepraszam! Oczywiście, teraz sobie przypominam. Wybacz mi, proszę.

- Nie ma o czym mówić, Larry, jesteś zajęty facetem.

- A co u ciebie?

- Od tej pory wybudowałem cztery dodatkowe trasy, można więc powiedzieć, że zupełnie nieźle daję sobie radę. A letni turyści rozmnażają się szybciej, niż jesteśmy w stanie wytyczać

nowe szlaki. Oczywiście ci ze wschodu dopytują się, dlaczego w lasach nie mamy obsługi pokojowej.

- To dobre, Rog! Wykorzystam to, co mi powiedziałeś, kiedy będę następnym razem prowadził dyskusję z moimi czcigodnymi kolegami z Nowego Jorku. Chcą takiej obsługi dla każdego, kto jest na zasilku społecznym.

- Larry - odezwał się Roger Brooks, innym, poważnym tonem. - Dzwonię do ciebie, chyba dlatego że chodziliśmy razem do szkoły i prowadziłem tę twoją kampanię.

- Nie rozumiem.

- Ja również, ale musiałem do ciebie zadzwonić, mimo że przysiągłem, iż tego nie zrobię. Szczerze mówiąc, nie spodobał mi się ten sukinsyn. Mówił cicho, jakby był moim najlepszym przyjacielem i powierzał mi tajemnice grobu Tutenchamona, powtarzając jednocześnie, że robi to dla twojego dobra.

- Kto?

- Jakiś facet z FBI. Kazałem mu pokazać legitymację i była prawdziwa. Już miałem ochotę wyrzucić go za drzwi, kiedy pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jeżeli dowiem się, co jest grane. Choćby tylko po to, żeby ci o tym powiedzieć.

- I o co chodziło, Rogerze?

- Bzdury i już. Wiesz, jak cię przedstawia część prasy, zupełnie tak samo jak starego Barry'ego Goldwata z Arizony. Maniak nuklearny, który wysadzi nas wszystkich w powietrze, gnębiel uciśnionych i takie różne głupoty.

- Owszem, wiem. Przetrwiał te napaści z honorem i ja też dam sobie z nimi radę. Czego chciał ten człowiek z Biura?

- Chciał wiedzieć, czy kiedykolwiek słyszałem, abyś wyrażał sympatię do, posłuchaj dobrze: "faszystowskich ideologii". Czy może kiedyś mogłeś wyrazić pogląd, że hitlerowskie Niemcy miały swoje racje, prowadząc taką a nie inną politykę... Mówię ci, Larry, czułem, że się gotuję, ale zachowałem spokój i powiedziałem mu, że jest w zupełnym błędzie. Przypomniałem mu również fakt, że zostałeś odznaczony w Korei, i wiesz, co mi ten skurwysyn odpowiedział? - Nie, nie wiem. Co takiego?

- Powiedział, i to z takim ironicznym uśmieszkiem: "Ale to była wojna z komunistami, prawda?" Cholera, Larry, próbował ci coś przylepić, nie mając zupełnie żadnych dowodów!

- Wywnioskowałeś, że jego zdaniem komuniści byli dla nazistowskich Niemiec gorsi od diabła?

- Do cholery, tak. A ten dzieciak był za młody, żeby wiedzieć, gdzie w ogóle znajduje się Korea. Był cholernie uprzejmy... Jezu, ugrzeczniony, i wyrażał się jak anioł. Sama niewinność i gładkie słówka.

- Wykorzystują swoich najlepszych ludzi - stwierdził Roote cicho, wbijając wzrok w blat biurka. - Jak skończyła się wasza rozmowa?

- Och, idealnie, muszę przyznać. Stwierdził, że jego poufne informacje najwyraźniej były mylne, bardzo mylne i śledztwo natychmiast zostanie przerwane.

- Co oznacza, że właśnie się zaczęło. - Lawrence Roote wziął ołówek i złamał go w lewej dłoni.

- Dzięki, Brooksie. Jestem ci bardziej wdzięczny, niż mogę to wyrazić.

- Co się dzieje, Lany?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Kiedy się dowiem, dam ci znać. Franklyn Wagner, prezenter dziennika MBC, cieszącego się w kraju największą oglądalnością programu informacyjnego, siedział w garderobie, wprowadzając poprawki do tekstu, który miał odczytać za czterdzieści pięć minut przed kamerami. Usłyszał stukanie do drzwi i zawołał obojętnie:

- Wejść.

- Cześć, panie Szczery - powiedział Emmanuel Chernov, dyrektor sieci d/s produkcji dziennika, wchodząc do środka i zamykając za sobą drzwi. Podszedł do krzesła i usiadł na nim. - Znowu masz problemy ze słowami? Nie lubię się powtarzać, ale chyba mamy za mało czasu, aby zmienić teleprompter.

- A ja nie lubię powtarzać, że nie będziesz musiał go zmieniać. Nic z tego, co teraz robię, nie byłoby konieczne, gdybyś zatrudniał ludzi, którzy potrafiliby bez błędu napisać słowo "dziennikarz", albo nawet znali jego podstawowe znaczenia.
- Wy, dziennikarze prasowi, albo może raczej powinienem powiedzieć, uciekinierzy z prasy, których teraz stać na domy z basenami w Hamptons, zawsze narzekacie.
- Byłem raz w Hamptons, Manny - odparł przystojny siwowłosy Wagner, nie przestając poprawiać tekstu. - I mogę ci zaręczyć, że już się tam nie pojawię. Chcesz posłuchać dlaczego?
- Jasne.
- Plaże pełne są ludzi obojga płci, albo bardzo grubych, albo bardzo chudych, spacerujących po piasku z korektami szczotkowymi w ręku, aby udowodnić, że są pisarzami. A wieczorami zbierają się w kawiarniach przy świecach, aby wychwalać pod niebiosa swoje wypociny i dopieszczyć swoje ego kosztem wydawniczego motłochu. - Trochę ostro powiedziane, Frank.
- Ale oddaje istotę sprawy. Wychowałem się na farmie w Vancouver; jeżeli wiatry od Pacyfiku naniósł tam piasku, tego roku nie było zbiorów.
- Rodzaj przenośni, prawda?
- Być może, ale nie cierpię pisarzy, w telewizji czy gdzie indziej, którzy sypią piasek między słowa... No, skończyłem. Jeżeli nie będzie żadnych ekstranowości, będziemy mieli w miarę porządnie przygotowany tekst.
- Nikt nie może ci zarzucić, że jesteś skromny.
- I wcale takiego nie udaję. A skoro mówimy o skromności, na którą masz wyłączność, powiedz mi, dlaczego tu jesteś, Manny? Sądziłem, że przekazałeś wszelkie krytyczne uwagi i pretensje dyżurnemu kierownikowi produkcji?
- Sprawa dotyczy czegoś innego, Frank - rzekł Chernov. Jego przysłonięte ciężkimi powiekami oczy spoglądały smutno. Miałem dzisiaj po południu gościa, faceta z FBI. Bóg mi świadkiem, nie mogłem go zlekceważyć, prawda?
- Chyba tak. Czego chciał?
- Mam wrażenie, że twojej głowy.
- Słucham?
- Jesteś Kanadyjczykiem, prawda?
- Owszem, i jestem z tego dumny.
- Gdy studiowałeś na uniwersytecie... uniwersytecie...
- Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej.
- Tak, właśnie na nim. Czy protestowałeś przeciwko wojnie w Wietnamie?
- Owszem. Sprzeciwiałem się jej w zdecydowany sposób.
- Odmówiłeś służby wojskowej?
- Nie mieliśmy obowiązku służenia, Manny.
- Ale nie poszedłeś do wojska.
- Nie proszono mnie o to, a gdyby tak zrobiono, odmówiłbym. - Byłeś członkiem Ruchu na Rzecz Powszechnego Pokoju, mam rację?
- Tak, byłem. Większość z nas sympatyzowała z nim, choć nie wszyscy byli jego członkami. Wiedziałeś, że częściowo finansowały go Niemcy?
- Niemiecka młodzież, organizacje studenckie, z całą pewnością nie instytucje rządowe. Bonn nie ma prawa uczestniczenia w konfliktach zbrojnych ani nawet podejmowania dyskusji parlamentarnych na ten temat. Ich akt kapitulacji wyraźnie formułował wymóg neutralności. Dobry Boże, czy mimo swojej funkcji o niczym nie masz pojęcia?
- Wiem, że wielu Niemców należało do Ruchu na Rzecz Powszechnego Pokoju, a ty byłeś jego dość znaczącym członkiem. "Powszechny Pokój" może jednak mieć jeszcze inne znaczenie, takie na przykład jak wysunięta przez Hitlera koncepcja "pokoju przez powszechną potęgę i moralną siłę".
- Czy bawisz się w paranoicznego Hebrajczyka, Manny? Jeżeli tak, to może powinienem ci przypomnieć, że moja teściowa jest Żydówką, co jak sam dobrze wiesz, ma większe znaczenie, niż gdyby Żydem był jej ojciec. W konsekwencji moje dzieci trudno uznać za Aryjczyków.

Ten niezaprzeczalny fakt dyskwalifikuje mnie jako ewentualnego członka Wehrmachtu. Poza tym wiem na pewno, że niemiecki rząd nie miał nic wspólnego z RRPP.

- Mimo wszystko niemieckie wpływy były w nim bardzo wyraźnie widoczne.

- Poczucie winy, Manny, powodem tego było głębokie poczucie winy. I co u diabła chcesz przez to powiedzieć?

- Ten człowiek z FBI chciał wiedzieć, czy masz jakieś związki z nowymi politycznymi ruchami w Niemczech. W końcu Wagner to niemieckie nazwisko.

- Nie wierzę własnym uszom! Clarence "Clarr" Ogilvie, emerytowany prezes rady nadzorczej Global Electronics, skręcił w Greenwich w stanie Connecticut swoim zrekonstruowanym duesenbergiem z Merritt Parkway na zjazd położony najbliżej jego domu - albo posiadłości, jak sarkastycznie nazywała to miejsce prasa. W latach zamożności rodziny, przed krachem z 1929 roku, trzech akrów ziemi z basenem o zwykłych wymiarach i bez kortu tenisowego lub stajni nie traktowano właściwie jako posiadłości. Ponieważ jednak "wyrósł z pieniędzy", stał się często obiektem krytyki, zupełnie jakby przyjsie na świat w bogatej rodzinie było jego prywatnym wyborem, a późniejsze osiągnięcia nie miały znaczenia i stanowiły jedynie wynik kosztownej kampanii reklamowej, na którą najwyraźniej było go stać. Zapominano, albo mówiąc brutalniej, świadomie nie zwracano uwagi na lata, kiedy pracował dwanaście do piętnastu godzin dziennie, przekształcając przynoszące minimalne dochody rodzinne przedsiębiorstwo w jedną z najbardziej efektywnych firm elektronicznych w całym kraju. Po ukończeniu studiów pod koniec lat czterdziestych, stał się zagorzałym rzecznikiem nowych technologii i kiedy przejął rodzinną firmę, natychmiast zorientował się, że ma ona przynajmniej dziesięć lat opóźnienia. Zwolnił praktycznie biorąc wszystkich członków kierownictwa, zapewniając im emerytury miał nadzieję, że będzie go na nie stać - i zatrudnił podobnie jak on myślących fanatyków techniki komputerowej. Dobierał te młode tygrysy - i tygrysice - ze względu na ich talenty, a nie płeć. Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dokonane przez jego zespoły długowłosych, ubranych w dżinsy i palących trawkę naukowców wynalazki techniczne zwróciły wreszcie uwagę Pentagonu - z hukiem i trzaskiem. Cierpliwość wyprasowanych i wykrochmalonych "mundurków" była wystawiana na poważną próbę przez pogardzane, zaniedbane "brody" i "minispódniczki". Ci barbarzyńcy niedbale kładli nogi na politurowanych biurkach albo obgryzali paznokcie, cierpliwie objaśniając nowe osiągnięcia techniki. Ale oferowane przez nich produkty były niezwykle kuszące, a potencjał militarny narodu zdecydowanie wzrósł. A rodzinny interes stał się ogólnościowym. To wszystko było wczoraj, pomyślał Clarr Ogilvie, jadąc bocznymi drogami, prowadzącymi do jego domu. A dzisiaj nastąpił dzień, którego nie przewidziałby nawet w najkoszmarniejszym śnie. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie był najbardziej popularnym członkiem tak zwanego kompleksu przemysłowo-wojskowego, ale ten incydent przekraczał granice wyobraźni. Krótko mówiąc, został uznany za potencjalnego wroga swojego kraju, ukrytego fanatyka popierającego rozwijający się w Niemczech ruch faszystowski - nazistowski! Do Nowego Jorku pojechał na spotkanie z Johnem Saxem, adwokatem i dobrym przyjacielem, który poinformował go przez telefon, że zaistniała kryzysowa sytuacja. "Czy dostarczyłeś niemieckiej firmie o nazwie Oberfeld elektroniczne wyposażenie, które między innymi umożliwi połączenia satelitarne?"

- Tak, oczywiście. Sprawdzone przez F.T.C., chłopców od eksportu i Departament Stanu. Nie był wymagany certyfikat ostatecznego użytkownika.

- Czy wiesz, czym jest Oberfeld, Clarr?

- Wiem tylko to, że w terminie płacili rachunki. Już ci powiedziałem, że ich sprawdzono.

- Nigdy nie kontrolowałeś, że tak powiem, bazy przemysłowej Oberfeldu?

- Wiedzieliśmy, że chcą rozwijać swoją elektronikę. Wszystko pozostałe leżało w gestii kontroli eksportu w Waszyngtonie. - Oczywiście, to jest punkt dla nas.

- O czym ty mówisz, John?

- To nasi, Clarr, nowe pokolenie nazistów.

- Skąd u diabła mielibyśmy o tym wiedzieć, skoro nawet Waszyngton nie miał pojęcia?

- Na tym będziemy opierali naszą obronę.
- Obronę przeciwko czemu?
- Niektórzy mogą twierdzić, że wiedziałeś o tym, o czym nie wiedział Waszyngton. Że z własnej woli i w pełni świadomie dostarczyłeś bandzie nazistów najnowszy sprzęt łączności. - Przecież to absurd!
- Ale równie dobrze może być oskarżeniem, przeciwko któremu będziemy musieli się bronić.
- Na litość boską, dlaczego?
- Ponieważ jesteś na liście, Clarr, tak mi oznajmiono. I nie należysz do szczególnie uwielbianych osób. Osobiście, radziłbym ci się pozbyć tego twojego duesenberga.
- Co? Przecież to zabytek.
- Ale niemiecki.
- Bzdura. Duesenbergi były amerykańskimi samochodami, produkowano je przede wszystkim w Wirginii.
- No, ale nazwa, sam rozumiesz.
- Nie, nic z tego nie rozumiem, do cholery!" Clarence "Clarr" Ogilvie, wjechał na podjazd, zastanawiając się, co właściwie ma powiedzieć żonie. Starszy mężczyzna z ogoloną głową i w grubych okularach w szylkretowej oprawie powiększających jego oczy stał w odległości dziesięciu metrów od kolejki pasażerów potwierdzających swoje rezerwacje na rejs 7000 Lufthansy do Stuttgartu. Razem z biletem każdy podawał paszport i jedyna przerwa w odprawie następowała, w momencie gdy urzędnicy sprawdzali paszporty z informacją pojawiającą się na niewidocznym dla pasażerów ekranie komputera umieszczonego z lewej strony biurka. Łysy mężczyzna już dokonał formalności i miał w kieszeni swoją kartę pokładową. Obserwował z niepokojem, jak siwowłosa kobieta podeszła do urzędnika i podała mu dokumenty. Po chwili odetchnął z ulgą - żona odeszła od stanowiska. Spotkali się trzy minuty później przy kiosku z gazetami. Oglądali wystawione czasopisma, ale odzywali się do siebie jedynie szeptem.
- Już po wszystkim - rzekł mężczyzna po niemiecku. - Za dwadzieścia minut wsiadamy do samolotu. Pójdiesz na samym początku, a ja na końcu.
- Czy nie przesadzasz z ostrożnością, Rudi? Przecież gdyby ktokolwiek choć trochę się nami zainteresował, nasze paszporty są bez zarzutu, choć wystawione na kogoś innego.
- Wolę w tych sprawach nadmierną ostrożność od bez troski. Rano zauważą moją nieobecność w laboratorium... mogli już ją spostrzec, jeżeli któryś z kolegów usiłował się ze mną skontaktować. Zbliżamy się w oszalamiającym tempie do udoskonalenia światłowodów, dzięki czemu będziemy mogli przechwytywać międzynarodowe połączenia satelitarne bez względu na ich częstotliwość nadawania. - Wiesz, że to są dla mnie Opowieści Hoffmana.
- Nie żadne bajki, moja droga, ale solidne, udokumentowane badania naukowe. Pracowaliśmy na zmianę, dwadzieścia cztery godziny na dobę, i w każdej chwili któryś ze współpracowników może zechcieć sprawdzić postępy prac na naszym komputerze. - Więc niech sobie sprawdza.
- Tępa jesteś! Mam ze sobą dyskietkę, a poza tym wprowadziłem wirusa do systemu.
- Wiesz, twoja łysina jest o wiele bardziej interesująca, niż grzywa białych włosów, Rudi. I jeżeli kiedykolwiek dojdzie do tego, że będę miała tyle siwych włosów, wybaczę ci, jeżeli znajdziesz sobie kochankę.
- Jesteś zupełnie niemożliwa, kochanie.
- Ach, w takim razie po co zajmujemy się tymi bzdurami.
- Powtarzałem ci już tyle razy. Bruderschaft, liczy się tylko Bruderschaft.
- Polityka tak mnie nudzi.
- Zobaczymy się w Stuttgarcie. A przy okazji, kupiłem ci ten naszyjnik z brylantami, który widziałeś u Tiffany'ego.
- Jesteś cudowny! Każda kobieta w Monachium będzie mi zazdrościła!
- W Vaclabruck, moja droga. Monachium tylko w weekendy.

- Co za nuda! Arnold Argossy, radiowy i telewizyjny "impresario" historycznego, ultrakonserwatywnego skrzydła amerykańskiej prawicy, wcisnął swoje gigantyczne kształty w zbyt ciasny fotel przy konsolce. Nałożył słuchawki i spojrzał na przyciemnioną szybę. Za nią znajdował się producent i technicy, dzięki którym jego wysoki, zgrzytliwy głos uwielbiany przez wyborców był słyszalny w całym kraju w rozmaitych okienkach czasowych. Tylko niektóre z nich przypadły na okres największej oglądalności, ponieważ oszalamiająca niegdyś ilość słuchaczy zaczęła się zmniejszać, zrażona być może jego wyjątkowo napastliwymi atakami na wszystko, co uznał za liberalne, jednocześnie bez przedstawiania żadnych konkretnych alternatyw. Stopniowy spadek notowań nie miał żadnego wpływu na stan ducha Argossy'ego. W dalszym ciągu karmił swoją okrojona już publiczność nasilającymi się napaściami na "liberałokomuchów", "feminofaszystki", na "morderców nie narodzonych", "bezdolnych naciągaczy" i innych temu podobnych, co w rezultacie mogło zniechęcić nawet liczną "cierpliwą, spokojną większość", która zaczęła podawać w wątpliwość te opinie. Zapaliło się czerwone światelko. EMISJA.

- Witaj Ameryko i wy szczyry synowie i córki gigantów, którzy stworzyli naród na ziemi zamieszkałej przez dzikusów i uczynili ją rajem. Tu wasz A.A. Dziś po południu chciałbym usłyszeć wasze wypowiedzi! Zdanie uczciwych, ciężko pracujących obywateli tego wielkiego kraju, zbrukanego i zhańbionego przez ludzi opętanych seksem, walczących z religią, niszczących moralność. Innymi słowy - głupich pochlebców, którzy rządzą, nabijając sobie jednocześnie kieszenie waszymi pieniędzmi. Posłuchajcie najnowszej wiadomości, przyjaciele! W Kongresie zgłoszono ustawę, dzięki której z waszych podatków można będzie opłacać obowiązkowe lekcje wychowania seksualnego, przeznaczone specjalnie dla młodzieży z miast. Możecie w to uwierzyć? Nasze pieniądze przepuszczone na coś takiego, nasze dolary wyrzucone na zakup przynajmniej miliona kondonów dziennie, aby rozbestwione potomstwo naszych leniwych i głupich współobywateli mogło cudzołożyć, kiedy tylko im... nie, nie powiem tego, w końcu to program rodzinny. Głosimy moralność naszego Boga, nie poddajemy się niskim, prymitywnym podnietom Lucyfera, księcia piekieł... Jakże może być rozwiązanie, by położyć kres tej szaleńczej rozpuście? Odpowiedź jest tak oczywista, że słyszę, jak ją wykrzykujecie. Sterylizacja, moi przyjaciele! Dobroczynne uniemożliwienie prokreacji spowodowanej chucią, ponieważ nie jest to przejaw miłości małżeńskiej. Chuć jest zwierzęcym instynktem i żadna tak zwana edukacja seksualna nie może jej uleczyć, a jedynie ją spotęguje! A teraz i wy, i ja wiemy o czym mowa, prawda? Ach tak? Już słyszę chórek liberałów wrzeszczących o rasizmie! Ale pytam was, przyjaciele, czy można nazwać rasizmem propagowanie programu, który bez najmniejszych wątpliwości przyniesie dobrodziejstwo tym właśnie ludziom, których upadła ich własna rozważność? Nie przypuszczam. A co wy myślicie?

- Dobra! - zawołał pierwszy słuchacz. - Nie mam nic do nikogo, ale myślę, że gdybyśmy z pomocy społecznej zapłacili każdemu czarnemu po dwadzieścia pięć tysięcy, żeby sobie wrócił do Afryki i założył własny szczepek, czarnuchy złapałoby to obydwoma rękami. Nawet sobie policzyłem. Byłoby taniej, no nie?

- Nie możemy propagować emigracji za pośrednictwem przekupstwa, proszę pana. Byłaby to działalność niezgodna z konstytucją. Ale powiem tylko tyle - dobre! Następny, proszę.

- Dzwonię z miasta Nowy Jork, dolna część West Side. Muszę ci powiedzieć, A.A., że kubańskie żarcie śmierdzi mi na cały dom i nie rozumiem napisów na sklepach. Czy nie moglibyśmy pozbyć się tych od Castro i wysłać ich tam, skąd przyjechali?

- Nie możemy również popierać etnicznych niechęci, proszę pana, ale pomijając niefortunny epitet, jakim zastąpił pan nazwę narodowości, muszę przyznać, że ma pan rację. Niech pan napisze do swoich kongresmanów i senatorów i zapyta, dlaczego nie wysłali grupy likwidacyjnej, aby usunęła tego komunistycznego dyktatora. Co jeszcze?

- Dobra jest, A.A.! Senatorzy i kongresmani powinni nas słuchać, prawda?

- Z całą pewnością, przyjacielu.

- Wspaniale!... A kim oni są?

- Tą informacją dysponuje pański urząd pocztowy. Proszę o następnego słuchacza Argonauty Argossy'ego.
- Dobry wieczór, mein Herr. Dzwonię do pana z Monachium w Niemczech, gdzie właśnie mamy wieczór. Słuchamy pana za pośrednictwem stacji Religia Świata i dziękujemy Bogu za to, że dał nam pana. Jak również dziękujemy panu za wszystko, co dla nas pan uczynił!
- Co to takiego, u diabła? - zapytał Argossy, zasłaniając mikrofon i spoglądając na przyciemnioną szybę.
- SRS jest dla nas cholernie dobrym rynkiem, Arnie - usłyszał w słuchawkach głos producenta. - Na krótkich falach docieramy aż do Europy. Bądź miły i słuchaj tego faceta, on płaci i to sporo. - A więc jak wyglądają sprawy w Monachium, przyjacielu?
- O wiele lepiej, ponieważ słyszymy pański głos, Herr Argossy. - Bardzo mi miło. Jakiś rok temu byłem w waszym pięknym mieście i jadłem tam najlepszą w życiu kwaszoną kapustę z kielbasą. Dawali ją z tłuczonymi kartoflami i musztardą. Wspaniale. - Przede wszystkim pan jest wspaniały, mein Herr Jest pan na pewno jednym z nas, jednym z ludzi Nowych Niemiec.
- Obawiam się, że nie wiem, o czym pan...
- Natürlich, wie pan! Zbudujemy nową Rzeszę, Czwartą Rzeszę i zostanie pan naszym ministrem propagandy. Będzie pan o wiele skuteczniejszy niż Goebbels. Jest pan o wiele bardziej przekonujący! - Co jest, do cholery?! - ryknął Arnold Argossy.
- Wyłączyć mikrofony i zatrzymać taśmę! - wrzasnął producent. - Chryste, ile stacji puszczało to na żywo?
- Dwieście dwanaście - odparł obojętnie technik.
- Kurwa mać - westchnął producent, padając na fotel.

"WASHINGTON POST" Dyskretne dochodzenia niepokoją Kapitol Agenci FBI krążą zadając pytania WASZYNGTON D.C., PIĄTEK. "Washington Post" dowiedział się, że agenci Federalnego Biura Śledczego krążą po całym kraju zasięgając informacji o wybitnych przedstawicielach Senatu i Izby Reprezentantów, a także członkach administracji. Sens tych dochodzeń nie jest jasny, a Sąd Najwyższy nie zarządził ani nawet nie potwierdził prowadzenia takiego śledztwa. Pogłoski jednak krążą podtrzymywane przez rozgniewanego senatora Lawrence'a Roote'a z Kolorado. Rzecznik prasowy Roote'a poinformował, że poprosił on o natychmiastowe spotkanie z prokuratorem generalnym. Jednakże po tej konferencji Roote również odmówił skomentowania całej sprawy, oświadczając jedynie, że nastąpiło nieporozumienie. Wiadomość, że inne "nieporozumienia" tego typu mają miejsce również poza stolicą, nadeszła ubiegłej nocy, kiedy popularny i cieszący się ogólnym szacunkiem prenter wieczornego dziennika MBC, Franklyn Wagner, wykorzystał ostatnie dwie minuty na wypowiedź, którą nazwał "osobistym komentarzem". W jego zazwyczaj spokojnym głosie wyraźnie słyhać było gorycz, jeżeli nie powstrzymaną wściekłość. Zaatakował kogoś, kogo określił jako: "hieny paranoicznej czujności, które aby szkalować tych, którzy narazili się na ich niezadowolenie, posługują się ich dawnymi, moralnie uzasadnionymi poglądami politycznymi, sięgając nawet do nazwisk i pochodzenia." Przypomniał "masową histerię z czasów McCarthy'ego, kiedy przyzwoici ludzie byli niszczeni pomówieniami i bezpodstawnymi oskarżeniami", kończąc swoje wystąpienie stwierdzeniem, że jest "wdzięcznym gościem tego wspaniałego kraju" - Wagner jest Kanadyjczykiem - ale wsiądzie do najbliższego samolotu do Toronto, jeżeli on i jego rodzina "będzie stawiana pod pręgierzem". Bombardowany następnie pytaniami, odmówił komentarza, stwierdzając jednocześnie, że podżegacze wiedzą, o kim mówi, i że "to wystarczy". MBC stwierdziła, że jej centrale telefoniczne były przeciążone: dzwoniło podobno wiele tysięcy osób, z których ponad osiemdziesiąt procent popierało Wagnera. Jedyna poszlaka, jaką był w stanie ustalić nasz reporter, zdaje się wskazywać, iż dochodzenia są w jakiś sposób związane z aktualnymi wydarzeniami w Niemczech, gdzie do struktur rządowych Bonn zdołali przeniknąć reprezentanci skrajnej prawicy.

W ciągle nie wykończonym kompleksie medycznym głęboko w lasach Vaclabruck Gerhardt Kroeger chodził gniewnie tam i z powrotem przed siedzącą na krześle swoją żoną Gretą.

- Wiemy tylko, że żyje - mówił z podnieceniem. - Przetrwał pierwszy kryzys i wprawdzie dobrze to świadczy o moim zabiegu, ale nie jest bezpieczne dla sprawy.

- Dlaczego, Gerhardzie? - zapytała pielęgniarka.

- Ponieważ nie możemy go znaleźć!

- I co z tego? Przecież wkrótce umrze, prawda?

- Tak, oczywiście, ale jeżeli nastąpi wylew krwi do mózgu i umrze wśród naszych wrogów, ich lekarze niewątpliwie dokonają sekcji. Odnajdą wtedy mój implant, a do tego nie możemy dopuścić! - Nie jesteś w stanie temu zapobiec, dlaczego więc się martwisz? - Bo trzeba go odnaleźć. Muszę go odnaleźć.

- W jaki sposób?

- W czasie jego ostatnich dni, ostatnich godzin, nadejdzie taki moment, gdy będzie musiał nawiązać ze mną kontakt. Stanie się do tego stopnia dezorientowany, że zażąda instrukcji, poleceń. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Wiem. Bo nie znam odpowiedzi. Zadzwoił telefon stojący na stoliku obok jego żony. Podniosła słuchawkę.

- Tak?.. Tak, oczywiście, Herr Doktor. - Greta przykryła mikrofon dłonią. - Dzwoni Hans Traupman. Mówi, że sytuacja jest alarmowa.

- Przypuszczam, on bardzo rzadko dzwoni. - Kroeger wziął słuchawkę od żony. - Domyślam się, że zaszło coś wyjątkowego, doktorze. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz dzwonił pan do mnie. - Godzinę temu w Monachium aresztowano generała von Schnabe.

- Dobry Boże, za co?

- Działalność wywrotowa, podżeganie do rozruchów, przestępstwa przeciwko państwu, cały ten prawniczy śmietnik, który nasi przodkowie udoskonali w o wiele bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Ale dlaczego?

- Najwidoczniej twój Harry LathamLassiter nie był jedynym, któremu udało się przeniknąć do waszej doliny.

- Nieprawdopodobne! Każdy z naszych ludzi był poddany najbardziej rygorystycznym badaniom, włącznie z elektroniczną kontrolą mózgu, która wyjawiałaby kłamstwa, wątpliwości, najmniejsze wahania. Sam opracowałem te programy, są niezawodne. - Być może jeden z nich po opuszczeniu doliny zmienił poglądy. W każdym razie von Schnabe został zatrzymany przez policję i zidentyfikowany w czasie grupowej konfrontacji. Nie mógł jednak zobaczyć oskarżającej go osoby. Według okruczeń informacji, które udało nam się zgromadzić, mogła to być kobieta, ponieważ najwyraźniej wspominało o napastowaniu seksualnym. Słyszano, jak średniego stopnia oficer policji żartował na ten temat ze swoimi kolegami w komisariacie w Monachium.

- Ciągle uprzedzałem generała, ostrzegałem go bez przerwy przed jego związkami z żeńskim personelem. Zawsze mi odpowiadał: "Przy całym swoim wykształceniu, Kroeger, zupełnie tego nie rozumiesz. Słowo "generał" kojarzy się z władzą, a władza jest istotą seksu. One mnie pożądają."

- I nawet nie był generałem - powiedział Traupman. - A tym bardziej von.

- Doprawdy? Sądziłem...

- Sądziłeś to, co miałeś sądzić, Gerhardzie - przerwał mu doktor z Norymbergi. - Schnabe jest błyskotliwym specjalistą w zakresie operacji wojskowych, pełnym poświęcenia członkiem naszej sprawy; niewielu spośród nas tak jak on mogłoby odnaleźć takie miejsce, stworzyć naszą dolinę i zarządzać nią - na tym polegała jego wyjątkowa siła. Prawdę mówiąc, w kategoriach medycznych był, a raczej jest, socjopatą o wybitnej inteligencji, człowiekiem, jakiego potrzebuje taki ruch jak nasz, szczególnie na początkowym etapie. Potem, oczywiście, tacy ludzie są zastępowani innymi. Na tym polegał błąd Trzeciej Rzeszy: oni uwierzyli w swoje fałszywe tytuły, uznali je za autentyczne i odsunęli prawdziwych generałów, którzy

mogli wygrać wojnę, przeprowadzając w odpowiednim momencie inwazję na Anglię. My nie popełnimy takich błędów. - A co zrobimy teraz, Herr Doktorr?

- Postanowiliśmy, że Schnabe zostanie dziś w nocy zastrzelony w swojej celi. Morderca użyje pistoletu z tłumikiem. Nietrudne zadanie, bezrobocie jest wysokie nawet wśród kryminalistów. Należy tego dokonać, zanim rozpoczną się przesłuchania, zwłaszcza przy użyciu amytału.

- A Vaclabruck?

- Teraz ty poprowadzisz cały ośrodek. Natomiast nas, naszego przywódcę w Bonn, niepokoi twój skomputeryzowany robot w Paryżu. Kiedy on wreszcie umrze, na litość boską?

- Za jeden dzień, maksimum za trzy. Nie może wytrzymać dłużej. - Doskonale.

- Proszę mi wybaczyć, Herr Traupman, ale musimy się liczyć z gwałtownym wylewem w płacie potylicznym.

- Tam gdzie umieściłeś swój implant?

- Tak.

- Musimy go odnaleźć, zanim do tego dojdzie. Jeżeli odkryją jednego robota, uwierzą, że istnieją tysiące innych!

- Właśnie rozmawiałem o tym z żoną.

- Rozumiem. Co sugeruje Greta?

- Zgadza się ze mną - odparł Kroeger, mimo że jego żona wstała i pokręciła gwałtownie głową.

- Muszę polecieć do Paryża i spotkać się z naszymi ludźmi. Najpierw z blitztragerami, bo chyba czegoś nie dopilnowali. Potem z naszą wtyczką w ambasadzie amerykańskiej. Musimy uściślić, co wie o organizacji "Antyninus". Wreszcie z naszym człowiekiem w Deuxieme Bureau. Waha się. - Bądź ostrożny z Moreau. Jest jednym z nas, ale to Francuz. Właściwie nie wiemy, po czyjej jest stronie.

* * *

ROZDZIAŁ 12

Drew Latham, występujący obecnie w roli swojego brata Harry'ego, czekał w cieniach Trocadero, za pomnikiem króla Henryka, przyciskając do oczu nocną lornetkę. W odległości niemal stu metrów po drugiej stronie szerokiego betonowego chodnika pomiędzy pomnikami Ludwika Czternastego i Napoleona Pierwszego znajdowały się również pogrążone w mroku miejsca. W czasie swojej ostatniej rozmowy z Karin de Vries tutaj właśnie wyznaczył spotkanie kurierowi. Miano mu dostarczyć wybrane poufne dokumenty z gabinetu jego "zabitego brata". Była dwudziesta trzecia i paryską noc rozświetlał letni księżyc, i Drew Latham poczuł przypływ otuchy. Z czarnego samochodu zaparkowanego w długim, łukowato wygiętym wejściu do Pałacu Chaillot wysiadło dwóch mężczyzn. Mieli na sobie ciemne, urzędowe garnitury i szli w kierunku punktu spotkania, trzymając w rękach teczki wypełnione rzekomo dokumentami z biurka "brata", o których "pilne dostarczenie" poprosił. Byli to neonaziści, ponieważ zgodnie z ustaleniami Karin de Vries nie przekazała ostatniego polecenia. Ich obecność była więc niezbitym dowodem, że jej telefon był podsłuchiwany gdzieś na terenie ambasady. Drew wmieszał się w luźną grupkę spacerowiczów, z których większość stanowili zagraniczni turyści z aparatami fotograficznymi. Co chwila tu i ówdzie błyskały flesze. Kołnierz marynarki miał podniesiony, czarna czapka z daszkiem częściowo zakrywała mu twarz, gdy przeciskał się przez tłum, stale pozostając w otoczeniu którejś z grup, do chwili gdy znalazł się w odległości około piętnastu metrów od wyznaczonego miejsca. Przyglądał się obu mężczyznom, stojącym między dwoma posągami. Zachowywali się spokojnie i gdyby nie powoli obracające się głowy, ich również niemal można by wziąć za posągi. Latham wmieszał się w najbliższą grupę turystów i natychmiast z niepokojem zauważył, że są to Azjaci i na domiar złego zdecydowanie niżsi od niego. Kolejny niewielki tłum Europejczyków zbliżał się z przeciwnej strony. Przyłączył się do

niego i nagle uświadomił sobie ironię losu - turyści rozmawiali po niemiecku. Być może był to pomyślny omen, zresztą później sytuacja rzeczywiście zaczęła wyglądać optymistycznie. Cała grupa zbliżyła się do pomnika Napoleona, zdobywcy nad zdobywcami, i w ożywionych komentarzach zwiedzających pojawiło się pewne wyraźne skojarzenie. Sieg Nappy! pomyślał Drew wpatrując się w dwóch fałszywych kurierów, znajdujących się obecnie w odległości niecałych trzech metrów od niego. Nadeszła pora, by coś zrobić, ale Latham nie był pewien, co. Aż nagle go olśniło. Les rues de Montparnasse. Kieszonkowcy. Plaga siódmego arrondissement. Wybrał najbardziej szczupłą kobietę w swoim otoczeniu i nagle zerwał jej torebkę z ramienia.

- Ein Dieb! - wrzasnęła. W panującym półmroku Drew cisnął torebkę nic nie podejrzewającemu mężczyźnie, który stał najbliżej pierwszego fałszywego posłańca z ambasady, po czym popchnął na niego sąsiednią parę i kilku jeszcze mężczyzn, wykrzykując jednocześnie bezsensowne słowa w języku, który miał przypominać niemiecki. W ciągu kilku sekund przed pomnikiem zapanowało spore zamieszanie. Krzyki narastały gwałtownie, gdy wszyscy w tłumie starali się odnaleźć w mroku złodzieja i skradzioną torebkę. Pierwszy pseudokurier znalazł się w kłębowisku ludzi i nieporadnie starał się wyrwać z tłoku, kiedy nagle pojawił się przed nim Latham.

- Heil Hitler - powiedział cicho Drew i z całej siły uderzył mężczyznę w grdykę. Gdy neonazista upadł, Latham przeciągnął go w mrok zalegający za pomnikami. Musiał jakoś wydostać tego człowieka z Trocadero! Wydostać, a jednocześnie wymknąć się drugiemu kurierowi i ich grupie wsparcia, która mogła znajdować się w czarnym samochodzie. Przybył na to spotkanie podobnie jak na wszystkie poprzednie, przygotowany, a całe wyposażenie dostarczyli mu ludzie z organizacji "Antyninus": spray Arcane, który miał sparaliżować struny głosowe, drut do skrępowania rąk i telefon komórkowy z nie dającym się zidentyfikować numerem. Wykorzystał dwa pierwsze elementy wyposażenia, ponownie ogłuszywszy przychodzącego do przytomności jeńca, a potem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki aparat. Wybrał zastrzeżony numer domowego telefonu pułkownika.

- Tak? - rozległ się cichy głos.

- Witkowski, to ja. Mam jednego.

- Gdzie jesteś?

- Trocadero, północna strona, ostatni posąg.

- Sytuacja?

- Nie jestem pewien. Jest jeszcze jeden człowiek i samochód, czarny, czterodrzwiowy, zaparkowany nieco dalej. Nie wiem, kto jest w środku.

- Czy jest dużo ludzi?

- O tyle o ile.

- W jaki sposób złapałeś swojego?

- Czy mamy na to czas?

- Jeżeli mam działać skutecznie, musimy mieć. Jak?

- Grupa turystów przy punkcie spotkania. Wyrwałem torebkę i wywołałem zamieszanie.

- To dobrze. Będziemy rozwijać tę sytuację. Zadzwoń na policję i powiem, że według naszych informacji jakiś Amerykanin mógł tam zostać zamordowany w celach rabunkowych.

- Tam byli Niemcy.

- To właściwie bez znaczenia. Syreny powinny zacząć wycić za kilka minut. Przedostań się na południową stronę i jakoś przemknij na ulicę. Wkrótce tam będę.

- Jezu, Stanley, ten facet cholernie dużo waży!

- Jesteś bez formy?

- Do diabła, nie, ale co mam powiedzieć, jeżeli ktoś mnie zatrzyma?

- Holujesz pijanego Amerykanina. Każdy w Paryżu będzie tym zachwycony. Może powiem ci, jak to będzie po francusku... albo właściwie nie, lepiej jeżeli wyjaśnisz po swojemu... będzie bardziej wiarygodne. Ruszaj się! Zgodnie z przewidywaniami pułkownika dziewięćdziesiąt sekund później skowyt syren wypełnił rozległą przestrzeń Trocadero i pięć samochodów

policyjnych zatrzymało się przy wejściu do Pałacu Chaillot. Tłum rzucił się w stronę przewidywanych atrakcji, a Latham, ciągnąc za sobą bezwładną postać, przeszedł szybko na południową stronę. Gdy znalazł się już za posągami, zarzucił sobie neonazistę na plecy, przytrzymując go chwytem strażackim, i pobiegł przez mrok w stronę ulicy. Tam, zakrywając sobą bezwładne ciało jeńca, przykłęknął i czekał na sygnał Witkowskiego. Po chwili samochód ambasady podjechał do krawężnika i dwukrotnie mrugnął światłami, dając znak do ewakuacji.

"NEW YORK TIMES" Tajne laboratorium rządowe okradzione Naukowiec Rudolph Metz zniknął. Wyniki badań przypadły. Baltimore, sobota. Dziś rano poproszono przedstawicieli władz o wizytę w położonym wśród wzgórz Rockland mało znanym i ściśle tajnym ośrodku naukowym, w którym przeprowadza się eksperymenty nad miniaturowymi systemami łączności. Powodem niepokoju personelu była niemożność skontaktowania się z dr Rudolphem Metzem, cieszącym się międzynarodową sławą specjalistą w zakresie techniki światłowodowej. Doktor Metz nie odpowiadał na telefony ani na wezwania za pośrednictwem systemu przywoławczego, nie przyniosły również rezultatu wizyty w jego miejscu zamieszkania. Zaopatrzona w nakaz policja weszła do domu, nie znalazła jednak żadnych niepokojących śladów poza zaskakująco niewielką liczbą ubrań w szafach doktora Metza i jego żony. Nieco później pracownicy techniczni laboratorium poinformowali, że wyniki całorocznych badań zostały wykasowane z komputerów, a na ich miejscu pozostały jedynie ślady wskazujące na obecność wirusa. Dr Metz, siedemdziesięcioletni niemiecki geniusz naukowy i zarazem człowiek, który nieustannie cieszył się swoim amerykańskim obywatelstwem, i "dziękował za nie Bogu", był według sąsiadów z Rockland, dziwnym osobnikiem, podobnie zresztą jak jego czwarta żona. "Zawsze trzymali się na uboczu, poza momentami kiedy jego żona urządzała wielkie przyjęcia, na których popisywała się swoją biżuterią, i nikt właściwie ich nie znał", stwierdziła sąsiadka, pani Bess Thurgold. "Nie mogę o nim nic powiedzieć - dodał Ben Marshall, adwokat z przeciwka. - Zamykał się całkowicie, gdy tylko wspominałem o polityce, rozumiecie, co mam na myśli? Mieszkaliśmy tu razem, grupa ludzi, którym się powiodło... do diabła, nie stać by nas było na to, gdyby było inaczej, ale nigdy nie wyrażał żadnej opinii. Nawet na temat podatków!" Przypuszcza się, że~pOwodem zniknięcia naukowca mogły być zaburzenia psychiczne wywołane przepracowaniem, problemy małżeńskie wynikające z różnicy wieku pomiędzy obecną żoną i wielokrotnie wstępującym w związki małżeńskie Metzem, a nawet porwanie przez terrorystyczną organizację, która mogłaby wykorzystać jego wiedzę.

Latham i Stanley Witkowski zawieźli nieprzytomnego pseudokuriera prosto do domu pułkownika na rue Diane. Skorzystawszy z kuchennego wejścia, przewieźli neonazistę windą towarową na piętro Witkowskiego i zaciągnęli go do mieszkania.

- Dzięki temu nie działamy oficjalnie, i bardzo dobrze - oznajmił Witkowski, gdy cisnęli niedoszłego zabójcę na leżankę. - Co?
- Powiedziałem, że bardzo dobrze. Harry by mnie zrozumiał. Mówił po polsku.
- Przykro mi.
- Nie ma sprawy. Dobrze się dziś spisałeś... A teraz musimy obudzić tego typka i tak go przestraszyć, żeby zaczął gadać. - Jak to zrobimy?
- Palisz?
- Właściwie staram się ograniczać.
- Nie jestem twoim wyrzutem sumienia ani członkiem grupy odwykowej. Masz przynajmniej peta?
- No cóż, mam parę papierosów... na wszelki wypadek, sam rozumiesz.
- Zapal jednego i daj mi. - Pułkownik zaczął klepać jeńca po policzkach i gdy powieki nazisty drgnęły, Witkowski wziął z ręki Lathama zapalonego papierosa. - Na barku stoi butelka wody Evian. Przynieś mi ją.

- Bardzo proszę.
- Hej, Jungel - zawołał Witkowski polewając twarz fałszywego kuriera, do chwili gdy otworzył on oczy. - Trzymaj swoje niebieskie ślepka otwarte, stary, ponieważ mam zamiar ci je wypalić, rozumiesz? - Pułkownik przytrzymał żarzący się czubek papierosa w odległości pół centymetra nad lewym okiem Niemca.
- Aaaaa! - wrzasnął więzień. - Proszę, nein!
- Chcesz mi powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie jesteś taki twardy? Do cholery, przecież paliliście ludzi, oczy, ciała, wszystko jak leci. - Żar papierosa wniknął w gałkę oczną neonazisty. - Aaaaaa! Pułkownik wolno odsunął rękę.
- Może w tym oku odzyskasz wzrok, ale dopiero po odpowiedniej kuracji. A teraz, jeżeli przeprowadzę podobną operację na drugim, sprawa będzie wyglądała inaczej. Wypalę ci źrenicę i jak Boga kocham, nawet ja sam nie wytrzymałbym bólu, nie mówiąc już o ślepcie. - Witkowski przesunął papierosa nad prawe oko. - No to zaczynamy, Wehrmacht, zobacz, jak to smakuje. - Nein... nein. Niech pan mnie pyta o wszystko, tylko niech pan tego nie robi! Gdy po chwili neonazista trzymał już worek z lodem przyciśnięty do lewego oka, pułkownik odezwał się znowu:
- Teraz już wiesz, Herman, czy jak się tam wabisz, do czego jestem zdolny. Przez takich skurwysynów jak ty pięćdziesiąt lat temu straciłem dziadków w Auschwitz. Jeżeli o mnie chodzi, najchętniej nie tylko wypaliłbym ci oczy, ale i urznął jaja. A potem puściłbym cię wolno i zobaczył, jak dajesz sobie radę!
- Uspokój się, Stosh - powiedział Latham, chwytając Witkowskiego za ramię.
- Nie mów mi, co mam robić, chłopaczku! Moi krewni ukrywali Żydów i poszli za to do gazu!
- W porządku, ale teraz potrzebujemy informacji.
- Dobrze już, dobrze. - Pułkownik odetchnął głęboko, a potem powiedział cicho. - Trochę mnie poniosło... Nawet nie wiesz, jak ja nienawidzę tych skurwysynów.
- Wiem, i to dobrze, Stanley. Zabili mi brata. Przesłuchaj go teraz.
- Dobra. Kim jesteś, skąd się wzięłeś i w czyim imieniu działasz? - Jestem jeńcem wojennym i nie mam obowiązku... Witkowski z całej siły grzbietem dłoni wyrzucił neonazistę w twarz rozcinając mu skórę złotym sygnetem z akademii wojskowej. - Owszem, jest wojna, skurwysynu, ale nie wypowiedziana i nie masz żadnych praw do niczego, poza tym, co będę mógł dla ciebie wymyślić. I mogę cię zapewnić, że to wcale nie będzie przyjemne. - Pułkownik spojrział na Lathama. - Tam na biurku leży mój stary bagnet, którego używam do otwierania kopert. Bądź taki dobry i przynieś mi go. Zobaczymy, jak się nim podcina gardło. Po to go w końcu wymyślono. Drew podszedł do biurka i powrócił z osadzonym w krótkiej rękojeści ostrzem, którym Witkowski zaczął szturchać szyję przerażonego fałszywego kuriera.
- Bardzo proszę, chirurgu.
- Zabawne, że mnie tak nazwałeś - powiedział o wiele od niego starszy weteran G-2. - Ostatniej nocy myślałem o mojej matce. Zawsze chciała, żebym został lekarzem, chirurgiem, konkretnie mówiąc. Powtarzała mi tysiące razy: "Masz takie duże, silne ręce, Stachu. Bądź doktorem, który robi operacje. Zarabiają dobre pieniądze..." Zobaczymy, czy mam do tego talent. - Pułkownik szturchnął palcem miękkie zagłębienie u nasady szyi Niemca. Mam wrażenie, że tu jest odpowiednie miejsce. Trochę mi to przypomina galaretkę, a wiesz, jak się ona łatwo rozstępuje, kiedy zagłębisz w niej łyżkę. Cholera, powinno się mieć pewną rękę do noża, a możesz mi wierzyć, to jest niezły kawał noża. Dobra, zróbmy pierwsze nacięcie... Jak ci się to podoba? Nacięcie. - Nein! - wrzasnął neonazista i szarpnął się, czując spływający strumyk krwi. - Czego ode mnie chcecie? Nic nie wiem, wykonywałem jedynie rozkazy!
- Kto ci je wydawał?
- Nie wiem! Dzwoniono do mnie... mężczyzna, czasami kobieta... podawali mój numer kodowy i musiałem słuchać.
- To mi nie wystarcza, śmieciu...
- Mówi prawdę, Stosh - przerwał mu cicho Latham, powstrzymując Witkowskiego. - Niedawno, ten lipny kierowca powiedział mi właściwie słowo w słowo to samo.

- Jakie dostałeś dziś rozkazy? - spytał pułkownik i nazista wrzasnął, czując zwiększający się nacisk ostrza. - Dziś w nocy! ryknął Witkowski.
- Zabić go, ja, zabić zdrajcę, ale również mieliśmy koniecznie zabrać ciało i spalić je.
- Spalić? - wtrącił się Drew.
- Ja, a także obciąć głowę i również ją spalić, ale w innym miejscu, daleko od ciała.
- Daleko od ciała?... - Drew wbił spojrzenie w drżącego, przerażonego faszystę.
- Przysięgam, nic więcej nie wiem!
- Gówno prawda! - krzyknął pułkownik uderzając go w twarz. Przesłuchiwałem setki takich jak ty, śmieciu, i znam się na tym. Zawsze w waszych oczach widać coś, czego nie powiedzieliście, co zatailiście przed nami!... Zabójstwo nie jest wielką sprawą, natomiast przeniesienie ciała, obcięcie głowy i spalenie wszystkiego może byłoby trochę trudniejsze, trochę bardziej niebezpieczne. Można to uznać za nieco porąbane nawet jak na was, psychopatów. Czego nam nie powiedziałeś? Mów, albo zaraz złapiesz ostatni oddech! - Nein, proszę! On wkrótce umrze, ale nie może umrzeć wśród wrogów! Musimy pierwsi do niego dotrzeć!
- Musi umrzeć?
- Ja, temu nie da się zapobiec. Pozostało mu tylko trzy, cztery dni, wiemy tylko tyle. Mieliśmy znaleźć go i zabić jeszcze dziś w nocy, gdzieś daleko, gdzie nikt go nie znajdzie. Oszolomiony Latham odszedł od leżanki, próbując zrozumieć informację, którą właśnie usłyszał. Nic nie miało sensu poza jednym najwyraźniej bezspornym wnioskiem.
- Wysyłam tego szczura do francuskiego wywiadu, razem z naszymi kompletnymi zeznaniami i każdym jego słowem, które mamy zarejestrowane dzięki temu małemu urządzeniu na moim biurku - oznajmił Witkowski.
- Wiesz co, Stosh stwierdził Drew, odwracając się i spoglądając na pułkownika - może powinniśmy wysłać go dyplomatycznym odrzutowcem do Waszyngtonu, do Langley, blokując całą informację o nim dla wszystkich poza odbiorcami z CIA? - Dobry Boże, dlaczego? Przecież to problem Francuzów.
- Może jednak coś więcej, Stanley. Lista Harry'ego. Być może będziemy mogli ustalić, kto w Agencji spróbuje osłonić tego człowieka, albo wręcz przeciwnie, zabić go.
- Nie za bardzo cię rozumiem, młody człowieku.
- Sam siebie niezbyt rozumiem, pułkowniku. Jestem obecnie Harrym, a ktoś spodziewa się, że umrę.

* * *

ROZDZIAŁ 13

W Monte Carlo była trzecia w nocy i wąskie, słabo oświetlone uliczki w okolicach kasyna były puste, jeżeli nie brać pod uwagę niedobitków z ciągle działającego przybytku hazardu. Kilku było pijanych i smutnych, paru radosnych, a większość - zmęczona. Claude Moreau szedł uliczką, która prowadziła do kamiennego murku nad portem. Dotarł do niego i spojrzał na rozciągający się poniżej widok, na przystań dla bogaczy tego świata, iluminowaną światłami stojących na cumach wielkich, luksusowych jachtów żaglowych i motorowych. Nie czuł żadnej zazdrości, był po prostu obserwatorem oceniającym powierzchowne piękno tego widoku. Jego praca wymagała częstego spędzania czasu wśród właścicieli tych wspaniałych jednostek, obserwowania ich stylu życia, niekiedy drażenia głębiej. To mu wystarczyło. Gdyby miał jakoś uogólnić swoje obserwacje, mógłby powiedzieć, że pod wieloma względami byli to zdesperowani ludzie, bez przerwy poszukujący nowych zainteresowań, nowych doświadczeń, nowych podniet. Nieustanne poszukiwanie stawało się celem ich życia. Poszukiwanie, które prowadziło jedynie do dalszych poszukiwań. Mieli swoje chwile radości, potrzebowali ich, ponieważ cała reszta była nudą, pogonią za atrakcjami, które by ich pociągały. Co teraz? Co nowego? - Allo, monsieur - z mroku odezwał się głos i z cienia wyłoniła się postać mężczyzny.

- Czy jesteś przyjacielem Bractwa? - Wasza działalność jest daremna - odparł Moreau nie

odwracając się. - Mówilem to waszym ludziom już tysiące razy, ale jeżeli w dalszym ciągu będziecie poprawiać moją nie najlepszą sytuację finansową, zrobię, o co poprosicie.

- Nasz Blitztrager, ta kobieta przy stoliku w kasynie. Zabrałeś ją. Co się stało?

- Odebrała sobie życie, podobnie jak pozostała dwójka, którą aresztowaliśmy parę miesięcy temu. Po aresztowaniu nie zbadaliśmy jej organów płciowych. Gdybyśmy to zrobili, znaleźlibyśmy kapsułki z cyjankiem.

- Sehr gut. Nic nie powiedziała?

- Niby w jaki sposób? Zmarła w damskiej toalecie.

- W takim razie jesteśmy bezpieczni?

- Jak na razie. Teraz więc za moją znaczną pomoc spodziewam się honorarium na koncie w Zurichu. Jutro.

- Zostanie przekazane. Postać zniknęła w mroku, a Moreau sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyłączył magnetofon. Niepisane umowy nic nie znaczą, chyba że ich naruszenia zostały zarejestrowane.

Basil Marchand, członek Izby Lordów, wyrzwał w blat biurka mosiężnym przyciskiem do papieru z taką siłą, że leżąca na nim szklana płyta rozbryzła się, a odłamki rozsiały po całym pokoju. Stojący przed nim mężczyzna zrobił krok do tyłu, odwracając na moment twarz.

- Jak pan śmie? - krzyknął leciwy dżentelmen. Ręce drżały mu z wściekłości. - Ludzie z mojej rodziny walczyli na Krymie i we wszystkich kolejnych wojnach, nie wykluczając burskiej, gdzie Churchill, wtedy korespondent wojenny, wychwalał ich odwagę na polu walki. Jak pan śmie imputować mi taką rzecz?

- Proszę mi wybaczyć, lordzie Marchand - odparł ze stoickim spokojem oficer MI5. - Pańska rodzina cieszy się zasłużonym uznaniem za swoje czyny wojenne dokonane w ciągu minionego stulecia, ale były również wyjątki, prawda? Mam na myśli oczywiście pańskiego starszego brata, był przecież wśród założycieli grupy z Cliveden, która bardzo wysoko sobie ceniła Adolfa Hitlera. - Wyklęty z rodziny! - przerwał mu z wściekłością Marchand, otwierając szufladę i wyszarpując z niej oprawny w srebrną ramę pergamin, - Masz, bezczelny draniu! To dyplom uznania dla mojej łodzi za Dunkierkę. Podpisany przez samego króla. Miałem szesnaście lat i wywozłem stamtąd trzydziestu ośmiu ludzi, którzy zostaliby zabici lub więzieni do niewoli. I zdarzyło się to, zanim dostałem Military Cross za służbę w Royal Navy!

- Zdajemy sobie sprawę z pana niezwyklego bohaterstwa, lordzie Marchand...

- Więc nie przypisujcie mi obłąkańczych złudzeń mojego starszego brata, którego ledwo znałem... I nie podobało mi się to, co wiedziałem - mówił dalej rozwścieczony członek Izby Lordów. Gdybyście dobrze przeprowadzili dochodzenie, wiedzielibyście, że opuścił Anglię w 1940 roku i nigdy nie powrócił. Z całą pewnością zapił się na śmierć, ukrywając się na jednej z wysp południowego Pacyfiku.

- Obawiam się, że pan się myli - odparł gość z MI5. Pański brat znalazł się w Berlinie pod przybranym nazwiskiem i przez całą wojnę pracował w Ministerstwie Informacji Rzeszy. Ożenił się z Niemką i podobnie jak pan miał trzech synów... - Co?... - Stary mężczyzna opadł wolno na fotel, ledwie mogąc złapać oddech szeroko otwartymi ustami. - Nigdy nam o tym nie powiedziano - wyszeptał.

- Nie było sensu, proszę pana. Po wojnie zniknął razem z całą rodziną. Zapewne uciekł do Ameryki Południowej, do jednej z niemieckich enklaw w Brazylii czy Argentynie. Ponieważ nie był oficjalnie uznany za zbrodniarza wojennego, nie prowadzono poszukiwań, a biorąc pod uwagę straty, jakie rodzina Marchandów poniosła... - Tak 1 wtrącił cicho lord Marchand.

- Moi dwaj pozostali bracia i siostra... Dwaj piloci i pielęgniarka.

- No właśnie. Nasi przełożeni postanowili pogrzebać całą tę przykrą sprawę.

- To bardzo uprzejme z waszej strony. Bardzo uprzejme. Przepraszam, że potraktowałem pana tak paskudnie.

- Proszę się nie przejmować. Jak sam pan powiedział, nie mógł pan wiedzieć tego, o czym nigdy pana nie poinformowano. - Tak, tak, oczywiście... Ale teraz, tego popołudnia, niemal

mnie pan oskarżył... a przy okazji całą rodzinę... że należymy do jakiegoś faszystowskiego ruchu w Niemczech. Dlaczego?

- Cóż, to dosyć prymitywna technika, którą niewielu z nas stosuje z przyjemnością. Ale jest skuteczna. Jeżeli pan sobie przypomina, nie oskarżyłem pana wprost. W swoich aluzjach posługiwałem się takimi zwrotami: jak urażona byłaby Korona, gdyby się dowiedziała", i tak dalej, i tak dalej. Pierwszą reakcją jest zawsze oburzenie, ale oburzenie bywa fałszywe i szczerze. Jeżeli ma się już pewne doświadczenie, nietrudno ustalić, z którym ma się do czynienia. A ja mam takie doświadczenie. > Co pana przekonało?

- Sądzę, że gdyby był pan młodszy, zaatakowałby mnie pan fizycznie i wyrzucił ze swojego domu.

- Zupełnie słusznie, zrobiłbym to.

- Pańska reakcja była bardzo autentyczna, w niczym nie zafalszowana.

- Ponownie pytam, dlaczego?

- Nazwiska dwóch pańskich synów są na liście, ściśle tajnej liście ludzi, którzy potajemnie wspierają neonazistowskich wywrotowców w Niemczech.

- Dobry Boże, w jaki sposób?

- Marchands Limited to tekstylne konsorcjum, prawda?

- Tak, oczywiście, wszyscy o tym wiedzą. Licząc fabryki w Szkocji, jesteśmy drugą co do wielkości firmą w Zjednoczonym Królestwie. Od momentu mojego wycofania się z interesów przedsiębiorstwo prowadzą moi dwaj synowie. Trzeci, niech Bóg ma go w swojej opiece, jest muzykiem. Jakież jest więc powód takich oskarżeń? - Prowadzili interesy z firmą o nazwie Oberfeld, wysyłając do jej magazynów w Mannheim tysiące bel materiału na identyczne koszule, bluzy i spodnie.

- Owszem, sprawdzałem rachunki. Zachowałem sobie prawo do takich kontroli. Oberfeld płaciła wszystko w terminie i jest wspaniałym klientem. I co z tego?

- Oberfeld nie istnieje, jest przykrywką neonazistowskiego ruchu. A siedem dni temu nazwa i magazyny w Mannheim zniknęły, tak jak pański brat pięćdziesiąt lat temu.

- Co pan przez to sugeruje?

- Przedstawię sprawę jak najłagodniej, lordzie Marchand. Czy możliwe, aby pańscy bratankowie wrócili i wciągnęli pańskich nieświadomych synów do spisku mającego na celu odrodzenie faszystów, zlecając im dostarczanie mundurów?

- Mundurów?

- To następny krok, lordzie Marchand. Z historycznego punktu widzenia można go uznać za standardowy. Knox Talbot nie lubił odgrywać roli Boga, ponieważ zbyt wielu i zbyt długo robiło to w stosunku do jego rasy. Czuł się niezręcznie podejmując takie działania, zdawał sobie sprawę ze swojej hipokryzji, ale nie miał wyboru. Włamano się do wszechpotężnych i ściśle tajnych komputerów Agencji, zinfiltrowano dane zawierające ogólnoswiatowe tajemnice, w tym również informacje o niezwykle delikatnych operacjach prowadzonych przez CIA na całej kuli ziemskiej. Nie wyłączając trzyletniej misji Harry'ego Lathama. Harry'ego Lathama Alexandra Lassitera... pseudonim Sting. Pod pretekstem zmiany wyznaczonych zadań zażądał, aby dostarczono mu około czterdziestu teczek personalnych, ale tylko osiem z nich interesowało go naprawdę. Chodziło mu o ludzi odpowiedzialnych za komputery AAZero, ponieważ tylko oni dysponowali kluczami, kodami umożliwiającymi poznanie tajemnic, które mogły zagrozić życiu zakonspirowanych agentów i informatorów lub doprowadzić do spalenia operacji. Ktoś z nich musiał być zdrajcą... nie, musiało być ich więcej, przynajmniej dwoje, ponieważ zabezpieczenia dyskietek wymagały, aby dwoje ludzi wprowadziło odrębne kody, zdejmując blokadę z programu i umożliwiając wyświetlenie danych na ekranie. Ale kim jest ta dwójka i co zdołała osiągnąć? Harry Latham uciekł, wprawdzie za straszliwą cenę życia brata, ale jednak przetrwał i ukrywa się obecnie w Paryżu. Nie tylko przetrwał, ale dostarczył również listę nazwisk, która już zdążyła zaniepokoić cały kraj, a przynajmniej środki masowego przekazu, te zaś zrobiły wszystko, aby wszcząć ogólny alarm. Według zamordowanego Drew Lathama, naziści wiedzieli o

Stingu, ale od kiedy? Przed czy po tym, jak Harry poznał te nazwiska? Jeżeli przedtem, można było podać w wątpliwość całą listę, ale nawet to nie tłumaczyło zniknięcia neofaszysty, jakim ewidentnie okazał się Rudolph Metz. W laboratoriach Rockland ustalono, że Metz bezczelnie wykorzystał własne kody, aby skopiować, a następnie skasować wyniki całorocznych badań, a FBI potwierdziło, że Metz i jego żona posługując się fałszywymi paszportami odlecieli do Stuttgartu z Międzynarodowego Portu Lotniczego imienia Dullesa samolotem Lufthansy rejs 7000. A ilu jeszcze Metzów pozostało? Lub odwracając pytanie, ilu było jeszcze na liście niewinnych senatorów Rootesów? Wszystko wymykało się spod kontroli, albo w miarę rozwoju śledztwa, wkrótce zacznie się wymykać. Dwóch z ośmiu całkowicie "czystych", absolutnie sprawdzonych specjalistów zajmujących się najbardziej utajnionymi operacjami komputerowymi było wtyczkami. Jak to możliwe? I czy w ogóle jest możliwe? W ich aktach personalnych nie było niczego, co dawałoby jakikolwiek punkt zaczepienia... I nagle Talbot przypomniał sobie fragmenty londyńskiej odprawy Harry'ego Lathama. Otworzył szufladę, wyjął zapis i odnalazł właściwą stronę. Pytanie P/MI5/: Krążą pogłoski, że naziści, neonaziści, od samego początku mogli wiedzieć, kim jesteś naprawdę?

- To nie są pogłoski, to będzie ich oczywista linia obrony. Jak często robiliśmy tak samo, gdy dowiadrywaliśmy się o wtyczce, która uciekła do Mateczki Rosji, po okradzeniu nas. Oczywiście, twierdziliśmy, że byliśmy bardzo sprytni i że wykradzione informacje są całkowicie bezużyteczne... Chociaż nie były. Pytanie P /Deuxieme/: Czy nie można założyć, że podsunęto ci dezinformację?. HL: Do momentu ucieczki byłem ich zaufanym człowiekiem, oddanym ich sprawie i przekazującym na jej rzecz duże sumy. Po co mieliby mnie karmić fałszywkami? Ale odpowiem na to pytanie. Tak, oczywiście, można założyć coś takiego. Dezinformacja, błędna informacja, ludzki lub komputerowy błąd, pobożne życzenia, fantazjowanie - wszystko jest możliwe. Waszym zadaniem jest potwierdzenie tej informacji lub jej odrzucenie. Dostarczyłem wam materiał, a teraz waszym zadaniem jest jego weryfikacja. Knox Talbot czytał uważnie oświadczenie agenta. Wynikało z niego, że sam Harry Latham pozostawił szerokie pole do domysłów. Wszystko było wariactwem - zwariowane były ewentualne potwierdzenia i możliwe kontrdowody - wszystko poza jednym: nazistowskim wirusem pieniącem się w Niemczech. Dyrektor CIA schował stenogram i wbił spojrzenie w osiem teczek ułożonych przed nim na biurku. Studiował je już słowo po słowie, ale wciąż nie mógł znaleźć żadnych poszlak, niczego konkretnego. Powinien wziąć jedną z nich i spróbować czytać między wierszami. Wreszcie z ulgą usłyszał sygnał telefonu. Wcisnął guzik na konsoli i odezwała się sekretarka.

- Pan Sorenson na linii numer trzy, proszę pana.

- A kto jest na jedynce i dwójce?

- Dwaj producenci telewizyjni. Chcą, aby wystąpił pan w programie dotyczącym dochodzeń prowadzonych przez Biuro.

- Wyszedłem na lunch i nie będzie mnie przez miesiąc.

- Doskonale, proszę pana. A więc linia trzecia, chyba że chce pan, abym udzieliła takiej samej odpowiedzi.

- Nie, odbiorę... Cześć, Wes, proszę, nie dostarczaj mi nowych zmartwień.

- Chodźmy na lunch - zaproponował Wesley Sorenson. Musimy porozmawiać. Sam na sam.

- Trochę rzucam się w oczy, stary, jeżeli jeszcze tego nie zauważyłeś. Chyba że wybierzemy restaurację w najbardziej zakazanej części miasta, gdzie ty będziesz bardziej zwracał uwagę niż ja. - W takim razie skreślmy i jedno, i drugie. Zoo w Rock Greek Park. Ptaszarnia. Jest tam budka z hot dogami, którą pokazały mi moje wnuki. Mają zupełnie niezłe hot dogi. Z chili.

- Kiedy?

- Sprawa jest pilna. Zdażysz za dwadzieścia minut?

- Chyba będę musiał.

Oliver Mosedale, pięćdziesięcioletni naukowiec współpracujący z Foreign Office i doradca ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, nalewał sobie brandy, a w tym czasie jego młoda gospodyni nabiwszy fajkę, podała mu ją.

- Dziękuję, moje dziecko - powiedział, podchodząc do wielkiego, skórzanego fotela przed telewizorem. Zacisnąwszy zęby na cybuchu, usiadł z westchnieniem, postawił drinka na stoliku obok, sięgnął do kieszeni i zapalił fajkę złotą zapalniczką Dunhill. - Cały wieczór był właściwie koszmarnym nudziarstwem oznajmił. - Szef kuchni był z całą pewnością pijany, jestem pewien, że canard a l'orange był namoczony w oranżadzie, a ci idioci ze Skarbu mają ochotę obciąć nasz budżet do takiego poziomu, że nie bylibyśmy w stanie reprezentować Lichtensteinu, a co dopiero resztek Imperium Brytyjskiego. Co jest równie głupie jak irytujące. - Biedna kaczuszka - uzalila się piersiasta dwudziestoletnia gospodyni z bardzo wyraźną cockneyowską wymową. - Pracujesz zbyt ciężko i o to chodzi.

- Proszę, nie wspominaj mi o kaczkach, moja droga.

- Co?

- Rzekomo jadłem je na obiad.

- Przepraszam... Wiesz, pomasuję ci kark, to zawsze cię rozluźnia. Dziewczyna stanęła za fotelem i pochyliła się nad swoim pracodawcą. Jej obfite piersi wysuwające się z dekoltu dotykały czubka głowy Mosedale'a, podczas gdy dłonie przesuwaly się po jego karku i ramionach.

- Cudownie - jęknął przeciągle. Sięgnął po brandy i popijał ją małymi łykami, pykając co chwila fajką. - Bardzo dobrze to robisz, ale w końcu wszystko robisz dobrze, prawda?

- Staram się, Ollie, kochanie. Jak już chyba mówiłam, wychowano mnie w szacunku dla lepiej urodzonych ludzi i nauczono, żebym spełniała ich życzenia. Nie jestem jedną z tych łajz, które ciągle wrzeszczą o uprzywilejowanych klasach. O nie. Mamusia zawsze mi powtarzała: "Gdyby Pan Bóg chciał, żebyś mieszkała w pałacu, urodziłabyś się tam." A moja mamusia jest mądrą kobietą. Mówiła też, że powinniśmy być dumni mogąc służyć lepszym od nas, bo gdzieś w Biblii jest napisane, że lepiej dawać niż brać, albo coś w tym rodzaju. Oczywiście, tatuś pracuje w dokach i bynajmniej nie jest taki inteligentny jak mamusia...

- Nie musisz nic mówić, moje dziecko - przerwał jej Mosedale, marszcząc brwi w odruchu powstrzymanej irytacji. - A właściwie chyba nadeszła pora na dziennik BBC, prawda? - Spojrzył na zegarek. - No tak! Starczy tego masażu, cukiereczku. Może włączyłabyś telewizor, a potem poszła na górę i wykapała się. Za chwilę do ciebie przyjdę, więc na mnie czekaj, aniolku.

- Jasne, Ollie. I będę miała na sobie tę nocną koszulkę, którą tak bardzo lubisz. Bóg świadkiem, że łatwo ją włożyć. - Gospodyni i konkubina w jednej osobie podeszła do telewizora, włączyła go i ustawiła odpowiedni kanał. Posłała Mosedale'owi pocałunek i kołysząc prowokacyjnie biodrami, ruszyła w stronę schodów. Spiker BBC beznamiętnym głosem i z równie beznamiętnym wyrazem twarzy zaczął od aktualnych wydarzeń na Bałkanach, przeszedł do wiadomości z Afryki Południowej, krótko omówił osiągnięcia Królewskiej Akademii Nauk, aż wreszcie, po sekundowej przerwie z ekranu padły słowa, które spowodowały, że Oliver Mosedale wyprostował się i wbił wzrok w twarz na ekranie: - Z Whitehallu nadchodzą wiadomości, że wielu członków Parlamentu oraz przedstawicieli administracji jest niezwykle wzburzonych poczynaniami brytyjskich służb wywiadowczych, które to poczynania przybierają postać brutalnego wtrącania się do ich życia prywatnego. Jeffrey Billows, poseł z Manchesteru, zabrał głos w Izbie, aby potępić postępowanie, które nazwał taktyką "państwa policyjnego". Stwierdził on, że przeprowadzono wywiad na temat jego osoby wśród sąsiadów, a także u jego proboszcza. Inny poseł, Angus Ferguson, zawołał ze swojego miejsca, że w jego przypadku nie tylko wypytywano sąsiadów, ale również przejrano jego śmiecie, a w księgarni, której jest stałym klientem, interesowano się, jakiego rodzaju książki kupuje. Najwidoczniej spod tych działań nie zostało wyłączone nawet Foreign Office, ponieważ wielu wyższych urzędników oświadczyło, że złożą rezygnację, zanim zostaną poddani takiemu "nonsensownemu śledztwu", jak określił to jeden z nich. Na żądanie

ministra spraw zagranicznych ich nazwiska nie zostały ujawnione. Incydenty te wydają się lustrzanym odbiciem sytuacji w Stanach Zjednoczonych, gdzie wybitni przedstawiciele sfer rządowych i innych wpływowych kręgów są poddani podobnym naruszeniom prywatności. W "Chicago Tribune" pojawił się artykuł pod wymownym tytułem: Czy jest to polowanie na niepoprawnych komunistów czy odrodzonych faszystów? BBC będzie informowała państwa o dalszym rozwoju wydarzeń. A teraz przejdźmy do przykrych i aż nadto dobrze znanych wyczynów rodziny królewskiej... Mosedale zerwał się z fotela, wyłączył telewizor i podbiegł do telefonu umieszczonego na stoliku pod ścianą. Gorączkowo wybrał numer.

- Co się u diabła dzieje? - wrzasnął.

- Masz czas, Rute - odezwał się w słuchawce kobiecy głos. Mieliśmy zamiar zadzwonić do ciebie wcześniej rano, sugerując, żebyś nie szedł do Whitehallu. Jeszcze nie dotarli do twojego wydziału, ale są blisko. Masz rezerwację na lot British Air do Monachium jutro w południe. Bilet na twoje nazwisko. Wszystko zostało przygotowane. - To mi nie wystarcza. Chcę zniknąć już dziś w nocy!

- Poczekaj przy telefonie, sprawdzę w komputerze. - Cisza, która zapadła w słuchawce, była dla Mosedale'a torturą. Wreszcie głos odezwał się znowu. - O jedenastej trzydzieści jest samolot Lufthansy do Berlina. Zdasz?

- Jasne że zdążę. - Oliver Mosedale odłożył słuchawkę, przeszedł do holu i stanąwszy u stóp schodów, zawołał: - Aniolku, zacznij pakować mi walizkę! Tylko zwykła zmiana ubrania, jak poprzednio. Szybko! Rozneglizowany "aniołek" pojawił się przy balustradzie na podeście.

- Dokąd się wybierasz, kochanie? Właśnie miałam włożyć koszulkę, którą tak lubisz zdejmować. A potem będzie jak w niebie, prawda, Ollie?

- Zamknij się, i rób co ci powiedziałem! Zatelefonuję w jeszcze jedno miejsce i kiedy skończę rozmowę, moja walizka ma być na dole! - Mosedale pobiegł z powrotem do telefonu, podniósł słuchawkę i jeszcze raz wybrał gorączkowo numer. - Wyjeżdżam powiedział, słysząc mruknięcie.

- Mój wyświetlacz połączeń informuje mnie, że rozmawiam z numerem Rutę. Czy nazwa kodowa brzmi Switch?

- Dobrze wiesz, że tak. Zadbaj o moje sprawy tu, w Londynie. - Już to zrobiłem. Dom jest wystawiony na sprzedaż i po dokonaniu transakcji, saldo zostanie przetelegrafowane do Berna. - Pewnie weźmiesz połowę...

- Przynajmniej, Herr Rute - przerwał mu głos w słuchawce. Uważam, że to zupełnie sprawiedliwe. Ile tysięcy przysłałem do Zurichu narażając własną głowę?

- Ale przecież jesteś jednym z nas!

- Ależ nie, mylisz się. Jestem jedynie prawnikiem na usługach niegodziwców, którzy równie dobrze mogą być zdrajcami Korony. Skąd mógłbym to wiedzieć?

- Jesteś zwykłym, paskudnym waluciarzem!

- Znowu się mylisz, Switch. Jestem pośrednikiem, chociaż często sprawia mi to przykrość. I prawdę mówiąc, Switch, będziesz miał szczęście, jeżeli uda ci się dostać dziesięć funtów za swój dom. A wiesz dlaczego? Bo tak naprawdę, wcale cię nie lubię.

- Pracowałeś dla mnie... dla nas... od lat! Jak możesz powiedzieć teraz coś takiego?

- Bardzo łatwo, mogę cię zapewnić. Żegnaj, Switch, i pragnę cię pocieszyć, że jedna rzecz pozostaje między nami nie zmieniona, a jest nią tajemnica zawodowa adwokata wobec klienta. Na tym polega moja siła. Prawnik odłożył słuchawkę, a Mosedale rozejrzał się po ogromnym salonie, przerażony samą myślą, że nigdy już nie zobaczy tak wielu pamiątek minionego życia. Potem wyprostował się gwałtownie, przypominając sobie słowa, które jego ojciec wykrzyknął z górnego podestu schodów w chwili ogłoszenia wojny: "Będziemy walczyć za Anglię, ale oszczędzimy Herr Hitlera! W wielu sprawach ma on zupełną rację! Niższe rasy mszczą nasze narody. Wygramy ten przypadkowy konflikt, stworzymy zjednoczoną Europę i uczynimy go kanclerzem całego kontynentu!" Młoda dziewczyna, którą nazywał "aniołkiem", zeszła po schodach z walizką w ręku, ubrana jedynie w króciutką koszulkę nocną. - Słuchaj, kochanie, co się właściwie dzieje?

- Może będę mógł później po ciebie przysłać, ale chwilowo muszę wyjechać.
- Później? O czym mówisz, Ollie?
- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Muszę zdążyć na samolot.
- A co ze mną? Kiedy wrócisz?
- Nieprędko.
- No cóż, to nie jest mile z twojej strony! A co ja niby mam robić? - Zostań tu, dopóki ktoś cię nie wyrzuci.
- Wyrzuci?
- Słyszałaś, co powiedziałem. Mosedale chwycił walizkę, podbiegł do frontowych drzwi, otworzył je i stanął jak wryty. Londyńska mgła zmieniła się w ulewę, a na ceglanych schodach prowadzących do jego domu stało dwóch mężczyzn w płaszczach przeciwdeszczowych. Za nimi na ulicy widać było czarną furgonetkę z poziomą anteną na dachu. - Pański telefon był na podsłuchu na podstawie regulaminowego nakazu - oznajmił jeden z mężczyzn. - Proszę z nami. - Ollie! - zawołała z holu skąpo ubrana dziewczyna. - Nie przedstawiś mnie swoim przyjaciółkom?

Krzyki dzieci, prowadzonych grupami przez rodziców i przewodników, mieszały się z wrzaskami niezliczonych ptaków widocznych za wykonanymi z siatki ścianami wielkiej ptaszarni ogrodu zoologicznego Rock Creek Park. W hałaśliwych tłumach turystów wyróżniali się mieszkańcy Waszyngtonu, którzy uciekając od gorączkowego tempa stolicy, wybrali się do parku na spokojną przechadzkę. Natykając się na hordy przybyszów, tubylcy zazwyczaj szybko kończyli swoje spacer, chroniąc się w ciszy milczących pomników. Nagle, wyjątkowo obrzydliwy kondor o niemal trzymetrowej rozpiętości skrzydeł sfrunął z wysokiej grzędy i z przeraźliwym krzykiem wczepił pazury w siatkę ogromnej klatki. Dzieci i dorośli cofnęli się odruchowo, a w płonących wściekłością oczach wielkiego ptaka pojawiło się pełne wrogości zadowolenie.

- Wygląda na mamuszkę wszystkich drapieżników, prawda? oznajmił Knox Talbot, stając za Wesleyem Sorensonem.
- Nigdy nie potrafiłem pojąć twojej skłonności do używania słowa "mamuśka" w odniesieniu do każdej potworności - odparł dyrektor wydziału, patrząc prosto przed siebie.
- Pomyśl o nieustępliwości. W końcu to właśnie ciągła, agresywna ochrona swoich młodych przez kobiety pozwoliła nam przetrwać epokę lodowcową.- A czym według ciebie zajmowali się wtedy mężczyźni?
- Właściwie tym samym co obecnie. Polowali, podczas gdy kobiety broniły jaskiń przed bestiami o wiele bardziej niebezpiecznymi niż ofiary myśliwych.
- Jesteś bardzo uprzedzony.
- Jestem po prostu bardzo żonaty, a te wnioski była uprzejma wyciągnąć moja żona. Ponieważ jesteśmy razem zaledwie trzydzieści sześć lat, po co prowokować konflikty na tak wczesnym etapie. - Chodźmy na hot doga. Kiosk jest jakieś pięćdziesiąt metrów w lewo i będziemy mogli usiąść na ławce. Zazwyczaj pełno tam ludzi, więc chyba nikt nie zwróci na nas uwagi.
- Po chili mam gazy.
- Spróbuj z kapustą.
- Jeszcze gorzej.
- W takim razie tylko z musztardą.
- Czy kiedykolwiek widziałeś, z czego robią hot dogi, Wes? - A ty?
- Mam wrażenie, że jestem właścicielem jakiejś firmy, która je produkuje. Siedem minut później Sorenson i Talbot siedzieli obok siebie, przypominając raczej dwóch dziadków cieszących się chwilą wytchnienia od swoich rozbrykanych wnuków.
- Jest coś, o czym nie mogę ci powiedzieć, Knox - zaczął dyrektor. - I będziesz na mnie cholernie wściekły, kiedy się o tym dowiesz.
- Coś takiego jak usunięcie przez nas nazwiska Moreau z listy Harry'ego Lathama, którą ci przysłaliśmy?

- Istnieje pewna analogia.
- W takim razie jesteśmy na zero. Acomimożesz powiedzieć?
- Przede wszystkim mogę ci przekazać, że nadeszła prośba od byłego pracownika G-2, który w złych czasach działał w zachodnich sektorach Berlina. Nazywa się Witkowski, pułkownik Stanley Witkowski...
- Obecny szef ochrony ambasady w Paryżu - przerwał mu Talbot.
- Znasz go?
- Tylko ze słyszenia. Jest tak doskonałym facetem, że byłby tuż za tobą w kolejce do mojego stolka, gdyby poznano się na nim tak, jak na to zasługuje. Ale nic z tego, działał w "strefie ciszy".
- A w chwili obecnej najwyraźniej działa jako łącznik Harry'ego Lathama, który nie chce ryzykować osobistego kontaktu z Langley.
- Komputery AAZero?
- Oczywiście... Latham chce uzyskać poufny kanał łączności z tobą, ale cię nie zna. Pamiętaj, że zostałeś dyrektorem CIA dopiero w obecnej administracji, niemal dwa lata po tym, jak Harry zaczął swoją misję. A ponieważ zna Witkowskiego z dawnych czasów, zwrócił się do niego, a że ja również znam pułkownika z tego okresu, postanowił wykorzystać mnie jako ów poufny kanał. - Logiczne - oznajmił Talbot, kiwając głową.
- Może i logiczne, - Knox, ale później, kiedy będę mógł ci wszystko wyjaśnić i zobaczysz całą ironię tej sprawy, może nawet mi wybaczysz.
- Czego więc oczekujesz ode mnie?
- Istnieje człowiek, niemiecki lekarz, który może odgrywać ogromną rolę w nazistowskim ruchu, a może wprost przeciwnie, jest kimś, kogo sumienie skłoniło do wystąpienia przeciwko neofaszystom. Musimy dowiedzieć się o tym facecie wszystkiego co możliwe, a wy jesteście w tym wypadku największymi specami. - Słyszałem o tym - przytaknął Talbot. - Jak się nazywa?
- Kroeger, Gerhardt Kroeger. Gruba ryba.
- No proszę.
- Będziesz musiał załatwić wszystko dyskretnie i w głębokiej tajemnicy. Jego nazwisko nie może pojawić się w Agencji.
- Znowu komputery AAZero?
- Odpowiedź brzmi: tak, ale może być jeszcze coś poza komputerami. Możesz załatwić tę sprawę?
- Chyba tak. Kiedy przyjąłem tę robotę, wymogłem, że zabiorę ze sobą sekretarkę, która pracuje ze mną od dwudziestu lat. Jest szybka i bystra do tego stopnia, że nawet nie muszę kończyć zdania. Jest także Brytyjką, co daje jej najwyraźniej jakąś przewagę nad nami, mieszkańcami kolonii... Kroeger, Gerhardt, medyk. Poproszę, by poszła osobiście do sejfów i wyciągnęła wszystko, co tam jest. - Dziękuję.
- Proszę cię uprzejmie. Zadzwoń, kiedy dostanę dokumenty. Wypijemy parę szklaneczek u mnie w domu.
- Bardzo chętnie.
- Jest jeszcze coś, o czym żaden z nas nie wspomniał, prawda, Wesley?
- Oczywiście, chodzi ci o polowanie na czarownice. Lista Harry'ego zaczyna wymykać się spod kontroli.
- Kilka minut przed twoim telefonem pomyślałem dokładnie to samo. Słyszałeś ostatnie wiadomości z Wielkiej Brytanii? - Tak. Awantura w Parlamencie. Nawet bezpośrednio aluzje do tego, co dzieje się u nas. Przypuszczam, że nie dało się tego uniknąć. Tua culpa, sekretarzu Bollinger. Mam nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę.
- W takim razie jeszcze o tym nie słyszałeś. Chyba dostaliśmy ten pasztet przed tobą.
- O czym mówisz?
- O facecie, który nazywa się Mosedale. Wysoki urzędnik Foreign Office.
- I co?

- Kiedy mu przedstawiono kilka możliwości jego dalszych losów, postanowił zeznawać. Pracował dla Bractwa przez ostatnie pięć lat. Jest na liście Harry'ego i twierdzi, że takich jak on są wszędzie setki, może nawet tysiące.
- Rany boskie. No to mamy pożar w składach amunicji. Wszędzie.

* * *

ROZDZIAŁ 14

Gerhardt Kroeger zszedł z ruchomego chodnika w Porcie Lotniczym Orly, trzymając w ręku bagaż podręczny - torbę medyczną i średniej wielkości nylonową walizkę. Skręcił w lewo i ruszył długim betonowym korytarzem, aż dotarł do miejsca opatrzonego napisem PETITE CARGAISON - drobne przesyłki. Przyglądał się poruszającym się tu pojazdom, i wreszcie zwrócił uwagę na kilka wózków stojących przed wielkimi, przesuwanymi metalowymi drzwiami, przez które przewożono odprawione paczki i pudła z towarem. Zobaczył to, czego się spodziewał: szarą furgonetkę z białym napisem ENTREPOTS AVIGNON, Magazyny Avignon - ogromne składy handlowe, gdzie ponad setka hurtowników trzymała towary przed dostarczeniem ich do sklepów detalicznych w całym Paryżu. I gdzieś w tym przypominającym labirynt kompleksie budynków znajdowała się kwatery blitztragerów, elity zabójców Bractwa. Doktor podszedł do opartego o burtę pojazdu mężczyzny w białoczerwonej sportowej koszulce z krótkimi rękawami. Tak jak mu polecono.

- Czy przywieziono Malasol, monsieur? - zapytał.
- Najlepszy kawior z irańskich wód - odparł muskularny mężczyzna w sportowej koszulce, odrzucając papierosa i popatrzył na Kroegera.
- Czy rzeczywiście jest lepszy od rosyjskiego? - zadał drugie pytanie Gerhardt.
- Każdy jest lepszy od rosyjskiego.
- Dobrze. W takim razie wiesz, kim jestem.
- Nie, nie wiem, kim pan jest, monsieur, i wcale mnie to nie obchodzi. Wsiadaj pan na tył, do rybek, pojedziemy do kogoś, kto pana zna. Jazda napawała Gerhardta obrzydzeniem, zarówno ze względu na wszechogarniający zapach ryb, jak i na fakt, że musiał siedzieć na twardej ławce, podczas gdy furgonetka pędziła po tak wyboistych drogach, jakby były pozostałościami Linii Maginota. Wreszcie po niemal trzydziestu minutach samochód zatrzymał się i z niewidocznego głośnika f ozległ się ostry głos.
- Wysiadać, monsieur. I proszę pamiętać, że nigdy pan nas nie widział, my też pana nie widzieliśmy i nigdy nie jechał pan naszą ciężarówką. Tylnie drzwi furgonetki otworzyły się automatycznie. Kroeger chwycił swój bagaż, pochylił się, aby nie uderzyć głową w dach, i zgięty wpół ruszył w stronę wyjścia i świeżego powietrza. Młody mężczyzna w ciemnym garniturze przyglądał mu się uważnie, gdy tymczasem furgonetka odjechała z piskiem opon.
- Cóż to za środek transportu? - zawołał Gerhardt. - Czy pan wie, kim jestem?
- A czy pan wie, kim my jesteśmy, Herr Kroeger? Jeżeli tak, pańskie pierwsze pytanie było głupie.
- Omówimy tę sprawę, gdy spotkam się z pańskimi przełożonymi. Proszę zaprowadzić mnie do nich natychmiast!
- Nie mam żadnych przełożonych, Herr Doktor. Chciałem się spotkać z panem osobiście.
- Ale jest pan... jest pan...
- Taki młody?.. Tylko młodzi mogą robić to co my. Nasz refleks jest teraz najszybszy, nasze ciała najsprawniejsze. Stary człowiek, taki jak pan, byłby odrzucony w czasie pierwszych godzin sprawdzianu. - W takim razie pan sam powinien zostać zdyskwalifikowany w ciągu dwóch godzin za niewykonywanie rozkazów!
- Nasz zespół jest najlepszy. Czy mogę przypomnieć, że zlikwidowaliśmy jeden z obiektów w najbardziej nie sprzyjających warunkach... - Ale niewłaściwy, durniu!
- Znajdziemy i drugi. To tylko kwestia czasu.

- Nie mamy czasu! Musimy bardziej szczegółowo omówić ten temat. Coś przegapiliście. Przejdźmy do waszej centrali.
- Nie! Porozmawiamy tutaj. Nikt nie wchodzi do naszych biur. Załatwiliśmy dla pana lokum w hotelu "Lutetia", który swego czasu był główną kwaterą gestapo. Wygląd budynku się zmienił, ale odpowiednie wspomnienia wciąż tkwią w tych murach. Będzie się pan tam czuł doskonale, Herr Doktor.
- Musimy porozmawiać natychmiast.
- W takim razie rozmawiajmy, Herr Kroeger. Nie ruszymy się stąd.
- Jest pan niesubordynowany, młody człowieku. Dopóki nie zostanie wyznaczony następca von Schnabego, jestem obecnie komendantem Vaclabruck. Będzie pan wykonywał moje rozkazy. - Śmiem być innego zdania, Herr Doktor. W chwili usunięcia generała von Schnabego otrzymaliśmy instrukcje, aby przyjmować rozkazy wyłącznie od naszego przywódcy z Bonn.
- Kto nim jest?
- Gdybym wiedział, miałbym obowiązek zachować tajemnicę, ale ponieważ nie wiem, nie ma to żadnego znaczenia. Używamy wyłącznie kodów i za ich pośrednictwem identyfikujemy najwyższą władzę. Wszystkie nasze zadania muszą być zatwierdzane przez niego i tylko przez niego.
- Ten Harry Latham musi być wytropiony i zabity. Nie ma chwili do stracenia!
- Zdajemy sobie z tego sprawę. Takie mamy wyraźne zlecenie z Bonn.
- Ale stoi pan spokojnie przede mną i oznajmia, że jest to "tylko kwestia czasu"!
- Krzyki nic tu nie pomogą, meiri Herr. Czas mierzymy w sekundach, minutach, godzinach, dniach, tygodniach i... - Dostyc! Sytuacja jest krytyczna i żądam, aby zdał sobie pan z tego sprawę.
- Zdaję sobie... zdajemy, proszę pana.
- Co więc zrobiliście, co robicie? I gdzie do diabła są dwaj pańscy ludzie? Miał pan od nich wiadomość? Młody Blitztrager stał sztywno wyprostowany, ale w jego oczach pojawiła się niepewność, gdy odpowiadał powoli, cichym głosem:
- Jak już wyjaśniłem Catbirdowi, Herr Kroeger, istnieje kilka możliwości. Uciekli, ale są ranni, nie wiadomo jak poważnie. Gdyby ich sytuacja była beznadziejna, postąpiliby honorowo, zgodnie z przysięgą, i odebrali sobie życie za pomocą cyjanku albo kuli. - Chce pan dać mi do zrozumienia, że nie miał pan od nich wiadomości.
- Tak jest, proszę pana. Ale wiemy, że uciekli samochodem. - Skąd to wiadomo?
- Było o tym w gazetach oraz dziennikach radiowych i telewizyjnych. Dowiedzieliśmy się również, że są prowadzone intensywne poszukiwania, łapanka przy użyciu policji, Surete, nawet Deuxieme Bureau. Są wszędzie: w miastach, wioskach nawet w lasach i wśród wzgórz, przesłuchują każdego lekarza w promieniu dwóch godzin jazdy od Paryża.
- Uważa pan, że pańscy ludzie popełnili podwójne samobójstwo. Wspomniał pan jednak i o innych możliwościach. Co miał pan na myśli?
- Tamto jest ostatecznością, ale można również przyjąć, że odzyskali siły i leczą się, gdzieś gdzie nie ma dostępu do telefonu. Jak pan zdaje sobie sprawę, jesteśmy wyszkoleni, aby jak zwierzęta wylizywać rany w odosobnieniu, do momentu gdy odzyskamy siły w takim stopniu, aby nawiązać kontakt. Wszyscy jesteśmy przeszkoleni w opatrywaniu ran ciętych i postrzałowych oraz składaniu połamanych kości.
- Wspaniale. Oddam więc mój dyplom i będę odsyłał swoich pacjentów do was.
- To nie żarty, mein Herr. Po prostu jesteśmy przeszkoleni w sztuce przeżycia.
- A jeszcze inne możliwości?
- Pyta pan, czy mogli zostać schwytani, prawda?
- Tak.
- Wiedzielibyśmy... nasi informatorzy w ambasadzie dowiedzieliby się o tym, a poza tym łapanka organizowana jest wcale nie na pokaz. Francuskie władze wysłały ponad setkę ludzi na poszukiwania naszej grupy. Obserwujemy ich i podsłuchujemy. - Jest pan przekonujący. A co dalej? Czym się zajmujecie? Harry Latham musi zostać odnaleziony!

- Jestem przekonany, że zbliżamy się do celu, proszę pana. Latham jest pod ochroną organizacji "Antyninus"...
- Wiemy o tym... - przerwał mu gniewnie Kroeger. - Ale nic nam to nie daje, jeżeli nie wiecie, gdzie są albo gdzie go ukryli. - Możemy poznać lokalizację ich kwatery głównej w ciągu dwóch godzin, mein Herr.
- Co?... Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej?
- Ponieważ wolałem przedstawić panu konkretny fakt, a nie domysły. Powiedziałem "możemy poznać", ale jeszcze jej nie znamy. - W jaki sposób?
- Telefoniczny kontakt z organizacją utrzymywany jest za pośrednictwem szefa ochrony ambasady, którego telefon, podobnie jak telefon ambasadora, jest sprawdzany, czy nie jest na podsłuchu. Istnieje jednak dziennik przeprowadzanych przez niego rozmów. Wprawdzie zabezpieczony, ale nasz człowiek sądzi, że może do niego zajrzeć i skopiować odpowiednią stronę. Gdy zdobędziemy numery, bez trudu przekupimy kogoś w przedsiębiorstwie telekomunikacyjnym, aby ustalić lokalizację. Dalej będzie to tylko proces eliminacji.
- Chyba zbyt proste. Mam wrażenie, że zastrzeżone numery są dobrze chronione. Wiemy, jak pilnujemy naszych. Wątpię, czy będzie pan mógł wejść do gabinetu urzędnika i położyć pieniądze na biurku. - Nie będziemy wchodzić do żadnych gabinetów. Użyłem słowa "ustalić". Odnajdziemy pracownika zajmującego się podziemnymi łączami telekomunikacyjnymi, który ma dostęp również do zastrzeżonych lokalizacji zarejestrowanych w komputerze. Musi go mieć, aby przeprowadzać instalacje nowych połączeń i naprawy. - Widzę, że zna się pan na tych sprawach, Herr... Jak się pan nazywa?
- Nie mam nazwiska, żaden z naszych go nie ma. Jestem numer Zero Jeden Paryż. Chodźmy, załatwiłem panu transport. Będziemy w stałym kontakcie. Być może porozumiem się z panem już kilka minut po pańskim przybyciu do hotelu. Siedząc przy biurku w swoim apartamencie w Maison Rouge należącym do organizacji "Antyninus", Drew podniósł słuchawkę, wybrał numer ambasady i poprosił centralę, aby połączyła go z panią de Vries w dziale Dokumentacji i Analiz.
- Tu Harry Latham - powiedział, słysząc głos Karin. - Czy możemy rozmawiać?
- Tak, proszę pana, jestem sama, ale najpierw mam dla pana polecenia. Wezwał mnie ambasador i polecił, abym przekazała je panu, gdy tylko pan zadzwoni.
- Proszę mówić - rzekł Latham. Zmrużył oczy i zaczął uważnie słuchać. Karin miała właśnie przekazać mu wiadomość. Wziął do ręki ołówek.
- Ma się pan skontaktować z naszym kurierem numer szesnaście na górnym przystanku funiculaire pod SacreCoeur o 9.30 wieczorem. Ma dla pana polecenia z Waszyngtonu... Zrozumiał pan, non! - Tak, zrozumiałem - odparł Drew, wiedząc, że użycie non zamiast poprawnego n'est-cepas, oznacza, że powinien zignorować tę informację. Witkowski, zdając sobie sprawę, że telefon Karin jest na podsłuchu, zastawiał kolejną pułapkę. - Czy coś jeszcze? - Tak. Miał pan o 8.45 spotkać się koło kaskady w Lasku Bulońskim z przyjacielem pańskiego brata Drew z londyńskiego biura Operacji Konsularnych, prawda?
- Owszem, takie były ustalenia.
- Spotkanie zostało odwołane. Nakłada się ze spotkaniem przy SacreCoeur.
- Czy może się pani z nim porozumieć i odwołać?
- Oui. Tak. Już to zrobiliśmy. Wyznamy następny termin i miejsce.
- Bardzo proszę. Może wyjaśnić mi pewne szczegóły związane z ostatnimi tygodniami Drew, szczególnie niektóre elementy sprawy Jodelle'a... Czy to wszystko?
- Jak na razie, tak. Czy ma pan coś dla nas?
- Tak. Kiedy mogę wrócić do ambasady?
- Damy panu znać. Jesteśmy przekonani, że znajduje się przez cały czas pod obserwacją.
- Nie podoba mi się to ukrywanie. Cholernie irytujące.
- Wie pan dobrze, że zawsze może pan wrócić do Waszyngtonu. - Nie! Tutaj zabito Drew, tutaj są jego zabójcy. Zostanę, dopóki ich nie znajdziemy.

- Doskonale. Zadzwoń pan jutro?

- Tak. Chcę więcej dokumentów z akt mojego brata. Wszystko, czym dysponował na temat tego aktora.

- Au revoir, monsieur.

- Cześć. Latham odłożył słuchawkę i zaczął czytać sporządzone przez siebie krótkie notatki - krótkie, ponieważ szybko zrozumiał użyty przez Karin szyfr. SacreCour była fałszywym miejscem spotkania, a kaskada w Lasku - prawdziwym. Non, eliminowało pierwszy punkt, podwójne agitak/ potwierdzało drugi. Pozostała część rozmowy była zwykłym wypełniaczem" mającym podkreślić, jak bardzo "Harry" Latham jest zdecydowany pozostać w Paryżu. Nie mógł wiedzieć, kogo ma spotkać w Lasku, ale był to zapewne ktoś, kogo powinien rozpoznać, albo też ta osoba sama postara się nawiązać z nim kontakt. Informator Bractwa w sekcji łączności ambasady, po zakończeniu zmiany wyszedł na avenue Gabriel, poczekał, a potem szybkim krokiem przeszedł przez jezdnię, ocierając się o mężczyznę siedzącego na motocyklu. Dyskretnie podał mu kasetę i motocykl wystartował w dół alei, przeciskając się przez gęsty ruch. Dwadzieścia sześć minut później, dokładnie o 4.37 po południu, taśma została dostarczona do konspiracyjnej kwatery głównej zabójców w Magazynach Avignon. Trzymając w ręku powiększoną fotografię Alexandra Lassitera/Harry'ego Lathama, Blitztrager TATO Jeden Paryż, po raz trzeci przesłuchiwał taśmę z zarejestrowaną rozmową Lathama z Karin de Vries.

- Wygląda na to, że nasze poszukiwania dobiegają końca oznajmił, wstając i wyciągając rękę, aby wyłączyć magnetofon kasetowy. - Kto pójdzie do SacreCoeur? - zapytał, zwracając się do kolegów siedzących wokół stołu konferencyjnego. Wszyscy podnieśli dłonie.

- Czterech wystarczy, większa grupa za bardzo rzucalaby się w oczy - stwierdził przywódca. - Rozdzielcie się i weźcie ze sobą fotografie. Pamiętajcie, że Latham z całą pewnością postara się zmienić wygląd.

- Co może zrobić? - zapytał Blitztrager siedzący najbliżej Zero Jeden. - Przykleić sobie wąsy i brodę? Znamy jego wzrost, budowę ciała, układ twarzy. Wreszcie podejdzie do kuriera, który będzie na niego czekał. Stojący mężczyzna lub kobieta. Łatwo będzie zauważyć kogoś takiego w rejonie kontaktu.

- Nie bądź takim optymistą, Zero Sześć - powiedział młody przywódca. - Pamiętaj, że Harry Latham jest doświadczonym tajnym agentem. My mamy swoje sztuczki, on też. I pamiętajcie na litość boską, że trzeba go zabić strzałem w głowę, albo też zadać mu coup de grace, tak by roztrzaskać lewą stronę czaszki. Nie pytajcie mnie dlaczego, ale musicie zapamiętać. Jeżeli masz tak poważne wątpliwości, czy dysponujemy odpowiednimi kwalifikacjami - wtrącił tonem ledwie ukrywanej wrogości starszy wiekiem Blitztrager, siedzący w drugim końcu stołu - to dlaczego nie pójdziesz sam?

- Polecenia z Bonn - odparł chłodno Zero Jeden. - Mam czekać na rozkazy, które nadejdą o dziesiątej wieczorem. Czy któryś z was chciałby zająć moje miejsce, jeżeli nie znajdziemy Harry'ego Lathama i trzeba będzie przekazać tę wiadomość? - Non. Nein. Oczywiście że nie - odpowiedzieli siedzący wokół stołu, jedni uśmiechając się, drudzy ponurym tonem. - Ja natomiast zajmę się Laskiem Bulońskim.

- Po co? - zapytał Zero Siedem. - Spotkanie zostało odwołane, sam słyszałeś taśmę.

- A czy któryś z was nie pomyślał, że warto sprawdzić również Lasek? Po prostu, aby ustalić, czy tak wyraźne zaprzeczenie, nie jest przypadkiem sygnałem potwierdzającym, albo czy plany nie zostały ponownie zmienione?

- Masz rację - przytaknął Zero Siedem.

- Być może moje podejrzenia są niesłuszne - przyznał młody przywódca. - W każdym razie zajmie mi to nie więcej niż piętnaście, dwadzieścia minut. Potem wrócę i zdążę tu na dziesiątą. Natomiast z SacreCoeur nie wróciłbym na czas. Gdy zespół wyznaczony do przeprowadzenia akcji w SacreCoeur został już wybrany, Zero Jeden Paryż wrócił do swojego gabinetu i usiadł przy biurku. Czuł wyraźną ulgę, ponieważ jego mityczne instrukcje z Bonn nie zostały podane w wątpliwość ani też nikt nie nalegał, aby jako przełożony osobiście kierował zamachem na

Harry'ego Lathama. W końcu, odebrać wiadomość z Bonn równie dobrze mógłby ktoś inny. Prawdę mówiąc, nie miał ochoty brać udziału w akcji, ponieważ mogła się po prostu nie udać. Z powodu bardzo wielu nie dających się przewidzieć czynników. A Zero Jeden Paryż nie mógł dopuścić, aby w jego aktach znalazła się jeszcze jedna nieudana akcja. Jak na przykład ta, w której kierowca nie mógł dać sobie rady z Drew Lathamem, albo niepowodzenie grupy wysłanej w celu zlikwidowania dwóch Amerykanów, która nie zlikwidowała najważniejszego obiektu, a potem zniknęła. Lub też fiasko ich towarzyszki, która nie przeżyła akcji w Monte Carlo. Jeżeli Alexander Lassiter/Harry Latham zostanie w odpowiedni sposób zgładzony i jego czaszka ulegnie zniszczeniu, i tak całą zasługę przypisze się właśnie jemu, ponieważ plan zamachu był obmyślony przez niego. Jeżeli zasadzka zawiedzie, kto inny poniesie odpowiedzialność, ponieważ nie on kierował bezpośrednio akcją. Ponieważ Zero Jeden zdawał sobie sprawę z tego, o czym nie wiedzieli inni. Jako ich przywódca miał obowiązek być skuteczny. Jeżeli Blitztrager zawiódł raz, udzielano mu surowej nagany, a gdy sytuacja się powtórzyła, ginął, a jego miejsce zajmował następny przeszkolony zabójca. Jeżeli akcja pod SacreCoeur spali na panewce, Zero Jeden wiedział, kto zostanie wyeliminowany - na początek trzydziestoletni Zero Pięć, albowiem jego niechęć do zdecydowanie młodszego dowódcy zbyt często dawała o sobie znać... A poza tym za bardzo krytykował skład zespołu, który zniknął. "Jeden z nich to dzieciak co po prostu lubi zabijać, a drugi jest uparty jak osioł i za bardzo ryzykuje! Pozwól, żebym ja to załatwił!" i co gorsza powiedział to w obecności Zero Sześć. A teraz obydwaj mieli udać się do SacreCoeur i obydwaj zostaną zlikwidowani, jeżeli zamach się nie powiedzie. Zero Jeden nie mógł dopuścić do kolejnej plamy w swoich aktach - Musiał dostać się do wewnętrznego kręgu Bractwa, musiał zdobyć uznanie prawdziwych przywódców ruchu, samego nowego Fuhrera, aby dalej służyć mu duszą i ciałem. Przecież wierzył, szczerze wierzył w sprawę. Pójdzie więc z aparatem fotograficznym do Lasku Bulońskiego i zrobi wystarczająco dużo nocnych fotografii, z zarejestrowanymi na każdej czasem i datą wykonania, aby udowodnić, że istotnie się tam znajdował. Na wypadek gdyby potrzebował alibi. Zadzwoił telefon i młody dowódca blitztragerów drgnął gwałtownie. Podniósł słuchawkę.

- Hasło było właściwe - oznajmiła telefonistka. - Dzwoni kawior Malasol.

- Herr Doktor...

- Nie zadzwonił pan! - krzyknął Gerhardt Kroeger. - Czekam już od trzech godzin, a pan nie dzwoni.

- Tylko dlatego, że uściślaliśmy naszą taktykę. Jeżeli moi podwładni nie popełnią błędu, zrealizujemy nasze zadanie, mein Herr. Opracowałem wszystko w najmniejszym szczególe.

- Pańscy podwładni? A dlaczego nie pan?

- Otrzymałem sprzeczne informacje, proszę pana. Jedna z nich może się okazać o wiele bardziej niebezpieczna i być może w równym stopniu przydatna. Postanowiłem osobiście podjąć ryzyko sprawdzenia.

- Nic z tego nie rozumiem!

- Nie mogę wyjaśnić przez telefon.

- Dlaczego? Nieprzyjaciel nie ma najmniejszego pojęcia, kim jestem, ani że w ogóle tu jestem, a więc podsłuch w centrali hotelowej nie wchodzi w grę. Żądam, aby poinformował mnie pan dokładnie o tym, co się dzieje!

- W ciągu jednej godziny mamy szansę na dwie obiecujące sytuacje. Proszę powiedzieć Bonn, że Zero Jeden Paryż zrobił wszystko co w jego mocy, aby sprawdzić obie ewentualności, ale nie mógł być jednocześnie w dwóch miejscach i postanowił przeprowadzić bardziej niebezpieczną akcję. Tylko tyle mogę panu powiedzieć, mein Herr. Jeżeli zginę, proszę mnie dobrze wspominać. Muszę już iść.

- Tak... tak, oczywiście. Młody neofaszysta odłożył słuchawkę. Teraz, niezależnie od okoliczności, był kryty. Może więc wybierać się na długi, spokojny obiad w "Au Coin de Familie", potem przespaceruje się do kaskady w Lasku Bulońskim, robi bezużyteczne fotografie, i wróci do Magazynów Avignon, by czekać, co los przyniesie: albo wiadomość o

udanym zamachu, albo śmierć dwóch blitztragerów zlikwidowanych za nieudolność. Szczerze w to wierzył. Drew wędrował w Lasku Bulońskim wokół kaskady podświetlanej umieszczonymi pod wodą reflektorami i wypatrywał znajomej twarzy. Przybył na miejsce spotkania tuż po 8.30. Teraz była już niemal dziewiąta i wciąż nikogo nie rozpoznał, ani nikt do niego nie podszedł. Może źle zrozumiał polecenia Karin? Może Karin zakładała, że zmieniając znaczenie słów spowoduje, że podsłuchujący również odwróci znaczenie, a więc należało traktować je dosłownie. Nie, to było bez sensu. Mimo amsterdamskiej przeszłości Karin nie znali się przecież na tyle dobrze, aby bawić się w taką ciuciubabkę. Nie mieli żadnej tradycji intuicyjnego porozumiewania się w warunkach stresu. Latham spojrział na zegarek, była 9.30. Okrąży kaskadę jeszcze raz, a potem wróci do Maison Rouge.

- Americain! Odwrócił się gwałtownie, słysząc ten głos. To była Karin w blond peruce na głowie. Prawą rękę miała zabandażowaną. Idź na lewo szybko, zupełnie jakbym wpadła na ciebie. Z prawej jest mężczyzna, który robi fotografie. Spotkamy się na północnej ścieżce. Latham zrobił, co mu kazała, czując ulgę z powodu jej obecności ale jednocześnie zaniepokojony słowami Karin. Poszedł dalej leniwym krokiem spacerowicza, aż dotarł do znajdującej się z prawej strony wyłożonej płytami alejki. Przeszedł nią dziesięć, czy dwanaście metrów w głąb tworzącego nieomal tunel szpaleru drzew i zatrzymał się. Dwie minuty później pojawiła się Karin... i jakby przez przypadek, padli sobie w ramiona. Trzymali się w uścisku przez krótką, ale zarazem wystarczająco długą chwilę.

- Przepraszam powiedziała de Vries, odsuwając się łagodnie i odrzucając kosmyk blond peruki zabandażowaną prawą ręką. - A ja nie - przerwał jej Drew z uśmiechem. - Już od kilku dni bardzo tego chciałem.

- Czego?

- Objąć cię.

- Jestem po prostu zadowolona, widząc, że wszystko z tobą w porządku.

- Owszem.

- Bardzo się cieszę.

- Mnie równie miło było cię przytulać. - Latham roześmiał się ciepło. - Posłuchaj, moja pani, sama podsunęłaś mi ten pomysł. To ty zaproponowałaś, że wyjaśnisz w ambasadzie, że uważasz mnie za przystojnego i tak dalej, i tak dalej.

- Ale to nie miało być samospelniające się życzenie, Drew. Chodziło o wymówkę, wybieg taktyczny.

- Daj spokój, przecież nie jestem Quasimodo, prawda?

- Nie, jesteś wysokim, zupełnie przystojnym facetem, którego na pewno wiele kobiet uważa za zupełnie atrakcyjnego.

- Ale nie ty.

- Moje zainteresowania dotyczą czego innego.

- Chodzi ci o to, że nie jestem Freddie... niezrównanym Freddie de V.

- Nikt nie może być Freddie, ani ładny, ani brzydki.

- Czy to oznacza, że w dalszym ciągu liczę się w wyścigu? - Jakim wyścigu?

- Może po twoje uczucie, choćby odrobinę i na krótko.

- Czy chciałbyś się ze mną przespać?

- Do licha, to było dosadne. Pamiętaj, że pochodzę z Nowej Anglii. Bardzo dosadne, moja pani.

- Jesteś również krętaczem.

- Co takiego?

- Nie mówię, że kłamcą, to byłoby zbyt ostre.

- Co?

- A także brutalnym mężczyzną, który rozbija innych w czasie czegoś, co nazywa się meczem hokejowym. O, tak, słyszałam o tym. Harry mi opowiadał.

- Tylko wtedy gdy wchodzili mi w drogę. Nigdy bez potrzeby. - A kto o tym decydował?

- Chyba ja. - A więc udowodnilam. Jesteś wojowniczym osobnikiem.

- Co u diabła ma to wspólnego z czymkolwiek?
- Ale w tej chwili jestem wdzięczna, że taki jesteś.
- Słucham?
- Mężczyzna z aparatem, po drugiej stronie kaskady.
- O co chodzi? Ludzie robią zdjęcia nocnego Paryża. ToulouseLautrec go malował, a dzisiejsi "artyści" fotografują.
- Nie, jest neofaszystą. Czuję to, wiem o tym.
- Skąd?
- Sposób w jaki stoi, jego sposób bycia... taki agresywny. - Niezbyt przekonujący dowód.
- W takim razie dlaczego tu przyszedł? Ilu ludzi naprawdę robi zdjęcia w nocy w Lasku Bulońskim?
- Masz rację. Gdzie on jest?
- Jest, a może był, dokładnie po drugiej stronie. W południowej alejce.
- Zostań tutaj.
- Nie, pójdę z tobą.
- Do diabła, rób, co mówię.
- Nie możesz wydawać mi rozkazów!
- Nawet nie masz broni, a gdybyś ją miała, nie mogłabyś z niej strzelać. Masz całą rękę zabandażowaną.
- Mam broń, a gdybyś był bardziej spostrzegawczy, zauważyłbyś, że jestem leworęczna.
- Co?
- Chodźmy. Przebiegli między drzewami, aż dotarli do południowej alejki prowadzącej do iluminowanej kaskady. Mężczyzna wciąż tam był, wyprostowany jakby kij polknął, i od czasu do czasu fotografował spacerowiczów krążących wokół kaskady. Latham podszedł bezgłośnie, zaciskając dłoń na kolbie tkwiącego za paskiem pistoletu. - Podnieca cię robienie zdjęć ludziom, którzy nic o tym nie wiedzą? - zapytał stukając go w ramię. Blitztrager odwrócił się gwałtownie i na widok Drew, oczy wyszły mu z orbit.
- Ty! - zawołał gardłowo. - Ale nie, nie ten sam! Kim jesteś? - To ja mam do ciebie pytanie. - Latham schwycił mężczyznę za gardło i cisnął nim o pień drzewa. - Kroeger! - krzyknął. Kim jest Gerhardt Kroeger? Neonazista szybko odzyskał przytomność umysłu i usiłował kopnąć Drew w pachwinę. Latham odskoczył do tyłu, unikając ciosu i wyrzucił Niemca w twarz lufą pistoletu.
- Szukałeś mnie, sukinsynu, prawda?
- Nein! - wrzasnął neofaszysta. Krew spływała mu po twarzy, częściowo go oślepiając. - Nie jesteś człowiekiem z fotografii!
- Ale kimś podobnym, prawda? Ten sam typ twarzy, podobieństwo, co?
- Zwariowałeś! - krzyknął Blitztrager, usiłując zadać Drew śmiertelny cios kantem dłoni w kark. Latham chwycił go za przegub i wykręcił mu rękę. - Robiłem tylko zdjęcia! - Niemiec upadł ciężko w krzaki.
- A kiedy już to sobie ustaliliśmy - wydyszał ciężko Drew, klękając na faszycie i przygniatając mu kolanami klatkę piersiową pogadajmy o Kroegerze! - Latham przytknął lufę pistoletu między oczy nazisty. - Albo mi powiesz, albo będziesz miał dziurę w głowie! - Nie boję się śmierci!
- Doskonale, bo zaraz cię ona spotka. Masz pięć sekund, adolfie... Raz, dwa, trzy... cztery...
- Nein!... Jest tu, w Paryżu. Musi znaleźć Stinga!
- A ty myślałeś, że ja jestem Stingiem, co?
- Nie jesteś nim!
- Masz rację, nie jestem. Siadaj! Drew nie zorientował się, jak do tego doszło, ale nagle w prawej ręce neonazisty pojawił się wielki pistolet. Niespodziewanie, rozległ się głośny wystrzał, głowa Niemca odskoczyła do tyłu i z jego szyi trysnęła krew. Karin de Vries kolejny raz ocaliła życie Lathamowi. Podbiegła do niego.
- Nic ci się nie stało? - zawołała.

- Skąd on wziął broń? - zapytał wstrząśnięty, oszołomiony Drew.
- Z tego samego miejsca, co ty - odparła de Vries.
- Co?
- Zza paska. Schwyciłeś go i kazałeś mu usiąść. Właśnie wtedy zobaczyłam, że sięga pod marynarkę.
- Dziękuję...
- Nie dziękuj mi, rób coś. Ludzie uciekają od kaskady. Wkrótce będzie tu policja.
- Chodź! - rozkazał Latham, wsuwając pistolet za pasek i wyjmując z wewnętrznej kieszeni telefon komórkowy. - Między drzewa... Szybko. - Niezgrabnie przebiegli jakieś dziesięć metrów między ciemnymi zaroślami, aż wreszcie Drew podniósł rękę do góry. - Wystarczy - wydyszał, nie mogąc złapać tchu.
- Skąd to masz? - spytała Karin wskazując ledwo widoczny zarys telefonu.
- Organizacja - odparł Drew, mrużąc oczy i wciskając guziki, Są ledwo widoczne w słabym świetle padającym od kaskady, świetnie wyposażeni technicznie.
- Niezbyt przydatny sprzęt, jeżeli ktoś może kontrolować częstotliwości telefonów komórkowych. Ale może w krytycznej sytuacji...
- Stanley? - powiedział Latham, już jej nie słuchając. - Chryste, znowu to się stało! W Lasku Bulońskim neonazista obserwował rejon. Wysłano go, żeby mnie zlikwidował.
- I co?
- Nie żyje, Stosh. Karin zastrzeliła go, w chwili gdy miał mi palnąć w leb... Ale, Stanley, posłuchaj mnie. Powiedział, że Kroeger jest w Paryżu. Przyjechał, żeby znaleźć Stinga!
- Jak wygląda sytuacja?
- Jesteśmy w zaroślach obok ścieżki, osiem, dziesięć metrów od ciała.
- A teraz posłuchaj mnie uważnie - powiedział ostro Witkowski. - Jeżeli uda ci się to zrobić, nie wpadając na policję... do diabła, nawet jeżeli będzie takie ryzyko, wyczyść sukinsynowi kieszenie i przynieś wszystko tutaj!
- Tak jak zrobiłem z Harrym... - głos Drewa zniżył się do bolesnego szeptu.
- Zrób to teraz dla Harry'ego. Jeżeli wiadomość o tym Kroegerze nie jest kupą bzdurnych plotek, te zwłoki są naszym jedynym tropem, który do niego prowadzi.
- Przez chwilę myślał, że jestem Harrym. Powiedział, że ma jego zdjęcie.
- Tracisz czas!
- A jeżeli złapie mnie policja?...
- Wciskaj im cały ten znany urzędowy kit, żeby się od nich uwolnić. Jeżeli ci się nie uda, zadbam o to później, chociaż wolałbym nie załatwiać tej sprawy zgodnie z przepisami. Ruszaj się! - Zadzwońię do ciebie później.
- Postaraj się wcześniej niż później.
- Chodź - powiedział Latham, chwytając Karin za prawą rękę, tuż nad bandażem i pociągnął ją w stronę ścieżki.
- Z powrotem? - zawołała oszołomiona de Vries.
- Rozkazy pułkownika. Musimy działać szybko...
- Ale policja!
- Wiem, więc działajmy jeszcze szybciej... Muszę to zrobić! Zostań w alejce i jeżeli zjawi się policja, udawaj przestraszoną, co chyba nie powinno być dla ciebie zbyt trudne, i powiedz im, że twój chłopak wszedł w krzaki na siusiu.
- Rozsądne wytłumaczenie - przyznała Karin, biegnąc razem z Lathamem. - Bardziej amerykańskie niż francuskie, ale możliwe. - Odciągnę tego niedoszłego zabójcę głębiej w las i wyczyszczę go dokładnie. Zegarek też miał lepszy od mojego, zabiorę go sobie. Dotarli do alejki. Wokół kaskady było już właściwie pusto, pozostało jedynie kilku trzymających się na bezpieczną odległość, rozmilowanych w makabrze gapiów. Niektórzy spoglądali w stronę innych alejek, najwidoczniej oczekując na policję. Drew wciągnął trupa za nogi w krzaki i zaczął wyjmować zawartość kieszeni. Nie zawracał sobie głowy szukaniem broni, która o mały

włos nie przerwała jego życia. I tak niczego by się na jej podstawie nie dowiedział. Kiedy zakończył, wrócił biegiem do Karin i w tej samej chwili z dołu dobiegły krzyki:

- Les gendarmes, les gendarmes! De l'autre co te!

- Ou?

- Ou donc? Na szczęście w odpowiedzi na pytania dwóch oficerów policji, gdzie jest ta "druga strona", pozostali świadkowie wskazywali w rozmaitych kierunkach, w tym również na kilka zacienionych ścieżek. Poirytowani funkcjonariusze rozdzielili się i rozproszyli po alejkach. To wystarczyło, Latham i de Vries przemknęli do kaskady i w górę północnej ścieżki, aż teren znowu stał się płaski, i znaleźli się we wspaniałych letnich ogrodach otaczających niewielki staw, po którym w blasku reflektorów pływały łabędzie. Dostrzegli pustą ławkę i prawie bez tchu padli na nią, opierając się ciężko. Karin zerwała perukę wcisnęła ją do torebki i potrząsnęła głową, rozrzucając włosy. - Gdy tylko trochę ochłonę, zadzwonię do Witkowskiego wydyszał Drew. - Jak twoja ręka? Boli?

- Możesz teraz myśleć o mojej ręce?

- Cóż, złapałem ją, ponieważ w lewej dłoni wciąż trzymałaś pistolet i obawiałem się, że to cholerstwo może wystrzelić, jeżeli za nią złapię... to znaczy, chciałem powiedzieć, za twoją lewą rękę. - Wiem, co chciałeś powiedzieć. Nie miałam czasu schować go do torebki... Zadzwoń do pułkownika, proszę.

- Dobra. - Latham ponownie wyjął telefon komórkowy z kieszeni i wybrał numer, rad, że tym razem widzi dokładnie numery w świetle padającym od stawu. - Stanley, udało nam się - powiedział.

- Ktoś inny miał mniej szczęścia, kolego - przerwał mu pułkownik. - I nie wiemy, jak mogło do tego dojść.

- O czym mówisz?

- O tym neonazistowskim draniu, którego wysłałem dziś o piątej rano wojskowym samolotem do Waszyngtonu.

- Co się stało?

- Przyleciał do Bazy Lotniczej Andrews o wpół do czwartej rano, czasu D.C. Było zupełnie ciemno, został zastrzelony, kiedy pod eskortą wojskową prowadzono go do poczekalni.

- W jaki sposób?

- Karabin wyborowy z celownikiem noktowizyjnym na jednym z dachów. Oczywiście, nikogo nie znaleziono.

- Kto szukał?

- Nie wiem. Jak uzgodniliśmy, dałem znać kilku najwyższym rangą funkcjonariuszom Knoxa Talbota, że mamy autentycznego nazistę, kiedy przylatuje i tak dalej.

- I co?

- Ktoś wynajął strzelca.

- W jakim punkcie się więc znajdujemy?

- Zawężamy pole działania. Wiemy o komputerach AAZero, a teraz mamy jeszcze czterech czy pięciu zastępców dyrektora na liście. Tak się to robi, młody człowieku. Eliminuje się różne ewentualności, aż zostanie tylko jedna lub dwie.

- A co ze mną, co z Paryżem?

- Zabawa w kotka i myszkę, prawda, kolego? Ten Kroeger w równym stopniu chce znaleźć Harry'ego, czyli ciebie, co ty jego, prawda?

- Najwidoczniej tak, ale dlaczego?

- Dowiemy się o tym, dopiero kiedy go złapiemy.

- Nie powiem, żebyś mnie zbyt pocieszał...

- I wcale nie o to mi chodzi, bądźmy szczerzy. Chcę, żebyś był w każdej chwili ostry jak brzytwa.

- Cholernie ci dziękuję, Stosh.

- Dostarcz mi cokolwiek, co znalazłeś...

- Wzięłem wszystko, co tam było - przerwał z wściekłością Latham - więc mi nie mów "cokolwiek". Zapomniałem tylko tego cholernego zegarka!
- Bardzo mi się podoba twoja reakcja - rzekł pułkownik. Lubię gniew w sytuacjach takich jak ta. Moje mieszkanie, za godzinę, i trzy razy zmieniaj taksówkę.

* * *

ROZDZIAŁ 15

Płomienie strzeliły do góry, jaskrawymi błyskami rozświetlając ciemność. Gigantyczny kompleks Vaclabruck był już niemal ukończony; obejmował między innymi rozległe skoszone pole na zboczu pagórka, na którym zgromadziło się półtora tysiąca specjalnie dobranych członków Bractwa z całego świata. Noc była bezchmurna i pochodnie wypełniały ogromny naturalny amfiteatr, ciągnąc się wzdłuż jego obrzeży, jak również przed podium - umieszczonym na szczycie wzgórza długim stołem, za którym zasiadali przywódcy. Na usytuowanej centralnie trybunie stał mikrofon podłączony do rozstawionych po całym terenie głośników, a na szczycie wysokich masztów za podium trzepotały w powiewach wiatru podświetlone reflektorami krwistoczerwone i czarne flagi Trzeciej Rzeszy. Od oryginałów różnił je tylko jeden charakterystyczny szczegół: każdą swastykę przekreślał biały znak błyskawicy. Był to symbol Czwartej Rzeszy. Występowało już wielu mówców, wszyscy ubrani w wojskowe mundury hitlerowskich Niemiec i ich filipiki wprawiały widownię w stan coraz silniejszego, fanatycznego entuzjazmu. Wreszcie do mikrofonu zbliżył się przedostatni mówca. Zaciśnął dłonie na krawędziach trybuny, powiódł pełnym ognia spojrzeniem po zwartych szeregach i przemówił cichym, lecz władcym głosem:

- Słyszeliście dziś wołanie tych ludzi na całym świecie, którzy potrzebują nas, oczekują nas, żądają, abyśmy wzięli w swoje dłonie miecz i zaprowadzili powszechny ład, oczyszczając rasę i eliminując ludzkie i ideologiczne śmiecie, zatruwające cywilizowany świat. I jesteśmy GOTOWI! Oklaski i pulsujący ryk aprobaty odbił się echem od otaczającej amfiteatr ściany lasu, wprawiając w drżenie ziemię. Mężczyzna w mundurze podniósł dłonie, domagając się ciszy. Zapadła niemal natychmiast i mówca ciągnął dalej:

- Ale przewodzić nami musi Zeus, Fuhrer, doskonalszy niż Hitler: nie myślą, albowiem filozofia Adolfa Hitlera sięgnęła szczytu, ale siłą i determinacją, przywódca, który zniszczy wątpiących i nie da się powstrzymać przez kunktatorstwo wojskowych intelektualistów, zniweczy wrogów czystości rasy i zaatakuję, gdy uzna, że nadeszła pora! Historia dowiodła, że gdyby Trzecia Rzesza dokonała inwazji na Anglię, kiedy Adolf Hitler wydał taki rozkaz, świat byłby inny, o wiele lepszy od tego, który mamy obecnie. Do zaniechania inwazji skłonili go dyletanci z generalicji. Nasz nowy przywódca, nigdy nie dopuści do tak tchórzliwego zaniechania... Jednak choć wiem, że będzie to dla was rozczarowaniem, nie nadeszła jeszcze pora na odkrycie jego tożsamości, nawet przed wami. Zamiast tego nagrał dla was wszystkich i każdego z osobna to właśnie przesłanie. Mówca uniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. A gdy opuścił ją gwałtownie, ze wszystkich głośników rozległ się spotęgowany elektronicznie głos. Był dziwny - głęboki, ostry i zdecydowany, każda sylaba brzmiała jak cios topora spadającego na twarde drzewo. Na swój sposób przypominało to wystąpienia Hitlera - tu również historyczne punkty kulminacyjne następowały szybko jeden po drugim, ale na tym podobieństwa się kończyły. Ten mówca bowiem bardziej odpowiadał wymogom epoki - spokojne, wypowiedane wolno, z lodową precyzją słowa poprzedzały gwałtowne, przesadne wybuchy emocji podkreślające wagę przedstawianych wywodów. Wrażenia, jakie wywierała jego oracja, nie osłabiał monotony wrzask na jednej nucie, charakteryzujący wystąpienia Hitlera, Mówca przyciągał uwagę ciągłą zmianą nastroju - mówił spokojnie, jakby zwracając się swoim słuchaczom, pewien, że zrozumieją każdy wniosek, do którego zmierza, a potem nagradzał ich skupienie, potwierdzając krzykiem podjęte przez nich postanowienia. Era Wodnika minęła już dawno, zastąpiła ją era manipulacji. Lekcje z Madison Avenue rozeszły się po całym świecie. - Stoimy na początku drogi i przyszłość należy do nas! Ale sami dobrze o

tym wiecie. Wy, którzy z takim oddaniem pracujecie tutaj, w Faterlandzie, i wy, trudzący się bez przerwy poza jego granicami, sami widzicie, co się dzieje, prawda? Czyż nie jest to wspaniale? Nasza idea nie tylko została zrozumiana, ale teraz gorąco pragną jej, pożądamy z całego serca ludzie na całym świecie. Sami widzicie to, słyszycie i czujecie!... Nie mogę was ujrzeć, ale słyszę was i przyjmuję waszą wdzięczność, chociaż mówiąc szczerze jest ona skierowana pod niewłaściwym adresem. Jestem zaledwie waszym głosem, głosem ludzi ogarniętych sprawiedliwym gniewem. Rozumiecie to doskonale, jestem pewien. Rozumiecie gniew, z którym stykamy się wszędzie, gdy podlejsi od nas każą nam płacić za swoją niższość? Gdy przedsiębiorczy ludzie pozbawiani są swoich ciężko zapracowanych zysków przez tych, którzy nie chcą lub nie mogą pracować, albo są zbyt głupi, aby nawet spróbować! Czy mamy cierpieć z powodu ich lenistwa, nieudolności i degeneracji? Czyżby leniwi, nieudolni i głupi mieli rządzić światem! A stanie się tak jeżeli odbiorą nam nasze moralne przywództwo przytłaczając nas, przywłaszczając sobie nasze zasoby w imię człowieczeństwa... Lecz nie, to nie będzie gestem człowieczeństwa, moi żołnierze, ponieważ są oni jedynie ludzkimi śmieciami!... I nie uda im się tego dokonać, ponieważ przyszłość należy do nas! Wszędzie nasi wrogowie są coraz bardziej oszołomieni, zdezorientowani tym, co dzieje się wokół nich. Nie wiedzą, kto jest naszym człowiekiem, a kto nie, kto w myślach tryumfuje, widząc nasz zwycięski marsz, mimo że w swoich wypowiedziach potępia wyznawane przez nas idee. Maszerujcie dalej, żołnierze. Przyszłość należy do nas! Znowu rozległ się grzmot oklasków i wielki amfiteatr w lesie wypełniła melodia Horst Wessel Lied. A w tylnym rzędzie klaszczący dwaj mężczyźni odwrócili się do siebie i rozpoznając się dzięki częściowo wygolonym brwiom szepnęli jeden do drugiego:

- Szaleństwo - odezwał się Francuz po angielsku.
- Zupełnie jak na kronikach filmowych z przemówieniami Hitlera - dodał Holender.
- Sądzę, że pan się myli, monsieur. Temu Fuhrerowi o wiele łatwiej uwierzyć. Nie narzuca tłumowi swojego zdania wrzeszcząc bez przerwy. Doprowadza słuchaczy do oczekiwanych wniosków, zadając pozornie rozsądnie pytania. A potem nagle wybucha, dostarczając im odpowiedzi, które chcą usłyszeć. Zna się na retoryce... Doprawdy, bardzo sprytne.
- Jak pan sądzi, kim on jest?
- Przypuszczam, że może nim być każdy spośród skrajnych prawicowców w Bundestagu. Zgodnie z instrukcją, zarejestrowałem tę przemowę, dzięki czemu nasz wydział będzie mógł porównać charakterystyki głosu. Jeśli oczywiście ten śmiesznie mały aparat, który mam w kieszeni, spełni swoje zadanie.
- Nie miałem kontaktu ze swoją firmą przez ponad miesiąc oznajmił Holender.
- A ja sześć tygodni - stwierdził Francuz.
- Musimy jednak oddać słusność naszym przełożonym. Satelity odkryły tę leśną polanę w taki sam sposób, jak niemal trzydzieści lat temu latające na wysokim pułapie samoloty rozpoznawcze ustaliły obecność na Kubie pocisków rakietowych. Nie dali się nabrać na oficjalne oświadczenia, że ma to być kolejny ośrodek medytacyjny dla bogaczy, związany z jakąś dalekowschodnią religią. Mieli rację.
- Moi ludzie byli pewni, że dzieje się coś dziwnego, gdy zatrudniono tu zagranicznych pracowników budowlanych.
- Byłem zwykłym cieślą, a pan?
- Elektrykiem. Mój ojciec miał sklep elektryczny w Lyonie. Pracowałem tam, zanim poszedłem na uniwersytet.
- Teraz musimy się stąd wydostać, a nie sądzę, że będzie łatwo. To miejsce niczym się nie różni od dawnego obozu koncentracyjnego - ogrodzenia z drutu kolczastego, wieże z karabinami maszynowymi i tak dalej.
- Niech pan będzie cierpliwy, monsieur, znajdziemy drogę. Spotkamy się na śniadaniu, namiot numer sześć. Musi być jakiś sposób.... Rozmówcy odwrócili się od siebie i ujrzeli, że znajdują się w półkolu umundurowanych ludzi, na których rękawach widnieją opaski z godłem Czwartej Rzeszy - błyskawicą przecinającą swastykę.

- Usłyszeliście już dosyć, meine Herren? - zapytał oficer dowodzący strażnikami. - Uważaliście, że jesteście bardzo sprytni, nicht wahr! Nawet rozmawialiście po angielsku. - Pokazał obu cudzoziemcom mały elektroniczny aparat podsłuchowy, stanowiący standardowe wyposażenie policji i służb wywiadowczych. - Wspaniałe urządzenie - mówił dalej. - Wystarczy skierować je, powiedzmy, na dwóch ludzi w tłumie i można usłyszeć ich każde słowo dzięki wyeliminowaniu wszystkich zbytecznych dźwięków. Nadzwyczajne... Obserwowano was, od chwili gdy pojawiliście się wśród naszych wybranych, zaproszonych gości, twierdząc, że jesteście jednymi z nich. Czy uważacie nas za tak mało rożgarniętych? Czy rzeczywiście sądziliście, że nie mamy komputerowych list, które możemy sprawdzić? A kiedy was na nich nie znaleźliśmy, sprawdziliśmy robotników zagranicznych. No i jak myślicie, co odkryliśmy? Mniejsza o to, chyba się domyślacie. Gburowatego holenderskiego cieślę i wyjątkowo zrędnego francuskiego elektryka... Mitkommen! Zackig! Porozmawiamy trochę, choć wasze kwatery niestety nie będą zbyt luksusowe, a potem wasze doczesne szczątki spoczną w pokoju w głębokim rowie razem z innymi robakami.

- Macie wprawę w takich egzekucjach, co?

- Z przykrością stwierdzam, Holendrze, że nie było mnie wtedy na świecie i nie mogłem brać w nich udziału. Ale nadejdzie nasz czas. Mój czas.

Witkowski, Drew i Karin siedzieli wokół kuchennego stołu w mieszkaniu pułkownika przy rue Dianę. Na blacie rozłożone były przedmioty, które Latham wyjął z kieszeni zabitego neonazisty. - Nieźle - oznajmił weteran z G-2, biorąc je po kolei i oglądając dokładnie. - Powiem wam - stwierdził po chwili - że ten skurwysyński Zygfryd nie spodziewał się żadnych kłopotów w Lasku Bulońskim.

- Dlaczego tak twierdzisz? - spytał Latham, wskazując na pustą szklaneczkę po whisky.

- Sam sobie weź. - Pułkownik uniósł brew i skinął głową w stronę barku stojącego przy wejściu do saloniku. - W tym domu ja nalewam tylko pierwszą kolejkę, a potem obsługujesz się sam. Oczywiście damy są wyjątkiem... zapytaj damę, bęcwale.

- To pejoratywne określenie - rzekł Drew wstając.

Popatrzył na Karin, która pokręciła odmownie głową.

- Co?

- Niech pan nie zwraca na niego uwagi, pułkowniku, zachowuje się jak dziecko - odezwała się - Ale niech pan z łaski swojej odpowie na jego pytanie. Nie było dokumentów, niczego, co pomogłoby go zidentyfikować. Dlaczego więc "nieźle"?

- Prawdę mówiąc, nawet zupełnie dobrze. Sam by pani wyjaśnił, gdyby uważnie się przyjrzał zamiast pociągać soczek. - Wypiłem tylko jednego drinka, Stosh! I to zasłużonego, ośmielę się zauważyć.

- Wiem, kolego, ale jednak nie obejrzałeś dokładnie tych przedmiotów, prawda?

- Owszem, obejrzałem. Kiedy kładłem je na stole. Jest tam kartonik zapalek z restauracji o nazwie "Au Coin de Famille", kwit z pralni na avenue George Cinq, na nazwisko Andre... bez znaczenia. Złoty zacisk do pieniędzy z paroma, jak sądzę, słowami miłości po niemiecku i nic poza tym, następne pokwitowanie, tym razem na kartę kredytową. Nazwisko i numer są w tak oczywisty sposób fałszywe lub dobrze zakamuflowane, że zajęcie się nimi pochłonęłoby wiele dni i doprowadziłoby nas do kolejnej ślepej uliczki. Bank płaci. Kupcy chcą jedynie otrzymać swoje pieniądze i dostają je... Reszty, przyznaję, nie badałem, ale zauważenie tego, o czym wam właśnie powiedziałem, zajęło mi mniej więcej osiem sekund. Coś jeszcze, pułkowniku?

- Powiedziałem pani, madama de Vries, że chłopak ma talent. Wątpię, czy zajęło mu to aż osiem sekund... moim zdaniem około pięciu, ponieważ tak bardzo chciał się napić.

- Jestem pod wrażeniem - przyznała Karin - ale pan znalazł coś jeszcze, jakieś inne ślady?

- Tylko dwa. Po pierwsze, kolejny kwit na odbiór butów z naprawy, tym razem z pracowni szewskiej z butami robionymi na zamówienie, również na nazwisko Andre i po drugie, zgnieciony bilet wstępu do wesołego miasteczka koło NeuillysurSeine. Bilet wolnego wstępu.

- W ogóle tego nie widziałem! - zaprotestował Latham, nalewając sobie drinka przy barze.

- I jaki z tego wniosek?

- Obuwie, a zwłaszcza buty, są wyjątkowo osobistymi przedmiotami, pani de Vries...
- Proszę przestać mnie tak nazywać. Wystarczy Karin.
- W porządku, Karin. Obuwie jest, że tak powiem, czymś szczególnym. Pracownia szewska, która zajmuje się naprawami butów na zamówienie, posiada kopyta będące odwzorowaniem konkretnej stopy. Jeżeli ktoś udaje się do takiej pracowni, oznacza to zazwyczaj, że już w niej kiedyś był, zwłaszcza jeżeli przebywa w Paryżu od jakiegoś czasu. W przeciwnym razie poszedłby do tego szewca, który wykonał buty. Rozumiesz mnie?
- Istotnie, rozumiem. A wesole miasteczko?
- Dlaczego, otrzymał bilet wolnego wstępu? - wtrącił Drew. Wrócił z drinkiem do stołu i usiadł. - Naprawdę, nie widziałem tych przedmiotów, Stosh.
- Wiem, chłopcze, i wcale nie próbowałem cię zakasować, ale one naprawdę tam były.
- A więc jutro rano odwiedzimy szewca i kogoś w wesółym miasteczku, kto rozdaje bilety wolnego wstępu... co niezbyt leży we francuskiej tradycji. Chryste, ależ jestem zmęczony. Jedźmy do domu... Nie, chwileczkę! A co z zasadzką, którą urządziłeś w SacreCoeur?
- Jaką zasadzką? - spytał zaskoczony Witkowski.
- No tą... kurier numer szesnaście na górnym przystanku funiculaire.
- Nigdy o niej nie słyszałem. - Obydwaj mężczyźni spojrzeli na Karin de Vries. - To ty?
- Wiele razy robiłam to dla Freddiego - odparła Karin, uśmiechając się niepewnie. - Często powtarzał: "Wymyśl coś, im będzie głupsze, tym lepiej, ponieważ wszyscy jesteśmy głupcami." - Chwileczkę - powiedział Witkowski. Potrząsnął głową, a potem spojrzął na Drew. - Jesteś zupełnie pewien, że nie przyprowadziliście tu żadnego ogona?
- Pominę milczeniem tę obelgę i udzielię ci profesjonalnych wyjaśnień. Byłem za sprytny, żeby trzykrotnie zmieniać taksówki, które mogły być śledzone elektronicznie, ale ty jesteś zbyt przedpotopowy, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Dokonywaliśmy zmian pod ziemią, w metrze, i nie trzy, ale pięć razy. Zrozumiałeś? - Och, lubię, jak się wściekasz. Mojej świętej pamięci polska mama zawsze mawiała, że przez gniew przemawia prawda. To jedyna rzecz, której można zaufać.
- Doskonale. A teraz możesz wezwać taksówkę i odwieźć nas do domów?
- Nie, to jedna z tych rzeczy, której nie mogę zrobić, chłopcze. Skoro nikt nie wie, gdzie jesteście, zostaniecie tu oboje. Mam sypialnię dla gości i bardzo miłą kanapkę w saloniku... Podejrzewam, że prześpisz się właśnie na niej, młody człowieku, i będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli nie wypijesz mi całej whisky.

Zdenerwowany zespół blitztragerów powrócił do kwatery głównej z nieudanej zasadzki przy SacreCoeur i zastał w niej jedynie popłoch i zamieszanie. Sytuacja ta jedynie podsyciła gniew zabójców. - Nie było nikogo! - warknął najstarszy wiekiem Paryż Pięć, siadając z rozmachem na krześle przy stole konferencyjnym. Żadnego cholernego mężczyzny czy kobiety przypominających łącznika! Wyprowadzono nas w pole, głupia i niebezpieczna strata czasu.

- A gdzież jest nasz wspaniały przywódca, Zero Jeden? zapytał następny członek zespołu, zwracając się do trzech blitztragerów, którzy nie zostali wysłani do SacreCoeur. - Może nawet sprawuje dowództwo, jeżeli akurat nie zmieniają mu pieluch, ale musi udzielić nam paru wyjaśnień. Jeżeli zostaliśmy oszukani, to na pewno nas zauważono!

- Nie ma go tu - odparł jeden z zapytanych zmęczonym i znudzonym głosem.

- O co tu chodzi? - zawołał Paryż Pięć, prostując się gwałtownie. - O dziesiątej miał być telefon z Bonn. Zero Jeden mówił, że osobiście go odbierze.

- Nie było ani jego, ani telefonu - rzekł następny z trójki. - Może odebrał go na prywatnej linii?

- Nie mógł tego zrobić i nie zrobił - odparł zmęczony Blitztrager Zero Dwa Paryż. - Kiedy się nie pojawił, tkwiłem w jego cuchnącym gabinecie od 9.30 do 10.45. Nic... Zero Jeden może jest ulubieńcem naszych przełożonych, ale wołałbym, żeby się częściej kąpał. Śmierdzi u niego jak w szambie.

- Żeby wziąć prysznic, musiałby wstać z tronu i oddalić się od swoich zabawek.

- Jest zwariowanym dzieciakiem w sklepie z elektronicznymi zabawkami...
- Ostrożnie... - przerwał jeden z kolegów. - Przypominam, że przejawianie niezadowolenia nie jest dobrze widziane.
- Ale dopuszcza się uzasadniony krytycyzm - nalegał Paryż Pięć. - Gdzie jest Jedyńka i dlaczego go tu nie ma? Przypuszczam, że nawet nie mieliście od niego wiadomości.
- Słusznie przypuszczasz, ale wszyscy wiemy o istniejących między wami konfliktach.
- Owszem, ale to bez znaczenia - oznajmił Piątka wstając i pochylił się nad stołem, opierając się na mocnych, szeroko rozstawionych dłoniach. - Jego zachowanie jest w tej chwili nie do przyjęcia i przekażę moje zdanie Bonn. Nasz zespół wysłano fałszywym tropem, narażając na niebezpieczeństwo...
- Wszyscy słyszeliśmy taśmę z ambasady - przerwał mu zmęczony Paryż Dwa. - I wszyscy doszliśmy do wniosku, że jest to pierwszoplanowe zadanie.
- Istotnie, sam tak uważałem. Ale zamiast dowodzić tą najważniejszą akcją nasz Zero Jeden zajął się drugoplanowym Laskiem Bulońskim, pod pretekstem, że nie zdąży wrócić z SacreCoeur, aby odebrać telefon z Bonn. Telefonu nie było, a on sam gdzieś przepadł. Z całą pewnością sytuacja wymaga wyjaśnienia.
- Być może udzielenie go jest niemożliwe - powiedział siedzący z prawej strony Blitztrager, który do tej pory nie uczestniczył w rozmowie. - Ale mieliśmy inny telefon. Od naszego informatora z ambasady amerykańskiej. Cały zespół zajmujący się SacreCoeur zerwał się na równe nogi. - Przecież kategorycznie zabroniono mu kontaktować się z nami bezpośrednio, zwłaszcza telefonicznie.
- Uważał, że informacja upoważnia go do nieposłuszeństwa. - O co chodziło? - zapytał Trójka.
- O szefa służby ochrony ambasady, pułkownika Witkowskiego.
- Koordynator - dodał cicho Paryż Dwa. - Wiemy o jego wszechstronnych kontaktach w Waszyngtonie. Nasi ludzie kontrolują tę sprawę.
- O co chodziło? - nalegał Piąty.
- Nasz człowiek czekał w samochodzie przed domem na rue Diane, w którym mieszka pułkownik. Działal pod wpływem impulsu, podsłuchując rozmowy telefoniczne wdowy po Fredericku de Vries pracującej w dziale Dokumentacji i Analiz.
- I co?
- Mniej więcej godzinę temu do budynku wbiegli kobieta i mężczyzna. Byli w cieniu i mężczyznę widział niedokładnie, choć przypuszcza, że go zna. Kobietę rozpoznał. Była nią de Vries. - A więc mężczyzną jest Latham! - krzyknął Paryż Pięć. Była z Harrym Lathamem. To nie może być nikt inny. Idziemy! - A niby po co? - zapytał sceptycznie Zero Dwa.
- Żeby doprowadzić do końca zadanie, które spaprał Zero Jeden. - Warunki są inne i biorąc pod uwagę związek pułkownika z ochroną ambasady, miejsce akcji jest wyjątkowo niebezpieczne. A ponieważ nie ma tu Zero Jeden, sądzę, że powinniśmy dostać zezwolenie z Bonn.
- A ja uważam, że nie - wtrącił się Paryż Sześć. - SacreCoeur było wystarczająco dużym fiaskiem i nie sądzę, że powinniśmy narażać się na jeszcze większe niezadowolenie góry. Jeżeli likwidacja się uda, rozgrzeszą nas, nawet jeżeli wszyscy zostaniemy przeniesieni...
- A jeżeli się nie powiedzie?
- Odpowiedź jest oczywista - odparł inny członek zespołu z SacreCoeur, dotykając prawą dłońią ukrytej pod marynarką kabury, a lewą kołnierza koszuli, w którym zaszyte były trzy kapsułki z cyjankiem. - Możemy się różnić, sprzeczać, ale naszą naczelną zasadą jest oddanie Bractwu i idei Czwartej Rzeszy. Niech nikt o tym nie zapomina.
- Nie przypuszczam, aby ktokolwiek przestał pamiętać o naszej idei - odezwał się Dwójka. - A więc zgadzacie się z Zero Sześć? Idziemy na rue Diane?
- Oczywiście. Bylibyśmy idiotami, gdybyśmy tego nie zrobili. - Dokonamy potrójnej likwidacji, której nasi przywódcy mogą jedynie przyklasnąć - dodał gniewny, poirytowany Paryż Pięć. I bez Zero Jeden, który wystarczająco długo wodził nas za nos. Gdy wróci, będzie musiał wytłumaczyć się przed nami i przed Bonn. Podejrzewam, że w najlepszym przypadku

zostanie odwołany. - Bardzo chciałbyś dowodzić grupą, prawda? - spytał Dwójka spoglądając na Zero Pięć.

- Tak - odparł trzydziestoletni zabójca. - Jestem najstarszy i najbardziej doświadczony. A on to zwariowany nastolatek, który działa i podejmuje decyzje, zanim zdąży je przemyśleć. Powinienem być otrzymać tę funkcję trzy lata temu, kiedy nas tu przeniesiono. - Ale dlaczego jej nie dostałeś? W końcu wszyscy jesteśmy szaleni, a więc szaleństwo nie miało tu tak wielkiego znaczenia, prawda? - O czym u diabła rozmawiacie? - włączył się kolejny Blitztrager, prostując się i spoglądając na Zero Dwa.

- Nie zrozum mnie źle, akceptuję nasze szaleństwo. Jestem synem dyplomaty i dorastałem w pięciu różnych krajach. Widziałem na własne oczy wszystko, o czym wy tylko słyszeliście. Mamy rację, absolutną rację. Miernoty intelektualne i niższe rasy wypychają się wszędzie do rządów. Tylko ślepiec może tego nie dostrzegać. Nie trzeba być socjologiem czy historykiem, aby pojąć, że poziom intelektualny wszędzie ulega obniżeniu... Dlatego właśnie słusność jest po naszej stronie... Ale wróćmy do pytania, które zadałem Zero Pięć. Dlaczego wybrano Zero Jeden, przyjacielu?

- Tak naprawdę nie wiem.

- A więc pozwól, że ci wyjaśnię. Każdy ruch musi mieć swoje oddziały szturmowe, swoich fanatyków, którzy przekroczyli granicę szaleństwa nakazującego im sięgać po niewykonalne cele, aby echo ich czynów rozchodziło się po całym świecie. A potem nikną w tle, zastąpieni, w każdym razie powinni być zastępowani, przez doskonalszych od siebie. Największy błąd, jaki popełniła Trzecia Rzesza, polegał na tym, że pozwoliła ona swoim oddziałom szturmowym, ludziom od brudnej roboty, przejąć kontrolę nad partią i narodem.

- Jesteś myślicielem, Dwójka, prawda?

- Filozoficzne teorie Nietzschego zawsze mnie pociągały, a zwłaszcza jego teoria osiągnięcia doskonałości dzięki zaakceptowaniu własnej wartości i moralnej gloryfikacji najwyższych władców.

- Jesteś zbyt wykształcony jak na mnie - rzekł Zero Sześć. Ale już słyszałem te słowa.

- Oczywiście, że słyszałem. - Paryż Dwa uśmiechnął się. W różnych wersjach ciągle wbijano nam je w głowę.

- Tracimy czas! - przerwał im Piątka, prostując się i lekko przymrużonymi oczyma wpatrując w Dwójkę. - A więc jesteś filozofem? Nigdy nie słyszałem, żebyś tyle mówił, zwłaszcza o tych sprawach. Czy coś kryje się za tymi słowami? Być może uważasz, że to ty powinieneś dowodzić naszą paryską grupą?

- Och, nie, mylisz się i to bardzo. Nie mam odpowiednich kwalifikacji. Może sporo wiem, ale brak mi praktycznego doświadczenia. Chyba jestem też za młody.

- Ale jest jeszcze coś...

- Rzeczywiście, Zero Pięć - przerwał Dwójka, patrząc mu prosto w oczy. - Gdy powstanie nasza Rzesza, nie mam zamiaru wycofywać się na dalszy plan... Tak samo jak ty.

- A więc się rozumiemy... Dobrze, teraz wybiorę grupę na Rue Dianę... Sześciu ludzi. Dwóch pozostanie, aby w razie potrzeby wykonać wszystkie niezbędne czynności. Wybrana czwórka wstała zza stołu. Trzech mężczyzn przeszło do swoich pokojów, aby przebrać się w czarne swetry i spodnie, a pozostali pochyliłi się nad wielkim planem Paryża, badając okolice rue Dianę. Gdy cały zespół zebrał się ponownie, zabójcy sprawdzili broń i pobrali sprzęt przydzielony przez Zero Pięć. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

- Taka sytuacja jest nie do przyjęcia! - wrzasnął doktor Gerhardt Kroeger. - Złożę meldunek o waszej nieudolności i odmowie utrzymywania łączności z wysokim funkcjonariuszem Bractwa!

- W takim razie odda pan sobie złą przysługę, proszę pana rzekł opanowanym głosem Zero Pięć. - Zanim skończy się ta noc, dokonamy likwidacji obiektu, na której tak bardzo panu zależy, a także dwóch innych. Bonn na pewno będzie zadowolone dowiadując się, jak wiele zawdzięczaliśmy pańskim wskazówkom.

- Słyszałem o tym już prawie cztery godziny temu! Co się stało? Chcę rozmawiać z tym opryskliwym młodym człowiekiem, który twierdzi, że jest waszym dowódcą.
- Sam bym też chciał, mein Herr - odparł Zero Pięć, starannie dobierając słowa. - Niestety, Zero Jeden Paryż nie nawiązał z nami łączności. Postanowił sprawdzić drugorzędny kontakt, nader wątpliwy trop, i nie odezwał się, aby złożyć raport. Prawdę mówiąc, ma dwie godziny spóźnienia.
- Wątpliwy trop? Powiedział, że podejmuje najwyższe ryzyko. Może coś mu się stało?
- W rozkoszonym Lasku Bulońskim? To mało prawdopodobne.
- A co się zdarzyło w pierwszym punkcie, na litość boską? - Natknęliśmy się na zasadzkę, mein Herr, ale dowodzony przeze mnie, Zero Pięć, zespół uniknął jej. Naprowadziło to nas jednak na trzeci, tym razem stuprocentowy trop, którym właśnie się udajemy. Zanim słońce wszędzie, będzie miał pan dowód likwidacji najważniejszego obiektu, tak jak pan sobie życzył. Osobiście dostarczę panu fotografie do hotelu.
- Poczcił mnie pan. Przynajmniej mówi pan rozsądniej od tego chłopaczka z oczami kobry.
- Jest młody, proszę pana, ale doskonale przystosowany do fizycznych wymogów naszej pracy.
- Bez głowy na karku taki talent nie ma najmniejszego znaczenia!
- Zgadzam się, ale mein Herr, jest on moim przełożonym, a więc proszę uznać, że nie słyszał pan tego, co powiedziałem. - To nie pan powiedział, ale ja. Pan jedynie potwierdził ogólną opinię... Jaki jest pański numer? Piątka?
- Tak, proszę pana.
- Niech mi pan przyniesie fotografie, a Bonn zostanie powiadomione o pańskich zasługach.
- Jest pan bardzo uprzejmy. Musimy już iść. Stanley Witkowski siedział w ciemności i wyglądał przez okno na ulicę. Jego szeroka opalona twarz była nieruchoma, jak wykuta z kamienia, gdy co chwila podnosił do oczu nocną lornetkę. Obiektem jego zainteresowania był samochód zaparkowany przy prawym rogu domu, w odległości około trzydziestu metrów od głównego wejścia do jego budynku. Uwagę oficera wywiadu zwróciła pojawiająca się w świetle latarni jasna plama twarzy kogoś siedzącego z przodu. Od czasu do czasu twarz ukazywała się przy szybie, a potem cofała w ciemność, jakby człowiek ten czekał na kogoś albo obserwował coś na przeciwległej stronie ulicy. Ucisk w piersi pułkownika, ucisk, który czuł setki razy w przeszłości, ostrzegał go przed czymś, co miało nastąpić w najbliższym czasie. I wreszcie stało się. Twarz pojawiła się znowu, ale tym razem do prawego ucha obserwatora przyłożony był telefon komórkowy. Człowiek sprawiał wrażenie podnieconego, poruszonego, twarz miał skierowaną ku górze, jakby wpatrywał się w górne piętra domu w którym mieszkał Witkowski. Obserwator wreszcie odłożył telefon, z gniewem i irytacją. Pułkownikowi to w zupełności wystarczyło. Wstał z fotela i przez swoją sypialnię przeszedł do salonu, zamykając za sobą drzwi. Drew Latham i Karin de Vries siedzieli oboje na kanapie, ale jak z zadowoleniem stwierdził, po przeciwnych stronach. Witkowski nienawidził osobistych układów w czasie pracy. - Hej, Stanley - powiedział Drew. - Bawisz się w przyzwoitkę? Jeżeli tak, nie masz się czego obawiać. Omawiamy sytuację po zakończeniu zimnej wojny, a ta pani mnie nie lubi.
- Tego nie powiedziałam - zaprotestowała Karin, śmiejąc się cicho. - Nie zrobiłeś niczego takiego, żebym miała cię aż nie lubić. W gruncie rzeczy cię podziwiam.
- Zostałem zestrzelony, Stosh.
- Mam nadzieję, że mówisz w przenośni - stwierdził pułkownik lodowatym tonem, który natychmiast zwrócił uwagę Drewa. - O co chodzi?
- Powiedziałeś, że nie mieliście ogona, młody człowieku?
- Nie mieliśmy. Jakim sposobem?
- Nie jestem pewien, ale w samochodzie na ulicy jest człowiek i jego obecność daje mi do myślenia. Rozmawiał przez telefon i wciąż spogląda w tę stronę. Drew szybko wstał z leżanki i ruszył w stronę drzwi do sypialni Witkowskiego.
- Wyłącz światło, zanim tam wejdiesz, idioto - warknął Witkowski. - W tym oknie nie może być widać żadnego odblasku. - Karin wyciągnęła rękę i wyłączyła stojącą obok niej lampę. -

Dobra dziewczyna - pochwalił ją i dalej instruował Drew. - Nocna lorneta jest na parapecie i trzymaj głowę nisko, daleko od szyby. To czterodrzwiowy samochód po drugiej stronie ulicy, na rogu.

- Dobra. - Latham zniknął w sypialni, pozostawiając Witkowskiego i de Vries we względnej ciemności, rozjaśnianej jedynie padającą z zewnątrz poświatą lamp ulicznych.

- Jesteś rzeczywiście zaniepokojony, prawda? - spytała Karin. - Żyłem już tak długo, że wiem, kiedy się niepokoić - odparł pułkownik. - Ty zresztą też.

- To może być zazdrosny kochanek albo mąż, który za dużo wypił i boi się wrócić do domu.

- Albo równie dobrze dobra wróŻKa, usiłująca odnaleźć właściwe okienko.

- Wcale nie żartowałam i nie sędzę, że dałam powód do kpin. - Przepraszam, słowo daję. Powtórzę to, co powiedział mi mój stary znajomy Sorenson w Waszyngtonie, przyjaciel to może za dużo powiedziane, nie gram w jego lidze: "Sprawy dzieją się zbyt szybko i robią się za bardzo skomplikowane." Ma rację. Sądziliśmy, że jesteśmy przygotowani, ale tak nie jest. Nowy ruch nazistowski wyłazi spod ziemi, jak dżdżownice po deszczu - może jest autentyczny, może nie, może stanowi tylko jakieś złudzenie. Kto w tym uczestniczy, a kto nie? I w jaki sposób możemy to ustalić, nie oskarżając wszystkich po kolei i nie zmuszając niewinnych, aby udowodnili swoją niewinność? - Na co będzie już za późno, gdy padną oskarżenia.

- Dokładnie tak, młoda damo. Przeżyłem już coś takiego. Utraciliśmy dziesiątki agentów różnego stopnia. Nasi ludzie niszczyli ich legendy, podlizując się politykom nie mającym pojęcia o prawdzie i tak zwanym wnikliwym dziennikarzom.

- To musiał być bardzo trudny okres dla ciebie..

- Standardowa formuła rezygnacji zawierała na przykład takie zdania: "Nie potrzebuję tego, kapitanie", albo majorze czy kim tam wówczas byłem. Albo: "Kim u diabła jesteś, aby niszczyć mi życie?", lub też najstraszniejsze: "Wyczyścisz mi kartotekę, sukinsynu, albo pójdę na całość i spalę ci całą twoją operację". Musiałem podpisać pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt " poufnych notatek", w których stwierdzałem, że ludzie ci byli wyjątkowymi oficerami wywiadu, i zdecydowana większość tych opinii była zdecydowanie zbyt pochlebna.

- Z całą pewnością nie po tym co z nimi zrobiono.

- Może nie, ale wielu z tych błaznów działa obecnie w sektorze prywatnym, zarabiając dwadzieścia razy więcej ode mnie dzięki mgle tajemnicy otaczającej ich poprzednie miejsce pracy. Kilku pośledniejszych, którzy nie byliby w stanie odczytać kodu na pudełku z płatkami śniadaniowymi, kieruje służbami ochrony wielkich korporacji.

- Przypomina mi się takie slangowe wyrażenie: "porąbane". - Oczywiście. Wszyscy jesteśmy porąbani. I nie chodzi o to co robimy, ale co robiliśmy, mniejsza o to jak było absurdalne. Szantaż jest na porządku dziennym, moja droga, od góry do dołu.

- Dlaczego sam nie zrezygnowałeś, pułkowniku?

- Dlaczego? - Witkowski usiadł na najbliższym krześle, nie spuszczać wzroku z drzwi do sypialni. - Może zabrzmiało to nieco dziwnie, ale powiem tak. Ponieważ jestem dobry w tym, co robię, co może nie świadczy najlepiej o moim charakterze. Podstępność i podejrzliwość nie są najlepszymi cechami, ale jeżeli zostaną wysublimowane i użyte w pracy, którą wykonuję, mogą stać się cenne. Amerykański aktor Will Rogers powiedział kiedyś: "Nie spotkałem nigdy człowieka, którego bym nie lubił". A ja mówię inaczej: Nigdy nie spotkałem w mojej branży człowieka, którego bym nie podejrzewał. Może to moje europejskie dziedzictwo. Jestem Polakiem z pochodzenia i polski był moim pierwszym językiem. - A Polska, która wniosła do nauki i sztuki, więcej niż wiele innych krajów, była również częściej zdradzana niż inni - dodała de Vries, kiwając głową.

- Przypuszczam, że w pewnym stopniu w tym rzecz. Chyba można powiedzieć, że podejrzliwość to moja cecha wrodzona. - Freddie ci ufał.

- Szkoda że nie mogę odpowiedzieć takim samym komplementem. Nigdy nie dowierzałem twojemu mężowi. Był płonąącym lontem, którego nie mogłem kontrolować, nie mogłem zgasić. Jego śmierć z rąk Stasi była nieunikniona.

- Ale miał rację - zaprotestowała Karin, podnosząc głos. Stasi i im podobni stanowią teraz kadrę nazistów.
- Jego metody były błędne, gniew skierowany pod niewłaściwym adresem. I jedno, i drugie zniszczyło jego kamuflaż, dlatego zginął. Nie chciał nikogo słuchać.
- Wiem, wiem. Mnie również nie chciał... Ale wtedy właściwie nie miało to już żadnego znaczenia.
- Nie bardzo cię rozumiem.
- Freddie stał się gwałtowny, nie tylko w stosunku do mnie, ale właściwie wobec każdego kto się z nim nie zgadzał. Był niezwykle silny... wyszkolili go wasi komandosi w Belgii... i chyba zaczął uważać, że jest niezwyciężony. Pod koniec był takim samym fanatykiem, jak jego wrogowie.
- W takim razie rozumiesz, dlaczego powiedziałem, że nie miałem zaufania do twojego męża.
- Oczywiście. Nasze ostatnie miesiące w Amsterdamie nie są okresem, który chciałabym przeżyć ponownie. Nagle drzwi do sypialni Witkowskiego otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Latham.
- Bingo! - zawołał. - Miałaś rację, Stanley. Ten sukinsyn w samochodzie to Reynolds. Alan Reynolds z Łączności!
- Kto taki?
- Jak często schodziłeś do Łączności, Stosh?
- Nie wiem. Może trzy, cztery razy w ciągu ubiegłego roku. - Jest wtyczką. Widziałem jego twarz.
- W takim razie coś ma się zdarzyć i proponuję podjąć kroki zapobiegawcze.
- Co robimy, od czego zaczynamy?
- Pani de Vries... Karin... Czy zechciałabyś podejść do okna mojej sypialni i informować, jak rozwija się sytuacja?
- Już idę - zawołała Karin, zrywając się z leżanki.
- A co teraz? - spytał Drew.
- Chyba oczywiste - odparł Witkowski. - Najpierw broń.
- Mam pistolet z pełnym magazynkiem. - Latham wyciągnął zza paska pistolet.
- Dam ci jeszcze jeden i dodatkowy magazynek.
- Spodziewasz się najgorszego?
- Od niemal pięciu lat, a jeżeli ty się nie spodziewasz, nie dziwię się, że rozwalono ci mieszkanie.
- No cóż, mam ten instrument, który uniemożliwia obcym otwarcie drzwi.
- Pozwolisz, że nie skomentuję. Ale jeżeli te skurwiele wysłały po ciebie dwóch albo trzech, to jak Boga kocham, chciałbym wysłać taką parkę do Waszyngtonu zamiast tego, którego straciliśmy. - Pułkownik podszedł do wiszącej na ścianie wielkiej grafiki Mondriana i odchylił ją, odsłaniając sejf. Obrócił pokrętłem tam i z powrotem, otworzył duże pancerne drzwi i wyjął dwa pistolety i uzi. Najpierw rzucił pistolet Drew, który złapał go w locie, a potem magazynek z amunicją, który Latham upuścił.
- Dlaczego nie rzuciłeś ich obu naraz? - spytał poirytowany Drew, schylając się po magazynek.
- Chciałem sprawdzić twój refleks. Nieźle. Nie najlepiej, ale nieźle.
- Czy również zrobiłeś znaczek na butelce?
- Nie musiałem. Biorąc pod uwagę, co zostało w szklance, w ciągu ostatniej godziny mogłeś wypić najwyżej kilkadziesiąt gramów. Jesteś dużym facetem, takim jak ja, więc ci nie zaszkodzi. - Dziękuję, mamuśka. A teraz co u diabła zrobimy?
- Właściwie wszystko jest już zrobione. Teraz muszę po prostu wszystko uruchomić. - Witkowski podszedł do zlewu kuchennego, odkręcił chromowaną gałkę, sięgnął do otworu i wyciągnął dwa przewody elektryczne z izolacyjnymi końcówkami. Zdjął końcówki i zetknął oba przewody. W sąsiednich pomieszczeniach rozległo się pięć głośnych piosenek. - Gotowe - oznajmił pułkownik, umieszczając z powrotem gałkę i wracając do saloniku.
- Cóż uczyniłeś, o Czarnoksiężniku?

- Zaczniemy od wyjść ewakuacyjnych. W tych starych domach są dwa, w każdym mieszkaniu: u mnie jedno jest w sypialni, a drugie w pomieszczeniu, które nazywam biblioteką. Jesteśmy na trzecim piętrze, budynek ma ich siedem. Po uruchomieniu zewnętrznych systemów bezpieczeństwa, schody między podestami drugiego i czwartego piętra zostają podłączone do elektryczności. Napięcie jest wystarczające, aby spowodować utratę przytomności, ale nie śmierć. - A jeżeli jacyś paskudni złoczyńcy po prostu wejdą po schodach albo wjadą windą?
- Oczywiście trzeba szanować prywatność i prawa obywatelskie sąsiadów. Na tym piętrze są jeszcze cztery mieszkania. Moje jest po lewej stronie od frontu, a do najbliższych drzwi z prawej jest około siedmiu metrów. Zapewne nie zauważyłeś, ale do moich drzwi prowadzi dosyć gruby, zupełnie ładny orientalny chodnik.
- A ponieważ włączyłeś peryferie - przerwał mu Latham coś się stanie, gdy paskudni faceci staną na chodniku, prawda? - Masz całkowitą rację. Włączają się czterystuwatowe reflektory i syrena, którą będzie słychać na Placu Zgody.
- Nikogo nie złapiesz w ten sposób. Będą zwiewali jak wszyscy diabli.
- Ale nie po schodach ewakuacyjnych, a jeżeli użyją zwykłych schodów, wpadną prosto w nasze ramiona.
- Co? W jaki sposób?
- Piętro niżej mieszka pewien obwieś, Węgier, który zajmuje się, powiedzmy, handlem nieprawnie nabytymi kosztownościami. Jest właściwie detalistą, niezbyt szkodliwym i zaprzyjaźniłem się z nim. Wystarczy telefon albo stuknięcie w drzwi i będziemy mogli poczekać w jego mieszkaniu. Każdy, kto będzie zbiegał po schodach, oberwie pociskami po nogach... Mam nadzieję, że nieźle strzelasz. Nie chcę, aby któryś z nich został zabity.
- Pułkownik! - Z sypialni dobiegł pełen napięcia okrzyk Karin de Vries. - Przed samochodem zatrzymała się właśnie furgonetka i wysiadają z niej ludzie... Czterech, pięciu, sześciu... Sześciu mężczyzn w ciemnych ubraniach.
- Widzę, że naprawdę im na tobie zależy, młody człowieku stwierdził Witkowski, wbiegając razem z Drew do sypialni i przyłączając się do stojącej przy oknie Karin.
- Dwóch ma plecaki - zauważył Latham.
- Jeden rozmawia z kierowcą samochodu - dodała de Vries. - Najwyraźniej każe mu odjechać. Samochód się cofa. - A inni rozpraszają się i oglądają budynek - uzupełnił obserwacje pułkownik. Dotknął ramienia Karin, dając jej znak, żeby odwróciła się w jego stronę. - Młody człowiek i ja mamy zamiar wyjść. - Kobieta spojrzała na niego z niepokojem. - Nie martw się, będziemy piętro niżej. Zamknij drzwi do sypialni i zarygluj je. Są z płyty stalowej i żeby je wylać, trzeba by ciężarówkę albo taranu obsługiwanego przez dziesięciu ludzi. Na rany boskie, wezwij policję albo przynajmniej ochronę z ambasady! - zażądał spokojnie, ale stanowczo Drew.
- Jestem głęboko przekonany, że moi zaprzyjaźnieni sąsiedzi zawiadomią policję, ale dopiero potem, jak będziemy mieli szansę złapać jednego lub dwóch sukinsynów na własny użytek.
- Co się nie uda, jeżeli w sprawę włączy się nasza ochrona wtrąciła Karin. - Będziemy zmuszeni współpracować z policją, która wpakuje wszystkich do aresztu.
- Bystra jesteś - przytaknął Witkowski, kiwając głową. - Usłyszysz z korytarza bardzo głośną syrenę i najprawdopodobniej odgłosy wylądowań elektrycznych na schodach ewakuacyjnych... - Są podłączone do prądu. Przed chwilą uruchomiłeś instalację. - Skąd o tym wiesz? - zapytał zaskoczony Latham.
- W Amsterdamie Freddie zrobił to samo z naszymi.
- Nauczyłem go tego - stwierdził beznamiętnie pułkownik. Chodź, chłopak nie ma czasu do stracenia. Osiemdziesiąt pięć sekund później poirytowany Węgier został przekonany, aby przyjąć sumę zaproponowaną przez wpływowego
- * W oryginale po polsku Amerykanina, który interweniował już na jego korzyść w przeszłości i mógł się okazać pomocny w przyszłości. Witkowski i Drew stanęli w lekko uchylonych drzwiach mieszkania sąsiada. Oczekiwanie ciągnęło się w nieskończoność. Mniej więcej po ośmiu minutach pułkownik szepnął.

- Coś jest nie tak. To nie ma sensu.
- Nikt nie wszedł po schodach i nie było wylądowań na schodach ewakuacyjnych - zauważył Latham. - Może w dalszym ciągu przeprowadzają zwiad budynku?
- Również bez sensu. Te stare budynki są jak otwarte książki i stoją tuż obok siebie jak książki na półce... Jezu, tuż obok siebie... Plecaki!
- O co chodzi?
- O to, że jestem cholernym głupcem. Mają kotwiczki i liny! Przeszli po dachu z innego budynku i spuszczają się na linach. Wychodzimy! Biegnij na górę, najszybciej jak potrafisz. I na litość boską, uważaj, żeby nie stanąć na chodniku! Karin siedziała z bronią w ręku w cieniu naprzeciwko okna nasłuchując, czy nie dobiegnie jej odgłos wylądowań elektrycznych ze schodów ewakuacyjnych. Nic się nie działo, a minęło już niemal dziesięć minut od chwili wyjścia pułkownika i Lathama. Zaczęła się zastanawiać. Witkowski, jak sam przyznał, niemal paranoicznie podejrzewał wszystko i wszystkich, a Drew był wyczerpany. Czy mogli się mylić? Czy pułkownik uznał zazdrosnego kochanka albo przestraszonego męża za kogoś o wiele groźniejszego? A może zmęczony Latham ujrzał twarz, która przypominała mu Alana Reynoldsa z Łączności, ale należała do kogoś zupełnie innego? Może mężczyźni z furgonetki, na pewno młodzi, ponieważ poruszali się tak szybko, byli tylko grupą studentów powracających z wycieczki albo nocnej wyprawy? Odłożyła pistolet na stolik obok fotela i przeciągnęła się ziewając. Dobry Boże, ależ chciało się jej spać. Niespodziewanie, przez okno wpadła ciemna postać rozsiewając na wszystkie strony odłamki szkła i framugi. Wylądowała, stając pewnie na nogach, i puściła linę. Karin zerwała się z fotela, odruchowo robiąc krok wstecz i na oślep zaczęła macać obandażowaną dłoń. W tej samej chwili kolejny intruz zsunął się po linie i wylądował na łóżku.
- Kim jesteście? - zawołała po niemiecku de Vries, starając się zebrać myśli, i nagle uświadomiła sobie, że jej pistolet leży na małym stoliku. - Czego tu chcecie?
- Mówisz po niemiecku - powiedział pierwszy intruz - a więc wiesz, czego chcemy. Dlaczego odezwałaś się w naszym języku? - To przecież mój drugi język, a niewiele osób rozumie po walońsku - zawołała Karin, zbliżając się do stolika.
- Gdzie on jest, pani de Vries? - zapytał groźnie mężczyzna przy łóżku. - Nie wyjdiesz stąd, dobrze o tym wiesz. Nasi towarzysze cię zatrzymają, są już w drodze na górę. Czekali tylko na sygnał, a wybicie okna właśnie nim było.
- Nie wiem, o czym mówicie! Skoro wiecie, kim jestem, czy bardzo się zgorszycie, jeżeli powiem, że mam romans z właścicielem tego mieszkania?
- Łóżko jest puste i nikt na nim nawet nie leżał...
- Pokłóciliśmy się. Wypił za dużo i posprzeczaaliśmy się. Karin była już od pistoletu na odległość wyciągnięcia ręki, a żaden z nazistów nawet nie pomyślał, żeby wyciągnąć broń z kabury. Nigdy nie mieliście takiej klótni z kobietą? Jeżeli nie, to jesteście dzieci! - Rzuciła się gwałtownie w stronę pistoletu, schwyciła go i strzeliła do pierwszego nazisty, kładąc go trupem na miejscu, gdy tymczasem oszołomiony drugi napastnik próbował rozpiąć kaburę. - Nie ruszaj się albo zginiesz! - powiedziała de Vries. W chwili gdy to mówiła, stalowe drzwi do sypialni otworzyły się gwałtownie, uderzając o ścianę.
- O mój Boże! - ryknął Witkowski, włączając światło. Wzięła jednego żywcem.
- Myślałam, że aby się tu dostać, potrzebna jest ciężarówka albo taran - powiedziała wyraźnie wstrząśnięta Karin.
- Chyba że masz wnuki, które odwiedzają cię w Paryżu. Czasami potrafią się rozbrykać. We framudze jest ukryty przycisk. - Witkowski tylko tyle zdążył powiedzieć. Syrena zawyła tak przeraźliwie, że po kilku sekundach w oknach sąsiedniego budynku zaczęły zapalać się światła.
- Wchodzą tu, żeby uniemożliwić Lathamowi ucieczkę! - zawołała de Vries.
- No to ich przywitajmy, kolego - stwierdził pułkownik i razem z Lathamem pobiegli do drzwi frontowych. Witkowski otworzył je, po czym skryli się za framugą. Na korytarz wbiegło dwóch mężczyzn, siejąc ogniem z broni maszynowej. Pułkownik i Drew wycelowali i

wpakowali po trzy pociski w każdego z napastników, trafiając ich w przedramiona i dłonie. Upadli na podłogę wijąc się i jęcząc.

- Trzymaj ich na muszce! - wrzasnął Witkowski, wbiegając do kuchni. Kilka sekund później syrena umilkła i reflektory w korytarzu zgasły. Pułkownik powrócił, energicznie wydając rozkazy, gdy tymczasem na schodach słychać było coraz cichszy łomot zbiegających butów. - Zwiąż tych skurwysynów i wrzuć do gościnnej łazienki razem z tym, którego de Vries trzyma na muszce w mojej sypialni. Damy żandarmom tego drania, którego Karin wysłała do Walhalli.

- Policja będzie chciała wiedzieć, co się stało, Stan.

- Do jutra... a właściwie do dzisiejszego ranka, to będzie ich problem. Chcę tylko pociągnąć za kilka dyplomatycznych sznurków i wysłać te śmiecie jednym z naszych odrzutowców do Waszyngtonu. Nie informując nikogo poza Sorensonem. Nagle z sypialni rozległ się krzyk Karin. Drew wpadł tam i zobaczył dziewczynę, stojącą z bronią w opuszczonej luźno ręce. Patrzyła na leżącą z wytrzeszczonymi oczyma nieruchomą postać na łóżku.

- Co się stało?

- Nie jestem pewna. Nagle złapał za róg kołnierzyka i przygryzł go. Kilka sekund później upadł.

- Cyjanek. - Latham dotknął gardła młodego neonazisty, szukając pulsu. - Deutschland iiber Alles - powiedział cicho. Ciekaw jestem, czy rodzice tego dzieciaka będą z niego dumni. - Chryste, mam nadzieję, że nie.

* * *

ROZDZIAŁ 16

Zero Pięc i Zero Dwa siedzieli w ciasnej kabinie odrzutowca lecącego nad Atlantykiem do Waszyngtonu. Obaj mieli obandażowane dłonie oraz przedramiona i oderwane kołnierze koszul. Mało prawdopodobne, aby nas zlikwidowano, pomyślał Piątka, Amerykanie byli pod tym względem miękkimi ludźmi, szczególnie jeżeli jeniec sprawiał wrażenie skruszonego i spokojnego. Trącił drzemającego Zero Dwa.

- Obudź się - powiedział po niemiecku.

- Was ist?

- Co powinniśmy zrobić, gdy nas dostarczą na miejsce? Masz pomysł?

- Kilka - odparł Dwójka, ziewając.

- Więc powiedz.

- Amerykanie z natury są skłonni do przemocy, choć ich przywódcy głoszą co innego. Mają też wrodzoną skłonność do wyszukiwania spisków, bez względu na to jak mało prawdopodobnymi mogą się okazać. Nasi przywódcy mają kochanki i kogo to obchodzi? Ich przywódcy zabawią się z dziwką i nagle okazuje się, że w ten sposób związali się z królami zbrodni. Czy tacy ludzie rzeczywiście potrzebują przestępców, żeby dostarczali im podobnego rodzaju kobiet? Absurdalne, ale Amerykanie właśnie tacy są. Ich purytańska hipokryzja odrzuca prawa natury. A przecież monogamia po prostu nie leży w naturze samca.

- O czym u diabła gadasz? Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. - Ależ ci odpowiedziałem. Gdy znajdziemy się na miejscu, odwołamy się zarówno do ich hipokryzji, jak też potrzeby tropienia spisków.

- W jaki sposób?

- Wierzą, albo będą musieli uwierzyć, że należymy do elity Bractwa, co jest w pewnym sensie prawdą, choć nie w tym sensie, w jakim oni uważają. Będziemy musieli udawać, że jesteśmy naprawdę ważni. Że mamy powiązania z fanatykami w Bonn, którzy uważają nas za prawdziwych szturmowców i ufają nam, bo nas potrzebują.

- Ale to kłamstwo. Nie znamy nazwisk, jedynie pseudonimy, które zmienia się dwa razy w tygodniu. Amerykanie naszprycują nas narkotykami i dowiedzą się o tym.

- W tej chwili specyfiki wymuszające prawdę nie są uważane przez kręgi specjalistów za bardziej niezawodne niż hipnoza. Można danego osobnika zaprogramować w taki sposób, aby stał się na nie odporny. Amerykański wywiad zdaje sobie z tego sprawę.
- Ale nas nie uodporniono.
- A po co? Jak sam powiedziałeś, nie znamy nazwisk, jedynie kody upoważniające do wydawania nam rozkazów. Jeżeli zostaniemy poddani działaniu narkotyków i wyjawimy te bezużyteczne kody, będą tylko pod jeszcze większym wrażeniem.
- W dalszym ciągu nie odpowiadasz na moje pytanie. Lubilem cię bardziej, kiedy nie mówiłeś tak dużo i nie popisywałeś się swoją erudycją. Jak więc rozegramy sprawę z Amerykanami?
- Przede wszystkim podkreślimy nasze znaczenie, nasze bliskie związki z przywódcami zarówno w Europie, jak i w Ameryce. A potem niby z oporami przyznamy się, że w motywach naszych działań kryje się spora doza obłudy. Nasz styl życia jest ekstrawagancki: ukryte, bogate rezydencje, nieograniczone fundusze, zawsze dostępne najpiękniejsze kobiety. Fantazje każdego młodego człowieka są naszą rzeczywistością. I właśnie Bractwo umożliwi nam realizację naszych pragnień, więc dla niego>pracujemy, ale nie mamy ochoty dla niego umierać.
- Bardzo dobrze, Dwójka. Bardzo przekonujące
- Takie byłyby podstawowe założenia. A potem odwołamy się do ich skłonności dopatrywania się wszędzie spisków. Ponownie podkreślimy nasze znaczenie, nasze wpływy, fakt, że ciągle się z nami konsultują i że musimy być w stałym kontakcie z równymi nam rangą na całym świecie.
- Szczególnie w Stanach Zjednoczonych - powiedział Zero Pięć.
- Oczywiście. A informacje, którymi dysponujemy: konkretne nazwiska, a w razie ich braku stanowiska w administracji i przemyśle, są wstrząsające. Ludzie, których nigdy by o to nie podejrzewali, są sympatykami Bractwa Straży.
- Ten proces jest już w toku.
- A więc, przeniesiemy go na inny poziom. W końcu żaden z nich nie usłyszał tego wprost, od bezpośrednio zainteresowanych. Jeżeli nasze komputery się nie mylą, a spodziewam się, że nie, jesteśmy pierwszymi neonazistami, których schwytano żywcem. W gruncie rzeczy jesteśmy niezwykle ważną zdobyczą, bardzo cennymi jeńcami. Możemy nawet uzyskać specjalne przywileje, jeżeli zasugerujemy, że się wahamy. Prawdę mówiąc, z niecierpliwością oczekuję najbliższych kilku dni. Zero Cztery i Zero Siedem, niemal ogarnięci histerią uciekinierzy z rue Dianę, wpadli do kwatery głównej blitztragerów w Magazynach Avignon, próbując jakoś zapanować nad swoimi emocjami, co nie bardzo im się udawało. Pozostali towarzysze znajdowali się w sali konferencyjnej jeden siedział przy stole, drugi nalewał kawę.
- Jesteśmy skończeni! - zawołał Zero Cztery, padając bez tchu na krzesło. - Rozpętało się piekło.
- Co się stało? - Blitztrager, który nalewał kawę, upuścił kubek. - To nie była nasza wina - odezwał się głośno tonem usprawiedliwienia Zero Siedem. - Wpadliśmy w pułapkę, a Piątka i Dwójka spanikowali. Wbiegli do mieszkania, strzelając seriami... - A potem rozległy się inne strzały i usłyszeliśmy, jak padają wtrącił Zero Cztery, spoglądając nieprzytomnym wzrokiem.
- Pewnie nie żyją.
- A co z pozostałymi, tymi dwoma, którzy mieli atakować przez okno?
- Nie wiemy. Nie byliśmy w stanie się zorientować!
- I co teraz zrobimy? - spytał Siódemka. - Jest jakaś wiadomość od Zero Jeden?
- Żadnej.
- Jeden z nas musi przejąć dowodzenie i porozumieć się z Bonn - oznajmił Blitztrager nalewający kawę. Cała trójka zgodnie pokręciła głowami.
- Zostaniemy zlikwidowani - oznajmił spokojnie, rzeczowym tonem Czwórka. - Dowódcy zażądają tego, a mówiąc szczerze, nie mam ochoty ginąć za czyjeś błędy i histerię. Gdybym rzeczywiście ponosił za wszystko odpowiedzialność, chętnie zażyłbym cyjanek, ale nie jestem winny, nie jesteśmy.

- Co możemy zrobić? - powtórzył Siódemka. Wyprostowany Zero Cztery obszedł stół naokoło i zatrzymał przed kolegą stojącym przy ekspresie do kawy.
- Prowadzisz nasze rachunki, prawda?
- Tak.
- Ile pieniędzy mamy?
- Kilka milionów franków.
- Czy możesz zdobyć jeszcze więcej?
- Nasze wnioski o dodatkowe fundusze nigdy nie były kwestionowane. Przekazujemy je telefonicznie i otrzymujemy faks zlecenie. Oczywiście, musimy je później umotywować, zdając sobie sprawę z konsekwencji, jeżeli żądanie było nieuzasadnione. - Takich samych, jakie grożą nam obecnie?
- No tak. Śmierć.
- Zadzwoń i zadysponuj maksymalną sumę. Możesz napomknąć, że mamy w kieszeni prezydenta Francji albo przewodniczącego Izby Deputowanych.
- To rzeczywiście wymagałoby maksymalnej sumy. Przelew zostanie dokonany natychmiast, ale pieniądze będą niedostępne do chwili otwarcia algierskiego banku... Teraz jest po czwartej, banki są otwierane o dziewiątej.
- Niecałe pięć godzin - rzekł Zero Siedem, spoglądając na Czwórkę. - Co o tym myślisz?
- Chyba oczywiste. Jeżeli tu zostaniemy, grozi nam śmierć... To, co teraz powiem, może się wam nie spodobać, ale jestem zdania, że lepiej posłużymy naszej sprawie żywi niż umarli. Szczególnie jeżeli nasza śmierć byłaby wynikiem czyjejś niekompetencji. Wciąż mamy wiele do zaproponowania... Mam wuja w podeszłym wieku, który mieszka koło Buenos Aires, sto dwadzieścia kilometrów na południe od Rio de la Plata. Był jednym z wielu, którzy uciekli, w chwili upadku Trzeciej Rzeszy, ale rodzina wciąż uważa, że Deutschland jest świętością. Mamy paszporty. Możemy tam polecieć i moja rodzina udzieli nam schronienia.
- To lepsze niż likwidacja - oznajmił Siódemka.
- Nieuzasadniona likwidacja - dodał poważnie Blitztrager siedzący przy stole.
- Ale czy możemy na pięć godzin stać się nieosiągalni? wyraził wątpliwość zabójcaskarbnik.
- Owszem, jeżeli zniszczymy telefony i wyjdziemy stąd - odparł Zero Cztery. - Zapakujemy wszystko, co będzie nam potrzebne, spalimy, co się da, i wyniesiemy się stąd. Czeka nas długi dzień i noc. Do roboty, szybko! Zgniećcie dokumenty i inne papiery, wpakujcie je do metalowych koszy na śmieci i podpalcie.
- Z przyjemnością - oznajmił z ulgą Zero Siedem.

Knox Talbot, dyrektor CIA, otworzył drzwi Wesleyowi Sorensonowi. Był wczesny wieczór i słońce zachodziło nad polami. - Witaj w moich skromnych progach, Wes.

- Skromne progi, myślałby kto - odparł dyrektor wydziału wchodząc do środka. - Czy jesteś właścicielem połowy stanu? - Tylko małej części. Całą resztę pozostawiam białasom. - Naprawdę bardzo tu pięknie, Knox.
- Nie zaprzeczę - przyznał Talbot, prowadząc go przez elegancko urządzonej salon na wielką oszkloną werandę. - Jeżeli chcesz i masz czas, pokażę ci stodołę i stajnie. Mam trzy córki, które były zakochane w koniach, do chwili kiedy zaczęły interesować się chłopcami.
- Niech mnie licho! - zawołał Sorenson, siadając. - Z moimi dwoma było to samo.
- Czy opuściły cię, kiedy wyszły za mąż?
- No cóż, wpadają od czasu do czasu.
- Ale zostawiły ci konie.
- O tak, przyjacielu. Na szczęście, moja żona je uwielbia. - A moja nie. Jak mi często wspomina, dzieciństwo i młodość na Sto Czterdziestej Piątej Ulicy w Harlemie niezbyt przygotowały ją do życia w majątku, w którym są stajnie. Pozwala mi trzymać konie, bo dzięki nim dzieciaki chętnie tu wpadają, chwilami nawet zbyt często... Chcesz drinka?
- Nie, dziękuję. Mój kardiolog pozwala mi na osiemdziesiąt gram dziennie, a już wypilem sto. A kiedy wrócę do domu, dojdę razem z żoną do stu pięćdziesięciu.

- W takim razie zabierajmy się do interesów. - Talbot sięgnął do koszyka na gazety i wyciągnął zaopatrzoną w czarną obwódkę teczkę do dokumentów. - Najpierw komputery AAZero - powiedział. - Nie było nic, absolutnie nic, do czego mógłbym się przyczepić. Nie podaję w wątpliwość danych Harry'ego Lathama, ale jeżeli są prawdziwe, tożsamości wtyczek zostały tak zakopane, że trzeba będzie archeologów, aby je odkryć.
- Są prawdziwe, Knox.
- Nie wątpię i dlatego dalej szperam. Wymieniłem cały zespół w ramach rotacji kadr. Wyjaśniłem, że rozwijam możliwości wykorzystania wyższej kadry specjalistów.
- Jak to przyjęli?
- Średnio, ale bez jakichś wyraźnych sprzeciwów, których oczekiwałem. Chyba nie muszę mówić, że cały poprzedni zespół mam pod mikroskopem.
- Zrozumiałe - odparł Sorenson. - A co z Kroegerem, Gerhardem Kroegerem?
- Bardzo interesująca sprawa. - Talbot przerzucił kilka kartek w teczcze. - Przede wszystkim trzeba wspomnieć, że był swego rodzaju geniuszem w zakresie chirurgii mózgu i zajmował się nie tylko usuwaniem łagodnych guzów, ale również likwidowaniem "podkorowych napięć", dzięki czemu psychicznie chorzy odzyskiwali zdrowie. - Był? - zapytał Wesley Sorenson. - Co to ma znaczyć "był"? - Zniknął. W wieku czterdziestu trzech lat zrezygnował ze stanowiska zastępcy ordynatora oddziału chirurgii czaszkowej w szpitalu w Norymberdze, twierdząc, że czuje się wypalony, psychicznie niezdolny do dalszego prowadzenia operacji. Ożenił się z cenioną siostrąinstrumentariuszką Gretą Frisch i po raz ostatni słyszano o nich... właściwie to jest ostatni ślad... gdy wyemigrowali do Szwecji. A co mówią szwedzkie władze?
- To właśnie jest ciekawe. Wiedzą, że cztery lata temu wjechali do Szwecji, rzekomo w celach turystycznych. Rejestry hotelowe informują, że spędzili tam dwa dni i wyjechali. Cały trop tu właśnie się kończy.
- Wrócił - oznajmił dyrektor wydziału. - A właściwie nigdy nie wyjeżdżał. Zamiast uzdrawiać chorych, poświęcił się innej sprawie. - Co to może być, u diabła, Wes?
- Nie wiem. Może wpędzanie ludzi w chorobę? Po prostu nie wiem. Drew Latham otworzył oczy, poirytowany dobiegającymi przez rozbite okno w sypialni głośniejszymi niż zazwyczaj dźwiękami z ulicy. Witkowski razem ze strażnikami z piechoty morskiej odprowadził schwytych nazistów na lotnisko i ktoś musiał pozostać w pokoju pułkownika - otwarte okno było zbyt zapraszające. Drew powoli zsunął się z drugiej strony łóżka i wstał, starając się nie stąpać po odłamkach szkła. Wziął z krzesła spodnie i koszulę, włożył je i podszedł do drzwi. Otworzył je i zobaczył Witkowskiego oraz Karin de Vries siedzących przy stoliku po drugiej stronie pokoju i pijących kawę.
- Jak dawno wstaliście? - zapytał, właściwie nie interesując się specjalnie odpowiedzią.
- Pozwoliliśmy ci spać, mój drogi.
- Znowu "mój drogi". Zaczynam szczerze wierzyć, że nie mówisz tego zdawkowo.
- To tylko takie wyrażenie, Drew - powiedziała Karin. Byłeś wspaniały ubiegłej nocy... a właściwie dziś rano.
- Oczywiście, pułkownik był lepszy.
- Oczywiście, młody człowieku, ale nieźle dałeś sobie radę, niech mnie licho. W obliczu nieprzyjaciela byłeś zimny i opanowany. - Uwierzy pan, Supermanie, że robiłem już coś takiego? Nie powiem, że jestem z tego dumny. Po prostu była to kwestia przeżycia.
- Chodź - powiedziała de Vries, wstając. - Przyniosę ci kawy. Weź trzecie krzesło i siadaj - dodała, kierując się w stronę kuchni. - Złożę się, że nie pozwoliłaby mi na nim usiąść, gdyby było jej - powiedział Latham, przechodząc niepewnym krokiem przez pokój. - A więc, co się stało, Stosh? - zapytał siadając. - Wszystko, na czym nam zależało, młody człowieku. O piątej rano wysłałem tych łobuzów odrzutowcem do D.C. i nikt o tym nie będzie wiedział oprócz Sorensona.
- Jak to "nie będzie"? Nie rozmawiałeś z Wesem?
- Mówiłem z jego żoną. Spotkałem się z nią kiedyś... i nikt nie jest w stanie naśladować jej półamerykańskiej, półbrytyjskiej wymowy. Poprosiłem, żeby powtórzyła dyrektorowi, że

paczka przybędzie na Andrews o 4.10 rano ich czasu, pod nazwą kodową Piotruś Pan Dwa. Zapewniła, że powtórzy mu, gdy tylko się zjawi. < To zbyt nieprecyzyjne, Stosh. Powinieneś zażądać potwierdzenia. Zadzwoił telefon. Pułkownik wstał, szybkim krokiem przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę.

- Tak? - Słuchał przez chwilę i odłożył ją. - Telefonował Sorenson - wyjaśnił. - Na całym terenie i na dachach rozmieścili pluton marines. Coś jeszcze, panie wywiadowco?

- Owszem - odparł Latham. - Odwołujemy szewca i wesole miasteczko?

- Chyba nie powinniśmy - powiedziała Karin przynosząc Drew kawę i siadając na krześle. - Dwaj neonaziści nie żyją, a dwóch leci do Ameryki. Pozostałych dwóch uciekło.

- Razem sześciu - mruknął Drew. - Daleko im było do plutonu - dodał, spoglądając na Witkowskiego.

- Nawet nie drużyna. Ilu jeszcze pozostało?

- Spróbujmy się dowiedzieć. Zajmę się wesolym miasteczkiem... - Drew! - przerwała mu ostro Karin.

- Niczym się nie zajmiesz - dodał pułkownik. - Chyba szwankuje ci pamięć, młody człowieku. Chcą cię mieć, a właściwie Harry'ego, sztywnego na stole prosektoryjnym, czyżbyś zapomniał? - A więc co mam właściwie robić? Otworzyć włącz na ulicy i schować się w kanałach?

- Nie, zostaniesz tutaj. Przyślę dwóch marines, żeby pilnowali schodów, i kogoś z działu technicznego administracji do naprawy okna.

- Czy macie coś przeciwko temu, że chcę być użyteczny?

- Będziesz. Chwilowo tu będzie nasza baza, a ty zapewnisz łączność.

- Kogo z kim?

- Z każdym, z kim polecę ci się skontaktować. Będę dzwonił przynajmniej raz na godzinę.

- A co ze mną? - spytała z obawą Karin. - Mogę się przydać w ambasadzie.

- Owszem, konkretnie w moim gabinecie, z wartownikiem pod drzwiami. Sorenson wie, kim jesteś, i bez wątplenia Knox Talbot również. Jeżeli któryś z nich porozumie się ze mną przez telefon szyfrujący, odbierzesz wiadomość, zadzwonisz tu do naszego zapominalskiego, a ja odbiorę informację od niego. A teraz, gdybym tylko mógł wymyślić sposób, żeby cię tam przewieźć. Musimy się liczyć, że na ulicy są wrogowie.

- Być może będę mogła wam pomóc. - De Vries wzięła torebkę stojącą przy krześle, wstała i ruszyła w stronę sypialni. Zajmie to chwilę lub dwie, ale wymaga nieco zabiegów.

- Co ona robi? - zapytał Witkowski, gdy Karin zniknęła za drzwiami.

- Chyba wiem, ale niech ci zrobi niespodziankę. Może wówczas awansujesz ją na swojego zastępcę.

- Mógłbym trafić gorzej. Freddie nauczył ją mnóstwa sztuczek. - Których nauczyłeś go ty.

- Tylko tej ze schodami ewakuacyjnymi. Resztę wymyślił sam i zazwyczaj nieźle nas wyprzedzał... wszystkich nas, może z wyjątkiem Harry'ego.

- Co się stanie, jeżeli Karin opuści ambasadę?

- Nie robi tego. Mamy mnóstwo pokoiów służbowych. Na kilka dni wyrzucę kogoś i zostanie tam.

- Oczywiście, z wartownikiem. Pułkownik spojrzał spokojnie na Lathama.

- Interesujesz się nią, prawda?

- Tak - odparł po prostu Drew.

- Zazwyczaj bym tego nie pochwalał, ale w tym wypadku nie będę wysuwał szczególnych obiekcji.

- Nie powiedziałem, że to do czegoś prowadzi.

- Owszem, ale jeżeli do czegoś dojdzie, będziesz miał nade mną cholerną przewagę. Ona działa w tym samym interesie.

- Słucham?

- Przecież nie mam wnuków tylko dlatego, bo wyfasował mi je jakiś kwatermistrz. Byłem trzynaście lat żonaty ze wspaiałą kobietą, która wreszcie przyznała, że nie może pogodzić się

z moim sposobem zarabiania na życie i wszystkimi związanymi z tym komplikacjami. Jedyny raz w życiu błagałem, ale przejrzała mnie na wylot. Zbyt przywykłem do tego, co robię. Była bardzo wyrozumiała... miałem nieograniczone prawa odwiedzania dzieci. Ale oczywiście nie miałem zbyt wielu okazji, żeby się z nimi widywać. - Przepraszam, Stanley, nie miałem pojęcia.

- Historia nie przypomina tych, które drukują w "Stars and Stripes", prawda?

- Chyba nie, ale najwyraźniej jakoś sobie ułożyłeś sprawy z dziećmi. Mam na myśli odwiedzanie wnuków i tak dalej.

- Tak, owszem, uważają mnie za fajnego faceta. Ich matka bardzo dobrze wyszła ponownie za mąż. A co ja na litość boską mam zrobić z pieniędzmi, które dostaję? Mam więcej forsy, niż mogę wydać, więc sam możesz sobie wyobrazić, co się dzieje, kiedy przyjeżdżają do Paryża. Ich rozmowę przerwało pojawienie się w drzwiach sypialni kobiety o bardzo jasnych blond włosach, w ciemnych okularach, spódniczce sięgającej wysoko przed kolana i rozpiętej do połowy bluzce.

- Co, chłopcy, chcielibyście robić w pokoiku na zapleczu? zapytała niskim głosem, naśladując wyświechtany filmowy tekst. - Niesamowite! - zawołał oszołomiony Witkowski.

- To jest coś - oznajmił Drew i gwizdnął cicho.

- Odpowiada panu, pułkowniku?

- Z całą pewnością, choć będę musiał pilnować wartowników. Mam nadzieję, że uda mi się znaleźć paru gejów.

- Nic się nie martw, Czarodzieju - powiedział Latham. Pod ogniem kryje się lód.

- Najwyraźniej nie jestem w stanie pana oszukać, monsieur roześmiała się Karin. Obciągnęła spódnicę, zapięła bluzkę i właśnie ruszyła w stronę stołu, gdy zadzwonił telefon. - Mogę odebrać? zapytała. - Wyjaśnię, że jestem pokojówką - oczywiście po francusku.

- Będę zobowiązany - odparł Witkowski. - Dzisiaj odbierają pranie. Zazwyczaj dzwonią właśnie o tej porze. Powiedz posłańcowi, żeby wszedł i przyciśnij szóstkę, by otworzyć mu drzwi na klatkę schodową.

- Allo? C'est la residence du colonel. - De Vries słuchała przez chwilę, zasłoniła dłonią słuchawkę i powiedziała do szefa ochrony ambasady. - Dzwoni ambasador Courtland. Chce natychmiast z tobą rozmawiać. - Witkowski wstał szybko, przeszedł przez pokój i wziął słuchawkę od Karin.

- Dzień dobry, panie ambasadorze.

- Słuchajcie, pułkowniku! Nie wiem, co się stało dziś w nocy w waszym mieszkaniu albo w dyplomatycznej części Portu Lotniczego Orly... i nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć! Ale jeżeli ma pan jakieś plany na dzisiejszy ranek, niech je pan skreśli. To jest rozkaz!

- Miał pan wiadomości z policji?

- Więcej niż miałbym na to ochotę. A w dodatku rozmawiałem z ambasadorem Niemiec, który aktywnie z nami współpracuje. Sekcja niemiecka z Quai d'Orsay kilka godzin temu powiadomiła Kreitza o pożarze w biurach Magazynów Avignon. Wśród szczątków były resztki akcesoriów związanych z Trzecią Rzeszą, a także tysiące zwęglonych kartek, spalonych całkowicie w metalowych koszach na śmieci.

- Pomieszczenia zajęły się od papierów?

- Najwyraźniej zostawiono otwarte okno i wiatr rozdmuchał płomienie, uruchamiając alarmy i zraszacze. Niech pan natychmiast przyjeżdża!

- Gdzie są te składy?

- Skąd u diabła mogę wiedzieć? Mówi pan po francusku, niech więc pan kogoś spyta!

- Sprawdzę w książce telefonicznej. I, panie ambasadorze, wołę nie brać swojego samochodu albo taksówki. Czy mógłby pan łaskawie zadzwonić, to znaczy, pańska sekretarka, do Działu Transportu i wysłać po mnie zabezpieczony pojazd na rue Diane? Znają adres.

- Zabezpieczony pojazd? O co u licha panu chodzi?

- Opancerzony samochód z żołnierzem z piechoty morskiej.

- Chryste, jak bardzo chciałbym być teraz w Szwecji! Niech się pan dowie jak najwięcej pułkownikowi. I niech się pan spieszy! - Niech pan poleci Działowi Transportu, żeby się pospieszyli. - Witkowski odłożył słuchawkę, przycisnąwszy jednak uprzednio widelki. Odwrócił się do Lathama i de Vries. - Wszystko ulega zmianie, przynajmniej na jakiś czas. Jeżeli będziemy mieli szczęście, może zgarniemy pulę. Karin, zostajesz tutaj. Ty, młody człowieku, idziesz do mojej garderoby i znajdujesz sobie mundur, który będzie na ciebie pasował. Mamy mniej więcej takie same wymiary, coś powinno pasować.

- Dokąd jedziemy? - spytał Drew.

- Do spalonych przez neonazistów biur w magazynach. Nie popisali się. Jakiś dupek otworzył okno. Paryska kwatera główna była całkowicie zdemolowana. Mury osmalone, zasłony spalone do karniszy, a wszystko przesiąknięte wodą ze zraszaczy. W gabinecie wypełnionym skomputeryzowanym sprzętem elektronicznym, niewątpliwie wykorzystywanym przez dowódcę oddziału, znajdowała się wielka stalowa szafa zamknięta na klucz. Gdy ją rozbito, ukazał się cały arsenał - poczynając od karabinów snajperskich z umocowanymi lunetami po skrzynki z granatami, miniaturowe miotacze ognia, garoty, rozmaitego rodzaju broń krótka i różne sztylety - niektóre pod postacią lasek i parasoli. Wszystko odpowiadało przedstawionemu przez Drew Lathama opisowi elitarnych nazistowskich zabójców w Paryżu. Tu była ich kryjówka. - Używajcie pincet - rozkazał policjantom po francusku pułkownik Witkowski, wskazując zwęglone kartki papieru na podłodze. - Weźcie płytki szklane i kładźcie między nimi wszystko, co nie jest całkowicie zniszczone. Nigdy nie wiadomo, na co się natrafi.

- Wszystkie telefony zostały zerwane ze ścian, a aparaty zniszczone - powiedział francuski detektyw.

- Ale przewody są całe, prawda?

- Nie. Technik z centrali telefonicznej jest już w drodze. Odtworzy linie i będziemy mogli ustalić ich połączenia.

- Może dokąd dzwonił, ale nie skąd do nich dzwonił. I jeżeli dobrze znam tych drani, to ich telefony były przełączane na jakąś starszą panią w Marsylii, która otrzymuje raz na miesiąc przekaz i premię.

- Podobnie jak w przypadku handlarzy narkotyków, prawda?

- Tak.

- Ale gdzieś są jakieś przelewy, prawda?

- Na pewno, ale żadnego nie będziecie mogli prześledzić. Pochodzą z jakiegoś banku w Szwajcarii albo na Kajmanach, gdzie nikt nie zdradzi tajemnicy kont. Tak się to dzisiaj robi.

- Prowadzę lokalne śledztwa, monsieur, w Paryżu i okolicach, a nie międzynarodowe.

- W takim razie sprowadźcie kogoś kompetentnego.

- Musi pan zwrócić się do Quai d'Orsay. To przekracza moje uprawnienia.

- Zaraz wszystko załatwię. Umundurowany Latham i Karin de Vries w blond peruce podeszli ostrożnie do pułkownika, omijając zwęglone, rozsypane papiery.

- Coś ustalili? - spytał Drew.

- Niewiele, ale kimkolwiek byli lokatorzy, z całą pewnością znajdował się tu ich główny punkt operacyjny.

- Na pewno oni zaatakowali nas w nocy - powiedziała Karin. - Zgadza się, ale gdzie się podzieli? - stwierdził Witkowski. - Monsieur l'Americain! - zawołał inny ubrany po cywilnemu policjant, wybiegając z drugiego pokoju. - Niech pan zobaczy, co znalazłem. Było wciśnięte między poduszkę i oparcie fotela! To list... Początek listu.

- Proszę mi to dać. - Pułkownik wziął do ręki kartkę papieru. - Meine Liebste - zaczął czytać, mrużąc oczy. - Etwas Entsetzliches ist geschehen...

- Pokaż - powiedziała de Vries, zirytowana dukaniem Witkowskiego. Zaczęła tłumaczyć na angielski: - Najdroższa, dzisiejsza noc była straszna. Musimy natychmiast wyjechać, inaczej nasza sprawa będzie zagrożona, a nas zlikwidują za błędy innych. Nikt w Bonn nie może o tym wiedzieć, ale lecimy do Ameryki Południowej, do pewnego miejsca, gdzie uzyskamy

schronienie, do chwili gdy będziemy mogli wrócić i walczyć dalej. Tak bardzo cię Kocham... Muszę kończyć, ktoś idzie korytarzem. Wyślę ten list na lot... Dalej litery są rozmazane. - Na lotnisku! - krzyknął Latham. - Na którym? Jakie linie lotnicze mają rejsy do Ameryki Południowej? Możemy ich przechwycić!

- Daj sobie spokój - rzekł pułkownik. - Jest 10.15 rano. Między siódmą a dziesiątą niejedna linia lotnicza ma rejsy do dwudziestu czy trzydziestu miast Ameryki Południowej. Są poza naszym zasięgiem. Ale jest w tej sprawie jeden pozytywny element. Nasi zabójcy błyskawicznie wynieśli się z Paryża, a ich cholerni bracia w Bonn nie mają o tym pojęcia. Dopóki nie zjawi się ktoś na ich miejsce, będziemy mieli trochę luzu.

Gerhardt Kroeger, chirurg i rekonstruktor mózgow sam był na granicy utraty zdrowego rozsądku. W czasie minionych sześciu godzin dzwonił do Magazynów Avignon kilkanaście razy, używał odpowiednich haseł i w odpowiedzi słyszał od telefonistki, że jakiegokolwiek połączenia z biurem, z którym chciał rozmawiać, są obecnie niemożliwe. "Nasze komputery wykazują fizyczne odłączenie aparatów." Żadne protesty z jego strony nie były w stanie zmienić sytuacji. Wszystko stało się oczywiste. Blitztragerzy wyłączyli się z gry. Ale dlaczego? Co się stało? Zero Pięć był tak pewny siebie. Fotografie z akcji miały być doręczone Kroegerowi z samego rana. I gdzie one są? Gdzie jest Zero Pięć? Nie miał wyboru. Musiał porozumieć się z Hansem Traupmanem w Norymberdze. Ktoś musiał wiedzieć, co się dzieje!

- Bardzo głupio z twojej strony, że dzwonisz na ten numer powiedział Traupman. - Nie mam tu odpowiednich zabezpieczeń. - A ja nie miałem wyboru. Ani ty, ani Bonn nie możecie mi tego robić! Mam rozkaz odnaleźć moje "dzieło" za wszelką cenę, nawet przy wykorzystaniu waszych rzekomo genialnych ludzi w Paryżu...

- I czego jeszcze chcesz? - przerwał mu aroganckim tonem doktor z Norymbergi.

- Czegokolwiek, co miałoby jakiś sens! Traktuje się mnie obrzydliwie, otrzymuję obietnicę za obietnicą i nic z tego nie wynika. A teraz nawet nie mogę porozumieć się z naszymi ludźmi!

- Jako zakonspirowani agenci mają specjalne linie łączności, - Użyłem ich. Telefonistka powiedziała, że ich komputery wykazują, iż telefony zostały odłączone, fizycznie odłączone. Czego jeszcze potrzebujesz, Hans? Ci... nasi ludzie zerwali z nami kontakt. z nami wszystkimi. Gdzie oni są? Minęło kilka sekund, zanim Traupman odezwał się ponownie. - Jeżeli twoje informacje są ściśle - oznajmił cicho - to bardzo niepokojąca wiadomość. Przypuszczam, że jesteś w hotelu.

- Tak.

- Zostań w nim. Pojadę do domu, porozumiem się z paroma innymi osobami i oddzwonię. Może mi to zająć ponad godzinę. - Nieważne. Tylko zadzwoń. Zanim telefon w pokoju hotelu "Lutetia" zadzwonił, minęły prawie dwie godziny.

- Tak? - zapytał Kroeger, chwytając słuchawkę.

- Zdarzyło się coś niezwykłego... Wszystko, co mi powiedziałeś, jest prawdą... bardziej niż prawdą, katastrofą. Człowiek w Paryżu, który wiedział, gdzie znajdują się nasi ludzie poszedł tam i zastał wszędzie policję.

- A więc zniknęli?

- Gorzej. O wpół do piątej rano, ich "księgowy" porozumiał się z naszym wydziałem finansowym i przedstawił wiarygodną informację o skandalu z udziałem francuskich wysokich urzędników państwowych. W grę wchodziły kobiety, młodzi chłopcy i narkotyki. Na tej podstawie zażądał ogromnej sumy pieniędzy... oczywiście do późniejszego rozliczenia.

- Ale żadnego rozliczenia nie będzie, ani teraz, ani później. - Najwidoczniej. Są tchórzami i zdrajcami. Będziemy ich ścigali aż do skutku.

- Ale wasz pościg w niczym mi nie pomoże. Moje "dzieło" wchodzi w krytyczny okres. Co mam zrobić? Muszę faceta odnaleźć! - Omówiliśmy tę sprawę. Nie jest to może najbardziej korzystny układ, ale wydaje nam się, że jedynie on nam pozostał. Porozumie się z Moreau w Deuxieme Bureau. Wie wszystko, co dzieje się we francuskim wywiadzie.

- W jaki sposób mam się z nim skontaktować?

- Wiesz, jak wygląda?
- Owszem, widziałem fotografie.
- Trzeba to zrobić bezpośrednio, bez telefonów, listów. Zwykle spotkanie na ulicy czy w kawiarni, gdzieś, gdzie nikt nie będzie niczego podejrzewał. Powiedz coś krótkiego, zdanie lub dwa, i w taki sposób, żeby tylko on cię usłyszał. Ale koniecznie musisz użyć słowa "Bractwo".
- I co wtedy?
- Może odpowiedzieć coś zdawkowego, ale przy okazji poda ci, gdzie masz się z nim spotkać. To będzie jakieś popularne miejsce, pewnie zatłoczone, i o późnej godzinie.
- Wspominałeś, że macie w stosunku do niego podejrzenia.
- Rozważyliśmy tę sprawę, ale mamy na niego haczyk, jeżeli okaże się nie tak zagorzałym naszym stronnikiem, jak twierdzi. Do chwili obecnej na podstawie własnoręcznie przez niego pisanych pokwitowań wpłaciliśmy na jego konto w Szwajcarii ponad dwadzieścia milionów franków. Zostanie zniszczony i skazany na wieloletnie więzienie, jeżeli te materiały zostaną anonimowo przekazane francuskiemu rządowi i prasie. Nie będzie mógł się ich wyprzeć. Wykorzystaj tę informację, jeżeli będziesz musiał. - Natychmiast udam się do Deuxieme - oświadczył Kroeger. Może spotkamy się jutro, Harry Lathamie.

* * *

ROZDZIAŁ 17

W swoim gabinecie w gmachu Deuxieme Claude Moreau uważnie czytał rozszyfrowaną depeszę nadeslaną przez agenta z Bonn. Nie zawierała ona żadnych nowych faktów, a jedynie osady człowieka, do tego niezbyt odkrywcze, było w niej jednak coś interesującego. "Na wczorajszej sesji Bundestag omawiał problematykę ruchów nazistowskich odżywiających w całym Niemczech, a zwłaszcza niebezpieczeństwo tworzenia koalicji przez partie jednoczące się na fali ostrej krytyki władz. Jednocześnie moi informatorzy, często mający kontakty z przywódcami frakcji zarówno lewicowych, jak i prawicowych, donoszą, że większość polityków podchodzi do tych spraw z jawnym cynizmem. Liberalowie nie ufają oświadczeniom konserwatystów, natomiast wśród tych ostatnich wyróżnia się niewielka grupa, jak gdyby traktująca ów problem z przymrużeniem oka. Przemysłowcy, co zrozumiale, wykazują narastające zaniepokojenie tym, że ruch nazistowski może się przyczynić do zamknięcia zagranicznych rynków zbytu, boją się jednak popierać prosocjalistyczną lewicę i nie wiedzą, komu z prawicy można zaufać. Toteż fundusze spadają na całą scenę polityczną, niczym manna z nieba, bez żadnego określonego kierunku." Moreau odchylił się na oparcie fotela i zaczął w myślach powtarzać to sformułowanie, które przyciągnęło jego uwagę - co więcej, obudziło niepokój: "Wśród tych ostatnich wyróżnia się niewielka grupa, jak gdyby traktująca ów problem z przymrużeniem oka." O kogo mu chodziło? Dlaczego zachował w tajemnicy nazwiska tych ludzi i nie podał ich w raporcie? Podniósł słuchawkę i wywołał sekretarkę.

- Proszę włączyć szyfrator i uruchomić maksymalne zabezpieczenie linii przed podsłuchem.
- Zaraz to zrobię. Jak zwykle rozpozna pan działanie szyfratora na trzeciej linii, kiedy przez pięć sekund będzie słyszalny głośny szum - odpowiedział mu kobiecy głos.
- Dziękuję, Monique. Powinienem już wyjść na umówiony z żoną obiad w "UEscargot". Na pewno będzie dzwoniła, gdy się spóźnię. Proszę jej przekazać, żeby zaczekała, przyjdę jak najszybciej. - Oczywiście, proszę pana. Jesteśmy z Reginą dobrymi przyjaciółkami.
- Wiem. Obie spiskujecie przeciwko mnie. Proszę włączyć szyfrator. Kiedy tylko ustał szum na trzeciej linii, Moreau wybrał numer swojego agenta w Bonn.
- Hallo - odezwał się tamten po niemiecku.
- Ihr Mann in Frankreich.
- Może pan mówić śmiało. Jestem podłączony do centralki ambasady Arabii Saudyjskiej.
- Co takiego?!

- Korzystam wyłącznie z ich linii, a nie z aparatu. Proszę tylko pomyśleć, ile tym sposobem zaoszczędzę Francji pieniędzy. Chyba zasługuję na jakąś premię.
- Niezły z pana łobuz.
- Przecież inaczej nie dostałbym od was ani grosza, prawda? - Przeczytałem pański communique i znalazłem pewne niedomówienia.
- Na przykład?
- Kto tworzy tę "niewielką grupę wśród konserwatystów, jak gdyby traktującą ów problem z przymrużeniem oka"? Nie ujawnił pan ani jednego nazwiska, nie podał nawet przynależności partyjnej tych ludzi.
- Oczywiście. Czyż nie obwarowaliśmy tego w naszej cichej umowie? Naprawdę chce pan, aby takie informacje rozeszły się po całym Deuxieme Bureau? Jeśli tak, to wasz bank w Szwajcarii zdecydowanie zbyt hojnie oplaca "tego łobuza".
- Dość tego! - syknął Moreau. - Pan się zajmuje swoimi sprawami, a ja swoimi i nie musimy nawzajem znać szczegółów tej działalności. Czy to jasne?
- Chyba tak właśnie powinno to wyglądać. Zatem co chce pan wiedzieć?
- Kto prowadzi tej wzmiankowanej przez pana "niewielkiej grupie"? Kogo pan do niej zalicza?
- W większości są to mało znaczący oportuniści, którym się marzy powrót starych czasów. Reszta jedynie maszeruje za nimi przy wtórze werbli, nie mając żadnych własnych zapatrywań. - Kto im prowadzi? - powtórzył uprzejmie Moreau. O kim mowa?
- To cię będzie trochę kosztowało, Claude.
- To ciebie będzie kosztowało, jeśli nie ujawnisz nazwisk. Mam na myśli nie tylko pieniądze.
- W to wierzę. Zresztą mało kto by zauważył zniknięcie takiej plotki, jak ja. Jesteś człowiekiem bezwzględny, Moreau. - I szczerym - dodał szef Deuxieme. - Bierzesz grubą forszę, zarówno za swoje oficjalne, jak i nieoficjalne działania, przy czym te pierwsze są o wiele bardziej niebezpieczne. Nie musiałbym nawet wychodzić z mego gabinetu, wystarczyłoby jedno polecenie: Proszę w sekrecie przekazać naszym przyjaciółom z Bonn pewną tajną informację. Obawiam się, że w gazetach nie byłoby nawet krótkiej wzmianki o twojej śmierci.
- A jeśli ujawnię to, czego się domagasz?
- Wtedy nic nie zakłóci naszej przyjemnej i owocnej współpracy.
- To za mało, Claude.
- Chciałbym wierzyć, że nie jest to twój pierwszy krok do zerwania wszelkich kontaktów.
- Oczywiście, że nie. Chyba nie uważasz mnie za głupca?
- Dostrzegam pewną logikę w twoim postępowaniu. Może jednak przekażesz mi w końcu te niewygodne acz skąpe wiadomości dotyczące wspomnianej "niewielkiej grupy"?
- Według moich informatorów w każdy wtorek wieczorem odbywają się tajne spotkania w jednym z domów leżących nad samym Renem, zazwyczaj w którejś z dużych, bogatych rezydencji, dysponujących własną przystanią rzeczną. Uczestnicy przybywają w łodziach, nigdy nie korzystają z samochodów.
- Pewnie dlatego że ślad po łodzi jest zdecydowanie mniej czytelny niż odciski bieżników opon - wtrącił Moreau. - Łodzie nie mają też tablic z numerem rejestracyjnym.
- To zrozumiałe. Przede wszystkim chodzi o zachowanie tych spotkań w najściślejszej tajemnicy i uniknięcie zdemaskowania osób biorących w nich udział.
- Jestem jednak pewien, że można zidentyfikować domy, gdzie są one organizowane, prawda? Czyżby twoi informatorzy przeoczyli ten fakt?
- Właśnie do tego zmierzałem. Na miłość boską, zaufaj mi choć trochę.
- Jestem po prostu niecierpliwy, nie mogę się doczekać nazwisk. - To zdumiewająca zbieranina, Claude. Trzy osoby należą do arystokracji, ich przodkowie walczyli przeciwko Hitlerowi i rodziny zapłaciły za to wysoką cenę. Trzej inni, może nawet czterej, to nowobogacy, którzy za wszelką cenę pragną uchronić swoje zdobycze przed zakusami władz. Jest też dwóch duchownych, jeden stary ksiądz kościoła katolickiego, drugi pastor luterański,

który chyba bardzo poważnie potraktował swoje śluby nonostentacji. Na mojej liście figuruje jako dzierżawca najmniejszego z tych domów nad rzeką.

- Nazwiska, do cholery!
- Zdobyłem jedynie sześć.
- A pozostałe?
- Trzej inni najemcy pozostają anonimowi, dzierżawią posiadłości od agentów rezydujących w Szwajcarii, a od nich nie sposób wyciągnąć jakichkolwiek informacji. To normalne wśród bogaczy, którzy chcą uniknąć płacenia podatków od dochodów uzyskiwanych za granicą.
- Więc podaj mi tych sześć nazwisk.
- Maximilian von Lówenstein jest właścicielem największej. - Jego ojciec był generałem, został rozstrzelany przez SS podczas wydarzeń w Wilczym Szańcu, w trakcie likwidacji spisku na życie Hitlera. Dalej.
- Albert Richter, do niedawna playboy, a teraz stateczny polityk.
- To dyletant, ma spore posiadłości w Monako. Jego rodzina zagroziła mu wydziedziczeniem, jeśli nie zmieni trybu życia. Nie miał innego wyjścia. Dalej.
- Günter Jäger. To ten pastor luterański.
- Nie znam go, w każdym razie nie przypominam sobie tego nazwiska. Dalej.
- Prałat Heinrich Paltz, ten stary ksiądz.
- Zatwardziały klecha ukrywający swe grzeszki za świętoszkowatymi bredniami. Dalej.
- Friedrich von Schell. To trzeci z bogaczy, którego zdołaliśmy zidentyfikować. Jego posiadłość liczy sobie ponad...
- Spryciarz, niezwykle ostrożny z nawiązywaniem jakichkolwiek znajomości - przerwał mu Moreau. - Elegancki paradujący - w garniturach od Armaniego, mający charakter dziewiętnastowiecznego Prusaka. Dalej.
- Ansel Schmidt, nadzwyczaj rozmowny inżynier elektronik. Zarobił miliony na eksporcie najnowocześniejszych technologii i teraz przy każdej okazji otwarcie krytykuje decyzje władz.
- Łajdak, który przenoślił się z firmy do firmy i wykradał najlepsze pomysły, aż starczyło tego, by założyć własne przedsiębiorstwo...
- To wszystko, co mam, Claude. Sądzisz, że te informacje warte są mojego życia? Podaj mi namiary tych szwajcarskich agentów handlu nieruchomości.
- Kontakt jest utrzymywany za pośrednictwem pewnej tutejszej firmy. Wysyłają emisariusza, dając mu sto tysięcy marek w gotówce, które ten zostawia w którymś banku w Zurichu łącznie ze szczegółowym opisem przysięgłego dzierżawcy. Jeśli pieniądze nie wrócą w określonym terminie, ktoś jedzie podpisać dokumenty, jeżeli zaś wrócą, nie dochodzi do zawarcia umowy.
- A wszystkie opłaty, czynsz, rachunki za telefon? Mam nadzieję, że sprawdzałeś takie rzeczy w wypadku tych trzech anonimowych osób.
- Formalności załatwiają pośrednicy i na ich konta przesyłane są opłaty, dwóch z nich urzęduje w Stuttgarcie, trzeci w Monachium. Przekazy są oznakowane kodem, nie ma żadnych nazwisk.
- A nie sprawdzałeś adresów w sekretariacie Bundestagu?
- Prywatne rezydencje są silnie strzeżone, podobnie jak siedziby wszystkich ważniejszych polityków całego świata. Mogę jeszcze " spróbować, ale zrobiłoby się bardzo niebezpiecznie, gdyby mnie przyłapano. Mówiąc prawdę, włos mi się jeży na karku, kiedy tylko o tym pomyślę.
- Mam rozumieć, że nawet nie znasz dokładnych adresów tych posiadłości?
- Niestety, to nie takie proste. Mogę ci szczegółowo opisać te domy, podać ich wygląd zarówno od strony łądu, jak i od rzeki, ale wszystkie tabliczki zostały pozdejmowane, a wzdłuż ogrodzenia, po obu jego stronach, chodzą patrole z psami. Rzecz jasna, nie ma też żadnych skrzynek pocztowych.
- W takim razie to musi być któryś z tych trzech - rzekł cicho Moreau.
- Nie rozumiem.

- Ktoś z nich musi przewodzić tej grupie. Rozstaw swoich ludzi przy drogach dojazdowych do tych posiadłości, niech spróbują zidentyfikować każdy pojazd mijający bramę. Później porównaj zdobyte informacje z danymi sekretariatu Bundestagu.
- Może wyraziłem się niezbyt jasno, Claude, lecz tereny wokół tych domów są naprawdę dobrze strzeżone. Nie tylko patrole chodzą wzdłuż ogrodzenia, ale w całej okolicy zainstalowano dziesiątki kamer. Gdybym nawet zdołał zwerbować odpowiednich ludzi, co jest mało prawdopodobne, to w wypadku ich schwytania natychmiast zostałbym zdemaskowany, a już wspominałem, że nawet sama myśl o torturach jest przerażająca dla twojego unżonego sługi. - Zawsze się zastanawiałem, jak mogłeś dojść aż tak wysoko. - Używając życia i przeznaczając odpowiednie fundusze, by wkraść się w łaski możliwych tego świata, ale co najważniejsze, nie dając się nigdy złapać. Czy ta odpowiedź ci wystarczy?
- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli kiedykolwiek powinie ci się noga.
- Wtedy, Claude, Bóg powinien się raczej zatroszczyć o ciebie. - Puszczę to mimo uszu.
- A co z moim honorarium?
- Gdy tylko otrzymam pieniądze, dostaniesz swoją część.
- Po której ty właściwie jesteś stronie, stary przyjacielu? - Po niczyjej, a zarazem po stronie wszystkich, zwłaszcza mojej własnej. Moreau pospiesznie odłożył słuchawkę i przebiegł wzrokiem sporządzoną naprędce listę. Po chwili zakreślił trzy nazwiska: Alberta Richtera, Friedricha von Schella i Ansela Schmidta. Prawdopodobnie jeden z nich był poszukiwanym przez niego przywódcą grupy, ale każdy miał ku temu swoje powody, a także środki na to, by kupić sobie głosy wyborców. No cóż, przynajmniej zdobyłem dość silny atut, który tak bardzo był mi potrzebny, pomyślał. Zauważył, że pod włącznikiem trzeciej linii wciąż pali się niebieska lampka - szyfrator był nadal włączony. Sięgnął po słuchawkę i wybrał genewski numer telefonu. - L'Universite de Geneve - zgłosił się operator centrali w odległym o sześćset kilometrów mieście.
- Chciałbym rozmawiać z profesorem Andre Benoitem.
- Allo - odezwał się wkrótce głos wybitnego politologa.
- Tu pański powiernik z Paryża. Czy możemy rozmawiać?
- Chwileczkę. Cisza w słuchawce trwała osiem sekund.
- Teraz możemy - oznajmił w końcu profesor Benoit. Domyślałem się, że dzwoni pan w sprawie naszych paryskich kłopotów. W tej chwili mogę powiedzieć tylko tyle, że nie wiem nic pewnego. Nikt nie wie! Może pan mógłby nas oświecić?
- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.
- To gdzie pan ostatnio był?
- W Monte Carlo, z pewnym aktorem i jego małżonką. Wróciłem dopiero dziś rano.
- O niczym pan nie słyszał? - spytał zdumiony profesor.
- Chodzi panu o napaść na Amerykanina nazwiskiem Latham i późniejsze jego zamordowanie w jakiejś wiejskiej knajpie, będące zapewne dziełem waszej psychopatycznej Grupy K, stacjonującej gdzieś w mieście? To była czysta głupota.
- Skądże! Zero Jeden Paryż zniknął bez śladu, a dziś wczesnym rankiem policja otrzymała zawiadomienie o napadzie przy rue Diane.
- Na dom Witkowskiego? - zdziwił się Moreau. - Nic mi o tym nie wiadomo.
- Tylko przypadkiem się o tym dowiedziałem. Cała Grupa K także zniknęła.
- Nawet nie znalazłem ich siedziby.
- Nikt z nas jej nie znał, niemniej brak od nich jakiegokolwiek wiadomości!
- Sam nie wiem, co powiedzieć.
- Więc niech pan nic nie mówi, tylko się tym zainteresuje i wreszcie dowie czegoś pewnego! - rzekł stanowczo profesor z Genewy.
- Obawiam się, że mam jeszcze gorsze informacje, dla - was i dla Bonn - powiedział z ociąganiem szef Deuxieme Bureau.
- Cóż to za złe nowiny?

- Moi agenci w Niemczech zdobyli listę nazwisk ludzi, którzy w każdy wtorek organizują potajemne spotkania w bogatych rezydencjach nad brzegiem Renu.
- Mój Boże! O kogo chodzi? Claude Moreau powoli odczytał listę, dokładnie wymawiając każde nazwisko.
- Proszę im przekazać, żeby zachowali maksymalną ostrożność - dodał. - Są już pod lupą agentów wywiadu.
- Słyszałem coś niecoś o każdym z nich, ale żadnego nie znam osobiście! - oświadczył stanowczym tonem profesor Benoit. - Nie mam pojęcia, co powinniśmy zrobić.
- Nie pytałem o pańskie zdanie, Herr Professor. Ma pan wykonywać rozkazy, tak samo jak ja.
- Owszem, ale...
- Teoretycy zawsze się gubią, jeśli muszą przejść do rzeczy praktycznych. Proszę tylko dopilnować, aby nasi znajomi z Bonn otrzymali tę informację.
- Tak. Tak, oczywiście, Paryż. Och, mój Boże! Moreau odłożył słuchawkę i rozsiadł się wygodnie w fotelu. Wszystkie rzeczy należałoby załatwiać w ten sposób, pomyślał. Może sytuacja nie jest najlepsza, ale ja zajmuję bardzo dogodną pozycję. Jeśli dojdzie do wpadki, zawsze będę mógł wyjechać z żoną i osiedlić się gdzieś poza granicami Francji. Co prawda nie jest też wykluczone, że i na mnie zostanie nasłany jakiś oddział zbirów. C'est la vie. Było wczesne popołudnie i przez okna mieszkania Karin de Vries przy rue Madeleine wpadały jaskrawe promienie słoneczne. - Byłem dzisiaj u siebie - rzekł Drew, spoglądając na Karin siedzącą na kanapie naprzeciwko jego fotela. - Oczywiście, pod eskortą dwóch żołnierzy, których Witkowski zaprzysiął pod groźbą odesłania do jakiegoś obozu dla rekrutów. Bez przerwy trzymali ręce na kaburach z bronią, ale i tak się cieszyłem, że znów mogę wyjść na ulicę. Chyba mnie rozumiesz?
- Tak, rozumiem. Obawiam się tylko, abyś nie zaufał niewłaściwemu człowiekowi. Przecież mogą być jeszcze inni, o których nic do tej pory nie wiemy.
- Do cholery, mam pewność jedynie co do Reynoldsa z Centrum Łączności. Podobno zwił jak szczur w głąb kanałów. Prawdopodobnie ukrył się w którymś z tych domów wynajętych przez nazistów na południowym wybrzeżu, jeśli nie zastrzelili go od razu.
- Skoro uciekł na południe, to teraz zapewne jego zwłoki leżą kilkaset metrów pod falami, na dnie oceanu.
- Mówiąc ściśle, na południu znajduje się Morze Śródziemne. - Nie sądzę, żeby dla niego miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. Na krótko zapadło milczenie. Wreszcie Drew zapytał:
- I na czym stoimy, moja pani?
- Nie rozumiem.
- Co mam teraz robić? Skreślać kolejne numerki?
- Jakie numerki?
- Takie jak: "Raz, dwa, trzy, cztery, maszerują oficerzy! Ukrywam się u ciebie już przez całą dobę, a nie miałem okazji cię lepiej poznać.
- O czym ty mówisz, Drew?
- Jezu, nawet nie potrafię tego wyrazić słowami. Nigdy nie sądziłem, że coś takiego przyjdzie mi do głowy, naprawdę. A już z pewnością nie myślałem, że odważę się to powiedzieć, szczególnie komuś, kto ratuje mnie przed niechybną śmiercią, podwładnemu mającemu takie mieszkanie, na jakie w życiu nie byłoby mnie stać. - Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej?
- Jak? Zawsze mi się wydawało, że podążam przez życie tropem brata; był dla mnie kimś doskonałym, prawdziwym wzorem Ale kiedy sobie przypomnę, jak wrzeszczał wtedy w łazience, tuż przed śmiercią. Wiesz, o czym mówię. Krzyczał, że tak bardzo cię kocha, uwielbia.
- Przestań, Drew! - powiedziała stanowczym tonem de Vries. - Chyba nie masz zamiaru naśladować również urojeń swego brata?
- Nie, skądże - odparł cicho Latham, patrząc jej prosto w oczy. - Jego urojenia nie mają nic wspólnego z moimi uczuciami Karin. Wyrosłem z tego, zresztą nigdy nic dobrego mi z nich nie przyszło. Pojawiłaś się najpierw w jego życiu, w moim dopiero wiele lat później. Oba te

równania są z pozoru podobne, ale w rzeczywistości to dwa odrębne światy. Nie jestem Harrym i nigdy nim nie będę. Jestem sobą, ale ja również nigdy przedtem nie spotkałem kogoś takiego, jak ty. Podobają ci się takie swoiste oświadczenia? - Wyjątkowo trafne, mój drogi.

- Znowu zwracasz się do mnie: "mój drogi". To nic nie znaczy. - Nie próbuj tego umniejszać, Drew. Najpierw muszę się uwolnić od prześladowających mnie koszmarów, a gdy już tego dokonam, może będę umiała się cieszyć, że chcesz być razem ze mną. Niewykluczone, że będzie nam ze sobą dobrze; odznaczasz się wieloma cechami, które szczerze podziwiam. Ale na razie jakikolwiek bliższy związek jest dla mnie czymś mglistym i bardzo odległym. Wpierw muszę zapomnieć o przeszłości. Czy potrafisz to zrozumieć? - Bez względu na to, czy potrafię, czy nie, obiecuję ci, że zrobię wszystko, aby tak było.

Ulice zapelnily się popołudniowym tłumem. Biurowce błyskawicznie opustoszały, a rzesze urzędników ruszyły do swych ulubionych kafejek i restauracji na obiad. W Paryżu przerwa obiadowa wiąże się nie tylko z posiłkiem, w rzeczywistości jest on jednym z mniej ważnych elementów zapelniających czas wolny od pracy. Dlatego niech Bóg ma w swej opiece pracodawcę, który liczy na to, że jego podwładni wrócą, a zwłaszcza wymuskany personel kierowniczy, na czas do pracy, szczególnie w miesiącach letnich. Właśnie z tego powodu doktor Gerhardt Kroeger denerwował się coraz bardziej. Spieszący ludzie potracali go raz za razem, on jednak trwał na swym posterunku, zasłaniając twarz złożoną gazetą, zza której obserwował znajdujące się po jego prawej stronie wyjście z budynku Deuxieme Bureau. Koniecznie musiał złapać Claude'a Moreau, a czas miał niezwykle istotne znaczenie, liczyła się każda minuta. Twór będący jego dziełem, Harry Latham, rozpoczął nieubłagane odliczanie; zostały im najwyżej dwa dni, czterdzieści osiem godzin, a i tego nie można było określić dokładnie. Oprócz typowego dla chirurga niepokoju dręczył go pewien szczegół, o którym nie zameldował swoim przełożonym z Bruderschaftu: Zanim jeszcze mózg operowanego ostatecznie odrzucił przeszczep, a rzeczywistość wirtualna eksplodowała, obecne w niej całe otoczenie sali operacyjnej niespodziewanie uległo odbarwieniu. Jednocześnie na skórze pacjenta pojawiło się silnie zaczerwienione obrzmienie wielkości małego spodka, które od razu musiałoby przyciągnąć uwagę lekarza prowadzącego autopsję, jakby zapraszało go do szczegółowego zbadania niezwykle tworu. A przecież, wbrew powszechnemu mniemaniu, dane zapisane w elektronicznej pamięci typu ROM, służące do realizacji konkretnego zadania, bez większego trudu mogły zostać odczytane przez zupełnie inne urządzenia niż to, dla którego pierwotnie sporządzono ów zapis. Gdyby te dane dostały się w niepowołane ręce, groziło to zniszczeniem całego Bractwa Straży, ujawnieniem jego tajemnic i odkryciem celów, jakie przed sobą stawiało. Mein Gott! - powtarzał w myślach Kroeger, możemy stać się ofiarami naszej własnej, tak zaawansowanej techniki! Kiedy zaś pomyślał o ciągłym rozprzestrzenianiu broni jądrowej, doszedł do wniosku, że to stwierdzenie i tak jest prawdziwe. Dostrzegł wreszcie Moreau. Mocno zbudowany szef Deuxieme zbiegł po schodkach, skręcił w prawo i szybko ruszył chodnikiem. Wyraźnie się spieszył. Kroeger omal nie musiał biec, żeby dogonić oddalającego się Francuza. Roztrącając idących przed nim ludzi, rzucając na lewo i prawo słowa przeprosin - raz po francusku kiedy indziej po niemiecku - zdołał w końcu zmniejszyć dzielący ich dystans. Chwycił tamtego za rękę.

- Monsieur! - zawołał. - Coś panu wypadło!

- Pardon? Tamten stanął i obejrzał się, zdumiony. - Musiał się pan pomylić. Niczego nie zgubiłem.

- Jestem pewien, że to pan - ciągnął lekarz po francusku. Notes lub mały portfelik. Jakiś facet go podniósł i uciekł! Moreau pospiesznie obmacał kieszenie i na jego twarzy odmalował się wyraz ulgi.

- Na pewno się pan pomylił. Niczego mi nie brakuje. Ale bardzo dziękuję za troskę. Paryscy kieszonkowcy nie próżnują. - Podobnie jak monachijscy, monsieur. Proszę mi wybaczyć ale

bractwo, którego jestem członkiem, wymaga od nas przestrzegania chrześcijańskiej zasady pomocy bliźnim.

- Ach, rozumiem. Bractwo chrześcijańskie. To naprawdę godne podziwu. - Spojrzał uważnie na nieznanego, kątem oka obserwując mijających ich przechodniów, a po chwili dodał szeptem: - Pont Neuf, o dziewiątej wieczorem, po stronie północnej. Mgła wisząca nad wodą rozmywała blask księżyca tańczący na powierzchni Sekwany. W powietrzu czuło się nadciągający deszcz. Większość ludzi przechodzących mostem spieszyła do domów, żeby schronić się pod dachem przed burzą, tylko dwaj mężczyźni bez pośpiechu zbliżali się do siebie chodnikiem po północnej stronie Pont Neuf. Spotkali się pośrodku mostu. Moreau zaczął pierwszy: - Wspomniał pan wcześniej o czymś, co może mieć dla mnie znaczenie. Czy mógłby pan teraz to wyjaśnić?

- Nie ma czasu na obszernie wyjaśnienia, monsieur. Obaj wiemy, kim jesteśmy i jakie pełnimy funkcje. Wydarzyło się coś niezwykłego.

- Tak, wiem, aczkolwiek poznałem szczegóły dopiero dziś rano. Jest rzeczą dosyć niepokojącą, że moje biuro nie zostało wcześniej poinformowane. Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Czyżby któryś z pańskich kurierów nie dochował tajemnicy? - To wykluczone. Teraz naszym zadaniem, podstawowym zadaniem, jest odnaleźć Harry'ego Lathama. To o wiele ważniejsze niż można by przypuszczać. Wiemy, że personel ambasady, za namową działaczy organizacji "Antyninus", znalazł mu jakąś kryjówkę tutaj, w Paryżu. Musimy go odnaleźć! Nie wątpię, że wywiad amerykański przekazuje wam na bieżąco różne informacje. Gdzie on jest? - Odwołuje się pan do rzeczy, o których nic mi nie wiadomo, panie. Przepraszam, jak się pan nazywa? Nie będę rozmawiać z całkiem nieznanym człowiekiem.

- Kroeger, doktor Gerhardt Kroeger. Krótka rozmowa telefoniczna z Bonn potwierdzi moje wysokie stanowisko!

- Jestem pod wrażeniem. A jakież to "wysokie stanowisko" pan zajmuje, doktorze?

- To właśnie ja ocalilem życie Harry'emu Lathamowi. A teraz koniecznie muszę go odnaleźć.

- Owszem, to już słyszałem. Ale wie pan zapewne, że jego brat, Drew, został zabity przez tych kretynów z waszej Grupy K? - Po prostu zaszła pomyłka.

- Aha, zwyczajna pomyłka. Ale jednak była to robota Grupy K, tych narwańców ledwie umiających czytać, jeśli w ogóle chodzili do jakiegokolwiek szkoły.

- Nie muszę wysłuchiwać tych obelg! - wykrzyknął rozwścieczony Kroeger. - Jeśli chodzi o ścisłość, pan także nie cieszy się opinią człowieka odpowiedzialnego, więc radzę panu być ze mną szczerym. Chyba wie pan, jakie mogą być konsekwencje niesubordynacji. - Jeśli mówi pan prawdę, to mam jeszcze wiele do stracenia. - Proszę odnaleźć Harry'ego Lathama!

- Spróbuję.

- I to natychmiast. Niech pan skorzysta ze wszystkich swoich kontaktów, francuskich, amerykańskich, brytyjskich, absolutnie wszystkich. Musimy wiedzieć, gdzie ukryto Harry'ego Lathama! Zatrzymałem się w hotelu "Lutetia", pokój numer osiemset. - Na najwyższym piętrze? Pan naprawdę musi być kimś ważnym.

- Nie zasnę, dopóki nie otrzymam od pana wiadomości.

- To niemądre, doktorze. Jako lekarz powinien pan wiedzieć, że brak snu zdecydowanie osłabia jasność myślenia. Ale skoro pan tak nalega, sięgając nawet do pogroźek, to mogę pana zapewnić, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Sehr gut! - rzucił Kroeger. - Zostawiam sprawę w pańskich rękach. I niech mnie pan nie zawiedzie. Niech pan nie zawiedzie naszego Bruderschaftu, bo wie pan, czym to grozi.

- Tak, rozumiem. Kroeger odwrócił się na pięcie, odszedł szybko i po chwili zniknął we mgle. Claude Moreau ruszył powoli w stronę rive gauche, mając nadzieję złapać taksówkę. Musiał przemyśleć parę spraw, a między innymi znaleźć sposób na dodatkowe zabezpieczenie Unii telefonicznej w Deuxieme Bureau. Zbyt wiele rzeczy wydawało się stamtąd przeciekać na zewnątrz. W Waszyngtonie była 7.42, kiedy Wesley Sorenson wszedł do swego biura w Wydziale Operacji Konsularnych. Jego sekretarka siedziała już na swoim stanowisku.

- Wszystkie raporty, jakie nadeszły w nocy, czekają na pańskim biurku - oznajmiła.

- Dziękuję, Ginny. Mam nadzieję, co już wielokrotnie powtarzałem, że wpisujesz sobie nadgodziny. Nikt inny nie przychodzi do pracy przed ósmą trzydzieści.
- Jest pan bardzo wyrozumiały, gdy rozchoruje się któreś z moich dzieci, dlatego nie chcę zapisywać nadgodzin, panie dyrektorze. Poza tym lubię wcześniej przychodzić, mogę wówczas uporządkować wiele spraw, nim zacznie się zwykle urwanie głowy. Ono zwykle zaczyna się dużo wcześniej, niż przypuszczasz, pomyślał Sorenson. Już o czwartej rano stawił się w Bazie Lotniczej Andrews, żeby osobiście odebrać dwóch neonazistów przewiezionych odrzutowcem z Paryża i przekazać ich pod eskortę oddziału piechoty morskiej, który miał przetransportować zatrzymanych do zakonspirowanego domu w Wirginii. Mimo zmęczenia dyrektor wydziału miał tam pojechać zaraz po południu, aby przesłuchać więźniów. Dobrze się znał na tej robocie.
- Czy jest coś pilnego? - spytał sekretarkę.
- Oczywiście. Wszystko.
- Jak zawsze. Sorenson przeszedł do swego gabinetu i usiadł za biurkiem, na którym leżał stos teczek oznakowanych napisami: CHIŃSKA REPUBLIKA LUDOWA, TAJWAN, FILIPINY, BLISKI WSCHÓD, GRECJA, BAŁKANY. Dwie ostatnie były opatrzone nalepkami: NIEMCY oraz FRANCJA. Otworzył teczkę z ostatnimi meldunkami z Paryża, a pozostałe odsunął na bok. Materiał był rzeczywiście niezwykle. Na podstawie raportów policyjnych opisywano w nich przebieg napadu na mieszkanie pułkownika Witkowskiego, nie wspomniano jednak ani słowem o tym, że pułkownik odesłał dwóch schwytanych napastników wojskowym odrzutowcem do Waszyngtonu. Była tam również wzmianka o odkryciu zamaskowanej kwatery oddziału neonazistów w jednym ze starych magazynów kompleksu Avignon. Przedstawiano ich jako bojówkarzy, którzy zniknęli bez śladu. Na samym dnieteczki leżał meldunek samego Witkowskiego, pospiesznie odszyfrowany w Wydziale Operacji Konsularnych. Zawierał kolejne rewelacje: "Gerhardt Kroeger przebywa w Paryżu, prowadzi poszukiwania Harry'ego Lathama. Zainteresowany został o tym powiadomiony." Gerhardt Kroeger, chirurg, niezwykle tajemnicza postać, był kluczem do wielu zagadek. Tylko oficerowie wywiadu amerykańskiego wiedzieli o jego działalności. To chyba błąd, pomyślał Sorenson, należałoby wprowadzić w niektóre szczegóły zarówno Francuzów, jak i Anglików. Ale zgodnie z polityką Knoxa Talbota CIA nie powinno było ufać nawet tym sprzymierzeńcom. O ósmej zadzwonił telefon.
- Paryż, pan Moreau z Deuxieme Bureau - zapowiedziała sekretarka. Sorenson głośno wciągnął powietrze i zbladł lekko: Moreau został wykluczony ze współpracy, zaliczono go do podejrzanych. Zacerpnął kilka głębokich oddechów, podniósł słuchawkę i rzekł wyważonym tonem:
- Witaj, Claude. Miło mi cię słyszeć, stary przyjacielu,
- Mówiąc szczerze, Wesley, mnie to wcale nie cieszy, że muszę do ciebie dzwonić.
- Nie rozumiem, o czym mówisz.
- Przestań udawać. W ciągu ostatnich trzech dni wydarzyło się bardzo wiele rzeczy interesujących nas obu, a do mojego biura nie dotarła nawet najmniejsza wzmianka na ich temat. Uważasz, że tak powinna wyglądać współpraca?
- Ja, nic o tym nie wiedziałem, Claude.
- Na pewno wiedziałeś. Celowo odcięliście mi dostęp do wszelkich informacji. Dlaczego?
- Nie potrafię na to odpowiedzieć. Doskonale zdajesz sobie sprawę, że to nie ja kieruję tą operacją. Naprawdę nie miałem pojęcia.
- Daj spokój, Wesley. Podczas pracy w terenie łącałeś w żywe oczy, ale nigdy nie oszukiwałeś nikogo, kto pomagał ci preparować te kłamstwa. Obaj świetnie wiemy, jak to funkcjonuje. Ktoś gdzieś podsłucha o jakimś ziarnku piasku, błyskawicznie wymyśli sobie do tego perłopława i już gotowa plotka o znalezieniu perły. Ale na razie dajmy temu spokój. Zakładam, że ty nadal w tym siedzisz, więc chyba mam dla ciebie kolejny kawałek układanki.
- Jaki?
- Kim jest Gerhardt Kroeger?

- Kto?

- Słyszałeś dokładnie, a nie mam wątpliwości, że to nazwisko nie jest ci obce. Deuxieme Bureau nie otrzymało żadnej informacji o Kroegerze, myślał gorączkowo Sorenson. Moreau był poza obiegiem! Czyżby więc zaczął działać na własną rękę?

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem, Claude. Gerhardt Kroeger?

- Nie rób ze mnie durnia. Puszczę to mimo uszu, bo wiadomość jest zbyt ważna. Otóż Kroeger śledził mnie wczoraj i zaczepił na ulicy, po wyjściu z biura. Mówiąc krótko, dał mi jasno do zrozumienia, że albo oddam Harry'ego Lathama w jego ręce, albo jestem już trupem.

- To nie do wiary! Czemu zwrócił się właśnie do ciebie?

- Zapytałem go o to samo, ale powinienem był się sam domyśleć prawdy. Mam w Niemczech swoich ludzi, podobnie jak w innych krajach. Mniej więcej rok temu prowadziłem negocjacje o życie jednego z nich ze skinowską bojówką z Mannheimu. Ostatecznie dobiliśmy targu, udało mi się go wyciągnąć za sześć tysięcy dolarów. Niemcy musieli wiedzieć, że sprawą kieruje Deuxieme Bureau, a tego typu rozmowy nie mogą być prowadzone bez mojej akceptacji. - I nigdy przedtem nie słyszałeś o Gerhardzie Kroegerze?

- Nie, poznałem go dopiero wczoraj wieczorem, jak ci już mówiłem. Po powrocie do biura przejrzałem raporty z ostatnich pięciu lat, ale niczego w nich nie znalazłem. Wracając do rzeczy, zatrzymał się w hotelu "Lutetia", pokój numer osiemset. Czeka na telefon ode mnie.

- Na miłość boską! Zwińcie go!

- Spokojnie, Wesley. Mogę cię zapewnić, że na razie donikąd się nie wybiera. Czemu nie wykorzystać tej okazji? To jasne, że nie działa w pojedynkę, a my przecież poszukujemy grubszych ryb. Sorenson odczuł nagły przypływ ulgi. A więc Claude Moreau jest czysty! - pomyślał. Gdyby był związany z Bractwem, nigdy by się nie odważył wystawić Gerhardta Kroegera, otwarcie podając numer pokoju hotelowego, w którym tamten się zatrzymał.

- Jeśli to może być jakimkolwiek usprawiedliwieniem - odezwał się dyrektor - to na chwilę pogrążyłem się we wspomnieniach. Wiesz dlaczego? Bo wielokrotnie pracowaliśmy razem, a myślałem zwłaszcza o Istambule, gdzie uratowałeś mi życie.

- Na moim miejscu postąpiłbyś tak samo.

- To właśnie powtarzam moim przełożonym i mam zamiar powiedzieć im to jeszcze raz, z całym naciskiem.

- Chwileczkę, Wesley - rzekł powoli Moreau. - Jeśli już mowa o Istambule, to czy pamiętasz, kiedy aparaczczyki z KGB zaczęli cię uważać za podwójnego agenta, donoszącego o wszystkim ich zwierzchnikom w Moskwie?

- Jasne. Żyli jak szajchowie, mając do swojej dyspozycji najbogatszych z Topkapi. Śmiertelnie się mnie bali.

- Dlatego obdarzyli cię zaufaniem, prawda?

- Oczywiście, byli gotowi zdradzić mi każdą tajemnicę, byle tylko zachować w sekrecie te luksusy, jakimi się otaczali. - I naprawdę obdarzyli cię bezgranicznym zaufaniem, zgadza się?

- Tak.

- W takim razie nie zmieniamy obecnego stanu rzeczy. Niech nadal pozostanę wykluczony ze współpracy. Być może uda mi się wykorzystać obecność Herr Doktora Kroegera i dowiedzieć kilku ciekawych rzeczy.

- Ale przedtem musiałbyś mu coś zaoferować.

- Nie inaczej. To nie musi być ścisła informacja. Ważne, aby była co najmniej prawdopodobna.

- Na przykład jaka?

- Gdzie jest Harry Latham? Nie ma już Harry'ego Lathama, pomyślał Sorenson, a jednocześnie na nowo ogarnęły go wątpliwości.

- Nawet ja tego nie wiem - odparł.

- Nie chodzi mi o to, gdzie on naprawdę się znajduje - rzekł szybko Moreau - ale gdzie mógłby być. Potrzebuję czegoś, w co tamci zdołaliby uwierzyć. W umyśle dyrektora wydziału podejrzenia narastały z sekundy na sekundę.

- Jest taka organizacja o nazwie "Antyninus"...
- Oni już wiedzą o niej - przerwał mu Francuz. - To zbyt niepewny i zagmatwany trop. Potrzebujemy czegoś innego.
- Chyba wiedzą także o roli Witkowskiego oraz Karin de Vries...
- Z pewnością - przyznał szef Deuxieme Bureau. - Zaproponuj jakieś miejsce, gdzie przy niewielkim nakładzie pracy łatwo mogliby się przekonać, że wasi agenci działają intensywnie.
- Zapewne najlepsza byłaby Marsylia. Pracuje tam spora grupa zwalczająca przemyt narkotyków. Do tej pory wielu naszych ludzi zostało przekupionych albo zniknęło bez śladu, toteż teraz agenci są bardzo ostrożni i zwracają baczną uwagę, jeżeli ktoś o nich rozpytuje. To powinno zadziałać odstrasząco.
- W porządku. Podsunę im trop do Marsylii.
- Claude, mówię zupełnie szczerze, iż bardzo bym chciał, abyś został całkowicie oczyszczony z podejrzeń. Nie mogę znieść myśli, że cokolwiek na tobie ciąży.
- Jeszcze nie teraz, przyjacielu. Nie zapomnij o Istambule. Prowadziliśmy tam przecież podobną rozgrywkę. W Paryżu Moreau odłożył słuchawkę, rozsiadł się wygodniej w fotelu i zapatrzył na sufit, w myślach dopasowując do siebie poszczególne wyrywkowe informacje. Był już gotów rozpocząć finisz przed metą. Podejmował olbrzymie ryzyko, ale nie mógł się wycofać. Teraz liczyła się dla niego jedynie zemsta.

* * *

ROZDZIAŁ 18

Formalnie Drew Latham został zabity, toteż jego służbowy samochód przekazano z powrotem do dyspozycji Deuxieme Bureau. Witkowski rozkazał kierownikowi Działu Transportu w ambasadzie podjąć odpowiednie środki bezpieczeństwa: oddelegować trzech ludzi ochrony do pełnienia na zmianę ośmiogodzinnej służby oraz przekazać nie oznakowany samochód do wyłącznej dyspozycji oficera amerykańskiego mieszkającego wraz z kobietą przy rue Madeleine. Nie wymienił jednak żadnych nazwisk. Trzem żołnierzom z piechoty morskiej, którzy mieli pilnować Lathama, wyraźnie dał do zrozumienia, że nawet jeśli rozpoznają strzeżonego oficera, mają to zachować dla siebie. Zagroził przy tym, że jeśli pisną choć słówko, wylądują z powrotem na wyspie Parris i dołączą do szkolonych tam rekrutów, a cały przebieg ich dotychczasowej służby zostanie wymazany z akt.

- Nie musi pan tego powtarzać, pułkowniku - odparł najstarszy z nich, sierżant. - Niech się pan nie obrazi, ale zabrzmiało to jak zniewaga.
- W takim razie przepraszam.
- To prawda, panie pułkowniku - dodał drugi, kapral. Pełniliśmy służbę w różnych ambasadach, od Pekinu po Kuala Lumpur, gdzie sprawy bezpieczeństwa były o wiele ważniejsze. - Święta racja - dorzucił szeptem trzeci, także kapral. - Nie jesteśmy zwykłymi kamaszami, tylko piechotą morską.
- Tym bardziej mi wybaczenie, chłopcy. Zapomnijcie o zrządzeniu starego służbisty. Za długo siedzę już za biurkiem.
- Świetnie pana rozumiemy, pułkowniku - rzekł sierżant i możemy zapewnić, że nie musi się pan o nic martwić.
- Dziękuję. Kiedy tamci trzej wyszli z gabinetu kierownika Działu Transportu, przez zamknięte drzwi do Witkowskiego dotarła jeszcze uwaga rzucona półgłosem przez któregoś z kaprali:
- Szkoda, że stary nie służy w piechocie morskiej. Do cholery, dla tego sukinsyna dałbym się przywiązać na końcu lufy armatniej. Stanley Witkowski uśmiechnął się, pomyślawszy, że to chyba największa pochwała, jaką otrzymał w czasie całej swojej kariery wojskowej. Szybko jednak musiał wrócić myślami do ważniejszych spraw, a jedną z nich stanowił problem Drew Lathama i Karin de Vries. Niespodziewany bieg wydarzeń oraz wycieńczenie agenta sprawiły, że trzeba było go chwilowo ukryć w mieszkaniu de Vries zamiast przewozić do

zakonspirowanego lokalu organizacji "Antyninus", chociaż jej kierownictwo obstawało przy swoim, zwłaszcza że Latham ciągle był śledzony przez najemnych morderców. Po kilku dniach przetrzymywania go w ścisłej izolacji mieli się zastanowić, co dalej począć.

- Wplątał się w coś, co bardzo łatwo może wyjść na jaw, toteż na razie musimy z niego zrezygnować - oznajmił kobiecie, z którą rozmawiał w Maison Rouge. - Doceniamy jego umiejętności, ale nie wolno nam podejmować nawet najmniejszego ryzyka zdemaskowania." Nie było sensu ściągać Karin na stałe do ambasady. Miała status pracownika D. i A., a ponieważ mieszkała poza jej terenem adres był znany jedynie, ochronie ambasady i udostępniany komu kolwiek z personelu po uzyskaniu zgody Witkowskiego. Ci nieliczni pracownicy ataszatu, którzy go znali, zostali pospiesznie odesłani do kraju. W dodatku de Vries, będąca wdową, kiedyś powiedziała mu coś, co wzbudziło w nim pełne zaufanie do niej. "Wcale nie jestem biedna, pułkowniku. Mam do dyspozycji trzy samochody, stojące w garażach w różnych częściach Paryża. Przesiadając się do innego wozu, zmieniam również swój wygląd. No to kamień spadł mi z serca - odparł wtedy Witkowski. Biorąc pod uwagę zasób wiadomości, do których ma pani dostęp, jest to nadzwyczaj sprytne rozwiązanie. - Nie ja to wymyśliłam. Otrzymałam taki rozkaz z Hagi, z naczelnego dowództwa NATO, od generała Raicherta. Wówczas za wszystko płacili Amerykanie, ale i sytuacja była zupełnie odmienna. Nie oczekuję, że teraz również otrzymam dodatkowe fundusze. - Czyżby miała pani za dużo pieniędzy?

- Jestem bez reszty oddana swojej pracy, pułkowniku. Pieniądze nie mają dla mnie aż tak wielkiego znaczenia." Rozmowa ta odbyła się przed czterema miesiącami, wtedy Witkowski nie był jeszcze pewien tego "oddania bez reszty". Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Dzwonek telefonu jego prywatnej linii wyrwał go z tych rozważań.

- Słucham.

- Mówi twoja zbląkana owieczka, Stanley - odezwał się Drew. - Masz jakieś wieści z Maison Rouge?

- Brak miejsc w zajeździe, przynajmniej na razie. Gospodarzy bardzo zasmuciło to, że jesteś pod nadzorem.

- Na miłość boską, przecież mam mundur, twój mundur. Nawiasem mówiąc, marynarka leży jak ulał, ale spodnie trochę na mnie wiszą. Jesteś nieco szerszy w biodrach.

- I tak nie jest źle. Niczego nie będzie widać, kiedy zdjęcie wykona zawodowy fotograf... Ten aktor, Villier, podjął się zrobić ci charakterystykę, ale musisz jeszcze poczekać.

- Jeśli mam być szczerzy, to nawet trudno mieć do nich pretensje. - Owszem - przyznał pułkownik. - Czy Karin wytrzyma z tobą jeszcze dzień lub dwa, zanim znajdę ci odpowiednie lokum? - Nie wiem, sam ją zapytaj. - Latham odsunął słuchawkę od twarzy i powiedział: - Rozmawiam z Witkowskim, chce wiedzieć, czy wytrzymasz jeszcze z sublokatorom.

- Dzień dobry, pułkowniku - rozległ się po chwili głos Karin. - Podejrzewam, że "Antyninus" chce się wykręcić sianem. - Na to wygląda.

- To całkiem zrozumiale.

- Owszem. Nie znalazłem innego rozwiązania. Wytrzymasz z nim jeszcze dzień lub dwa? Na pewno coś znajdziemy.

- To żaden problem. Obiecał, że od dzisiaj sam będzie ślał swoje łóżko.

- No pewnie! - z oddali doleciał stłumiony okrzyk Lathama. - Skoro znów jestem w drużynie skautów i mogę się kąpać tylko w zimnej wodzie...

- Proszę nie zwracać na niego uwagi, pułkowniku. Chyba już panu mówiłam, że on czasami zachowuje się bardzo dziecinnie. - Weź pod uwagę, Karin, że on nie był ani w Trocadero, ani w "Meurice" czy chociażby w Lasku Bulońskim. Nawet ja bym mu wiele wybaczył.

- No właśnie - przyznała de Vries. - A jeśli są jakieś kłopoty, to można wziąć pod uwagę takie rozwiązanie, jakie parokrotnie zdało egzamin w Amsterdamie. Freddie wypożyczył wówczas jakiś mundur, amerykański, holenderski czy angielski wszystko jedno, i rejestrował się w Amstel jako uczestnik którejś z tajnych konferencji.

- Sprytne posunięcie - wtrącił zainteresowany Witkowski.

- I bardzo skuteczne, pułkowniku. Jak Drew już mówił, pański mundur całkiem niezłe na nim leży. Mogłabym trochę zwęzić spodnie, zebrać materiał na szwach...
- Tak, rozumiem... I co potem? Nadal byłby Lathamem.
- Niezupełnie. Wystarczyłoby dokonać kilku drobnych korekt...
- Słucham?
- Zmienić mu kolor włosów - odparła spokojnym tonem kobieta - zwłaszcza na skroniach, gdzie widać je spod czapki oficerskiej, dodać okulary w grubych oprawkach, oczywiście ze zwykłymi szklami, załatwić fałszywe dokumenty. Włosy mogę mu sama ufarbować, znajdę również okulary, a pan niech się postara o dokumenty. Wówczas bez trudu można by go umieścić w jakimś zatłoczonym hotelu.
- Obawiam się, Karin, że to wykracza poza zakres możliwości naszej ambasady...<
- Z tego, co się orientuję w pracy Wydziału Operacji Konsularnych, załatwienie fałszywych dokumentów leży właśnie w jego gestii. - No cóż, chyba masz rację. Widzę, że jednak chciałabyś się go jak najszybciej pozbyć.
- Nie o to chodzi, pułkowniku. Drew pokazuje się w mundurze amerykańskiego oficera. Wątpię, czy ktokolwiek z moich sąsiadów wie, że pracuję w ambasadzie. Ale widując jego, ludzie mogą łatwo nabrać jakichś podejrzeń, a wówczas nie tylko Drew będzie spalony, ale także i ja, i cała nasza operacja.
- Krótko mówiąc, obawiasz się, że tamci mogą zorganizować napad na twoje mieszkanie?
- Możliwe, że jest to mało prawdopodobne, ale musimy się liczyć z taką ewentualnością.
- W tej wojnie chyba wszystko jest możliwe. Będzie mi potrzebne zdjęcie.
- Mam jeszcze aparat Freddiego. Jutro rano dostarczymy kilkanaście do wyboru.
- Żałuję, że nie będę mógł wpaść i popatrzeć, jak mu farbujesz włosy. To dopiero będzie przedstawienie.

De Vries odłożyła słuchawkę, wyszła do przedpokoju i wyjęła z szafy neseser zaopatrzony w szyfrowe zamki. Latham siedział w fotelu ze szklaneczką whisky w dłoni i przyglądał jej się podejrzliwie.

- Mam nadzieję, że nie trzymasz tam prostego w obsłudze karabinu maszynowego - mruknął, kiedy Karin położyła neseser na stoliku do kawy i usiadła naprzeciw niego na kanapie.
- Nic podobnego - odparła, ustawiając szyfr pokrętlami przy zamkach. - Wręcz przeciwnie. Jestem przekonana, że pomogę ci uniknąć widoku takiego karabinu wymierzonego prosto w ciebie. - Zaczekaj. Co ty knujesz? Nie słyszałem całej twojej rozmowy ze Stanleyem i chętnie bym się dowiedział, coż to za diabelski pomysł zrodził się w tej nadzwyczaj atrakcyjnej głowce.
- Freddie nazywał ten neseser "awaryjnym zestawem podróznym".
- Myślisz, że to mi coś mówi? Poza tym Freddie cię źle traktował, nie potrafię myśleć o nim przychylnie.
- Na początku wszystko między nami się układało, Drew.
- Załóżmy. Więc co tam jest?
- Nic specjalnego, podręczne przybory do charakteryzacji. Różnego typu samoprzylepne wąsy i brody, kilka par okularów... a także łatwo zmywalne farby do włosów - dodała, zniżając głos.
- Słucham?
- Naprawdę nie możesz tu zostać - wyjaśniła, zerkając na niego znad otwartego nesesera. - Tylko nie bierz tego do serca i nie obrażaj się na mnie. Mieszkańcy rue Madeleine bardzo przypominają społeczność małego miasteczka w Stanach. Wieczorami spotykają się w okolicznych cukierniach i kawiarenkach, wymieniają plotki. Twoimi słowami, wiadomość o mieszkającym ze mną mężczyźnie mogłaby się dostać do niepowołanych uszu.
- W porządku, to rozumiem. Ale pytałem cię o coś innego.
- Zamieszkaasz w hotelu, pod przybranym nazwiskiem. Pułkownik obiecał dostarczyć fałszywe dokumenty. Ale przedtem musimy trochę zmienić twój wygląd.
- Co takiego?!

- Mam zamiar przefarbować ci włosy i brwi łatwo zmywalną farbą. Myślę, że najlepszy będzie rudawy blond...
- O czym ty mówisz? Nie jestem JeanPierre Villier!
- Nie musisz nim być, zostań sobą. Chodzi tylko o to, żeby nikt cię nie rozpoznał, nawet jeśli stanie metr od ciebie i zacznie się przyglądać. A teraz bądź tak dobry i włóż spodnie od munduru pułkownika. Muszę je sfastrygować, żeby dokonać drobnych przeróbek.
- Wiesz co? Ty chyba jesteś jeszcze bardziej stuknięta niż twój pomyłony szef.
- A potrafisz zaproponować inne rozwiązanie?
- Jasna cholera! - syknął Latham, jednym haustem dopijając resztę whisky. - Nie, nie potrafię.
- Po namyśle doszłam do wniosku, że jednak najpierw ufarbujemy ci włosy. Bądź łaskaw zdjąć koszulę.
- A co ze spodniami? Czulbym się swobodniej, jak w domu.
- Ale nie jesteś w swoim domu, Drew.
- Niestety, to prawda.

Moreau podniósł słuchawkę, wybrał numer hotelu "Lutetia i włączył magnetofon nagrywający rozmowy telefoniczne.

- Proszę mnie połączyć z pokojem numer osiemset.
- Chwileczkę. ... Po kilku sekundach odezwał się lekko przytłumiony, basowy głos. - Słucham.
- Monsieur le Docteur? - zapytał szef Deuxieme Bureau, nie mając pewności, z kim rozmawia.
- To ja, znajomy z Pont New. - Tak, poznałem. Ma pan dla mnie jakieś wiadomości? - Musiałem kopać bardzo głęboko, doktorze, o wiele głębiej niż zdrowie mi na to pozwala. Udało mi się jednak wyciągnąć od pewnego Amerykanina z CIA, że faktycznie ukryli gdzieś Harry'ego Lathama.:
- Gdzie?
- Prawdopodobnie wywieźli go z Paryża do Marsylii.
- Prawdopodobnie? To za mało. Nie ma pan nic pewnego?
- Nie, ale pan może to łatwo sprawdzić.
- Ja?
- Przecież ma pan swoich ludzi w Marsylii, zgadza się?
- Oczywiście, przepływa tamtędy spora część naszych funduszy. - Więc proszę popytać o ludzi z wydziału konsularnego, pod takim szyldem działają.
- Znam ich - warknął Gerhardt Kroeger. - Cały ten Wydział Operacji Konsularnych to banda łobuzów, zwykłych agentów wywiadu. Można ich spotkać na każdym rogu, w każdej kawiarni.
- To niech pan każe złapać kogoś i wyciągnąć z niego informacje.
- Uporamy się z tym w ciągu godziny. Gdzie będzie można pana zastać?
- Zadzwoń jeszcze raz za godzinę. Moreau w spokoju odczekał godzinę i ponownie zadzwonił do hotelu.
- Dowiedzieliście się czegoś?
- To bzdury! - warknął doktor. - Człowiek, z którym rozmawiałem, bierze od nas grube pieniądze za to, żeby przemykał oczy na miliony dolarów płynące przez naszą tamtejszą siatkę. Powiedział, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Żaden Harry Latham nie figuruje na liście agentów wydziału i nie ma kogoś takiego w Marsylii.
- To znaczy, że nadal musi się ukrywać w Paryżu - odparł Moreau, udając rozwścieczonego. - Spróbuję jeszcze popytać... - I to jak najszybciej!
- Do usłyszenia. Szef Deuxieme odłożył słuchawkę z tajemniczym uśmiechem na wargach. Odczekał dokładnie czternaście minut i po raz trzeci zadzwonił do hotelu "Lutetia". Oszacował, że jest to odpowiedni moment na rozbudzenie w Niemcu nadziei.
- Słucham.
- To znowu ja. Otrzymałem właśnie wiadomość.
- Jaką, na miłość boską?

- O Harrym Lathamie.
 - Co?
 - Skontaktował się z jednym z moich ludzi, z którym kiedyś razem pracował w Berlinie Wschodnim, ten zaś poczuł się zobligowany powiadomić mnie o tym. Mam wrażenie, że Latham zaczyna się miotać, co jest zapewne skutkiem odosobnienia. Wygląda na to, że nie chce zaufać nawet kolegom z ambasady... - To Latham! - wykrzyknął Kroeger. - Łatwo można było przewidzieć takie symptomy.
 - Jakie"symptomy? O czym pan mówi?
 - Nic takiego, nieważne. Sam pan powiedział, że podobne zachowanie jest zapewne skutkiem długotrwałej izolacji... Czego chciał? - Prawdopodobnie szuka ochrony wywiadu francuskiego. Mój człowiek ma się z "nim spotkać na stacji metra George Cinq, o drugiej po południu, na końcu peronu...
 - Muszę przy tym być! - zawołał Kroeger.
 - To chyba niezbyt rozsądne, monsieur. Nie wolno mi dopuścić, żeby spotkał się pan osobiście z poszukiwanym, tym bardziej iż żaden z was nie jest pracownikiem Deuxieme Bureau.
 - Pan nie rozumie. Ja naprawdę muszę przy tym być!
 - Dlaczego? To może być bardzo niebezpieczne.
 - Nie dla mnie. To całkowicie wykluczone.
 - Przyznam, że nic z tego nie pojmuję.
 - I nie musi pan! Wystarczy, że ma pan obowiązek wykonywać rozkazy Bractwa, które obecnie ja reprezentuję.
 - Tak, oczywiście. Nie będę się sprzeciwiał, Herr Doktorr.Spotkajmy się na peronie za dziesięć drugą. Punktualnie. Wszystko jasne?
 - Jak najbardziej. Moreau nie odłożył słuchawki, nacisnął tylko widelki i wybrał numer wewnętrzny swojego najbardziej zaufanego oficera.
 - Jacques - powiedział, kiedy tamten odebrał telefon - mamy bardzo ważne spotkanie o drugiej. Tylko ty i ja. Będę czekał przy wyjściu o pierwszej trzydzieści, wtedy przekażę ci szczegóły. Weź pistolet, ale załaduj magazynek ślepymi nabojami.
 - To dosyć dziwna prośba, Claude.
 - Bo i spotkanie będzie bardzo nietypowe - odparł Moreau i szybko odłożył słuchawkę.
- Drew spojrział w lustro i oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia, - Jezus Maria! Przypominam bohatera disnejowskiej kręskówki!
- Bez przesady - odparła Karin, która stała obok Lathama pochylającego się nad zlewem w kuchni i trzymała lustro. - Po prostu musisz się do tego przyzwyczaić, nic więcej.
 - To niedorzeczne! Wyglądam jak przywódca manifestantów domagających się równouprawnienia homoseksualistów.
 - I to cię martwi?
 - Nie, skądże. Mam w tym środowisku mnóstwo znajomych, chociaż sam się do niego nie zaliczam.
 - Tę farbę można łatwo zmyć pod prysznicem, więc przestań narzekać. A teraz włóż mundur, zrobię kilka fotografii dla pułkownika Witkowskiego. Później zajmiemy się zwężeniem spodni. - W co ten sukinsyn mnie pakuje?
 - Mówiąc ogólnie, chce ci ocalić życie. To ci się nie podoba? - Czy ty zawsze jesteś tak cholernie logiczna?
 - Właśnie logika i logicznie zaplanowane nielogiczności ocaliły Freddiemu życie więcej razy, niż mogłoby ci się wydawać. Proszę, włóż ten mundur. Latham poszedł do sypialni i po dwóch minutach wrócił jako pułkownik armii Stanów Zjednoczonych.
 - Świetnie ci pasuje ten mundur - powiedziała de Vries, przyglądając mu się uważnie. - Gdybyś jeszcze przestał się garbić... - Nie dam rady się wyprostować w tym ubraniu... przepraszam: stroju. Marynarka jest tak dopasowana, że jeśli nie przygarbię ramion, to nie będę miał jak oddychać. Kiepski ze mnie oficer. Wolalbym stare dżinsy i sweter.

- Regulamin na to nie pozwala.
- No właśnie. To kolejny powód, dla którego nie mógłbym być dobrym oficerem.
- Mówiąc szczerze, byłbyś znakomity, gdyby cię od razu awansowano do stopnia generała.
- To mało prawdopodobne.
- Niestety. - Karin wskazała mu wyjście z pokoju. - Stań w korytarzu, już wszystko przygotowałam. Tu są twoje okulary. Wręczyła mu staromodne okulary w grubej rogowej oprawce.
- Charakteryzacja, okulary... - jęknął Drew, wyglądając na korytarz prowadzący do drzwi wejściowych. Stał tam, umocowany na statywie, aparat fotograficzny, nakierowany na gładką białą ścianę.
- W dodatku jesteś także fotografem?
- Niezupełnie. Freddie dość często potrzebował nowego zdjęcia do paszportu, toteż nauczył mnie obsługiwać aparat, choć jest to tak proste, że nie wymaga większej wprawy. Ten polaroid od razu robi fotografie w odpowiednim formacie... Włóż okulary i stań pod ścianą. Zdejmij czapkę. Chcę, żeby na zdjęciu było widać twoje piękne blond włosy. Po kilku minutach było już gotowych szesnaście fotografii paszportowych, na których jasnowłosego pułkownika w grubych okularach miał tak samo posępną i cierpięcizną minę, jak każdy kto robi sobie zdjęcia w profesjonalnym zakładzie.
- Znakomicie - oznajmiła Karin. Chodźmy teraz do mojego pokoju. Zaraz wyjmę przybory.
- Jakże znowu przybory?
- Zapomniałeś, że musimy zwięzić spodnie?
- Ach tak. Wreszcie zapowiada się coś przyjemniejszego. Czy mam je zdjąć?
- Raczej nie, jeśli chcesz, żeby dobrze na tobie leżały. Chodź. Po piętnastu minutach, tylko dwukrotnie ukłuty szpilką, Latham mógł w końcu pójść do sypialni i przebrać się w swoje rzeczy. Kiedy wrócił, Karin czekała już przy maszynie do szycia stojącej we wnęce jej pokoju.
- Daj mi spodnie.
- Coraz bardziej mnie zadziwiasz - mruknął Drew, podając jej spodnie od munduru. - Nie jesteś przypadkiem jakimś głęboko zakonspirowanym agentem, który w tajemnicy steruje wszelkimi poczynaniami wywiadu?
- Założmy, że kiedyś nim byłam, monsieur Latham.
- Nie po raz pierwszy unikasz rozmowy o swojej przeszłości. - Więc pogódź się z tym. Zresztą, to nie twoja sprawa.
- Zgoda. Ale mam wrażenie, że zdieram z twego oblicza kolejne maski, a i tak nie jestem pewien, z kim rozmawiam. Musiałem zaakceptować Freddiego, NATO, Harry'ego, nie mówiąc już o szokujących zdolnościach poruszania się po Paryżu. Mimo wszystko dręczy mnie przeświadczenie, że jest jeszcze coś nadrzędnego, co kieruje twoimi poczynaniami.
- Masz zbyt bujną wyobraźnię, może dlatego że obracasz się w świecie rzeczy możliwych i niemożliwych, prawdopodobnych i nieprawdopodobnych, rzeczywistych i urojonych. Powiedziałam ci wszystko, co powinieneś o mnie wiedzieć. Czy to ci nie wystarczy? - Chyba na razie musi - odparł Latham, patrząc jej prosto w oczy. - Ale intuicja mi podpowiada, że jest coś więcej, o czym nie chcesz mi powiedzieć... Dlaczego tak rzadko się teraz śmiejesz? Każdy twój uśmiech wytwarza wokół ciebie nadzwyczaj promienną atmosferę.
- Ostatnio nie było zbyt wiele rzeczy, z których mogłabym się cieszyć. Nie sądzisz?
- Daj spokój. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. No, uśmiechnij się, a natychmiast rozładujesz każde napięcie. Harry powiedział mi kiedyś o tej twojej niezwykłej zdolności. Jeszcze kilka lat temu, gdybyśmy się spotkali przypadkiem, zapewne śmialibyśmy się do rozpuku z takich wydarzeń, jakie miały miejsce w Lasku Bulońskim. I tak parę rzeczy wydaje mi się śmiesznych.
- Ale to już minęło, Drew. Bez względu na to, czy był on dobrym człowiekiem, czy złym, ja go zabiłam. Odebrałam życie bardzo młodemu mężczyźnie. A nigdy przedtem nikogo nie zabiłam. - Gdybyś tego nie zrobiła, wtedy on zabiłby mnie. - Wiem, ciągle to sobie powtarzam. Nie rozumiem tylko, dlaczego musiało do tego dojść. Przecież to było życie Freddiego, a nie

moje. Nie powinnaś mieć z tym nic wspólnego. Ale wracając do twojego pytania, dlaczego musiało do tego dojść, i posługując się żelazną logiką, która jest ci tak bliska, mogę stwierdzić, że jeśli my nie będziemy stosować przemocy, kiedy jest ona konieczna, jeśli nie powstrzymamy neonazistów, to wówczas zginą setki tysięcy ludzi. Do cholery z tysiącami! Nie zapominajmy o sześciu milionach! Wczoraj głównymi ofiarami byli Żydzi, Cyganie i inni "podludzie". Jutro mogą to być republikanie czy demokraci ze Stanów Zjednoczonych, którzy ośmielą się przeciwstawić tym nacjonalistycznym bredniom! Nie oszukuj się, Karin. Na razie ich siedliskiem jest tylko Europa, lecz pociągną za sobą całą resztę tego niezadowolonego świata, niczym wąż ustawiony z kamieni domina, bo każdy fanatyk nawołujący do przywrócenia dawnych, dobrych czasów wszędzie i zawsze znajdzie posłuch. Można całkowicie zlikwidować przestępczość, strzelając do każdego, kto, chociażby z ciekawości, wychylił się przez okno; można zrezygnować z sądów i wykonywać egzekucje na miejscu przestępstwa; można wyeliminować żmudną pracę policji zbierającej dowody, a wszystkich podejrzanych, winnych czy niewinnych, traktować tak samo: usunąć, bo przecież kula jest znacznie tańsza od więzienia. To jest ta wizja przyszłości, z którą teraz walczymy.

- Sądysz, że o tym nie wiem? - odparła Karin. - To dla mnie również jest oczywiste, ty nadęty głupcze! Z jakiego innego powodu miałabym żyć tak, jak żyję, od wielu, wielu lat?

- Ale pomijając egzaltowanego Freddiego, jest jeszcze coś, co cię do tego skłania?

- Nie masz prawa mnie wypytywać. Może lepiej skończmy tę rozmowę.

- Czemu nie? Ale chyba na tyle jasno przedstawiłem ci swoje uczucia, że powinnaś zdawać sobie sprawę, iż ten problem wróci, wcześniej czy później.

- Przestań! - krzyknęła de Vries, a po jej policzkach popłynęły łzy. - Oszczędź mi tego, dobrze? Latham podbiegł i uklęknął przy jej krześle.

- Przepraszam. Wybacz mi. Nie chciałem cię urazić. Naprawdę nie o to mi chodziło.

- Wiem - szepnęła Karin, pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. - Jesteś dobrym człowiekiem, Drew, ale nie zdręczaj mnie więcej pytaniami. Są zbyt bolesne. Zamiast tego... Weź mnie, słyszysz? Weź mnie! Tak bardzo potrzebuję kogoś takiego, jak ty. - Wolalbym, żebyś przemilczała tego "kogoś" i powiedziała, że potrzebujesz właśnie mnie.

- W porządku. Jesteś mi potrzebny, Drew. Pragnę cię. Weź mnie. Latham wstał z kłęczek, ostrożnie podniósł ją z krzesła i tuląc do siebie zaniósł do sypialni. Pozostała część przedpołudnia była dla niego raczej wyczerpująca. Karin de Vries zbyt długo żyła bez mężczyzny i okazała się wręcz niezaspokojona. Kiedy w końcu ułożył się wygodnie w pościeli, otoczyła go ramieniem i szepnęła:

- Mój Boże, nigdy bym nie uwierzyła, że jestem do tego zdolna. - Wreszcie znów się uśmiechasz - mruknął, wycieńczony. Nawet nie wiesz, jakie to wspaniałe: móc słyszeć twój śmiech. - Bo to jest wspaniałe, kiedy człowiek może się śmiać.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że teraz nie ma już powrotu? zapytał Drew. - Wreszcie coś nas łączy, zdobyliśmy coś, czego przedtem między nami nie było. Nie mówię wyłącznie o seksie. - Wiem, kochany, ale zdaję sobie też sprawę, że to niezbyt rozsądne.

- Niby dlaczego?

- Ponieważ moje obowiązki służbowe wymagają, żebym zachowywała zimną krew, a teraz, gdy tylko cokolwiek będzie wiązało się z tobą, obawiam się, że ją stracę.

- Czyżbym naprawdę usłyszał coś takiego, co zawsze pragnąłem usłyszeć?

- Owszem, ty amerykański naiwniaku.

- A cóż to znowu?

- Mówiąc twoimi słowami, odnoszę wrażenie, że po prostu się w tobie zakochałam.

- No cóż. Jak mawiał pewien stary farmer z Missisipi, wszystko gra, dopóki baby nie skaczą sobie do oczu.

- Co?

- Chodź, zaraz ci to wyjaśnię.

Była za 13.48, kiedy Claude Moreau i jego najbardziej zaufany oficer, Jacques Bergeron, znaleźli się na stacji metra George Cinq. Zachowując dystans między sobą przeszli na koniec peronu. Obaj mieli krótkofalówki, które wcześniej starannie zestroili. - To wysoki facet, dość mocno zbudowany - rzekł szef Deuxieme Bureau do mikrofonu. - Ma skłonność do pochylania głowy, jakby zazwyczaj miewał do czynienia z ludźmi niższymi od siebie...

- Widzę go! - przerwał mu Bergeron. - Stoi oparty o ścianę, wygląda jak zwykły podróżny czekający na metro.

- Kiedy pociąg nadjedzie, zrób dokładnie to, co ci powiedziałem. Ten wkrótce się pojawił, wyhamował z szumem i stanął. Otworzyły się drzwi, wysiadło kilkanaście osób.

- Teraz! - zawołał Moreau do mikrofonu. - Strzelaj! Pasażerowie byli już na schodach, toteż echo wystrzałów rozbrzmiało w niemal całkowicie opustoszałej przestrzeni. Moreau podbiegł do przerażonego Gerhardta Kroegera, pociągnął go za rękę i krzyknął:

- Próbowali pana zabić! Uciekajmy!

- Kto miałby do mnie strzelać?! - zawołał chirurg, pędząc za Francuzem w kierunku otwartych drzwi jakiegoś magazynu.

- Niedobitki waszej idiotycznej Grupy K!

- Przecież oni zniknęli!

- Tylko sprytnie udają. Musieli przekupić pokojówkę lub kogoś z obsługi hotelowej i założyli podsłuch w pańskim pokoju. - To niemożliwe!

- Sam pan słyszał strzały. Chce pan, żebym kazał zawrócić ten pociąg i sprawdził dokładnie, kto jest uzbrojony? Miał pan szczęście, że o tej porze wagoniki były zatłoczone.

- Ach, mein Gott!

- Musimy porozmawiać, Herr Doktor, w przeciwnym razie obaj staniemy się celem bojówkarzy.

- A co z Harrym Lathamem? Gdzie on jest?

- Widziałem go - oznajmił Jacques Bergeron, który dogonił ich z rękoma głęboko wbitymi w kieszenie, gdzie miał ukryty pistolet. - Kiedy tylko padły strzały, wsiadł z powrotem do pociągu. - Musimy porozmawiać - rzekł Moreau, wpatrując się intensywnie w Kroegera. - Inaczej niczego nie osiągniemy. Wymacał kontakt i włączył światło. Znajdowali się w średniej wielkości pomieszczeniu o ścianach z szarawych cementowych bloków, zastawionym wielkimi, brudnymi przekaźnikami, zespołami sygnalizatorów świetlnych i zabitymi skrzyniami z jakimś sprzętem, - Zaczekaj na zewnątrz, Jacques - rozkazał Moreau. - Gdy zjawi się policja, pokaż swoją legitymację oraz wyjaśnij, że jechałeś tym pociągiem i wysiadłeś, kiedy padły strzały. A wychodząc stąd, zamknij drzwi. Kiedy został sam na sam z Niemcem, zerknął na dającą niewiele światła żarówkę za grubą, zbrojoną drutem osłoną, po czym przysiadł na jednej ze skrzyń.

- Niech pan siada, doktorze. Musimy przeczekać, aż policja się stąd wyniesie.

- Jeśli nas tu znajdą...

- To niemożliwe, te drzwi mają zamek sprężynowy. Dopisało nam szczęście, że jakiś idiota zostawił otwarty magazynek. Zresztą kto chciałby cokolwiek stąd ukraść? Złodzieje musieliby chyba dysponować dźwigiem.

- Znowu nam uciekł! Uciekł! - jęknął Kroeger i huknął pięścią w krawędź skrzyni, zaraz jednak usiadł na niej i zaczął rozcierać stłuczoną dłoń.

- Zadzwoń po raz drugi - zawyrokował Moreau. - Jeśli nie dziś, to na pewno jutro. Proszę pamiętać, że mamy do czynienia z człowiekiem zdesperowanym, całkowicie osamotnionym. Chciał bym jednak pana zapytać, z jakiego powodu odnalezienie Lathama jest aż tak istotne?

- Bo on... jest niebezpieczny.

- Dla kogo? Dla pana? Dla Bractwa?

- Owszem... Dla nas wszystkich.

- Dlaczego?

- Ile pan wie?

- W zasadzie wszystko. Kieruję przecież Deuxieme Bureau.

- Pytałem o szczegóły.
- Proszę bardzo. Latham zdołał uciec z waszej doliny w Alpach, jakimś sposobem przedarł się przez zasy i dotarł do najbliższej szosy, skąd zabrał go jakiś przejeżdżający tamtędy wieśniak.
- Wieśniak? O niczym pan nie wie, Herr Moreau. To wszystko uknuła organizacja "Antyninus". Jego ucieczka została szczegółowo zaplanowana, a musiał to zrobić ktoś z doliny, jakiś zdrajca. Koniecznie należy ustalić, kim jest ten Hochverrdrter!
- Zdrajca... Tak, rozumiem. Przez lata pracy w Deuxieme Moreau nauczył się błyskawicznie rozpoznawać kłamstwo mówiącego w zdenerwowaniu człowieka. Znał ten błysk desperacji w oczach, słowa rzucane pospiesznie, niewyraźne, często także krople potu na czole lub pianę w kącikach ust. Patrząc teraz na Gerhardta Kroegera zaczynał dostrzegać wszystkie te objawy.
- Więc dlatego musi pan odnaleźć Lathama? Chce go pan przesłuchać przed wykonaniem wyroku i poznać nazwisko owego zdrajcy?
- Powinien pan jeszcze wiedzieć, że chodzi o kobietę, do tego postawioną bardzo wysoko w hierarchii organizacji. Bezwzględnie trzeba ją wyeliminować!
- Tak, oczywiście, to zrozumiałe. Na czoło Niemca występowały grube krople potu, chociaż w podziemnym magazynie było dość chłodno.
- I z tego powodu Grupa K przystąpiła do akcji, a ktoś tak ważny, jak pan, osobiście przyjechał do Paryża - ciągnął Moreau. - Pragnie pan usłyszeć z ust Lathama nazwisko zdrajczyni działającej w kierownictwie Bractwa.
- Dokładnie tak.
- Rozumiem. I nie ma żadnych innych powodów?
- Żadnych. Ciężkie krople potu spłynęły po skroniach Kroegera, spadły z grubych brwi, pociekły po policzkach.
- Strasznie tu duszno - mruknął Niemiec, ocierając twarz wierzchem prawej dłoni. Nie zwróciłem uwagi. Mówiąc szczerze, dla mnie jest tu nawet za zimno. Ale cóż, tego typu wydarzenia, jak dzisiejsze, nie są dla mnie czymś nowym i nie działają mi na nerwy. Już dawno temu strzelanina stała się zwykłym elementem mego życia.
- Tak, ale ja to odbieram inaczej. Zaryzykuję twierdzenie, że gdybym wprowadził pana na salę operacyjną i kazał obserwować nawet jakiś prosty zabieg, to pewnie by pan zemdłał.
- Nie wątpię. Proszę jednak zrozumieć, doktorze, że skuteczność mojego działania zależy w głównej mierze od tego, ile zdobędę informacji. A teraz coś mi podpowiada, że pan nie jest ze mną całkiem szczery.
- Co pan chce jeszcze wiedzieć? - Kroeger pocił się coraz bardziej.
- Może to prawda, że czasami wykazuję nadgorliwość. Powiem panu, jak zrobimy. Kiedy tylko Harry Latham skontaktuje się z moim człowiekiem, nie będę telefonował do pańskiego hotelu, lecz spróbuję go zwinąć przy pomocy moich ludzi. Gdy już dostaniemy go w swoje ręce, potraktujemy odpowiednio i dopiero wtedy powiadomię pana o wynikach...
- Nie zgadzam się! - krzyknął chirurg, zsuwając się ze skrzyni; zacisnął w pięści roztrzęsione dłonie. - Muszę być przy tym, jak go będziecie zdejmować! Muszę porozmawiać z nim na osobności, zanim pozwolę wam go przesłuchać. Sam na sam, z dala od wszelkich świadków, gdyż chodzi tu o informacje, których nikt inny nie może poznać. To sprawa zasadnicza, taki jest rozkaz naszego Bruderschaftu!
- A jeśli z określonych powodów będę się przy tym upierał? - Wtedy wiadomości o ponad dwudziestu milionach franków zdeponowanych na pańskim koncie w Szwajcarii zostaną przekazane do Quai d'Orsay i dostaną się do prasy francuskiej.
- No cóż, to jest argument nie do zbiccia, prawda?
- Mam taką nadzieję.
- A co miał pan na myśli, mówiąc o rozmowie sam na sam, z dala od wszelkich świadków?
- Dokładnie to, co powiedziałem. Noszę przy sobie kilka strzykawek z różnymi narkotykami, które zmuszą Harry'ego Lathama do wyjawienia mi prawdy. Naturalnie, nikt nie może być świadkiem takiego zabiegu.

- Chodzi panu o udostępnienie jakiegoś zacisznego pokoju? - Nie. W każdym pomieszczeniu łatwo da się założyć podsłuch. Sam pan utrzymuje, że nawet w moim pokoju hotelowym jest on zainstalowany.
- Więc jak ma pan zamiar to przeprowadzić?
- W samochodzie, który sam wybiorę. Na pewno w żadnym z pańskich wozów służbowych. Wywożę Lathama poza miasto, zaaplikuję mu narkotyki, dowiem się wszystkiego, a później oddam go w pańskie ręce.
- Nie wykona pan egzekucji?
- Tylko wtedy gdy będę śledzony.
- Tak, rozumiem. Wygląda na to, że nie mam wyboru.
- Liczy się czas, Moreau! Czas! To niezwykle istotne. Musimy odnaleźć Lathama w ciągu najbliższych trzydziestu sześciu godzin!
- Słucham? Tego to już nie pojmuję. Dlaczego akurat trzydzieści sześć godzin? Czy po tym czasie Ziemia przestanie się obracać wokół Słońca? Proszę mi to wyjaśnić.
- Skoro pan nalega, mimo moich obiekcji... Proszę pamiętać, że jestem lekarzem, w ocenie wielu osób najlepszym chirurgiem w Niemczech, a nie zamierzam polemizować z tą opinią. Harry Latham jest szalony, cierpi na połączenie schizofrenii z psychozą maniakalnodepresyjną. W naszej dolinie uratowałem mu życie, przyczyniając się do złagodzenia napięcia nerwowego będącego przyczyną jego choroby. Kiedy zaś później przeglądałem swoje notatki, odkryłem straszliwą prawdę: jeśli nie poda mu się odpowiednich środków w ciągu sześciu dni od chwili ucieczki, czeka go śmierć. Z tych sześciu upłynęły już cztery i pół doby. Teraz pan rozumie? Dlatego musimy go odnaleźć, zanim zabierze nazwisko zdrajcy ze sobą do grobu.
- Tak, teraz wszystko jasne. Tylko czy pan się dobrze czuje, doktorze?
- Co?
- Jest pan bardzo blady i nadmiernie się poci. Nie odczuwa pan przypadkiem ostrego bólu w piersiach? Mogę tu ściągnąć karetkę w ciągu kilku minut.
- Nie potrzebna mi żadna karetka, chcę jedynie dopaść Harry'ego Lathama! Nie mam też żadnych bólów w piersiach i nie zaraziłem się anginą, a najwyżej wstrętem do tępych biurokratów. - Może wyda się to panu dziwne, ale to także rozumiem. Jest pan człowiekiem wykształconym, niezwykle bystrym, a jeśli dodać do tego moje poświęcenie naszej wspólnej sprawie, poczytuję to sobie za wielki zaszczyt, że mogłem pana poznać. Chodźmy, chyba możemy już wyjść. Postaram się uczynić wszystko, co w mojej mocy. Po wyjściu na ChainpsElysees Moreau zatrzymał taksówkę, na pożegnanie energicznie zsalutował Kroegerowi, po czym wraz z Bergeronem poszedł w stronę służbowego samochodu.
- Musimy się pospieszyć - oznajmił w drodze do Deuxieme Bureau. - Ten łajdak łże w żywe oczy! Nie mam pojęcia, co przede mną ukrywa.
- I co teraz zamierzasz, Claude?
- Muszę się zastanowić w spokoju i wykonać parę telefonów. Między innymi zadzwonię do szacownego Heinricha Kreitza, niemieckiego ambasadora w Paryżu. Ktoś od nich będzie musiał pokopać w starych aktach, czy im się to podoba, czy nie.

Drew Latham z aktówką w ręku podszedł do recepcjonisty w hotelu "Intercontinental" i wymienił swoje nazwisko. Na kontuarze położył kopię poświadczenia rezerwacji pokoju, dokonanej przez ambasadę amerykańską, a obok swoją wojskową legitymację. Mężczyzna w nienagannie wyprasowanym uniformie pospiesznie zgarnął dokumenty, obejrzał je pobieżnie i po chwili odnalazł właściwy wpis w książce rezerwacji, po czym wręczył mu kartę meldunkową.

- Ach, oui, pułkownik Webster, nasz znakomity gość. Ambasada prosiła o umieszczenie pana w stosownym apartamencie i proszę sobie wyobrazić, że właśnie coś takiego się zwołniło. Pewne małżeństwo z Hiszpanii wymeldowało się dziś rano.
- Jestem niezmiernie wdzięczny.

- Co więcej, mam tu zapisane - ciągnął recepcjonista, wodząc palcem po rubrykach książki rezerwacji - że jeśli przyjdzie ktoś do pana, musimy koniecznie powiadomić pana telefonicznie, zanim podamy gościowi numer pokoju, n'est-ce pas!
- Tak, zgadza się.
- Pańskie bagaże, monsieur?
- Zostawiłem je przy biurku portiera i podałem mu swoje nazwisko.
- Znakomicie. Jest pan u nas przejazdem?
- Dowództwo przerzuca mnie z jednego miejsca na drugie odparł Drew, wpisując do karty meldunkowej: "Płk Anthony Webster, armia USA. Waszyngton, D. C, USA."
- To musi być niezwykle interesujące. Recepcjonista wsunął kartę do książki meldunkowej i sięgnął po klucze. Rozejrzał się na boki, po czym uderzył w dzwonek. - Proszę zaprowadzić Monsieur le Colonel do pokoju siedemset trzy i przekazać portierowi, by odesłał na górę bagaże. Nazwisko gościa: Webster.
- Oui - odparł chłopiec hotelowy. - Proszę za mną, monsieur. Pańskie bagaże zostaną dostarczone w ciągu paru minut. - Dziękuję. Wjechali windą na siódme piętro, mimowolnie przysłuchując się kłótni pary amerykańskich turystów w średnim wieku. Kobieta o granatowoczarnych włosach, w kosztownym naszyjniku i ze złotymi bransoletkami na przegubach rąk, strofowała swego otyłego małżonka, mającego na głowie stetsona z bardzo szerokim rondem. - Mógłbyś być choć trochę przyjemniejszy, Lucas.
- A niby po co? Nawet nie podadzą człowiekowi prawdziwej cytryny, tylko jakieś byle co, które można sobie najwyżej wetknąć w tyłek, a do tego wszyscy udają, że nie rozumieją po naszemu, dopóki nie dostaną napiwku, jakby się wychowywali w Texarkanie. - To dlatego że nie rozróżniasz francuskich pieniędzy.
- A ty rozróżniasz?
- Przecież robię zakupy. Czy wiesz, ile zapłaciłeś taksówkarzowi?
- A skąd mam wiedzieć, do cholery? Wyciągnąłem z portfela jakiś papierek.
- Na liczniku wybiło pięćdziesiąt pięć franków, czyli nieco ponad dziesięć dolarów, a ty mu dałeś całą setkę, to znaczy jakieś dwadzieścia pięć dolarów.
- A niech to szlag! To pewnie dlatego że ciągle mrugał do mnie znacząco, kiedy wysiadałaś, a potem zakomunikował nienaganną angielszczyzną, że będzie się kręcił w okolicach hotelu przez całą noc, więc mogę go wypatrywać.
- Coś takiego! Na szczęście winda zatrzymała się na szóstym piętrze i para turystów wysiadła.
- Przepraszam za moich rodaków - mruknął Drew, dostrzegłszy wysoko uniesione ze zdumienia brwi boya hotelowego.
- Nie ma za co, Monsieur le Colonel. Wcale nie wykluczam, że dziś wieczorem ów dżentelmen rzeczywiście będzie przed hotelem wypatrywał tej taksówki.
- Touche.
- D'accord. Przecież to Paryż, miasto ich marzeń, n'est-ce pas? - C'est vrai, niestety.
- Oto pański pokój, monsieur. Apartament okazał się rzeczywiście nieduży, złożony z małego saloniku i sypialni, ale był gustownie urządzone, typowo po europejsku, a co najbardziej zdumiewające, na barku stała butelka szkockiej whisky. Witkowski musiał dysponować olbrzymią siatką opłacanych agentów, ci zaś sumiennie wykonywali jego polecenia. Latham miał już dość paradowania w mundurze, który uciskał go niemal wszędzie - czuł się jak zakuty w pancerz. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego wojskowi nie zbuntowali się jeszcze przeciwko noszeniu takich tradycyjnych ubiorów. Czekał niecierpliwie na dostarczenie bagaży, w walizce miał bowiem swoje ubrania, które czarująca Karin zabrała z jego mieszkania. Zdjął marynarkę mundurową, nalał sobie whisky do szklaneczki, po czym włączył telewizor i zaczął przerzucać kanały aż trafił na program CNN. Nadawano wiadomości sportowe głównie z rozgrywek amerykańskiej ligi baseballu. Niezbyt się nim interesował, był kibicem hokeja na lodzie i zawsze z niecierpliwością czekał na rozpoczęcie sezonu.] Rozległ się dzwonek do drzwi: Ten sam młody boy przyniósł jego walizkę. Drew dał mu napiwek, lecz tamten, ku jego zdumieniu wyjął z kieszeni jakąś kartkę.

- To dla pana, monsieur - rzekł chłopak. - Wiadomość... Jak to się mówi? Confidential?
- Tak, rozumiem. Dziękuję bardzo. Na kartce znajdowała się informacja: "Zadzwoń do pokoju 330. Przyjaciel." Czyżby Karin? Takie niezwykle zachowanie było w jej stylu, Poza tym łączyło ich teraz głębsze uczucie, prawdziwa miłość coś, czego absolutnie nikt nie mógłby im odebrać. To musiała być ona! Sięgnął po słuchawkę, zerknął na leżący obok aparatu spis telefonów i nakręcił numer.
- Cześć! - rzucił, kiedy tylko z drugiej strony ktoś podniósł słuchawkę. - Wszystko poszło jak z płatka!
- Cześć, stary! A więc to naprawdę ty!
- Słucham? Kto mówi?
- Nie wygłupiaj się, Bronco. Nie poznałeś swego starego kumpla z Manitoba Stars? Mieszkaliśmy razem w jednym pokoju. Przecież to ja, Ben Lewis! Zobaczyłem cię w holu. Początkowo myślałem, że to ktoś inny, tylko bardzo do ciebie podobny. Już chciałem cię zaczepić, ale ty właśnie zdjęłaś czapkę i twoja fryzura mnie zmyliła. Kiedy jednak ruszyłeś do windy, zyskałem pewność, że to ty.
- Przepraszam... ale naprawdę nie rozumiem, o czym pan mówi. - Daj spokój, Bronco! Nadal lekko utykasz. Pamiętasz, jak skrzyłeś prawą kostkę, kiedy cię podciął ten osilek z Toronto Comets? Przez parę tygodni nie mogłeś potem wyjechać na lód, a od tamtej pory stawiasz prawą stopę nieco do środka. Nikt obcy nie zwróci na to uwagi, ale ja cię rozpoznam zawsze i wszędzie! - Już dobrze, w porządku Benny. To rzeczywiście ja, ale nie wolno ci o tym nikomu mówić. Pracuję obecnie dla rządu i moja misja musi być utrzymana w ścisłej tajemnicy.
- Nie ma sprawy, koleś. Pewnie wiesz, że przez dwa sezony grałem z Rangersami...
- Wiem, Benny. Znakomicie się spisywałeś.
- Jak cholera. Nie przedłużyli mi kontraktu na trzeci rok. - Zdarza się.
- Tobie na pewno by przedłużyli. Byłeś najlepszy z nas wszystkich.
- To już przeszłość. Od kogo się dowiedziałeś, w którym pokoju mieszkam?
- Zapytałem portiera, dokąd ma odesłać twoją walizkę.
- I podał ci numer pokoju?
- Jasne. Powiedziałem, że to moje bagaże.
- Chryste, ani trochę się nie zmieniłeś. Pamiętasz, jak poszliśmy do tej najdroższej restauracji w Montrealu, a gdy przyniesiono rachunek z wygórowaną sumą, wmówiłeś kelnerowi, że musiał pomylić stoliki, i w końcu zapłaciliśmy za kogoś innego, zdecydowanie mniej? Co porabiasz w Paryżu?
- Wkręciłem się do przedstawicielstwa sieci barów szybkiej obsługi, które reprezentuje wszystkie największe firmy. Specjalnie zatrudnili takich chłopów jak ja czy ty, bo uważają, że masywna sylwetka podnosi naszą reputację. Dasz wiarę, że w moich aktach jest zapisane, że byłem gwiazdą Rangersów? Oni tu się na niczym nie znają. Przecież byłem tylko bocznym obrońcą w drugiej piątce. Ale dla nich najważniejszy jest mój obwód w barach.
- Jesteś znacznie silniejszy ode mnie.
- Nieprawda. To o tobie dziennikarz z Toronto napisał, że odznaczasz się niezwykłą szybkością i przebojowością. Zawsze ci tego zazdrościłem, marzyłem, żeby tak samo pisali o mnie. - Ale to wszystko przeszłość, Ben. Nie gniewaj się, że powiem to jeszcze raz: musisz zapomnieć, że mnie tu widziałeś! To cholernie ważne, byś zachował tę wiadomość dla siebie.
- Nie ma o czym mówić, stary - odparł szybko Lewis i czknął dość głośno.
- Benny? - rzekł zaniepokojony Latham. - Czy ty nie jesteś przypadkiem wstawiony?
- Coś ty? - rzucił tamten pospiesznie i czknął po raz drugi. A zresztą, kogo to obchodzi, stary? Przecież jesteśmy w Paryżu. - Odezwę się do ciebie później. Na razie. Zaledwie Latham zdążył odłożyć słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił.
- Słucham.
- To ja - powiedziała Karin de Vries. - Wszystko w porządku? - Nie, do diabła! Rozpoznał mnie kumpel z dawnych lat.
- Kto?

- Kolega z kanadyjskiej drużyny hokejowej, w której kiedyś grałem.
- Myślisz, że mogą być z nim kłopoty?
- Raczej nie, ale mam wrażenie, że był wstawiony.
- W takim razie już są kłopoty. Jak się nazywa?
- Ben... Benjamin Lewis. Mieszka w pokoju trzysta trzydzieści. - Zajmiemy się tym... A jak ty się czujesz, kochany?
- Bardzo żałuję, że nie możesz być tu ze mną.
- Podjęłam decyzję.
- Rany boskie, jaką decyzję?! Powinienem o tym wiedzieć, czy lepiej nie.
- Chyba tak. Kocham cię, Drew. Jak sam powiedziałeś połączyło nas coś więcej niż tylko łóżko. Miałaś rację.
- Ja też cię bardzo kocham... Nie umiem znaleźć słów, żeby ci powiedzieć... Aż nie chce mi się wierzyć, że wydusiłem to z siebie. Nigdy nie myślałem, że tak się wszystko ułoży...
- Ja też nie. Mam tylko nadzieję, że nie robimy wielkiego błędu - Cóż jest złego w naszych uczuciach? Przez tych kilka dni kiedy byliśmy razem, spotkało nas znacznie więcej, niż inni zdolają doświadczyć w ciągu całego życia. Przeszliśmy ciężką próbę, nawet to nas nie poróżniło, wręcz przeciwnie, zbliżyło jeszcze bardziej.
- Europejska część mej duszy podpowiada mi, że to niezbyt przekonujące, ale świetnie cię rozumiem, bo odczuwam to samo. Także mi bardzo ciebie brakuje.
- To przyjedź do mnie do hotelu.
- Nie dzisiaj, kochany. Pułkownik postawiłby nas oboje przed sądem. Może jutro... Nie minęła nawet godzina, kiedy w Nowym Jorku, jeszcze przed południem, prezes Stowarzyszenia Handlowego Międzynarodowej Sieci Gastronomicznej, mieszczącego się przy Szóstej Alei, odebrał telefon z Waszyngtonu. Pół godziny później jeden z przedstawicieli agencji, były gwiazdor hokejowej drużyny New York Rangers przebywający obecnie w Paryżu, otrzymał polecenie natychmiastowego wyjazdu do Oslo w celu omówienia perspektyw dalszego rozwoju tamtejszej sieci barów szybkiej obsługi. Zrodził się tylko jeden drobny problem. Okazało się bowiem, że poszukiwany pracownik jest dokumentnie pijany i śpi jak zabity. Potrzeba było aż dwóch ludzi z obsługi hotelowej, żeby go dobudzić, przekazać pilne wiadomości, pomóc się spakować i wsadzić go do taksówki, którą miał dojechać na Orly. Reszta popołudnia okazała się dla Benjamin Lewisa jednym wielkim pasmem nieszczęść. Najpierw zablądził w labiryncie terminalu na Orly i spóźnił się na samolot, potem kupił bilet do Helsinek, bo zapomniał, dokąd szef kazał mu polecieć, pamiętał jedynie, że chodzi o jakieś miasto w Skandynawii, on zaś nigdy przedtem nie był w Helsinkach. Cóż, takie są skutki nawet przypadkowego wplątania się w najściślej tajne operacje wywiadowcze. Dopiero w samolocie, gdzieś w połowie trasy, Benny przypomniał sobie nazwę Oslo, zawołał więc stewardesę i zapytał, czy nie mógłby wsiąść i złapać jakiejś okazji do Norwegii. Ale Finka prawdziwa blond piękność - oznajmiła krótko, że nie jest to najlepszy pomysł. Spróbował więc umówić się z nią na spóźnioną kolację w Helsinkach, ale kobieta grzecznie odmówiła. Wesley Sorenson wyszedł z budynku dowództwa Wydziału Operacji Konsularnych i pojechał do Fairfax w Wirginii, gdzie przetrzymywano dwóch neonazistowskich bojówkarzy. Mijając bramę rozległej posiadłości, od której biegnący lukiem podjazd prowadził pod imponujący fronton budynku, będącego wcześniej rezydencją pewnego argentyńskiego dyplomaty, próbował odtworzyć w myślach wszelkie sztuczki, jakie stosował kiedyś podczas pracy w terenie, w trakcie przesłuchiwanie różnych osób. Trzeba było zacząć następująco: "Cześć, chłopcy. Ostateczna decyzja nie należy do mnie, więc cieszę się, że widzę was jeszcze żywych. Mam nadzieję, że to rozumiecie. Nie chcę was oszukiwać, ale tu, w piwnicach, znajduje się dźwiękoszczelne pomieszczenie, którego ściany są już gęsto podziurawione po wcześniejszych egzekucjach..." Rzecz jasna, w tym domu nie wykonywano żadnych egzekucji, nie było dźwiękoszczelnej piwnicy, a jedynie największych fanatyków wprowadzano do obitej czarnym materiałem windy, jak gdyby faktycznie eskortowano ich na stracenie. Ci zaś, którzy odbywali tę krótką podróż, pięć metrów pod ziemię, byli tak naszprycowani pochodnymi

skopolaminy, że szybko okazywali chęć do pełnej współpracy, wyrażając przy tym głęboką wdzięczność, że zostawiono ich przy życiu. Przestronna, dwuosobowa cela niewiele miała wspólnego z więzieniem. W pomieszczeniu mierzącym siedem metrów długości i cztery szerokości znajdowały się dwa wygodne łóżka, zlew, dobrze zaopatrzona lodówka oraz telewizor, a za ścianą mieściła się toaleta. Bardziej przypominało ono pokój w średniej klasy hoteliku niż cokolwiek kojarzącego się z Alcatraz czy Attiką. Więźniowie nie wiedzieli tylko - choć zapewne mogli się tego domyślać - że są bez przerwy obserwowani przez ukryte kamery.

- Czy mogę wejść, panowie? - spytał Sorenson, zapukawszy do drzwi celi. - A może wolicie, bym mówił po niemiecku, żebyśmy się dobrze zrozumieli?

- Nie trzeba, dość dobrze znamy angielski, mein Herr - odparł swobodnym tonem Paryż Dwa.

- Jesteśmy w waszych rękach, więc co mamy powiedzieć? Że nie może pan wejść?

- Dziękuję. Uznam to za zaproszenie.

- Ale pańska uzbrojona eskorta niech zostanie na zewnątrz - warknął o wiele mniej przychylny Zero Pięć.

- Niestety, regulamin na to nie zezwala. Strażnicy otworzyli drzwi, jako pierwsi weszli do celi i dobywając broni zajęli posterunki w przeciwległych końcach pomieszczenia. Sorenson wkroczył za nimi.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać, panowie, i to całkiem poważnie.

- A o czym tu gadać? - zapytał Zero Dwa,

- O tym, czy będziecie żyć, czy zginiecie, bo to chyba dla was najważniejsze - oznajmił dyrektor. - Decyzja nie należy do mnie, ale w tym domu, pięć metrów pod nami, znajduje się piwnica... Sorenson szczegółowo opisał domniemaną celę egzekucji. Zero Pięć był wyraźnie zaniepokojony, ale Paryż Dwa przyjmował wszystko ze spokojem i wpatrywał się w amerykańskiego oficera z niewyraźnym uśmiechem na wargach.

- Sądzi pan, że jesteśmy aż do tego stopnia zaangażowani, aby dać panu pretekst do użycia broni? - zapytał w końcu. - Jeżeli ma pan ochotę nas rozstrzelać...

- W tym kraju przywykliśmy bardzo poważnie traktować ludzkie życie. Nie może być mowy o szukaniu pretekstów czy jakichkolwiek zachciankach.

- Naprawdę? - ciągnął Niemiec. - Więc proszę mi wyjaśnić, dlaczego spośród całego cywilizowanego świata tylko w niektórych krajach arabskich, w Chinach, państwach byłego bloku sowieckiego i u was nadal wykonuje się karę śmierci.

- Bo taka jest wola społeczeństwa, przynajmniej w wielu stanach. Nie sądzę jednak, żeby wasza sytuacja miała z tym cokolwiek wspólnego. Jesteście międzynarodowymi zbrodniarzami, terrorystami wykonującymi rozkazy skompromitowanej partii politycznej, która nie ma nawet odwagi się ujawnić i stawić czoło oskarżeniom płynącym z całego świata.

- Jest pan tego pewien? - wtrącił Paryż Pięć.

- Oczywiście.

- Zatem oświadczam, że się pan myli!

- Mój kolega chce przez to powiedzieć - ponownie zabrał głos Zero Dwa - że prawdopodobnie mamy zdecydowanie większe poparcie, niż się panu zdaje. Proszę zwrócić uwagę na poczynania rosyjskich nacjonalistów. Czym one się różnią od polityki Trzeciej Rzeszy? A wasi ultrapravicowi fanatycy czy ich koledzy, religijni fundamentaliści palący książki na stosach? Ich hasła mogły równie dobrze wyjść spod ręki Hitlera lub Goebbelsa. Nie, mein Herr, idea zaprowadzenia porządku na tym świecie cieszy się o wiele większym uznaniem, niż gotów byłby pan to przyznać.

- Mam nadzieję, że nie.

- "Nadzieja to ptak skrzydlaty", jak stwierdził jeden z waszych sławnych pisarzy. Czyż tak nie jest?

- Nie miałem okazji się o tym przekonać, widzę jednak, że mimo młodego wieku jest pan nieźle odczytany.

- Przebywałem w różnych krajach i miałem wiele okazji do przyswojenia sobie różnorodnych zdobyczy kultury.

- Na początku wspomniał pan o zaangażowaniu - rzekł Sorenson. - Zapytał pan, czy sądzę, że jesteście aż do tego stopnia zaangażowani, aby dać mi pretekst do wykonania na was egzekucji. - Powiedziałem: do użycia broni - sprostował Zero Dwa. Do wykonania egzekucji potrzebny jest prawomocny wyrok sądu. - W waszym wypadku dowody winy są aż nadto oczywiste, toteż łatwo byłoby uzyskać taki wyrok. Mam na myśli co najmniej trzy napady z bronią w rękę i morderstwo popełnione na oficera naszego wywiadu, Lathamie.
- Przecież trwa wojna! - wykrzyknął Paryż Pięć. - na wojnie zawsze giną żołnierze.
- Nie słyszałem o żadnym wypowiedzeniu wojny bądź mobilizacji ogłoszonej w którymkolwiek kraju. Dlatego też nie mam żadnych wątpliwości, że chodzi o morderstwo z premedytacją. Poza tym ta akademicka dyskusja nie leży w mojej gestii. Przyszedłem tu jedynie po to, aby uzyskać pewne informacje, natomiast decyzję co do waszego losu podejmą moi przełożeni.
- O jakie informacje panu chodzi? - zapytał Zero Dwa.
- A co możecie zaproponować w zamian za darowanie wam życia?, "
- Od czegoś jednak musimy zacząć. Nie wiemy, czy zdołam udzielić żądanych informacji.
- Kim są wasi koledzy z Bonn?
- Na to mogę szczerze odpowiedzieć, że nie mamy pojęcia!. Przypominam, mein Herr, że jesteśmy członkami doborowego oddziału utworzonego do realizacji nadzwyczajnych zadań, o jakich jedynie mogą marzyć wszyscy ci, którzy wybrali życie polegające na wypełnianiu rozkazów. A te otrzymujemy w postaci zaszyfrowanej, przy czym rodzaj szyfru jest ciągle zmieniany. - Paryż Dwa płynnie recytował to, co ustalili razem z Zero Pięć w trakcie przelotu do Waszyngtonu. - Tworzymy grupę uderzeniową albo oddział szturmowy, jak pan woli, utrzymujący stały kontakt z podobnymi jednostkami w innych krajach. W ogóle nie używamy nazwisk, a jedynie pseudonimów. Zero oznacza grupę paryską, dlatego ja jestem Zero Dwa, czyli Paryż Dwa. Trójka na początku to kod Stanów Zjednoczonych.
- W jaki sposób się ze sobą kontaktujecie?
- Korzystając z zastrzeżonych, zabezpieczonych przed podsłuchem linii telefonicznych, których numery otrzymujemy z Bonn. W tym wypadku także nigdy nie są podawane żadne nazwiska. - Co możecie mi powiedzieć o waszej siatce w Stanach Zjednoczonych, żeby mnie przekonać, iż powinienem się za wami wstawić u moich przełożonych?
- Mein Gott, od czego mam zacząć?
- Obojętne.
- W porządku. Rozpocznijmy zatem od wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych...
- Co takiego?!
- To człowiek bez reszty oddany naszej sprawie. Oprócz niego jest jeszcze przewodniczący Izby Reprezentantów, Niemiec z pochodzenia, starszy dżentelmen, który utrzymuje, że był w opozycji do Hitlera w czasie drugiej wojny światowej. Oczywiście, mogę wymienić jeszcze wiele innych nazwisk, ale to będzie zależało od stanowiska, jakie pan przedstawi komisji mającej zadecydować o naszym losie.
- Mam wrażenie, że kłamiesz w żywe oczy.
- Jeśli pan tak uważa, to proszę nas rozstrzelać.
- Jesteście nędznymi gnidami.
- Podobnie jak i ty w naszych oczach! - wrzasnął Paryż Pięć. - Ale czas działa na naszą korzyść, a nie twoją. Wcześniej czy później świat przejrzy na oczy i zrozumie, że mieliśmy rację. Dość już przestępstw popełnianych głównie przez odartych z człowieczeństwa Murzynów, dość terroryzmu organizowanego przez Arabów, dosyć żydowskich manipulacji, spiskowania i korupcji, zgarniania wszystkiego dla siebie, podczas gdy inni nie mają nic! - Pomińmy uwagi mojego gorliwego kolegi. Czy chce pan uzyskać od nas informacje, czy nie? - zapytał spokojnie Zero Dwa. - Podobało mi się życie, jakie wiedliśmy w Paryżu, lecz skoro nie ma do niego powrotu, to czemu nie pójść na całość? - Czy może pan w jakiś sposób udowodnić te śmieszne oskarżenia, które usłyszałem?
- Mogę jedynie powtórzyć to, co słyszałem. Proszę jednak nie zapominać, że należymy do elity naszego Bractwa.

- Die Bruderschaft - poprawił go dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych z wyraźną pogardą w głosie."
- Ma pan rację. Ta nazwa wkrótce obiegnie całą Ziemię i spotka się z należyтым szacunkiem.
- Chyba nie, jeśli tylko będę miał cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie.
- Czyżby, mein Herr? Jest pan tylko maleńkim trybikiem w tej gigantycznej maszynie, tak samo jak ja. Mówiąc szczerze, znudziło mnie to wszystko. Niech historia podąża wytyczonym kursem, na który nie mają żadnego wpływu tacy ludzie, jak pan czy ja. Ale z drugiej strony wolałbym żyć niż zginąć.
- Muszę się naradzić z moimi przełożonymi - oznajmił lodowatym tonem Sorenson. Odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia, ruchem ręki dając znak obu strażnikom. Kiedy tylko Amerykanie wyszli z celi i drzwi zamknęły się za nimi, Paryż Dwa sięgnął po notatnik i zakrywając go dłonią napisał po niemiecku: "On nie może sobie pozwolić na to, aby nas rozstrzelać."
- Monsieur l'Ambassadeur - zaczął uprzejmie Moreau, gdy został sam na sam z Heinrichem Kreitzem w jego gabinecie w ambasadzie niemieckiej. - Ufam, że nasza rozmowa nie będzie w żaden sposób rejestrowana. Byłoby to bardzo niekorzystne zarówno dla pana, jak i dla mnie.
- Oczywiście, że nie - odparł tamten. . _ Był to starszy mężczyzna, drobnej budowy, o bladej cerze i twarzy pokrytej zmarszczkami, a okulary w drucianej stalowej oprawce nadawały temu człowiekowi, powszechnie szanowanemu w całej Europie, wygląd uczonego skrzata.
- Otrzymałem te informacje, o które pan prosił...
- Mam nadzieję, że o mojej prośbie także nikt nie wie, n'est-ce pas? - przerwał mu szef Deuxieme Bureau, siadając w fotelu naprzeciwko biurka.
- Oczywiście, ma pan na to moje słowo... Wyciągnąłem wszelkie dostępne dane, poczynając od dzieciństwa i młodości "Gerhardta Kroegera, poprzez lata jego studiów i praktyki lekarskiej, aż do chwili rezygnacji z pracy chirurga w szpitalu w Norymberdze. To imponujące dossier, pełno w nim adnotacji o wielkich osiągnięciach tego doskonałego fachowca. Jeśli nie liczyć niespodziewanej rezygnacji z dalszej kariery zawodowej, nic nie wskazuje na jego przynależność, a nawet sympatię dla ruchów neonazystowskich. Przygotowałem dla pana kopie wszystkich dokumentów. Kreitz wychylił się z fotela i położył przed Francuzem dużą, zaklejoną szarą kopertę. Ten zważył ją w rękę, szacując ze zdumieniem ilość materiałów.
- Czy może mi pan zaoszczędzić trochę czasu, jeśli ma pan teraz parę minut, panie ambasadorze?
- W tej chwili nie ma dla mnie niczego ważniejszego od tej sprawy. Proszę pytać.
- Zapoznał się pan z tymi dokumentami?
- Tak dokładnie, jakbym czytał pracę doktorską, którą mam recenzować. Wnikliwie je przejrzałem.
- Kim byli jego rodzice?
- Sigmund i Elsi Kroegerowie. Od razu trafił pan na coś, co powinno odsunąć podejrzenia o współpracę z neonazistami. Sigmund Kroeger został oskarżony o dezercję z Luftwaffe w ostatnich miesiącach wojny.
- Tysiące Niemców wtedy dezercerowało.
- Może z Wehrmachtu, ale nie z Luftwaffe, a już na pewno nikt z kadry oficerskiej. Ojciec Kroegera miał stopień majora, był wielokrotnie odznaczony, nawet przez samego Góringa. Zgodnie z wieloma raportami, zarówno waszymi, jak i naszymi, gdyby Kroeger został schwytany przed kapitulacją, czekałby go sąd wojenny i wyrok śmierci. Oczywiście mówię o sądzie Trzeciej Rzeszy. - Jaki los go spotkał u aliantów?
- Niewiele się zachowało z tego okresu. Przeleciał swoim messerschmittem przez linię frontu, wyskoczył na spadochronie i pozwolił maszynie się rozbić. Brytyjski patrol uratował go z rąk wieśniaków, pragnących dokonać samosądu. Przyznano mu status jeńca wojennego.
- A po wyjściu z obozu wrócił do Niemiec?

- Te sprawy również giną w mroku historii. Cóż mogę powiedzieć? Był synem fabrykanta zatrudniającego około setki osób. Ale z drugiej strony, jakkolwiek by to oceniać, był także dezerterskim, sprzeciwił się rozkazom Fuhrera. Stąd należałoby wnioskować, że jego syn także będzie niechętny ruchowi nazistowskiemu.
- Tak, rozumiem. A co z jego żoną, matką Gerhardtta?
- To była solidna Hausfrau, pochodząca z warstw średnich. Zapewne ciężko zniosła wojnę. W każdym razie nigdy nie figurowała na listach członków Narodowej Partii Socjalistycznej i prawdopodobnie nigdy nie brała nawet udziału w różnorodnych wiecach. - Zatem również powinna być niechętna wpływom nazistowskim?
- To właśnie próbuję panu wytłumaczyć.
- A czy w czasach studiów Kroegera i późniejszej jego specjalizacji nie było na uczelni silnych ruchów studenckich przeciwnych demokratyzacji Niemiec, nawołujących do powrotu Trzeciej Rzeszy, które mogłyby mieć jakiś wpływ na późniejsze zapatrywania Gerhardtta?
- Niczego takiego nie znalazłem. Jego nauczyciele, jak jeden mąż, opisują Kroegera jako człowieka zamkniętego w sobie, typowego naukowca oddanego swojej pracy, wyróżniającego się niemal w każdej dziedzinie. Jego umiejętności chirurgiczne zaliczano do tak niezwykłych, że przez długie miesiące był jedynym lekarzem wykonującym jakiś nowy typ operacji, zanim inni zaczęli go naśladować.
- W czym się specjalizował?
- W chirurgii mózgu. Mawiano o nim, że "ręce ma złote, a palce jak z rtęci". To dosłowny cytat z wypowiedzi równie sławnego Hansa Traupmana, innego specjalisty w tej samej dziedzinie.
- Kogo?
- Traupmana, Hansa Traupmana, ordynatora oddziału chirurgii mózgu w szpitalu norymberskim.
- Byli przyjaciółmi?
- Łączyły ich jedynie sprawy służbowe. W papierach nie ma wzmianki o bliższej znajomości.
- A mimo to ordynator z takim podziwem wypowiadał się o pracy swego podwładnego?
- Nie wszyscy chirurdzy są nikczemnikami, Moreau.
- Zapewne ma pan rację. Czy są tu może jakieś materiały wyjaśniające jego niespodziewaną rezygnację z dalszej kariery i późniejszą emigrację do Szwecji?
- Nie, jeśli nie liczyć jego własnego, bardzo emocjonalnego oświadczenia. W opinii wielu osób niemal przez dwadzieścia lat przeprowadzał niezwykle precyzyjne operacje, wywołujące stesy i napięcia. Używając jego słów, po prostu się wypalił, coraz częściej dostrzegał dygotanie tychże "palców jak z rtęci" i dlatego zrezygnował, nie chcąc narażać życia pacjentów. To naprawdę godne podziwu.
- Ale i bardzo niejasne - wtrącił szybko Moreau. - Czy komukolwiek udało się stwierdzić, gdzie on obecnie przebywa? - Krążą tylko różne plotki, jak sam się pan przekona. Kilku jego dawnych kolegów, którzy mieli od niego jakiegokolwiek wiadomości, przy czym ostatnie pochodzą sprzed czterech lat, utrzymuje, że pod przybranym szwedzkim nazwiskiem rozpoczął praktykę internistyczną gdzieś na północ od Goteborga.
- A cóż to za "dawni koledzy"?
- Ich nazwiska znajdzie pan w raportach. Może się pan sam z nimi skontaktować, jeśli ma pan ochotę.
- Zrobię to. ,
- A teraz, monsieur Moreau - rzekł ambasador, odchylając się na fotelu - chyba najwyższy czas, aby był pan ze mną szczery. Podczas rozmowy telefonicznej, kodowanej, tak jak pan sobie życzył, powiadomił mnie pan, że niejaki Gerhardt Kroeger, chirurg, może mieć powiązania z ruchem nazistowskim, ale nie podał pan niczego na poparcie owych zarzutów, nie mówiąc już o dowodach. Zamiast tego w sposób dość obraźliwy oznajmił pan, że jeśli władze niemieckie za pośrednictwem mojego urzędu nie spełnią pańskiego żądania udostępnienia pełnego dossier Kroegera, to pan powiadomi Quai d'Orsay, że staramy się

ukryć tożsamość wpływowego działacza organizacji neonazistowskiej. Jeszcze raz podkreślam, że nie przedstawił pan żadnych dowodów. A skoro teraz otrzymał pan te dokumenty, jest wielce prawdopodobne, iż życie niewinnego lekarza prowadzącego praktykę w Szwecji stanie się jednym pasmem udręki, bo nie mam żadnych wątpliwości, że pan go odnajdzie. Oczekuję zatem pańskich wyjaśnień, monsieur Moreau. Proszę mi wyjawic cokolwiek, co uspokoiłoby moje sumienie, a zarazem usprawiedliwiło wasze dochodzenie, ponieważ, jak już powiedziałem, pan go na pewno odnajdzie.

- Już go odnaleźliśmy, Monsieur l'Ambassadeur. Kroeger przebywa w Paryżu, nie dalej, jak dwa kilometry stąd. Otrzymał zadanie odnalezienia niejakiego Harry'ego Lathama i zabicia go. Rodzi się pytanie, dlaczego właśnie on, sławny lekarz, chirurg? Przede wszystkim na nie musimy znaleźć odpowiedź. Po wyjściu z ambasady Moreau skierował się prosto do swego służbowego auta, bez słowa zajął miejsce i skinieniem głowy dał znać kierowcy, żeby ruszał. Sięgnął po telefon i wybrał numer zastrzeżonej linii Deuxieme Bureau.

- Jacques?

- Słucham, Claude.

- Każ dokładnie sprawdzić niejakiego Traupmana, Hansa Traupmana, ordynatora chirurgii szpitala w Norymberdze. Czas włókł się niemiłosiernie dla przywykłego do energicznych działań Drew Lathama. Pokój hotelowy stał się dla niego więzieniem. Mimo włączonej klimatyzacji ciągle mu było duszno. Otworzył szeroko okno, ale zaraz je zamknął - wieczorem nad ulicami Paryża wisiało .zatechle, wilgotne powietrze. Nie mógł już wytrzymać w czterech ścianach, zdany wyłącznie na siebie, niczym uciekinier. Musiał stąd wyjść, tak jak poprzedniego dnia po południu, kiedy to pod eskortą żołnierzy z piechoty morskiej odwiedził swoje mieszkanie przy Rue du Bać. Tamten spacer trwał niecałą godzinę, a zaledwie przez parę minut Drew przebywał na ulicy, ale właśnie ta godzina przyniosła mu wytchnienie od przytłaczających, dusznych pomieszczeń Maison Rouge, domu Witkowskiego czy nawet mieszkania Karin, chociaż z nim wiązały się też całkiem odmienne wrażenia. Chciał się uwolnić od czegoś jeszcze, przed czym uciekał; od wielu lat - od spokoju, wygod, dobrobytu i ciepła domowego zacisza. Zwłaszcza teraz pragnął się znowu poczuć wolnym człowiekiem, choćby tylko na chwilę. Musiał wyjść na ulicę, znaleźć się między ludźmi. Niczego więcej nie potrzebował. Dwie godziny wcześniej rozmawiał z Karin, która miała jeszcze jakieś zajęcia w ambasadzie i doszli wspólnie do wniosku, że ze względów bezpieczeństwa nie powinien dzwonić do jej mieszkania przy rue Madeleine. Nie? sprzeciwiał się, ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, było uczynienie z niej takiego samego uciekiniera. Ale przy okazji de Vries przekazała mu pilną wiadomość z Waszyngtonu. Miał się skontaktować z Wesleyem Sorensonem na jego prywatnej linii, a gdyby nie zdołał złapać dyrektora wydziału przed osiemnastą czasu waszyngtońskiego, polecono mu dzwonić pod numer domowy Sorensona, o każdej porze dnia i nocy. Kilkakrotnie próbował się połączyć ze Stanami, ale do jedenastej wieczorem, czyli osiemnastej czasu waszyngtońskiego, nikt nie odbierał telefonu. Później zadzwonił do domu Wesa, lecz odebrała pani Sorenson. Na szczęście była wprowadzona w sprawy małżonka.

- Owszem - powiedziała - mój mąż oczekuje wiadomości od paryskiego handlarza antykami. Jeśli to pan, to mąż będzie w domu około dziewiętnastej naszego czasu. Gdyby nie sprawiło to panu wielkiego kłopotu, to proszę zadzwonić mniej więcej za godzinę, bo wydaje mi się, że mąż nie ma pańskiego numeru telefonu. A jest bardzo zainteresowany tym gobelinem, który oglądaliśmy w zeszłym miesiącu.

- Nie został jeszcze sprzedany, proszę pani - odparł Drew. Zadzwonię zaraz po północy, czyli po dziewiętnastej czasu waszyngtońskiego. Nie mógłbym przecież zawieść tak znakomitego klienta. Co może być aż tak ważnego, że Sorenson prosił o pilny kontakt? - zachodził w głowę. W każdym razie musiał odczekać godzinę, a perspektywa rozpatrywania w tym czasie przeróżnych ewentualności sprawiła, że nie mógł już dłużej tego znieść. Doszedł do wniosku, że ma przecież mundur amerykańskiego oficera, w którym ledwie może oddychać, Karin ufarbowała mu włosy na jasnoblond, dostarczyła też okulary zmieniające jego wygląd, a na

dodatek było już całkiem ciemno. Czy może mi coś zagrażać w tak doskonałym przebraniu i w ciemnościach? - rozmyślał. Ostatecznie miał przecież telefon komórkowy. Gdyby Witkowski bądź którykolwiek z pracowników ambasady, wprowadzony w całą sprawę, chciał się z nim nagle skontaktować, mógł zadzwonić pod ten numer, skoro nikt się nie zgłosi w pokoju hotelowym. Zjechał windą na dół i przeszedł przez hol, obok biurka portiera, zmierzając w stronę wyjścia. Czuł się głupio, niezdarnie salutując w odpowiedzi na uprzejme ukłony służby hotelowej: mon colonel? albo Monsieur le Colonel Webster? Wreszcie pchnął obrotowe drzwi i wyszedł na rue de Castiglione. Boże, jak to cudownie znaleźć się na świeżym powietrzu, uwolnić się od murów więzienia! - pomyślał. Skręcił na prawo, gdyż tam ulica była słabiej oświetlona, i ruszył dość energicznie chodnikiem, wciągając głęboko w płuca chłodne powietrze. Skojarzył zaraz, że maszeruje niczym prawdziwy żołnierz, i omal nie parsknął głośnym śmiechem. Ale radość nie trwała długo. Nieoczekiwanie zapiszczał telefon, który Drew wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Ogarnęło go takie zdumienie, że pospiesznie sięgnął po aparat, zapomniawszy nawet rozpiąć marynarkę. Chciał jak najszybciej wyłączyć to ciche, natrętne popiskiwanie. Zdołał w końcu wyciągnąć telefon, ze złością wcisnął klawisz i przyłożył aparat do ucha.

- Tak? O co chodzi?

- Mówi dowódca oddziału "W". A więc to jednak pan! Co pan robi na ulicy?

- Wyobraźcie sobie, że wyszedłem odetchnąć świeżym powietrzem."

- To było do przewidzenia. No cóż, stało się! Ktoś pana śledzi. - Co?!

- Zrobiliśmy zdjęcie. Nie mamy jeszcze pewności, ale to chyba Reynolds, Alan Reynolds z Centrum Łączności. Obserwujemy go przez lornetkę, tyle że na ulicy jest dosyć ciemno, a on ma na głowie kapelusz z bardzo szerokim rondem.

- Cholera! Jak mnie namierzył? Przecież jestem w mundurze, a włosy mam ufarbowane na jasnobłond!

- Mundur łatwo wypożyczyć, a kolor włosów nie rzuca się w oczy. Jest prawie całkiem ciemno, w dodatku ma pan na głowie czapkę... Proszę iść dalej i zachichotać dość głośno, kiedy będzie pan chował telefon do kieszeni. Na najbliższym skrzyżowaniu proszę skręcić w prawo, w wąską uliczkę. Zbadaliśmy cały ten teren. Tam najłatwiej będzie nam wyjść z ukrycia i ruszyć za panem. Na miłość boską! Zróbcie coś, zatrzymajcie go! Jeśli mnie tu odnalazł, to jest prawie pewne, że wcześniej musiał obserwować mieszkanie pani de Vries!

- Na razie musimy o niej zapomnieć, kimkolwiek by była. To pana mamy strzec, a nie jej.

- Ale mnie bardzo obchodzi jej los, żołnierzu!

- Niech pan lepiej schowa telefon i zacznie się śmiać.

- Załatwione. Robiąc z siebie głupca na zatłoczonej rue de Castiglione, Drew ryknął śmiechem niczym wściekła hiena, po czym wsunął telefon komórkowy do kieszeni, przyspieszył kroku i skręcił w wąską uliczkę odchodzącą w prawo. Ale zamiast iść dalej spokojnie, mimo woli puścił się biegiem. Dopadł frontowego wejścia do najbliższego budynku po prawej stronie i dał nura za osłonę występu ściany. Wzdłuż uliczki, niewiele szerszej od alejki w parku, ciągnęły się stare, zaniedbane kamienice, jakże typowe dla wielu dzielnic Paryża, mające zazwyczaj bardzo długą historię, ale przynoszące właścicielom znikome dochody. Palily się tu tylko dwie latarnie, stojące przy obu krańcach ulicy. Latham zdjął oficerską czapkę i ostrożnie wyjrzał zza rogu. W jego stronę zbliżał się mężczyzna trzymający w dłoni pistolet. Drew siarczyście zaklął w duchu. Nie pomyślał o tym, żeby zabrać ze sobą broń. Zresztą pod dopasowanym mundurem nie było miejsca nawet na najmniejszą kaburę. Dostrzegłszy widocznie, że w pobliżu nikogo nie ma, mężczyzna rzucił się biegiem w kierunku przeciwnego wylotu zaułka. Tylko tyle Latham zdążył zauważyć. Kiedy obcy znalazł się na wprost niego, Drew wziął szeroki zamach prawą nogą i trafił tamtego prosto w krocze, a następnie wyskoczył z ukrycia i z całej siły pchnął Alana Reynoldsa, aż ten przeleciał na drugą stronę uliczki i huknął plecami o ścianę sąsiedniego domu. Latham błyskawicznie doskoczył do niego i zacisnął palce na uzbrojonej dłoni mężczyzny zanim ów zdążył odzyskać równowagę.

- Ty skurwysynu! - ryknął Drew i natarł na obcego ramieniem, wkładając w to o wiele więcej siły, niż kiedykolwiek podczas starć z przeciwnikami na lodzie. - Skąd się tu wziąłeś? Skąd wiedziałeś? W co mój brat się wpakował?

- A więc ty nie jesteś Harry! - syknął tamten. - Tak podejrzewałem, ale nikt nie chciał mi wierzyć.

- Odpowiedz mi, łobuzie! - warknął Latham, nakierowując wylot lufy pistoletu Reynoldsa na jego skroń. - No, gadaj! - Nie mamy o czym rozmawiać, Latham. Wysłałem już raport, w którym szczegółowo opisałem pułapkę, jaką zastawiłeś przy pomocy tej de Vries. Napastnik błyskawicznie uniósł lewą rękę, odchylił klapę marynarki, wsunął jej koniec do ust i zacisnął zęby.

- Ein Volk, ein Reich, ein Führer! - wyrecytował chrapliwie, z trudem łapiąc oddech. W tym samym momencie u wylotu uliczki pojawili się trzej żołnierze, biegnący z bronią w rękach.

- Nic się panu nie stało? - zawołał z daleka sierżant dowodzący oddziałem, który otrzymał kryptonim "W".

- Nie, wszystko w porządku! - parsknął przez zęby rozwścieczony Drew. - Jak ten skurwysyn mógł przejść przez wszystkie testy? Jak zdołał oszukać przełożonych, psychologów i innych specjalistów, którzy teoretycznie powinni zbadać całą jego przeszłość, dzień po dniu, godzina po godzinie? To jedna wielka lipa! Przecież nie współpracował z nazistami dla pieniędzy czy kilku medali, był zaciekłym fanatykiem, który cisnął mi w twarz zawołanie hitlerowców, kiedy polknął cyjanek. Jego poglądy polityczne powinny być wyjść na jaw już wiele lat temu!

- Trudno się z tym nie zgodzić - odparł sierżant. - Zawiadomiliśmy już przez radio pułkownika Witkowskiego. Rozkazał nam zrobić wszystko, co w naszej mocy, zranić go w nogi lub w ręce, byle tylko pojmać żywcem.

- Niestety, to niewykonalne. Chyba że w szkole piechoty morskiej nabył pan jakichś cudotwórczych umiejętności, w co wątpię. - Zabierzemy zwłoki do ambasady, ale najpierw odstawimy pana z powrotem do hotelu "Intercontinental".

- Nie warto ściągać samochodu, prędzej dojdę tam na piechotę. - Pułkownik przypiekałby mnie żywcem na ogniu, gdybym się na to zgodził.

- To ja będę jego przypiekał, jeśli się pan nie zgodzi. Nie jestem podwładnym Witkowskiego, lecz skoro to ma panu poprawić nastrój, to w pierwszej kolejności do niego zadzwonię. Znalazszy się z powrotem w swoim pokoju hotelowym, Latham podszedł do telefonu i nakręcił numer prywatnej linii pułkownika. - To ja - rzucił do słuchawki.

- Następnym razem, kiedy oznajmisz moim ludziom, że będziesz robił to, na co masz ochotę, ponieważ nie jesteś moim podwładnym, odwołam eskortę i uczynię wszystko, żeby naprowadzić na ciebie kolejnych bojówkarzy nazistowskich.

- Nie śmiem w to wątpić.

- Masz to jak w banku! - rzekł z naciskiem rozwścieczony Witkowski.

- Miałem swoje powody, Stanley.

- Niby jakie, do cholery?!

- Chociażby los Karin. Reynolds wyznał przed śmiercią, że wysłał raport, w którym opisał, że nie jestem Harrym, tylko jego bratem, i że wspólnie z Karin zastawiliśmy pułapkę.

- Niewiele się pomylił. A nie wyjaśnił przypadkiem, co to za pułapka?

- Nie zdążył, cyjanek działa za szybko.

- Ach tak, dowiedziałem się już o tym od sierżanta, który nie omieszkał mi też przekazać twojej opinii o stosowanych przez nas metodach sprawdzania personelu dyplomatycznego.!

- Jeśli dobrze pamiętam, nazwałem to jedną wielką lipą ponieważ uważam, że tak jest w rzeczywistości... Stanley, niech Karin się wyniesie ze swojego mieszkania. Reynolds odnalazł mnie bez trudu, a przecież Rue Madeleine jest tylko parę kroków stąd - Ukryj ją gdzieś!

- Masz jakieś propozycje?

- Na przykład tu, w "Intercontinentalu"... Załatw jej blond perukę i tak dalej...

- To najgłupsza rzecz, jaką mogłeś wymyślić. Nie zastanawiałeś się, dlaczego Reynolds tak szybko cię odnalazł? Komu jeszcze o tym powiedział? A może ktoś powiedział jemu?

- Chyba czegoś nie chwytam.
- To oczywiste. Musi być jakiś drugi Alan Reynolds, drugi agent wśród personelu ambasady, i to prawdopodobnie w jej kierownictwie. Zostaniesz przeniesiony do hotelu "Normandie"! Nadejdzie oficjalny rozkaz dla pułkownika Webstera, nakazujący mu powrót do Waszyngtonu w celu uzupełnienia materiałów.
- Czy to znaczy, że chcesz mnie wyłączyć z tej sprawy?
- Mówiąc szczerze, powinniśmy cię zakwalifikować jako niekompetentnego. Francuzi uwielbiają mówić w ten sposób o Amerykanach.>
- Pułkownik Webster będzie wściekły. No cóż, w każdym razie chyba mogę już zmyć farbę z włosów i pozbyć się tego cholernego munduru?
- Nic podobnego - odparł Witkowski. - Pomęcz się jeszcze przez jakiś czas. Nie możesz wrócić do swego prawdziwego nazwiska, a dokumenty Webstera są bez zastrzeżeń. To prawda, że zostałeś zdemaskowany, lecz w ten sposób może uda nam się zidentyfikować ich agenta. Podejrzanych jest niewielu, a uważnie obserwujemy wszystkich, którzy o tobie wiedzieli. To naprawdę nieliczna grupka. Nie objeśliśmy kontrolą jedynie żołnierzy eskorty, Reynoldsa i tego zapijaczonego Lewisa, któremu zapewne nie zostało nic innego, jak chodzić od jednego igloo do drugiego, gdzieś w głębi tundry. - Jeśli Reynolds faktycznie wysłał o mnie raport swoim zwierzchnikom, to szykujcie mi już trumnę.
- Bez pośpiechu, przecież jest pan pod ochroną, pułkowniku. A propos, czy Karin ci mówiła, że Wesley Sorenson usiłował się z tobą skontaktować? Nie podaliśmy mu, gdzie przebywasz, zresztą wcale o to nie pytał, a więc ty powinienesz do niego zadzwonić. - Jest następny na mojej liście, zaraz po tobie. Odezwij się jeszcze przed moją przeprowadzką do hotelu "Normandie" i ukryj gdzieś Karin. A może ją też byś umieścił w "Normandie"?
- Jak na szpiega to jesteś trochę zanadto beczelny, Latham. Drew odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. Było już po północy, czyli w Waszyngtonie, minęła siódma wieczorem. Z powrotem podniósł słuchawkę i wybrał numer automatycznej centrali międzynarodowej.
- Słucham - odezwał się Sorenson.
- Tu mówi pański handlarz antykami z Paryża.
- Dzięki Bogu! Proszę mi wybaczyć, ale byłem bardzo zajęty. Miałem niezwykle pilną sprawę, żeby nie powiedzieć istne urwanie głowy. To może być nawet katastrofa.
- Co się stało?
- W tej chwili nie mogę panu powiedzieć.
- A cóż było aż tak pilnego?
- Moreau. Jest czysty.
- Miło mi to słyszeć. Za to nasza ambasada nie jest czysta. - Tak przypuszczałem, wiele na to wskazywało. Jeśli ma pan kłopoty i nie wie, do kogo się zwrócić.
- To niepotrzebne, Wes - przerwał mu Latham. - Na razie nie mam żadnych kłopotów z Witkowskim.
- Ja też nie, chociaż wolalbym wiedzieć, kto się do niego podłączył.
- To prawda, że musi być ktoś taki.
- W takim razie skontaktuj się z Moreau. On "nie wie, że żyjesz, więc kiedy się na to zdecydujesz, daj mi znać, bym mógł udzielić mu paru wyjaśnień.
- Nadal jest wyłączony ze sprawy?
- Tak i to chyba był nasz największy błąd.
- Wes, czy nie obilo ci się przypadkiem o uszy nazwisko Alana Reynoldsa z Centrum Łączności naszej ambasady?
- Nie przypominam sobie.
- Szkoda. Był jednym z nich.
- Był?!
- Nie żyje.
- To raczej dobrze.
- Trudno powiedzieć. Wolelibyśmy go dopaść żywego.

- Czasami tak bywa. Zostań w kontakcie. Gerhardt Kroeger śleczal nad faksem nadesłanym z Bonn, w lewym ręku trzymał książkę szyfrów, w prawym ołówek. Starannie wpisywał kolejne litery ponad drukowanymi słowami telegramu, a im bliżej był zakończenia tej pracy, tym silniejsze ogarniało go podniecenie, starał się jednak panować nad sobą, gdyż przy zwyczajenia naukowca nakazywały mu pełną koncentrację. Kiedy wreszcie skończył, poczuł ogromną ulgę. Informator z ambasady amerykańskiej dostarczył wszystkie wiadomości, których nie udało się zdobyć butnym blitztragerom. Co prawda były niekompletne, lecz zawierały wskazówkę co do miejsca pobytu Lathama! Agent nie wymieniał nazwiska osoby, od której uzyskał poufne informacje, zaręczał jednak, że są one w pełni wiarygodne, gdyż ta kobieta w trakcie wieloletniej znajomości otrzymywała od niego pokaźne sumy i mogła sobie pozwolić na prowadzenie dość wystawnego trybu życia. Nie powinna go zatem okłamywać z dwóch podstawowych powodów: z chęci utrzymania dotychczasowego poziomu życia, a przede wszystkim ze strachu przed zdemaskowaniem. To zresztą były dwa najważniejsze elementy, które pozwalały na utrzymywanie w ryzach każdego informatora. Kroeger był jednak przekonany, że największą pomyłką w rozszyfrowanym raporcie stanowiło przypuszczenie, iż człowiek, który wyszedł cało z zamachu na jego życie, nie jest Harrym Lathamem, lecz jego bratem, Drew, oficerem Wydziału Operacji Konsularnych. Uważał, że to niedorzeczne. Niezbite dowody świadczyły o czymś wręcz przeciwnym, a pochodziły przecież z tak wielu różnych źródeł, iż nie mogły być wszystkie sfabrykowane. Nie licząc raportów policyjnych, notatek w prasie czy zakrojonej na szeroką skalę przez władze francuskie oblawy na zamachowców, do najważniejszych należały relacje szefa Deuxieme, Moreau, oraz jego oficera. Ten ostatni nawet widział Harry'ego Lathama wsiadającego z powrotem do wagonu metra, kiedy na stacji rozległy się strzały. A spośród wszystkich agentów wywiadu francuskiego Moreau był chyba ostatnim, który by się odważył cokolwiek ukrywać przed Bractwem. Doskonale wiedział, że groziłoby to zdemaskowaniem i napiętnowaniem, zrujnowaniem mu przyszłości. Jego lojalność gwarantowały sumy przelewane regularnie na tajne konto w banku szwajcarskim. Kroeger jeszcze raz przeczytał wiadomość z Bonn: "Mój współpracownik donosi, że Dział Dokumentacji i Analiz otrzymał rozkaz przygotowania dokumentów dla niejakiego pułkownika Anthony'ego Webstera oraz dokonania sygnowanej przez ambasadę rezerwacji pokoju w hotelu "Intercontinental" przy rue de Castiglione. Ta sama osoba utrzymuje, że na krótko miała okazję spojrzeć na laminowaną legitymację wojskową, a widniejąca na niej fotografia wprawiała ją w zdumienie: mężczyzna o znajomych rysach twarzy miał włosy jasnoblond zamiast ciemnych, nosił mundur oraz okulary w grubych oprawkach. Osoba ta nigdy nie widziała zdjęcia Harry'ego Lathama, jest jednak prawie pewna, że rozpoznała na fotografii jego brata, Drew Lathama, oficera Wydziału Operacji Konsularnych. Według oficjalnego raportu sporządzonego przez ochronę ambasady, ciało Drew Lathama zostało odesłane do Stanów Zjednoczonych, lecz przeprowadzone przeze mnie pobieżne dochodzenie, włączając w to kontrolę dokumentów przewozowych amerykańskiego samolotu dyplomatycznego, wykazało, że nic takiego w rzeczywistości nie miało miejsca. Dlatego też uważam, że człowiek zameldowany w hotelu "Intercontinental" to nie Harry Latham, lecz jego brat, który wspólnie z ochroną ambasady, przy pomocy tej Holenderki de Vries, uknuł plan zmierzający do schwytania któregoś z członków naszego Bractwa. Dzisiaj wieczorem zamierzam się przekonać osobiście, cóż to za pułapka, gdyż mam zamiar warować przed hotelem, choćby nawet całą noc i dzień, aby pojmać Lathama i dowiedzieć się prawdy. Niewykluczone, że będę musiał go zabić jedną z wcześniej wymienionych metod. Bzdury! - pomyślał Kroeger. To prawda, że bracia zazwyczaj są do siebie podobni, czemu jednak ambasada amerykańska miałaby potwierdzać fałszywą tożsamość zabitego człowieka? Nie było ku temu żadnych powodów, wręcz przeciwnie, istniały powody, żeby sprawie nadać rozgłos. Lista wykradziona przez Harry'ego Lathama stanowiła klucz do rozpoczęcia intensywnych poszukiwań zwolenników neonazizmu na całym świecie. Ten człowiek był im niezbędny, właśnie dlatego podjęto tak stanowcze kroki w celu zapewnienia mu ochrony - począwszy od wciągnięcia do akcji działaczki "Antyninus", do

wystawienia fałszywych dokumentów i przenoszenia agenta z jednego hotelu do drugiego. Harry Latham, wll Alexander Lassiter, był prawdziwym asem wywiadu, stracił jednak brata i teraz za wszelką cenę chciał się zemścić. Na szczęście nie zdawał sobie sprawy, że już za dwadzieścia osiem godzin te wszystkie działania przestaną mieć jakiegokolwiek znaczenie, gdyż jego samego czeka niechybna śmierć. Ale dla Gerhardta Kroegera wciąż było niezwykle istotne, aby odnaleźć Harry'ego Lathama i rozwalić mu głowę na kawałki. Teraz jednak wiedział już, gdzie należy szukać. Miał zresztą nadzieję, że informator organizacji wypełnił swą groźbę i wykonał egzekucję, a w dodatku zrobił to jak należy. Była już 2.10 w nocy, kiedy Kroeger nałożył marynarkę i lekki płaszcz, ten ostatni zresztą głównie po to, by ukryć pod nim ciężki wielkokalibrowy pistolet załadowany sześcioma nabojami typu Black Talon. Każdy taki pocisk, po wbiciu się w głąb ciała eksplodował niczym wiązka sztucznych ogni na niebie, siejąc wokół zniszczenie.

- Samochód podjedzie po ciebie dokładnie o trzeciej - rzekł Witkowski.

- Dlaczego tak późno? - spytał Latham.

- Do diabła, to już za trzy kwadransy, a chciałbym mieć po paru ludzi w holu, na ulicy i przed wejściem, zanim wyjdiesz z pokoju. Trzeba załatwić wiele formalności, przebrać ludzi w cywilne ubrania...

- Tak, rozumiem. Co z Karin?

- Zapewniłem jej bezpieczeństwo, tak jak sobie tego życzyłeś. Blond peruka i tak dalej, używając twych własnych słów.

- Gdzie teraz jest?

- Gdzie indziej niż ty.

- Bądź człowiekiem, Stanley...

- A teraz mówisz jak moja matka. Niech Pan świeci nad jej duszą.

- W takim razie żałuję, że nie mogę mu jednocześnie polecić twojej duszy.

- Zawsze chciałbyś natychmiast dostawać nagrodę za swoje wyczyny, ale mnie na to nie stać... Któryś z moich ludzi zabierze twoją walizkę i aktówkę na piętnaście minut przed umówionym terminem. Gdyby ktokolwiek po drodze cię zapytał, dokąd wychodzisz, powiedz po prostu, że nie możesz usnąć, masz zamiar trochę pospacerować. Formalności załatwimy później.

- Naprawdę myślisz, że Reynolds zdążył powiadomić jakichś innych neonazystowskich bojówkarzy przebywających w Paryżu? - Jeśli mam być szczerzy, to nie. O ile nam wiadomo, cały ten pluton egzekucyjny przestał istnieć, z kim zatem miałby się kontaktować? Nie sądzę, żeby ktokolwiek z Niemiec zdążył przylecieć na czas, a Kroeger jest lekarzem, nie zabójcą. Według mojej opinii miał tutaj jedynie nadzorować przebieg akcji, a nie brać w niej udziału, bo nie jestem pewien, czy w ogóle wie, jak się posługiwać bronią. Reynolds działał w pojedynkę, głównie dlatego że był widziany na ulicy przed moim domem i nie miał już innego wyjścia. Gdyby zdołał ciebie zastrzelić, zyskałby w oczach swoich zwierzchników.

- Nie możemy być pewni, że wiedział, iż został zdemaskowany, Stanley.

- Naprawdę? To dlaczego nie zjawił się w pracy następnego dnia? Nie zapominaj, chłopak, że dwóch neonazystów zniknęło, kiedy próbowali się do mnie zakraść...

- Pomogły ci schody ewakuacyjne i chodnik, zgadza się? wtrącił Drew.

- Widzę, że robisz się coraz bystrzejszy. Jeśli A równa się B, a B równa się C, to można śmiało przyjąć, że A równa się C. W każdym razie należałoby od tego zacząć.

- Teraz ty mówisz jak Harry.

- Dzięki za komplement. Szykuj się. Latham błyskawicznie spakował walizkę, co było tym łatwiejsze, że nawet nie rozpakował jej do końca, zdążył wyjąć jedynie swoje cywilne ubranie

- te same spodnie i sweter, w których tamtego dnia wyszedł do pracy w ataszacie. Ponownie rozpoczęło się dla niego nerwowe oczekiwanie, połączone ze świadomością uwięzienia w czterech ścianach. Niespodziewanie znów zadzwonił telefon. Drew szybko podniósł słuchawkę.

- Tak? Co znowu? - zagadnął, spodziewając się, że to ponownie Witkowski.

- Jak to: co znowu? To ja, Karin, kochany.

- Jezu! Gdzie jesteś?

- Przysięgłam, że ci nie powiem...
- Bzdury!
- Nieprawda, Drew, to względy bezpieczeństwa. Pułkownik powiedział mi, że ciebie przenoszą... I wcale nie chcę wiedzieć dokąd. - Przecież to śmieszne.
- To chyba nie znasz naszych przeciwników. Proszę, bądź, ostrożny, bardzo ostrożny.
- Słyszałaś o dzisiejszych wydarzeniach?
- O Reynoldsie? Tak, Witkowski mi powiedział. Właśnie dlatego dzwonię. Nie mogę się skontaktować z pułkownikiem, jego telefon jest przez cały czas zajęty. Pewnie ciągle rozmawia ze swoimi ludźmi z ambasady. A przed chwilą przypominałam sobie o czymś, o czym muszę jeszcze kogoś powiadomić.
- Cóż to takiego?
- Alan Reynolds bardzo często schodził do Działu Dokumentacji i Analiz pod takim czy innym pretekstem, zazwyczaj po to żeby wypożyczyć jakąś mapę czy sprawdzić rozkład jazdy.
- I nikomu nie wydało się to dziwne? - wtrącił Latham.
- Chyba nie. To o wiele prostsze niż telefonowanie do informacji kolejowej czy linii lotniczych. Poza tym nikt nie chce korzystać z francuskich map, na których wszelkie napisy są drukowane mało czytelnym maczkiem, wszyscy wolą nasze.
- Więc dlaczego ty uznałaś jego zachowanie za podejrzane? - Skojarzyłam to dopiero dzisiaj, kiedy pułkownik opowiedział mi o ostatnich wydarzeniach. Weź pod uwagę, że bardzo wielu pracowników ambasady, szczególnie spośród tych, którzy rzadko mają okazję wychodzić na miasto, podczas weekendów wybiera się na dłuższe wycieczki. Jeżdżą po całej Francji, zwiedzają Szwajcarię Włochy, Hiszpanię... Ale moją uwagę przyciągnęło coś innego, właśnie wydało mi się dziwne.
- Co takiego?
- Dwukrotnie, kiedy wracałam do Działu Transportu, widziałam Reynoldsa wychodzącego z bocznego korytarza, za moim działem. Pomyślałam wtedy: "Aha, pewnie spodobała mu się któraś z pracujących tam dziewczyn i umawiał się z nią na obiad albo na kolację."
- A teraz podejrzewasz, że chodził tam w innym celu?
- Owszem, chociaż mogę się mylić. Wszelkie materiały przechodzące przez Dział Dokumentacji i Analiz są tajne, choćby nawet nie zasługiwały na taką klasyfikację, ale wszyscy dobrze wiedzą, że w pokojach przy tamtym bocznym korytarzu, na samym końcu piętra, pracuje się z naprawdę ściśle tajnymi papierami.
- Czyżby działała zasada mrowiska? - zapytał Latham. - Im dalej od wejścia, tym bardziej poufne sprawy?
- Niezupełnie - odparła Karin. - Każda komórka zajmuje się swoim wycinkiem, lecz gdy trafia im się coś ściśle tajnego, zazwyczaj muszą przejść do pomieszczeń na końcu korytarza, gdzie znajdują się dokładnie zabezpieczone komputery oraz urządzenia do natychmiastowej łączności z całym światem. W ciągu całego okresu pracy w ambasadzie trzy razy musiałam się tam przemieszczać z robotą.
- Do obu pokojów wchodzi się z tego bocznego korytarza?
- Sześć pomieszczeń jest po jednej stronie głównego korytarza i sześć po drugiej.
- A skąd wychodził Reynolds?
- Z lewego korytarza. Dobrze pamiętam, że oglądałam się w lewo.
- Za każdym razem?
- Tak.
- Kiedy dokładnie to było? W jakich dniach go tam widziałaś? - Na Boga, nie pamiętam! Minęło parę tygodni, może nawet ze dwa miesiące.
- Spróbuj sobie przypomnieć, Karin.
- Widzisz, gdybym uznała, że to coś ważnego, Drew, na pewno bym zapamiętała. Ale wtedy stwierdziłam, że ten fakt nie ma znaczenia.
- A jednak ma.
- Dlaczego?

- Ponieważ twoje podejrzenia mogą być prawdziwe. Witkowski utrzymuje, że Reynolds miał w ambasadzie swojego informatora, że jest jeszcze jakiś szpieg, do tego postawiony dość wysoko.
- Zaraz wezmę kalendarzyk i spróbuję odtworzyć, kiedy to miało miejsce. Postaram się skojarzyć, nad czym wtedy pracowałam. - Nie byłoby ci łatwiej zrobić tego w swoim gabinecie w ambasadzie?
- Owszem, najlepiej byłoby sprawdzić w głównym komputerze, który znajduje się gdzieś w piwnicach budynku. Przechowuje się w nim wszelkie informacje z ostatnich pięciu lat, bo dokumenty są niszczone. - Chyba dałoby się to załatwić.
- Nawet gdybym tam pojechała, to nie mam zielonego pojęcia, jak obsługiwać ten komputer.
- Ale ktoś to potrafi.
- Teraz jest wpół do trzeciej w nocy, kochanie.
- A co mnie to obchodzi, że jest środek nocy?! Courtland może wydać odpowiednie polecenie technikowi obsługującemu ten komputer, a jeśli nie on, na pewno zrobi to Wesley Sorenson. W ostateczności gotów jestem odwołać się do samego prezydenta! - Daj spokój, złość w niczym nam nie pomoże, Drew.
- Ile razy mam ci jeszcze powtarzać, że nie jestem Harrym? - To prawda, że kochałam Harry'ego, ale nigdy cię z nim nie porównywałam. Rób to, co uważasz za stosowne. Wydaje mi się, że jesteś już tak rozwścieczony, iż niczego ci nie wytłumaczę. Latham energicznie nacisnął widelki, przerywając połączenie, i od razu nakręcił numer ambasady, domagając się natychmiastowej rozmowy z ambasadorem Courtlandem.
- Nie obchodzi mnie, która jest godzina! - wrzasnęła, kiedy) telefonistka stanowczo zaproponowała. To sprawa bezpieczeństwa narodowego, a ja działam pod bezpośrednimi rozkazami waszyngtońskiego Wydziału Operacji Konsularnych. Po chwili w słuchawce rozległ się męski głos:
- Słucham, tu ambasador Courtland. Cóż wynikło tak pilnego o tej porze?
- Czy możemy bezpiecznie rozmawiać, panie ambasadorze? zapytał Latham, zniżając głos do szeptu.
- Proszę zaczekać. Przełączę rozmowę na drugi aparat w sąsiednim pomieszczeniu zabezpieczonym przed podsłuchem. W dodatku nie będziemy przeszkadzali mojej żonie. Courtland ubrał się pośpiesznie, przeszedł do gabinetu na piętrze i po dwudziestu sekundach odezwał się ponownie. - W porządku. Kim pan jest i co to za sprawa nie cierpiąca zwłoki?
- Drew Latham, panie ambasadorze...
- Mój Boże, przecież pana zabili! Nie rozumiem...
- To teraz nie ma znaczenia, panie ambasadorze. Proszę jak najszybciej postawić na nogi techników komputerowych i kazać im czekać w piwnicy, przy waszej supermaszynie.
- To nie będzie takie proste... Mój Boże, przecież pana zabili! - Niektóre sprawy są bardzo skomplikowane. Niech pan zrobi to, o co proszę. Poza tym tylko pan może się włączyć w rozmowę na linii Witkowskiego. Proszę mu przekazać, żeby do mnie zadzwonił. - Gdzie pan jest?
- On wie. I proszę się pośpieszyć, panie ambasadorze. Muszę stąd wyjść za piętnaście minut, a przedtem koniecznie chciałbym mu coś przekazać.
- A więc dobrze, zrobię, jak pan sobie życzy... Chyba powinienem jeszcze dodać, iż bardzo się cieszę, że pan żyje.
- Ja również. Proszę przystąpić do działania, panie ambasadorze. Już po trzech minutach w pokoju Lathama zadzwonił telefon. - Stanley?
- Co ty wyczyniasz, do cholery?
- Ściągnij Karin i mnie do ambasady, jak najszybciej. Drew w kilku słowach powtórzył mu to, co de Vries mówiła o Reynoldsie.
- Dobra, chyba nic złego się nie stanie z powodu kilkuminutowego opóźnienia, młodzieńcze. Zaczekaj na samochód, tak jak się umówiliśmy, a ja polecę kierowcy zmienić trasę. Spotkamy się wszyscy troje w ambasadzie. Lathamowi znów zaczęło doskwierać beczynne oczekiwanie.

- W końcu zjawił się jeden z żołnierzy eskorty, ubrany po cywilnemu, i zabrał jego walizkę oraz aktówkę.
- Proszę zejść na dół za cztery minuty - powiedział. - Wszystko jest już przygotowane.
 - Czy wy zawsze potraficie zachować zimną krew w takich sytuacjach? - zapytał zdumiony Latham.
 - No cóż, emocje w niczym nie pomagają, zaćmiewają tylko trzeźwość spojrzenia.
 - Mam wrażenie, że gdzieś to już słyszałem.
 - Możliwe. Spotkamy się na dole. Trzy minuty później Drew wyszedł z pokoju i wszedł do windy. O tej porze hotel zdawał się wyludniony, w holu na windę czekała tylko nieliczna grupka spóźnionych turystów, Amerykanów i Japończyków. Latham ruszył śmiało po wyłożonej marmurowymi płytami posadzce, starając się zachować energiczny krok zawodowego żołnierza, kiedy niespodziewanie padły strzały z amflady na półpiętrze, odbijając się głośnym echem w przestronnym holu. Drew dał nura między fotele, rzuciwszy jeszcze okiem na dwóch mężczyzn stojących przy biurku portiera. Zauważył, że jeden z nich został trafiony w brzuch jego poszarpane ciało, jakby rozerwane od środka eksplozją, z impetem poleciało daleko do tyłu, aż pod ścianę. Drugi błyskawicznie podniósł ręce w górę, lecz w tej samej chwili dostał w głowę, która dosłownie rozpadła się na kawałki. Latham wręcz nie mógł uwierzyć własnym oczom. Po chwili rozległy się dalsze strzały, później stłumione okrzyki, wreszcie ktoś zawołał z półpiętra:
 - Mamy go! Został trafiony w nogę!
 - Ale żyje! - krzyknął ktoś inny. - Dorwaliśmy skurwysyna! Chyba zwariował! Płacze jak dziecko i bredzi coś po niemiecku! - Zabierzcie go do ambasady - rozkazał lodowatym tonem człowiek stojący pośrodku holu, który następnie zwrócił się do dwóch osłupiałych recepcjonistów z nocnej zmiany: : To operacja antyterrorystyczna. Już po wszystkim. Możecie powiadomić swoich przełożonych, że pokryjemy wszelkie koszty naprawy uszkodzeń oraz wypłacimy sowite odszkodowania rodzinom tych pracowników, którzy stracili życie w tak tragicznych okolicznościach. Może to zabrzmieć jak frazes, ale ci ludzie zginęli bohaterską śmiercią i wdzięczna Europa nigdy im tego nie zapomni... Pospieszcie się! Obaj przerażeni mężczyźni stali nieruchomo jak posągi za marmurowym kontuarem. Dopiero po chwili jeden z nich zaczął płakać, drugi zaś, działając jak w transie, sięgnął po słuchawkę telefonu. Latham i de Vries uściskali się czule mimo karzących spojrzeń pułkownika Stanleya Witkowskiego i ambasadora Daniela Courtlanda. Spotkali się w gabinecie tego ostatniego.
 - Czy możemy od razu przejść do rzeczy? - zapytał ambasador. - Doktor Gerhardt Kroeger będzie żył, a dwóch techników komputerowych niedługo powinno się tu zjawić. Mówiąc ściśle, jeden z nich znajduje się już na miejscu, a jego przełożony, który spędzał urlop w Pirenejach, został wsadzony do samolotu i jest w drodze. Czy ktoś teraz mógłby mi wyjaśnić, co się właściwie dzieje?
 - Niektóre operacje wywiadowcze prowadzone są poza pańskim nadzorem, panie ambasadorze - odparł Witkowski - ze względu na konieczność uwolnienia pana od odpowiedzialności. - Wie pan co, pułkowniku? To zabrzmiało niemal obraźliwie. Od kiedy to wywiad cywilny bądź wojskowy, czy też jakakolwiek pokrewna instytucja, prowadzi akcje na terenie podlegającym wyłącznej kontroli Departamentu Stanu?
 - Właśnie dlatego powołano Wydział Operacji Konsularnych, panie ambasadorze - wtrącił Drew. - Naszym żądaniem jest koordynacja działań pracowników Departamentu Stanu, rządu oraz służb wywiadowczych.
 - W takim razie pozwolę sobie zauważyć, że ta koordynacja funkcjonowała tylko w jednym kierunku.
 - W sytuacjach kryzysowych nie możemy polegać na opieszalej biurokracji - odparł spokojnie Latham. - Zresztą nie dbam specjalnie o to, czy mnie wyrzucą z pracy. Pragnę dopaść tych drani, zabójców mojego brata, a ponieważ oni działali na zlecenie potężnej organizacji, którą za wszelką cenę trzeba unieszkodliwić, nie da się tego zrobić metodami biurokratycznymi,

lecz jedynie podejmując szybkie decyzje. Courtland rozsiadł się wygodnie w fotelu i po chwili spojrzal na Witkowskiego.

- A co pan może mi powiedzieć, pułkowniku?

- Jestem żołnierzem, ale w tej sytuacji musiałem się wyłamać spod rozkazów przelożonych. Tu rzeczywiście nie można było czekać, aż Kongres oficjalnie wypowie wojnę, bo my już znaleźliśmy się na polu walki.

- Pani de Vries?

- To kosztowało życie mojego męża. Cóż mogę więcej powiedzieć? Ambasador Courtland pochylił się do przodu, przyłożył obie dłonie do skroni i zaczął delikatnie masować je końcami palców. - W ciągu całej mojej kariery dyplomatycznej musiałem się godzić na takie czy inne kompromisy - powiedział. - Może już czas z tym skończyć? - Uniósł szybko głowę. - Choćbym miał zostać za to zesłany na Ziemię Ognistą, pozwalam wam kontynuować operację, narwańcy. Chyba macie wszyscy rację, że niekiedy nie można sobie pozwolić na stratę czasu. Trójka narwańców zeszła do pomieszczeń centralnego komputera, znajdujących się dziesięć metrów pod poziomem piwnic. Budziły podziw, a zarazem lęk. Od podłogi do sufitu ciągnęła się ściana z grubego szkła, za którą wirowały dyski pamięci magnetycznej - kręciły się jak opętane, po czym nagle stawały, jakby wylapywały informacje prosto z nieba.

- Cześć! Nazywam się Jack Rowe i jestem jednym z waszych podziemnych geniuszy - powitał ich przystojny, jasnowłosy, dwudziestoparoletni mężczyzna. - Mój kolega, jeśli zdążył wytrzeźwieć, będzie tu za parę minut. Jakies pół godziny temu wylądował na Orly. - Nie mamy zamiaru pracować ze skacowanymi technikami rzekł srogo Witkowski. To bardzo poważna sprawa.

- Tu wszystko traktujemy poważnie, panie pułkowniku... Tak, doskonale wiem, kim pan jest. To należy do naszych obowiązków. Dużo wiem także o panu reprezentującym Wydział Operacji Konsularnych, jak również o pani, która mogłaby zostać naczelnym dowódcą NATO, gdyby tylko była mężczyzną i nosiła mundur. Tutaj nie ma żadnych tajemnic, bo wszelkie informacje są zapisane na dyskach.

- Czy możemy się do nich dostać? - zapytał Drew.

- Dopiero wtedy gdy zjawi się mój kolega. Dostęp do pamięci zabezpieczono dwoma hasłami, ja znam tylko jedno z nich.

- Spróbujmy zaoszczędzić czas - wtrąciła Karin. - Czy może pan wywołać listę spraw, które przeszły przez mój gabinet w określonych dniach? Wynotowałam interesujące nas daty.

- To również będzie możliwe dopiero po uzyskaniu dostępu do zapisów. Poda mi pani te daty, a wówczas komputer wyświetli spis wszelkich dokumentów, nad którymi pani wtedy pracowała. Muszę tylko ostrzec, że nie da się niczego zmienić ani wykasować. - Wcale nie zamierzam tego robić.

- To dobrze. Kiedy stary wyciągnął mnie z łóżka, nabrałem obaw, że chodzi o jakąś sprawę w rodzaju słynnej afery Rosemary Wood, którą opisywano w podręcznikach do historii.

- W podręcznikach do historii? - Witkowski uniósł wysoko brwi ze zdumienia.

- No, może przesadziłem. Miałem sześć czy siedem lat, kiedy tamto się wydarzyło, panie pułkowniku. Dla mnie to już historia. Niech mnie gęś kopnie, jeśli to prawda.

- Użył pan niezwykle interesującego powiedzenia - rzekł jasnowłosy technik. - Badanie źródeł lingwistycznych tego typu porzekadeł to moje hobby. Użyte przez pana określenie pochodzi prawdopodobnie z Irlandii albo z Europy Środkowej, być może z któregoś kraju słowiańskiego, czyli skądś, gdzie sus scrofa, świnię albo gęsi, występujące często w przysłowiaach, były wyznacznikiem statusu społecznego. "Niech mnie gęś kopnie" oznacza coś z natury niemożliwego, ale w domyśle chodzi o podkreślenie faktu posiadania gęsi, czyli, symbol zamożności. Poza tym gęsi nigdy nie atakują gospodarza, zatem owo powiedzenie może implikować nadzieję na zdobycie w najbliższym czasie tłustego kęsa.

- I do takich zabaw wykorzystujecie ten komputer? - zapytał oszołomiony Latham.

- Zdziwilby się pan, jak genialnie te "wielkie ptaszki" potrafią kojarzyć niektóre, dość przypadkowe informacje. Udało mi się kiedyś znaleźć pierwowzór pewnej łacińskiej pieśni religijnej w pogańskich modlitwach pochodzących z Korsyki.
- To naprawdę niezwykle interesujące, młody człowieku wtrącił Witkowski. - Ale teraz zależy nam przede wszystkim na szybkości i dokładności.
- Mogę pana zapewnić, pułkowniku, że będzie pan usatysfakcjonowany.
- A nawiasem mówiąc, użyte przeze mnie określenie pochodzi z języka polskiego.
- Nie byłabym tego wcale pewna - odezwała się Karin. Szukałabym jego korzeni w językach gaelskich, może nawet w irlandzkim.
- A co nas to wszystko obchodzi?! - wrzasnął Drew. - Może byś się jednak skupiła, Karin, na przypomnieniu sobie konkretnych dni, interesujących nas dat?
- Już je wynotowałam - odparła de Vries, sięgając do torebki. - Proszę, oto one, panie Rowe. Wręczyła technikowi zapisaną kartkę z notesu.
- Ale to są różne porzrzucone daty - mruknął tamten, spoglądając na zapiski.
- Wyliczyłam je chronologicznie, niczego więcej nie zdołałam sobie przypomnieć.
- To żaden problem dla "największego ptaszka" na terenie Francji.
- Dlaczego pan nazywa tę maszynę ptaszkiem? - spytał Latham.
- Gdyż "potrafi wlatywać w przestwór bezkresnej pamięci". - Aha. Przepraszam, że zapytałem.
- To mi znacznie ułatwi pracę, pani de Vries. Zaczę już programować komputer, tak że gdy tylko zjawi się Joel, będziemy mogli otworzyć dostęp do archiwalnych danych i natychmiast rozpocząć widowisko.
- Widowisko?
- Przecież mamy do czynienia z obrazami na ekranie, pułkowniku. Zaledwie Rowe wprowadził swoje hasło i zaczął wpisywać dane do komputera, uchyliły się ciężkie stalowe drzwi podziemnego kompleksu i wszedł drugi technik, nieco starszy, trzydziestoparoletni. Wyróżniał się długą kitką włosów z tyłu głowy, starannie zebraną w koński ogon i przewiazaną wąską niebieską tasiemką.
- Cześć! - zawołał od wejścia. - Nazywam się Joel Greenberg i jestem głównodowodzącym w tym bunkrze. Jak leci, Jack?
- Czekaliśmy na ciebie, geniuszu drugi.
- Hej! Nie zapominaj, że jestem Numero Uno!
- Byłem tu pierwszy, więc musiałem cię zastąpić - odparł Rowe, nie podnosząc głowy znad klawiatury.
- Pan musi być tym wszechwładnym pułkownikiem Witkowskim - rzekł Greenberg, wyciągając na powitanie dłoń do szefa służb ochrony ambasady. Pułkownik zmierzył go surowym spojrzeniem, wyraźnie niezadowolony z ubioru mężczyzny, na który składały się powycierane dżinsy i błękitna, flanelowa, rozchełstana pod szyją koszula, nie mówiąc już o kitce włosów spadających na kark.
- To wielki zaszczyt poznać pana osobiście - dodał technik. - Proszę mi wierzyć.
- No cóż, przynajmniej jest pan trzeźwy - mruknął opryskliwie pułkownik.
- Zdążyłem wytrzeźwieć w czasie podróży. A jeszcze wczoraj wieczorem tańczyłem flamenco... Natomiast pani musi być bez wątpienia panią de Vries. Przyznaję, że krążące o pani plotki nie są prawdziwe. Jest pani naprawdę zachwycająca, madame.
- Proszę nie zapominać, że jestem także wysokim oficerem wśród personelu ambasady, panie Greenberg.
- Mogę się założyć, że jestem wyższy od pani stopniem, ale kto dba o takie drobiazgi... Proszę wybaczyć, madame, nie miałem najmniejszego zamiaru pani urazić. Po prostu taki już jestem, zawsze mówię szczerze. Nie gniewa się pani?
- Nie - odparła Karin i zachichotała.
- W takim razie pan musi być naszym gościem z Wydziału Operacji Konsularnych - rzekł Greenberg, witając się z Lathamem. Spoważniał nagle. - Proszę przyjąć ode mnie wyrazy

współczucia. Kiedy umiera ktoś z rodziców, człowiek jest mniej więcej na to przygotowany. Rozumie pan, co mam na myśli? Ale pan stracił brata... Owszem, ja i Jack znamy okoliczności tej tragedii. Tym bardziej poruszyła nas jego śmierć. Co mógłbym jeszcze powiedzieć? - Nie trzeba, to wystarczy. Czy jeszcze ktoś z pracowników ambasady zna szczegóły tamtych wydarzeń?

- Nikt, tylko Rowe i ja. Mamy tu podwójne zabezpieczenia. Jack zna jedno hasło, ja drugie, nikt poza nami nie ma dostępu do naszego "ptaszka". Gdyby któryś z nas zginął w wypadku albo zmarł na atak serca, trzeba by ściągać zmiennika aż z kwatery głównej NATO. - Nigdy przedtem nie widziałem pana w ambasadzie - rzekł Witkowski. - A jestem pewien, że zapamiętałbym takiego człowieka, gdybym go choć raz ujrzał.

- Nie wolno nam zawierać bliższych znajomości, pułkownik. Mamy oddzielne wejście i zjeżdżamy do piwnic wydzieloną windą. - To dość kosztowne rozwiązanie.

- Proszę wziąć pod uwagę, że pracujemy z "matczynym ptaszkiem". Przechodzimy ostrą selekcję, wybiera się jedynie młodych mężczyzn z dyplomem, kawalerów. Może i jest to przykład dyskryminacji płci, ale chyba tak być musi.

- Jesteście uzbrojeni? - wtrącił Latham. - Pytam z czystej ciekawości.

- Owszem, każdy z nas ma po dwa pistolety, oba typu Smith & Wesson, kaliber dziewięć milimetrów. Jeden nosimy w kaburze pod pachą, drugi schowany na udzie. Przeszliśmy też odpowiednie szkolenie strzeleckie, jeśli już o tym mowa.

- Może przystąpimy do pracy - zaproponowała Karin. Mam nadzieję, że pański kolega wprowadził już do komputera niezbędne dane.

- I tak będę musiał wpisać je po raz drugi - odparł Greenberg, zajmując miejsce przy drugiej klawiaturze, po lewej stronie szerokiego pulpitu. Wprowadził hasło otwierające dostęp do pamięci komputera, po czym zwrócił się do Jacka: - Bądź tak dobry i prześlij mi te dane, które już wstukales.

- Idzie transmisja - odparł Rowe. - Masz już wszystko u siebie. Jak przepiszesz te dane, nie zapomnij uruchomić drukarki. - Zrobi się. - Joel Greenberg wychylił się z obrotowego fotelika w stronę trójki gości i oznajmił: - Kiedy tylko wprowadzę dane wyniki poszukiwań pójdą na tę drukarkę stojącą pod centralnym monitorem, żebyśmy nie musieli zatrzymywać kadrów filmu.

- Jakiego filmu?

- Tego, który będzie się pojawiał na ekranie, pułkownik odparł Jack Rowe. Z drukarki zaczęła się błyskawicznie wysuwać wstęga zadrukowanego papieru. Karin oderwała kilka pierwszych kartek i zaczęła je uważnie przeglądać. Minęło dwadzieścia minut. Kiedy wydruk dobiegł końca, de Vries ponownie sięgnęła po pierwsze strony i tym razem jęła zakreślać na czerwono interesujące ją pozycje na liście. Wreszcie, z pewnym ociąganiem, powiedziała cicho:

- Znalazłam. Mam już te daty, kiedy wracałam do Działu Transportu... Tak, pamiętam dokładnie... Czy mógłby pan też wydrukować listę personelu, który w tych dniach pracował we wszystkich sześciu pomieszczeniach w lewym korytarzu? - zapytała pokazując Greenbergowi wydruki z zaznaczonymi czerwonym długopisem datami.

- Oczywiście - rzekł mężczyzna z kucykiem, po czym zwrócił się do kolegi: - Gotów, Jack?

- Jasne, Numero Duo.

- Spadaj. Niemal natychmiast szereg nazwisk ukazał się na ekranie, a po dziesięciu sekundach gotowy był także wydruk.

- Nie wiem, czy o to chodziło, pani de Vries - odezwał się Rowe. - Zaznaczyła pani sześć różnych dat, ale w tych dniach sama pani pełniła służbę tylko trzykrotnie.

- Niemożliwe! To czyste szaleństwo!

- Zaraz przywołam listę dokumentów, które przeszły przez] pani ręce. Zobaczymy, czy pani je sobie przypomni. Na ekranie ukazał się szereg wpisów.

- Tak, pamiętam! To moja robota! - zawołała Karin, z napięciem wpatrując się w kolejne pozycje wyświetlane na ekranie. Więc jak to możliwe, że nie było mnie wtedy w ambasadzie? Ten "ptaszek" nie kłamie, madame - rzekł Greenberg. Nie wiem, jak to możliwe.
- Spróbujcie z inną datą - wtrącił Latham. Ukazała się następna lista. Wszystkie wyszczególnione dokumenty, które Karin rozpoznała jako swoją pracę, według danych z pamięci komputera pochodziły z trzech różnych działów.
- Co mogę jeszcze powiedzieć? Przecież nie mogłam tego dnia pracować w trzech działach równocześnie. Ktoś musiał grzebać w tym waszym cudownym komputerze.
- Chcąc się do niego włamać, trzeba by znać wiele odmiennych kodów dostępu, a niektóre hasła trzeba wpisywać, inne zaś kasować. Ktoś musiałby wiedzieć znacznie więcej niż my obaj razem wzięci oznajmił Jack Rowe. - Bez urazy, pani de Vries, ale w pani aktach, jakie przekazano z Brukseli, wyraźnie zaznaczono, że doskonale zna się pani na komputerach.
- Ale po co miałabym ukrywać swoją obecność w pracy i przypisywać własne sprawy trzem różnym działom?
- Na to nie umiem odpowiedzieć.
- Proszę sprawdzić cały personel ambasady. Będziemy tu siedzieć choćby i całą dobę - rzekł Drew. - Żądam dostępu do akt osobowych każdego pracownika, nie wyłączając samego ambasadora! W ciągu następnych kilkudziesięciu minut drukarka pracowała niemal bez przerwy. Wszyscy pochylali się nad wydrukami, kiedy wreszcie, niemal po upływie półtorej godziny, wpatrując się intensywnie w ekran komputera Greenberg syknął przez zęby:
- Jasna cholera! Chyba znalazłem podejrzanego.
- Kto to jest? - zapytał Witkowski lodowatym tonem.
- Na pewno się to panu nie spodoba. Nikomu się nie spodoba. - Kto to jest?!
- Proszę samemu spojrzeć. Joel odchylił się w bok, przymknął oczy i z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Mój Boże! - zawołała Karin, spoglądając na ekran. - Janinę Clunes!
- Poprawka - wtrącił pułkownik. - Janinę Clunes Courtland, żona ambasadora. Mówiąc ściśle, jego druga żona. Pracuje w D. i A. z oczywistych powodów używając panińskiego nazwiska!
- Jakie ma kwalifikacje? - zapytał oszołomiony Latham.
- Za chwilę wyświetle jej akta personalne - rzekł Rowe.
- To niepotrzebne - oznajmił Witkowski. - Mogę je zacytować z pamięci. Ostatecznie niezbyt często się zdarza, aby służba ochrony ambasady objęła swym nadzorem żonę ambasadora. Otóż Janinę Clunes jest absolwentką uniwersytetu w Chicago, zrobiła doktorat i, jeśli dobrze pamiętam, była na pełnym etacie wykładowcy informatyki. Kiedy Courtland się rozwiódł, mniej więcej półtora roku temu, została jego drugą żoną.
- Jest niezwykle bystra - dodała Karin. - Poza tym to najmiłsza, najsympatyczniejsza kobieta w tamtym dziale. Jeśli się dowie, że ktoś ma jakieś problemy i uważa, iż powinna pomóc natychmiast idzie z tym do męża. Jest powszechnie szanowana, nigdy nie wykorzystuje swojej pozycji. Wręcz przeciwnie, stara się ukryć przed zwierzchnikami, jeżeli ktoś się spóźni czy ma jakieś zaległości w pracy. Zawsze można liczyć na jej życzliwość. - Prawdziwy skarb mruknął Drew. - Jezu! Czy to oznacza, że Courtland też powinien się znaleźć na naszej liście, na liście Harry'ego? - Nie mogę w to uwierzyć - rzekł pułkownik. - Nie cieszyła się moimi szczególnymi względami, ale jestem daleki od podejrzeń. Niczego nie starał się przed nami ukryć, dał nam swobodny dostęp do centralnego komputera. Muszę wam przypomnieć, że bez jego pomocy nie wolno by nam było nawet tu wejść. Podejrzewam, że musielibyśmy wcześniej uzyskać zgodę Departamentu Stanu, CIA, Narodowej Rady Bezpieczeństwa, a może również Kolegium Szefów Sztabów.
- Zapomniał pan jeszcze o Białym Domu - wtrącił od niechcienia Greenberg. - Ale co ich to wszystko obchodzi? Politycy są zbyt pochłonięci walką o bezpłatne miejsca na parkingach. - Pamiętam wzmiankę o rozwodzie Courtlanda, na którą trafiłem w "The Washington Post" - odezwał się Drew, spoglądając na Witkowskiego. - Jeśli dobrze pamiętam, przekazał cały

majątek żonie i dzieciom, argumentując, że służba w Departamencie Stanu związana z ciągłymi zmianami miejsca pobytu, nie pozwala mu się nawet zająć dziećmi.

- To zrozumiale - odparł cicho pułkownik, odwracając się do Lathama. - Nie mamy jednak żadnych dowodów, że jego druga żona jest poszukiwanym przez nas informatorem.

- Tak, to prawda - wtrącił Jack Rowe. - Mój kolega powiedział jedynie, że chyba znalazł podejrzanego. Zgadza się? - Tak, jeśli dobrze pamiętam, powiedział: "Chyba znalazłem podejrzanego" - potwierdził Latham.

- Dobra, mniejsza z tym. Z tego waszego "ptaszka" niczego więcej nie da się wyciągnąć. Nie wmawiajcie mi, że Courtland nie miał pojęcia o powiązaniach Karin z NATO i że nie rozmawiał o tym ze swoją żoną. Charakter pracy Karin, jej poświęcenie, stopień w służbowej hierarchii dowództwa NATO... to wyśmienity grunt do rozpuszczania różnorodnych plotek. Nie ulega wątpliwości, że jeśli ktokolwiek z pracowników ambasady miałby się znaleźć w gronie podejrzanych, to w pierwszej kolejności pani de Vries. Taka sytuacja stwarza doskonałą zasłonę dla działalności prawdziwego agenta.

- A co ze znajomością języków? - rzekł Latham, zwracając się do Karin. - To może mieć olbrzymie znaczenie.

- Janinę nieźle mówi po francusku i włosku, ale jej niemiecki jest bez zarzutu... - Karin urwała nagle, jakby uświadomiła sobie oczywiste konsekwencje tego faktu.

- Więc nadal: "chyba" - mruknął cicho Drew. - I co zrobimy z tym fantem?

- Już zrobiłem - odparł Greenberg. - Wysłałem do Chicago prośbę o udostępnienie wyciągu z akt personalnych Janinę Clunes. Tego typu dane przechowuje się w archiwach komputerowych, więc za parę minut powinniśmy dostać odpowiedź.

- A skąd pan wie, że tam ktoś dyżuruje? - zapytała Karin. W Chicago dochodzi teraz północ.

- Cicho, to tajemnica! - szepnął Greenberg, kładąc palec na ustach. - Centrum informatyczne uniwersytetu chicagowskiego otrzymuje pokaźne dotacje z budżetu, ponieważ znajduje się tam komórka badań sejsmograficznych. Tylko proszę o tym nikomu nie mówić. Technicy dyżurują przez całą dobę, choćby tylko z tego powodu, by ani jeden obywatel płacący podatki nie musiał robić w majtki, ponieważ centrum analiz sejsmograficznych może być nieczynne.

- Już jest! - zawołał Jack Rowe, kiedy na ekranie pojawił się tekst depechy z Chicago. "Janinę Clunes przez trzy lata była wykładowcą w katedrze informatyki tutejszego uniwersytetu, dopóki nie wyszła za mąż za Daniela Courtlanda, ówczesnego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Finlandii. Cieszyła się wielkim poważaniem zarówno grona pedagogicznego, jak i studentów z uwagi na swe niezwykle zdolności wyjaśniania tajemnic komputerów. Czynnice uczestniczyła też w życiu politycznym uczelni, otwarcie wyrażając sympatię dla niepopularnych wówczas tendencji konserwatywnych, lecz jej ujmująca osobowość tonowała wszelkie negatywne reakcje. Krążyło wiele plotek na temat mężczyzn, z którymi jakoby nawiązywała romanse, ale żadna z nich nie wywarła wpływu na jej karierę naukową. Odnotowano jednak, że mimo zaangażowania politycznego unikała towarzystwa, prowadząc raczej samotniczy tryb życia. Mieszkała w akademiku w Evanston, w stanie Illinois, godzinę drogi samochodem od uniwersytetu. Jej życiorys jest dość charakterystyczny dla czasów powojennych. Urodzona w Bawarii, po śmierci obojga rodziców jako dziecko pod koniec lat czterdziestych wyemigrowała do Ameryki i była wychowywana przez dalekich krewnych, państwa Schneider, mieszkających w Centralii, w okręgu Marion, stan Illinois. Już w szkole średniej była wyróżniającą się uczennicą, zdobyła stypendium Merit Scholarship i dostała się bez egzaminów na uniwersytet w Chicago. Podczas studiów i w trakcie robienia dyplomu doktoranckiego zyskała spore uznanie na wydziale informatyki. Wielokrotnie była powoływana na konsultanta i bezpłatnie służyła radą licznym waszyngtońskim politykom, a podczas jednej z podróży służbowych do stolicy poznała ambasadora Courtlanda.." To chyba wszystko na jej temat, Paryż. Pozdrowienia. Chicago." - To chyba jednak nie wszystko - oznajmił cicho Witkowski, kiedy skończył czytać depechę wyświetloną na ekranie. - Wygląda na to, że mamy do czynienia z sonnenkinder.

- Do cholery, o czym ty mówisz, Stanley?

- Myślałam, że teoria Sonnenkinder już dawno została odrzucona - wtrąciła Karin ledwie słyszalnym szeptem.
- Tak, w powszechnym mniemaniu - odparł pułkownik : ale dla mnie wciąż jest żywa. Sama widzisz, co się teraz dzieje. - Co to jest, to Sonnen... coś tam?
- Była taka teoria, Drew. W ogólnym zarysie chodziło o podejrzenia, że w czasie wojny i zaraz po jej zakończeniu fanatycy Trzeciej Rzeszy rozsyłali wyselekcjonowane dzieci do przybranych rodziców na całym świecie, aby zdobyć odpowiednie wpływy w krajach alianckich i stworzyć podwaliny pod Czwartą Rzeszę.
- To czysta fantazja. Nic takiego nie mogło mieć miejsca.
- Może i tak - mruknął Witkowski, po czym dodał znacznie głośniejszym głosem: - Chryste, cały ten świat chyba oszalał!
- Zaczekajcie - wtrącił Joel Greenberg, wpatrując się bez przerwy w ekran komputera. - Mam zapowiedź jeszcze jednej depechy z Chicago. Zaraz będzie. Wszyscy obrócili się w stronę monitora i wpatrzyli w jaskrawozielone litery: "Dodatkowa informacja o Janinę Clunes. Podczas jednego z wieców partii konserwatywnej, brała aktywny udział w manifestacji antynazistowskiej w Stokie, w stanie Illinois. Na ochotnika zabrała głos z mównicy i oświadczyła wszem i wobec, że uważa ruchy nazistowskie za powrót do epoki barbarzyństwa."
- Czy ty coś z tego rozumiesz, Stanley? - zapytał Latham. - A dla mnie wszystko powoli staje się jasne - powiedziała de Vries. - Czy jest lepszy sposób ukrycia swej przynależności do frakcji nie akceptowanej przez ogół społeczeństwa niż publiczne wystąpienie przeciwko jej działalności? Chyba ma pan rację, pułkowniku. Rzeczywiście wygląda na to, że operacja Sonnenkinder nie tylko się odbyła, lecz w dodatku zakończyła powodzeniem. - Więc proszę mi jeszcze doradzić, jak mam teraz rozmawiać z ambasadorem? Co mu powiedzieć, do cholery? Wyznać iż żyje i sypia z nieodrodną córką Trzeciej Rzeszy? Pozwól, że ja się tym zajmę, Stanley - rzekł Drew. Ostatecznie jestem koordynatorem tej operacji, prawda?
- I komu chcesz rzucić na barki ciężar takiej nowiny, młodzieńcze?
- A komuż innemu, jak nie człowiekowi, którego obaj darzymy szacunkiem? Wesleyowi Sorensonowi.
- Boże, miej w opiece jego sumienie. Zadzwoił telefon stojący obok komputera na pulpicie Jacka Rowe'a. Ten szybko sięgnął po słuchawkę.
- Tu S Dwa, o co chodzi?... Tak, zaraz przekażę, proszę pana. "Odwrócił się do Witkowskiego i rzekł:
- Proszę, żeby pan jak najszybciej przyszedł do ambulatorium, pułkowniku. Pańska zdobycz odzyskała przytomność i zaczęła mówić.

* * *

ROZDZIAŁ 21

- Gerhardt Kroeger, unieruchomiony w kaftanie bezpieczeństwa, leżał skulony na wąskim łóżku pod ścianą i przyciskał głowę do listew boazerii. W ambulatorium ambasady nie było nikogo poza nim. Bandaż na zranionej nodze silnie wypychał nogawkę pasiastej szpitalnej piżamy. Niemiec miał oczy szeroko otwarte, silnie błyszczące i wodził spojrzeniem po całej sali, ale zdawał się niczego nie dostrzegać. - Mein Vater war ein Yerroter - szeptał chrapliwie.
- Mein; Yater war ein Yerroter!... Mein Leben ist vorbei, attes vernichtet! ? Z sąsiedniego pomieszczenia dwóch mężczyzn obserwowało go przez półprzepuszczalne lustro. Pierwszym z nich był dyżurujący lekarz ambasady, drugim pułkownik Witkowski.
- Zachowuje się tak, jakby naprawdę dostał fiola - mruknął szef ochrony ambasady.
- Niestety, nie znam niemieckiego. Co on gada? - zapytał doktor.
- Belkocze o swoim ojcu, który się zbrukał, został zdrajcą i o tym, że jego życie dobiegło końca, a wszystko przepadło. - Pan coś z tego rozumie?

- Tyle samo, co pan. Wygląda na to, że dźwiga olbrzymi ciężar winy i próbuje go wtaszczyć na stromą górę, co jest ponad jego siły, - Chyba jest w nastroju samobójczym - zawyrokował lekarz. - W takim razie nie zdejmujemy mu kaftana.
- Oczywiście, musi w nim zostać. Mimo wszystko mam zamiar tam wejść i go przesłuchać.
- Proszę zachować ostrożność, jego ciśnienie krwi niebezpiecznie spadło, tętno ma ledwo wyczuwalne. To dość naturalne, biorąc pod uwagę, kim jest... a raczej kim był. Kiedy taki człowiek wyzwala się spod nieustannego napięcia, często w krótkim czasie nadchodzi jego koniec.
- A skąd pan wie, kim on był?
- Podejrzewam, że wiedzą to wszyscy absolwenci medycyny, a zwłaszcza ci, którzy specjalizują się w urazach głowy.
- Więc proszę mnie oświecić, doktorze - rzekł Witkowski, zerkając ciekawie na lekarza.
- To bardzo sławny niemiecki chirurg, chociaż od paru lat jest o nim cicho; specjalista od urazów mózgu. W czasach gdy jeszcze dokonywał zabiegów, mówiło się powszechnie, iż wyleczył więcej pacjentów z zaburzeniami psychicznymi, niż ktokolwiek inny na świecie. A pracował skalpelem, stronił od środków chemicznych, które zawsze mają jakieś działania uboczne.
- Czemu więc tego cholernego geniusza przysłano do Paryża, żeby kogoś zabił, skoro nie potrafiłby nawet trafić z armaty w stodołę? - Tego nie wiem, pułkowniku. Gdyby zresztą powiedział cokolwiek na ten temat, i tak bym go nie zrozumiał.
- Właśnie, czasami znajomość języków obcych bardzo się przydaje, doktorze. Niech mnie pan wpuści do niego.
- Oczywiście, tylko proszę pamiętać, że będę stąd obserwował. Jeśli jego stan się pogorszy, a czujniki w kaftanie wykonują pomiar ciśnienia, tętna oraz szybkości oddechów, będzie pan musiał natychmiast wyjść z sali. Czy to jasne?
- Oczywiście. Nie śmiałybym lekceważyć podobnych ostrzeżeń, tym bardziej że mamy do czynienia z zabójcą...
- Oby tak było w rzeczywistości, Witkowski - powtórzył stanowczym tonem lekarz. - Moim zadaniem jest utrzymać go przy życiu, choćby tylko po to, żeby pan mógł go później dalej przesłuchiwać. Mam nadzieję, że się rozumiemy.
- No cóż, nie zostawia mi pan wyboru.
- To prawda. I proszę mówić cicho.
- Tego nie musi mi pan powtarzać. Pułkownik usiadł na krześle przy łóżku Niemca i zaczął spokojnie, aż ten zda sobie sprawę z jego obecności.
- Guten Abend, Herr Doktor. Sprechen sie Englisch, miewi Herr? - Doskonale pan wie, że tak - odparł Kroeger, próbując się ułożyć wygodniej w krępującym ruchu kaftanie. - Dlaczego trzymacie mnie w tym uwłaczającym ludzkiej godności stroju? Jestem lekarzem, uznanym chirurgiem, czemu więc traktujecie mnie jak zwierzę?
- Ponieważ rodziny dwóch portierów z hotelu "Intercontinental", którzy zginęli z pańskiej ręki, z pewnością uznałyby pana za niebezpieczne zwierzę. Mamy pana uwolnić i umożliwić spotkanie z tymi ludźmi? To pewne, że zadana przez nich śmierć byłaby stokroć bardziej bolesna niż wykonana przez nas egzekucja. - To był błąd, zginęli przez pomyłkę! A bezpośrednią przyczyną było to, że ukrywaliście przede mną wroga całej ludzkości! - Wroga ludzkości?... To nadzwyczaj poważne oskarżenie. Czemuż to Harry Latham miałby być wrogiem całej ludzkości? - Bo jest groźnym, nieobliczalnym schizofrenikiem, któremu należy skrócić męki albo zaaplikować środki umożliwiające przewiezienie go do zamkniętego ośrodka leczenia. Moreau o niczym panu nie powiedział?
- Moreau? Szef Deuxieme?
- Oczywiście. Wszystko mu wyjaśniłem! Nie kontaktował się z panem? Tak, rozumiem. On jest Francuzem, więc musiał zachować tajemnicę dla siebie, prawda?
- Możliwe, że nie zdołał mnie złapać telefonicznie.

- Sam pan widzi - mruknął Kroeger i jeszcze raz poruszył się niespokojnie. - Leczyłem Harry'ego Lathama w Niemczech, w... to nie ma większego znaczenia. W każdym razie uratowałem mu życie. Powinien pan jak najszybciej doprowadzić go do mnie, abym mógł zaaplikować mu narkotyki, które miałem przy sobie w naszykowanej strzykawce. To jedyny sposób, żeby zachować go przy życiu. Wtedy mógłby dalej wam służyć.
- Zdumiewająca propozycja - odparł Witkowski. - Zapewne wie pan, że Latham dostarczył nam ściśle tajną listę, na której widnieje kilkaset nazwisk...
- Skąd mam wiedzieć, co to za lista? - wtrącił pospiesznie Gerhardt Kroeger. - Podróżował przez całe Niemcy z jakąś gromadą obdartych narkomanów. Czy wiadomo, co mu wtedy strzeliło do głowy? Tym bardziej powinien go pan doprowadzić do mnie, abyśmy obaj mogli poznać prawdę.
- Mój Boże! Jest pan tak zdesperowany, że gotów się chwycić każdej dogodnej wymówki.
- Wasist?
- Cholernie dobrze pan wie, co was ist, Doktor... Lepiej porozmawiajmy przez chwilę o czym innym, zgoda?
- Was?
- O pańskim ojcu... deine fater... jeśli łaska.
- Nigdy nie rozmawiam o moim ojcu - burknął Kroeger, wbijając nieruchome spojrzenie w jakiś punkt na ścianie.
- Myślę jednak, że powinniśmy - rzekł stanowczo pułkownik. Otóż widzi pan, przejrzelśmy dokładnie pańskie akta, sprawdziliśmy całą pańską przeszłość i doszliśmy do wniosku, że pana ojciec był bohaterem, prawdziwym niemieckim bohaterem... - Nein! Ein Verrdter!
- Jesteśmy innego zdania. Chciał ratować życie ludzi, zarówno Niemców, Anglików, jak i Amerykanów. Ostatecznie przejrzał na oczy, dostrzegł złudę prawd głoszonych przez Hitlera i jego slugusów, po czym zdecydował się zaryzykować życie, a nawet wystawić na pewną śmierć. To prawdziwie bohaterski uczynek, doktorze. - Nein! On był zdrajcą ojczyzny! - Kroeger ponownie zaczął się miotać na boki, szamocząc w więzach, jakby cierpiał niewysłowione męki, a po twarzy pociekły mu łzy, - Przez całe Gymnasium, a potem Universitdt koledzy wyśmiewali się ze mnie, często mnie bili. "Wszyscy wiemy, że twój ojciec to zdrajca", powtarzali. "Dlaczego Amerykanie zrobili go Burgermeister, kiedy nikt z nas go nie chciał?" Mein Gott, ileż ja wycierpiałem! - I dlatego zdecydował się pan przyłączyć do tego ruchu, który pański ojciec odrzucił. Czy tak, Herr Kroeger?
- Nie ma pan prawa przesłuchiwać mnie w ten sposób! wrzasnął Niemiec, układając się sztywno na wznak; oczy miał silnie zaczerwienione, nie krył łez. - Wszyscy ludzie, nawet wrogowie, mają prawo do swego intymnego życia!
- Z tym się zgadzam - rzekł Witkowski, prostując się na krześle. - Ale pan jest wyjątkiem, doktorze. Dlatego że jest pan zbyt inteligentny, zbyt wykształcony na to, aby bez zmruczenia oka wciskać innym te brednie, którymi pana nakarmiono. Proszę mi powiedzieć, czy rzeczywiście szanuje pan prawo do życia wszystkich ludzi, jacy przyszli na ten świat?
- Naturalnie. Każdy ma prawo do życia.
- Włączając w to Żydów, Cyganów, ludzi ułomnych i ograniczonych umysłowo, nie mówiąc już o homoseksualistach obu płci? - To są decyzje polityczne, wykraczające poza zakres odpowiedzialności lekarza.
- Prawdziwy z pana sukinsyn, doktorze. Ale coś panu powiem. Jestem gotów przyprowadzić tu Lathama, gdy już pan się lepiej poczuje. Z przyjemnością posłucham, co mu pan ma do powiedzenia i popatrzę, jak będzie pluł panu w twarz... "Decyzje polityczne"... Rzygać mi się chce.

Wesley Sorenson wyglądał przez narożne okno swego gabinetu na leżącą w dole, zatłoczoną o tej porze dnia waszyngtońską ulicę. Przywodziła mu na myśl skojarzenia z dżdżownicami złapanymi przed wyprawą na ryby, które cierpliwie przebijają się przez warstwę ziemi, docierają do ścianki naczynia, zawracają, tworzą następny korytarz, potem następny, i tak

bez końca. Podobnie w ograniczonej przestrzeni poruszają się korytarzami moje myśli, stwierdził w końcu dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych. Odwrócił się na obrotowym fotelu od okna i popatrzył na stosy dokumentów piętrzące się na biurku - papierów, które pod koniec dnia musiał pociąć na strzępy bądź spalić. Informacje napływały zbyt szybko i dlatego tłoczyły się na wąskich uliczkach jego umysłu, a każda następna wydawała się nie mniej szokująca od poprzedniej. Dwaj niemieccy bojówkarze przetrzymywani w Fairfax, oskarżyli wiceprezydenta oraz przewodniczącego Izby Reprezentantów o sprzyjanie neonazistom, obiecali też ujawnić kolejne nazwiska; odkryto przeciek w kręgach najwyższego dowództwa CIA - w ilu dalszych agencjach rządowych działali obcy agenci?; z pamięci komputerów w centrum łączności Departamentu Obrony zostały wymazane rezultaty wieloletnich badań, a dokonał tego młody neonazista, który zniknął z pokładu samolotu Lufthansy lecącego do Monachium; kongresmani i senatorowie, wpływowi biznesmeni, a nawet znani dziennikarze okazywali się sympatykami nazizmu, przy czym nikt nawet nie zdawał sobie sprawy z ich prawdziwych przekonań, dopóki pewien pracownik brytyjskiego handlu zagranicznego nie został ujęty i nie zaczął podawać nazwisk innych wpływowych przedstawicieli z angielskich kręgów politycznych, także zaangażowanych w ten ruch. No i wreszcie Claude Moreau, który na szczęście okazał się czysty, za to wykryto przeciek w amerykańskiej ambasadzie w Paryżu. Dobry Boże! - pomyślał Sorenson, to dopiero początek, jeśli przekazana ostatnio informacja okaże się prawdziwa! Chodziło przecież o żonę ambasadora Courtlanda! Trwała istna wojna argumentów i kontrargumentów, nieuchronnych wniosków, z którymi nie można się było pogodzić, a całość przypominała prawdziwe pole bitwy - z licznymi śladami krwi i wieloma poranionymi, niewinnymi ludźmi - skąd winni temu wszystkiemu dawno się wynieśli. To było jak szaleństwo zwariowanej epoki McCarthy'ego pomieszane z obłędem nazistowskim z lat trzydziestych, z organizowanymi przy każdej okazji paradami wojskowymi oraz wystąpieniami demonicznych przywódców, których wrzaskliwe orędzia podrywały na nogi cały wyzuty z intelektu motłoch, dając mu nadzieję powetowania własnych słabości w isticie wulkanicznej erupcji, podsycanej - jak zawsze - strachem i nienawiścią. Fanatyzm niczym zaraża znów się błyskawicznie rozprzestrzenił po świecie. Czy nigdy nie miało być temu końca? Ale w tej chwili Sorensona bez reszty pochłaniały - a nawet więcej, przerażały - nadesłane niedawno informacje poparte danymi z akt personalnych, a dotyczące drugiej żony Courtlanda, Janinę Clunes. Z pozoru brzmiało to niewiarygodnie, dokładnie w ten sposób powiedział Drew Lathamowi w trakcie zakończonej przed paroma minutami rozmowy telefonicznej. "Nigdy w to nie uwierzę! - Witkowski mówił to samo, dopóki nie otrzymaliśmy depeszy z Chicago. Dopiero wtedy zmienił zdanie, chociaż jego konkluzje należałoby powtarzać wyłącznie szeptem. Sam nie chciałem wierzyć własnym uszom. Powiedział jednak wyraźnie: "Mamy do czynienia z sonnenkindem, Dzieckiem Słońca - Czy ty rozumiesz, Drew, co to oznacza?"

- Karin mi wyjaśniła. To szaleństwo, Wes, sam nigdy bym nie dał wiary. Niemowlęta i dzieciaki rozsyłane po całym świecie... Pominąłeś jeden szczegół - przerwał mu Sorenson. - Wybrane dzieci! Czystej rasy aryjskiej i tylko takie, których rodzice mieli sumaryczny współczynnik inteligencji nie mniejszy niż dwieście siedemdziesiąt. - Znałeś tę teorię? - Nazywano je produktami "Lebensborn". Oficerowie SS mieli rozkaz zapładniać niebieskookie blondynki pochodzące z północnej Europy, najlepiej ze Skandynawii. - To bzdura! - Nie, to wymysł Heinricha Himmlera. Naprawdę był taki rozkaz? - Żaden z wywiadów alianckich w powojennych dochodzeniach nie natknął się na jakiegokolwiek dokumenty. Stwierdzono wówczas, że plan "Lebensborn" został zarzucony z powodu trudności z transportem i niezwykle kosztownych badań lekarskich. - Witkowski jest jednak przekonany, że go realizowano. - Przez chwilę panowało milczenie. Wreszcie Sorenson odpowiedział: - Byłem niemal pewien, że go zarzucono... ale teraz zaczynam mieć wątpliwości. - Co mamy dalej czynić? Co ja mam robić? - Zachować ciszę i spokój. Jeśli neonaziści wiedzą, że Kroeger żyje, będą chcieli go za wszelką cenę odbić. Rozegrajcie to dobrze, by nie było dalszych ofiar z naszej strony. - Stąpamy po kruchym lodzie, Wes.

- "Wspominając rzeczy dawno minione"... Wybacz mi to literackie zboczenie. Przekaż wiadomość do organizacji "Antyninus". Daj im znać, że wasza zdobycz żyje. - Na miłość boską, po co? - Bo doszliśmy do miejsca, gdzie nie można już ufać nikomu, a nadal trzeba osłaniać flanki. Zrób, co ci powiedziałem. Zadzwoń za godzinę, może nawet wcześniej, w zależności od rozwoju wydarzeń." Ale jak dla niego, weterana działań wywiadowczych, a obecnie dyrektora wydziału, wydarzenia już zdążyły nabrać oszalamiającego tempa. Dotychczas nikt nie znalazł dowodów istnienia Sonnenkindów. Nawet ci, których można było podejrzewać, okazali się jedynie Bogu ducha winnymi dziećmi, zaopatrzonymi w nienaganne dokumenty i przebywającymi pod opieką w pełni zamerykanizowanych, przybranych rodziców, troskliwie zajmujących się biednymi sierotami. I oto teraz, wbrew powszechnym sądom, teoria Sonnenkinder miała okazać się faktem! Kobieta, która przysłała na świat w hitlerowskich Niemczech, doskonale wykształcona, najwyższej klasy specjalistka, szpiegowała swojego męża, pełniącego służbę dyplomatyczną pracownika Departamentu Stanu. Jeśli Sonnenkinder istniały w rzeczywistości, ona była tego najlepszym przykładem. Sorenson podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer prywatnej linii dyrektora FBI, powszechnie szanowanego człowieka, o którym Knox Talbot wyraził się po prostu: "On jest w porządku".

- Słucham.

- Mówi Sorenson z Wydziału Operacji Konsularnych. Nie przeszkadzam panu?

- Na pewno nie na tej linii. Czym mogę służyć?

- Powiem prosto z mostu. Wkraczam w pańskie kompetencje, ale po prostu nie mam wyboru.

- Czasami każdy z nas jest w podobnej sytuacji. Nie mieliśmy dotąd okazji się spotkać, lecz Knox Talbot mówił mi, że jesteście zaprzyjaźnieni, co czyni sytuację dosyć klarowną. Jaki charakter ma owo wkroczenie w kompetencje?

- Prawdę mówiąc, jeszcze tego nie zrobiłem, ale mam taki zamiar. Uważam, że jestem do tego zmuszony.

- Powiedział pan, że nie ma wyboru.

- Jestem o tym przekonany. Ponadto cała sprawa musi pozostać w gestii mojego wydziału.

- Na czym więc polega problem? Nie lepiej działać w pojedynkę?

- Na razie nie. Potrzebne mi informacje.

- Proszę mówić, Wes, jeśli wolno mi odnosić się do pana tak, jak Knox. Mam na imię Steve.

- Tak, wiem, kto by nie znał Stevena Rosbiciana, prawdziwego ideału wszystkich służb porządkowych.

- Obawiam się, że podwładni znacznie wyolbrzymiają moje dokonania. Byłem jednym z niewielu białych sędziów w Los Angeles, którzy mieli to szczęście, że czarni uważali ich za sprawiedliwych. O jakie informacje chodzi?

- Czy macie swoją placówkę w okręgu Marion w Illinois?

- Nie wątpię, z tym stanem wiąże się kawał naszej historii. A w jakim mieście?

- Centralia.

- Na pewno mamy rezydenta gdzieś w tej okolicy. O co chodzi? - Potrzebne mi wszelkie dane na temat państwa Schneider. Możliwe, że oboje już nie żyją, a ja nie mam dokładnego adresu. Ale prawdopodobnie wyemigrowali z Niemiec gdzieś w połowie lat trzydziestych.

- To niewiele.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale biorąc pod uwagę, że w tamtych czasach dokładnie sprawdzano emigrantów, być może wasz agent ma u siebie ich akta.

- Jeśli tak, to je dostaniesz. A gdzie tu jest przekroczenie kompetencji? Może i jestem jeszcze nowicjuszem w tym środowisku, ale niczego podobnego nie widzę.

- Więc będę z tobą szczery, Steve. Zamierzam rozpocząć dochodzenie na terenie kraju, a to przecież twoja działka. Nie mogę ci jednak zdradzić powodów, dla których podjąłem taką decyzję. Jeszcze nie tak dawno ten stary buldog, Edgar, nawrzeszczałby na mnie i cisnął słuchawkę na widelki.

- Do cholery, nie jestem Hooverem, poza tym styl pracy całego FBI uległ zmianie. Jeśli nie będziemy umieli ze sobą współpracować, mniej czy bardziej otwarcie, to do czego dojdziemy?

- No cóż, nasze stanowiska wiążą się z pewnymi przywilejami... - Ale odwołujmy się do nich tylko wtedy, gdy będzie to konieczne - przerwał mu Rosbician. - Podaj mi numer swojego faksu. Jeśli mamy te akta, otrzymasz je w ciągu godziny.

- Bardzo dziękuję - odparł Sorenson. - I tak jak wcześniej sugerowałeś, od tej pory będę działał w pojedynkę.

- Po co ten cały kamuflaż?

- Poczekaj, aż staniesz przed komisją kongresową i będziesz miał do czynienia z sześcioma gniewnymi, którzy cię nie lubią. Wtedy zrozumiesz.- To wróć do swojej praktyki adwokackiej i będzie mi się znacznie lepiej powodziło.

- Podoba mi się twoje podejście do rzeczy, Steve. Sorenson podał dyrektorowi FBI numer swojego faksu. Po trzydziestu ośmiu minutach piskliwy brzęczyk urzędnika zasygnalizował, że nadeszła wiadomość, po czym z faksu wysunęła się pojedyncza kartka depechy z FBI. Wesley Sorenson chwycił ją niecierpliwie i zaczął czytać. "Karl i Johanna Schneider przybyli do USA 12 stycznia 1940 roku jako uciekinierzy z Niemiec, mając potwierdzone zaproszenie od swych krewnych mieszkających w Cicero, w stanie Illinois, którzy motywowali wniosek tym, że młody Schneider jest wykwalifikowanym technikiem optycznym i bez trudu znajdzie u nas zatrudnienie. Mieli wówczas, odpowiednio, dwadzieścia jeden i dziewiętnaście lat. Jako powód swej emigracji z Niemiec podali prześladowania ze strony urzędników Ministerstwa Czystości Aryjskiej w Stuttgarcie, ponieważ dziadek Johanny Schneider był Żydem. W marcu 1946 roku Schneider, używający już imienia Charles, założył własny zakład optyczny w Centralii, a niedługo potem zwrócił się do Urzędu Imigracyjnego z prośbą o wydanie zgody na przyjazd do USA jego siostrzenicy, niejakiej Janinę Clunitz, kilkuletniej dziewczynki, której rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Udzielono takiej zgody i Schneiderowie legalnie zaadoptowali dziecko. Pani Schneider zmarła na atak serca w sierpniu 1991 roku. Pan Schneider, mający obecnie 76 lat, nadal mieszka w Centralii, przy Cyprus Street 121. Jest na emeryturze, lecz dwa razy w tygodniu odwiedza jeszcze swój zakład. Akta Schneiderów zostały założone w latach drugiej wojny światowej w ramach akcji sprawdzania wszystkich niemieckich emigrantów. Według opinii podpisanego niżej oficera już dawno powinny być zamknięte i przekazane do archiwum." Dzięki Bogu, że nie zostały zamknięte, pomyślał Sorenson. Jeśli Charles - Karl Schneider faktycznie został wytypowany na opiekuna sonnenkinda, można było teraz z niego wyciągnąć mnóstwo informacji, zakładając, że wszyscy uczestnicy akcji pozostawali ze sobą w kontakcie. Głupotą było przypuszczać, że nic o sobie nawzajem nie wiedzieli. Załatwianie wszelkich formalności i obieg dokumentów w urzędach imigracyjnych były wręcz niewiarygodnie skomplikowane, niejednokrotnie domagano się ich uproszczenia. Być może należało podjąć odpowiednie kroki dużo wcześniej, lecz i teraz nawet drobne pęknięcie w zwartej pokrywie lodowej powinno uwolnić zamknięte pod nią mętne wody i wydobyć na światło dzienne cały ten brud, o którym nikt nie miał pojęcia. Sorenson podniósł słuchawkę i wcisnął klawisz przywołania sekretarki.

- Słucham, panie dyrektorze.

- Proszę mi zarezerwować bilet na połączenie lotnicze do Centralii w stanie Illinois bądź do jakiegoś najbliższego miasta. Oczywiście, pod przybranym nazwiskiem, które sam chciałbym poznać przed wyjściem z biura.

- Na kiedy, panie dyrektorze?

- Na dzisiejsze popołudnie, jeśli to będzie możliwe. I proszę mnie połączyć z moją żoną. Nie wróćę dziś do domu na obiad. Claude Moreau otrzymał rozszyfrowaną depechę z Niemiec, przedstawiającą dossier niejakiego Hansa Traupmana, ordynatora chirurgii szpitala miejskiego w Norymberdze. "Hans Traupman urodził się 21 kwietnia 1922 roku w Berlinie, w rodzinie dwojga lekarzy, Ericha i Marlene Traupman. Już w pierwszych latach nauki zwrócił na siebie uwagę niezwykle wysokim współczynnikiem inteligencji..." W aktach opisywano szczegółowo osiągnięcia Traupmana podczas studiów medycznych, nie wyłączając

krótkotrwałej, przymusowej służby w Hitlerjugend, a następnie karierę zawodową, począwszy od pierwszych kroków młodego chirurga, jakie stawiał w Sanitatstruppe, służbie medycznej Wehrmachtu. "...Wskutek tego zatargu Traupman wrócił do Norymbergi, gdzie otrzymał stałą posadę i szybko zrobił specjalizację w zakresie chirurgii mózgu. W ciągu dziesięciu lat, przeprowadziwszy setki operacji, zyskał sławę jednego z najlepszych specjalistów w swoim kraju, jeśli nie w całym Wolnym Świecie. Niewiele wiadomo o jego życiu prywatnym. Ożenił się z niejaką Elke Mueller, nie mieli jednak dzieci i po pięciu latach pożycia wzięli rozwód. Od tamtej pory Traupman żyje samotnie w eleganckim mieszkaniu, w jednym z najbardziej ekskluzywnych domów Norymbergi. Jest bardzo zamożny, zazwyczaj stołuje się w drogich restauracjach i jest znany ze swych kosztownych upodobań. Do szerokiego grona jego przyjaciół zaliczają się nie tylko koledzy lekarze, ale również znani politycy z Bonn, ludzie teatru, filmu i telewizji. Podsumowując, jeśli takie podsumowanie ma jakikolwiek sens, jest typowym bon vivant o wyjątkowych umiejętnościach chirurgicznych, pozwalających mu prowadzić ekstrawagancki tryb życia." Moreau sięgnął po słuchawkę i nakręcił numer bezpośredniej linii łączącej go z agentem w Norymberdze.

- Słucham - odezwał się tamten po niemiecku.

- To ja.

- Wysłałem wszystko, co udało mi się zdobyć.

- Nie wszystko. Zdobądź jeszcze akta personalne tej Elke Mueller.

- Byłej żony Traupmana? Po co? Przecież ona się nie liczy. - Nieprawda, jest kluczem do tego człowieka, idioto! Rozwód po roku czy dwóch jest całkiem zrozumiały, po dwudziestu także do przyjęcia, ale nigdy po pięciu latach. Za tym coś się musi kryć. Postaraj się przysłać mi te materiały jak najszybciej.

- To już nie mój rewir - zaprotestował agent z Norymbergi. Ona mieszka teraz w Monachium, pod panińskim nazwiskiem. - Czyli Mueller? Masz jej adres?

- Oczywiście. - Tamten podyktował monachijski adres kobiety.

- W takim razie wycofuję ostatni rozkaz, zmienilem zdanie. Zawiadom Monachium, że przylatuję. Chciałbym osobiście porozmawiać z tą panią.

- Jak pan sobie życzy, ale według mnie to szalony pomysł. - Teraz wszystko jest szalone - odparł Moreau. - W takich czasach żyjemy. Sorenson wylądował w Mount Vernon w stanie Illinois dokładnie pięćdziesiąt kilometrów na południe od Centralii. Korzystając z fałszywego prawa jazdy oraz karty kredytowej, pozwalającej mu wybierać pieniądze ze służbowego konta instytucji, wynajął samochód i zgodnie ze wskazówkami urzędnika z agencji wynajmu przy lotnisku skierował się na północ. Sekretarka zaopatrzyła go nawet w schematyczny plan Centralii, na którym zakreśliła interesujący go rejon miasta, a także zaznaczyła dogodne drogi dojazdowe prowadzące z centrum do autostrady numer 51. Już po dwudziestu minutach Sorenson skręcił w wąską, wysadzaną drzewami Cyprus Street i zwinął, rozglądając się za domem oznaczonym numerem 121. Wydawało mu się, że jakimś magicznym sposobem został przeniesiony kilkadziesiąt lat wstecz i wylądował gdzieś na Środkowym Zachodzie. Przy tej ulicy mieszkali obywatele klasy średniej. Domy zbudowane w stylu Normana Rockwella były duże, z szerokimi werandami ozdobionymi fantazyjną kratą z listewek, a na wielu z nich stały wiklinowe fotele na biegunach. Nietrudno było sobie wyobrazić mieszkańców bujających się w nich i przy herbacie rozmawiających z sąsiadami. Dostrzegł w końcu skrzynkę pocztową oznaczoną numerem 121. Ten dom był zdecydowanie inny, co prawda tak samo duży i utrzymany w stylu, lecz jak gdyby subtelniej wykończony. Co w nim jest takiego dziwnego? - zastanawiał się przez chwilę Sorenson. Wreszcie zrozumiał: okna. Wszystkie okna na piętrze i poddaszu były zasłonięte ciężkimi kotarami. Nawet szerokie wieloramowe okno na parterze, z dwoma trójkątnymi wstawkami na szczycie, w których szyby poszarzały ze starości, także było zaciągnięte ciemnymi zasłonami. Wyglądało to tak, jakby mieszkający tu ludzie próbowali się ukryć przed wzrokiem niepożądanych obserwatorów. Wesleyowi przyszło do głowy pytanie, czy on zostanie zaliczony do kategorii intruzów, czy też znacznie gorszej. Zaparkował wóz przed domem, wysiadł

powoli, przemierzył wylaną betonem ścieżkę, wszedł po schodkach na werandę i nacisnął dzwonek. Drzwi otworzył kościsty staruszek o silnie przerzedzonych, całkiem siwych włosach, noszący okulary z grubymi soczewkami. - Słucham pana - zapytał cichym, lekko roztrzęsionym głosem z ledwie słyszalnym obcym akcentem.

- Nazywam się Wesley Sorenson i przyjechałem z Waszyngtonu, panie Schneider. Musimy porozmawiać, albo tutaj, albo w znacznie bardziej nieprzyjemnych dla pana warunkach. Mężczyźnie oczy się nagle rozszerzyły, a resztki krwi odpłynęły z twarzy. Kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, jakby nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Wreszcie odchrząknął i mruknął:

- Ach, tak... Piekielnie długo to trwało... Już tak dawno... Niech pan wejdzie, oczekiwałem tej wizyty przez pięćdziesiąt lat... No, proszę wchodzić. Jest strasznie gorąco, a klimatyzacja bardzo drogo kosztuje... Teraz już nic nie ma znaczenia.

- Nie jestem aż tak wiele od pana młodszy, panie Schneider rzekł Sorenson, idąc za gospodarzem przez obszerny wiktoriański hol do zacienionego salonu, pełnego starych, ciężkich mebli. - Dla żadnego z nas pięćdziesiąt lat to nie jest aż tak dużo.

- Czy mogę zaproponować panu jakiegoś schnapsa? Szczerze mówiąc, ja się chętnie napiję.

- Poproszę odrobinę whisky, jeśli to nie sprawi panu kłopotu. Może być też burbon, choć to niewielka różnica.

- Nieprawda, ale na szczęście mam burbona. Moja młodsza córka wyszła za mąż za faceta z Karoliny, a on nie pija niczego innego... Proszę siadać, śmiało. Zostawię pana na minutkę i przyniosę trunki.

- Bardzo dziękuję. Dyrektorowi Wydziału Operacji Konsularnych przyszło nagle do głowy, że starzec poszedł po broń. Zbyt długo nie pracowałem w terenie! - zganil się w myślach. Ten stary sukinsyn może być sprytniejszy, niż na to wygląda i po prostu zwiać. Ale Schneider wrócił szybko, niosąc srebrną tacę, na której stały szklaneczki i dwie butelki. Nic nie wypychało mu kieszeni spodni. - W ten sposób będzie się nam łatwiej rozmawiało, nicht wahr? Rozlał alkohol do szklaneczek i jedną z nich wręczył Sorensonowi, po czym usiadł w fotelu stojącym naprzeciwko i postawił swój trunek na jego szerokiej poręczy.

- Jestem zdumiony, że w ogóle spodziewał się pan takiej wizyty - rzekł Amerykanin, stawiając szklaneczkę na stoliku tuż obok kanapy. - Jak pan powiedział, minęło już tak wiele lat. - Moja przyszła żona i ja należeliśmy wtedy do fanatycznej organizacji młodych Niemców. Wie pan: huczne wiece, skandowane hasła, euforia spowodowana przynależnością do rasy prawdziwych panów tego świata. To wszystko działało jak narkotyk, który zatruwał nam dusze. Zostaliśmy wybrani do uczestnictwa w tej misji przez samego Heinricha Himmlera, ciągle snującego "długofalowe plany", jak to się teraz mówi. Sądzę, że on już wtedy musiał być przekonany, iż przegramy wojnę, ale bez reszty pochłaniała go teoria wyższości rasy aryjskiej. Po wojnie ściśle się trzymaliśmy rozkazów, które nam przekazała "Odessa". - Poza tym i my jeszcze wtedy wierzyliśmy...

- I zgodnie z tymi rozkazami złożyli państwo wnioski o udzielenie wizy niejakiej Janinę Clunitz, późniejszej pani Clunes, a następnie ją adoptowali?

- Tak. Była nadzwyczajnym dzieckiem, znacznie mądrzejszym od nas, dorosłych. Od czasu gdy ukończyła osiem czy dziewięć lat, w każdy wtorek wieczorem przyjeżdżało po nią dwóch mężczyzn i zabierali ją gdzieś, gdzie była poddawana... chyba powinienem powiedzieć: indoktrynacji.

- Dokąd ją zawozili?

- Nigdy się tego nie dowiedzieliśmy. Na początku dawali jej cukierki bądź lody i wozili z zawiązanymi oczyma. Później, gdy już wydorosła, nie musieli niczego przed nią ukrywać, a ona powtarzała nam jedynie, że uczy się o naszym chwalebnym dziedzictwie". Używała dokładnie tych słów. Obaj dobrze wiemy, co się za tym kryło.

- Dlaczego teraz o wszystkim mówi mi pan otwarcie, panie Schneider?

- Ponieważ żyję w tym kraju od pięćdziesięciu dwóch lat. Nie twierdzę, że jest tu idealnie, bo tak nigdzie nie jest, lecz o wiele lepiej niż tam, skąd pochodzę. Czy wie pan, kto mieszka naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy?

- Skąd miałbym to wiedzieć?

- Goldfarbowie, Jake i Naomi. Są Żydami, od wielu lat naszymi najlepszymi przyjaciółmi. A po tej stronie, w następnym domu, mieszka małżeństwo murzyńskie, pierwsze, które odważyło się kupić dom w okolicy. My i Goldfarbowie wyprawiliśmy im przyjęcie powitalne, przyszło mnóstwo ludzi z sąsiedztwa. A gdy na trawniku przed ich domem chuligani ustawili płonący krzyż, wszyscy się skrzyknęli; wytropiliśmy łobuzów i zawlekliśmy ich na posterunek policji.

- Aż nie chce mi się wierzyć, że pana dom był zarazem agendą Trzeciej Rzeszy.

- Czasy się zmieniają, ludzie także. Cóż mogę więcej powiedzieć?

* Organisation der ehemaligen SS-Angehörigen - Organizacja Byłych Członków SS.

- Kiedy po raz ostatni kontaktował się z panem ktoś z Niemiec?

- Mein Gott, ci idioci nadal dzwonią dwa, trzy razy do roku. Powtarzam im, żeby dali mi spokój, bo jestem już stary i nie interesują mnie ich propozycje. Ale widocznie mają moje nazwisko zapisane w tych swoich komputerach, czy jak to się teraz nazywa, i za jakiś czas znów dzwonią. Co robić? Nie dadzą mi już spokoju, do końca będę odbierał pogróżki.

- Nie podają żadnych nazwisk?

- Owszem, raz się zdarzyło. Ostatnio, ponad miesiąc temu, rozmówca zaczął na mnie wrzeszczeć histerycznie i groził, że jakiś Herr Traupman skaże mnie na śmierć. "Po co?", zapytałem, "przecież i tak niedługo umrę i zabiorę waszą tajemnicę do grobu". Agent z Monachium wiół Claude'a Moreau szeroką Leopoldstrasse w stronę domu, w którym mieszkała Elke Mueller, była Frau Traupman. Uprzedzony, chcąc zaoszczędzić szefowi czasu, pracownik tajnego biura Deuxieme przy Königinstrasse wcześniej zlokalizował dom stojący pod wskazanym adresem i zadzwonił do pani Mueller, wyjaśniając, że pewien wysoko postawiony przedstawiciel rządu francuskiego chciałby z nią porozmawiać w delikatnej sprawie i że może jej się to sownie opłacić. Przepraszył, że nie wie dokładnie, o jaką sprawę chodzi, zapewnił jednak, iż ta rozmowa w żaden sposób nie skompromituje dostojnej gospodyni. Budynek robił spore wrażenie, ale mieszkanie było prawdziwie imponujące, urządzone w stylu będącym dziwną mieszaniną baroku i art deco. Elke Mueller nad wyraz pasowała do tego otoczenia - wysoka, władcza, siedemdziesięcioparoletnia kobieta o gładko zaczesanych ciemnych włosach przetykanych pasemkami siwizny, kwadratowej twarzy i zdumiewająco zgrabnej sylwetce. Już na pierwszy rzut oka było widać, że z kimś takim nie ma żartów - świadczyło o tym jej bystre, przenikliwe spojrzenie, wwiercające się w człowieka, jakby był zakładnikiem czy przestępcą, a może jednym i drugim.

- Nazywam się Claude Moreau, madame, i pracuję w Paryżu, przy Quai d'Orsay - odezwał się szef Deuxieme Bureau po niemiecku, kiedy tradycyjnie ubrana pokojówka wprowadziła go do saloniku.

- Nie musi pan mówić in die Deutsche, monsieur. Dość dobrze znam francuski.

- Kamień spadł mi z serca - zełgał Moreau - gdyż mój niemiecki jest zaledwie do przyjęcia.

- Niech pan nie przesadza. Proszę usiąść na wprost mnie i wyjaśnić, cóż to za delikatna sprawa pana tu sprowadza. Nie potrafię sobie wyobrazić, z jakiego powodu rząd francuski miałby się zainteresować moją skromną osobą.

- Proszę wybaczyć, madame, ale raczej powinna się pani tego domyślić.

- Jest pan niegrzeczny, monsieur.

- Przepraszam. Chciałem jedynie być dobrze zrozumiany, abyśmy mogli rozmawiać otwarcie, bez ogródek.

- A teraz mnie pan zdumiewa. Chodzi o Traupmana, prawda?

- Zatem moje przypuszczenia były jednak trafne, czyż nie tak? - Oczywiście, ma pan rację. Nie mógł pan tu przyjechać z innego powodu.

- Była pani jego żoną...

- Niezbyt długo, jeśli chodzi o ścisłość - wtrąciła stanowczym tonem Elke Mueller - ale jak dla mnie, to o wiele za długo. A więc w końcu jego brudne małe kurczątko zaczęły wracać na grzędę w kurniku, zgadza się?... Proszę nie robić takiej zdumionej miny, Moreau. Czytuję gazety i oglądam telewizję. Dobrze wiem, co się dzieje.

- Czy wolno mi spytać panią o te "brudne małe kurczątko"? - Czemu nie? Sama wyszłam z tego inkubatora ponad trzydzieści lat temu.

- Nie byłoby impertynencją z mojej strony, gdybym poprosił o przybliżenie mi całej sprawy? Oczywiście, chciałbym usłyszeć tylko to, co pani może mi powiedzieć.

- Teraz pan kłamie, monsieur. Zapewne wolałby pan, żebym zaczęła okazywać zakłopotanie i mówić nerwowo, może nawet histerycznie, o tym, jaki z niego był kawał drania. Tego się pan nie doczeka, bez względu na to, co o nim myślę. Mogę jednak panu zdradzić, że ilekroć wspominam Traupmana, co zdarza się bardzo rzadko, natychmiast robi mi się niedobrze.

- Aha...

- Właśnie: aha. Ale przejdźmy do owego "przybliżenia sprawy". To żadna tajemnica... Otóż wyszłam za Hansa Traupmana dosyć późno, miałam trzydzieści jeden lat, on trzydzieści trzy. Był już wtedy bardzo znanym chirurgiem. Szczerze podziwiałam jego umiejętności i byłam przekonana, że mimo oziębłej powierzchowności musi być dobrym człowiekiem. Czasami przejawiał trochę ciepła, co mnie wręcz fascynowało, ale tylko do czasu, kiedy odkryłam, że to jedynie poza. Dosyć szybko też wyszło na jaw, z jakich powodów on zwrócił na mnie uwagę. Moja rodzina pochodzi z BadenBaden i należy do grona najbogatszych właścicieli ziemskich w tamtym rejonie, cieszy się także ogólnym poważaniem. Traupman sądził, że biorąc mnie za żonę automatycznie wejdzie do wyższej warstwy społecznej, na czym mu bardzo zależało. Musi pan wiedzieć, że jego rodzice byli oboje lekarzami, nie zaliczali się jednak do ludzi ciekawych, nie odnieśli też większych sukcesów zawodowych. Skończyli karierę w społecznych przychodniach, lecząc ludzi z najniższych warstw...

- Jeśli można - wtrącił Moreau. - Czy próbował wykorzystać pani pozycję do zaspokojenia swoich aspiracji?

- Właśnie to powiedziałam.

- Dlaczego zatem zgodził się na rozwód?

- Niewiele miał do gadania. Poza tym przez pięć lat naszego małżeństwa zdążył sobie wyrobić wszelkie dojścia, na jakich mu zależało, a jego sława dokonała reszty. Z szacunku dla całej rodziny Muellerów zgodziłam się na tak zwany rozwód za obopólnym porozumieniem, podając jako powód niezgodność charakterów. Żadna ze stron nie wystąpiła z jakimikolwiek roszczeniami. To była największa pomyłka w moim życiu i ojciec aż do śmierci nie mógł mi tego wybaczyć.

- Czy wolno mi zapytać dlaczego?

- Nie zna pan mojej rodziny, monsieur, a Mueller to nazwisko dość powszechnie spotykane w Niemczech. Postaram się to panu wyjaśnić. Muellerowie z BadenBaden otwarcie występowali przeciwko temu kryminaliście, Hitlerowi, i jego bandziom. A Fuhrer nie miał odwagi nas tknąć z powodu ogromnego majątku oraz lojalności tysięcy ludzi, którym rodzina dawała pracę. Alianci nigdy nie mogli zrozumieć, dlaczego Hitler tak bardzo lękał się opozycji we własnym kraju. Gdyby znali tutejsze układy, z pewnością obraliby nieco inną taktykę wobec Niemiec, przez co wojna trwałaby znacznie krócej. Ten parszywy, wąsaty konus, podobnie jak Traupman, wybił się daleko ponad swoje środowisko i znalazł wśród ludzi, których wcześniej mógł jedynie podziwiać z dystansu, a którzy nigdy go nie zaakceptowali w swojej klasie. Mój ojciec zawsze powtarzał, iż wrzaskliwe nawoływania Hitlera przypominały okrzyki przerażonego człowieka, który gotów jest posyłać do komór gazowych nawet najslabszą opozycję, lecz jedynie tak długo, dopóki nie musi ponosić za to żadnych konsekwencji. Niemniej, powołując się na obowiązek powszechnej służby wojskowej, Hitler zdołał wysłać dwóch moich braci na front wschodni, gdzie zginęli, chociaż prawdopodobnie od kul niemieckich, a nie sowieckich. Wróćmy do Hansa Traupmana, jeśli można.

- To był zapalony hitlerowiec - powiedziała cicho pani Mueller, odwracając głowę w stronę okna, przez które wpadały ukośne promienie popołudniowego słońca. - Bardzo dziwny człowiek, wręcz nieludzki, a zależało mu jedynie na zdobyciu władzy, tylko i wyłącznie władzy, dużo większej, niż mógł zyskać w swoim zawodzie. Potrafił recytować całe ustępy ze zdyskredytowanej teorii wyższości rasy aryjskiej, jakby to były święte wersety, chociaż musiał doskonale wiedzieć, ile ta teoria jest warta. Sądzę, że powodem tego wszystkiego było zgorzknienie, rozgoryczenie młodego człowieka, który nie zdołał się dostać do elity społeczeństwa niemieckiego. Mimo wciąż rosnącej sławy bez przerwy czuł się kimś poślednim, nieakceptowanym. - Sądzę, że zmierza pani ku jeszcze innym wnioskom - wtrącił Moreau.

- Tak, to prawda. Do naszego domu w Norymberdze zaczął zapraszać ludzi powszechnie znanych jako zwolennicy narodowego socjalizmu, fanatycznie oddanych Hitlerowi. Przygotował dźwiękoszczelne pomieszczenie w piwnicach i tam, w każdy Wtorek, organizował spotkania, na które ja nie miałam wstępu. Pili przy tym bardzo dużo i nawet w swojej sypialni na piętrze słyszałam dobiegające z dołu okrzyki Sieg Heilt i powtarzaną w kółko, znaną pieśń Horsta Wessela. Ciągnęło się to przez trzy lata, aż w końcu, w piątym roku małżeństwa, postanowiłam się zbuntować. Sama nie wiem, dlaczego nie uczyniłam tego wcześniej. Może dlatego, że każde uczucie, nawet błyskawicznie topniejące, wiąże się z potrzebą świadomości bezpieczeństwa. Krzyczałam na niego, oskarżałam o niegodne czyny, mówiłam o zbrodniczej tęsknocie za dawnymi, przerażającymi czasami. Aż któreś środy rano, po kolejnej zatrważającej nocy, powiedział mi wprost: "Nie obchodzi mnie, co myślisz, bogata suko. Walczyliśmy o słuszną sprawę i nadal będziemy o nią walczyli!" Następnego dnia się wyprowadziłam. Czy to dla pana wystarczające przybliżenie sprawy, Moreau?

- W zupełności, madame - odparł szef Deuxieme Bureau. Czy nie przypomina pani sobie nazwiska któreś z osób uczestniczących w tych spotkaniach?

- Nie, skądże. Przecież minęło ponad trzydzieści lat.

- Nawet żadnego z tych ludzi powszechnie znanych jako zwolennicy nazizmu?

- Niech się zastanowię... Bywał u nas Bohr, Rudolf Bohr, jeśli dobrze pamiętam, a także, wtedy jeszcze bardzo młody, pułkownik Wehrmachtu o nazwisku von Scheffel. Poza tymi dwoma nikogo więcej sobie nie przypominam. Zapamiętałam ich tylko dlatego, że byli u nas częstymi gośćmi na obiedzie czy kolacji, kiedy nie dyskutowało się o polityce. Ale przed wtorkowymi spotkaniami również ich widywałam z okien mojej sypialni, gdy wysiadali z samochodów.

- Pani informacje bardzo mi pomogły, madame - rzekł Moreau, podnosząc się z fotela. - Nie będę pani dłużej zabierał czasu.

- Powstrzymajcie ich! - szepnęła Elke Mueller. - Szykują zgubę całym Niemcom.

- Zapamiętam pani słowa - obiecał Francuz, wychodząc z saloniku. W siedzibie Deuxieme przy Kóniginstrasse Moreau wykorzystał swoje przywileje i kazał sekretarce w Paryżu połączyć go natychmiast z Wesleyem Sorensonem. Ten znajdował się właśnie na pokładzie samolotu podczas drogi powrotnej do Waszyngtonu, kiedy zapiszczał jego przywoływacz. Sorenson wstał z fotela, poszedł do wnęki z telefonem w przejściu do pierwszej klasy, wsunął w szczelinę swoją kartę magnetyczną i połączył się z biurem.

- Proszę zaczekać, panie dyrektorze - odezwał się telefonista z centrali wydziału. - Rozmowa z Monachium. Zaraz pana przelączę.

- Alló, Wesley?

- To ty, Claude?

- Chodzi o Traupmana!

- To Traupman! Obaj wykrzyknęli to nazwisko niemal równocześnie.

- Będę w swoim gabinecie dokładnie za godzinę - rzekł Sorenson. - Stamtąd oddzwonię do ciebie.

- Widzę, że obaj mieliśmy pracowity dzień, mon ami.

- Jak cholera!

* * *

ROZDZIAŁ 22

Drew leżał w łóżku obok Karin w jej pokoju w hotelu "Bristol". Witkowski ociągał się wyraźnie, w końcu jednak wyraził zgodę na to, by dać im trochę czasu. Kochali się namiętnie i teraz leżeli, przytuleni do siebie, rozkoszując się radością, jaką napelniał ich ten związek. - I co my mamy począć, do cholery? - zapytał w końcu Latham, przypalając papierosa, co zdarzało mu się coraz rzadziej. Wydmuchnął dym i popatrzył na wijące się w powietrzu szarawe spirale.

- Jesteśmy całkowicie zdani na Sorensona. Musimy czekać. > - I właśnie to mi nie odpowiada. On siedzi w Waszyngtonie, a my jesteśmy w Paryżu. W dodatku ten przeklęty Kroeger nie chce mówić.

- Narkotyki wycisną z niego potrzebne informacje.

- Lekarz ambasady powtarza, że nie wolno niczego robić w tym kierunku, dopóki rana postrzałowa choć trochę mu się nie zagoi. Jeszcze nigdy nie widziałem pułkownika tak rozwścieczonego, lecz nawet on nie ma odwagi sprzeciwić się zaleceniom lekarza. Zresztą ja też nie jestem zbyt spragniony krwi. Ale z każdym upływającym dniem tych lajdaków będzie coraz trudniej odnaleźć. - Jesteś tego pewien? Neonaziści okopywali się na swoich pozycjach przez ponad pięćdziesiąt lat. Myślisz, że kilka dni zwłoki ma aż tak wielkie znaczenie?

- Nie wiem. Może pojawi się jeszcze jeden Harry Latham? W każdym razie dokuczają mi beczyność.

- To rozumiem. Czy obmyśliliście jakąś strategię postępowania wobec Janinę?

- Wiem tyle samo, co i ty. Sorenson kazał nam zachować spokój i milczenie, a także podsunąć organizacji "Antyninus" informację o schwytaniu Kroegera. Zrobiliśmy to już i zostawiliśmy w biurze Wesleya wiadomość na ten temat. Podpisaną po prostu: Paryż.

- Czy on naprawdę uważa, że w organizacji jest jakiś informator?

- Powiedział tylko, iż chce zabezpieczyć flanki. Nikomu to nie zaszkodzi. I tak nie wierzę, aby ktokolwiek mógł się dostać do Kroegera. Jeśli ktoś będzie próbował, zyskamy przynajmniej pewność, które skrzydło jest źle osłonięte.

- Myślisz, że Janinę może wkroczyć do akcji?

- To już zmartwienie Wesleya. Ja nie miałbym zielonego pojęcia, co począć z tym fantem.

- Ciekawa jestem, czy Courtland powiedział jej o schwytaniu Kroegera.

- Musiał przedstawić żonie jakiś powód, dla którego został wyciągnięty z łóżka o trzeciej nad ranem.

- Mógł coś wymyślić, wcale nie jest pewne, że powiedział jej prawdę. Wszyscy ambasadory mają szczegółowo wyliczone, co im wolno mówić najbliższym osobom, a czego nie. Głównie z uwagi na ich własne bezpieczeństwo.

- Ten argument do mnie nie przemawia, Karin. Przecież Courtland umieścił żonę w D. i A., przez jej ręce przechodzą najściślej tajne informacje.

- Ale w ich małżeństwie wszystko układa się dobrze, a gotowa jestem podejrzewać, że Janinę sama się dopraszała o tę posadę. Zaraz po ślubie na pewno nie miała większych kłopotów, żeby go przekonać. A sam wiesz, jakie ma kwalifikacje. Jestem przeświadczona, iż wmówiła mu, że chciałaby pełnić zaszczytną służbę dla dobra ojczyzny.

- Zgoda. Nie mam zamiaru spierać się na ten temat z tobą, Ewo, która przyniosłaś mi jabłko...

- Męski szowinista. De Vries zachichotała i uszczypnęła go w pośladek.

- Nie powiesz mi, że to my wymyśliliśmy sobie to jabłko.

- Zaczynasz być niemily.

- Ciekaw jestem, co Wes teraz zadecyduje - mruknął Latham, chwytając Karin za rękę. Wychylił się i zdusił niedopałek w popielniczkę.

- Czemu do niego nie zadzwonisz?

- Jego sekretarka powiedziała, że wróci dopiero jutro, a to znaczy, że wyjechał z Waszyngtonu. Wspominał, że sam musi się uporać z pewnym problemem, i to dość poważnym, więc może nim się właśnie zajął.
- Sądzę, że jednak sprawa Janinę Courtland będzie dla niego najważniejsza.
- Ja też tak myślę. Przekonamy się jutro... a w zasadzie już dziś. Słońce właśnie wschodzi.
- Bardzo się z tego cieszę, Kochany. Skoro zabroniono nam pokazywać się w pobliżu ambasady, więc uznajmy, że dostaliśmy oboje krótkie urlopy.
- Podoba mi się ten pomysł. Drew obrócił się i przytulił ją mocniej do siebie, lecz w tej samej chwili zadzwonił telefon.
- Faktycznie, wspaniały urlop - mruknął, sięgając do terkoczącego natrętnie aparatu. - Słucham.
- U mnie minęła właśnie pierwsza w nocy - rozległ się głos Wesleya Sorensona. - Wybacz, jeśli cię zbudziłem, ale Witkowski przekazał mi ten numer telefonu w pokoju hotelowym, chciałem więc jak najszybciej się z tobą porozumieć. . Co się stało?
- Wasi specje od komputerów wpadli na prawdziwy trop. Wszystko sprawdziłem. Janinę Clunitz jest rzeczywiście sonnenkindem.
- Kto taki?
- Clunitz to jej prawdziwe nazwisko, w Stanach zmieniła je na Clunes. Wychowywali ją państwo Schneider z Centralii w stanie Illinois.
- Wiem, te dane były w jej aktach. Skąd jednak możesz mieć pewność?
- Właśnie stamtąd wróciłem. Stary Schneider potwierdził nasze obawy.
- I co teraz mamy robić, do cholery?
- Nie my, tylko ja - odparł dyrektor Wydziału Operacji Konsularnych. - Departament Stanu ściągnie Courtlanda na trzydzieści sześć godzin do kraju, pod pretekstem nadzwyczaj pilnej narady z kilkoma innymi ambasadorami z krajów europejskich. W depeszy nie podano, o co konkretnie chodzi.
- I Departament Stanu to zaakceptował?
- Nic nie wie na ten temat. To ściśle tajna dyrektywa, ze względów bezpieczeństwa przesłana za pośrednictwem naszego wydziału.
- Brzmi prawdopodobnie.
- Myślisz, że ktoś się zorientuje? Odbierzemy Courtlanda na lotnisku i będzie w moim biurze, jeszcze zanim sekretarz Bollinger, jak co dzień, zażąda, by mu podano na śniadanie jajka po benedyktyńsku. - Rety, jakbym znowu słyszał pewnego oficera łącznikowego, którego znałem przed laty.
- Niewykluczone.
- Jak chcesz to rozegrać z Courtlandem?
- Ufam, że jest tak bystry, jak wynika to z jego akt. Nagrałem wypowiedź Schneidera, za jego zgodą, a jest to naprawdę obciążające zeznanie. Przedstawię je Courtlandowi. Mam nadzieję, że odbierze je z powagą.
- A jeżeli nie, Wes?
- Jestem na to przygotowany. Schneider wyraził gotowość powtórzenia wszystkiego w Waszyngtonie. On naprawdę nie cierpi kraju, z którego pochodzi. W każdym razie tak mówił.
- Zatem gratuluję, szefie.
- Dzięki, Drew. Chyba faktycznie poszło mi niezle... Ale jest coś jeszcze.
- Co?
- Skontaktuj się z Moreau. Rozmawiałem z nim parę minut temu i obiecał czekać na telefon od ciebie z samego rana, czyli mniej więcej o tej porze.
- Nie chciałbym już zwracać głowy Witkowskiemu, Wes.
- To nie będzie konieczne, on wie o wszystkim. Z nim także już rozmawiałem. Byłoby głupotą wyłączać go z tej sprawy, jego doświadczenie może nam się bardzo przydać.
- O czym mam mówić z Moreau?

- Obaj sprawdzaliśmy różne tropy i uzyskaliśmy identyczną odpowiedź. Mamy już dojście do Bractwa poprzez pewnego faceta, lekarza z Norymbergi. Z tego samego miasta, gdzie sądzono hitlerowców.
- Ironia losu. Jeśli coś się kręci, zawsze musi wrócić do punktu wyjścia.
- Zadzwoń do ciebie później, jak się już dogadasz z Moreau. Latham odłożył słuchawkę i odwrócił się do Karin.
- Nasz wspólny urlop okazał się nadzwyczaj krótki. Myślę jednak, że mamy prawo spędzić jeszcze godzinę ze sobą. Wyciągnęła do niego rękę, ale prawej, ciągle zabandażowanej, nie mogła unieść tak wysoko jak lewej.

Noc była ciemna i spokojna. Poruszające się w odstępach dziesięciominutowych motorówki podpływały kolejno do długiego pomostu na brzegu Renu. Wąski sierp księżyca co chwila ginął za chmurami, nie dając w ogóle światła, toteż jedyny punkt orientacyjny stanowił nikły ogień czerwonej latarni, umieszczonej wysoko ponad przystanią. Nie był on zresztą specjalnie konieczny, gdyż ludzie prowadzący motorówki doskonale znali tutejsze brzegi, a w szczególności okolice domów, do których często podwozili gości. Silniki milkły jakieś sto metrów od pomostu, a nurt rzeki powoli doprowadzał łodzie do przystani, gdzie dwaj mężczyźni chwytały rzucane liny i doholowały motorówki w wyznaczone miejsce. Jeden po drugim ludzie przybywający na spotkanie wychodzili na ląd i szli wykładaną kamieniami ścieżką w stronę wejścia do budynku. Spotykali się i witali ze znajomymi na oświetlonej przez olbrzymi kandelabr werandzie, gdzie podawano kawę, drinki oraz kanapki. Prowadzili blahe rozmowy o wynikach rozgrywek w golfa czy tenisa, ale wszyscy czekali na rozpoczęcie głównej części zebrania. Po upływie godziny i dwudziestu minut, kiedy cała grupa była już w komplecie, odesłano służących i rozpoczęła się narada. Dziewięciu przywódców Die Bruderschaft der Wacht zajęło miejsca w półokręgu, twarzą do mównicy. Jako pierwszy podniósł się doktor Hans Traupman i stanął przed zebranymi.

- Sieg Heil! - zawołał, wyciągając przed siebie rękę w hitlerowskim pozdrowieniu.
- Sieg Heil! - odpowiedzieli chóralnie przywódcy organizacji, jak jeden mąż podrywając się z krzesel.
- Siadajcie, panowie - rzekł chirurg. Odczekał chwilę, aż zajmą miejsca, po czym pręząc się na baczność zaczął:
- Mam do przekazania wspaniałe nowiny. Na całym globie wrogowie Czwartej Rzeszy znajdują się w odwrocie, drżąc ze strachu i zmieszania. Nadeszła pora na realizację kolejnego etapu gigantycznej akcji, po której zapanuje jeszcze większe osłupienie i panika, natomiast nasi uczniowie... właśnie tak, nasi uczniowie... są już przygotowani do zajęcia niezwykle wpływowych stanowisk... Akcja ta będzie wymagała wielkiego poświęcenia ze strony naszych agentów pracujących w terenie, niesie bowiem ze sobą ryzyko uwięzienia, a nawet śmierci, ale pokieruje nami niezłomne postanowienie, szczytny cel, bo przyszłość należy przecież do nas. Oddam teraz głos człowiekowi, którego wybraliśmy na Fuhrera Bruderschaftu, prowadzącemu nasz ruch ku urzeczywistnieniu ideałów, ponieważ jest mężczyzną nie uznającym kompromisów i odznaczającym się niezłomnym charakterem. Mam zaszczyt poprosić o wygłoszenie mowy Guntera Jagera. Ponownie wszyscy obecni wstali z miejsc i wyciągając przed siebie prawe ręce zawołali:
- Sieg Heil! Sieg Heil, Günter Jager! Z miejsca na środku półokręgu wystąpił szczupły blondyn, mierzący sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ubrany w czarny garnitur, z białą koloratką pod szyją, po czym wszedł na mównicę. Poruszał się sztywno, niemalże krokiem marszowym, a rysy jego twarzy mogły służyć za wzór rzeźbiarzom przedstawiającym rzymskiego Marsa. W szczególności uwagę przyciągało spojrzenie szarozielonych oczu - przenikliwe i lodowate, w którym wyjątkowo pojawiały się cieplejsze isierki, tak jak teraz, gdy mężczyzna powiódł wzrokiem po twarzach zebranych, te zaś rozpromieniły się wyraźnie, jak gdyby padł na nie blask chwały.

- To ja czuję się zaszczycony, - zaczął cicho, pozwoliwszy sobie na delikatny uśmiech. - Jak wam wszystkim wiadomo, zostałem pozbawiony sutanny z powodu niewłaściwego zachowania, znalazłem jednak powołanie znacznie wznioślejsze niż głoszenie nauk chrześcijańskich. To wy jesteście moimi parafianami, wy i miliony ludzi wierzących w naszą sprawę. - Jager urwał, wsunął palec za krawędź sztywnej koloratki i pokręcił głową, krzywiąc się z niesmakiem. - Czasami żałuję, że błędzący zwierzchnicy mojej dawnej wiary nie wyklęli mnie publicznie, bo nie musiałbym dłużej dusić się tą obrozą. Rozumiem jednak, że nie mogli tego uczynić, gdyż byłby to wielki błąd. Tają przed światem znacznie cięższe grzechy niż te, które opisano w Piśmie Świętym. A ponieważ i ja o tym wiem, i oni, mogliśmy więc zawrzeć między sobą układ. Wśród zebranych rozległy się tłumione śmiechy. Po chwili Gunter Jager mówił dalej.

- Jak wspomniał już Herr Doktor Traupman, jesteśmy gotowi wkroczyć w następną fazę dezorientowania naszych wrogów. Rozsiejemy straszliwe zniszczenia, niewidoczna armia uderzy w najważniejsze źródło życia na całej ziemi... Chodzi mi o wodę, panowie. Zapanowała konsternacja. Ludzie zaczęli wymieniać między sobą uwagi.

- Jak to ma się dopełnić, mój pozbawiony sutanny bracie? zapytał stary ksiądz katolicki, prałat Heinrich Paltz.

- Gdyby twoi zwierzchnicy wiedzieli, kim jesteś i czym się zajmujesz, ojczu, zakuliby nas razem w dyby. Znów rozległy się śmiechy.

- Ja przynajmniej mogę wywieść rodowód naszej teorii z Księgi Rodzaju! - odparł prałat. - Nie ulega wątpliwości, że Kain był Murzynem. Ktoś taki nie mógł mieć innej skóry niż czarna. A zarówno w Księdze Kapłańskiej, jak i Powtórzonego Prawa mówi się wielokrotnie o całych plemionach, które lekcewały słowa proroków!

- Nie zaczynamy akademickiej dyskusji, ojczu, ponieważ obaj możemy na tym stracić. Nawiasem mówiąc, wszyscy prorocy byli Żydami.

- Tak samo jak ludzie z owych plemion!

- Similias similibus, przyjacielu. Tamto działo się dwa tysiące lat temu, skupmy się lepiej na naszych czasach. Pytałeś mnie, jak ma się to dokonać. Czy pozwolisz, że udzielę wyjaśnień

- Tak, prosimy, Herr Jager - wtrącił Albert Richter, polityk i dyletant mający wielkie posiadłości w Monako i prowadzący hulaszczy tryb życia.

- Chodzi o zbiorniki, panowie, które stanowią główne źródła wody pitnej dla Londynu, Paryża i Waszyngtonu. Zgodnie z naszymi ustaleniami przygotowano szczegółowe plany zrzucenia nocą z samolotów wielu ton substancji toksycznych do tych zbiorników wodnych. Kiedy trucizna dostanie się do wodociągów, zginą miliony ludzi. Ulice pokryją się grubą warstwą zwłok, a władze owych krajów zostaną skompromitowane, gdyż to one odpowiadają za ochronę źródeł wody pitnej. W Londynie, Paryżu i Waszyngtonie rozprzestrzeni się katastrofalna zaraza, która wywoła przerażenie i wściekłość obywateli. Kiedy zaś politycy zaczną masowo ustępować ze swych stanowisk, nasi ludzie zajmą ich miejsca, rozgłaszając, że znają sposób zapobieżenia tragedii. Po kilku tygodniach, może miesiącach, gdy zaczną skutkować antytoksyny, w analogiczny sposób wprowadzone przez nas do zbiorników, będziemy już mieli znaczny wpływ na politykę rządów tych państw, także w dziedzinie militarnej. Kiedy ostatecznie zapanuje względny spokój, nasi wychowankowie będą mogli według woli kształtować zaufanie społeczne, potajemnie nakazując bądź to ponowne skażenie wody pitnej, bądź zrzucenie z samolotów odtrutki.

- Kiedy ma się to odbyć? - zapytał Maximilian von Lowenstein, syn generała spiskowca, straconego przez SS po zamachu na Hitlera w Wilczym Szańcu, oraz kochanki Josepha Goebbelsa, całkowicie oddanej idealom Trzeciej Rzeszy, która publicznie wyrzekła się swego męża. - Moja matka zawsze potępiała urzędników Kanclerza za składanie takich czy innych niezwykłych deklaracji, które nie miały potwierdzenia w rzeczywistości, przez co, jak mówiła, osłabiali jedynie pozycję Fuhrera. .

- To prawda, że historycy zwrócili uwagę na rolę, jaką pańska matka odegrała w dziejach Trzeciej Rzeszy, nie wyłączając faktu ujawnienia zbrodniczego spisku, do którego należał jej

mąż. Mogę jednak zapewnić, że w omawianej sytuacji dokładnie opracowano taktykę, łącznie z określeniem typów maszyn mogących wykonać zrzut z małej wysokości i uniknąć wykrycia przez kontrolę radarową. Wszystko jest już przygotowane, samoloty stacjonują w promieniu dwustu kilometrów od wybranych celów, a ludzie czekają w gotowości. Zgodnie z ostatnimi ustaleniami operacja "Wodna Błyskawica" zostanie przeprowadzona najwcześniej za trzy, a najpóźniej za pięć tygodni od dzisiaj. Klęski żywiołowe we wszystkich krajach wystąpią równocześnie, przy czym wybierzemy taki moment, kiedy po obu stronach Atlantyku noce będą bezksiężycowe. Już teraz mogę powiedzieć, iż zrzut nastąpi o czwartej trzydzięci czasu lokalnego w Paryżu, o trzeciej trzydzięci w Londynie i o dwudziestej drugiej trzydzięci poprzedniego wieczoru w Waszyngtonie. Te godziny najbardziej odpowiadają naszym celom. Na razie nie mogę podać żadnych innych szczegółów.

- To w zupełności wystarczy, mein Führer, nasz Zeusie! wykrzyknął Ansel Schmidt, multimilioner, właściciel firmy elektronicznej, który większość stosowanych rozwiązań wykradł innym przedsiębiorstwom.

- A ja dostrzegam pewien problem - wtrącił olbrzym ledwie mieszczący się na krześle, o nalanej twarzy przypominającej balon pokryty grubymi fałdami skóry, po której wyglądzie trudno było nawet ocenić jego wiek. - Jak wszyscy wiecie, jestem z wykształcenia inżynierem chemikiem, chociaż nie pracuję w swoim zawodzie. Nasi wrogowie nie są głupi, wykonują ciągle analizy próbek wody pitnej. Z pewnością natychmiast odkryją sabotaż i podejmą odpowiednie przeciwdziałania. Jak sobie z tym poradzimy?

- Najprostszą odpowiedzią jest germańska pomysłowość - odparł z uśmiechem Gunter Jager. - Podobnie jak kilka pokoleń wstecz w naszych laboratoriach wyprodukowano cyklon B, który pomógł nam oczyścić ten świat z milionów Żydów i innych niepotrzebnych osobników, tak i teraz nasi ludzie odkryli pewną śmiertcioną substancję, tworzoną z rozpuszczalnych soli teoretycznie nie łączących się ze sobą pierwiastków, które łączą się jednak pod wpływem bombardowania izogenicznego dokonanego przed wymieszaniem tych związków... - Jager urwał i ponownie się uśmiechnął, wzruszywszy ramionami. - Jestem tylko kaznodzieją, szerzycielem naszej wiary, i nie pretenduję do miana fachowca w tej dziedzinie, ale pracuje dla nas cały szereg znakomitych chemików, z których wielu pochodzi właśnie z pańskiego byłego laboratorium, Herr Waller.

- Bombardowanie izogeniczne...? - mruknął olbrzym, a na jego wargach powoli rozlał się tajemniczy uśmiech. - To pewna odmiana fuzji izometrycznej stosowanej do semetryzacji nie łączących się ze sobą cząsteczek, do wymuszania odpowiednich struktur. Tą metodą wytwarza się na przykład powłoki ochronne na tabletkach aspiryny. Potrzeba będzie wielu dni, a nawet tygodni, na oznaczenie tego typu substancji w próbkach wody, nie mówiąc już o znalezieniu na nie odtrutki... To absolutnie genialne, Herr Jager... mein Führer... Proszę przyjąć wyrazy uznania, hołd dla pańskiego geniuszu wynajdywania innych, olśniewających talentów.

- Jest pan zbyt uprzejmy. Sam nie wiedziałbym nawet, jak się poruszać w laboratorium chemicznym.

- Laboratoria to odpowiednik kuchni, ale najpierw musiał się zrodzić pomysł! Mówię tu o pańskim pomysle zaatakowania najważniejszego źródła życia na całej ziemi, czyli wody... - I tak najbogatsi, czy może nawet średnio zamożni, będą mogli kupić na rynku jakieś cudowne, wynalezione pospiesznie antidotum - mruknął drobny, krępy mężczyzna o krótko przyciętych ciemnych włosach. - Najbardziej poleci się gotować wodę choćby przez piętnaście minut w celu jej dezynfekcji... - Wymienione przez pana piętnaście minut to zdecydowanie za krótko, Herr Richter - odpowiedział szybko nowy Führer. Należałoby ją gotować przez trzydzieści siedem minut, tylko proszę pomyśleć, kto się do tego zastosuje. Przyznaję, że nasza akcja najbardziej dotknie ludzi z najniższych warstw społecznych, ale ten fakt znakomicie pasuje do idei oczyszczenia świata, prawda? Przede wszystkim wyludnią się slumsy, a to nam później zaoszczędzi wiele czasu.

- Dostrzegam jeszcze dalej idące konsekwencje - wtrącił von Löwenstein, syn hitlerowskiej kurtyzany. - Jeśli operacja "Wodna Błyskawica" zakończy się powodzeniem, będziemy mogli

zrzucić te same substancje do wybranych zbiorników wodnych w pozostałej części Europy, w krajach śródziemnomorskich czy Afryce.

- Najpierw w Izraelu! - wykrzyknął sklerotyczny prałat Paltz. - Przecież to Żydzi ukrzyżowali Chrystusa! Niektórzy z zebranych wymienili między sobą znaczące spojrzenia, lecz zaraz ponownie skupili uwagę na Gunterze Jagerze. - To prawda, mój drogi ojciec - przyznał Zeus Bractwa - ale nie mamy prawa kierować się żadnymi uprzedzeniami, choćby były całkowicie uzasadnione i wywoływały naszą wściekłość, prawda? - Chciałem jedynie uzasadnić mój wniosek.

- Tak, rozumiem ojciec. Tego samego wieczoru w Anglii, na nie używanym od dawna lotnisku, jakieś piętnaście kilometrów na zachód od legendarnego Lakenheath, kilkusobowa grupa przy świetle latarki pochylała się nad schematem samolotu i rozłożoną obok mapą. W pewnej odległości stał częściowo zamaskowany odrzutowiec typu Boeing 727, pochodzący mniej więcej z połowy lat siedemdziesiątych. Maszyna była ukryta pod koronami drzew rozciągającego się dalej lasu, a wielką, maskującą płachtę brezentu odchyłono tylko na tyle, by można się dostać do kabiny. Ludzie rozmawiali półgłosem po angielsku, niektórzy jednak mówili z wyraźnym akcentem niemieckim: - Powtarzam, że to niewykonalne - rzekł młody Niemiec. Ładunek nie jest zbyt duży, lecz nie da się z nim przelecieć na tej wysokości. Szyby w oknach będą dzwonić na wiele kilometrów od celu, a gdy tylko rozpoczniemy wznoszenie, wykryją nas radary. To czyste szaleństwo, każdy pilot może wam to powiedzieć. A przecież nie chodzi o to, by zakończyć tę akcję zbiorowym samobójstwem. - Teoretycznie coś takiego jest możliwe - wtrąciła kobieta, rodowita Angielka. - Powolne schodzenie, jak gdyby do lądowania, a po zrzuceniu ładunku natychmiastowa zmiana kursu i ucieczka na pulapie poniżej trzystu metrów. Można by się wznieść wyżej dopiero nad kanałem La Manche. Ale rozumiem twoje obawy. Rzeczywiście ryzyko takiego przelotu jest ogromne, wystarczy najdrobniejszy błąd, żeby się roztrzaskać.

- Te zbiorniki i tak znajdują się z dala od ludzkich siedzib dodał inny Niemiec. - Naprawdę samobójcza będzie akcja nad Paryżem.

- To co, wracamy do pomysłu przewiezienia ładunku samochodami? - zapytał najstarszy w grupie Anglik.

- Już to omawialiśmy - odparł pilot. - Trzeba by użyć kilku dużych ciężarówek, a poza tym efekt rozprzestrzeniania toksyn byłby niewystarczający, zapewne musiałoby minąć wiele tygodni, zanimby dotarły do głównego ujęcia wody.

- Więc jak mamy to zrobić?

- Myślę, że to oczywiste - wtrącił młody chłopak, który trzymał się dotąd na uboczu; teraz podszedł bliżej i lekceważąco odsunął na bok rozłożony schemat samolotu. - Przynajmniej dla wszystkich, którzy mieli oczy szeroko otwarte podczas szkolenia w Hausruck.

- To rzeczywiście niezwykle cenna uwaga - mruknęła Angielka. - Dziękuję, od tej pory zacznę bardziej dbać o swój wzrok. - I co wtedy zaobserwowaliście? Co wam się rzuciło w oczy, kiedy po starciu ćwiczyliśmy w kółko podchodzenie do celu lotem ślizgowym?

- Szybowce - odparł drugi Niemiec. - Małe, sportowe szybowce.

- O czym myślisz, mein junger Mann? - zapytał pilot. O całej eskadrze szybowców? Pięćdziesięciu czy nawet stu takich zabawkach, które będą na siebie wpadały ponad zbiornikiem? - Nie, Hen Flugzeugführer. Proponuję wykorzystać już istniejące maszyny. Wystarczą dwa duże, wojskowe szybowce transportowe, każdy o nośności dwu lub trzykrotnie większej niż ten nadzwyczaj ciężki zabytek stojący pod lasem.

- O czym ty mówisz? Gdzie można zdobyć tak wspaniałe szybowce?

- Stoją na lotnisku w Konstancji, jest tam chyba ze dwadzieścia takich olbrzymów, zakonserwowanych i przykrytych. Nie były używane od czasów wojny.

- Od wojny? - wykrzyknął zdumiony pilot. - Naprawdę nie potrafię tego zrozumieć, junger Mann!

- To znaczy, że nie studiował pan dokładnie historii Trzeciej Rzeszy, poruczniku. W ostatnich miesiącach wojny my, Niemcy, którzy byliśmy przecież ekspertami w dziedzinie lotnictwa,

skonstruowaliśmy olbrzymie messerschmitty ME "Gigante", wywodzące się od modelu ME 321, największe transportowe szybowce świata. Zamierzano je próbnie wysłać z dostawami broni na front wschodni, później zaś wykorzystać podczas inwazji na Anglię, gdyż mieszana konstrukcja, płóciennodrewniana, uniemożliwia ich wykrycie przez radary.

- I one wciąż tam stoją? - zapytał starszy Brytyjczyk.

- Podobnie, jak większość waszej Royal Navy czy amerykańskich krążowników zostały "zapakowane w naftalinę", bo chyba tak się mówi. Prosiłem kolegów lotników o sprawdzenie, w jakim są stanie. Wystarczą niewielkie naprawy, a będzie je można w pełni wykorzystać. - Jak chce je pan podnieść w powietrze? - spytał drugi Niemiec. - Dwa niewielkie odrzutowce w zupełności dadzą sobie z tym radę, nawet przy stosunkowo krótkim pasie startowym. Zresztą te szybowce mają zamontowane pod skrzydłami wspomagające silniki rakietowe. W każdym razie specjaliści z Luftwaffe zapewniają, że da się to zrobić. Przeprowadzali nawet jakieś próby. Przez chwilę panowała cisza, wreszcie głos zabrał starszy z Anglików.

- Ten pomysł mi się bardzo podoba. Podczas inwazji w Normandii użyto całej eskadry takich szybowców, przy czym niektóre z nich zabrały na pokład samochody, lekkie wozy opancerzone i oddziały desantowe, a wylądowując je na waszych tyłach przyczyniły się do powstania sporego zamieszania. To doskonały pomysł, kolego. Naprawdę znakomity.

- Zgadzam się - rzekł stanowczym tonem niemiecki pilot, lekko mrużąc oczy. - Wybacz mi moją wcześniejszą złośliwość, młody przyjacielu.

- Jeśli wolno mi jeszcze coś wtrącić, poruczniku - ciągnął podniecony młodzieniec - dwa holujące samoloty mogłyby wyczepić szybowce na wysokości, powiedzmy, trzech tysięcy metrów nad zbiornikami, po czym jak najszybciej wznieść się na pulap czterech kilometrów i skierować z powrotem na drugi brzeg kanału, zanim kontrola radarowa dostrzeże jakikolwiek manewr.

- A co z samymi szybowcami? - rzekł sceptycznie nastawiony młody Anglik. - Przy takim założeniu byłaby to akcja bez powrotu, czyli szybowce musiałyby albo gdzieś wylądować, albo się rozbić. - To żaden problem - odparł pilot. - Można wybrać na lądowisko jakieś łąki lub pastwiska w najbliższym sąsiedztwie zbiorników. Po wylądowaniu należałoby wysadzić szybowce w powietrze i uciekać podstawionymi wcześniej samochodami.

- Jawohl - wtrącił drugi Niemiec, unosząc rękę, jakby chciał przerwać te dyskusje, po czym oznajmił stanowczo: - Ten pomysł wymaga wprowadzenia pewnych zmian w pierwotnych planach. Musimy się naradzić ze specjalistami i dokładnie sprawdzić, jakiego remontu wymagają transportowe szybowce. Natychmiast wracam do Londynu i skontaktuję się z Bonn. Jak się pan nazywa, młodzieńcze? - Von Löwenstein, proszę pana. Maximilian von Lowenstein Trzeci.

- Ach tak, znam pańskiego ojca. Wiem też, że pańska babka przyczyniła się do ujawnienia antypaństwowego spisku, w którym ważną rolę miał odegrać pański dziadek... Możesz być z tego dumny, mój chłopcze.

- Przez całe życie czekałem na taką właśnie chwilę, proszę pana. - I oto nadeszła. Muszę przyznać, że doskonale się do niej przygotowałeś.

- Mon Dieu! - wykrzyknął Claude Moreau, ściskając dłoń Lathama. Spotkali się na brukowanym kostką nabrzeżu Sekwany, Karin de Vries rozmyślnie została parę kroków w tyle. - A więc ty żyjesz! I to jest najważniejsze. Tylko co ten stuknięty Witkowski z tobą zrobił?

- Mówiąc szczerze, to był mój pomysł, monsieur - wtrąciła Karin, podchodząc bliżej.

- A pani to zapewne ta osławiona de Vries, prawda, madame? - zapytał Moreau, uchylając kapelusza.

- Zgadza się, proszę pana.

- Na fotografiach wyglądała pani zupełnie inaczej. Lecz jeśli ten złotowłosy dziwoląg to naprawdę Drew Latham, muszę zakładać, że wszystko jest możliwe.

- To nie moje włosy, noszę blond perukę, monsieur Moreau. - Certainement. Niemniej, madame, muszę przyznać, że jest pani zdecydowanie ładniejsza jako brunetka. Te jasne loki robią wrażenie, że tak powiem, trochę zanadto krzykliwych.
- Zaczynam rozumieć, dlaczego mówi się po cichu, iż szef Deuxieme Bureau należy do najbardziej czarujących mężczyzn w Paryżu.
- To wspaniała opinia, ale proszę jej nie powtarzać przy mojej żonie.
- Jeśli wolno mi coś wtrącić - przerwał mu Latham - to chyba powinien się pan cieszyć, że jeszcze żyję.
- To prawda, przyjacielu, ale równocześnie ubolewam z powodu śmierci twojego brata.
- Ja także, lecz przejdźmy lepiej do sprawy zasadniczej. Muszę dopaść tych sukinsynów, którzy go zabili... między innymi. - Nam wszystkim na tym zależy. Parę kroków stąd jest przyjemna kawiarenka, zwykle zatłoczona, więc nikt nie powinien zwrócić na nas uwagi. Dobrze znam właściciela. Może tam pójdziemy i zajmimy jakiś stolik daleko od wejścia. Prawdę mówiąc, już go zarezerwowałem.
- Znakomity pomysł, monsieur Moreau - oznajmiła Karin, biorąc Lathama pod rękę.
- Jeśli wolno mi o to prosić, madame - powiedział szef Deuxieme Bureau, wkładając kapelusz i ruszając przed siebie mam na imię Claude, a podejrzewam, że będziemy w kontakcie aż do zakończenia tej sprawy, jeżeli takowe w ogóle nastąpi. Dlatego wolałbym uniknąć tytułowania się nawzajem "monsieur", "madame", rzecz jasna, jeśli to zostanie w tajemnicy przed moją wspaniałą małżonką.
- Mam coraz większą ochotę ją poznać.
- Musiałabyś przedtem zdjąć perukę, moja droga. Stoliki kawiarniane były poustawiane na chodniku, którego część wydzielono płotkiem z cienkich listewek oraz skrzynkami pełnymi kwiatów. Właściciel lokalu uprzejmie powitał Moreau i jego gości tuż przy wejściu, po czym zaprowadził ich do stolika w najdalszym rogu. Za ich plecami wznosiło się wysokie do ramion, ażurowe ogrodzenie z umieszczoną na jego szczycie skrzynką z kwiatami, które rzuciło głęboki cień na stolik przykryty obrusem w kratę. Na jego środku stała samotna świeca, a jej płomień filował w podmuchach lekkiego wiatru. - Myślałam, że będzie z nami pułkownik Witkowski - powiedziała de Vries.
- Ja także - wtrącił Latham. - Dlaczego nie przyszedł na spotkanie? Sorenson postawił jasno sprawę, że powinniśmy w pełni wykorzystywać jego doświadczenie.
- Taką podjął decyzję - odparł Moreau. - Ten olbrzym wszędzie rzuca się w oczy, jest dosyć znany w Paryżu.
- Mogliśmy się przecież spotkać gdzie indziej - rzekł Drew. Na przykład w pokoju hotelowym.
- To także decyzja pułkownika. W pewnym sensie on jest tu z nami. Ten samochód zaparkowany przy krawężniku to wóz z ambasady. Kierowca czuwa w środku, a dwóch ubranych po cywilnemu żołnierzy piechoty morskiej kręci się gdzieś wśród spacerowiczów na zewnątrz kawiarni.
- A to znaczy, że przeprowadza kolejny test - oznajmiła pewnym głosem de Vries. - Nie inaczej. Ale dokładnie taką pełni rolę, czujnego wartownika. Witkowski przede wszystkim chce mieć pewność, że nie będzie dalszych przecieków. Jeśli będą, podejmie stanowcze kroki, aby je zlikwidować.
- To cały Stanley - przytaknął Latham. - Gotów jest nawet położyć na szali moje życie.
- Tutaj nic wam nie grozi - zadeklarował szef Deuxieme Bureau. - Wasi żołnierze z piechoty morskiej cieszą się moim wielkim uznaniem... Karin... - dodał, wpatrując się w bandaż na dłoni kobiety twoja ręka,.. Pułkownik mówił mi, że odniosłaś poważną ranę. Jest mi bardzo przykro!
- Dziękuję, goi się prawidłowo. Obiecano mi niewielką protezę, która zniweluje ubytki. Jutro mam wizytę u lekarza, powinnam dostać parę dopasowanych, eleganckich rękawiczek.
- Gdyby zaszła potrzeba, mój wóz służbowy będzie do waszej dyspozycji.

- Stosh załatwił już wszystkie formalności - powiedział Drew. - Nalegałem na to, by ambasada pokryła wszelkie wydatki ze swojego funduszu. Mam zamiar dopilnować, żeby Karin nie wydała nawet jednego su z własnej kieszeni.
- Kochany, to nie ma znaczenia...
- Dla mnie ma!
- Ach, mon chou... Więc tak się sprawy mają... Muszę powiedzieć, że bardzo mnie to cieszy.
- Wyrwało mi się, monsieur. Je regrette.
- Ależ nie ma czego. Mimo swojej profesji jestem romantique au coeur< Poza tym pułkownik Witkowski wspominał mi w zaufaniu, że prawdopodobnie coś was łączy. W obecnej sytuacji to znacznie lepiej niż być samotnym, bo samotność jest nadzwyczaj dokuczliwa w chwilach silnego stresu.
- Dobrze powiedziane, monsieur... mon ami, Claude.
- Merci.
- Jeszcze jedno pytanie - wtrącił Latham. - W pełni rozumiem powody, dla których Witkowski nie przyszedł na to spotkanie. Ale co z tobą? Czyż nie jesteś tak samo znany w Paryżu? - Na szczęście nie odparł Moreau. - Moje zdjęcia nigdy się nie ukazywały ani w prasie, ani w telewizji. Po prostu taką politykę przyjęło Deuxieme Bureau. Nawet na drzwiach mego gabinetu nie ma żadnej tabliczki. Nie chcę przez to powiedzieć, że nasi wrogowie nie dysponują jakimś moim zdjęciem, z pewnością je zdobyli, ale chyba nie ma to zbyt wielkiego znaczenia. Poza tym nie przyciągam uwagi na ulicy, nie jestem specjalnie wysoki, nie ubieram się ekstrawagancko. Jak mówicie wy, Amerykanie, nie wyróżniam się w tłumie. Zazwyczaj też dobieram sobie jakieś nakrycie głowy z mojej kolekcji kapeluszy, na przykład ten, który włożyłem dzisiaj. Sądzę, że to mi wystarczy.
- Tylko czy wystarczy wrogom? - rzekł Drew.
- Wszyscy ponosimy mniejsze lub większe ryzyko, prawda, przyjacielu? Ale przejdźmy do rzeczy. Jak już zapewne wiecie, ambasador Courtland jutro z samego rana ma odlecieć z lotniska Concorde do Waszyngtonu...
- Sorenson przekazał, że ściąga go do Stanów na trzydzieści sześć godzin - przerwał mu Latham. - Wymyślił jakieś pilne spotkanie przedstawicieli dyplomacji z Europy, o którym Departament Stanu nawet nic nie wie.
- Zgadza się. W tym czasie będziemy pilnie obserwowali panią Courtland. Możecie mi wierzyć, że zwrócimy uwagę na każdy jej krok. Poza ambasadą będzie śledzona, a we wszystkich telefonach placówki, z których może korzystać, na rozkaz pułkownika został założony podsłuch, przy czym podłączono bezpośrednią linię do mojego gabinetu...
- Dlaczego po prostu nie nagrywać jej wszystkich rozmów? wtrącił Drew.
- Ponieważ to zbyt ryzykowne, a nie mamy czasu na dokonywanie większych przeróbek w telefonach. Zresztą istnieje obawa, że ona domyśla się istnienia podsłuchu i może przeprowadzać jakieś specyficzne testy. Gdyby zyskała pewność, że rozmowy są nagrywane, wiedziałaby także, iż znajduje się pod obserwacją. - W ten sam sposób udało ci się sprawdzić, Drew, że mój telefon również jest na podsłuchu.
- Owszem, to wcale nie było trudne. - Latham pokiwał głową. - W porządku, będziecie ją zatem mieli pod lupą. A jeśli nic się nie wydarzy?
- To nic się nie wydarzy - mruknął Moreau. - Byłoby to jednak bardzo dziwne. Nie zapominajcie, że to nie tylko kobieta o urzekającej osobowości, lecz także fanatyczka, od dziecka szkolona do" poświęceń dla celów organizacji. Znajdujemy się zaledwie o godzinę drogi od granic jej ukochanej Rzeszy, co powinno burzyć w niej krew, ponadto bardzo wysoki status zawodowy pani Courtland musi dawać kobiecie sporą satysfakcję. To wszystko działa na naszą korzyść. Przynajmniej teoretycznie każdy Sonnenkind powinien mieć o sobie bardzo wysokie mniemanie. Pokusa będzie dla niej wprost nie do odparcia. Dlatego też uważam, że po wyjeździe ambasadora powinna uczynić jakiś nierozważny krok, który pozwoli nam zyskać dalsze informacje.

- Miejmy nadzieję. Latham zmarszczył brwi na widok zbliżającego się kelnera, który niósł na tacy kieliszki oraz dwie butelki wina.
- Właściciel kawiarni zawsze podaje mi na spróbowanie trunki z ostatnich dostaw - wyjaśnił półgłosem szef Deuxieme Bureau, spoglądając na kelnera odkorkowującego butelki. Gdybyście jednak mieli ochotę na coś innego, to proszę powiedzieć.
- Dziękujemy. Lampka wina w zupełności nam wystarczy. Latham popatrzył na Karin, a ta energicznie przytaknęła ruchem głowy.
- Czy mogę o coś zapytać? - odezwała się, kiedy kelner w końcu odszedł. - A jeśli Drew ma rację i nic specjalnego się nie wydarzy, czy będziemy wówczas mogli w jakiś sposób zmusić Janinę do wykonania ruchu?
- Jak? - spytał Francuz, po czym zaraz dodał, unosząc swój kieliszek: - A votre sante? Za nas wszystkich... Więc jak mielibyśmy to zrobić, moja droga Karin?
- Nie wiem. Może z pomocą organizacji "Antyninus"? Dobrze znam tych ludzi, a oni znają mnie. Co więcej, mój mąż cieszył się wśród nich wielkim poważaniem.
- Nic z tego - mruknął Latham, obracając głowę w jej stronę. - Nie zapominaj, że Sorenson ma poważne obawy, czy wśród nich także nie działa informator.
- To bzdura.
- Możliwe, lecz Wesley odznacza się naprawdę wyjątkowym instynktem, jak mało kto... Może jeszcze Claude ma podobne zdolności, a także Witkowski.
- Jesteś bardzo uprzejmy, ale spośród nas trzech głosowałbym na Sorensona. Mianem geniusza można określić zaledwie połowę jego umiejętności.
- On mówi to samo o tobie. Powiedział też, że uratowałeś mu życie w Istambule.
- Powinien był dodać, że przy okazji ratowałem własną skórę. Wróćmy jednak do organizacji "Antyninus", Karin. Jak moglibyśmy ją wykorzystać, aby zmusić żonę ambasadora do wykonania fałszywego kroku?
- Nie mam pewności, ale ci ludzie dysponują ogromną wiedzą na temat neonazistów. Znają nazwiska, pseudonimy, sposoby przekazywania wiadomości; w ich aktach znajdują się tysiące sekretów, których nikomu nie udostępniają. Może w tym wypadku zrobiliby jednak wyjątek.
- Niby dlaczego? - zapytał Drew.
- Mam takie same wątpliwości - dodał Moreau. - O ile zdążyliśmy poznać tę organizację, to w gruncie rzeczy oni nie dysponują niczym pewnym. Tworzą coś w rodzaju całkowicie niezależnej komórki wywiadowczej, realizującej sobie tylko znane cele i odpowiadającej wyłącznie przed własnym zarządem. Dlaczego więc mieliby teraz zmieniać swoje metody postępowania i udostępniać archiwa komuś spoza ich kręgu?
- Nie chodzi przecież o całe archiwa, lecz o wybrane informacje, chociażby tylko awaryjne metody kontaktu, jakieś hasła znane wyłącznie sonnenkindom, jeśli takowe istnieją.
- Chyba się nie rozumiemy - rzekł Latham, pochylając się w stronę Karin i kładąc dłoń na jej zabandażowanej ręce. - Pytaliśmy, z jakiego powodu mieliby to zrobić.
- Ponieważ my odkryliśmy coś, o czym oni dotychczas nie wiedzieli. Mamy przecież autentycznego, dobrze zakonspirowanego sonnenkinda, działającego tutaj, w Paryżu. Podejmuję się sama z nimi negocjować.
- Do diabła - mruknął Drew, odchylając się na oparcie krzesła. - To rzeczywiście mocny argument przetargowy.
- Przyznaję, że to niegłupie - powiedział Moreau, spoglądając uważnie na de Vries. - Nie obawiasz się jednak, że będą chcieli mieć jakikolwiek dowód?
- Na pewno będą chcieli, ale chyba potrafię im go przedstawić. - Co to za dowód?
- Wybacz, mój drogi, lecz przedstawiciele organizacji zdecydowanie bardziej będą chcieli rozmawiać z kimś z Deuxieme Bureau niż z agentem CIA - odparła Karin, zerkając na Lathama. - Chodzi o sprawy europejskie, nadal pozostające ścisłą tajemnicą. - Ponownie odwróciła głowę do Moreau. - Potrzebna mi będzie krótka notatka z twojego biura. Wystarczy aktualna data i tajny kod waszego dochodzenia oraz zaświadczenie, że jestem upoważniona do przedstawienia im szczegółów prowadzonej obserwacji zakonspirowanego,

wysoko postawionego sonnenkinda, działającego na terenie Paryża, bez podawania żadnych nazwisk. Chodzi jedynie o twój podpis. To powinno im wystarczyć. Jeśli zgodzą się na współpracę, udostępnią mi aparat z szyfratorem, z którego zadzwonię pod twój prywatny numer telefonu.

- W chwili obecnej wydaje mi się to najlepszym posunięciem - rzekł Moreau, uśmiechając się do Karin z uznaniem.

- A ja widzę poważną lukę w tym rozumowaniu - zaprotestował Drew. - Nie uważacie, że Sorenson może mieć rację? Co będzie, jeżeli u nich rzeczywiście działa informator neonazistów? Karin ryzykowałaby życie, a na to nie mogę się zgodzić.

- Och, daj Spokój mruknęła de Vries. - Tych trzech ludzi z organizacji, z którymi już się spotkaliśmy, znam od chwili przyjazdu do Paryża. Dwóch z nich było łącznikami Freddiego. - A ten trzeci?

- Na miłość boską, kochany! To ksiądz! Niespodziewanie na ulicy, tuż za ogrodzeniem kawiarni, rozległy się jakieś okrzyki. Do stolika podbiegł właściciel lokalu i zachrypniętym głosem zawołał do Moreau:

- Mamy kłopoty! Lepiej idźcie już stąd. Chodźcie za mną! Cała trójka wstała pośpiesznie i ruszyła za mężczyzną. Ten nacisnął ukryty kontakt na ścianie i ostatnia sekcja ażurowego ogrodzenia ze skrzynkami kwiatów odchyliła się w bok. Uciekajcie! zawołał. - Tą uliczką!

- Wino było znakomite - rzucił pośpiesznie szef Deuxieme Bureau. Obaj z Lathamem chwycili Karin pod ręce i wybiegli z kawiarni. Na chodniku obejrzeni się jak na komendę, Przed wejściem zdążył się już zebrać spory tłum, właśnie stamtąd dobiegały podniesione głosy. Kiedy zrozumieli, co się stało, Karin z sykiem wciągnęła powietrze, Moreau skrzywił się i mocno zacisnął powieki, a Latham zaklął pod nosem Światło latarni wylawiało z mroku nie oznaczony samochód ambasady stojący przy krawężniku, przez przednią szybę widać było kierowcę. Głowę miał silnie odchyloną do tyłu! a z czoła ściekała mu po twarzy strużka krwi.

* * *

Koniec tomu pierwszego